

JOHN JAKES

PÓŁNOC

i

POŁUDNIE

TOM II

KSIEGA TRZECIA

Więzy, które nas łączą, pękają jeden po drugim

„Jeśli pękają to, w imię Boże, niech Unia się rozpadnie... Kocham Unię jak własną żonę. Ale gdyby moja żona poprosiła mnie o separację i nalegała na nią, pozwoliłbym jej odejść, nawet gdyby miało to złamać mi serce.”

John Quincy Adams na wieść o spisku Burra, 1801 rok

33

George Hazard twierdził, że nie darzył West Point szczególnie silnym uczuciem, a jednak rozmawiał z młodszym bratem o uczelni tak często i tak wyczerpująco, że w momencie przyjazdu do Akademii Billy wiedział o niej naprawdę sporo.

George ostrzegł go przed „ludźmi Thayera i systemem Thayera”. Istotą systemu było przekonanie, że osiągnięcia każdego kadeta można wymierzyć wartościami absolutnymi i wykazać w porządku hierarchicznym. System i ludzie odpowiedzialni za wprowadzanie go w życie nadal panowali w West Point.

Ale w ciągu tych sześciu lat, które upłynęły od chwili ukończenia uczelni przez George'a, zaszły pewne zmiany. Te najbardziej widoczne dotyczyły architektury. Stare koszary północne i południowe zostały zrównane z ziemią, na tym miejscu wzniesiono nowe kosztem 186 tysięcy dolarów. Ozdobiony gzymsem z czerwonego piaskowca budynek przywodził na myśl angielskie zamki. Obszerny hol nad centralną bramą mógł pomieścić wszystkich kadetów, a w suterenie pewien weteran otworzył sklepik, w którym sprzedawał słodczyce i napoje. Koszary wyposażone były w system centralnego ogrzewania ciepłą wodą. Nie było już nawet śladu palenisk, o których George opowiadał z takim rozrzewnieniem. Brak palenisk oznaczał, że nie ma mowy o gotowaniu w czasie wolnym od zajęć. Było to poważne rozczarowanie; Billy, płynąc do West Point, marzył o

przyrządzeniu swojej pierwszej żołnierskiej potrawy. Na wschód od koszar i na południe od kaplicy stawiano właśnie nowe, murowane kasyno. Nadal na swoim miejscu stały obserwatorium i biblioteka oraz budynek, w którym odbywały się zajęcia szkolne.

Od czasu zakończenia wojny meksykańskiej w West Point stacjonowała kompania wojsk inżynieryjnych. Przeprowadzała pokazy praktyczne, a może też miała zainspirować kadetów. Żołnierzy można było bez trudu rozpoznać po granatowych, jednorzędowych kurtkach z czarnymi, aksamitnymi kołnierzami i mankietami oraz przepisowym emblemacie jednostki, przedstawiającym zamek z wieżyczkami. Billy miał nadzieję, że przyjdzie czas, kiedy i on będzie nosił taką odznakę.

Wiedział, że czekają go cztery lata wyteżonej pracy. Ale przygotowania do czerwcowych egzaminów wstępnych uznał za stratę czasu. Aby zdać matematykę, musiał rozwiązać przy tablicy niezwykle proste działanie, ustnie zaś odpowiedzieć na trzy równie łatwe pytania. Nic dziwnego, że w opinii cywilów egzaminy wstępne do West Point były niedorzecznie proste.

Kadetów zwoływał obecnie głos trąbki, nie werbli, ale jedzenie podawane w stołówce nie różniło się od tego, które otrzymywał przed laty George. Upłynęło zaledwie parę minut, odkąd Billy wszedł do przydzielonego mu pokoju, kiedy z impetem wpadł kadet trzeciego roku, przedstawił się jako Caleb Slocum i zażądał, aby Billy oddał mu honory wojskowe.

Uczył to tak dobrze, jak potrafił, ale kadet, zmizerowany młodzieńiec o czarnych, prostych włosach i nieładnej cerze, zbesztiał go, po czym dodał, cedząc słowa:

— Niech mi pan opowie coś o sobie, sir. Czy pański ojciec jest demokratą?

— Sądzę, że będzie to zależało od osoby, która uzyska w tym miesiącu nominację partii.

— Sir, zadałem pytanie wymagające prostej odpowiedzi: tak albo nie. Pan natomiast uraczył mnie wykładem na tematy polityczne. — Zniżył złowieszczo głos: — Czy mogę wywnioskować z pańskiej odpowiedzi, że ojciec jest politykiem, sir?

Billy z trudem zdusił narastający gniew.

— Nie, sir. Mój ojciec zajmuje się produkcją żelaza.

— Sir! — ryknął kadet. — Zapytałem tylko, czy pański ojciec jest politykiem czy nie, a pan uraczył mnie wywodem na temat przemysłu! Stanie pan w tamtym kącie na piętnaście minut, twarzą do ściany. Wpadnę tu kilka razy sprawdzić, jak wykonywany jest mój rozkaz, a panu radzę w tym czasie zastanowić się nad swoją postawą. Jeśli będzie pan nadal takim gadułą i uparciuchem, pańska kariera na tej uczelni będzie miała charakter krótkotrwały i nieprzyjemny. A teraz, sir, do kąta!

Billy, którego twarz poczerwieniała mocno, posłuchał polecenia. Gdyby był podobny do brata, złożyłby skórę temu aroganckiemu kadetowi, nie martwiąc się o konsekwencje. Należał jednak do ludzi rozważnych. Właśnie z tego powodu George przepowiadał mu wspaniałą karierę w wojskach inżynieryjnych. Z drugiej strony, jego prostolinijna natura czyniła zeń łatwą ofiarę. Stał niemal przez godzinę, zanim do pokoju wszedł student drugiego roku, zlitował się nad nim i pozwolił stanąć w pozycji spoczyn. Slocum najwidoczniej nie miał wcale zamiaru przyjść.

Slocum. Billy powtarzał sobie w duchu to nazwisko, pocierając zdętwiałą nogę.

— Powinien pan przyzwyczać się do tego rodzaju szykan, sir — poradził student drugiego roku. — Wygląda na to, że będzie pan jeszcze przez dłuższy czas młodszym kadetem.

— Tak jest, sir — mruknął Billy, kiedy tamten wyszedł.

Pewne zwyczaje w West Point nie zmieniły się i pewnie tak pozostanie.

Nadal w cywilnych ubraniach Billy i inni nowicjusze maszerowali za umundurowanym batalionem po równinie, na której odbywały się letnie ćwiczenia, tak jak czynili to dawniej George i Orry. Młodszy kadeci, obciążeni bagażem starszych kolegów, brnęli przez piach, a potem dobywali ostatnich sił, aby wbić w twardą ziemię paliki i ustawić namioty.

Pierwszego dnia w obozie Billy dostrzegł jeszcze jedną zmianę, która zaszła w Akademii; może nie tak rzucającą się w oczy, ale nie mniej ważną. Potem mawiano, że była to najistotniejsza zmiana, dlatego że okazała się tak bardzo destrukcyjna.

W każdym namiocie mieszkało trzech mężczyzn, mieściły się w nim również koce i stojak na muszkiety, które mieli otrzymać, oraz zielona, najczęściej poobijana skrzynia. W jej trzech przegródkach kadeci trzymali bieliznę, poza tym było to jedyne w namiocie miejsce do siedzenia. Kiedy Billy wszedł do środka, poprzedzając chudego, bladego nowicjusza o spłoszonym wzroku, zastał w namiocie trzeciego lokatora; siedział na skrzyni, polerując chusteczką swoje wytworne buty.

Na widok przybyłych podniósł wzrok.

— Dobry wieczór, panowie. Nazywam się McAleer. Dillard McAleer. — Wyciągnął do nich rękę.

Billy uściśnął ją, starając się zidentyfikować akcent młodzieńca. Chłopak niewątpliwie pochodził z Południa, ale jego wymowa była twardsza i bardziej nosowa niż mieszkańców Karoliny Południowej.

— Jestem Billy Hazard. Z Pensylwanii. A to Fred Pratt z Milwaukee.

— Frank Pratt — sprostował dryblas. Powiedział to takim tonem, jakby zamierzał ich przeprosić.

— Coś takiego! Dwóch Jankesów! — uśmiechnął się Dillard. Miał bladoniebieskie oczy i jasne loki, opadające na czoło. Billy zwrócił na niego uwagę już wcześniej, kiedy wszystkich nowicjuszy podzielono na cztery grupy. Każda miała zasilić po ćwiczeniach jedną kompanię kadetów. Billy i McAleer byli średniego wzrostu i z tego powodu znaleźli się w kompaniach środkowych. Frank Pratt, stojący u wejścia do namiotu, miał niemal sześć stóp wzrostu, nadawał się do oddziału na skrzydle.

— Czy wy, chłopcy, nie macie przypadkiem zamiaru sprzymierzyć się przeciw mnie? — zapytał McAleer. Było w nim coś, co kazało mieć się na baczności. Ale co? McAleer uśmiechał się w dalszym ciągu, choć jego pytanie zabrzmiało nadzwyczaj poważnie. Billy uznał to za niedobry omen.

Z zewnątrz dobiegły jakieś odgłosy: ostrożne kroki, czyjs szept. Ktokolwiek tam był, stał tak, że na brezent nie padał żaden cień. Billy odpowiedział pytaniem na pytanie:

Dlaczego mielibyśmy to robić? Przecież wszyscy będziemy jednakowo cierpieć.

— Co do mnie, nie zamierzam cierpieć — oświadczył McAleer. Pierwszy z jankeskich sukinsynów, który wejdzie mi w drogę, oberwie tak, że nos wyjdzie mu tyłem głowy.

Billy podrapał się po brodzie.

— Skąd jesteś, McAleer?

— Z małej miejsciny w Kentucky, nazywa się Pine Vale. Mój ojciec ma tam farmę. — Spojrzał wyzywająco na Billy'ego. — I czterech czarnuchów na własność.

Widać było, że czeka na reakcję. Siedział na skrzyni, a jego radosna, zaczepna mina zdradzała przekonanie, że poradzi sobie z wszelką formą krytyki. Billy nie spodziewał się zetknąć w West Point z niechęcią wynikającą z miejsca urodzenia i teraz, kiedy uświadomił sobie własną naiwność, poczuł się zaszokowany. Nie zamierzał wdawać się w dyskusję na temat niewolnictwa.

Jako mieszkańcy tego samego namiotu byli sobie równi i McAleer musiał sobie zdać z tego sprawę. Billy machnął ręką.

Chciałbym włożyć tu swoje rzeczy. Może byś mnie dopuścił do skrzyni?

— Jasne, dopuszczę. — McAleer podniósł się powoli, ruchem węża prostującego swe zwoje. Był przysadzisty, jednak poruszał się z wdziękiem, który podkreślał jego dziewczęcy wygląd. Ale kiedy przesunął czubkami palców po dłoniach, jakby gotując się do walki, Billy dojrzał na nich imponujące stwardnienia.

McAleer uśmiechnął się szeroko.

— Coś mi się zdaje, że jeśli chcesz dostać się do tej skrzyni, będziesz mnie musiał odsunąć na bok.

Frank Pratt wydał cichy, mimowolny jęk. Teraz Billy już wiedział, dlaczego odniósł wrażenie, że zna McAleera; przybysz z Kentucky zachowywał się jak większość młodych ludzi, których Billy poznał w Mont Royal. Był arogancki i skory do zaczepki. Może była to typowa postawa obronna wobec Jankesów?

Spojrzał przeciwnikowi prosto w oczy.

— McAleer, nie mam nic przeciw tobie. Czeka nas sześćdziesiąt dni w tym cholernym namiocie i musimy się z tym pogodzić. O ile wiem, oznacza to, że przestaje się liczyć, kim i skąd jesteśmy, a ważne jest, jak będziemy odnosić się do siebie. To, o co poprosiłem cię przed chwilą, to nic wielkiego; po prostu chciałem dostać się do skrzyni, która w jednej trzeciej należy do mnie. Jeżeli zaś będę musiał naprawdę odsunąć cię na bok siłą, mówiąc twoim językiem, przypuszczam, że dam sobie radę.

Jego stanowczy ton zrobił widocznie duże wrażenie, gdyż McAleer machnął pojednawczo ręką.

Diabła tam, Hazard, przecież ja tylko żartowałem. Z głębokim ukłonem odstepił na bok. Proszę bardzo. Ty też, Fred. - Frank.

— Jasne, tak, Frank.

Billy odprężył się i ruszył do wejścia, gdzie złożył swoje rzeczy.1 nagle:

Razem, chłopcy... ciągnij!

Billy poznał po głosie Slocuma, zanim grupa dowcipnisiów wyrwała z ziemi paliki namiotu, przewracając go na ziemię.

McAleer kłął, wymachując bezradnie rękoma. Kiedy wszyscy trzej wygrzebali się wreszcie spod brezentu, Billy musiał przytrzymać swego kolegę z Kentucky, aby nie rzucił się z pięściami na rozbawionych studentów starszych klas.

George opowiadał nieraz, że on i Orry byli prześladowani przez starszego kadeta, który wziął się na nich. Taka sama sytuacja zaistniała teraz. Caleb Slocum z Arkansas nie dawał spokoju Billy'emu, obwiniając go o rzeczywiste i wymaginowane wykroczenia. Wkrótce Billy'ego zaczęła nawiedzać nocami brzydka, upstrzona krostami twarz Slocuma, coraz częściej miewał też triumfalne sny, w których z prawdziwą przyjemnością zabijał swego dręczyciela, wymyślając coraz to nowe tortury.

Znosił szykany, wiedział bowiem, że musi wytrzymać, o ile chce osiągnąć swój cel. Stojąc na warcie lubił rozmyślać o przyszłości. Służba polegała na dwugodzinnym przechadzaniu się tam i z powrotem, potem następował czterogodzinny odpoczynek — i tak w kółko przez całą dobę. Aby zabić czas, Billy oddawał się marzeniom. Wyobrażał sobie ów radosny dzień,

kiedy zostanie przyjęty do wojsk inżynierskich i będzie mógł poślubić swoją wybrankę. Ani przez chwilę nie wątpił, kto nią będzie. Miał tylko nadzieję, że Brett pragnie go tak mocno, jak on ją.

Na tydzień przed zakończeniem obozu letniego Dillard McAleer wszczął awanturę z kilkoma nowicjuszami z Północy. Sprzedzka o wprowadzenie niewolnictwa na nowych terytoriach przerodziła się niebawem w bijatykę. McAleer bronił się niezwykle dzielnie, dopóki nie wmieszał się pewien kadet z pierwszego roku, nowojorczyk, Phil Sheridan, cieszący się sławą zawiadacza. Tym razem, jako oficer dyżurny, stanął na straży dyscypliny.

Sheridan usiłował zapobiec walce, ale jego interwencja jeszcze bardziej rozwścieczyła McAleera; nieoczekiwanie oderwał potężną gałąź z pobliskiego drzewa i rzucił się na Sheridana. Na szczęście pozostali kadeci rozdzielili ich, ale upłynęło kilka minut, zanim zdolali poskromić McAlleera.

Nazajutrz dyrektor Henry Brewerton wezwał Południowca do swego gabinetu. Nikt nie wiedział, jakie słowa padły za zamkniętymi drzwiami, ale jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu McAleer zaczął się pakować.

— Chłopcy — oświadczył uśmiechając się od ucha do ucha. — Nie powiem, że opuszczam was chętnie, ale stary nie dał mi wyboru. Odejdiesz sam albo doczekasz się formalnego oskarżenia. Cóż, jeśli już koniecznie muszę wynieść się z tej jaskini abolicjonistów, cieszę się, że mogę to uczynić w dobrym stylu.

Jezeli McAleer nie był zadowolony z obrotu sprawy, przynajmniej potrafił to ukryć. Billy uznał za absurd, iż niedoszły kadet z Kentucky oskarżył Akademię o hołdowanie ideom abolicjonistycznym. Większość społeczeństwa przypisywała jej raczej odmienne zapatrywania.

Frank Pratt, jak zwykle uprzejmy, przytaknął:

— Jasne, Dillard, udało ci się zachować styl.

Billy natomiast nie okazywał swych uczuć; przebieg i bezsensowność bójki budziła w nim niesmak.

Frank kontynuował swoim piskliwym głosem:

— Załatwiłeś tych dwóch żółtodziobów i Sheridana, jak gdyby byli małymi dziećmi.

McAleer wzruszył ramionami.

— Jasne. Dżentelmeni zawsze walczą lepiej niż hołota, a tym właśnie są Jankesi: hołotą. Motłochem. Przynajmniej większość z nich — dodał spieszenie, patrząc na współlokatorów.

Billy słyszał niejednokrotnie podobną opinię z ust innych kadetów z Południa. Może była to tylko poza, mająca zrekompensować ich kompleks niższości?

Niezależnie od przyczyn tego przekonania, bójki nie oznacza-

ły nic dobrego. Billy przypomniał sobie dziki wyraz twarzy McAleera, kiedy rzucił się z kijem na Sheridana. McAleer uściśnił im dłonie na pożegnanie.

— To była wspaniała zabawa, chłopcy.

— Tak — powiedział Billy, chociaż nie podzielał jego zdania.

Uważaj na siebie, Dillard.

— W porządku. Nie ma obawy.

Jeszcze raz pomachał ręką i zniknął za drzwiami. Pozostało jednak wspomnienie ułamanej gałęzi i jego wykrzywionej nienawiścią twarzy.

Podział na zwolenników niewolnictwa i abolicjonistów pogłębiał się. Kadeci byli wprawdzie przydzielani do kompanii według wzrostu, ale Billy zauważył, że kilka oddziałów składało się głównie z Południowców albo tych, którzy z nimi sympatyzowali. W tych kompaniach nie wszyscy kadeci byli jednakowego wzrostu. A więc nie tym kryterium kierowano się przy formowaniu kompanii. Ale jeśli nie tym, to jakim?

Pierwszego września zjawił się nowy dyrektor. Podobnie jak Brewerton, Robert Lee służył niegdyś w wojskach inżynieryjnych, cieszył się jednak znacznie lepszą opinią niż jego poprzednik. Lee był powszechnie uznawany za najznamienszego żołnierza Ameryki; wieść głosiła, że ubóstwia go sam Winfield Scott. W Akademii czekał go jeden problem; jego najstarszy syn, Curtis, uczęszczał do klasy z rocznika 54, nie brakowało więc uszczypliwych żartów na temat systemu protekcyjnego.

Po raz pierwszy Billy ujrzał z bliska nowego dyrektora podczas niedzielnej mszy w kaplicy. Były one dla kadetów obowiązkowe, również pod tym względem nic się nie zmieniło od czasów George'a. Lee miał niemal sześć stóp wzrostu, brązowe oczy, krzaczaste brwi oraz twarz, z której emanowała olbrzymia siła charakteru. W czarnych włosach widoczne były tu i ówdzie siwe pasemka, ale wąsów, których końce wystawały o pół cala po obu stronach ust, nie rozjaśniał nawet jeden złoty włos. Billy ocenił, że Lee ma około czterdziestu lat.

Kapelan wygłosił jedno z tych usypiających kazań na bardzo popularny temat: zbliżającego się nadejścia Królestwa Bożego. Następnie odmówił modlitwę w intencji nowego dyrektora. Na jego prośbę pułkownik Lee wyszedł z ławy i przemówił do zebranych kadetów.

Mimo iż poza uczelnią szaleją swary, powiedział, ci, którzy siedzą teraz przed nim, winni wznieść się ponad nie. Cytując młodego króla z *Henryka V* W. Szekspira, nazwał kadetów „rzeszą braci”. Wezwał wszystkich słuchaczy do traktowania korpusu właśnie w ten sposób i wbicia sobie w pamięć, że kadeci

z West Point mają być wierni nie którejs ze stron, lecz całemu narodowi, którego zobowiązali się bronić.

— Co o nim myślisz? — zapytał jak zwykle cicho Frank Pratt. Uczeń z Wisconsin mieszkał teraz w jednym pokoju z Billym. Właśnie spieszenie porządkowali swą kwaterę przed gongiem na kolację.

— W każdym razie jest to przykład idealnego żołnierza — odparł Billy. — Mam nadzieję, że zdoła utrzymać tu spokój.

— Rzesza braci — mruknął Frank. — To określenie nie może mi jakoś wyjść z głowy. Ale tym właśnie jesteśmy, prawda?

Przynajmniej mamy być. — W pamięci Billy'ego odżyło na moment wspomnienie twarzy McAleera w chwili, kiedy rzucał się na Sheridana.

Ktoś energicznie zapukał do drzwi, po czym zadał rutynowe pytanie:

— W porządku?

W porządku — odparł Billy.

Frank powtórzył te słowa, aby przeprowadzający inspekcję kadet miał pewność, że i on jest w pokoju. Ale tym razem officer dyżurny, zamiast ruszyć dalej, wszedł do środka. James E. B. Stuart był jowialnym, niezwykle lubianym studentem drugiego roku z Wirginii, którego sława zawadiaki dorównywała niemal opinii krążącej o Sheridanie. Ktoś nadał mu kiedyś przydomek „Piękniś” właśnie dlatego, że nie był ładny.

Z udaną powagą Stuart oświadczył:

— Panowie, powinniście zważać teraz na każdy swój krok, skoro jeden z synów Wirginii stanął na czele tej instytucji.

— Rzucił za siebie ukradkowe spojrzenie, po czym zniżył głos:

— Przyszedłem, aby panów ostrzec. Jeden z doboszów przeszmugłował tu cały ładunek whisky. Trochę zakupił Slocum. Teraz chodzi pijany i powtarza w kółko wasze nazwiska.

Twarz Franka Pratta zszarzała.

— Radzę więc wam schodzić mu z drogi — zakończył Stuart.

— Postaramy się, sir — obiecał Billy. — Dzięki.

— Nie chciałbym, abyście myśleli źle o każdym napotkanym Południowcu — dodał Stuart i zniknął za drzwiami.

W zamyśleniu Billy wpatrywał się w promienie jesiennego słońca, wpadające przez okno. Nie chciałbym, abyście myśleli źle o każdym napotkanym Południowcu. Nawet tak prosta rozmowa przypominała o pogłębiającej się nieuchronnie przepaści.

Milczenie przerwał Frank.

— Czy zrobiliśmy Slocumowi coś złego?

— **Nie.**

— Więc dlaczego tak bardzo nas nienawidzi?

— My jesteśmy młodszymi kadetami, a on jest w Starszej klasie. On pochodzi z Południa, my jesteśmy Jankesami. Alśresz-

tą, skąd mam wiedzieć, czemu nas nienawidzi? Podejrzewam, że zawsze znajdzie się na tym świecie ktoś, kto będzie miał coś do ciebie.

Frank przygryzł wargi, rozmyślając nad ponurą przyszłością. Nie był tchórzem, o czym Billy zdążył się już przekonać, lecz pesymistą i człowiekiem wrażliwym. Gdyby opanował nieśmiałość, mógłby zostać dobrym oficerem.

— No cóż — - mruknął wreszcie Frank. — Mam wrażenie, że Slocum naprawdę zamierza zedrzyć nam w tych dniach skalpy z głów.

— Też tak sądzę. Jedyne, co możemy zrobić, to posłuchać rady Pięknisia i schodzić Slocumowi z drogi.

Zdawał sobie jednak sprawę, że starcie jest nieuniknione. A niech tam! Jeżeli już do tego dojdzie, stanie u boku kadeta z Arkansas nie bacząc na skutki.

Chciał już uspokoić Franka i zapewnić go, że dadzą sobie radę ze Slocumem, ale w tym momencie odezwał się trębacz. Drzwi kolejnych pokojów otwierały się z hukiem, kadeci spieszenie zbiegali po schodach, na dole ustawiali się w dwuszeregu i maszerowali do kantyny. Frank potknął się na schodach, upadł i rozerwał sobie lewą nogawkę spodni. Kiedy wyszli na słońce, Slocum dostrzegł rozdarty materiał i podał Poranka do raportu.

Billy otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale pohamował się w ostatniej chwili. Slocum uśmiechnął się szyderczo i oświadczył, że i jego poda do raportu za „obraźliwe zachowanie i bezczelny wyraz twarzy”.

Nie ulegało wątpliwości: nadejdzie dzień, kiedy rachunek zostanie wyrównany.

34

Dreńczony bezsennością i myślami o Madeline Orry raz jeszcze wziął do ręki list od George'a.

Litery rozplywały mu się przed oczyma i Orry odsunął kartkę o parę cali. Dopiero teraz data, 16 grudnia, stała się czytelna, podobnie jak reszta listu. O tym, że ma kłopoty ze wzrokiem, wiedział już wczesną jesienią, i fakt ten, podobnie jak wiele innych, przygłębił go.

List był mieszaniną dobrego humoru i cynizmu. George odwiedził Billy'ego w West Point jeszcze w grudniu. W przeciwieństwie do dyrektora Billy radził sobie doskonale. Lee nie cierpiał swojej funkcji, która zmuszała go do utrzymywania kadetów w karności. Jego marzeniem było, aby zachowywali się

odpowiednio z własnej woli, nie zaś ze strachu przed punktami karnymi lub relegowaniem z uczelni. *Niestety* — pisał George — *świat nie jest zamieszkały przez ludzi z kryształu, choć z pewnością byłoby o wiele lepiej, gdyby tak było.*

Lee powitał George'a, dawnego kamrata, bardzo serdecznie, mimo iż podczas wojny w Meksyku spotkali się tylko kilka razy. W rozmowie przyznał, że największym problemem jest pogłębiający się partykularyzm, który może w końcu skłócić korpus kadetów.

Na pocieszenie oświadczył, że Billy zaliczany jest od samego początku do prymusów i z pewnością zda bez kłopotów styczniowe egzaminy. Jest wymarzonym kandydatem do wojsk inżynierskich, zapewnił gościa Lee. Mahan już od dawna miał go na oku.

List kończył się uwagami na temat osoby prezydenta-elekta. Już teraz wielu ludzi z Północy mówiło, że Franklin Pierce jest politykiem o słabym charakterze, ulegającym wpływow. Wśród licznych nazwisk, które wiązano z nowym gabinetem, wymieniano najczęściej senatora Jeffersona Davisa.

Davis z pułku „strzelców z Missisipi” — przypomniał sobie Orry i uśmiechnął się lekko. Pułkownik Davis i jego odziani w czerwone koszule ochotnicy spisali się pod Buena Vista jak prawdziwi bohaterowie. Gdyby to on został teraz ministrem wojny, Akademia zyskałaby w Waszyngtonie prawdziwego przyja...

Głośny trzask na dole poderwał go z miejsca. Zanim dotarł do drzwi sypialni, poczuł ból w zeszywniałych kolanach. Boże, jeszcze trochę, a rozpadnie się na kawałki! Wiek i wilgotna na tych nizinach zima robiły swoje, przyspieszając proces starzenia.

— Orry? Co to za hałas? — usłyszał zza ściany głos matki.

— Właśnie idę sprawdzić. Jestem pewien, że to nic takiego. Wracaj do łóżka.

Starzał się mówić łagodnie, ale strach sprawił, że jego głos zabrzmiał szorstko. Kiedy stanął u szczytu schodów, ujrzał na dole czarne, rozświetlone przez płomyki świec twarze. Trzymając się kurczowo poręczy, pośpieszył na dół. Wysięk spotęgował ból w stawach.

— Przepuście mnie.

Niewolnicy rozstąpili się. Orry, który słyszał za plecami tupot nóg zbiegającego po schodach kuzyna Charlesa, otworzył drzwi biblioteki.

Najpierw dostrzegł na lśniącej podłodze strugę rozlanej whisky. Obok leżały potłuczone okulary Tilleta. Dźwięk, który usłyszał, to hałas przewracanego krzesła jego ojca. Orry rzucił się ku niemu zbyt oszołomiony, aby poczuć smutek. Tillet leżał na boku sztywny, oczy i usta miał otwarte, jakby coś go zdumiało.

Apopleksja — pomyślał Orry.

— Tato, słyszysz mnie?

Sam nie wiedział, dlaczego wyszeptał te słowa. To szok, doszedł potem do przekonania. Kiedy z piętra dobiegł go rozdrażniony głos Clarissy, uświadomił sobie, że zadał pytanie martwemu człowiekowi.

Tilleta pochowano 2 stycznia na małym cmentarzu na terenie plantacji. Z drugiej strony czarnego ogrodzenia ceremonii przyglądali się tłumnie przybyli niewolnicy. Podczas modlitwy, zanim trumnę opuszczono do grobu, zaczęło mżyć. Po drugiej stronie grobu, ignorując niepisany zwyczaj, który wymagał, aby członkowie rodziny zmarłego stali razem, tuż obok Huntoona Orry spostrzegł Ashton.

Clarissa nie płakała, wpatrywała się tępo przed siebie. Nie płakała w ogóle od śmierci męża. Po pogrzebie Orry powiedział coś do niej, ona jednak sprawiała wrażenie, jakby nie słyszała słów syna. Kiedy zapytał, czy czuje się dobrze, odpowiedziała jakimś trudnym do zrozumienia pomrukiem. Jej twarz była nieruchomą maską. W Mont Royal nie przeżyli do tej pory smutniejszego dnia niż ten.

Kiedy Mainowie opuścili cmentarz, nadeszli niewolnicy. Otoczyli grób zwartym kołem i oddali cześć Tilletowi; jedni modlili się, kilku nuciło żałobny hymn, inni tylko pochylili głowy. Cooper szedł u boku brata. Zyczliwy stosunek Murzynów do ich zmarłego właściciela zaskoczył go. Pomyślał, że rasa ludzka, niezależnie od koloru skóry, nigdy nie grzeszyła logicznym czy konsekwentnym zachowaniem.

Judith i Brett szły obok Clarissy. Cooper spojrział na żonę z czułością. W połowie grudnia obdarzyła go córką. Dziewczynka, Marie-Louise, znajdowała się teraz w dworku pod opieką służącej.

Dostrzegł raptem opuszczone ramiona i posępną twarz brata. Postanowił zająć uwagę Orry'ego czymś innym, aby przestał rozmyślać o śmierci ojca.

— Zanim opuściłem Charleston, doszły mnie pewne wieści na temat Davisa.

— Jakże?

— Wiesz już zapewne, że w ubiegłym miesiącu odmówił, kiedy zaproponowano mu przeprowadzenie z Piercem rozmowy w Waszyngtonie?

— Tak.

— Podobno dał się teraz przekonać. Może nawet przybędzie na przemówienie inauguracyjne. Dla Południa miałyby duże znaczenie, gdyby został członkiem gabinetu. To uczciwy człowiek. I często wykazuje sporo zdrowego rozsądku.

Orry wzruszył ramionami.

— Nie sądzę, Cooper, aby jego obecność wiele zmieniła.

— Nie jestem przekonany, czy naprawdę jeden człowiek nic nie znaczy. Jeżeli tak sądzisz, jaki sens miałyby w ogóle dalsze starania?

Orry zignorował tę uwagę.

— Waszyngton dziś to jeden olbrzymi dom wariatów... a najgorszy z nich to ci, których naród amerykański wybrał na swoich reprezentantów w Kongresie. Trudno mi sobie wyobrazić bardziej żalodne ciało ustawodawcze, chyba że nasze władze stanowe.

— Skoro tak bardzo nie podoba ci się sytuacja w Karolinie Południowej, zmień ją. Stań do wyborów i wybierz się sam do Columbii.

Orry stanął jak wryty, obrócił się i spojrzał na brata z niedowierzaniem.

— Twierdzisz, że powinienem zająć się polityką?

— Dlaczego nie? To samo uczynił Wadę Hampton. — Ten zamożny i szanowany plantator z głębi kraju został właśnie wybrany do władz. Cooper tłumaczył dalej: Dysponujesz niezbędnym do tego czasem i majątkiem. A twoje nazwisko gwarantuje ci duże szanse w wyborach. No i nie zraziłeś do siebie nawet połowy tych ludzi, co ja. Ty i Hampton jesteście do siebie podobni. Moglibyście stać się głosem rozsądku i umiaru w tym retorycznym szturmie na stolicę. Takich jak wy nie ma wielu, tym większa byłaby wasza wartość.

Jego słowa przekonały Orry'ego, ale nie na długo.

Wolałbym chyba zostać stręczycielem niż politykiem — mruknął. To zajęcie bardziej szaczone.

Żart nie rozbawił Coopera. : — Czytałeś już coś Edmunda Burke'a? ; — Nie. A dlaczego?

Co do mnie, znam wszystkie jego przemówienia i pisma. Burke był zagorzałym stronnikiem kolonii i człowiekiem o niezwykle zdrowym umyśle. Kiedyś napisał w liście, że do triumfu złych ludzi potrzebne jest tylko jedno: bezczynność ludzi dobrych.

Rozdrażniony aluzją Orry miał już na końcu języka jakąś ostrą odpowiedź, powstrzymał go jednak nagły krzyk Brett.

- To matka zawołał Cooper. Clarissa osuwała się w ramiona Judith, szlochając głośno.

To dobrze — pomyślał Orry wyplacze się, a to przynajmniej złagodzi jej ból.

Ale uczucie ulgi przerodziło się już w godzinę później w strach, kiedy okazało się, że matka zamknęła się w swoim pokoju, nie przestając płakać. Wezwał lekarza, który dał jej na

uspokojenie laudanum, po czym oświadczył zgromadzonej rodzinie:

— Utrata bliskiej osoby jest zawsze trudna do zniesienia, tym bardziej dla kobiety, która była przez cały czas nieodłączną częścią życia swego męża. Ale Clarissa jest silna i już niebawem dojdzie do siebie.

Niestety był w błędzie.

Pierwszą zmianę Orry zaobserwował jeszcze przed upływem tygodnia. Kiedy Clarissa uśmiechała się lub gawędziła, sprawiała wrażenie, jakby nie patrzyła na niego, lecz spoglądała gdzieś w dal. Kiedy służba prosiła ją o jakąś decyzję w sprawie gospodarstwa, obiecywała odpowiedzieć natychmiast po załatwieniu innych spraw, których nie precyzowała, po czym odchodziła i już nie wracała.

Odkryła w sobie nową pasję, która nie była czymś niezwykłym w Karolinie Południowej, zaniedbano ją jednak całkowicie w Mont Royal; zaczęła prowadzić badania i rysować drzewo genealogiczne rodu.

Linia zielona oznaczała Brettów, rodzinę jej matki, czerwona natomiast, ojcowska, kończyła się na jej ojcu, Ashtonie Gault. Dla Mainów przeznaczone były inne kolory, tak że cały rysunek zajął duży arkusz pergaminu. Drzewo genealogiczne przywodziło na myśl wielobarwną, tęczową pajęczynę.

Clarissa rozkładała pergamin na stole przy oknie w swoim pokoju i spędzała nad nim całe godziny; szybko więc przybrudził się i stał się mało czytelny, ona jednak nie przestawała na nim rysować. Zapomniała przy tym o wszystkich tych pracach na plantacji, którymi dawniej zajmowała się tak sumiennie.

Orry nie mówił nic. Zrozumiał, że śmierć Tilieta zagnała matkę w jakąś odległą krainę, jej umysł zaprzętały sprawy mające niewiele wspólnego z plantacją i rodziną. Jeżeli przebywanie w wymyślnym świecie miało ukoić jej ból, tym lepiej. Postanowił przejąć obowiązki, które ona zaniedbywała.

Istniały jednak dziedziny, w których brakowało mu doświadczenia albo w ogóle wiedzy. Plantacja, niczym zegar, który zaczyna się opóźniać bez względu na to, że codziennie ustawia się właściwą godzinę, przestała funkcjonować tak sprawnie, jak niegdyś.

Równo, niech to diabli... równo! Co się z wami dzieje? Był pogodny lutowy poranek. Orry nadzorował przygotowania do marcowych zasiewów. Krzyczał na doświadczonych, przeważnie starszych Murzynów, którzy w odstępach jedenasto-

calowych naciągali równoległe do siebie sznury. Niewolnicy pracowali już w tym momencie na drugim końcu pola. Słyszając krzyki odwrócili się i spojrzeli na swego pana rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma; według nich sznury biegły równo, tak jak powinny.

Nie mniej zdumieni byli kopacze, nieco młodszy od tamtych mężczyźni i kobiety, którzy posuwali się wzdłuż sznurów i gracowali głębę motykami. Głos Orry'ego był tak donośny, że nawet niewolnicy pogłębiający rowy irygacyjne na skraju pola podnieśli głowy. Wszystkie spojrzenia odpowiadały Orry'emu, że nie ma racji, krzycząc na robotników.

Zamknął oczy i przetarł powieki. Większą część nocy spędził na nogach, rozmyślając o matce, a potem układając list do George'a, w którym powiadał, że Mainowie nie przyjadą latem do Newport. Jako powód podał stan zdrowia Clarissy, ale nie napisał prawdy. Ostatnim razem odniósł wrażenie, że niektórzy mieszkańcy tego małego kurortu okazują im jawną wrogość, a tolerowanie tak nieprzyjemnego zachowania Jankesów... cóż, nie tak wyobrażał sobie letni wypoczynek.

— Orry, te sznurki biegną prosto jak strzała!

Głos Brett sprawił, że natychmiast otworzył oczy. Obrócił się i ujrzał ją tuż przy skarpie. Oddychała ciężko, jej policzki płonęły. Widocznie pobiegła za nim, kiedy zaczął łącać niewolników.

Zerknął jeszcze raz przez ramię. Brett miała rację. To zmęczenie albo jakaś ułuda zmysłów była przyczyną jego pomyłki. Niewolnicy podjęli pracę na nowo; wiedzieli już, że wykonali ją dobrze, że to on nie ma racji.

Brett podeszła bliżej, dotknęła jego dłoni.

— Znowu położyłeś się późno spać. — Wzruszył ramionami, ale ona mówiła dalej: — Właśnie zażegnałam w kuchni straszliwą kłótnię. Dilly wytargała Sue za uszy za to, że tamta zapomniała zamówić soli leczniczej. A Sue przysięgała, że mówiła ci, iż mamy jej już mało.

Teraz sobie przypomniał.

— O Boże, tak, rzeczywiście. To ja zapomniałem. W zeszłym tygodniu chciałem już wpisać tę sól na listę zakupów, kiedy zawołano mnie do dziecka Semiramis. Zachorowało na odrę.

— Kryzys już minął. Dziecko niebawem wyzdrowieje.

— To nie moja zaśluga. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co u diabła robić z sześciomiesięcznym niemowlakiem. A skoro już o tym mowa, skąd ty wiedziałaś?

Starła się mówić łagodnie:

— Wezwali mnie od razu po tym, jak poszedłeś. Nie mogłam uczynić dla dziecka nic więcej, jak tylko go opatulić, żeby miało ciepło. Ale Semiramis martwiła się tak bardzo, odchodziła od

zmysłów, wzięłam więc ją za rękę i mówiłam do niej przez jakiś czas. Wreszcie uspokoiła się, a dziecko mogło odpocząć, i tego właśnie potrzebowało najbardziej.

— A ja czulem się jak głupiec. Byłem bezsilny, nie wiedziałem, co trzeba zrobić.

Niepotrzebnie się oskarżasz, Orry. Mama dźwigała na barkach mnóstwo obowiązków, zajmowała się na plantacji tyloma sprawami, że wy, mężczyźni, nie mieliście nawet pojęcia, co to znaczy. — Nie powiedziała więcej, a i ta uwaga, krótka i życzliwa, została okraszona uśmiechem. Znowu dotknęła jego dłoni. Pozwól mi pomagać prowadzić plantację. Dam sobie radę.

Ale przecież ty jesteś jeszcze...

Małą dziewczynką? Och, mówisz zupełnie tak samo jak Ashton!

Ze swego kołczanu strzał wybrała tę najwłaściwszą, zdolną ugodzić go i złamać jego opór. Roześmiał się.

Masz rację, nie miałem nawet pojęcia, ile obowiązków miała mama. Jestem pewien, że nie wiedział też o tym ojciec. Cieszę się, że chcesz mi pomóc. Dziękuję. Możesz ingerować wszędzie tam, gdzie uznasz to za potrzebne. Gdyby ktokolwiek zdziwił się z tego powodu, powiedz, że ja cię upoważniłem. Niech zwróci się do mnie i... Co się stało? Czy powiedziałem coś złego?

Jeśli niewolnicy będą musieli uzgadniać każde ważniejsze polecenie z tobą, po co ja miałabym się tym zajmować? W takim razie rezygnuję. Muszę mieć takie same prawa jak ty i wszyscy muszą być o tym powiadomieni.

W porządku. Wygrałaś. — Jego podziw dla niej mieszał się z lękiem. Jesteś wspaniała. Ale w tym roku kończysz dopiero piętnaście...

Wiek nie ma żadnego znaczenia. Niektóre dziewczęta są kobietami w wieku dwunastu lat. To znaczy, potrafią wszystko, nie tylko, jak być zuchwałą i zalotną. Aluzja do Ashton nie uszła uwagi Orry'ego. Ale są też takie, które nigdy się tego nie nauczą. Co do mnie, wolałabym umrzeć, niż być jedną z nich. Uśmiechnął się z czułością.

Nie ma obawy, na pewno nie będziesz taka jak one. Czuję zmęczenie, ale jego nastrój poprawił się znacznie. Cóż, wydaje mi się, że powinniśmy postarać się o tę sól.

— Cuffey wziął już wóz i pojechał do Charleston. Sama napisałam mu przepustkę.

Roześmiał się ponownie i objął siostrę ramieniem.

— Mam wrażenie, że na naszej plantacji nastaną teraz lepsze dni, o wiele lepsze niż dotychczas.

— Jestem tego pewna — odparła.

Ashton kręciła się przed kominkiem w sypialni tam i z powrotem, podczas gdy Brett siedziała przy biurku. Oblodzone gałęzie drzew dzwoniły o szyby. Nad rzeką hulał wiatr.

Z pokoju gościnnego dobiegła seria kichnięć. Ashton skrzywiła się pogardliwie. Huntoon przywiózł ją do domu z Charleston tuż przed burzą, po czym natychmiast położył się do łóżka z potworną gripą.

— Mam już dosyć tego wstępnego kichania — zawołała.

Brett podniosła wzrok znad księgi bilansowej plantacji zaskoczona ostrym tonem siostry. Jak to możliwe, aby złościła się tak bardzo z powodu choroby?

Ale Ashton irytowały również inne sprawy, nie tylko kichanie Huntoona. Brakowało jej światła i wesołego zgiełku Charleston. Huntoon asystował jej na najbardziej prestiżowej w tym sezonie imprezie, wielkim balu, zorganizowanym przez Towarzystwo Świętej Cecylii. Teraz, kiedy była znowu nad Ashley, czuła się jak w ciasnej klatce.

Tymczasem jej siostra sprawiała wrażenie szczęśliwej z faktu, że spędza czas nad listą zakupów i księgami rachunkowymi. Od kilku tygodni Brett zaczęła zachowywać się jak pani tej plantacji. Co gorsza, Murzyni traktowali ją teraz tak, jakby była nią naprawdę.

Jak tylko skończę, zamieszam ten cytrynowy grog mamy — odezwała się Brett. — To może jej trochę pomóc. Jak widzę, zabawiasz się w doktora?

Brett ponownie spojrzała na siostrę, ale tym razem z o wiele większą powagą.

— - Niepotrzebnie silisz się na złośliwość. Robię po prostu, co potrafię.

Wygląda na to, że chwytasz się każdej okazji. Słyszałam, że byłaś dziś znowu w osiedlu czarnuchów.

— Hattie wyskoczył straszny czyrak. Przecięłam go i opatrzyłam. I co z tego?

— Naprawdę nie rozumiem, jak możesz tracić czas na takie bzdury!

Brett gwałtownie zamknęła księgę. Wstała, z hałasem odsuwając krzesło i poprawiła spódnicę.

Najwyższy czas, aby ktoś ci przypomniał, że te bzdury, jak je nazywasz, pozwalają prosperować naszej plantacji. Dzięki temu mogłaś sobie pozwolić na brokat, z którego uszyto ci suknię na ostatni bal.

Szyderczy śmiech Ashton miał stanowić obronę. Postanowiła osiągnąć swe cele przez manipulowanie innymi, udając zarazem, że wiedzie życie przeciętnej kobiety. Brett podkreślała swą niezależność. Ashton zazdrościła jej tego, a jednocześnie nienawidziła siostry coraz bardziej.

Wzruszyła ramionami i wykonała wdzięczny piruet, kierując się ku drzwiom. Bardzo chciała ukryć swe uczucia

— Uspokój się. Skoro chcesz się tu zagrzebać, proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu. Ale pamiętaj, ci, którzy chcą dojść do czegoś w życiu, nie marnują czasu na problemy czarnuchów i białej biedoty. Raczej kręcą się wokół ludzi ważnych, znaczących.

— Wiem o tym, ale ja nie zamierzam, jak to określasz, dojść do czegoś w życiu. Po prostu robię, co mogę, aby pomóc Orry'emu.

Zarozumiała, mała dziwka pomyślała Ashton. Zapragnęła nagle rzucić się na siostrę i wydrapać jej oczy, zranić ją, sprawić, aby rozplakała się i zaczęła błagać o litość. Zamiast tego uśmiechnęła się i powiedziała wesoło:

No cóż, zajmuj się tym, co uważasz za słuszne, a ja zajmę się Jamesem. Ale zastanawia mnie jedno: ta zabawa w doktora i buchaltera zabiera ci tyle czasu... a kiedy zamierzasz odpisać swojemu kadetowi? Mógłby jeszcze zapomnieć o tobie.

O to się nie martw, dla Billy'ego mam zawsze czas. Ta odpowiedź i spokój, który zdołała zachować Brett, wzburzyły w Ashton krew. Już miała wybuchnąć gniewem, kiedy kolejne potężne kichnięcie Huntoona odwróciło jej uwagę od siostry. Wybiegła do holu i omal nie wpadła na kuzyna Charlesa, który właśnie schodził po schodach. Cofnęła się i w tym momencie kichnęła.

Hej, Ashton, gdzieś się tak zaziębiła? Charles uśmiechnął się i wskazał kciukiem pokój gościnny. Zaraziłaś się od niego? A może uraczył cię jeszcze czymś, kiedy byliście w Charleston?

Idź do diabła, ty ze swoją brudną wyobraźnią!

Co się stało? Czyżbyś stała się zbyt wytworna, aby pozartować?

W odpowiedzi zatrzasnęła za sobą drzwi. Po chwili Huntoon wpatrywał się w Ashton, wysłuchując steku najgorszych wyzwisk, jakie kiedykolwiek poznał w życiu.

Na wiosnę, po objęciu urzędu, prezydent Pierce wraz z członkami swego gabinetu udał się w podróż na północ. W kilku większych miastach zorganizowano wystawne bankiety, a na jeden z nich, który odbył się w Filadelfii, przybyli również George i Stanley.

Pierce był przystojnym, czarującym człowiekiem, a Stanley tak bardzo chciał przebywać w jego towarzystwie, że niemal płaszczył się przed nim. George'a natomiast interesował bardziej nowo mianowany minister wojny, Jefferson Davis.

Davis miał postawę prawdziwego żołnierza. Przekroczył już czterdziestkę, zachował jednak smukłą sylwetkę, mimo iż jego jasne włosy poczęła już przyprószać siwizna. Miał wystające kości policzkowe i głęboko osadzone niebieskoszare oczy. George słyszał, że Davis nie widzi na jedno oko, nie wiedział jednak, na które.

Podczas przyjęcia, które poprzedziło obiad, George poznał poglądy ministra. Davis poruszył temat będący prawdopodobnie głównym powodem, dla którego towarzyszył w tej podróży prezydentowi. Stwierdził, że należy poprzeć ideę zbudowania transkontynentalnej linii kolejowej.

— Jeżeli o mnie chodzi — oświadczył skupionym wokół niego gościom, wśród których znajdował się George — jestem zdania, że nasza konstytucja zabrania rządowi federalnemu ingerować w wewnętrzne sprawy poszczególnych stanów. Nasuwa się więc logiczne pytanie...

— W jaki sposób można by umotywić pomoc rządu dla kolei?

Davis uśmiechnął się uprzejmie do mężczyzny, który mu przerwał.

— Nie potrafiłbym sformułować lepiej tego pytania, sir.

Wszyscy roześmieli się, on natomiast kontynuował swoje wystąpienie.

— Umotywowałbym to potrzebą zagwarantowania bezpieczeństwa narodowego. Bez odpowiedniego połączenia z resztą kraju terytoria położone nad Pacyfikiem mogą paść ofiarą obcych agresorów. Co więcej, linia transkontynentalna, przebiegając przez Południe, co byłoby najlepszym rozwiązaniem — w tym miejscu większość zebranych wstrzymała oddech, ale minister zdawał się nie zwracać na to uwagi — pomoże nam strzec naszych granic, gdyż będziemy mogli przetransportować bez trudu całe oddziały na zagrożone tereny. W chwili obecnej armia liczy zaledwie około dziesięciu tysięcy oficerów i żołnierzy. Na obszarze rozciągającym się stąd do Kalifornii przebywa w przybliżeniu czterysta tysięcy Indian, z czego czterdzieści tysięcy musimy traktować jak wrogów. Ta groźba wymaga odpowiedniej reakcji z naszej strony.

— Na przykład jakiej, panie ministrze? zapytał George.

— Na przykład zwiększenia liczebności armii. To po pierwsze. Przynajmniej o dwa nowe regimenty. Regimenty konne, które są zdolne pokonywać w krótkim czasie duże odległości. Indianie nie czują respektu przed piechotą. Mówią o tych oddziałach, że są nieruchawe jak klody, co nie przysparza nam chwały.

George słyszał już, że Davis był raczej żołnierzem, nie politykiem. Teraz zaczął w to wierzyć. Ten człowiek zrobił na nim wrażenie.

—~ Struktura naszej armii jest przestarzała, ona sama nie funkcjonuje dobrze — kontynuował minister. — Weźmy na przykład taktykę. Zamierzam wysłać do Francji jednego z oficerów, który zapozna się z tamtejszą taktyką. Jeśli na Krymie dojdzie do wojny, co jest wielce prawdopodobne, będziemy mieli rzadką sposobność zaobserwowania działań armii europejskich na polu walki. W przyszłości mam zamiar wprowadzić pewne innowacje w naszej Akademii Wojskowej.

To mnie bardzo interesuje, sir — odezwał się George. — Mój brat jest tam obecnie młodszym kadetem, a ja ukończyłem uczelnię w czterdziestym szóstym.

— Tak, panie Hazard, wiem o tym. Według mnie program nauczania w West Point należałoby rozszerzyć. I nie było to nic nowego; już od kilku lat rozpatrywano pomysł pięcioletniego systemu nauczania. — Taktyce oddziałów kawalerii trzeba poświęcić więcej uwagi niż dotychczas. Chciałbym zbudować nową ujeżdżalnię, powiększyć stajnie...

Przerwał mu jeden ze słuchaczy:

Podobno zamierza pan utworzyć na Południu drugą uczelnię wojskową. Czy to prawda, panie ministrze?

Davis obrócił się do niego gwałtownie i po raz pierwszy podniósł głos.

Sir, są to plotki, w dodatku fałszywe i szkodliwe. O utworzeniu drugiej akademii wojskowej myślą może inni, ale z pewnością nie ja. Mogłoby to tylko ożywić nastroje separatystyczne, a to właśnie jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje obecnie nasz kraj. Kiedy John Calhoun wypowiadał się przeciw kompromisowi Claya, stwierdził, że więzy łączące poszczególne stany pękają jeden po drugim. Był przekonany, że rozpad Unii jest nieunikniony. Ja nie podzielałem jego zdania. Źródło mej wiary znajduje się między innymi na Hudson Highlands. Jeżeli istnieje jakaś instytucja, która reprezentuje narodowy punkt widzenia, jest to West Point. A ja zamierzam utrzymać ten stan rzeczy.

Mimo podejrzeń, które instynktownie żywił wobec wszystkich polityków z głębokiego Południa, George dał się porwać fali entuzjazmu i przyłączył się do ogólnego aplauzu. Uświadomił sobie jednak, że postawę Davisa cechuje raczej idealizm niż realizm. Billy napisał mu niedawno w liście, że w West Point istnieje wyraźny podział na Jankesów i Południowców, a antagonizmy pomiędzy nimi potęgują się. W czerwcu miał zostać przyjęty Charles Main. Czy te napięcia zdołają zniszczyć jego przyjaźń z Billym? George miał nadzieję, że nie.

Kiedy oklaski ucichły, powiedział:

— To dobrze o panu świadczy, panie ministrze. Zbyt wielu ekstremistów znajduje się obecnie po obu stronach. Potrzeba nam więcej takich głosów, jak pański.

Podniósł kieliszek.

— Za Akademię.

W odpowiedzi Davis uniósł swój:

— I za Unię.

35

Rosja gotowała się do wojny z Turcją i jej sprzymierzeńcami, gdy Charles wyruszał na północ. Kiedy przyszedł kadet przybył do West Point, miał na sobie szerokoskrzydły kapelusz farmerski i stary płaszcz w kolorze rdzy. Włosy zwisały mu aż na ramiona, a za cholewą buta tkwił olbrzymi nóż „bowie”.

Billy i jego przyjaciel oraz kolega z klasy, wesołek z Wirginii, Fitzhugh Lee, stali przy oknie na pierwszym piętrze koszar, spoglądając na Charlesa, który nadchodził ulicą. Czekali na niego przez całe popołudnie. Prawdopodobnie złożył już dokumenty i wpisał się do rejestru adiutanta, przy czym majątek Orry'ego określił z pewnością na więcej niż „przeciętny”. U skarbnika pozostawił w depozycie gotówkę, którą miał przy sobie, a teraz szukał swego pokoju.

Wielki Boże! mruknął ze zdumieniem Fitz Lee. — Ileż on ma tych włosów.

Billy pokiwał głową.

Wiedziałem, że ma ich mnóstwo, ale nie przypuszczałem, że aż tyle. — Jego oczy zabłysły. Był przyjacielem Charlesa, ale mimo to należało przygotować mu odpowiednie przyjęcie.

— Jest kudłaty jak bizon. — W tej samej chwili, kiedy Fitz wymówił te słowa, Billy pojął, że Charles właśnie otrzymał przydomek, nawet o tym nie wiedząc. On sam nie wymyślił jeszcze dla siebie nic.

Charles poczuł widocznie czyjś wzrok, gdyż podniósł oczy i zaczął się rozglądać. Billy cofnął się szybko w głąb pokoju, odciągając od okna Fitz.

— Nie możemy dopuścić, aby ujrzał nas przed czasem. Czy pokój jest przygotowany?

— Chyba tak — odparł Fitz, nie kryjąc uciechy.

Młody Wirgińczyk był bratankiem dyrektora, ale Billy wiedział, że fakt ten nie uchroniłby go przed ewentualnym relegowaniem. Fitz często łamał przepisy i czynił to z upodobaniem.

— „Piękniś” poszedł przed chwilą na górę, aby ułożyć przybory i narzucić na siebie jeden z fartuchów, które uszyliśmy. Ja wezmę swój. A ty przytrzymasz tu naszą ofiarę, dopóki nie wrócę.

— W porządku, ale pośpiesz się. Do apelu nie zostało już wiele czasu.

Billy wychylił się przez okno i pomachał ręką:

— Hej, Charles, halo!

Charles przystanął, zamrugał oczyma, a potem odwzajemnił gest z entuzjazmem.

— Do diabła, to ty! Jak leci?

Cieszę się, że cię widzę. Wejdź na górę! Znowu odszedł od okna i spojrzął ze zdumieniem na Fitz'a, który tkwił nadal w drzwiach.

— Co się stało?

— Zapomniałem ci powiedzieć, że Slocum wprosił się na to przyjęcie. Znasz przecież Piękniśnią... jest tak cholernie prostolinijny... nie potrafi niczego ukryć przed innymi.

Billy zasepił się.

— No, ale nie radziłbym Slocumowi psuć nam zabawy. Powiedz mu, że ma trzymać język za zębami.

— Mam mu to powiedzieć tak... prosto z mostu?

— Tak. Nie jestem już jego chłopcem do bicia.

Masz rację — rozpromienił się Fitz i wybiegł z pokoju. W chwilę później na piętrze zjawił się Charles w rozwianym płaszczu. I on, i Billy wydali okrzyki radości i zwarli się w uścisku niczym dwaj bracia po długiej rozłące. Charles rzucił na łóżko kapelusz i walizę, odgarnął z czoła długie włosy.

— Wielki Boże, Billy, ale ci do twarzy w tym mundurze! A ja zapomniałem, że tu jest tak cholernie gorąco!

— Będzie ci jeszcze goręcej, zanim skończy się lato... nawet jeśli temperatura spadnie. Masz być młodszym kadetem, zapomniałeś już o tym? Co do mnie, wydaje mi się, że jeszcze w czasie obozu zostanę kapralem.

Charles zmarszczył brwi.

— Czy to znaczy, że przez ten rok nie będziemy mogli być przyjaciółmi?

— Oczywiście, że możemy. Po prostu nie wolno nam tego okazywać, bo inaczej...

— Kadet Main?

Krzyk, który dobiegł ich z korytarza, był tak ostry, że Charles wzdrygnął się. BSly musiał chwycić przyjaciela za rękę, aby powstrzymać go przed dobytciem noża. Charles spojrzął złym wzrokiem na nieznanego, który stanął w progu. Był to Fitz Lee odziany w długi fartuch z szarego, szorstkiego sukna.

— Kim pan jest, do diabła? — zapytał Charles.

Fitz odpowiedział takim samym agresywnym tonem:

Niech pan nie podnosi na mnie głosu, sir! Jestem pan Fitz, jeden z wojskowych balwierzy. Do obowiązków moich i pana Jeba należy strzyżenie włosów nowo przybyłym kadetom.

- Co takiego?

- Muszę przystrzyć panu włosy, sir. To naprawdę konieczne. Gdyby zamierzał mi pan przeszkodzić w wykonaniu tego obowiązku, będę zmuszony zameldować o tym dyrektorowi. Obronnym gestem Charles poderwał ręce do góry.

— Nie, niech pan zaczeka! Billy, czy oni postępują tak z wszystkimi, którzy tu przybywają?

— Jasne — odparł Billy, nie mrugnawszy nawet powieką. — Pan Fitz i pan Jeb ostrzygli mnie, gdy tu przyjechałem, zanim jeszcze upłynęła godzina.

— Niech mnie diabli! Sądząc po wyglądzie jest jeszcze za młody na balwierza.

— Och, gdy zajmowali się mną, byli jeszcze terminatorami.

— No cóż, niech będzie.

Charles nie pozbył się jeszcze podejrzeń, mimo to jednak udał się za Fitzem na górę do pomieszczenia, które specjalnie na tę¹ okazję wysprzątano i odpowiednio przygotowano. Billy zamykał pochod, dusząc się ze śmiechu.

W pokoju było gorąco jak w piekle. Pomieszczenie nie miało okien, oświetlały go dwie lampy naftowe, potęgując upał. Na prostym stole leżały: lusterko w srebrnej ramie, grzebień, szczotki, nożyczki i brzytwa. Tuż obok rozklekotanego fotela stał Piękniś Stuart. Miał na sobie fartuch i emanował powagą.

Proszę usiąść, sir. Prędeż, prędeż! Ten oto kadet czeka na swoją kolejkę. Ostrzygę go, jak tylko skończę z panem.

Wskazał na Caleba Slocuma, który stał wsparty o ścianę. Billy i kadet z Arkansas skinęli sobie głowami, ale żaden z nich nie uśmiechnął się. Natychmiast po przywdzianiu mundurów wojskowych przez studentów pierwszych klas Slocum miał wyjechać do domu, korzystając z przepustki.

Wcale nie za wcześnie — pomyślał Billy.

Charles usiadł na fotelu, a Stuart zbliżył się doń dostojnym krokiem i pstryknął palcami.

— Panie Fitz? Poproszę o serwetę.

Fitz Lee podał mu brudny, poszarpany kawałek materiału, który Stuart zawiązał swemu klientowi na szyi.

— Jakie to brudne — poskarżył się Charles. — Wygląda, jakby była na tym krew setki innych rekrutów! Cóż to znowu za...

— Cicho, sir, nie potrafię się skoncentrować, kiedy pan ciągle tylko gada i gada — przerwał mu Stuart, obrzucając go przy, tym surowym spojrzeniem. Kilkakrotnie szcęknął nozycami, po czym zaatakował włosy Charlesa nad lewym uchem. Billy nasłuchiwał odgłosów z dołu, usiłując ocenić, ile im jeszcze zostało czasu. O czwartej musieli skończyć.

— Poproszę o lustro, panie Fitz.

Pomocnik balwierza podskoczył usłużnie, obracając lustrem na wszystkie strony, stosownie do pompatycznych gestów Stuarta.

Czyżby Charles nie zorientował się jeszcze, że to wszystko blaga? — pomyślał Billy.

Nie było w tym jednak nic dziwnego; na ten chwyt dawali się nabrać wszyscy nowicjusze. Strach i nowe otoczenie sprawiały, że żart powtarzano rok w rok.

Stuart stał teraz z przechyloną na bok głową, podpierając brodę prawą ręką, a prawy łokieć lewą, i spoglądał na efekt swoich twórczych wysiłków. Cała lewa strona głowy Charlesa była ostrzyżona niemal do skóry, podczas gdy prawa oddzielona od tamtej idealnie prostym przedziałkiem była nadal nie tknięta. Tu włosy były tak długie i gęste, jak przedtem. Billy nie odrywał wzroku od ściany, do oczu cisnęły mu się łzy.

— No, połowa gotowa — oświadczył Stuart. Teraz druga...

Z dołu dobiegł ich dźwięk trąbki. Trudno by było wyliczyć czas bardziej precyzyjnie. Pan Jeb upuścił nożyce, a pan Fitz cisnął lustro na stół. Billy i Slocum rzucili się do wyjścia.

— Zaczekajcie! — krzyknął Charles. Co się stało?

Stuart ściągnął już z siebie fartuch.

— Mamy zbiórkę. Proszę z nami, sir.

— Strzyżenie dokończymy następnym razem zawołał z dolnego podestu schodów Fitz.

— Następnym razem? ryknął Charles, biegnąc za swymi dręczycielami. Już z progu rzucił Billy'emu druzgocące spojrzenie, spojrzenie człowieka, który dał się podejść, ale Billy nie widział go przez łzy. — Co znaczy: następnym razem? Jak, u diabła, mam teraz wytłumaczyć mój wygląd?

— Nie mam pojęcia, sir — odkrzyknął zadowolony z siebie Fitz. — Będzie pan jednak musiał się wytłumaczyć, to pewne. Oficerowie bez wątplenia zainteresują się pańską fryzurą.

— Co za cholerny kawał! — ryknął znowu Charles. Wyciągnął zza cholewy nóż i cisnął go przed siebie.

Slocum pozostał w tyle za kolegami. Nóż świsnął mu koło ucha i wbił się w poręcz schodów. Ostrze brzęczało jeszcze przez chwilę, gdy Charles obrzucał potokiem wyzwisk studentów z West Point i ich perfidię.

Kiedy ktoś pytał potem Charlesa o jego fryzurę, wyjaśniał, że odpowiada za nią wyłącznie on sam. Trzymał się uparcie tej wersji mimo gróźb ze strony oficerów i niektórych starszych kadetów. Ta postawa zyskała mu szacunek większości korpusu kadetów, łącznie z Pięknisiem Stuartem.

Niebawem Charles zaczął ubóstwiać Stuarta; mimo iż obaj

mieli niewiele cech wspólnych, owa obopólna sympatia okazała się trwała. Charles był mężczyzną niezwykle atrakcyjnym, podczas gdy Stuart stanowił jego przeciwieństwo; krepy tułów kontrastował z chudymi, długimi rękami. Ale owe braki nadrabiał z nawiązką werwą i urokiem osobistym. Jego błękitne oczy niemal zawsze iskrzyły się wesołością. Cieszył się też, o dziwo, względami młodych kobiet, przebywających w hotelu.

Ale Charles podziwiał go nie tylko z powodu uroku osobistego. W jego oczach Wirgińczyk reprezentował wszystkie zalety Południowca: odwagę, poczucie honoru, umiejętność korzystania z życia, zdolność uśmiechania się w obliczu kłopotów. Stuart był niezwykle lojalny wobec przyjaciół. Wkrótce po przyjeździe Charlesa do West Point Fitz Lee upił się, pech chciał, że schwytano go w tym stanie, za co groził sąd wojskowy. Stuart zmobilizował kolegów Fitz'a, którzy poręczyli za niego, obiecując dyrektorowi, że nikt z tej klasy nigdy nie popełni podobnego wykroczenia.

W myśl tradycji Akademii taka rękojmia powodowała cofnięcie oskarżenia, i tak właśnie pułkownik Lee postąpił w sprawie swego bratanka. Następnego dnia chodził uśmiechnięty; niewątpliwie cieszył się, iż Fitz uniknął kary, ale w jeszcze lepszy humor wprawił go z pewnością fakt, że nie na darmo nazwał studentów „rzeszą braci”.

Charles nie miał żadnych kłopotów z doskonaleniem swojej sprawności, co do nauki jednak sprawy wyglądały nieco gorzej. Czteroletni kurs gramatyki języka ojczystego i geografii był stosunkowo prosty, choć nudny, ale już zajęcia z algebry mimo wielu pracowitych chwil, spędzonych w Mont Royal z Herr Naglem, stanowiły absolutną tajemnicę. Charles z miejsca zasilił szeregi „nieśmiertelnych” i pozostawał w tym gronie przez dłuższy czas mimo egzaminów styczniowych, które zdał, aczkolwiek z olbrzymim trudem. Jego sytuacja nie uległa poprawie również na drugim semestrze, kiedy zaczął uczyć się francuskiego.

Po co, u diabła, żołnierzowi język francuski? zapytał Billy'ego, korzystając pewnego razu z rzadkiej okazji porozmawiania z przyjacielem bez obawy, że postronny świadek uznałby to za przykład spoufalania się ze starszym rangą.

Było sobotnie, lutowe popołudnie, oni zaś spacerowali po wzgórzach w pobliżu Fortu Putnam. Kiedy spoglądali na północ, mogli dostrzec lodowe kry, dryfujące w szarych nurtach rzeki. Powietrze przesycone było suchym zapachem zimy. Tu i ówdzie z kominów położonych w dole zabudowań z cegły unosił się dym. Billy przełamał gałąź i odrzucił daleko obie połowy.

— To dlatego, panie Bizonie, że cała masa ważnych ksiąg

naukowych i wojskowych jest napisana po francusku. Przyjdzie dzień, kiedy będziesz musiał przetłumaczyć jedną z nich.

— Co to, to nie. Zamierzam wstąpić do dragonów i uganiać się za Indianami. Spojrzał z ukosa na przyjaciela. — Czy to aby prawdziwa przyczyna?

— A czemu miałbym cię oszukiwać?

— Ponieważ ja jestem młodszym kadetem, a ty potrafisz mleć ozorem jak prawdziwy gaduła. Udowodniłeś to już pierwszego dnia, kiedy wysłałeś mnie na strzyżenie.

— No, no, powinienes sprawdzić w słowniku znaczenie słów, których używasz. Mleć ozorem jak gaduła to tyle, co kłamać, sypać wyświechtanymi frazesami.

Nie musisz mnie pouczać, wiem swoje. Raptem oczy Charlesa zabłyśły, powtórzył z widoczną uciechą: Gaduła. Gaduła... ależ tak. — Olśniony pomysłem wyciągnął rękę niczym oskarżyciel przed ławą przysięgłych. Albo nie... to można skrócić. Gad. Właśnie: Gad. Tak nazywasz się od dziś.

Billy skrzywił się i usiłował protestować, ale w głębi duszy był zadowolony. Martwił się od dawna brakiem przydomka, a fakt, że w końcu wymyślił go jego najlepszy przyjaciel, ucieszył chłopaka.

Pod koniec maja 1854 roku Senat przyjął ustawę w sprawie Kansas i Nebraski. Senator Douglas przedłożył jej projekt w styczniu, raz jeszcze podsycając z trudem tłumione kontrowersje wokół sprawy niewolnictwa.

Ustawa dotyczyła dwóch nowych terytoriów. Douglas stwierdził, że jest ona wyrazem suwerenności narodu, przeciwnicy niewolnictwa natomiast, że to oszustwo i zdrada dawnego kompromisu Missouri, zakazującego wprowadzania niewolnictwa na terenach znajdujących się na północ od 36 i 30' szerokości geograficznej. Wieści głosiły, że minister Davis nieustannie nalegał, by prezydent Pierce podpisał tę ustawę. Przeciwnicy niewolnictwa twierdzili, że do walki z ciemnymi machinacjami w Waszyngtonie konieczne jest utworzenie nowej partii politycznej.

W liście do Charlesa Orry pisał, że sądząc po głosach z obu stron kompromis Claya sprzed czterech lat kończy już swój żywot. Charles, który nie znał się na polityce i nie interesował się nią, poczuł się raptem zagrożony. Uczniowie starszych klas często podawali go do raportu za nieodpowiednie spojrzenie lub ostrą, chociaż wypowiedzianą szeptem odpowiedź, nazywając jego zachowanie „butą Południowca”. Południowcy pokroju Slocuma odwzajemniali się okrutnymi szykanami w stosunku do Jankesów. Lee w dalszym ciągu apelował do kadetów, aby

tworzyli rzeszę braci, ale Charles zdawał sobie sprawę, że cały korpus dzieli się z wolna na dwa wrogie obozy.

W obrębie każdego z nich istniały oczywiście gradacje. Slocum reprezentował jeden odłam ekstremistów z Południa, Stuart drugi; przynajmniej wtedy, gdy zachowywał się przykładnie i nie dawał się ponieść emocjom. Stuart twierdził, że próbuje wzorować się na dyrektorze, za bardzo jednak ceni sobie flirtowanie w alejkach, aby być idealnym kadetem. Charles wziął sobie za przykład dwie osoby: Stuarta i Billy'ego, ponieważ Billy trzymał się z dala od wszelkich dyskusji politycznych, koncentrując się na nauce i zdobywając dobre oceny, uzyskiwane — jak się wydawało — bez większego wysiłku.

Jednak, może z powodu gwałtowności swej natury lub biegu wypadków, czasem i on z trudem panował nad sobą. Wiosną, kiedy stał któregoś ranka na apelu, zwrócił na siebie uwagę znienawidzonego przez wielu kadetów sierżanta z Vermont. Jankes pod pozorem przeprowadzania inspekcji oderwał mu od munduru trzy guziki.

— Nic dziwnego, sir, że jeszcze nigdy nie wyglądał pan porządnie — warknął Jankes. — Nie ma tu czarnuchów, którzy robiliby wszystko za pana.

Charles nie zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Sam czyszczę sobie guziki. I sam staję do walki.

Kadet z Vermont wysunął podbródek do przodu. Promienie wschodzącego słońca padły na jego twarz, w oczach sierżanta pojawiły się groźne błyski.

— Co pan powiedział, sir?

— Powiedziałem, że... — I nagle Charles przypomniał sobie, ile ma punktów karnych. Było ich już 190, a do końca semestru, po którym nie byłby już młodszym kadetem, pozostały zaledwie *dwa tygodnie*. — Nie, *nic*, sir.

Sierżant odszedł zadowolony z siebie. Zresztą może i on odetchnął z ulgą. Charles cieszył się opinią eksperta, jeśli chodzi o posługiwanie się nożem i pięściami.

Zgięcie karku przed Jankesem i przełknięcie jego urągliwych uwag kosztowało go wiele samozaparcia, uczynił to jednak, gdyż nie chciał zawieść Orry'ego, który oczekiwał dobrych wyników i ukończenia Akademii, a tego typu zobowiązania znaczyły dla Charlesa więcej, niż bardziej lub mniej rzeczywiste zniewagi uwłaczające jego czci.

Przynajmniej w tej chwili.

To dziwne, ale do poważnych rozmyślań o niewolnictwie skłonił Charlesa jego ziomek. Winowajcą był Caleb Slocum, który zdążył już awansować na sierżanta.

Kadet z Arkansas miał znakomite oceny, z wielu przedmiotów był wśród najlepszych. Billy twierdził wprawdzie, że Slocum osiągnął tak dobre wyniki dzięki kradzieży pytań egzaminacyjnych oraz innym oszustwom, ale tego typu kombinacje nie spotykały się z wyraźnym potępieniem ze strony oficerów i wykładowców, nigdy też nie były przyczyną takich konsekwencji, jak inne przejawy łamania dyscypliny, na przykład picie alkoholu.

Był to kolejny powód, dla którego Billy gardził Slocumem. Któregoś dnia zwierzył się Charlesowi, że czeka tylko na okazję, aby przetrzepać tamtemu skórę. Slocum był mistrzem w znęcaniu się nad rekrutami. Często przesiadywał u Benny'ego Havena — właściciel tawerny żył jeszcze, był jakby nieśmiertelny — i tam wypytywał o rozmaite szykany, stosowane w przeszłości, lecz zarzucone potem jako zbyt złośliwe.

Nie były one jednak zbyt złośliwe w oczach Slocuma. Ofiary wyszukiwał sobie nadal wśród rekrutów z Północy, a Charles, widząc nieograniczoną władzę, którą miał nad nimi Slocum, uświadomił sobie pewnego razu, że taki sam układ istnieje w jego domu pomiędzy białym panem a czarnymi niewolnikami. Owe stosunki nie były na Południu niczym nowym, to prawda, ale Charles dotąd nie zdawał sobie sprawy, do jak okrutnych i nieludzkich nadużyć mogą doprowadzić.

Dręczyła go świadomość, że może jest niełojalny wobec Południa, nie potrafił jednak stłumić powstałych w swej duszy wątpliwości. Każdego dnia jego poglądy na temat niewolnictwa zmieniały się nieco pod wpływem czynionych obserwacji. Podobnie jak cały naród Akademii przypominała gar z wrzącą wodą. Kadeci organizowali dyskusje, najczęściej na tematy niewinne, na przykład: czy kobiety powinny pobierać naukę w pierwszej klasie? Roztrząsali to, sprzecząc się, nieraz nawet wiedli ostre spory, zwłaszcza gdy przechodzili do spraw bardziej drażliwych. Na przykład: czy poszczególne stany mają prawo do wystąpienia z Unii lub czy Kongres ma obowiązek ochraniania własności osadników na nowych terytoriach?

W skrytości ducha Charles rozmyślał coraz częściej nad różnymi aspektami niewolnictwa: racją istnienia tego systemu, długotrwałym okresem jego funkcjonowania. Nie zdobył się na to, aby przyznać, że jest on niewłaściwy — był przecież Południowcem - doszedł jednak do wniosku, że coś w tym musi być, skoro krytykuje go tylu ludzi. Biorąc pod uwagę rosnące animozje, niewolnictwo stanowiło dla Południa raczej uciążliwe brzemie. Bywały chwile, kiedy Charles skłaniał się ku zdaniu owego polityka z Illinois, wygłaszającego swe mowy pod drzewami, Lincoln, który twierdził, że jedynym rozwiązaniem problemu byłaby stopniowa emancypacja.

Wątpliwości nie znikaly, mimo to jednak Charles postanowil nie wdawac sie w zadne bójki, które mogli wywołac rozgorączkowany przedstawiciele jednej czy drugiej strony. Pierwszego czerwca w nocy musial jednak postapic wbrew swemu postanowieniu.

O wpol do dziewiatej Charles wzial mydlo i rącznik, po czym zszedl na dol, do lazni. Ze wzgledu na pozna porę mial nadzieje, ze bedzie wolna. Kadeci mieli obowiazek kapać sie raz w tygodniu, nie mogli jednak czynic tego częsciej bez specjalnej zgody pulkownika Lee.

Lampy naftowe rzucaly mdly blask na korytarz w suterenie; powiadano, ze minister Davis zamierza zainstalowac tu niebawem oswietlenie gazowe. Charles przemknal szybko obok sklepiku z napojami; nie chcial, aby ktos go zauwazyl. Dlugi marsz znuzil go, bolaly go nogi. Marzyl tylko o jednym: wyciagnac sie wygodnie w wannie i zdrzemnac w cieplej wodzie na dziesiec albo nawet pietnascie minut, dopoki nie uslyszy sygnalu gaszenia swiateł.

Pogwizdywal cicho, zblizajac sie do podwojnych drzwi lazni. Raptem przystanal. Przez chwile nasluchiwal, po czym zmarszczyl brwi; zza drzwi dobiegaly czyjes glosy. Dwa przytlumione, trzeci nieco bardziej donošny... Błagalny.

Jednym ruchem otworzyl drzwi. Caleb Slocum i jego chudy kolega z Luizjany odwrócili sie ku niemu zaskoczeni. Slocum trzymal w ręku otwarty slój, z którego unosil sie zapach terpentyny, mieszajac sie z wonia mydla i wilgoci. Kadet z Luizjany przytrzymywal kogos, kto lezal w pustej wannie na brzuchu, a teraz wpatrywal sie w Charlesa wielkimi, ciemnymi, przerażonymi oczyma. Charles rozpoznal w nim rekruta, który przyjechal do West Point poprzedniego dnia.

Proszę stąd wyjść, sir — odezwal sie Slocum. To sprawa dyscyplinarna, która nie powinna pana obchodzic.

Sprawa dyscyplinarna? Dajcie spokój, chłopcy. Ten człowiek jest tu od kilkunastu godzin, może sobie pozwolic na jeden czy nawet dwa błędy!

Ten Jankeš nas obrazil — warknal kadet z Luizjany.

Wcale nie — zaprotestowal młodzieniec leżacy w wannie. — Oni po prostu wciagnęli mnie tu i...

Stul gębę — przerwal mu Luizjańczyk i ścisnal mocno za szyję.

Slocum postapil krok do przodu, aby zaslonic Charlesowi widok. Jego upstrzona krostami twarz ściemniala, kiedy powiedzial:

— Jeszcze raz powtarzam, sir; niech pan stąd wyjdzie.

Charles potrząsnął powoli głową. Rury doprowadzające wodę wydzielają ciepło. Starannie otarł spocone dłonie o koszulę i oświadczył:

— Nie wyjdę, dopóki nie dowiem się, co z nim chcecie zrobić. Był jednak niemal pewien, że wie już, o co chodzi. Szybko odstąpił na bok i skoczył do przodu, zanim Slocum zdołał zareagować. Młodzieniec leżący w wannie był nagi. Sprawiał wrażenie wynędzniałego i wyglądał żałośnie, kiedy leżał z uniesionymi nieco pośladkami. Jądra miał związane sznurem tak mocno, że zdążyły już napęcznieć. Charles oblizał spierzchnięte raptem wargi. To była jedna z tych drobnych tortur z dawnych lat, zaniechana po pewnym czasie. Wszedł prawie na samo zakończenie, kiedy ofierze wlewano do odbytnicy trochę terpentyny.

Oburzenie i gniew sprawiły, że z trudem wykrztusił:

W ten sposób nie traktuje się nawet psa! Puśćcie go! Slocum nie mógł pozwolić, aby zwracał mu uwagę młodszy kadet.

Main, ostrzegam pana... Drzwi otworzyły się. Charles obrócił się na pięcie i ujrzał Franka Pratta z ręcznikiem przewieszonym przez ramię. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie, a potem oburzenie, kiedy pojął, co się dzieje. Charles odezwał się łagodnie, ale stanowczo: Sprowadź tu Gada. Chciałbym, aby zobaczył, na co tym razem zdobył się Slocum.

Frank wybiegł, zatrzaskując za sobą drzwi. Slocum odstawił na podłogę słoje z terpentyną, po czym zaczął pocierać dłonią prawą pięść.

Widzę, że jest pan w stanie zrozumieć tylko jeden rodzaj rozkazu, sir. Świetnie, zastosuję się do tego.

Charles omal nie wybuchnął śmiechem, powstrzymał się jednak w ostatniej chwili. Ci dwaj byli studentami wyższych klas, a poza tym przyparto ich do muru. Tym samym stali się niebezpieczni.

Luizjańczyk puścił nowicjusza leżącego w wannie, a ten opadł płasko na brzuch i jęknął żałośnie. Slocum w dalszym ciągu masował sobie melodramatycznym gestem pięść. Jego kompan pochwycił go za ramię.

Nie zaczynaj z nim, Slocum. Wiesz przecież, co o nim mówią. Jeśli chcesz się go pozbyć, podaj go lepiej do raportu. Wystarczy, że dostanie jeszcze dziesięć punktów karnych, a wyleci stąd tak szybko, że nie zdążysz się nawet obejrzeć.

Pomysł przypadł Slocumowi do gustu; wcale nie palił się do bójki z kimś tak dużym i silnym, jak Charles. Chcąc jednak zachować pozory, kontynuował swój obliczony na efekt gest. Po chwili powiedział jakby do siebie:

— Ten cholerny dureń powinien wiedzieć, że zrobiliby lepiej trzymając z nami. Jesteśmy z tej samej...

Urwał. Do łaźni weszli Frank i Billy, zatraskując za sobą drzwi. Billy ogarnął całą scenę jednym spojrzeniem i wybuchnął:

— Jezu Chryste! Sir! — zwrócił się do usiłującego zakryć się czymś młodzieńca. — Niech pan włoży coś na siebie i wraca do swego pokoju!

— Dd... dobrze, sir. — Rekrut wyciągnął nieśmiało rękę, ale nie dosięgnął ubrania. Charles kopnął je w jego kierunku. Slocum nie spuszczał oczu z Billy'ego.

— Nie pan wydaje tu rozkazy, sir. Proszę nie zapominać, że jestem pańskim przełożonym...

— Diabła tam! — przerwał mu Billy. — Myślał pan, że West Point to pańska plantacja, a każdy rekrut to czarnuch, z którym może pan robić, co chce? Jest pan tylko nędznym łajnem z Południa!

— Chodź już, Gad — zawołał Charles. — Taka paplanina nie ma teraz sensu.

Ale jego przyjaciel nie panował już nad sobą. ;

— Jeśli trzymasz jego stronę, powiedz od razu.

— Niech cię...

W wilgotnym pomieszczeniu okrzyk Charlesa odbił się echem od ścian. Jego pięść wystrzeliła do przodu, zanim to sobie uświadomił. W ostatniej chwili powstrzymał się od zadania ciosu.

Billy zdołał już cofnąć się o krok i poderwał ręce do góry, aby odparować atak. Sprawiał wrażenie nie mniej zdumionego niż Charles.

Charles natomiast nie potrafił otrząsnąć się z wrażenia po tym, co uczynił albo omal nie uczynił. Okazało się, że wystarczyło parę słów, które uraziły jego dumę Południowca, a już był gotów wybuchnąć. Zachował się dokładnie tak samo, jak Whitney Smith i jemu podobni. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że jego reakcje są głęboko zakorzenione.

Otarł dłonią usta.

— Gad, bardzo mi przykro.

— W porządku. — Głos Billy'ego nie brzmiał zbyt przyjaźnie. ;

— To Slocum jest tym, którego powinniśmy...

— Powiedziałem: w porządku.

Przez moment Billy z pasją wpatrywał się w oczy przyjaciela, po czym wziął się w garść. Ruchem głowy wskazał na drzwi.

— Wynoście się wszyscy... oprócz ciebie, Slocum. Twoja metoda wdrażania dyscypliny nie jest tu lubiana. Nadszedł czas, aby ktoś ci to udowodnił.

Frank Pratt spojrzał nań zatroskany.

— Billy, jeśli to zrobisz, będziesz miał połowę korpusu przeciw sobie.

— Nie jestem tego taki pewien. Ale zaryzykuję. Wychodźcie.

— Będę stał przed drzwiami na straży — zaferował się Charles. — Nikt wam nie przeszkodzi.

Znaczenie tej oferty zrozumieli wszyscy: Jankes wyrównuje rachunki z Południowcem, podczas gdy drugi Południowiec stoi na straży. Taka sytuacja była niewątpliwym dowodem, że przyczyną bójki nie jest miejsce urodzenia Slocuma, lecz jego zachowanie.

— Pośpiesz się — przynaglił Charles rekruta, który wkładał wymiętą koszulę. — Buty wciągniesz już na zewnątrz.

Młodzieniec wyszedł, tuż za nim Frank Pratt, Charles spojrzął na Luizjańczyka.

— Chyba będę cię musiał stąd wynieść.

— Nie, nie! — krzyknął tamten, przesuwając się bokiem ku wyjściu. Dopiero kiedy znalazł się w holu, puścił się pędem przed siebie.

Charles powiódł wzrokiem po mrocznym, słabo oświetlonym korytarzu, na którym nie było nikogo oprócz Franka Pratta stojącego przy schodach i wpatrującego się lekliwie w górę. Właściciel sklepiku z napojami opuścił swoje miejsce, zamknął za sobą drzwi, spojrzął na Charlesa i Franka, po czym bez słowa zaczął wchodzić na górę.

Charles, wstrząśnięty tym, co się stało, oparł się o podwójne drzwi. Z dala dobiegł go przytłumiony dźwięk trąbki: pierwszy sygnał gaszenia światel. W łazni rozległ się słaby krzyk przerażenia, a potem odgłos uderzenia pięścią.

Dziesięć minut później Billy wyszedł na korytarz. Na bluzie miał ślady krwi, na dłoniach widniały stłuczenia. Były to jedyne ślady bójki.

Nie, to niezupełnie prawda uświadomił sobie po chwili Charles. W oczach Billy'ego dostrzegł niepokój.

— Czy on może chodzić? — zapytał Charles.

— Tak, ale chyba nie będzie miał na to ochoty przez pewien czas. Billy spojrzął na przyjaciela, a potem umknął wzrokiem w bok. — Obawiam się, że byłem zbyt gorliwy.

Frank Pratt, zerkając na schody, przynaglił ich gestami. Gdyby oficer dyżurny zapytał pod drzwiami ich pokoju „w porządku?” i nie otrzymał odpowiedzi, dostaliby punkty karne.

Charles rozmyślał o czymś innym. Co miała oznaczać ostatnia uwaga Billy'ego? Czyżby miał skrupuły, gdyż pobił Slocuma tak skwapliwie tylko dlatego, że tamten jest z Południa?

Zbliżyli się do Franka, który zapytał z trwogą:

— A co będzie, jeśli Slocum wygada?

Poczęli wchodzić na górę, a Billy powiedział:

— Próbowałem mu uświadomić, aby lepiej tego nie robił. I myślę, że zrozumiał; jeśli w raporcie znajdzie się wzmianka o naszym spotkaniu, złożę mu ponownie wizytę, zanim mnie stąd wyrzucą. Jemu i temu facetowi z Luizjany.

— Mógłbyś też — wtrącił Frank — oskarżyć go oficjalnie o znęcanie się nad tym nowym...

Billy potrząsnął głową.

— Gdybym to uczynił, Slocum wyszedłby na bohatera, a ja na jeszcze jednego mściwego Jankesa. Rozłam jest tu wystarczająco duży. Według mnie powinniśmy dać spokój.

Nie sprawiał jednak wrażenia zadowolonego z siebie i Charles postanowił go pocieszyć, na czym przyjacielowi najwidoczniej zależało, sądząc po jego tonie.

Powiedziałeś, że zrobiłeś to zbyt gorliwie, ale ja ci nie wierzę. Cokolwiek byś nie uczynił, Slocum prosił się o nauczkę od dawna.

Billy spojrział na niego z wdzięcznością. Żaden nie odezwał się już, kiedy wchodzili po ciemnych schodach. Charles uświadomił sobie, że zaczyna wątpić w siebie i Billy'ego. Nie można już było zaprzeczyć, że i oni zarazili się chorobą, na którą zapadł cały naród. Natychmiast też podjął decyzję — nie wolno dopuścić, aby ta choroba rozwinęła się jeszcze bardziej.

Slocum wytłumaczył, że jego obrażenia są efektem upadku ze schodów. Luizjańczyk nie zaprzeczył, a złośliwe znęcanie się nad młodszymi kolegami ustało.

Mimo to wieść o incydencie rozeszła się szybko po całej uczelni. Powszechnie traktowano go jako efekt konfliktów stanowych. Dowiedziawszy się, że jeden kadet pobił drugiego, kilku studentów z Północy i Zachodu opowiedziało się po stronie Billy'ego. Natomiast niektórzy Południowcy potępiali go. Charles spotykał się z milczącą dezaprobatą z obu stron, co było reakcją obraźliwą, ale zarazem tak nedorzeczną, że ogarniał go pusty śmiech.

W tydzień później Fitz Lee powiadomił Charlesa, że kadet z Luizjany przedstawił własną wersję wydarzenia. Opowiedział mianowicie przyjaciółom, że do brutalnego ataku Billy'ego sprowokowało krytyczne nastawienie Slocuma wobec ustawy Kansas-Nebraska, jak również głoszona przez niego opinia, że Kongres powinien przyjąć uchwałę o kodeksie praw Południa, chroniącą zasady własności na nowych terytoriach.

A dlaczego Luizjańczyk utrzymywał to tak długo w sekrecie? Jak twierdził, nie chciał, aby o całym incydencie usłyszeli oficerowie, miał na względzie jedynie dobro korpusu.

Prawda o przebiegu wydarzeń wymknęła mu się tylko przypadkowo.

— Aha, wymknęła mu się! — warknął Charles na wieść o rozgłaszanych rewelacjach. — Po prostu mu się wymknęło, dwa albo trzy razy?

— Albo nawet więcej — skwitował Fitz z kwaśnym uśmiechem.

Charles wpadł w furję. Oświadczył, że na wieczornym apelu wyciągnie Luizjańczyka z szeregu i wepchnie mu te łgarstwa z powrotem do gardła. Billy i Fitz wyperswadowali mu ten zamiar.

Stopniowo jednak zainteresowanie bójką osłabło, a kadeci zaczęli znowu rozmawiać z Billym i Charlesem, ignorując zarazem Slocuma wszystko powróciło więc do poprzedniego stanu.

Ale incydent pozostawił po sobie trochę złych wspomnień, które jeszcze bardziej zagęściły atmosferę.

Niebawem starsi kadeci opuścili Akademię. Wśród absolwentów znajdowali się Stuart, bratanek dyrektora oraz kadet z Maine, Ollie O. Howard, od którego Charles odkupił mocno już sfatygowany koc. Billy, korzystając z przepustki, wybierał się do domu.

Rozmowy w Akademii dotyczyły głównie zmian, które szykowały się od jesieni. Przez dziesięć ostatnich lat Zarząd Uczelni starał się o wprowadzenie pięcioletniego okresu nauczania, na co wreszcie wyraził zgodę minister Davis. Nowy program miał obowiązywać połowę rekrutów, natomiast druga połowa uczyłaby się zgodnie z kursem dotychczasowym, czteroletnim. Według tej zasady dzielono młodszych kadetów, tak aby w żadnym roku nie zabrakło absolwentów.

Nauczanie pięcioletnie miało skorygować krytykowany przez wielu sposób wykładania matematyki, wiedzy ogólnej i techniki inżynierskiej oraz wprowadzić nowe przedmioty: język angielski, historię, retorykę i język hiszpański.

Po co mi, do diabła, jeszcze jeden język obcy? narzekał Charles. Mam już dosyć kłopotów z francuskim.

Wojna powiększyła kraj o nowe terytoria, na których mieszka mnóstwo ludzi mówiących po hiszpańsku. Taki przynajmniej podaje się powód. — Billy zamknął walizę, przeciągnął się i podszedł do okna.

— Dragoni nie wdają się w pogawędki z meksami odparował Charles — lecz po prostu strzelają do nich.

Billy zerknął nań z ukosa.

— Nie wydaję mi się, aby Meksykanie uznali to za dobry żart.

Charles wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że przyznaje mu rację, ale Billy nie dostrzegł gestu; wsparty oburącz o gzyms wpatrywał się w znaną dobrze postać, która kuśtykając szła przez plac. Kadet zauważył Billy'ego w oknie i odwrócił wzrok.

— Slocum — powiedział sucho Billy.

Charles podszedł bliżej.

— Chodzi już lepiej, jak widzę.

Po chwili kadet z Arkansas zniknął z pola widzenia, a Charles odwrócił się plecami do okna. Przez kilka ostatnich dni dręczyło go poczucie winy; dziś miał ostatnią okazję, aby pomówić o tym z Billym, ponowne spotkanie miało nastąpić dopiero we wrześniu.

— Czuję się okropnie z powodu tamtego wieczoru. Ale nie ze względu na Slocuma. Ze względu na to, jak zachowałem się, a właściwie jak chciałem zachować się wobec ciebie.

Billy niedbale machnął ręką i Charles odetchnął z ulgą.

— Ja też nie byłem bez winy — mruknął Billy. — Myślę, że dla nas obu była to bardzo pouczająca lekcja. Niech reszta korpusu obrzuca się wyzwiskami i walczy ze sobą, jeśli chce. Nam nie wolno tak postępować i nie będziemy.

— Masz rację. — Zapewnienie przyjaciela ucieszyło Charle-sa, chociaż zdawał sobie sprawę, że było raczej życzeniem niż pewnością.

Przez chwilę milczeli. Charles strzepnął ze spodni źdźbło słomy. Pragnienie otwarcia się przed przyjacielem nie dawało mu spokoju.

Muszę powiedzieć ci jeszcze coś. Wiesz, świadomość, że przebywam tu jako Południowiec, jest dla mnie czymś okropnym. Bo to znaczy, że jest się na tej uczelni kimś mało wartościowym... nie, nie zaprzeczaj. Wy, Jankesi, zawsze zaćmiewacie nas swoim blaskiem. Ale my jesteśmy za to twardsi od was.

Nawet gdyby tak było, w co nie wierzę, to jest właśnie cechą dobrego żołnierza.

Charles zignorował komplement.

— Być tu Południowcem znaczy czuć się kimś pośledniejszym, wstydzić się miejsca swego urodzenia, wściekać się, gdyż reszta korpusu zachowuje się tak, jakby pozjadała wszystkie rozumy — tu wyzywająco wysunął do przodu podbródek — co, do diabła, wcale nie jest prawdą.

Myślę, że ta pewność siebie jest typową jankeską chorobą, Bizonie.

Uśmiech złagodził nieco wyraz twarzy Charlesa.

— A ja myślę, że to, co przed chwilą powiedziałem, może zrozumieć jedynie inny Południowiec. Zrozumieć tak naprawdę. Ale dziękuję ci, że mnie wysłuchałeś. — Wyciągnął ku niemu rękę. — To jak, jesteśmy przyjaciółmi?

— Jasne. Na zawsze. — Uścisk dłoni był silny i zdecydowany. Od strony Portu Północnego dobiegł ich gwizd. Billy chwycił walizę i rzucił się ku drzwiom.

— Kiedy napiszesz do Brett, wspomnij, że za nią tęsknię.

— Sam jej o tym powiedz — w oczach Charlesa zamigotały iskierki. — Zdaje się, że przyjedzie wkrótce po twoim powrocie z przepustki.

Billy wstrzymał oddech.

— Jeśli to ma być żart...

— Przecież nie żartowałbym z ciebie. Zwłaszcza kiedy zobaczyłem na własne oczy, jak poradziłeś sobie ze Slocumem.

— Zdjął z półki podręcznik do nauki francuskiego Levizaca, otworzył go i wyjął spomiędzy kartek złożony list. -- Dostałem go dziś rano. Od Brett. Píše, że chce sprawić ci niespodziankę

— odszukał to słowo w liście — w sprzyjającym momencie. Rozumiesz, co ma na myśli?

— Jasne, że rozumiem. — Billy zatańczył z walizą, nie zważając na dwóch kadetów przechodzących pod oknem.

— A kto będzie jej przyzwoitką?

Orry. Przywiezie też Ashton. Gdyby tego nie zrobił, dostałaby ataku szału.

Ale i ta nowina nie zdołała przytłumić radości Billy'ego. Schodząc po schodach nie przestawał śpiewać i podskakiwać, a po chwili Charles ujrzał, jak biegnie przez plac w sposób absolutnie niewojaskowy i salutuje beztrzesko mijanym wykładowcom.

Przez pełne pół godziny Charlesa nie opuszczały wesołe nastrój. Potem usłyszał z sąsiedniego pokoju głosy czterech kadetów, dyskutujących zawzięcie na temat Kansas. Kilka słów wyjaśnienia, uścisk dłoni — oto jak można było załagodzić swary pomiędzy przyjaciółmi, ale z pewnością nie da się rozwiązać tą metodą problemów nekających kraj. A już na pewno nie, dopóki niektórzy Południowcy nie zechcą przyznać, że owe problemy naprawdę istnieją.

Niech to diabli — pomyślał. — Co za piekielny galimatias!

Dyrektor Akademii, Lee, oraz młodszy oficer szli wolnym krokiem w stronę zachodniego skraju równiny. Spora grupa gości hotelowych wraz z dziećmi obserwowała popisy jeźdźców, którzy z powodu niezwykłego zaduchu panującego w ujeżdżalni otrzymali rozkaz ćwiczenia na dziedzińcu. Było sobotnie, lipcowe popołudnie, okalające równinę wzgórza lśniły we mgle.

Ale upał nie przytłumił aplauzu gapiów ani zapału, z jakim ćwiczyli kadeci. Część z nich demonstrowała właściwy sposób kielznania konia, dosiadania go i zeskokowania na ziemię, inni

rozmaite kroki wierzchowców, pozostali na grzbietach swych koni skakali przez wiązki siana. Wybrana grupa kadetów z ostatniego roku atakowała w galopie słomiane manekiny; mijając je dźgali swymi wygiętymi, długimi na ponad jard szablami.

Całą tę scenę bacznie obserwował młodszy oficer. Miał na sobie przepisową czapkę z pomarańczowym pomponem i emblematem przedstawiającym skrzyżowane szable z cyfrą 2 w górnym rogu. Porucznik Hawes z II Regimentu Dragonów uczył konnej jazdy. Przed rokiem z własnej inicjatywy zaczął prowadzić kurs taktyki kawaleryjskiej. Przedmiotu, którego nie było dotychczas w programie Akademii.

Ze względu na obecność widzów Hawes rozkazał swym uczniom przywdziać szare koszule z merynosu, wykładane na szorstkie, wełniane spodnie tego samego koloru. Poły koszul miały prostokątne zakończenie.

Imponujące — głos pułkownika Lee wzniosł się ponad głośny tętent kopyt. — Świetna robota, poruczniku.

Dziękuję, sir. Hawes wskazał ręką na ciemnowłosego, prezentującego się wspaniale jeźdźca, który kierował swym gniadoszem wyjątkowo zręcznie; koń i dosiadający go kadet sprawiali wrażenie, jakby płynęli nad wiązkami siana. — To najlepszy jeździec w całym korpusie kadetów. Właściwie nie powinien ćwiczyć w tej grupie; jest dopiero w trzeciej klasie. Ale przez cały rok spędzał w ujeżdżalni każdą wolną chwilę. Kiedy na jesieni zacznie uczęszczać na zajęcia jazdy konnej, nie będzie właściwie wiedział, czego jeszcze można by go nauczyć. Lubie, kiedy jeździ ze starszymi kadetami, bo jego obecność drażni ich ambicję.

Kadet, o którym rozmawiali, przeskoczył właśnie kolejną przeszkodę i z wdziękiem opadł na siodło. Lee spoglądał przez chwilę na jego powiewające na wietrze ciemne włosy i wyrazisty profil, zastanawiając się nad czymś.

— Jest z Karoliny Południowej, czy nie tak?

— Tak jest, sir. Nazywa się Main.

— Ach tak, prawda. Jakieś dziesięć lat temu studiował tu jego kuzyn. Ten chłopiec sprawia dobre wrażenie.

Porucznik Hawes przytaknął z zapalem.

— Jest ulepiony z takiej samej gliny jak Stuart, tyle że prezentuje się lepiej.

Roześmieli się, a Hawes dodał:

— Jestem przekonany, że po ukończeniu uczelni otrzyma przydział do dragonów lub strzelców konnych.

— Albo do któregoś z tych nowych regimentów kawalerii, o których marzy minister.

— Jego stopnie nie pozostawią mu dużego wyboru — zauważył Hawes. — Ale na zajęciach wojskowych spisuje się wyjątko-

wo dobrze. Zdaje się, że zachwycą go sama myśl o tym, iż człowiek może walczyć i jeszcze otrzymywać za to pieniądze.

— Po pierwszej bitwie nie będzie już tak zachwycony.

— Oczywiście, sir. W każdym razie mam nadzieję, że zdoła ukończyć Akademię. Jest zawiadaczającym jak Stuart. Jeszcze jedna cecha wspólna.

— W takim razie może przydać się wszędzie, dokądkolwiek go wyślemy.

Hawes nie odpowiedział, ale podzielał zdanie dyrektora. Wiedział również, dlaczego jest w stanie znosić mękę uczenia setek nie wydarzonych młodzieńców, którzy nigdy nie utrzymują się na czymś bardziej niespokojnym niż fotel na biegunach. Znosił to do tej pory, miał bowiem nadzieję, że w końcu trafi na choćby jednego wybitnego ucznia. Tego roku jego pragnienie ziściło się.

Obaj oficerowie nie odrywali wzroku od Charlesa, który z szerokim uśmiechem na twarzy przeskakiwał przez ostatnią belę słomy. Na krótki moment i koń, i jeździec jakby zawiśli w powietrzu niczym mityczny centaur.

36

Któregoś wrześniowego piątku Orry przyjechał wraz z siostrami do hotelu; trafili na moment wieczornej defilady. Na widok Billy'ego Brett klasnęła z zachwytem w dłonie. Miał na ramionach nowe szewrony.

Jak się później dowiedziała, otrzymał niedawno awans na młodszego sierżanta kompanii, mało brakowało, a otrzymałby najwyższą rangę z możliwych w drugiej klasie: starszego sierżanta. Owa nowina miała być dla Brett niespodzianką.

Ashton zauważyła wyraz szczęścia na twarzy siostry. Kiedy ujrzała Billy'ego, ogarnęła ją nienawiść, ale również uczucie zupełnie nieoczekiwane. Nagły przyływ żądy zaniepokoił ją i tylko dzięki olbrzymiej sile woli zdołała się opanować. Porzucił ją i musi za to zapłacić.

Nie chciała jednak, aby miał się przed nią na baczności ani teraz, ani w przyszłości. Jej skąpana w blasku słońca twarz pozostała nieporuszona, ożywiona jedynie słodkim uśmieszkiem. Po chwili dostrzegła, że z hotelu patrzy na nich dwóch dżentelmenów i natychmiast poczuła się dużo lepiej. Jej mała, bezbarwna siostrzyczka nie wzbudzała wielkiego zainteresowania mężczyzn. W każdym razie nie patrzyli na Brett takimi oczyma jak na nią.

Billy Hazard nie jest jedynym mężczyzną na ziemi. Tuż przed nią w precyzyjnie uformowanych szeregach maszerowały ich setki. Z pewnością znajdzie się choć kilku, którzy zechcą umilić jej pobyt w West Point. Może będą to jej ostatnie wakacje z tego typu atrakcją. James nalegał na ustalenie terminu ślubu.

Spoglądała na silne nogi maszerujących kadetów, czubek jej języka przesunął się kilkakrotnie po górnej wardze. W łędźwiach poczuła napływ ciepła i wilgoci. Teraz już wiedziała, że w West Point czekają ją cudowne chwile.

Dla Orry'ego defilada stanowiła niezwykle emocjonujące przeżycie. Przyjemnie było znowu słyszeć dźwięki werbli zmieszane z odgłosem trąbek i piszczałek. Flagi powiewające na tle wzgórz upstrzonych pierwszą żółcią i purpurą jesieni budziły żywe wspomnienia i zapomniane już dawno myśli. A kiedy dostrzegł Charlesa maszerującego ramię w ramię z wyższymi od siebie kadetami na skrzydle kompanii, ogarnęła go duma.

Nazajutrz Billy zaprosił Orry'ego i dziewczęta do klasy, gdzie odbywały się ćwiczenia szermierki. Ashton wymówiła się bólem głowy i pozostała na werandzie hotelu, Brett natomiast spędziła wraz z bratem całą godzinę na twardej ławie, obserwując Billy'ego i tuzin innych kadetów, którzy nabierali wprawę w posługiwaniu się białą bronią: pałaszami z drzewa orzechowego dla początkujących, floretami lub — jak w przypadku Billy'ego i jego partnera — lekkimi szablami.

Fechtistrz, de Jaman, wraz z gośćmi przyglądał się ćwiczeniom. Billy zaskoczył przeciwnika pełną gamą fint, pchnięć i wypadów.

— Ten młodzieniec ma prawdziwy talent, jeśli idzie o fechtunek — powiedział Francuz z zachwytem dumnego ojca. — Ale to typowe u kadetów wyróżniających się w nauce. W obu przypadkach wymagana jest inteligencja.

— To prawda — przytaknął Orry i przypomniał sobie, że nigdy nie błyszczał w tej dyscyplinie.

Billy zakończył walkę prostym pchnięciem, trafiając bezpiecznie szablą w cel na wywatowanym kaftanie przeciwnika. Następnie zasalutował mu, zdjął maskę i uradowany obrócił się do Brett. Zerwała się z miejsca, klaszcząc z zapałem.

Orry uśmiechał się szeroko, ale raptem zauważył twarz przeciwnika Billy'ego. Pod prawym okiem widniało purpurowe półkole.

— Skąd u niego ten siniak? — zapytał, kiedy Billy podszedł do nich.

Billy zmusił się do uśmiechu.

— O ile wiem, odbył dyskusję z jednym ze swoich współlokatorów.

— Jaką dyskusję? — zainteresowała się Brett.

— Zdaje się, że coś na temat senatora Douglasa. Widzisz, on jest z Alabamy i... — nie dokończył zdania.

Orry nie ukrywał zatroskania.

— Czy tu często zdarzają się takie rzeczy?

— Och, nie, bardzo rzadko — odpowiedział zbyt gwałtownie Billy.

Napotkał przenikliwy wzrok Orry'ego. Main domyślił się, że to kłamstwo, był tego pewien.

Wieczorem Orry wybrał się do Buttermilk Falls, aby jak to określił — złożyć pierwszą legalną wizytę Benny'emu Havenowi. Korzystając z jego przyzwolenia, Billy zabrał Brett na spacer „ścieżką dla flirtujących”.

W zapadającym zmierzchu mijały ich, niczym cienie, inne pary. Przez liście wiszących nisko gałęzi przedierały się ostatnie promienie słońca, rozświetlając chmury na wschodzie. Nieco niżej, na rzece, na podobieństwo robaczek świętojańskich przesuwały się z wolna światła statku.

Brett miała na sobie ulubioną koronkową suknię i koronkowe rękawiczki, strój niezbyt już modny tu, na Północy, jak zauważyła. Ale Billy był przekonany, że nigdy jeszcze nie widział piękniejszej dziewczyny.

— Mademoiselle, vous etes absolument ravissante.

Roześmiała się i wzięła go pod ramię.

— Nie wiem, co to znaczy, ale zabrzmiało jak komplement. Powiedziałeś to tak ładnie, że nie może oznaczać nic innego. Ale przetłumacz, proszę.

Zatrzymali się obok jednej z ławek ustawionych w zacisznych zakamarkach alejki. Nerwowym gestem ujął jej dłonie.

— To znaczy, że nareszcie mogę wykorzystać te wszystkie godziny spędzone na nauce francuskiego.

Roześmiała się znowu, on zaś nachylił się i pocałował ją delikatnie w usta.

— A dosłownie to znaczy, że jesteś piękna.

Pocałunek zmieszał ją, chociaż marzyła o nim już od dawna. Nie wiedziała, co powiedzieć, gdyż bała się, że Billy mógłby roześmiać się, gdyby padło słowo „miłość”. Wspięła się więc na palce, zarzuciła mu ramiona na szyję i oddała pocałunek bardziej namiętny niż ten przed chwilą.

— Mój Boże, jakże się cieszę, że tu jesteś, Brett. Myślałam już, że ten moment nigdy nie nadejdzie. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie wrócę z przepustki.

— Ale na pewno cieszyłeś się, że jesteś znowu w domu.

— O tak, w pewnym sensie. Byłem szczęśliwy, że mogę odwiedzić Lehigh Station, ale nie aż tak, jak się spodziewałem. Byli tam wszyscy oprócz tej jednej osoby, która liczy się teraz dla mnie najbardziej. Dni ciągnęły się powoli i pod koniec nie mogłem już doczekać się chwili, kiedy spakuję swoje rzeczy i wyjadę. George rozumiał, co czuję, ale matka nie. Odnoszę wrażenie, że zraniłem ją tym, że nudzę się w domu. Było mi bardzo przykro i usiłowałem skryć przed nią swoje uczucia, ale... tak bardzo tęskniłem za tobą!

Milczała przez chwilę, a potem szepnęła:

Ja też tęskniłam za tobą, Billy. — Mocniej ścisnął jej dłonie, ona zaś mówiła dalej: — Nawet sobie nie wyobrazasz, jak bardzo dokuczala mi przez ten rok samotność. Żyłam tylko oczekiwaniem na dzień, kiedy znowu nadejdzie list od ciebie. Ale nie rozumiem, jak ty możesz czuć się tu samotny, masz przecież tak bardzo wypełniony program zajęć! Ucieszyłam się, że mogę poznać tu twoich przyjaciół, ale zauważyłam, że kilku z nich spozrzało na mnie z ukosa, kiedy tylko wypowiedziałam pierwsze słowa.

— Spodobała im się twoja wymowa.

— Spodobała się czy też byli oburzeni? Rzeczywiście, paru kadetów, Jankesów, jak przypuszczała, obrzuciło ją wtedy spojrzzeniami, które trudno nazwać przyjaznymi.

Nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, z jaką niechęcią, a nawet jawną wrogością niektórzy kadeci z Północy odnoszą się do przyjeżdżających tu czasem kobiet z Południa. Ich pochodzenie mogło być źródłem problemów w przyszłości — problemów, o których nie chciał teraz myśleć, których jednak nie mógł ignorować.

Ale nie była to pora, aby o tym mówić. Przesunął szablę, aby mu nie przeszkadzała, i sięgnął do kieszeni, skąd wyjął kawałek czarnego aksamitu, oderwanego od czapki. Wyjaśniając Brett związaną z tym tutejszą tradycję, miętosił wstążkę w dłoni, wreszcie zakończył:

— Ale ja nie mogłem jej dać mojej dziewczynie, kiedy przyjechałem do domu, gdyż ona była wtedy w Karolinie Południowej.

Wcisnął jej wstążkę do ręki, ona zaś przesunęła palcami po ozdobnym, złocistym nafcie i szepnęła:

— Dziękuję.

— Mam nadzieję — przelknął ślinę - mam nadzieję, że będziesz zawsze moją dziewczyną.

— Chciałabym, żeby tak było, Billy. Zawsze.

Jakiś kadet, który przechadzał się tuż obok ze swoją znajomą, roześmiał się cynicznie słysząc te słowa, ale oni nie zwrócili na to

najmniejszej uwagi; siedzieli na ławce spleceni w uścisku i złączeni pocałunkiem.

Zawrócili w stronę urwiska. Billy po raz pierwszy przeżył tak wspaniałą noc, nigdy dotąd nie był tak pewien, że równie cudowna będzie przyszłość.

Z mroku wyłoniły się jakieś postaci: porucznik kadetów z dziewczyną u boku. Kadet, przybyły z Michigan, nigdy nie był zbyt uprzejmy wobec Billy'ego. Teraz, przechodząc obok, odezwał się tak głośno, aby Brett mogła go usłyszeć.

— To właśnie ona. Jak myślisz, czy dziewczyna z Południa potrafi nauczyć swego ukochanego Jankesa, jak należy znęcać się nad czarnuchami? To znaczy, na wypadek, gdyby wzenił się w jej rodzinę.

Towarzysząca mu dziewczyna zachichotała. Billy poderwał się i ruszył za nimi, ale Brett zatrzymała go.

— Nie rób tego. Nie warto.

Tamci zniknęli już w ciemnej alejce. Billy pienił się ze złości, gdy przeproszał ją za zachowanie porucznika. Brett zapewniła go, że spotykała się już z postawami bardziej nieprzyjemnymi, ale nastrój prysł bezpowrotnie. Uragliwa uwaga uświadomiła mu gorzką prawdę; jeśli ożeni się z Brett, każde z nich dwojgą będzie musiało stawić czoła rozwścieczonym bigotom ze swojej części kraju.

Oczywiście, George również musiał znosić nienawistne spojżenia swoich ziomków, kiedy sprowadził z Teksasu Constance. Znosił je, a nawet uporał się z tym problemem. A jeśli jeden Hazard mógł dopiąć swego, z pewnością zdoła uczynić to również drugi.

— Mój Boże, co tu tak cuchnie? — szepnęła Ashton, kiedy kadet z ostatniego roku, Jankes, raz jeszcze spróbował otworzyć drzwi. Znalezienie w ciemności dziurki od klucza nie było rzeczą łatwą.

— Pieprzniczka Delafielda wybełkotał kadet. Widocznie wypił trochę za dużo, zanim wywabił ją z hotelu, ale jej to nie przeszkadzało. Może dzięki temu spisie się lepiej. Nie należał chyba do ludzi zbyt bystrych, był za to barczysty.

Może jest taki olbrzymi nie tylko w ramionach — pomyślała.

— To nasza pracownia chemiczna wyjaśnił, otwierając wreszcie drzwi. Poczula zapach smoły, klajstru i siarki. Mają tu zajęcia kadeci z ostatniego roku. Mieszą tu różne proszki, robieramy race na drobne cząstki...

— Skąd wzięłeś klucz?

— Kupiłem od kolegi, który ukończył uczelnię w czerwcu. Nie wejdziesz? A mnie się zdawało, że chciałaś...

Nie był na tyle pijany, aby dokończyć zdanie.

— Owszem, chciałam, ale nie myślałam, że przyrowadzisz mnie w tak podłe miejsce.

Stała w progu, nie mogąc się zdecydować. Jedna z wieżyczek budynku zasłaniała widok na niebo upstrzone gwiazdami.

Z mroku wysunęła się ręka. Kadet, oddychając ciężko, ujął jej dłoń.

— Wejźdź do środka, dam ci coś na pamiątkę. Każda dziewczyna, która zatrzymuje się w tym hotelu, chce mieć jakąś pamiątkę z West Point.

Zbliżył się do niej chwiejnym krokiem, wsparł plecami o framugę drzwi i począł gmerać przy mosiężnych guzikach płaszcza. Przyjrzała się im dokładnie, zanim tu przyszli. U góry widniał napis „Kadet”, w dolnej części litery U.S.M.A., a pośrodku orzeł i tarcza.

W dalszym ciągu nie mogła się zdecydować. Nieprzyjemna woń tego pomieszczenia była przemożna, ale z drugiej strony dręczyła ją żądza, która narastała od tygodni.

— Chcesz powiedzieć, że dasz mi guzik, jeśli wejdziesz tu z tobą?

Pstryknął palcem w jeden z nich.

— Możesz wybierać.

— No więc... zgoda. — Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

— Ale nie te guziki miałam na myśli — dodała. Wyciągnęła rękę, dotknęła jego pasa, a potem przesunęła dłoń w dół.

— Jak się czujesz? — szepnął w ciemności. — Tak jakbym nie miała jeszcze dość, kochanie. Przelknął głośno ślinę.

— Mam paru przyjaciół. Mogłbym ich tu sprowadzić. Na pewno byliby zachwyceni. A i ja, zanim wrócę, odpocznę na tyle, że będę mógł zaczerpnąć z tego źródła jeszcze raz.

Ashton leżała bez ruchu, jedna ręka spoczywała bezwładnie na twarzy.

— Przyrowadź ich więc, kochanie. Przyrowadź ich, ilu chcesz, ale nie każ mi czekać zbyt długo. I upewnij się, czy każdy z nich jest gotów ofiarować prezent, o jaki mi chodzi.

Mówię przecież, że widziałem na własne oczy — kadet z New Jersey, którego Billy znał dosyć dobrze, zaperzył się. Od chwili, kiedy Mainowie wyjechali do Nowego Jorku, upłynęły trzy dni. Palcem wskazującym kadet zakreślił w powietrzu prostokąt o szerokości dwóch cali. — Pudełko mniej więcej tej wielkości. A w środku guziki, po jednym od każdego, kogo obdarzyła swymi względami.

— Ile było guzików?

— Siedem.

Billy wpatrywał się w niego skonsternowany.

— W ciągu półtorej godziny?

— Chyba nawet szybciej.

— Czy byli wśród nich jacyś Południowcy?

— Ani jednego. Wygląda na to, że niektórzy Jankesi potrafią bardzo łatwo pozbyć się uprzedzeń wobec Południowców.

— Siedmiu. Nie mogę w to uwierzyć. Jeśli dowie się o tym Bizon, wścieknie się, to pewne.

— Stanie w obronie honoru damy, czy tak?

— Jasne — odparł Billy. — To jego kuzynka.

— Posłuchaj, nikt jej do tego nie zmuszał — pośpieszył tamten z wyjaśnieniem. — Powiedziałbym nawet, że było wręcz odwrotnie. W każdym razie... nie sądzę, aby Bizon usłyszał od kogokolwiek coś na ten temat.

A to czemu?

Ta dama obiecała, że jeszcze przed upływem sześciu miesięcy przyjedzie tu ponownie, a jeśli w tym czasie któryś z tych siedmiu wygada się, wspomni jej nazwisko albo coś na temat wieczoru, ona z pewnością dowie się o tym, a wtedy rozpęta się piekło.

— To znaczy co? Powiedziała coś konkretnego?

— Nie. I może nawet nikt jej nie uwierzył, ale zapewniam cię, wszyscy sprawiali wrażenie, jakby wzięli jej słowa na serio. Może dlatego, że chcieliby spotkać się z nią znowu dodał z upojnym, ale zarazem dziwnie nerwowym uśmiechkiem. A może też chcą uniknąć widoku tego wielkiego noża, który Main nosi zawsze przy sobie.

Billy podejrzewał, że Ashton po prostu wywiódła tych siedmiu w pole. Nic nie słyszał o tym, że obie siostry miały przyjechać tu znowu. I raptem uświadomił sobie, że przeoczył coś tak oczywistego... coś, co znajdowało się tuż przed nim, w zasięgu ręki... że nie zwrócił dotąd należytej uwagi na tego uśmiechniętego kadeta.

— Zaraz, zaraz... Skoro nikt nie zamierza puścić pary z ust, w jaki sposób ty dowiedziałeś się o wszystkim?

Uśmiech ogarnął całą twarz, był teraz jeszcze bardziej obleśny, ale wyraz niepokoju na niej pozostał.

— Byłem siódmy w kolejce. Ale nie powiedziałem ci jeszcze tego, co najważniejsze: od tych, co... no... skorzystali z jej wspaniałomyślności, nie chciała wcale guzików od płaszcza.

Billy poczuł mdłości.

— A czego chciała?

— Guzików od rozporków.

Krew odpłynęła mu z twarzy, z trudem wykrztusił:

- Dlaczego mi to mówisz?

— Koleżeńska przysługa. — Zabrzmiało to fałszywie, ale Billy zachował spokój. — Poza tym, słyszałem, że zalecasz się do jej siostry i pomyślałem sobie, że powinienes o wszystkim wiedzieć. Z nich dwóch wybrałeś tę lepszą, w każdym razie z punktu widzenia prawego dżentelmena. — Mrugnął porozumiewawczo, ale Billy jakby tego nie dostrzegł.

— Wielki Boże! Siedem guzików od rozporków! Nie wolno dopuścić, aby Bizon dowiedział się o tym!

Dopiero teraz uśmiech zniknął z twarzy kadeta.

— O to właśnie chodzi, Hazard. Dlatego chciałem z tobą pogadać. Wcale nie żartowałem, mówiąc o Bizonie i jego skrytym w bucie nożu. Niewielu jest mężczyzn, których się boję, ale on jest jednym z nich. Nikt z nas nie będzie się przechwalał ani w ogóle gadał na ten temat. Możesz na nas polegać.

Nieco później, kiedy minął już pierwszy szok i Billy został sam, doszedł do przekonania, że jego kolega miał rację co do jednego; powinien uważać się za szczęściarza, że nie związał się z Ashton. Nie wiedział, co o niej myśleć, ale z pewnością coś z nią było nie tak. Dobrze, że przestała się nim interesować. Przez cały czas wizyty niemal nie odzywała się do niego, zachowywała się tak, jakby nie istniał. A więc zapomniała o nim, dzięki Bogu.

37

Virgilia narzuciła na ramiona postrzępiony szal i spięła go agrafą. Zamieszała kleik kukurydziany, który gotowała na małym żelaznym piecyku. Piecyk miał tylko trzy nogi; czwarta zastąpiona była odłamkami cegły ułożonymi jeden na drugim.

Po listopadowej burzy blaszane dachy pobliskich chat pokrywała miękka powłoka bieli. Śnieg wypełnił też koleiny z zamarzniętego błota na drodze przed domem. Porywisty wiatr łomotał w naoliwiony papier w oknach, przez szpary w ścianie, na której wisiał sztych Fredericka Douglassa, wdzierały się płatki śniegu.

Grady siedział przy rozklekotanym stole. Jego wyblakła, niebieska, flanelowa koszula była zapięta aż po szyję. Schudł jakieś trzydzieści funtów i nie wyglądał już tak dziarsko, jak dawniej. Kiedy się uśmiechał, co nie zdarzało się teraz często, prezentował wspaniałe, wykonane ręcznie i wstawione precyzyjnie zęby. O tym, że nie są prawdziwe, mógł świadczyć jedynie ich lekko żółtawy odcień.

Po drugiej stronie stołu siedział ich gość; smukły, elegancko

odziany Murzyn o jasnobrązowej skórze, siwych włosach i przenikliwym spojrzeniu piwnych oczu. Mężczyzna nazywał się Lemuel Tubbs. Kiedy wszedł, trudno było nie zauważyć, że utyka na jedną nogę.

Filizanka cienkiej kawy, którą Virgilia poczęstowała Tubbsa, pozostała nie tknięta. Nie lubił zachodzić do slumsów podczas śnieżycy, ale wymagały tego obowiązki. Ton, jakim mówił do Grady'ego, był poważny i nagły.

— Relacja z pańskich przeżyć przydałaby naszemu najbliższemu zebraniu wiarygodności i zwiększyłaby jego wagę. Nic nie przekona bardziej publiczności o rozmiarach zła, jakim jest niewolnictwo, niż wyznania człowieka, który doświadczył tego na własnej skórze.

Mówi pan: zebranie, panie Tubbs rozmyślał na głos Grady. No, nie wiem. Istnieje nadal problem łapaczy niewolników z Karoliny Południowej, którzy mogliby przeczytać o tym w gazecie.

Rozumiem pański niepokój odparł Tubbs zatroskanym głosem. Oczywiście decyzja należy do pana. Zawahał się, a potem dodał: Gdyby jednak decyzja ta miała być pozytywna, postawilibyśmy jeden warunek. Zależy nam na jak najmocniejszym potępieniu niewolnictwa, nie ma mowy jednak o wezwaniach do aktów przemocy i buntów na Południu. Tego typu gadanie alarmuje i odstrasza od nas wielu białych, których potrzebujemy rozpaczliwie dla naszej sprawy. Będę szczerzy: mogłoby to ich przerazić do tego stopnia, że wstrzymaliby finansowanie naszej działalności.

A więc rozgadnia pan prawdę? odezwała się Virgilia.

Prostyтуujecie się, pan i pańska organizacja, dla paru sztuk srebra?

Gość zmarszczył brwi, w jego oczach po raz pierwszy pojawił się gniewny wyraz.

Nie określałbym tego w ten sposób, panno Hazard.

W kręgach przeciwników niewolnictwa zwracano się do niej nadal tym nazwiskiem, a nie: pani Grady.

Przywódcy ruchu abolicjonistów w Filadelfii nie byli zgodni co do tego, czy mają zaakceptować poparcie ze strony Virgillii i jej kochanka, obawiali się, że ich skrajne poglądy zrodzą problemy. Zresztą już sama ich obecność zaogniała sytuację. Niektórzy przywódcy nie chcieli więc mieć z nimi nic wspólnego, inni zaś, których przedstawicielem był Tubbs, godzili się na współpracę z Gradyrn pod warunkiem, że podda się ich kontroli. Tubbs postanowił teraz, aczkolwiek niechętnie, podkreślić to jeszcze raz.

— Pertraktując z organizacjami i ludźmi mającymi władzę, należy pamiętać, że niezbędne są kompromisy, o ile pragnie się osiągnąć...

— Panie Tubbs — przerwał mu Grady — myślę, że powinien pan już iść. Nie jesteśmy zainteresowani współpracą na pańskich warunkach.

Tubbs z trudem zachował spokój. Starając się nie podnosić głosu, odparł:

— Obawiam się, że jest pan zbyt popędliwy, a to niedobrze. Może zmieni pan zdanie, jeśli wyjaśnię kilka spraw. Osobiście uważam, że może pan być przydatny dla naszego ruchu, niestety jednak nie wszyscy w naszych kręgach podzielają mój pogląd. Dużo czasu zajęło mi namówienie kilku naszych członków, aby zgodzili się zaprosić pana na zebranie. — Zerknął z ukosa na Virgilię i dodał: — Wątpię, aby udało mi się osiągnąć to po raz drugi.

— Grady nie chce mówić do oferm i dziwek - odezwała się Virgilia i potrząsnęła energicznie głową. Jej włosy były nie uczesane, matowe i brudne. — Nasze zdanie na temat zniesienia niewolnictwa pokrywa się z poglądami pana Garrisona.

— Spalić wszystkie egzemplarze konstytucji? I to właśnie aprobujecie? — Mina Tubbsa zdradzała aż nadto wyraźnie, co sądzi o takim postępowaniu. W rocznicę ogłoszenia niepodległości Stanów Zjednoczonych Garrison sprowokował poruszenie w całym kraju, paląc publicznie w pobliżu Bostonu książkowe wydanie konstytucji. Virgilia uznała najwidoczniej, że uczynił słusznie.

— Czemu nie? Konstytucja, jak trafnie określił ją Garrison, to nic innego jak sojusz ze śmiercią i układ z piekłem.

Właśnie takie stwierdzenia odpychają od nas ludzi, których potrzebujemy naj...

Virgilia nie dała mu dokończyć.

— Och, niech pan przestanie, panie Tubbs. Skoro naprawdę wierzy pan w naszą sprawę, jak pan może tak mówić?

Jego oczy zabłyśły po raz drugi.

— A może demonstruję swoją wiarę w inny sposób niż pani, panno Hazard?

— To znaczy jak? Odrzucając wszelkie ryzyko? Ubierając się wytwornie i zadając z białymi bigotami? Broniąc rozpaczliwie swego komfortowego życia, aby przypadkiem nie padło ofiarą...

Uderzył pięścią w stół.

— Niech pani nie wygaduje tu o ryzyku czy poświęcaniu własnej wygody! Wyrosłem w Maryland jako niewolnik, uciekłem mając czternaście lat. Wziąłem ze sobą młodszego brata. Schwytali nas i odesłali do poskramiaczy niewolników. Oto pamiątka — wskazał na sztywną nogę — ale mój brat miał jeszcze mniej szczęścia. Od tamtej pory jest obłąkany.

Głos Grady'ego wyrażał pogardę.

— I nie zamierza pan odplacić im za wszystko?

— Oczywiście, że zamierzam. Dawniej liczyło się tylko to. Ale potem udało mi się zbiec do Filadelfii, a po roku czy dwóch, kiedy pozbyłem się strachu przed pościgiem, zacząłem rozmyślać. Chodziło mi już nie tyle o zemstę osobistą, co o wolność dla innych. To, co znenawidziłem najbardziej, to ten system... to właśnie ten system chciałbym zniszczyć.

— A więc znieśmy go siłą! zawołała Virgilia.

— Nie! Każdy pochopny krok zagwarantuje jedynie dalsze istnienie niewolnictwa i wszelkie związane z tym represje... — Urwał, widząc ich nieprzejednane miny, zawahał się, wstał, po czym pieczołowicie nałożył na siwą głowę cylinder. Obawiam się, że tracę tylko niepotrzebnie czas.

Roześmiała się wzgardliwie.

— To prawda!

Tubbs zacisnął wargi, bez słowa odwrócił się i utykając ruszył do wyjścia. Odprowadził go pełen jadu głos Virgili:

— Niech pan nie zapomni zamknąć za sobą drzwi.

Nie było odpowiedzi. Drzwi zamknęły się cicho, lecz zdecydowanie.

Do tej pory Grady siedział wyprostowany, teraz jednak jego ramiona opadły.

— Te zamknięte drzwi też niczego nie zmieniają. Wzdrygnął się z zimna, ale również z rozpaczy. Dołóż trochę szczap.

— Nie mamy już drewna... a pieniędzy zostało akurat tyle, abym mogła dostać się do Lehigh Station. Nie była zirytowana, po prostu stwierdziła fakt. Nałożyła trochę kleiku do blaszanej miski i postawiła ją przed nim. — Muszę znowu pojechać do domu.

Grady zajrzał do miski, skrzywił się z niesmakiem i odsunął ją-

— Nie lubię, kiedy tam jeździsz. Nie mogę ścierpieć, że żebrzesz.

Nigdy nie żebrzę. Mówię im tylko, czego mi trzeba, i dają mi to. A właściwie czemu miałabym tego nie robić? Oni i tak mają dosyć. W ciągu jednego dnia trwonią więcej niż tu, w osiedlu murzyńskim, ludzie wydają przez rok. Stała za nim i poczęła masować mu kark, mając nadzieję, że rozgrzeje go w ten sposób. — Żołnierze na wojnie nie żyją w luksusie.

— Tubbs nie uważa, że jesteśmy na wojnie.

— Takie eunuchy jak Tubbs żyły za długo w zbytku. I dlatego zdążyli już o wszystkim zapomnieć. Wygramy wojnę bez ich pomocy. Kiedyś wreszcie nadejdzie dzień naszego triumfu, Grady. Wiem, że tak będzie.

Apatycznym gestem, nie przekonany, ujął jej *dłoń*. Virgilia wpatrywała się tępo w dal. Śnieg nadal wpadał do izby przez szpary w ścianie, osiadał na kocach, które służyły im za poślanie.

W kącie, gdzie szpara była szczególnie duża, śnieg utworzył już na sterście szmat puszystą czapę bieli. Grady zbierał szmaty, aby utrzymać się przy życiu. Kiedy nie było szmat, zaczynał kraść, a kiedy i to zawodziło, Virgilia wyjeżdżała na kilka dni do Lehigh Station.

— Piec przestał już grzać — powiedziała. — Lepiej wejdźmy na trochę pod koc.

— Czasem czuję się podle, że wciągnąłem cię w takie życie...

— Cicho, Grady, cicho. — Przycisnęła zimne palce do jego ust. — Ja sama zdecydowałam się na to. Jesteśmy żołnierzami, ty i ja. Pomożemy kapitanowi Westonowi odnieść zwycięstwo.

Spojrzał na nią krytycznie.

— Nie powinnaś wymawiać głośno tego nazwiska, Virgilio. Roześmiała się i to typowe dla białej kobiety poczucie wyższości zirytowało go.

Chyba nie dałeś się nabrać na te bzdury? Te wszystkie pseudonimy i szyfry... Dziesiątki ludzi wiedzą już doskonale, kim naprawdę jest człowiek, który nazwał się kapitanem Westonem, setki zdają sobie sprawę, na czym polega jego działalność, a miliony dowiedzą się o tym w ciągu kilku miesięcy. Kiedy pomożemy mu uwolnić twoich ziomków na Południu, zajmiemy się moimi, tu. Zajmiemy się każdym białym mężczyzną i każdą białą kobietą, którzy przeszkadzali nam w naszej walce aktywnie lub swoją biernością. A zacznie ich, jak mi się zdaje, od mego brata Stanleya i tej dziwki, którą wziął sobie za żonę.

Jej uśmiech i wypowiedane szeptem słowa przeraziły Grady'ego do tego stopnia, że zapomniał o gniewie.

Nie przeszkadza mi, że jadę do domu po ubranie lub żywność zapewniła go, kiedy nakryli się już zimnymi, cuchnącymi brudem i dymem kocami. ----- Ale chciałabym, abyś pozwolił mi czasami zabrać cię ze...

- Nie. W tym jednym był jak zwykle nieprzejednany.

Wiesz doskonale, co by zrobili ludzie, gdybyśmy pokazali się razem w tym małym miasteczku.

O tak, wiem westchnęła, tuląc się do niego. — I właśnie za to ich nienawidzę. Boże, jak ja ich nienawidzę, kochanie. Ale zapłacimy im za wszystko. Zapła... och!

To, co poczuła, zaskoczyło ją. A więc pożałował jej mimo zimna! Niebawem w jedyne sposób, jaki im pozostał, starali się zapomnieć o otaczającej ich nędznej rzeczywistości.

Pierwszy zwiastun zimowej burzy nawiedził Lehigh Station, okrył ziemię i dachy białym całunem. Śnieg padał nieprzerwanie jeszcze wtedy, kiedy na pokładzie nocnej łodzi przybyła Virgilia. Jeszcze rok i mogłaby odbyć tę podróż w ogrzewanym wagonie

kolejowym, nie troszcząc się, czy rzeka zamarzła, czy nie. Towarzystwo Kolejowe Lehigh Road ogłosiło, że zamierza przedłużyć linię aż do Bethlehem i dalej, w głąb doliny.

Mimo nienawiści do rodziny Virgilia zdawała sobie sprawę, że tylko ich tolerancja, a zwłaszcza wyrozumiałość George'a i jego żony, którzy godzili się, by zostawała na noc, a nieraz nawet dłużej w Belwederze, pozwala jej przeżyć. Patrzyli przez palce na fakt, że wykrada im czasem całą torbę używanych ubrań lub walizę puszek i paczek z żywnością. Oddając się coraz bardziej sprawie, o którą walczyła, nie straciła umiejętności realistycznego patrzenia na życie. Wiedziała, że nigdy nie przywiezie Grady'ego do Lehigh Station, sama starała się przyjeżdżać do domu po zmroku. Gdyby bowiem dostrzegli ją jacyś bigoci z miasteczka, mogliby wyrządzić jej krzywdę. Wiedziała, co to za ludzie, i przyrzekła sobie w duchu, że policzy się z nimi w odpowiednim czasie.

W zbyt lekkim jak na tę porę roku płaszczu i w cienkich, wełnianych rękawiczkach wspinała się na wzgórze, walcząc z ostrą śnieżycą. Zanim dotarła do Belwederu, jej włosy pokryła warstwa śniegu. Przed barierką dostrzegła niewielki powóz i okrytego derką konia. Weszła bez pukania, George pozwalał jej na to, i usłyszała głosy dobiegające z salonu; głosy Constance, George'a i jeszcze jednej osoby, którą rozpoznała jako miejscowego księdza rzymskokatolickiego.

Jaka może być chrześcijańska odpowiedź na kwestię Kansas? mówił właśnie ksiądz. To pytanie dręczy mnie od wielu dni. Czuję się w obowiązku przedyskutować ten problem z każdym z moich parafian, tak abym mógł poznać ich...

Przerwał na widok Virgilia stojącej w progu. George spojrzął na nią zaskoczony, Constance była najwyraźniej skonsternowana.

— Dobry wieczór, George. Constance. Ojciec Donnelly.

-- Nie spodziewaliśmy się ciebie... zaczął George. Nigdy nie wiedzieli, kiedy odwiedzi ich Virgilia, a więc witał ją zawsze tą samą uwagą. Od jakiegoś czasu zaczęło ją to nużyć.

Tym razem zareagowała na słowa brata wymuszonym uśmiechem, po czym zwróciła się do księdza:

Sytuacja w Kansas nie zasługuje na żadną chrześcijańską odpowiedź. To właśnie tak zwani chrześcijanie uczynili z Murzynów niewolników. Każdy, kto śmie przenieść niewolnictwo poza granice terytorium, powinien liczyć tylko na jedną odpowiedź, która wchodzi w rachubę. Na kulkę. Gdybym się teraz tam znajdowała, pierwsza pociągnęłabym za cyngiel.

Powiedziała to wszystkim tonem tak rzeczowym, że ksiądz, męczycyna w starszym wieku, oniemiał.

George nie stracił zimnej krwi. Siny z wściekłości, ale jeszcze panując nad sobą powiedział:

— Wydaje mi się, Virgilio, że powinnaś udać się na górę i zdjąć z siebie mokre ubranie.

Przez dłuższą chwilę nie spuszczała zeń wzroku, wreszcie mruknęła:

— Oczywiście. Życzę przyjemnego wieczoru, ojczu.

Po wyjściu księdza zirytowany George przechadzał się wielkimi krokami tam i z powrotem.

— Nie wiem, dlaczego tolerujemy zachowanie Virgilio. Cza sem odnoszę wrażenie, że nie postępujemy mądrze.

Constance potrząsnęła głową.

— Chyba nie chcesz traktować jej tak samo jak Stanley.

Mimo wszystko jest twoją siostrą.

Utkwił wzrok w grudce topniejącego śniegu, wniesionego do domu przez Virgilio.

— Coraz trudniej mi o tym pamiętać.

— Ale taka jest prawda — odparła.

Kiedy George obudził się, była jeszcze głucha noc. Constance kręciła się na łóżku.

— Co się stało? Czyżbyś znowu czuła się niedobrze?

Tylko takie wyjaśnienie przyszło mu do głowy, gdyż co najmniej od miesiąca była osłabiona. Mniej więcej dwa miesiące po tym, kiedy zorientowała się, że jest w ciąży, poroniła. W ciągu ostatnich trzech lat zdarzyło się to już trzeci raz. Po każdym poronieniu pojawiały się przykre i długotrwałe dolegliwości: zawroty głowy, poty i mdłości przez całe noce. George martwił się nie tylko o stan fizyczny żony, ale również psychiczny, zwłaszcza od czasu, kiedy lekarz stwierdził, że Constance może już nigdy nie donosić ciąży.

— Nic mi nie jest — odparła. — Ale muszę się ubrać i wyjść na godzinę. Mamy kolejną przesyłkę.

— Prawda! Zupełnie zapomniałem!

— Śpij.

Ale on stał już bosymi stopami na zimnej podłodze.

— Nie ma mowy. Jest okropna pogoda, a ty nie możesz iść pieszo aż do szopy. Zaraz się ubiorę i zajadę powozem pod drzwi.

Spierali się jeszcze przez chwilę; ona twierdziła, że nie ma potrzeby, aby George wychodził, on zaś nalegał. Oboje wiedzieli jednak, że to on postawi na swoim. Tak naprawdę Constance była szczęśliwa, że mąż chce jej towarzyszyć. Nie czuła się jeszcze zbyt dobrze, a na domiar złego dawały o sobie znać pierwsze objawy ostrego przeziębienia. Nie miała zbytnej ochoty wychodzić samotnie w mroźną noc, zrobiłaby to jednak, gdyby nie było innej możliwości.

George również cieszył się, że będzie towarzyszył żonie, ale

z innego powodu. W ten sposób będzie mógł zobaczyć przybysza, a może nawet porozmawiać z nim. W wyrobieniu sobie poglądu na problem, który stworzył rozłam w narodzie, bardziej pomagały mu rozmowy z ludźmi przierzucanymi nielegalnie przez granice poszczególnych stanów, niż wszystkie przemówienia, artykuły prasowe czy kazania razem wzięte. Zapiął szelki i pogłaskał żonę po ramieniu.

— Idę z tobą. I nie mówmy już na ten temat.

W dwadzieścia minut później skrzypiący powóz skręcał w stronę szopy na skraju terenu walcowni. Wewnątrz widoczny był odbłask lampy. George pomógł Constance zejść na ziemię. W rękę ścisnęła walizkę, którą wzięła z domu. Nieoczekiwanie pocałowała go. Jej wargi, podobnie jak jego policzki, były lodowate i zdrętwiałe z zimna. Ale pocałunek pozwolił zapomnieć o mrozie.

Podbiegła do drzwi i zastukała w umówiony sposób: dwa razy, przerwa i znowu dwa razy. George stąpał po iskrzącym się śniegu. Czuł, że świeży puch dostaje mu się do butów i topi pod stopami. Burza mijała. Księżyc wisiał na pogodnym niebie niczym wytworny talerz z porcelany.

Belzer, sklepikarz, uchylił ostrożnie drzwi i drgnął na widok drugiej osoby.

To tylko ja — szepnął George.

Ach tak. Proszę bardzo, proszę do środka.

Przybysz siedział przy stole, w rękę trzymał porcję suszonej wołowiny. Był to muskularny, ciemnoskóry mężczyzna, którego kości policzkowe wskazywały na domieszkę krwi indiańskiej. Mógł mieć jakieś trzydzieści pięć lat, ale jego kędzierzawe włosy były już całkiem siwe. George domyślał się dlaczego.

To jest Kee oświadczył Belzer tonem tak dumnym, jakby przedstawiał członka rodziny. Przybył do nas aż z Alabamy. Jego imię to zdrobnienie od Cherokee, gdyż z tego plemienia wywodziła się jego babcia ze strony matki.

Cóż, Kee, cieszę się, że jest pan tu z nami powiedziała Constance. Obok stołu postawiła walizę. — W środku są buty i dwie koszule na zmianę. Ma pan jakiś ciepły płaszcz?

— Tak, psze pani. — Zbieg miał dźwięczny, niski głos. Widać było, że czuje się nieswojo w obecności białych.

— Dostał płaszcz na stacji w pobliżu Wheeling wyjaśnił Belzer.

— To dobrze — powiedziała Constance. — W Kanadzie jest najczęściej jeszcze zimniej niż u nas. Ale tam przynajmniej nie będzie pan musiał bać się łapaczy niewolników.

— Chcę pracować — oświadczył Kee. — Ja dobry kucharz.

— Na pewno tym właśnie zajmował się przez większość swego życia — mruknął Belzer.

, George przysłuchiwał się rozmowie jednym uchem, całą swą uwagę skierował na postawę i zachowanie byłego niewolnika. Głowa zbiega zdawała się wyrastać wprost z ramion, tak jakby ustawicznie kurczył się ze strachu. Obawa i nieufność widoczne były w jego oczach nawet tu, na wolnym terytorium. Raz po raz rzucał ukradkowe spojrzenia na drzwi, jak gdyby liczył się z tym, że lada moment ktoś może wejść.

... pracował u nadzwyczaj surowego i złośliwego właściciela mówił Belzer. Kee, proszę pokazać to, co pokazał pan przedtem mnie, dobrze?

Zbieg odłożył na bok nie tknięty plaster mięsa, wstał, rozpiął koszulę i zsunął ją, obnażając tułów do pasa. Constance wydała zdławiony jęk i ścisnęła męża za ramię. George również poczuł, że robi mu się niedobrze; ciało Kee'a od ramion aż do krzyża pokryte było licznymi bliznami. Miejscami wyglądało tak, jakby tuż pod skórą zagnieździły się zmije.

Lagodnie zazwyczaj oczy Belzera iskrzyły się z gniewu.

— Niektóre pochodzą od bata, inne od rozżarzonego żelaza. Kiedy to się zaczęło, Kee?

Kiedy mieć dziewięć lat. Zebrałem jagody z ogrodu mojego pana. Zademonstrował dłonią, jaka to była garstka. — Tyle jagód.

George potrząsnął głową. Teraz już wiedział, dlaczego jego przekonania stały się ostatnio tak radykalne.

Potem, kiedy oboje leżeli już w łóżku, George objął żonę ramionami, chcąc rozgrzać siebie i ją.

— Za każdym razem, kiedy spotykam kogoś takiego jak Kee, zastanawiam się, dlaczego tolerowaliśmy niewolnictwo od tak dawna.

Nie mógł dostrzec błysku podziwu w jej oczach, kiedy odparła:

George, czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo się zmieniłeś? W tamtym czasie, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, nie powiedziałbyś czegoś takiego.

Możliwe. Ale wiem, co czuję teraz. Musimy znieść niewolnictwo. Byłoby lepiej, gdyby to się odbyło za zgodą i przy współudziale ludzi obecnie popierających ten system. Gdyby jednak zdecydowali się zignorować głos rozsądku, należy uczynić to bez ich pomocy.

--- A gdybyś musiał wybierać pomiędzy abolicją a przyjaźnią z Orrym? W końcu jest jednym z tych, którzy popierają ten system.

— Wiem. I mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał dokonywać takiego wyboru.

— Ale gdybyś jednak został do tego zmuszony, jak byś postąpił? Nie staram się wywierać nacisku, tylko ta sprawa

intryguje mnie już od dawna. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo lubisz i szanujesz Orry'ego...

Wiedział, że zadaje sobie ból, nie mógł jednak odpowiedzieć w inny sposób, nie pozwalało mu sumienie:

Raczej poświęciłbym przyjaźń niż to, w co wierzę.

Objęła go mocno i niebawem usnęła, tuląc się do męża. On zaś leżał jeszcze długo, nie mogąc pozbyć się wizji węzowatych blizn i ciemnych oczu wpatrujących się z trwogą w drzwi. A potem, kiedy zmorzył go sen, ujrzał czarnoskórego niewolnika wyjącego z bólu, podczas gdy jakiś mężczyzna przypalał go rozżarzonym żelazem.

O ile plantatorzy na Południu reprezentowali jedną skrajność, jego własna siostra uosabiała drugą, której George też nie cierpiał. W czasie tych dwóch dni spędzonych w Belwederze spierała się z bratem na temat suwerenności, praw dotyczących zbiegów i właściwie wszystkich innych aspektów niewolnictwa, przy czym jej stanowisko nie dopuszczało nawet najmniejszego kompromisu.

Cały ten problem rozwiązałabym jednym ciosem powiedziała przy kolacji. Constance, obawiając się, że rozmowa jak zwykle przerodzi się niebawem w kąśliwą kłótnię, odesłała dzieci, aby pobawiły się spokojnie. Wystarczyłby jeden dzień pracy na Południu, a byłoby po wszystkim dodała z uśmiechem, który przejął George'a dreszczem.

Nadziała na widelec trzeci kawałek ciasta, odgryzła kęs, połała je odrobiną gorącego sosu rumowego i spojrzała na brata zimno.

— Możesz wzdragać się i stroić miny, jak długo chcesz, George, możesz gadać o skrupułach i współczuciu, aż ci zabraknie tchu, ale ów dzień nadejdzie.

- Virgilio, to bzdury. Niemożliwe, aby bunt niewolników zakończył się sukcesem.

— Oczywiście, że to możliwe, o ile rewolucja będzie odpowiednio sfinansowana i zorganizowana. Jedna wspaniała noc ognia i sprawiedliwości, a wszelkie nierówności zostaną zmyte przez olbrzymią rzekę krwi.

Był tak wstrząśnięty, że omal nie upuścił filiżanki. Przez chwilę on i Constance wpatrywali się w siebie, potem przenieśli wzrok na gościa. Virgilia jakby ich nie dostrzegала. Siedziała patrząc na ścianę albo na jakąś apokaliptyczną scenę, która rozgrywała się w jej wyobraźni.

George miał ochotę ofuknąć ją, przywołać jakoś do porządku, jednak postanowił nie brać jej słów na serio.

— Powinnaś spróbować sił jako autorka melodramatów.

Spojrzała na niego ostro.

— Możesz sobie stroić żarty, ale ten dzień nadejdzie.

Constance, nie zrażona jej miną, postanowiła wmieszać się do rozmowy.

— Chyba zdajesz sobie sprawę, że to właśnie strach przed rewolucją czarnej większości powstrzymuje wielu Południowców od włączenia się do dyskusji o stopniowej, kompensacyjnej emancypacji?

— Emancypacja kompensacyjna to zgubny pomysł. Jak twierdzi pan Garrison, jest tym samym, co dawanie złodziejowi pieniędzy za to, że zwrócił przywłaszczone bezprawnie dobra.

— Niemniej emancypacja kojarzy się Południowcom przede wszystkim z wyzwolonymi niewolnikami rzucającymi się na nich z kamieniami i widłami. Twoje podburzające teorie pogarszają tylko sytuację.

Virgilia odsunęła swój talerz.

— To coś więcej niż teoria, możesz mi wierzyć.

— Powtarzasz się odezwał się gwałtownie George. — Ale skoro już o tym rozmawiamy, pozwól, że powiem coś bez osłonek. Powinnaś zaprzestać kontaktów z kapitanem Westonem.

Wpiła weń wzrok, jej głos stał się raptem cichy.

— Co wiesz o kapitanie Westonie?

— Wiem, że taki istnieje. Wiem, że Weston to tylko partyzancki pseudonim, wiem też, że jest ekstremistą dorównującym najgorszym awanturnikom Południa.

Zdobyła się na szydery uśmiech.

— Czyżbyś wynajął szpiegów, aby śledzili każdy mój krok?

Nie bądź głupia. Interesy zmuszają mnie do utrzymywania kontaktów z ludźmi w całym stanie, nawet z władzami w Harrisburgu. Każdy z nich ma uszy i słyszy. Przede wszystkim o tym, że kapitan Weston niezwykle aktywnie podżega do buntu czarnych na Południu, robiąc sobie wielu wrogów nawet wśród ludzi, którzy są właściwie przeciwni niewolnictwu. Tak więc lepiej trzymaj się od niego z daleka, jeśli nie, czekają cię poważne konsekwencje.

— Jeśli rzeczywiście będą jakieś konsekwencje, jak to na zwałę, będę dumna, że mogę je ponieść.

Przez moment poczuł zawrót głowy. Jak miał z nią postępować? Postanowił zmienić taktykę.

— Na twoim miejscu nie mówiłbym tego głośno. W Pensylwanii jest mnóstwo ludzi, którzy nienawidzą abolicjonistów; ludzie uciekających się nawet do przemocy.

Czy sukces i pieniądze uczyniły z ciebie takiego właśnie człowieka, George? Pozbawiły cię zasad i zastąpiły je tchórzostwem? Wstała i niczym obrażona królowa ruszyła do wyjścia.

Constance zakryła dłonią oczy.

— Nie mogę jej już znieść! Jaka to wstrętna fanaticzka!

Pochwyił dłoń żony, aby ją uspokoić, nie odrywał jednak wzroku od drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła Virgilia.

— To coś więcej niż fanatyzm — odparł łagodnie. Czasem odnoszę wrażenie, że ona nie jest przy zdrowych zmysłach.

Z otwartymi, wybałuszonymi oczyma i zsiniałym językiem, wysuniętym na zewnątrz, mężczyzna wisiał na linie przerzuconej przez krokiew. Nienaturalnie przechylona głowa świadczyła o tym, że pętla skrzyła mu kark.

Pod zeszytywniałym, obracającym się z wolna ciałem rozmawiało szeptem kilku mężczyzn. Dwaj trzymali w dłoniach płonące pochodnie. Za nimi stały podłużne skrzynie z wymalowanymi napisami: GEOR. AL. MISS. Jedna ze skrzyń miała wyłamane wieko. W środku leżały nowiutkie strzelby.

Grady, truchlejąc ze strachu, patrzył na to wszystko przez szparę we wrotach stajni. Wysłano go z Filadelfii w okolice Lancaster z zaszyfrowanym, długim na dwie strony meldunkiem. Człowiek, któremu miał dostarczyć przesyłkę, wisiał teraz w stajni. Dzięki Bogu przedzierając się przez las usłyszał głosy i zatrzymał się w porę.

Ostrożnie zaczął wycofywać się. Maciora karmiąca właśnie prosiaki chrząknęła głośno, kiedy przechodził obok chlewika. Hałas natychmiast zwabił przed wrota stajni uzbrojonych mężczyzn.

-- Hej, ty tam, stój!

Grady rzucił się do ucieczki. Nad jego głową świsnęła kula.

Łapcie tego czarnucha! Widział nas!

Grady biegł tak szybko, jak jeszcze nigdy dotąd. Co jakiś czas rzucał za siebie trwożliwe spojrzenia. Tamci gnali za nim na koniach. Za nimi widział ściany stajni skąpane w gasnącym, czerwonym blasku grudniowego słońca. Nieoczekiwanie ze stryszku wytrysnęły płomienie, pochłaniając olbrzymi, jaskrawy znak wymalowany nad wrotami.

A więc podpalili stajnię!

Ich kule nie dosięgły Grady'ego, dodały mu tylko sił. Dysząc ciężko wdrapał się na kamienisty stok wzgórza, ale stracił równowagę i padając na ziemię uderzył się w usta. Poczuł krew na twarzy, ale nie zwrócił na to uwagi i skoczył w gęste zarośla. Wreszcie, po półgodzinnym leżeniu w zimnej wodzie pod skarpa rzeczną, udało mu się zgubić pogoń. Dopiero wtedy uświadomił sobie, jak wysoką cenę zapłacił za życie. Łzy napłynęły mu do oczu, kiedy dotknął palcem górnej wargi.

Następnego ranka dotarł ostatkiem sił do chaty w Filadelfii. I tam wreszcie pozwolił sobie na chwilę słabości.

— Kapitan Weston nie żyje. Widziałem, jak wisiał na stryczku. Spalili go wraz z jego stajnią. Mało brakowało, a wpadłbym im w ręce. Zacząłem uciekać, przewróciłem się i zgubiłem moje nowe zęby. Do diabła, zgubiłem zęby! — Łzy pocięły mu po twarzy, kiedy padł w ramiona Virgilli.

— Już dobrze, już dobrze. — Objęła go i pogłaskała po głowie. — Nie płacz. Kapitan Weston nie nadawał się na przywódcę. Za dużo gadał i zbyt wielu ludzi wiedziało o nim prawie wszystko. Nadejdzie dzień, kiedy zjawi się ktoś lepszy od niego. I wtedy rewolucja zwycięży.

Tak, ale... nie mam już moich nowych zębów, niech to diabli!

Łagodnym gestem przyciągnęła do piersi jego głowę. Milczała. Z nikłym uśmiechem wpatrywała się gdzieś w dal, widząc oczyma wyobraźni strumień płynącej krwi. Krwi białych.

38

Ashton przekręciła klucz w zamku i upewniła się raz jeszcze, że drzwi są dobrze zamknięte. Podbiegła do okna sypialni i zatrzasnęła okiennice. Starła się zwalczyć narastającą panikę, niestety bez rezultatu.

Zdjęła z siebie ubranie, sztuka po sztuce, rozrzucając je po pokoju, po czym naga stanęła przed lustrem, oglądając dokładnie swoje odbicie.

Czy można już coś dostrzec? Nie, jeszcze nie. Brzuch pozostał gładki i płaski. Ale z pewnością nie na długo. Od czasu wyjazdu do West Point upłynęło już mniej więcej dziewięćdziesiąt dni i okazało się, że jej nierozwaga spłatała jej figła.

Trudno byłoby o bardziej nieodpowiedni moment. Właśnie miesiąc temu, znużona ustawicznymi prośbami Huntoona, dała za wygraną i zgodziła się poślubić go wiosną. Tymczasem już wtedy wiedziała, że nie miała miesiączki, wmawiała jednak sobie, że to na pewno drobna, kobieca dolegliwość, która prędko minie, a nie konsekwencja owej rozkosznej nocy w laboratorium chemicznym.

Mimo upływu czasu problem nie zniknął, a Huntoon przeprowadził rozmowę z Orrym; ustalono termin ślubu na marzec. Pułapka zatrzasnęła się.

Boże Wszchemogący, co mam teraz zrobić? zapytała ciemnowłosą dziewczynę, spoglądającą na nią z lustra.

Orry! Zwróci się do Orry'ego. Na pewno okaże się miły

i wyrozumiały. W ciągu tych pięciu minut, kiedy ubierała się i wpinała we włosy spinki i grzebienie, zdołała przekonać samą siebie, że to wspaniale rozwiązanie. Raptem uświadomiła sobie, jak bardzo jest głupia. Kiedy zaczęła myśleć o tym poważnie, zdała sobie sprawę, że jej brat nigdy nie zgodzi się na to, co układała już sobie w głowie.

Może więc Brett? Natychmiast odrzuciła ten pomysł. Wolałaby już pójść do piekła, niż dać siostrze satysfakcję, zdradzić się przed nią. A zresztą Brett trzymała się ostatnio Orry'ego; kręciła się stale koło niego, omawiała z nim to i owo, jak gdyby była już panią w Mont Royal... Mała, zarozumiała dziwka! Gdyby poznała jej tajemnicę, z pewnością pobiegłaby od razu do brata i wypaplała wszystko.

Straszliwy, kłujący ból przeszył nagle jej czoło i rozszedł się na wszystkie strony. Otworzyła drzwi i powoli zeszła na dół, do holu. Kiedy była na dolnym podejściu schodów, odniosła wrażenie, że coś drgnęło jej w brzuchu. Owładnięta paniką przycisnęła dłonie do sukni, starając się wyczuć jakiś kształt.

Nie, nic tam nie ma. To z pewnością gazy. Ostatnio cały jej organizm nie funkcjonował jak należy.

Z pomieszczenia za nią wyłoniła się Brett, trzymała w ręku list.

Billy studiuje teraz chemię! Píše, że profesor Bailey jest wspaniały. Pokazuje im, gdzie można zastosować chemię, na przykład przy produkcji bawełny strzelniczej, heliografu...

- Myślisz, że choć trochę obchodzą mnie sprawy Billy'ego? krzyknęła Ashton i pobiegła dalej.

Wielki Boże, co w ciebie ostatnio wstąpi...?

Trzask zamkniętych gwałtownie drzwi frontowych zagłuszył resztę słów.

Wystraszona, na wpół oślepiąca przez nisko wiszące na niebie grudniowe słońce Ashton puściła się pędem nad Ashley. O mały włos wpadłaby do rzeki, zanim jeszcze zorientowała się, że to już brzeg. Przez moment wpatrywała się w roziskrzone fale, zastanawiając się, czy nie powinna odebrać sobie życia.

Ale jakiś rezolutny, wewnętrzny głos kazał jej odrzucić ten pomysł. James Huntoon to może rzeczywiście fajtlapa, miękki, bez charakteru, obraca się jednak wśród ważnych osobistości politycznych i staje się człowiekiem coraz bardziej wpływowym. Nie miała zamiaru rezygnować z tego małżeństwa ani z możliwości, które się z nim wiązały, popełniając samobójstwo niczym owe głupiutki bohaterki ze sznurowatych powieści.

Ale co jej w takim razie pozostało? Do kogo zwrócić się o pomoc? Napytała sobie biedy postępując lekkomyślnie i chociaż wiedziała, że kiedyś wreszcie może wpaść w poważne

tarapaty, nie uczyniła nic, aby się zabezpieczyć. No cóż, w Mont Royal nie może liczyć na żadną pomoc. Wszystkie Murzynki nienawidzą jej i odnoszą się nieufnie, tak samo zresztą jak ona do nich. Nie mogła również spodziewać się pomocy ze strony biednej matki. Jedyne, co Clarissa potrafiła ostatnio robić, to snuć się po domu z łagodnym uśmiechem na twarzy albo przesiadywać godzinami i wymazywać linie, które poprzedniego dnia narysowała na drzewie genealogicznym.

— Do diabła! — powiedziała Ashton do dużej, niebieskiej sójki, obserwującej ją złym okiem z liścia dzikiej palmy. — W całej Karolinie Południowej nie ma ani jednej osoby na tyle mądrej czy godnej zaufania, aby...

Raptem przed jej oczyma pojawiła się twarz kobiety. Jeśli ktokolwiek mógł jej pomóc, to przede wszystkim ona. Przynajmniej mogła wskazać odpowiedniego człowieka. Wszyscy mówili, że Murzyni ją wręcz ubóstwiają. Co więcej, ślepo jej ufają.

Ale co powie na sposób, w jaki Ashton zamierzała rozwiązać swój problem? Niektóre kobiety uważały to za grzech.

Dowiesz się tego tylko wtedy, kiedy poprosisz ją o pomoc — powiedziała sobie w duchu. A zresztą nie miała wyboru, chyba że pogodziłaby się z myślą o fiasku wszystkiego, co sobie zaplanowała.

Dziwne! Im dłużej rozważała ten pomysł, tym lepiej się czuła. W nocy zapadła w smaczny sen, a kiedy następnego ranka szykownie ubrana, w rękawiczkach i z parasolką, schodziła po schodach, sprawiała wrażenie świeżej i wypoczętej.

Zawołała do stangreta, aby podjechał po nią powozem i niemal w tej samej chwili zza węgła wyłonił się Orry. Miał podwinięty prawy rękaw, w rękę trzymał młotek.

— O, ładnie dziś wyglądasz — powiedział, wsuwając młotek za pas.

Doprawdy, Orry... wydaje mi się, że bierzesz mnie za którąś z tych starych kobiet, dla których istnieje tylko codzienny kierat domowy i które nie potrafią zadbać o siebie. Może Brett jest taka jak one, ale nie ja.

Przyglądał swą dłonią brodę, ignorując uwagę siostry.

Wybierasz się z wizytą?

— Tak, jadę do Resolute. Odkąd po raz ostatni złożyłam swoje uszanowanie Madeline, minęło chyba zbyt wiele czasu.

Drzwi otworzył czarny, pomarszczony lokaj.

Pani Madeline? W salonie muzycznym. Proszę tu zaczekać, a zaanonsuję panią, panno Ashton.

Oddalił się dostojnym krokiem. Tymczasem otworzyły się inne drzwi, zza których wychylił głowę Justin.

— Kto tam? Och, Ashton. Dzień dobry. Nie widziałem pani już od dawna.

— Tak, prawda, od bardzo dawna. — Ashton uśmiechnęła się i zauważyła: — Wygląda pan na wzburzonego, Justin.

— I nic dziwnego. — Podeszedł do niej bliżej, wymachując egzemplarzem „Mercury”. — Na Północy tworzy się coraz więcej tych diabelskich grup republikańskich, a wszystkim im chodzi tylko o jedno: uchYLENIE PRAW O Zbiegłych niewolnikach i ustawy Kansas-Nebraska.

Ashton westchnęła ciężko.

Czy to nie okropne? Chociaż Orry powiedział, że przynajmniej jedna wieść jest dobra: w Kansas wybrano przedstawiciela do Kongresu, który opowiada się za niewolnictwem. Nigdy w takich sytuacjach nie była pewna, czy wyraża się właściwie. — To prawda?

Owszem. Ale granicę z Missouri musiało przekroczyć wielu porządnym ludzi, aby zapewnić odpowiedni przebieg wyborów. Modłę się do Stwórcy, aby ta nowa partia przestała istnieć jak najprędzej. Jej działalność to nic innego, jak tylko kombinacje jankeskich fanatyków, którzy chcą nam zaszkodzić.

Trzepnął gazetą o rękę i odszedł wreszcie. Ashton odetchnęła z ulgą, starając się opanować zdenerwowanie. Wyciągnęła z torebki wykrochmaloną, koronkową chusteczkę i przyłożyła ją do górnej wargi. Lokaj wrócił już i poprowadził Ashton do salonu muzycznego.

Madeline wstała, aby ją powitać. Z uśmiechem poprawiła suknię. Uśmiech wyrażał jedynie uprzejmość, nic poza tym; obie kobiety nigdy nie odnosiły się do siebie zbyt ciepło. Ashton rzuciła okiem na małą książeczkę, którą Madeline odłożyła na stolik. *Walden albo życie w lasach*. Nigdy o niej nie słyszała. Ludzie powiadali, że Madeline czyta wiele tandetnych książek, napisanych przez Jankesów.

— To doprawdy miła niespodzianka, Ashton. Wygląda pani wspaniale.

Pani... pani również.—Po tym drobnym potknięciu doszła już całkowicie do siebie i postanowiła odegrać swą rolę tak dobrze, jak tylko potrafi.

— Zadzwońię po lokaja, aby podał coś orzeźwiającego.

— Nie, dziękuję. Przyjechałam tu, bo chciałam przeprowadzić z panią poważną rozmowę. Nikt inny nie może mi pomóc.

— Udając przestrach zerknęła ostentacyjnie za siebie i dodała:

— Nie będzie pani miała nic przeciw temu, jeśli zamknę drzwi, abyśmy mogły porozmawiać bez przeszkód?

Ciemne brwi Madeline uniosły się do góry.

— Oczywiście, że nie, bardzo proszę. Czyżby ktoś z pani rodziny zachorował? Może Orry?

Ashton podbiegła do drzwi i zamknęła je. Gdyby nie była tak bardzo zaabsorbowana swą rolą, jej uwagi nie uszedłby ów osobliwy ton w głosie Madeline, kiedy zapytała o jej brata.

Nie, wszyscy zdrowi. To ja potrzebuję pomocy. Powiem bez ogródek, Madeline, gdyż oprócz pani nie znam tu nikogo innego, komu mogłabym zaufać i poprosić o radę. Z całą pewnością nie mogę zwrócić się do mojej rodziny. Widzi pani, parę miesięcy temu... — urwała z rozmysłem, aby osiągnąć większy efekt — popełniłam czyn nierozważny. I oto teraz znalazłam się, że tak powiem, w kłopotliwej sytuacji.

— Rozumiem.

Madeline powiedziała to łagodnie, bez cienia potępienia. Wskazała ręką na krzesło.

— Proszę usiąść.

Dziękuję. To takie męczące, gdy trzeba samemu dźwigać swój sekret. Zaczynam już tracić głowę... Łzy napłynęły jej do oczu niemal w tej samej chwili, kiedy tego zapragnęła. Ale właściwie co w tym dziwnego? Była zrozpaczona. Wszystko musiało być przeprowadzone bez zarzutu, w przeciwnym razie byłaby zgubiona. Nie mogła liczyć na jeszcze jedną szansę.

— Mogę to zrozumieć — szepnęła Madeline.

Zna pani tylu ludzi w sąsiedztwie... i wszyscy tak bardzo panią cenią... właśnie dlatego wiedziałam, że mogę mówić tak otwarcie... błagać panią o pomoc...

— Domyślam się, że pani nie chce mieć tego dziecka?

— Po prostu nie mogę! Na wiosnę poślubię Jamesa. Data ślubu jest już ustalona. Ja go kocham, Madeline...

Czy to kłamstwo zabrzmiało dostatecznie przekonująco? Kolana Ashton trzęsły się pod spódnicą jak w febrze. Przycisnęła je mocno do siebie.

— Ale, niech mi Bóg wybaczy... odniosła wrażenie, że westchnienie było przesadzone. Spuściła oczy. To dziecko nie jest jego.

Nie interesuje mnie, czyje to dziecko. Ale byłabym nieuczciwa, gdybym nie powiedziała, że nie pochwalam rozwiązania, które pani obmyśliła.

Teraz — pomyślała Ashton, zdjęta paniką. Teraz! Nie wahaj się.

Pochyliła się, nie wstając z krzesła, i poczęła szlochać tak rozpaczliwie, że niemal sama uwierzyła w prawdziwość swych łez.

- Och, właśnie tego się obawiałam! Tak wiele kobiet potępia to! Podziwiam panią, że ma pani własne przekonanie. Ja... przyznaję otwarcie, że zgrzeszyłam. Ale czy muszę utracić Jamesa i patrzeć, jak całe moje życie wali się... tylko dlatego, że popełniłam jeden nieodpowiedni krok? Czy nie mogłaby pani

wymienić przynajmniej jednego nazwiska? Wiem przecież, że są w tych stronach ludzie, którzy pomagają dziewczętom w takiej sytuacji. Nigdy nie zdradzę nikomu, skąd uzyskałam informacje. Proszę mi tylko powiedzieć, do kogo mogę się zwrócić o pomoc. — Złożyła ręce jak do modlitwy. — Proszę, Madeline.

Madę linę spoglądała na nią bacznie. Widok zaczerwienionych oczu Ashton rozwiewał stopniowo jej podejrzenia. Wreszcie szeleszcząc suknią podeszła do gościa i objęła ją ramieniem.

— Proszę się uspokoić, pomogę pani. Nie będę udawała, że uważam to za właściwe, ale też nie sędzę, że należy, jak sama pani powiedziała, niszczyć sobie życie z powodu kilku chwil nie kontrolowanych emocji. Wszyscy miewamy takie chwile. Potem dodała z namysłem: Znam kobietę, która żyje w głębi moczarów i powiedziała mi kiedyś, że mogę przyjść do niej, gdybym znalazła się w tarapatach. Ale gdyby miała pani iść do niej sama, byłoby to zbyt niebezpieczne. Ktoś powinien pójść z panią.

Zwrócona na Madeline twarz Ashton rozjaśniła się promykiem nadziei. Gospodyni nabrała powietrza, jak gdyby miała wskoczyć w głęboką wodę, niemal tak właśnie się czuła, gdyż naprawdę nie miała ochoty wplątywać się w kłopoty tej płytkiej, aroganckiej dziewczyny, która zwróciła się do niej o pomoc dlatego tylko, że nie miała innego wyjścia. Ale Ashton była człowiekiem, człowiekiem w potrzebie. A los chciał, aby Madeline pomagała ludziom.

Pójdę tam z panią powiedziała nagle. Ale muszę mieć kilka dni czasu, aby porozmawiać z kim trzeba i dowiedzieć się dokładnie, którędy iść. Nie byłam jeszcze nigdy u Aunt Belle. Och, dziękuję, och Madeline, jest pani najcudowniejszą, najwrażliwszą...

Nie tak głośno, proszę przerwała jej Madeline stanowczo, choć nie szorstko. — Muszę wtajemniczyć w to moją pokojówkę Nancy, ale nikt więcej nie może się o tym dowiedzieć. Nie wolno nam przecież dopuścić, aby ucierpiała pani reputacja albo żeby wpadła pani w kłopoty.

I również ja nie chcę wplątać się w kłopoty pomyślała nerwowo Ashton, przypominając sobie nagle Justina.

Przygotowania wymagały nie lada trudów. Przede wszystkim należało nawiązać kontakt z akuszerką. Tym zajęła się Nancy. Następnie trzeba było ustalić datę i powiadomić o tym Ashton w zapieczętowanym liście. List przemycił do Mont Royal jedyny mężczyzna, któremu Nancy ufała, wysoki niewolnik o skórze w kolorze herbaty. Miał na imię Pete, a Nancy żyła z nim od ponad roku.

Na kilka dni przed wyznaczoną datą Madeline powiedziała mężowi, że chce pojechać do Charleston, aby zrobić niewielkie zakupy. Mruknięciem wyraził zgodę, nie zwracając niemal uwagi na wzmiankę, że zostanie tam na noc. Nalegał jednak, żeby wzięła ze sobą Nancy i jednego niewolnika. Z tym warunkiem liczyła się od samego początku.

W nocy poprzedzającej fikcyjną podróż do Charleston spała niewiele. Około jedenastej do jej sypialni wtoczył się Justin; wraz z Francisem siedzieli na dole przez dwie ostatnie godziny, pijąc i przeklinając agitatorów z Kansas, którzy wzywali do zniesienia niewolnictwa. Bez słowa podszedł do łóżka, zadarł jej nocną koszulę, ujął nogi w kostkach i rozsunał je gwałtownie. Dziesięć minut później, w dalszym ciągu bez jednego słowa, wyszedł z pokoju.

Nienawidziła go za brutalność. Ale gdy odwiedzał ją nocą, wracał przynajmniej potem do siebie i zostawiał ją w spokoju do rana. Teraz mogła mieć nadzieję, że Justin nie zauważy, jak bardzo jest zdenerwowana.

Rankiem — był to słoneczny, pogodny dzień, dokładnie dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia — Nancy spakowała walizę Madeline. W południe Pete podjechał kolaską z podniesionym daszkiem, który miał chronić przed niepogodą. W ciągu ostatniej godziny słońce skryło się za chmurami, zanosilo się na burzę. Madeline nie była tym zachwycona, nie mogła już jednak zmienić planów.

Kiedy zostawili za sobą Resolute, przejęła cugle od Nancy, Pete biegł truchtem po lewej stronie kolaski, w ten sposób dotarli do małego uczęszczanego skrzyżowania dróg, gdzie w swoim powozie czekała już na nich Ashton. Dziewczyna była blada, wyglądała na wystraszoną.

Pete wsiadł do dwukółki Ashton i wjechał w las. Jego przyjaciel, człowiek wolny, mieszkał w pobliżu. Pete miał przenocować w jego domu i spotkać się z kobietami na skrzyżowaniu nazajutrz o tej samej porze. Ashton wyjaśniła, w jaki sposób usprawiedliwiła swoją nieobecność w Mont Royal; ona również miała rzekomo spędzić noc u swojej przyjaciółki, która w ogóle nie istniała. Madeline słyszała jej głos, docierały do niej jednak tylko niektóre słowa.

We trzy stłoczyły się w kolację, Ashton siedziała pośrodku. Madeline zdawała sobie sprawę, że siostra Orry'ego wołałaby nie siedzieć tak blisko Murzynki, musiała się jednak z tym pogodzić.

Madeline pociągnęła za cugle i powóz ruszył z miejsca. Zatraskana zerknęła raz po raz na płynące szybko po niebie szare chmury. Jej niepokój wzrastał z każdą chwilą. Ale cała ta eskapada miała przynajmniej jedną zaletę; chata Aunt Belle Nin stała na odludziu, w głębi mokradła, jedyne drogi, które tam

wiody, były błotniste, niemal bezludne, rzadko uczęszczane. Można było mieć nadzieję, że dotrą tam nie spotkawszy żywej duszy, a przynajmniej nikogo, kto mógłby je rozpoznać.

Kiedy były już w połowie drogi, niebo ściemniało. Lunął deszcz i siekający grad, zerwał się porywisty wiatr. Droga biegnąca wzdłuż mokradeł zamieniła się natychmiast w bagnistą breję. Madeline zatrzymała kolaskę. Po dziesięciu minutach grad i deszcz ustał, przycichł też nieco wiatr. Madeline musnęła grzbiet konia lejcami. Ruszyły w dalszą drogę, nie ujechały jednak jeszcze piętnastu jardów, kiedy lewe koło ugrzęzło w błocie.

— Wsiadamy — poleciała Madeline.

Razem z Nancy wsparły się plecami o koło i wy dostały je z błota. Ashton stała tuż obok, przyglądając się ich wysiłkom. W tej samej chwili, kiedy koło powozu opadło na twardy grunt, Madeline usłyszała coś, co sprawiło, że serce podeszło jej do gardła. Droga zbliżała się jakiś jeździec.

— Proszę tu podejść! Niech się pani tu skryje! — zawołała do zaskoczzonej poleceniem Ashton.

Madeline nie sądzi chyba, że posłucham jej i skryję się w tych mokrych, brudnych zaroślach, niszcząc szykowną suknię?

— Do diabła, dziewczyno, szybciej! ponagliła ją Madeline. Wepchnęła Ashton w gąszcz w ostatniej chwili; zza zakrętu wypadł mężczyzna, pędził co koń wyskoczy, zwolnił jednak na widok kolaski.

W jego krępej postaci i czarnym, szerokoskrzydłym kapeluszu było coś znajomego i raptem Madeline poczuła ucisk w brzuchu. Rozpoznała przybysza. Czy on też ją pozna?

— Pani Madeline, co pani, na Boga, porabia podczas burzy tak daleko od Resolute? - zapytał Watt Smith, mężczyzna w średnim wieku, który często urządzał gonitwy konne z Justi-nem.

— Mam pewną sprawę do załatwienia, panie Smith.

Na tym odludziu? Przecież tu nikt nie mieszka oprócz paru głupawych czarnuchów. A może zgubiła pani drogę?

Potrząsnęła głową, ale Smith nie wyglądał na przekonanego. Obrzucił Nancy niechętnym spojrzeniem.

— Dla białych kobiet te drogi nie są bezpieczne, połowa czarnuchów stale gada o powstaniu. Czy życzy pani sobie, abym jej towarzyszył?

— Nie, dziękuję, wszystko będzie w porządku. Życzę przyjemnego dnia.

Urażony i zaintrygowany odmową Smith spojrział na nią posepnie, przytknął palec do kapelusza i odjechał.

Madeline odczekała pięć minut i dopiero wtedy zawołała Ashton, aby wyszła z kryjówki. Serce waliło jej jak młotem. Czy ta sprawa nie wyjdzie teraz na jaw?

No cóż, co się stało, to się nie odstanie. Teraz należało iść konsekwentnie dalej.

W zmurszałej chacie Ashton pojękiwała raz po raz, chociaż nic się jeszcze nie wydarzyło. Madeline siedziała w bujanym fotelu na małym ganku, usiłując wypocząć po trudach dnia.

Stara, żylasta Aunt Belle, w jednej ósmej Murzynka, przysłuchiwała się spokojnie krzykom pacjentki, pykając ze swojej glinianej fajki.

— Jak tylko będzie po wszystkim, a ona wypocznie, rozłożymy w środku sienniki dla pani i Nancy.

— To bardzo miłe z twojej strony, Aunt Belle. Dziękuję.

— Chcę, aby pani wiedziała — wskazała na Madeline cybuchem — że robię to tylko dlatego, że pani o to prosiła. Ta dziewczyna obchodzi się bardzo źle ze swymi ludźmi.

— Wiem o tym. Nigdy nie byliśmy sobie bliskie, ale mimo to czułam, że muszę jej pomóc. Nie miała nikogo innego, komu mogłaby zaufać.

— Niech pani tylko nie przyzwyczaja się nadstawiać głowy dla takich jak ona. To zła, zepsuta pannica, niegodna nawet tego, by całować panią w piętę.

Madeline uśmiechnęła się blado. Aunt Belle weszła do chaty, zamykając za sobą drzwi.

Na jej widok Ashton zaczęła lamentować głośniej. Stara akuszerka zawołała:

Nancy, weź no tę butelkę żytniówki i wlej jej trochę do gardła. A ty, panienko, zamknij się i leż cicho, bo inaczej odeślę cię z powrotem i wtedy urodzisz swego bękarta, czy chcesz tego, czy nie.

Łkania Ashton ucichły, a Madeline opadła z powrotem na fotel, próbując się odprężyć. Na próżno. Nie potrafiła zapomnieć podejrziwych oczu Watta Smitha.

Kiedy nazajutrz jechały w stronę skrzyżowania, Ashton kilkakrotnie traciła przytomność, ale Madeline nie mogła oprzeć się wrażeniu, że dziewczyna udaje; prawdopodobnie sądziła, że tak wypada. Pete czekał już na nie w dwukółce, do której wsadzili Ashton. Przy pożegnaniu Ashton zdobyła się zaledwie na nikły uśmiech i zdawkowe słowa podziękowania.

Wczorajsza burza usiała drogi gałęziami i palmowymi liśćmi. Również teren wokół Resolute wyglądał nieporządnie.

Muszę powiedzieć kilku ludziom, żeby posprząтали — pomyślała Madeline — Ale nie dziś. Jutro będzie na to dosyć...

— Pani Madeline! — Wystraszony szept Nancy wyrwał ją

z sennej zadumy. Podniosła wzrok i ujrzała Justina krocącego zamasyżycie od strony domu. Jego mina nie wróżyła nic dobrego.

— Podobno pojechałaś w górę rzeki, aby odszukać Charlesa — krzyknął. — Czyżbyś zapomniała już, gdzie jest?

Ogarnęły ją panika i zakłopotanie. Z pewnością Watt Smith wstąpił do Resolute, aby powiedzieć, że widział ją na odludnej drodze, gdzie nie powinna znaleźć się żadna porządna biała kobieta. Każdy sumienny mężczyzna zrobiłby to samo. Właściwie spodziewała się, że tak postąpi, starała się jednak odsunąć tę myśl.

— Justin...

Urwała. Była zbyt oszołomiona i zmęczona, aby wymyślić jakieś kłamstwo.

Nancy i Pete wymienili przerażone spojrzenia, a Justin podszedł do powozu, chwycił żonę i wyciągnął ją na zewnątrz. Serce podeszło jej do gardła; nie mogła uwierzyć, że jest zdolny uśmiechać się w takiej chwili. Najwyraźniej cieszył go fakt, że przyparł ją do muru.

Gdzie byłaś? Szarpnął ją za rękę, sprawiając ból.

Przyprawiałaś mi rogi?

Justin, na miłość boską, nie możesz mówić takich rzeczy w obecności... auu!

Łzy napłynęły jej do oczu; znowu szarpnął ją za rękę, tym razem mocniej.

Łajdaczyłaś się za moimi plecami, czy nie tak? No nie, niebawem dowiemy się wszystkiego! Pociągnął ją za sobą do domu.

— Pytam cię po raz ostatni: gdzie byłaś?

Zostaw mnie, Justin, proszę. Nie zdradziłam cię, jak to nazywasz. Nigdy bym tego nie uczyniła. Ślubowałam ci przecież! Mówiąc to cofała się przed nim, on zaś kroczył w jej stronę przez całą sypialnię; jego uwalane gnojem buty stąpały cicho i miarowo. Niewielki trójnóg z wazą, który stał na jego drodze, jednym ruchem rzucił za siebie. Rozległ się brzęk, waza rozprysła się na części.

W takim razie gdzie byłaś?

— Miałam... coś osobistego do załatwienia. Kobięce sprawy.

— Była tak przerażona, że nie wiedziała, co powiedzieć.

— Muszę uzyskać dokładną odpowiedź. Jego ręka wystrzeliła znowu do przodu i pochwyciła jej dłoń. Odpowiedź zgodną z prawdą.

— Puść mnie, to boli! Puść albo zacznę krzyczeć na cały dom!

Jej groźba ubawiła go najbardziej, gdyż cofnął się o krok, puszczając jej rękę.

— No to krzycz. Nikt nie będzie się tym przejmował, może tylko ta murzyńska dziwka, którą wzięłaś sobie za przyjaciółkę. Ale przyjdzie pora, że zajmę się również nią, nie ma obawy.

Nowa, jeszcze silniejsza fala strachu przeszła Madeline. Wiedziała, że nie ugnie się przed Justinem, zniesie wszystkie jego pytania. Ale jeśli zacznie przesłuchiwać biedną Nancy...

— Niepotrzebnie tak się niepokoisz, moja droga. —Jego głos był teraz miły, jakby wiedli przyjacielską pogawędkę. — Nie zamierzam znęcać się nad tobą fizycznie. Nawet włos nie spadnie ci z głowy; to tylko zrobiłoby złe wrażenie na sąsiadach. A zresztą jesteś damą, a przynajmniej wydaje ci się, że nią jesteś. Chłosta czy też inne tego typu metody perswazji są dobre dla czarnu chów, wypróbuję je dziś wieczorem na tej twojej dziwce i czarnym samcu. A póki co, proszę cię bardzo grzecznie, abys powiedziała mi, gdzie byłaś.

Wybuchnęła płaczem. Nienawidziła swej słabości, która doprowadziła ją do łez, ale nie mogła nic na to poradzić; napięcie, wyczerpanie i strach okazały się zbyt silne. Straciła panowanie nad sobą.

Przecież powiedziałam ci już: nie zdradziłam cię. Nigdy bym nie mogła cię zdradzić.

Przeciągłe, pełne rozczarowania westchnienie.

Moja droga, nie mogę zaakceptować takiej odpowiedzi. Będę zmuszony zostawić cię w tym pokoju, dopóki nie dojdiesz całkowicie do siebie.

Zostawić mnie...?

Dopiero po chwili pojęła, co ma na myśli, i jej oczy rozszerzyły się z trwogi. Niczym zwierzę umykające przed zagładą pobiegła do drzwi. Prawie jej się udało; palce znajdowały się już zaledwie o parę cali od błyszczącej, mosiężnej gałki. Ale on był szybszy. Chwyił jej dłoń w przegubie i pociągnął do tyłu. Madeline krzyknęła, uderzyła o krawędź łóżka i padła na podłogę.

— Dotknęłaś mnie bardzo głęboko kłamstwem i nieposłuszeństwem. Tym razem nie ograniczę kary do jednego dnia i jednej nocy. Zegnam, moja droga.

Justin!

Gończkowo usiłowała obrócić gałkę i w końcu zdołała uchylić drzwi na pół cala. Ale on był silniejszy, zatrzasnął je z drugiej strony. Na dźwięk klucza przekręcanego w zamku poczuła, że zamarło w niej serce.

Po drugiej stronie drzwi Justin przestał się uśmiechać i dał wreszcie upust swym uczuciom; ogarniającej go wściekłości. Kara, którą dopiero co zarządził uwięzienie żony na przynajmniej tydzień — była półśrodkiem. Madeline stawiała mu czoła od lat, czytając te swoje podejrzane książki i głosząc niegodne kobiety poglądy. Jej ostatnia eskapada stanowi jedynie punkt

kulminacyjny szerzej rozumianego buntu, buntu podsycanego jeszcze bardziej przez jego tolerancję...

I słabość.

Ale to się zmieni — przysiągł sobie w duchu, zbiegając na dół. Jeszcze ze schodów zaczął krzyżeć na służbę, aby odszukała Nancy i Pete'a. Jednak nikt nie mógł ich znaleźć.

Upłynęła jeszcze godzina, zanim Justin zorientował się, że niewolnicy uciekli. Natychmiast wysłał do Francisa gońca z poleceniem zorganizowania jak najszybciej pościgu. Konny patrol miał zastrzelić zbiegów na miejscu.

Uciekinierów dostrzeżono tylko raz, w dwa dni później, kiedy przeprawiali się promem przez rzekę Savannah. W jakiś sposób zdobyli sfalszowane przepustki, ale i tak nikt nie zażądał ich okazania, nikt też nie ujrzał ich już nigdy więcej w okolicach Resolute.

Od jak dawna siedzi zamknięta w tym pokoju? Od trzech dni? Nie, to już cztery pomyślała.

W żaden sposób nie mogła dowiedzieć się czegokolwiek o losie Nancy lub Pete'a. Bała się, że może poddano ich torturom albo nawet zostali zabici. Z czasem zaczęły nękać ją zawroty głowy, z trudem też przypominała sobie, czemu zamartwia się o tamtych dwoje. W dzień spała, nocami zaś kręciła się niespokojnie tam i z powrotem po pokoju jak po klatce. Pod szczelnie zamkniętymi oknami stał przez całą dobę któryś z niewolników, pilnując jej, a o wschodzie słońca pod drzwiami pokoju podchodziło dwóch czarnych służących; jeden stał na straży, podczas gdy drugi wsuwał do sypialni jej dzienny przydział pożywienia: trzy kromki gruboziarnistego ciemnego chleba oraz niewielką miseczkę wody. Przez kilka sekund drzwi pozostawały otwarte, niewolnicy rzucali jej ukradkowe, smutne spojrzenia, żaden jednak nie śmiał odezwać się do niej choćby słowem.

Ponieważ nie dostawała wody do mycia, codziennie używała część zawartości miseczki, ale to nie pomagało wiele. Niebawem zaczęła cuchnąć. Po trzech dniach ktoś wśliznął się do pokoju, gdy spała, i opróżnił nocnik. W tym czasie w sypialni śmierdziało już jak w stajni.

Ale czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Z każdą upływającą chwilą traciła kontakt z rzeczywistością. W uszach rozbrzmiewały jakieś dzwonki, dostrzegała dziwne światelka, purpurowe albo śnieżnobiałe, tańczące w kącie...

A może to tylko złudzenie?

Orry, Orry, dlaczego nie przyszedłeś wcześniej?

Stał w drzwiach, wyciągając ku niej prawą rękę, w oczach miał nieopisany smutek. Rozeźmiała się z ulgą i podbiegła do niego, ale nim dotknęła jego dłoni, zniknął.

Rozpląkała się. Gdzieś w głębi jej duszy jakiś cichy, spokojny głos powiedział: Twój ojciec zapadłby się ze wstydu pod ziemię, gdyby cię zobaczył.

Ale to nie miało już żadnego znaczenia. Była chora, wycieńczona i przerażona. Wkrótce jej łkania przerodziły się w wycie.

— Jakiś wzmacniający posiłek... tego właśnie jej trzeba.

— Dobrze, doktorze głos Justina był pełen troski. — Aleja od tygodnia już usiłuję namówić ją, aby coś zjadła. Stale odmawia.

Spojrzeni po sobie; i lekarz, i Justin byli uosobieniem współczucia i niepokoju. Jedynie ich oczy wyrażały prawdziwe uczucia.

Madeline dostrzegła wszystko, nie potrafiła jednak pojąć, co się wokół niej dzieje. Leżała na łóżku półprzytomna, ciemne włosy opadały w nieładzie na ramiona, duże oczy przypominały oczy dziecka. Twarz była biała jak mąka.

- Och, nie jestem tym wcale zaskoczony — odparł lekarz i skinął wyrozumiale głową. To bardzo często spotykany symptom wyczerpania nerwowego. Był to korpulentny, wytwornie ubrany mężczyzna o twarzy człowieka sukcesu. Nazywał się Lonzo Sapp. — Na szczęście — kontynuował - nowoczesna medycyna dysponuje odpowiednią wiedzą i po trafi przepisać kurację, która zazwyczaj daje dobre wyniki. Wypoczynek, mnóstwo gorącej herbaty, a potem, kiedy chora poczuje się lepiej, również jedzenie. Przepiszę jej dużą dawkę specjalnej mikstury selerowej, którą ma zażywać raz dziennie.

— Mikstura selerowa? powtórzył Justin. — Czy to pański własny przepis?

Doktor Sapp skinął głową.

— Jest sporządzona na bazie octu winnego, ale składnikiem terapeutycznym jest tu miąższ selera.

Nachylił się nad łóżkiem i odgarnął z czoła Madeline kosmyk włosów. Jej skóra błyszczała w blasku świecy stojącej obok łóżka w ozdobnym kandelabrze. Przez chwilę głaskał ją po głowie jak zatroskany ojciec, wreszcie powiedział:

- Jeśli mnie pani słyszy, pani LaMotte, chciałbym zapewnić, że już wkrótce dojdzie pani do siebie. Czy chce pani tego?

Jej gruby, suchy język wisiał nad spękaną wargą, nie pozwalając jej wydać żadnego dźwięku. Wpatrywała się w lekarza udreżonymi oczami, które przymknęła na moment, aby wyrazić zgodę.

— A więc musi pani czynić dokładnie to, co powiem. Pani małżonek sprowadził mnie z Charleston. Jest głęboko zatroskana ny pani stanem zdrowia. Zdołałem go nieco uspokoić, ale czy

pokona pani chorobę, zależy wyłącznie od pani. Czy uczyni pani wszystko, o co poproszę? - T... tak.

Justin nachylił się i pocałował ją delikatnie w policzek. Teraz, kiedy znalazł środek na jej buntowniczy charakter, ciężący nad ich małżeństwem, poczuł się znacznie lepiej. Poza tym była to zemsta za przyprawienie mu rogów. Był przekonany, że uczyniła to w ubiegłym tygodniu, a może nawet robiła to od lat. W każdym razie wychodziła sama wystarczająco często.

Zamykając ją w pokoju i pozbawiając jedzenia, złamał jej upór, ale nie do końca; w przeciwnym razie wyznałaby mu, gdzie była i z kim.

Fakt, że nie może wydobyć z żony tej informacji, rozjuszył go. Widząc, że Madeline nie zamierza mu nic powiedzieć, wytłumaczył sobie, że jej milczenie potwierdza jego podejrzenia. Gdyby poznał imię jej kochanka, poczułby się prawdopodobnie upokorzony. Mógł to być przecież ktoś z tej białej hołoty, handlarz lub rzemieślnik, albo jakiś czarnuch. Stanowczo więc lepiej było nie wiedzieć. Przynajmniej tak to sobie tłumaczył. Czuł, że narasta w nim nowa fala nienawiści do żony.

Teraz jednak, kiedy stał przy niej, trudno byłoby nazwać jego uczucia. Oblał się obficie wodą cynamonową; żona i jej sypialnia cuchnęły niemilosiernie. Teraz można było wreszcie z tym skończyć. Podeszedł do okna i otworzył je na oścież.

Chłodne, nocne powietrze wpadło do środka, płomyki świec zamigotały. Oczy Madeline zablęśły z wdzięczności.

Kiedy odzyska siły, dojdzie do siebie zapewnił Justina Sapp, kiedy wyszli. Jest po prostu osłabiona i dlatego nie może się pozbierać.

Zamknął za sobą drzwi sypialni, rozejrzał się po holu i dodał cicho:

Po tygodniu przyzwyczai się do tej mikstury i nie będzie się mogła bez niej obyć. Wtedy może ją pan zastąpić środkiem, o którym mówiliśmy.

Tym zawierającym laudanum?

Tylko niewielką dawkę. Tak, żeby nie zaszkodziło, rozumie pan? Tylko tyle, żeby stała się łagodna i zgodna. Podeszli do podestu schodów. Doktor Sapp mówił dalej: A kiedy zrezygnujemy z tej mikstury, możemy wykorzystać inne możliwości kuracji. Na przykład opium, ciemny, słodkawy płyn, który można dodawać do ciasta. Nadaje się też do sosów mięsnych albo, po zmieszaniu z octem winnym, jako polewa do warzyw. Chcę przez to powiedzieć, że można użyć go w różny sposób. Oczywiście, jeśli czytał pan de Quinceya, orientuje się pan zapewne, że wystąpią pewne symptomy. Zmęczenie. Zaparcia. Może nawet oznaki przedwczesnego starzenia. Ale te objawy można też

wytłumaczyć w inny sposób, na przykład stresem lub przemęceniem — dodał i wzruszył ramionami. — Nie wolno dopuścić, aby dowiedziała się, że zażywa laudanum.

— To dobra wiadomość — oświadczył Justin z ulgą tonem człowieka, który musiał czuwać przez całą noc, a teraz wreszcie może udać się na spoczynek. Na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech. — Tak bardzo się o nią martwiłem.

— To zrozumiałe.

— Chciałbym uczynić wszystko co w mojej mocy, aby ukoić jej nerwy i przywrócić spokój ducha.

— Zamiar godny podziwu.

— Żeby nie kompromitowała już siebie... ani swojej rodziny.

— Doskonale pana rozumiem — mruknął doktor Sapp z uśmiechem.

— Jeszcze jedno pytanie, doktorze. Jak długo może potrwać kuracja?

— Cóż, jeśli wyniki będą zadowalające... rok. Może dwa. Bez końca.

Obaj panowie spojrzeli na siebie, nie mrugnawszy nawet powiekami. Rozumieli się doskonale. Gawędząc spokojnie niczym dwaj starzy przyjaciele schodzili po schodach.

39

Pod koniec marca 1855 roku w Mont Royal odbył się ślub Ashton z Jamesem Huntoonem. W oczach Orry'ego ceremonia była raczej smętna. Clarissa uśmiechała się przez cały czas do panny młodej, nie wiedziała jednak, kto to jest.

Natychmiast po ceremonii Ashton urządziła przykrą scenę. Do tej pory Huntoon nie chciał nawet słyszeć o podróży poślubnej do Nowego Jorku, jedyne miejsce, o którym marzyła Ashton. W fakcie, że gardziła wszystkimi Jankesami, a zarazem uwielbiała ich teatry i restauracje, nie dostrzegała żadnej niekonsekwencji. Aż do ostatniej chwili Huntoon nalegał, aby jechać do Charleston. Ashton w odpowiedzi rzuciła w niego kawałkiem ciasta i nadąsała się, a zlany potem pan młody natychmiast zmienił zdanie w obawie, że w przeciwnym razie upłyną całe tygodnie, zanim żona obdarzy go swymi względami. Kiedy ich powóz ruszał w drogę, Ashton była znowu w znakomitym nastroju.

Jeśli nie patrzeć na ten incydent, większość mężczyzn przybyłych na uroczystość oburzał przede wszystkim nie kryjący się

ze swymi poglądami Cooper. Ustawicznie pytał, dlaczego ani abolicjoniści, ani plantatorzy nie zastanowią się choćby przez chwilę nad propozycją Emersona przedstawioną w lutym Nowojorskiemu Towarzystwu Antyniewolniczemu. Starannie obmyślony projekt Emersona, dotyczący stopniowej emancypacji, przewidywał wypłaty dla posiadaczy niewolników w wysokości dwustu milionów dolarów, co nie stanowiło wygórowanej ceny za położenie kresu narodowej hańbie i zachowanie pokoju, argumentował.

Obie strony wyśmiały go mówił Cooper. Cóż, widzę tu tylko jedno wyjaśnienie. W momencie, kiedy zabraknie pretekstu do protestowania, protestujący staną się niepotrzebni.

Czy chce pan przez to powiedzieć, że walkę o prawa Południa prowadzą cynicy? zapytał jeden z rozmówców.

Wśród działaczy są ludzie uczciwi. Ale inni chcieliby widzieć w szeregach swoich przeciwników jak najwięcej ekstremistów. Tylko w ten sposób Południe może usprawiedliwić swoje wystąpienie z Unii czy utworzenie własnego rządu, co byłoby oczywistym szaleństwem.

Ale za szaleńca uznano właśnie Coopera, co więcej: za człowieka niebezpiecznego. Dawniej uchodził za niegroźnego maniaka, teraz sytuacja się zmieniła. Do takiego wniosku opinia publiczna doszła w momencie, kiedy zorientowano się, że Cooper nie przestaje interesować się politycznymi poglądami Edmunda Burke'a, a nawet wziął sobie do serca przestrogi brytyjskiego męża stanu na temat bezczynności i zaangażował się w działalność partii demokratów w Charleston.

Akceptację działaczy partii zapewnił sobie w sposób niezwykle prosty: wspomagając ją sporymi dotacjami, tak sporymi, że jej przywódcy nie mogli już sobie dłużej pozwolić na ignorowanie go. Poza tym nie był jedynym człowiekiem w tym stanie, który głosił niepopularne opinie na temat drogi, którą obrało Południe. Wielu po cichu popierało zdanie Coopera, było ich wystarczająco dużo, aby jego obecność na zebraniach partii uznać za usprawiedliwioną, a nawet pożądaną.

Cooper zaczął odbywać podróże, w czasie których spotykał się i konferował z innymi umiarkowanymi demokratami. W Wirginii poznał człowieka, który niezmiernie przypadł mu do gustu — wysokiego, mówiącego prosto z mostu polityka nazwiskiem Henry Wise, pragnącego objąć urząd gubernatora. Wise był zagorzałym obrońcą niewolnictwa, reprezentował jednak zarażem pogląd, że ci, którzy chcą dochodzić praw Południa w jaki kolwiek sposób poza Unią, są po prostu podszczuwaczami lub idiotami.

- Oczywiście rozumiem, dlaczego tak postępują — mówił.
- Chcą odzyskać władzę, którą Południe utraciło na rzecz

Północy i Zachodu. Może nawet nie przyznają tego sami przed sobą. Do diabła, może uwierzyli w te swoje absurdalne wypowiedzi. Ale oni są niebezpieczni, Cooper. Są doskonale zorganizowani, aktywni, wykrzykują wszędzie swoje hasła i stanowią groźbę dla całego Południa.

Na twarzy Coopera pojawił się nikły, smutny uśmiech.

— Kiedy źli ludzie gromadzą się, muszą zjednoczyć się również ci porządni, w przeciwnym razie zginą jeden po drugim, będą bezsensownymi ofiarami.

— Mądra rada.

— Taką też była w 1770 roku, kiedy Burkę napisał ją po raz pierwszy. Problem polega na tym, że prędko o niej zapomniano.

— Nie, nie zapomniano. Po prostu awanturnicy woleliby tego nie słuchać. Awanturnicy z obu stron. Umilkł i spojrział badawczo na gościa. — Słyszałem już wiele o panu, Cooper. Przez dłuższy czas był pan w swoim rodzinnym stanie pariasem. Cieszę się, że znalazł pan swoje miejsce w obozie demokratów. Tacy jak pan mogą nam się przydać, o ile nie jest już za późno.

Rzeczywistość zdawała się potwierdzać jego obawy. Obie strony nie ustawały we wzajemnych prowokacjach.

W Massachusetts uchwalono surowe ustawy, gwarantujące wolność wszystkim ludziom, również Murzynom. Ustawy te były reakcją na sprawę Burnsa sprzed roku. Zbiegły niewolnik, niejaki Anthony Burns, został uwięziony w Bostonie. Tłum abolicjonistów zebrał się przed więzieniem, chcąc go uwolnić. Próba nie powiodła się. Władze federalne i stanowe złączyły swe wysiłki, aby zwrócić Burnsa jego właścicielowi na Południu.

Tymczasem w Kansas przy pomocy tak zwanych „zabijaków przygranicznych z Missouri” wybrano władze ustawodawcze popierające niewolnictwo. Zbrojny w strzelby i pistolety oddział „zabijaków” wdarł się na teren Kansas i rozstrzygnął wynik wyborów na swoją korzyść, posługując się terrorem i oszustwem. Wybrane w ten sposób władze uchwały natychmiast ustawy przewidujące ostre kary za prowadzenie agitacji antyniewolniczej.

Z każdym miesiącem obie strony podwyższały stawkę w tej okrutnej grze. Missouri słało przez granice hordy nocnych jeźdźców, z północnego wschodu natomiast nadchodziły skrzynie z bronią dla przeciwników niewolnictwa. Napisy na skrzyniach informowały, że ładunek zawiera egzemplarze *Biblii*, co skłoniło Coopera na spotkaniu demokratów w Columbii do spostrzeżenia:

— A więc zwerbowano już nawet Boga. Każda ze stron twierdzi z uporem, że On jest po jej stronie. Naprawdę wierzyć,

że On pędzi to tu, to tam? W takim razie musi być straszliwie zmęczony.

Nikt się nie roześmiał.

Pewnego popołudnia Cooper wdał się na przystani C.S.C. w rozmowę z nadzorcą portowym, Gerdem Hochwaltem, którego rodzina mieszkała w Charleston od dwóch pokoleń. Nadzorca był wprawdzie twardy dla symulantów uchylających się od pracy, reprezentował jednak właściwie typ człowieka łagodnego, dobrodusznego i wierzącego. Miał żonę, jedenaścioro dzieci i dom na peryferiach miasta, niezbyt duży jak na tyle osób.

Rozmowa zesłała wkrótce na temat zakończonego ostatnio w Big Springs, w Kansas, zjazdu przeciwników niewolnictwa, którzy przedłożyli plan przyłączenia tego terytorium do Unii jako stanu wolnego. Uznano również za nieważne wszelkie ustawy, uchwalone przez oszukańczo wybraną legislaturę w Shaw-nee Mission. Szczególnie ostry artykuł wstępny z „Mercury” potępił zjazd w Big Springs, co spodobało się Hochwaltowi.

Czytałem ten artykuł powiedział Cooper. — I uważam, że nie wnosi nic nowego. Wciąż ta sama retoryka. Podczas rozmowy nie spuszczały z oczu czarnych sztauerów, wnoszących na pokład „Mont Royal” bele bawełny przeznaczone dla fabryki w Liverpoolu. Jak zwykle statek miał ładunek, a na każdego klienta Coopera przypadało trzech, którzy musieli czekać. Linia frachtowa wykazywała już miesięczny zysk w wysokości sześćdziesięciu do siedemdziesięciu procent. Sukces zwrócił nawet uwagę Orry'ego.

Hochwält skarcił podniesionym głosem sztauera, który potknął się i zakłócił rytm pracy innych. Otarł niebieską chusteczką pot z karku i dodał:

Wypowiedzi pana Rhetta są może trochę oklepane, panie Main, ale ja w nie wierzę.

Jak pan może, Gerd? Przecież on znowu wezwał do utworzenia separatystycznego rządu.

A czemu by nie, sir? Odkąd sięgnę pamięcią, Jankesi szydzili z nas i obrażali. Są przekonani, że każdy z nas to śmieć. Nazywają nas właścicielami burdeli, czy nie tak? A tymczasem ja nigdy nie miałem niewolników ani nie popierałem tego systemu, ani razu! I dlatego czuję się obrażony! Jeśli Jankesi nie przestaną, to na Boga, powinniśmy pójść własną drogą.

Cooper mógł zrozumieć emocje Hochwalta, ale racjonalnie rzecz biorąc jego słowa były niepojęte.

Czy naprawdę nie dostrzega pan, że ludzie tacy jak Bob Rhett, James Huntoon czy pan Yancey z Alabamy mogą strącić nas w przepaść?

Hochwałt zastanowił się chwilę.

— Nie, sir. Ale nawet gdyby tak było, jestem gotów dołączyć do nich.

— Na miłość boską, człowieku...! Ale dlaczego?

Nadzorca spojrział na Coopera tak, jakby miał przed sobą kogoś nierozzgarniętego, nie znającego się na rzeczy.

— Karolina Południowa to moja ojczyzna. A ci ludzie walczą za nią. Nikt inny nie zrobi tego, panie Main.

Kilka dni później, wieczorem, Cooper powiedział:

— Muszę przyznać, Orry, że przeszedł mnie zimny dreszcz, kiedy usłyszałem słowa Hochwałta. Mój nadzorca nie jest jakimś zbzikowanym rewolucjonistą; to powabny, szanowany Niemiec. Jeżeli on i inni porządni ludzie słuchają tych podżegaczy, sytuacja jest gorsza, niż przypuszczałem.

Orry przyjechał do Charleston, aby przejrzeć księgi rachunkowe. I on, i Cooper poświęcili temu zajęciu większą część dnia, wreszcie Orry oświadczył, że jest zadowolony z działalności firmy., pogratulował nawet bratu, co nie zdarzało się często. Teraz obaj odpoczywali w wygodnych, pomalowanych na biało fotelach bujanych, popatrując na ogródek przy Tradd Street. Mały Judah, krępy chłopiec, turlał co jakiś czas piłkę do Marie-Louise, niemowlęcia, które z rozsuniętymi szeroko nóżkami siedziało w gęstej trawie.

— No cóż odparł Orry — co do mnie, staram się zajmować tego typu sprawami możliwie jak najrzadziej. I tak mam wiele na głowie.

Ale to cię wcale nie satysfakcjonuje — pomyślał Cooper, widząc na twarzy brata wyraz melancholii. Orry przygarbił się w fotelu i wyciągnął swe długie nogi, nie spuszczać wzroku z bawiących się dzieci. Czy to aby nie zazdrość zabłysła w jego oczach?

Orry wrócił do spraw firmy.

— Bardzo się cieszę, że statki mają pełny ładunek podczas każdego rejsu. Rynek ryżowy w południowej Europie nadal przeżywa kryzys. Z każdym miesiącem maleje popyt. Zrobiłeś bardzo mądrze, nalegając na lokowania pieniędzy w rozmaitych przedsiębiorstwach.

Jego głos brzmiał normalnie, tak jak zawsze, a jednak Cooper domyślił się, że coś nie jest w porządku. Nie potrafił odgadnąć, na czym polega problem, i już otwierał usta, aby zapytać o to wprost, kiedy w progu stanęła Judith. W rękę trzymała niewielką paczuszkę.

— Poślaniec z księgarni Colony przyniósł to dla ciebie, Orry.

— Och, książka, o którą pytałem dziś rano. Chwilowo nie

mieli jej na składzie, ale spodziewali się dodatkowych kilkunastu egzemplarzy po południu.

Szybko rozwinął opakowanie, a Judith, widząc złożony napis na okładce, zaskoczona klasnęła w dłonie.

— *Żdźbła trawy!* To ten zbiór wierszy, które wielebny Entwhistle wyklinał z ambony w ostatnią niedzielę. Czytałam o tym kazaniu w gazecie. Mówił, że książka jest dziełem człowieka nie wważającego na rozum i porządek, że jest na wskroś przesiąknięta brudem.

— Autora potępiają równie ostro księży z Północy zauważył Cooper. — Jak on się nazywa? — Odwrócił książkę trzymaną przez brata. — Whitman. Od kiedy interesujesz się nowoczesną poezją?

Orry zaczerwienił się.

— To ma być prezent.

— Dla kogoś w Mont Royal?

— Nie, dla znajomego.

Cooper nie należał, ale w głowie zaświtała mu myśl, że może przypadkowo odkrył przyczynę złego nastroju brata.

Kolacja jest prawie gotowa — odezwała się Judith. Rachel łapała niebieskie kraby już od wczesnego ranka. — Rachel była hożą, wolną Murzynką zatrudnioną w kuchni. Zaprosiłam też Ashton i Jamesa, ale mieli jakieś inne zobowiązania. Rzadko się z nimi widzimy. Przykro mi o tym mówić, ale jeszcze ani razu nie zjedli z nami posiłku, mimo że mieszkają tak blisko. Zawsze gdy ich zapraszam, są zajęci.

Huntoonowie wprowadzili się do eleganckiego, przewiewnego domu przy East Battery, niemal w sąsiedztwie. Do Tradd Street można było odbyć krótki spacer wzdłuż wybrzeża, mijając kościół. Orry przejechał obok ich domu konno, ale nie miał chęci odwiedzić siostry.

— Mają całą masę nowych przyjaciół — wyjaśnił Cooper. — Wielu z nich to świta Boba Rhetta. Wiem, że nieładnie stro nic od własnej rodziny, ale myślę, że to dobrze, iż nie odwiedzają nas ani nie siedzą z nami przy jednym stole. James i ja różnimy się tak bardzo, jeśli chodzi o poglądy polityczne, że praw dopodobnie już po zupie musielibyśmy uzgadniać warunki pojedynku.

W bardziej pogodnym nastroju klasnął w dłonie.

— Dzieci — zawołał — już prawie pora posiłku. Chodźcie, siadajcie mi na kolana.

Orry nie mógł przestać myśleć o Madeline, spojrzął jeszcze raz na książkę. Zapakował ją ponownie i wsunął do kieszeni.

Podczas kolacji Cooper kilkakrotnie próbował skierować rozmowę na temat planów ekspansji firmy, o czym wiele ostatnio rozmyślał. Plan był niekonwencjonalny, wymagał silnych ner-

wów i o wiele większego kapitału, niż Mainowie mogli zebrać. Zastanawiał się już, czy nie można by wziąć George'a Hazarda na współnika, na razie jednak nie miał okazji omówienia tej sprawy z bratem. Orry zazwyczaj unikał dyskusji na tematy handlowe. Również teraz, przy stole, bąknął zaledwie kilka słów. W nocy, kiedy leżeli już w łóżku, Cooper powiedział do żony, że od czasu zakończenia wojny w Meksyku nie widział jeszcze brata w tak dziwnym, posepnym nastroju.

Praktyka adwokacka Huntoona, jak również jego sława, rosły nieprzerwanie. Przyczyniała się do tego głównie Ashton. Wydawała przyjęcia, zapraszała na obiady; utrzymywała stosunki z ludźmi wpływowymi w całym okręgu oraz z ich szpetnymi, wyniosłymi żonami, nie dając im nigdy poznać, jak bardzo nimi gardzi albo jak cynicznie potrafi nimi manipulować.

Huntoon spędzał wiele godzin nad przemówieniem na temat pogłębiającego się kryzysu narodowego. Pewnego wieczoru wygłosił w swoim domu przy East Battery, gdzie zgromadziło się około trzydziestu osób, skróconą wersję tego przemówienia. Wśród zebranych byli między innymi wydawca Rhett i człowiek uznawany za najzarliwszego chyba orędownika secesji, William Yancey z Alabamy. Sprawiający wrażenie łagodnego, a nawet niewinnego, Yancey był znakomitym mówcą. Przez wielu nazywany był „Księciem Ekstremistów”. Ashton marzyła, aby awansować do rangi „Króla”, wówczas poprzednim mianem obdarzono by jej męża.

Niczym rekwizyt trzymając w dłoni swoje okulary w srebrnej oprawce, Huntoon starał się, jak mógł, zademonstrować swą przydatność dla sprawy. Goście przysłuchiwali się w skupieniu jego wywodom, które Ashton znała już na pamięć.

— Unia przypomina ogromny fort, panie i panowie, który w połowie wpadł już w ręce barbarzyńskich najeźdźców. Lojaliści utrzymują drugą połowę, której bronią całym sercem od pokoleń. Ale oto groźba zawisła i nad tą częścią fortu. Co do mnie, jestem gotów raczej przytknąć płonąca pochodnię do składowego w lochach prochu i wysadzić wszystko w powietrze, niż oddać w ręce barbarzyńców choćby jeden cal naszej ziemi!

Ashton zainicjowała aplauz, który okazał się burzliwy i entuzjastyczny. Gdy niewolnicy roznosili poncz na srebrnych tacach, do Huntoona zbliżył się Yancey.

— Niewykluczone, że taki radykalny czyn będzie naprawdę potrzebny, James. A potem na zgliszczach starego fortu będziemy musieli wnieść nowy. To zadanie wymaga jednak lojalnych wykonawców... i zdolnych przywódców.

Jego mina pozwalała przypuszczać, że uważa Huntoona za

jednego z nich albo że przynajmniej rozważy jego kandydaturę.

Ashton rozumiała niewiele z tych wszystkich spraw, nad którymi mężczyźni rozwodzili się bez końca. W rzeczywistości prawa Południa obchodziły ją tyle, co nic, nie była nawet pewna, na czym polegają, jeśli nie liczyć fundamentalnego, danego od Boga prawa do posiadania niewolników. Najbardziej fascynowało ją to, że rozmowy o polityce porывały innych. W ich reakcjach upatrywała okazję do kreowania i utrzymywania władzy. Jej mąż przekonywał ją nieraz, że przyjdzie dzień, kiedy powstanie separatystyczny rząd Południa. Jeśli tak, ona zamierzała być jedną z pierwszych dam.

— James, byłeś po prostu wspaniały — wykrzyknęła, biorąc go pod rękę. Tym razem przeszedłeś sam siebie! Łaknęła jeszcze większego aplauzu; jej zabiegi odniosły skutek. Stojący w pobliżu goście jeszcze raz poczęli gorąco okłaskiwać mówcę. Dołączył nawet Yancey, powtarzając: Popatrz, popatrz!

Bardzo dziękuję, kochanie. Pełne wdzięczności spojrzenie Huntoona graniczyło z egzaltacją. Kiedy byli sami, Ashton rzadko mówiła mu miłe słowa, twierdziła za to, że jest miernym kochankiem.

Ale tego wieczoru obecność tylu ważnych osobistości i udany występ jej męża nieoczekiwanie wywołały podniecenie seksualne. Nie mogła doczekać się chwili, kiedy goście znajdą się już za drzwiami, ona zaś pobiegnie czym prędzej na górę, zrzuci z siebie ubranie i pociągnie męża na łóżko.

Spocony i zasapany nie szczędził wysiłków. Potem szepnął: Czy teraz było lepiej?

Cudownie skłamała. W roli ekstremisty spisał się tak dobrze, że nie chciała go zniechęcać. Ale jego niezdarne pieszczoty nie zdołały wykrzesać z niej nawet iskierki, budziły nawet odrazę. Pocięsała się myślą, że wszystko, nawet bycie wielką damą, ma swoją cenę.

Zdecydowała, że już najwyższa pora pojechać do domu. I to wkrótce.

Kochanek Ashton znalazł miejsce, gdzie mogli się spotykać: ruiny miejscowego kościółka, zwanego kaplicą Zbawienia. Jakież to cudownie rozpustne, a zarazem podniecające, zdrzeć suknie i oddać się Forbesowi wprost na popękany fundament w promieniach słońca!

Jego uwiązany w pobliżu koń zarżał i począł grzebać nogą. W dali słychać było palbę z muszkietów; na polach usiłowano odgonić od dojrzewającego ryżu wrześnie ptaki. Hałasujący koń i odgłos wystrzałów wzmogły jej podniecenie; po chwili, zaspokojona wreszcie, leżała jak odrętwiała.

— A co będzie, jeśli zrobię ci dziecko? — zapytał Forbes. Jego ładna, spocona twarz znajdowała się zaledwie o parę cali nad nią.

— Według mnie ryzyko przydaje temu wszystkiemu jeszcze większego smaczku. — Oblizała kąćki ust.

Naprawdę nie sądziła, aby istniało poważne niebezpieczeństwo zajścia w ciążę. Huntoon był z nią przez cały czas i jak dotąd nie doczekała się żadnego efektu. Podejrzewała, że Aunt Belle Nin uszkodziła coś w niej w trakcie rozwiązywania tamtego problemu. Mogło to okazać się w przyszłości dużą zaletą, chociaż myśl o bezpłodności trochę ją czasem smuciła.

— Tak, dopóki nie przyjdzie na świat dziecko podobne do mnie, zamiast do twego męża — mruknął Forbes.

— Nie martw się o Jamesa, to już moja sprawa. Twoje miejsce jest tu. — To mówiąc objęła go i pociągnęła na siebie. Dalekie odgłosy wystrzałów znowu wzmogły jej żądze.

Szorstki fundament kapliczki zdarł niemal skórę z jej pośladków, ale gra warta była świeczki i Ashton wracała do domu zadowolona. Forbes był wspaniałym kochankiem, dbałym i namiętnym, kiedy przebywał z nią. Radził sobie jednak również bez niej między kolejnymi spotkaniami. Próżność powstrzymywała Ashton od zapytania go wprost, u kogo doskonalił swe niezwykle umiejętności, kiedy nie było jej przy nim. Ale nawet jeśli istniały inne kobiety, najwidoczniej nie mogły równać się z nią; Forbes zjawiał się natychmiast na każde jej wezwanie.

Kiedy jechali z powrotem do Mont Royal, Forbes odprowadził ją aż na miłą od domu, rozprawiali jak zwykle zawzięcie o rozmaitych sposobach sprawienia bólu Billy'emu Hazardowi. I, jak zwykle, Forbesa fascynowała bujna wyobraźnia Ashton; głównie może dlatego, że koncentrowała się na władzy, przygodzie seksualnej i zemście.

— Czytałem, że kilka dni temu odwiedził cię pan Yancey — zauważył tego wieczoru przy kolacji Orry.

Ashton była dumna z faktu, że „Mercury” poświęcił temu spotkaniu całe pół kolumny.

— Rzeczywiście, przyszedł do nas — odparła. — Miał do powiedzenia parę ostrych słów o Jankesach. Podobnie jak James. Oczywiście — tu zwróciła się do Brett, siedzącej naprzeciw niej — robimy wyjątki wobec przyjaciół naszej rodziny.

— Właśnie się nad tym zastanawiałam — powiedziała Brett bez uśmiechu.

— Z całą pewnością robimy. A zwłaszcza wobec Billy'ego.

— Uśmiech Ashton był słodki i całkowicie szczerzy, ale jej uczucia tak gwałtowne i jadowite, że przeszył ją ostry ból. — Czy mówił już coś o dacie ślubu?

Odpowiedział jej Orry:

— Nie. Przecież ukończy uczelnię dopiero za rok, w czerwcu. A co w dzisiejszych czasach zarabia podporucznik? Tysiąc dolarów rocznie? Z tego nie utrzyma rodziny. Według mnie za wcześnie jeszcze, aby rozmawiać o ślubie.

Oczy Brett zabłyśły, kiedy spojrzała na brata.

— Wcale tego nie robimy.

Ale niebawem zrobicie — pomyślała Ashton. A to byłby idealny moment do zadania ciosu; właśnie wtedy, kiedy będą się czuli najszcześliwsi.

Po kolacji Ashton poszła na rodzinny cmentarz. Zerwał się ostry wiatr. Jej włosy powiewały jak ciemna flaga. Przed grobem Tilleta, w jedynym miejscu, gdzie czuła wstyd z powodu swego postępowania z mężczyznami, ukłękła. Kiedy przemówiła, jej głos był łagodny, choć drżał z emocji:

Sprawy układają się dla Jamesa znakomicie, tato. Chciała bym, żebyś był tu teraz i mógł zobaczyć to na własne oczy. Wiem, że chciałeś mieć jeszcze jednego syna, zamiast córki, ale zrobię wszystko, abyś był ze mnie dumny, tak jak ci obiecałam. Będę sławna. Moje imię będzie znane na całym Południu. Ludzie będą ubiegać się o moje względy. I o względy Jamesa. Przysięgam ci to, przysięgam.

Kiedy Ashton wyszła z domu, Orry udał się na chwilę do matki. Clarissa powitała go uprzejmie, była pogodna, ale nie poznała go. Na stoliku leżała trzecia już wersja rodowego drzewa genealogicznego. Dwie pierwsze poprawiała tak gorliwie i tak często, że zniszczyła je całkowicie.

Schodząc po schodach rozmyślał o Billym i Brett. Cieszył się, że nie zamierzają pobrać się natychmiast po ukończeniu przez Billy'ego uczelni. Nie był pewien, jak by zareagował, gdyby Billy poprosił go o rękę siostry już teraz. Zawsze gdy zastanawiał się nad przyszłością, jawiła mu się w czarnych barwach.

Zamknął się w bibliotece i zdmuchnął płonąca lampę, po czym otworzył okiennice i wciągnął głęboko rześkie, wieczorne powietrze, przesycone zapachem jesieni i rzeki. Powiódł powoli wzrokiem po pokoju. Przez chwilę wpatrywał się w swój mundur. Przypomniał sobie nagle, że należy przyspieszyć zbiór plonów, ale to go teraz nie interesowało.

Co się dzieje z Madeline?

To pytanie dręczyło go już od wielu dni. Madeline wiodła teraz żywot pustelnicy, rzadko opuszczała Resolute, a jeśli już to tylko w towarzystwie męża. Kilka tygodni temu Orry minął LaMotte'ów na przybrzeżnej drodze. Jechali powozem, pomachał do nich ręką na powitanie.

Może zbyt entuzjastycznie — pomyślał ze strachem.

Nie miał się czego obawiać. Odpowiedź Madeline była dokładnie taka sama, jak jej męża; sztywny uśmiech, nieruchome spojrzenie, lekko uniesiona dłoń w geście pozdrowienia. Powóz zaturkotał na drodze i wkrótce zniknął w oddali.

Zdjął z półki *Żdźbła trawy*; książka była nadal owinięta w brązowy papier. Nie znalazł jeszcze sposobnej chwili, aby wręczyć ją Madeline. Nie odwiedzała już Clarissy, nie reagowała też na jego prośby o spotkanie. Tego lata trzykrotnie czekał przy kaplicy Zbawienia, mając nadzieję, że przyjedzie, tak jak proponował w zapieczętowanych listach, słanych do Resolute. Na próżno.

Ostatnio kiedy na nią czekał, dostrzegł połamane gałązki na podeptanej trawie; wyglądało, że miejsce przy ruinach kaplicy odkryła inna para kochanków. Od tej pory przestał tam jeździć. Zdesperowany polecił jednemu z niewolników dowiedzieć się jakoś, czy przypadkiem jego listy nie zostały przechwycone. Nancy zbiegła kilka miesięcy temu, może dlatego nie otrzymywał odpowiedzi. Ale nie to było przyczyną zerwania ich korespondencji. Niebawem niewolnik złożył mu meldunek:

— Mam wieści z Resolute, panie Orry. Dostała pańskie listy. Daje jej dziewczyna o imieniu Cassiopeia.

A pani LaMotte czyta je?

— O ile wiem, to tak. Ale potem drze je na strzępy i wrzuca do kominka.

Orry przypomniał sobie te słowa i cisnął książkę o ścianę. Przynajmniej trafiła w wieszak z mundurem i przewróciła go na podłogę. Hałas zwałił Brett i dwie służące. Nie otwierając drzwi krzyknął, że nic się nie stało.

Raptem przyszło mu coś do głowy, a nadzieja odżyła na nowo. W sobotę w pobliżu Sześciu Dębów miał odbyć się turniej jeździecki. Może przybędzie również Madeline z mężem? Orry zazwyczaj unikał podobnych imprez, tym razem jednak postanowił pójść. Może nadarzy się okazja porozmawiania z nią, a wtedy dowie się wreszcie, w czym rzecz.

W sobotę było parno, deszczowo, grzmiało raz po raz. Niedaleko Sześciu Dębów zgromadził się gęsty, rozgorączkowany tłum, ale Orry nie interesował się jeźdźcami, którzy na czas turnieju nazwali się sir Gawain albo sir Kay. Gdy wyczyniali karkołomne sztuczki, usiłując nadziać na lance jak najwięcej kół, on kręcił się tu i tam, szukając wzrokiem LaMotte'ów.

W końcu wypatrzył Justina, którzy rozprawiał o czymś z bratem i kilkoma innymi mężczyznami. Zachowywali się hałaśliwie, nie zwracali na nikogo uwagi. Ośmielony tym Orry

ruszył w ich stronę, rozglądając się za Madeline. Dojrzał ją z miejsca, gdzie stał kuzyn Charles, czekając na wystrzał Whitney Smitha. Siedziała na pniaku, obserwując pomarszczoną od drobnych kropel deszczu powierzchnię rzeki.

Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że pień pobrudził jej suknię. Musiała usłyszeć jego kroki, ale nie odwróciła się. Odchrząknęła. Czuł się niezręcznie, trochę jak speszony wyrostek.

— Madeline?

Wstała powoli. Odruchowo cofnął się, widząc jej twarz. Była biała, niemal przezroczysta. Straciła też wyraźnie na wadze; dziesięć albo nawet piętnaście funtów, jej policzki zapadły się. Sprawiała wrażenie, jakby z trudem koncentrowała na nim wzrok.

Orry. Jak to miło ujrzeć cię znowu.

Uśmiechnęła się, ale był to taki sam sztuczny uśmiech jak wtedy, kiedy spotkał ją w powozie. Wstrząsnął nim widok jej oczu. Zawsze były tak ciepłe, pełne życia! A teraz...

— Madeline, co się stało? Dlaczego nie odpowiadasz na moje listy? Powiedział to szeptem, mimo że w pobliżu nie było nikogo.

Po jej twarzy przemknął wyraz zakłopotania. Zerknęła gdzieś w dal ponad jego ramieniem, potem ich oczy spotkały się ponownie. W jej spojrzeniu dostrzegł ból i jakby prośbę o pomoc. Podszedł do niej jeszcze bliżej.

Widzę, że dzieje się coś złego. Musisz mi powiedzieć...

Madeline? Głos Justina przerwał mu w połowie zdania.

Chodź, moja droga, dotrzymasz nam towarzystwa. Zresztą zaraz wracamy do domu.

Orry obrócił się, usiłując zachować się naturalnie i nie okazać ogarniającego go napięcia. Chcąc uniknąć podejrzeń, podniósł dłoń do kapelusza w oficjalnym geście pozdrowienia, które Justin, stojący po drugiej stronie pola, odwzajemnił. Orry uśmiechał się przy tym sztywno, jak gdyby wymieniał z sąsiadką zdawkowe uwagi.

Równocześnie szeptał:

Muszę porozmawiać z tobą na osobności, przynajmniej raz.

Ponownie spojrzała na niego.

Z tęsknotą pomyślał. Ale ona westchnęła tylko i powiedziała:

— Nie, przykro mi, to zbyt trudne.

Oddaliła się powolnym, niemal ociężałym krokiem w stronę męża. Orry pienił się z wściekłości; miał ochotę chwycić Justina za gardło i potrząsać nim tak długo, dopóki tamten nie powie, co się stało. Od Madeline nie dowie się niczego, to pewne. Sprawiała wrażenie apatycznej i oszołomionej, jakby trawiła ją gorączka.

W czasie powrotu do domu najbardziej dręczyło go wspomnienie jej oczu; dziwne, pokorne spojrzenie, pozbawione nadziei, niemal martwe. Były jak oczy zbitego psa.

40

Patrząc na żółte wyłogi i mosiężne insygnia Korpusu Inżynieryjnego, Billy Hazard mógł wreszcie ocenić swój świat i uznać, że wcale nie jest zły.

Obawy kadeta z New Jersey, którego Ashton obdarzyła swymi względami, nie sprawdziły się. Milczenie siedmiu wtajemniczonych sprawiło, że Charles nie dowiedział się o niczym. Jeden z grupy poskarżył się Billy'emu na Ashton, która najwidoczniej skłamała, obiecując drugą wizytę w West Point. Tego Billy był pewien od samego początku. Potem incydent poszedł w zapomnienie, do czego w niemalym stopniu przyczynił się wojskowy dryl i mnogość zajęć dydaktycznych.

Poglądy Billy'ego kształtowały przede wszystkim wydarzenia jego życia codziennego, a nie to, co działo się gdzie indziej. Gdyby sięgnął wzrokiem nieco dalej i nie myślał wyłącznie o Akademii i Brett, dostrzegłby przede wszystkim narastający zamęt.

Na Krymie trwały krwawe zmagania wojenne. Jeden z kolegów szkolnych jego brata, George McClellan, został wysłany tam przez ministra Davisa w charakterze obserwatora. W Ameryce miały miejsce inne złowieszcze akty gwałtu. Ludzie walczyli ze sobą w Kansas i w salonach Kongresu. Przemawiając na temat sytuacji w Kansas senator Sumner z Massachusetts przypuścił nie usprawiedliwiony niczym atak na senatora Andrew Butlera z Karoliny Południowej. 22 maja kongresman Preston Brooks z Karoliny Południowej wszedł do gmachu Senatu z laską zakończoną złotą gałką i użył jej, aby zademonstrować, co myśli o przemówieniu Sumnera i o nim samym.

Po chwili Sumner zaczął błagać o łaskę, krew pociekła na jego pulpit, Brooks jednak bił go tak długo, dopóki nie złamał na nim laski. Pozostali senatorowie przyglądali się tej scenie, nie ingerując. Jednym z nich był Douglas, którego projekt ustawy wywołał kontrowersje, wyliczone z takim oburzeniem przez Sumnera.

Kilka tygodni później Brett powiadomiła Billy'ego w liście, że Brooks fetowany jest w całej Karolinie Południowej. Ashton i jej mąż wydali przyjęcie na jego cześć i ofiarowali mu laseczkę z wygrawerowanymi słowami uznania. Laseczka była jedną

z kilkunastu, które Brooks otrzymał od swoich wielbicieli. Brett pisała:

Kiedy James i Ashton byli tu w ubiegłym tygodniu, Orry powiedział, że Sumner nie wyzdrowieje przed upływem roku albo jeszcze dłużej. James uniósł wtedy brwi i zapytał: „Tak prędko? Jaka szkoda!” Billy, jak ja nienawidzę tych czasów! Wydaje się, że wyzwalają w ludziach najgorsze instynkty.

Ale nawet to nie zdołało zniechęcić Billy'ego. Liczył już dni, które dzieliły go od momentu ukończenia Akademii. Jako uczeń spisywał się bardzo dobrze, zwłaszcza w ostatnim roku. Mahan udzielił mu publicznej pochwały za wyniki uzyskane na kursie inżynierii wojskowej i cywilnej. Billy wiedział już, na czym polega różnica między „pinus mitis” i „pinus strobus”, potrafił napisać rozprawę na temat zastosowania kamieni gliniastych lub wapiennych jako budulca, a nawet wyrecytować przez sen przepis na zaprawę murarską. Według uzyskanej przeciętnej ocen miał być szósty wśród absolwentów z 1856 roku.

George, Constance, Maude, a nawet Stanley i Isabel przybyli na uroczystość do West Point. Kiedy wymagała tego sytuacja, George i jego bratowa potrafili rozmawiać ze sobą, jakkolwiek rozmowy te były zawsze chłodne i formalne. Nadal obowiązywał zakaz składania sobie wizyt przez obydwie rodziny. Billy słyszał kiedyś, jak Constance stwierdziła, że to wstyd zachowywać urazy tak długo, zważywszy, jak krótkie jest życie, na co George odparł, że właśnie dlatego, że życie jest krótkie, wszystko, co pozwala mu nie marnować czasu w towarzystwie Isabel, jest darem z nieba.

Charles pogratulował Billy'emu świetnych wyników. Pomógł mu jednocześnie pozbyć się koców i innych osobistych przedmiotów potrzebnych w Akademii. W nauce Charles nigdy nie konkurował ze swym przyjacielem; znajdował się niezmiennie w gronie „nieśmiertelnych”, dlatego oficerowie przewidywali, że trafi do służby w oddziałach kawalerii, zgodnie zresztą ze swymi zainteresowaniami. Perspektywy awansu w kawalerii — a właściwie we wszystkich formacjach polepszyły się znacznie, odkąd Davis przeforsował swój zamysł rozbudowy armii. Powstały dwa nowe pułki piechoty i dwa kawalerii. Pułkownik Lee został już odkomenderowany do nowego pułku kawalerii, dowodzonego przez Alberta Sidneya Johnstona, również absolwenta West Point. Charles miał nadzieję, że w przyszłym roku znajdzie się w jednym z dwóch nowych oddziałów.

Billy wiedział już, gdzie odbędzie służbę jako podporucznik

tytularny. Po opuszczeniu uczelni zamelduje się w Forcie Hamilton w porcie w Nowym Jorku, gdzie miał zająć się pracami przy umocnieniach nabrzeżnych i w samym porcie.

Wracając wraz z rodziną do domu odbył swą pierwszą podróż linią kolejową Lehigh, która obsługiwała teraz również odległą zakątki doliny, łącznie z Lehigh Station. Kiedy Hazardowie wysiadali z pociągu, zawiadowca wyraził się pochlebnie o wyglądzie Billy'ego.

Ma pan rację, prezentuje się znakomicie jako żołnierz. Wygląda tak dziarsko, że przez niego zaczynam tęsknić za armią — powiedział George. Prawie — dodał z uśmiechem.

— Chciałbym, aby Brett przyjechała tu w czerwcu na tydzień — mruknął Billy.

George przeniósł wzrok na czubek cygara.

Czy macie do omówienia jakies plany?

— Jeszcze nie, ale myślę, że do tego dojdzie. Muszę o tym z kimś porozmawiać.

— A odpowiadałby ci starszy brat?

Miałem nadzieję, że zaproponujesz mi to.

— W takim razie dziś wieczorem — zakończył George, widząc powagę malującą się na twarzy Billy'ego.

Po kolacji Billy udał się na górę, aby przebrać się w cywilne ubranie. George ucałował dzieci i pośpieszył do biurka, a po chwili niecierpliwie otwierał nadany w Eddyville, w Kentucky, list, który nadszedł podczas jego nieobecności.

Przez kilkoma miesiącami George'a doszły słuchy o jakimś Williamie Kelly z Pittsburgha, który posiadał w Eddyville piec hutniczy i odlewnię. Kelly twierdził, że wynalazł szybką i skuteczną metodę oddzielania krzemu, fosforu i innych składników od surowki, znacznie redukując w niej zawartość węgla. Owa „pneumatyczna metoda”, jak nazwał ją Kelly, pozwalała uzyskiwać bardzo dobrą jakościowo, elastyczną stal.

Nagabywany przez wierzycieli i wyszydzany przez konkurentów, którzy nazwali ten proces „gotowaniem powietrza”, Kelly kontynuował w ustronnym miejscu w lasach Kentucky prace nad udoskonalaniem specjalnego zbiornika, konwertora. George zaproponował mu w liście, że pojedzie do Eddyville i obejrzy konwertor na miejscu, a jeśli uzna ów proces za obiecujący, sfinansuje działalność Kelly'ego w zamian za udział w zyskach.

Czytając odpowiedź, George spochmurniał. Kelly nie ukrywał, że pieniądze przydałyby mu się na spłatę wierzycieli, nie chciał jednak nikomu pokazywać konwertora, dopóki skonstruowany model nie zadowoli go. Pragnął też najpierw opatentować

wynalazek. Kelly robił słusznie, zachowując ostrożność; mogło się przecież zdarzyć, że ktoś z jego branży uczyni wszystko, aby poznać szczegóły tego udanego procesu, a następnie skopiuje go w piracki sposób bez najmniejszych skrupułów. A jednak odpowiedź Kelly'ego rozczarowała George'a. W posępnym nastroju wyszedł na werandę, aby porozmawiać z bratem.

Ale Billy'ego nie było tam jeszcze. George opadł na bujany fotel i spojrzął w stronę rzeki. Tuż przy brzegu wspinał się w górę doliny pociąg towarowy. Z komina parowozu wydobywały się kłęby dymu, które w blasku zachodzącego słońca przybierały barwę czerwieni, aby po chwili rozpląnąć się w powietrzu.

Zdziwiał, ileż to zmian widział już w ciągu trzydziestu jeden lat swego życia! Podrastał patrząc na statki płynące po kanale, teraz już ich nie było. Symbolem nowej epoki były pociągi i szyny, po których toczyły się wagony.

Również w Waszyngtonie zajmowano się sprawami linii kolejowych. Niewolnictwo i ostateczny los Kansas i Nebraski związane były nierozdzielnie z oczekiwanymi decyzjami na temat trasy linii transkontynentalnej. Minister Davis opowiadał się za kierunkiem na południe, przez stany, w których istniało niewolnictwo. Senator Douglas wolał trasę na północ, ze stacją końcową w Chicago. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Douglas spekuluje ziemią na zachodzie. Jego przeciwnicy oskarżali go o wprowadzenie ustawy Kansas-Nebraska wyłącznie w celu ożywienia osadnictwa, co z kolei oznaczało wzrost nie tylko zainteresowania rozwojem kolejnictwa, ale również wartości ziemi.

Nie ma już w dzisiejszych czasach czystych motywów pomyślał George, obserwując zachodzące słońce. Jego promienie padały na niewysokie pagórki za rzeką. Wydaje się, że nie ma nikogo, kto mógłby uporać się z tymi wszystkimi problemami i namiętnościami, nurtującymi coraz bardziej skomplikowany i cyniczny świat. Zamiast prawdziwych mężów stanu zjawili się politykierzy.

A może myśli tak tylko dlatego, że się postarzał? Trzydzieści jeden lat to już trzy czwarte przeciętnej długości życia. Ta świadomość zaczęła mu ciążyć jak nieznośny balast. Nadzieje i marzenia, czas spędzany na Ziemi wszystko wydało mu się raptem równie ulotne, jak owe kłęby dymu z parowozu.

Usłyszał kroki Billy'ego na schodach i wziął się w garść. Młodszy brat oczekiwał od niego rady, mądrej rady, nie zdając sobie sprawy, że starsi mogą być tak samo niezdecydowani jak on sam, a może nawet jeszcze bardziej. George starał się, jak mógł, ukryć ten fakt. Kiedy Billy wszedł na werandę, bujał się jakby nigdy nic w fotelu, pałac cygaro.

— Może przejdziemy się na wzgórze? zaproponował.

Billy kiwnął głową. Przeszli za dom, minęli stajnię i drewnutnię i wkrótce znaleźli się na otwartej równinie, gdzie spomiędzy szczelin skalnych wyrastały górskie wawrzyny. Nieco wyżej rosły jeszcze obficie. Właśnie kwitły; setki białych kielichów falowało na wieczornym wietrze, spiczaste liście szemrały cicho.

George począł wspinać się na wierzchołek wzgórza, znacznie wyższy od tego, na którym stał Belweder. Niełatwo było odnaleźć ścieżkę, pamiętał jednak, gdzie brała swój początek. Niebawem parł pod górę wśród szumiących kwiatów. Wspinaczka zmęczyła go, natomiast dla Billy'ego najwidoczniej nie była zbyt uciążliwa.

Na zaokrąglonym szczycie uchowało się kilka skarłowaciałych krzewów wawrzynu. Ich widok przypomniał George'owi mistyczne wręcz uwielbienie jego matki dla tej odpornej rośliny i sposób, w jaki porównywała ją z rodziną i miłością.

Poniżej leżało miasteczko: huta i domy były widoczne jak na dłoni. Przez chwilę Billy przyglądał się im z zachwytem, po czym sięgnął do kieszeni i podał bratu coś w zwykłej metalowej, pomalowanej na biało ramce.

— Chciałem ci to pokazać.

George przechylił zdjęcie, aby wykorzystać ostatnie promienie słońca.

— Wielki Boże! To ty i Charles! Nie wyglądacie na trzeźwych.

Billy uśmiechnął się i wsunął fotografię z powrotem do kieszeni.

— Pozowaliśmy do niej po powrocie od Benny'ego — wyjaśnił.

— Kiedy zdjęcia dotarły do West Point?

— W ubiegłym roku zrobili pierwsze fotografie klasowe. Charles i ja zamówiliśmy sobie wspólne zdjęcie.

George roześmiał się i potrząsnął głową. — Cooper Main miał rację. Żyjemy w czasach cudów. Billy spoważniał.

— Chciałbym, aby niektóre z tych cudów dotarły do Karoliny Południowej. Odnoszę wrażenie, że Orry nie życzy sobie, abym poślubił Brett.

— Czy o tym chciałeś ze mną porozmawiać? — Kiedy Billy kiwnął głową, George mówił dalej: — Czy rozmawiałeś już z Orrym o swoich zamierzeniach albo napisałeś do niego w tej sprawie?

— Nie. I nie uczynię tego jeszcze przez rok, może nawet dłużej. Najpierw muszę być pewien, że zdołam utrzymać żonę.

Jest doprawdy nadzwyczaj ostrożny i rozważny — pomyślał George. — Będzie z niego doskonały inżynier. Billy wyjaśniał dalej. — Ale Brett napomknęła mu już o tym kilkakrotnie. Obojgu

nam wydaje się, że nie pochwała naszych planów. Może mnie nie lubi.

— Nie, z pewnością chodzi o coś zupełnie innego. Ty i Brett pochodzicie z dwóch odmiennych światów, z różnych stron kraju pałających do siebie coraz większą nienawiścią. Mogę się założyć, że Orry martwi się po prostu o przyszłość, która was czeka. Muszę przyznać, że podzielałam jego niepokój.

— Cóż więc mam robić?

— Postępuj zgodnie z radą, którą udzieliła mi matka, kiedy ludzie mówili, że nie powinienem żenić się z katoliczką i sprowadzić ją do Lehigh Station. Przekonała mnie, abym zawierzył własnym uczuciom, nie bigoterii czy pokrętnym poglądom osób postronnych. Powiedziała, że miłość zawsze weźmie w końcu górę nad nienawiścią. Mówiła, że tak być musi, jeżeli istoty ludzkie mają przetrwać. Orry nie czuje do ciebie nienawiści, ale może ma wątpliwości, co do waszych perspektyw. Jego usta drgnęły w uśmiechu. Niech pan trzyma się mocno, poruczniku. Jeśli wytrwa pan na swoim posterunku, spodziewam się, że Orry ugnie się w końcu.

A gdyby to trwało zbyt długo?

— Cóż z tego? Chcesz poślubić Brett czy nie? George nachylił się raptem, urwał gałązkę wawrzynu i podniósł ją do góry. Powoli zapadał zmrok. Wiesz zapewne, co matka czuje do tej rośliny. Według niej to jedna z nielicznych, która jest w stanie przeżyć swych naturalnych wrogów. Podał bratu białą-zieloną gałązkę. — Niech to będzie dla ciebie lekcją. Postaraj się, aby twoje uczucia wobec Brett były silniejsze niż wątpliwości innych. Musisz okazać się bardziej wytrzymały niż Orry. A kiedy poczujesz, że zaczynasz tracić nadzieję, pomyśl o tym wawrzynie, rosnącym tu w słońcu i podczas burzy. Nie wolno dawać za wygraną. To najlepsza rada, jakiej mogę ci udzielić.

Przez dłuższą chwilę Billy wpatrywał się w liście i kwiaty. Chciał się uśmiechnąć, ale nic z tego nie wyszło. Kiedy wreszcie odezwał się, jego głos drżał z emocji:

Dziękuję ci. Zastosuję się do niej. — Wsunął gałązkę do kieszeni.

Zapadła już noc. Na niebie zabłysło tysiące gwiazd. Obaj bracia, gawędząc i śmiejąc się pogodnie, schodzili ze wzgórza. Niebawem zniknęli w ciemności otulającej zbocze, na którym krzewy wawrzynu nadal kołysały się z szumem podobnym do odgłosu rzeki.

Owej jesieni dawne, oparte na zasadach lojalności układy polityczne kończyły swój żywot. Buck Buchanan uzyskał wreszcie szansę ubiegania się o urząd prezydenta z ramienia partii demokratów. Cameron, jakkolwiek nadal skłócony ze swym starym kolegą, uświadamiał sobie, że jego pieczołowicie budowana kariera może ulec zniszczeniu, jeśli przyłączy się do republikanów, tak jak czyniło wielu polityków na Północy i Zachodzie. Tak więc jesienią 1856 roku występował pod sztandarem tak zwanej Partii Unii, planując po kryjomu sojusz. Republikanie, jak na przykład David Wilmot, obiecywali, że będą głosować na niego podczas wyborów do Senatu, o ile znajdzie się w ich szeregach. Stanley działał lojalnie na rzecz Camerona, nie wiedząc nawet, jakie ma on zamiary.

W Karolinie Południowej Huntoon nie przestawał głosić publicznie swoich poglądów. Obawiał się rosnącej potęgi republikanów, był jednak również rozczarowany Buchananiem, który twierdził wprawdzie, iż nie będzie mieszał się w sprawy niewolnictwa w innych stanach, popierał jednak doktrynę Douglasa. Z jaką partią może przetrwać Południe? To pytanie Huntoon zadawał w każdym swoim przemówieniu. I natychmiast odpowiadał: nte może przetrwać w tych warunkach. Jedynym wyjściem jest secesja. Każde swoje wystąpienie Huntoon kończył teatralnym efektem; z uniesionymi w górę rękami nawoływał: Do broni! Tego jedynego arbitra, mogącego rozwikłać narodowe swary! Im wcześniej użyjemy jej w obronie praw Południa, tym lepiej!

Hasła utrzymane w tym duchu wywoływały zawsze aplauz słuchaczy, cytowała je obszernie prasa Karoliny Południowej. „Mercury” ochrzcił Huntoona mianem „młodego zawadiaki”. Ashton była podekscytowana tym faktem; uznała to za znaczący krok naprzód w karierze męża. Człowiek może mówić o rozgłosie dopiero wtedy, kiedy opinia publiczna zaczyna nazywać go „młodym takim” czy „starym owakim”.

Na Północy Hazard owie stanęły w obliczu rosnącej konkurencji ze strony brytyjskiego przemysłu hutniczego. George obwiniał za to demokratów, a zwłaszcza stosowaną przez nich politykę niskich opłat celnych. Z tego powodu wstąpił do partii republikańskiej. Jego decyzja nie miała nic wspólnego z twardą linią partii wobec kwestii niewolnictwa, jakkolwiek tak właśnie twierdził. Głosował na kandydata republikanów, Fremonta, który przegrał z Buchananiem różnicą pięćuset tysięcy głosów.

Jak na nową partię, przystępującą po raz pierwszy do wyborów prezydenckich, był to znakomity wynik.

W kilka dni po elekcji w Mont Royal zjawił się Cooper ze szkicem pod pachą. Kiedy rozłożył go na biurku, Orry ujrzał plan techniczny statku handlowego. Ozdobna wstążka w dolnym rogu opasywała napis „Gwiazda Karoliny”.

— Jaka jest wielkość statku? — zainteresował się Orry.

— Pięćset pięćdziesiąt stóp od dziobu do rufy. Jest tylko trochę mniejszy od statku do przewozu węgla i pasażerów aż do Trincomalee na Cejlonie, który buduje mój przyjaciel Brunei. Nazwał go „Leviathan”. Właśnie wykańczają go na Isle of Dogs na Tamizie. Za dwa tygodnie pojedę tam z rodziną, żeby obejrzyć statek dokładnie.

Orry głąskał w zamyśleniu brodę.

— Może rzeczywiście potrzebny ci jest wypoczynek w Anglii, nie jestem jednak pewien, czy Mainom potrzebny jest jeszcze jeden statek. Popukał palcem w papier. Chyba nie myślisz poważnie o budowie tego potwora...

Oczywiście że myślę. Proponuję otworzyć w Charleston stocznię Mainów, przede wszystkim w celu spuszczenia na wodę „Gwiazdy Karoliny” jako amerykańskiego statku flagowego. Orry nalał dwa kieliszki whisky, jeden podał bratu.

Czy dlatego kupiłeś tę ziemię na James Island?

Zgadłeś. Cooper uśmiechnął się. Orry opróżnił kieliszek do połowy, po czym oświadczył z sarkazmem.

Cieszę się, że wierzysz, iż nasza rodzina może świetnie prosperować, podczas gdy wszyscy inni idą na .dno. Bezrobocie stale wzrasta, George napisał, że obawia się recesji, może nawet kolejnej paniki, ty zaś myślisz o budowie statku handlowego.

I to największego w Ameryce skinał głową Cooper. Był spokojny i pewny siebie. Wiedział już, jak należy postępować z oponentami, również z własnej rodziny.

Już wkrótce statek zacznie zarabiać na siebie wyjaśniał. — Będzie przewoził bawełnę albo cokolwiek innego. Wiem, że nadchodzą ciężkie czasy. Nie będą jednak trwały wiecznie, my zaś musimy patrzeć nieco dalej w przyszłość. Pomyśl przez chwilę o stanie naszego przemysłu stocznioowego. Klipry nie przedstawiają większej wartości. Budowano je wyłącznie z uwagi na szybkość. Podstawowa zasada, którą kierowano się zazwyczaj, to znaleźć się jak najprędzej na złotodajnych polach i nie przejmować się ładownością statku. Teraz nie ma już złota, przestano też budować klipry, te natomiast, które są nadal eksploatowane, to zdezelowane starocie. Nie mogą przewozić takich ilości towarów, jakie są skłonni wysyłać farmerzy i fabryki. Mówię ci, Orry, jako naród morski pozostaliśmy daleko

w tyle. Łączny tonaż naszych parowców oceanicznych wynosi około dziewięćdziesięciu tysięcy. Wielka Brytania ma tonaż niemal sześciokrotnie większy. Istniejące braki może w pewnym stopniu uzupełnić „Gwiazda Karoliny”. I jeszcze coś: stocznia oznaczałaby korzyści dla Charleston i całego stanu. Potrzebny nam koniecznie przemysł, który nie opiera się na niewolnictwie. Śmiejąc się, bo jak inaczej mógł zareagować na tak niesłychany entuzjazm, Orry podniósł rękę:

— Zgoda. Przekonałeś mnie.

— Czy aby na pewno?

— Może nie do końca, ale wystarczająco skutecznie, abym cię zapytał: ile to cudo ma kosztować?

Iskierki w oczach Coopera przygasły.

— Dokładne liczby będę mógł ci podać po powrocie z Anglii. W tej chwili mogę posłużyć się jedynie wyliczeniami Brunela. Wschodnia Kompania Żeglugi Parowej wycenia budowę „Leviathana” na kwotę czterech milionów dolarów. — Gdy Orry usiłował otrząsnąć się z szoku, Cooper zaczerpnął tchu: — Albo trochę więcej.

— Czyś ty postradał zmysły, Cooper? Nawet gdybyśmy oddali w zastaw hipoteczny cały nasz majątek, zdobylibyśmy w najlepszym razie połowę tej sumy.

Niemal szeptem Cooper wyjaśnił:

— Myślę, że mógłbym omówić kwestię tej drugiej połowy z Georgem.

— Teraz, kiedy przemysł stalowy przeżywa kryzys? Chyba zupełnie oszalałeś!

— George zna się świetnie na interesach, podobnie jak ty. Myślę, że dostrzeże nie tylko chwilowe ryzyko, ale również perspektywę przyszłych zysków.

Wyzwanie było wyraźne. Orry miał do wyboru albo zaaprobować pomysł, albo przejść do obozu reakcjonistów pokroju Stanleya. Projekt brata uważał właściwie za wielce obiecujący, ekscytujący i wcale nie taki głupi, jak początkowo próbował zasugerować. Nie mógł jednak w tej chwili wyrazić zgody.

— Muszę znać liczby. Realne wyliczenia ładowności statku, kosztów budowy i spodziewanych zysków. Nie nawiążę kontaktu z żadnym bankiem, dopóki nie otrzymam tych informacji.

To wystarczało Cooperowi. Rozpromieniony obiecał:

— Dostaniesz je w ciągu dwóch tygodni od mego powrotu. Postaram się dostarczyć ci je jak najszybciej. Do tej pory budowano w Charleston jedynie małe statki. Odrodzony przemysł mógłby być zbawieniem dla tej części kraju.

— Nie wspominając o ruinie Mainów — mruknął Orry. Ale mówiąc to, uśmiechał się.

Cooper i jego rodzina w Bristolu przesiadła się do pociągu linii Great Western Railway, zaprojektowanej przez I. K. Brunela i oddanej do użytku w 1841 roku. Pociąg odjechał z toru przy peronie skrytym pod rozległym dachem dworca Temple Meads, również zaprojektowanym przez Brunela. Na przestrzeni stu dwudziestu mil trasa biegła po szerokim torze przez uznawany za arcydzieło inżynierii, wsparty na murowanych przęsłach most Brunela. Docierała wreszcie do nowej stacji Paddington, otwartej oficjalnie przed dwoma laty przez księcia-małżonka. Brunei zaprojektował tu każdy szczegół, również hotel przylegający do stacji. Cooper postanowił zatrzymać się w nim na pewien czas. Okazało się, że dzięki znajomości z architektem otrzymali apartament większy od tego, który zarezerwował, w takiej samej cenie.

Isambard Kingdom Brunei liczył sobie pięćdziesiąt lat, był ruchliwym, pełnym fantazji mężczyzną. Nigdy nie rozstawał się z wysokim cylindrem ani cygarem, które sterczało w kąciu ust. Nie wszystkie jego pomysły okazały się udane. Krytykowano na przykład szeroki rozstaw szyn na trasie Great Western Railway; nie mogły bowiem wjeżdżać na nie wagony krzyżujących się linii. Nie miał jednak równych sobie w kreśleniu śmiałych wizji, sięgających daleko w przyszłość. Cooper przekonał się o tym ponownie, kiedy ten niewysoki mężczyzna zaprowadził go nad Tamizę, do stoczni swego wspólnika, Scotta Russella.

Dzięki budownemu w niej „Leviathanowi” stocznia Mill-wall stanowiła obecnie jedną z największych atrakcji turystycznych Europy. Otaczające ją bagniste tereny Isle of Dogs usiane były barami kawowymi na kółkach i prowizorycznymi straganami z taniego drewna i brezentu, w których sprzedawano pamiątki, a właściwie wszelkiego rodzaju kicz: miniaturowe modele ukończonych statków, pejzaże na litografiach, ABC o „Leviathanie” dla dzieci. Dziś jednak w środku tygodnia i podczas złej pogody – sklepiki nie mogły pochwalić się liczną klientelą.

Wysoki na pięćdziesiąt cztery stopy podwójny kadłub „Leviathana” odcinał się wyraźnie od zasnutego deszczowymi chmurami nieba. Kadłuby wewnętrzny i zewnętrzny zostały specjalnie wzmocnione, dzieliły je trzy stopy wolnej przestrzeni. Statek miał otrzymać sześć masztów, pięć kominów i dwa zespoły silnikowe, jeden do napędu kół łopatkowych, drugi olbrzymiej śruby. Był tak zbudowany, aby mógł wpływać do Tamizy bokiem; jego niezwykła długość nie pozwalała na normalny manewr.

Mamy nadzieję, że w ciągu roku spuścimy go na wodę, o ile tylko zdołam ukończyć projekt pochylni i ożywić współpracę z Russellem. Nie ulega wątpliwości, że sporządzony przez niego

kosztorys budowy kadłuba i silników był lekkomyślny i nieodpowiedzialny.

Przez chwilę żuł wygasłe cygaro. Mimo widocznego rozczarowania wspólnikiem nie zdołał skryć przepelniającej go dumy, kiedy wodził wzrokiem po ogromnym kilu. Wyjął z ust cygaro i wskazał nim gotową już część zewnętrznego kadłuba, pokrytą żelaznymi, grubymi na cal płytami.

Moje wielkie dziecko otrzyma trzydzieści tysięcy takich płyt, zanim wypłynie w pierwszy rejs. I trzy miliony nitów. Są momenty, kiedy wbija je dwustu moczary.

Cooper ściągnął z głowy starą bobrową czapkę, aby ogarnąć wzrokiem wysoki kadłub giganta. Twarz zmoczył mu deszcz.

— Chcę zbudować w Charleston statek podobny do tego, tylko trochę mniejszy. Kiedyś skopiowałem „Great Britain”...

— I to znakomicie. Widziałem rysunki. Ale to, co pan przed chwilą powiedział, to chyba żart? Zawsze odnosiłem wrażenie, że jest pan człowiekiem inteligentnym i lubiącym wygodę. Chyba nie zamierza pan poświęcić dla tej przygody swoich przyjaciół, rodziny, zdrowia i całego majątku?

Wiem, że to ryzyko, nawet ogromne. Nie mogę się jednak powstrzymać. Chcę zbudować ten statek nie dla własnego kaprysu. Myślę, że mógłbym zrobić w ten sposób coś dla Południa, zwłaszcza teraz, kiedy rzeczywiście potrzebuje pomocy.

Zdaję sobie sprawę ze wzrastającej izolacji Południa jeśli chodzi o handel i politykę skinał głową Brunei. Chyba pan wie, jak bardzo aktywne w tym kraju są organizacje antyniewolnicze. Cóż, jeśli mówi pan poważnie, pokażę panu moje szkice i wyliczenia, udzielię tylu informacji, ile tylko zdołam. Nie muszę chyba panu mówić, ilu ludzi odnosi się krytycznie do moich planów. Moje niemowlę jest pierwszym w historii statkiem bez wręgów. Spotkałem się już z opiniami, że przełamie się w środku, rozpadnie...

— Mam zamiar kierować się raczej pańską opinią, niż zda niem pańskich krytyków.

Inżynier uśmiechnął się. Kiedy opisywał olbrzymie, czterocylindrowe silniki, których wykonanie zlecił towarzystwu Jamesa Watta, znowu tryskał humorem.

Tu jest wał koła wodnego. Waży czterdzieści ton. Największa część, jaka kiedykolwiek została ukuta...

Mówił z rosnącym entuzjazmem, kiedy szli przez mżawkę. Na pustych kramach z pamiątkami gromadziły się stada wron. Brezentowe osłony trzepotały na wietrze. Robotnicy pozdrawiali z wysokich rusztowań Brunela, on jednak nie odpowiadał na wszystkie, mówił bowiem zbyt szybko. Tak szybko, że Cooper miał trudności z robieniem notatek.

Cooper zabrał rodzinę na niewielki cmentarz przy kościele w Beaconsfield. Dzieci nie rozumiały, dlaczego stoi w milczeniu z pochyloną głową przy grobie człowieka o nazwisku Burkę. Ale nawet czteroletnia Marie-Louise domyślała się, że to miejsce jest dla jej ojca czymś szczególnym.

Dzieci interesowały się bardziej tunelem pod Tamizą, monumentalną budowlą, ukończoną przez Brunela po śmierci ojca, autora projektu. Rodzina weszła do tunelu dla pieszych od strony Wapping. Miejsce było chłodne, trochę niesamowite, a widok bezdomnych śpiących lub siedzących pod ścianami napełniał Judith lękiem. Ale Cooper z Marie-Louise na lewym ramieniu i Judahem na ręku dostrzegał jedynie wielkość budowli. Jego oczy błyszczały.

— Jeśli potrafią tego dokonać ludzie wolni, to po co trzyma się niewolników?

Jego szept sprawił, że Judith poczuła ciarki na plecach. Cooper miał minę, jakby dostrzegł przed chwilą oblicze Boga. Wzięła go pod rękę i zacisnęła mocno dłoń.

Na następny dzień Cooper i Brunei zaplanowali przeglądanie kosztorysu „Leviathana”. W ostatniej chwili, bez uprzedzenia, Cooper przełożył spotkanie i podążył nowym tropem, tym razem z myślą o George’u Hazardzie.

Przyczyną zmiany planów był krótki nagłówek w „Mail”.

Gazeta miała już kilka tygodni. Leżała na dworcowej ławce; użyto jej do zapakowania jabłek, które dzieci jadły w drodze powrotnej z Beaconsfield. Ogryzki i szczątki gazety Cooper znalazł na stoliku w holu hotelowego apartamentu i już chciał je wyrzucić do śmieci, kiedy jego uwagę zwrócił nagłówek: „Besse-mer występuje o patent amerykański”.

Doskonale znający choćby ze słyszenia wynalazców i ich projekty Cooper zorientował się natychmiast, o kogo chodzi. Henry Bessemer, wzięty wynalazca, zyskał sławę dzięki swej metodzie dokładnego ustalania toru lotu pocisku wystrzelianego ze strzelby o gładkiej lufie. Opracował ją w trakcie wojny krymskiej, korzystając z pomocy i zachęty cesarza Francji, Napoleona III.

Ale co zamierzał opatentować w Ameryce? Odpowiedź znał w dwóch krótkich akapitach.

Wielki Boże, to fantastyczne — zawołał Cooper. Judith wyszła z salonu.

— Czy coś się stało?

— Owszem, ale coś wspaniałego. Spójrz tylko. Niejaki Bessemer twierdzi, że odkrył szybki sposób uzyskiwania stali z surowki. Teraz chce opatentować go w Ameryce. Ciekawe, czy

George wie o tym. Muszę zebrać dla niego jak najwięcej informacji.

I dlatego właśnie odwołał spotkanie z Brunelem. Jego poszukiwania polegały przede wszystkim na przeglądaniu starych gazet. Wysłał również do Bessemera kilka listów z prośbą o wywiad. Wynalazca nie odpowiedział na żaden z nich.

— Nic dziwnego — powiedział kilka dni później Brunei. — Bessemer mówi, że znalazł się pod presją i dlatego zdradził się za wcześniej ze swym wynalazkiem.

— Jak to: zdradził się?

— Miał kiedyś długi odczyt przed członkami Towarzystwa Krzewienia Nauki. Na łamach „The Times” przedrukowano go w całości.

— Dawno to było?

— Chyba w sierpniu.

— Nie przeglądałem tak starych gazet.

Cooper napisał jeszcze raz do wynalazcy, to samo uczynił Brunei. Tym razem otrzymał odpowiedź, ale Bessemer zamierzał poświęcić Cooperowi nie więcej niż dziesięć minut.

Talent Brunela polegał na twórczym myśleniu, opracowywaniu koncepcji, których nie mógł opatentować i którymi bez żalu dzielił się z innymi. Pomysły Henry’ego Bessemera były innego rodzaju, dotyczyły określonych przyrządów czy metod i z tego powodu należało je chronić patentem, o ile nie miały zostać skradzione. Bessemer zrobił na Cooperze wrażenie człowieka podejrzliwego i mało przystępnego.

— Ogłoszenie było przedczesne. Sprowadziło tylko na mój trop zgraję zgłodniałych wilków. Teraz walczą ze mną, jak również między sobą, o udział w moim wynalazku. Wytwórcy stali z Sheffield szydzą ze mnie, no, ale oczywiście nie mogą inaczej. Oni potrzebują dwóch tygodni, aby uzyskać trochę stali z surówki. Jeżeli ja otrzymam pięć tori stali w ciągu pół godziny, będzie to oznaczało ich koniec.

— Co pan mi może powiedzieć na temat swojej metody, panie Bessemer?

— Nic. Powiedziałem już wszystko, co zamierzam zdradzić opinii publicznej albo panu. Życzę miłego dnia, panie Main.

Cooper znał już jedną z przyczyn nieprzyjaznej postawy Bessemera, jego metoda napotkała pewne problemy. Przeglądając z uporem stare gazety Cooper znalazł wreszcie artykuł w „The Times” i dowiedział się, co wywołało kontrowersje wokół osoby wynalazcy. Zapisał też wszystko, co mogłoby zainteresować jego przyjaciela.

Swego odkrycia Bessemer dokonał pracując wraz z eksper-

tern do spraw uzbrojenia na dworze Napoleona III, niejaki Minie, nad problemem toru pocisku. Jako człowiek niezwykle wnikliwy zwrócił uwagę na inne problemy artylerii, zastanawiając się, czym można by zastąpić kruche żelazo, stosowane do wyrobu armat. Rozmyślenia te doprowadziły do opracowania metody pozwalającej uzyskiwać wysokogatunkową stal w dużych ilościach. Jednocześnie Bessemer skonstruował odpowiednią aparaturę; konwertor w kształcie jaja, urządzenie hydrauliczne, które można było obsługiwać z bezpiecznej odległości, oraz — jak to nazwał — dmuchawę dostarczającą do surówki bogate w tlen powietrze.

Teoretycznie cały proces był zaskakująco prosty, tak właśnie przedstawiała się sprawa z wieloma przełomowymi wynalazkami. W miesiąc po dokonaniu swego sensacyjnego odkrycia Bessemer sprzedał licencję na ów proces rozmaitym firmom za kwotę wielu tysięcy funtów. Po kolejnym miesiącu prasa okrzyknęła go szarlatanem. „Wspaniały meteor, który przemknął nad metalurgicznym widnokregiem, aby zniknąć w absolutnych ciemnościach”.

Kiedy Cooper przybył do Anglii, emocje już opadły. Bessemer nadal wierzył w opracowaną przez siebie metodę i ubiegał się o patent w Ameryce, piętnowany był jednak przez angielskich producentów stali. Ci, którzy zapłacili mu za prawo stosowania tej metody, określali ją jako nieudaną i oszukańczą. Jakość uzyskiwanej stali pozostawiała wiele do życzenia. Bessemer gorączkowo szukał przyczyn tego stanu rzeczy, pracował w laboratorium dniami i nocami. Być może zła jakość stali była wynikiem zbyt wysokiej zawartości fosforu w angielskiej rudzie. Bessemer odkrył to mimo woli, kiedy użył do kolejnego eksperymentu rudy szwedzkiej, nie zawierającej tego składnika.

Cooper dowiedział się od Brunelą, że nawet to nie rozwiązało problemu Bessemiera. Uporczywie powtarzane wieści głosiły, że pewien anonimowy producent stali z Walii opracował sposób wykorzystania metody Bessemiera i zamierzał opatentować swój wynalazek. Nic dziwnego, że Bessemer poczuł się zagrożony i był zirytowany. W ciągu zaledwie trzech miesięcy zyskał olbrzymią sławę, a potem zniknął z pola widzenia.

Mimo to Cooper był pod dużym wrażeniem wynalazcy i wierzył w niego. Najbardziej trafiały mu do przekonania oficjalne oświadczenia manufaktur z Sheffield; w dalszym ciągu krytykowały Bessemiera i teoretyczne podstawy jego procesu. A Cooper zdążył się już przekonać, że zawsze, kiedy jakiś wynalazek jest piętnowany tak zawzięcie, coś w nim jest.

Przeglądał więc stare gazety, składał je w grubej teczce, dopisując własne uwagi. Całą tekę zamierzał pokazać George'owi po powrocie do Ameryki.

— Ostatecznie — powiedział do Judith podczas podróży do domu — skoro mam go poprosić o parę milionów dolarów na budowę statku, lepiej wyświadczyć mu najpierw przysługę.

42

— Jak właściwie nazywa się ten tajemniczy zbawca Bessemera? — zapytał Stanley Hazard.

W jego głosie brzmiał nie tylko sceptycyzm, ale również szyderstwo. Niezbyt ostre, to prawda, gdyż sytuacja nakazywała uprzejmość, ale jednak wyraźne. Cooper gardził Stanleyem z powodu jego ciasnego umysłu. Równie mocno denerwowała go zblazowana mina Hazarda.

Jedynie pamięć o celu wizyty pozwoliła Cooperowi stłumić rozdrażnienie.

— Nie wiem, Stanley. Słyszałem tylko, że jego fabryka mieści się w Walii. — Przesunął po stole grubą tekę z prasowymi wycinkami. — Wszystko, czego zdołałem się dowiedzieć, jest tu.

Przysłonił usta dłonią i zakasłał. Jego informacje zaciekały George'a. Ścisnął w zębach cygaro, z którego pykał szybciej niż zazwyczaj. Widząc, że Cooper nie przestaje kasłać, pomachał ręką, rozganiając nieco siwe kłęby dymu.

— Przepraszam cię, Cooper. — Podeszedł do okna i otworzył je. Chłodne, nocne powietrze wpadło do małej jadalni hotelowej.

Po przybyciu do Nowego Jorku Cooper wsadził Judith i dzieci na parowiec do Charleston, sam zaś udał się prosto do Lehigh Station. Dotarł tam w środku nocy i zatrzymał się w Station House. Hotel znajdował się w pobliżu dworca, został zbudowany wkrótce po doprowadzeniu do miasta linii kolejowej. Był nieduży, ale za to nowoczesny. Każdy pokój wyposażono w wannę, zainstalowaną w przyległym pomieszczeniu, całość oświetlały lampy gazowe.

Po dobrym śniadaniu Cooper wysłał do George'a krótki list, w którym informował o swoim przybyciu i zapraszał go wraz ze Stanleyem na kolację. Właściwie nie chciał pokazywać Stanleyowi projektu swego przyszłego statku, czuł jednak, że musi to uczynić. George zarządzał wprawdzie finansami Hazard Iron, ale statek oznaczał nietypowy wydatek, inwestycję tak niezwykłą, że George zapewne nie ośmieliłby się wyrazić na nią zgody bez przedniej konsultacji z bratem. Uznał więc, że lepiej mieć Stanleya po swojej stronie.

George zaczął przeglądać notatki i wycinki z gazet.

— Wiesz, to mi do złudzenia przypomina metodę Kelly'ego. Cooper nabił na widelec ostatni kawałek sernika, leżący na talerzu.

— Co to za jeden, ten Kelly?

George opowiedział o hutniku z Kentucky, po czym dodał:

— Ale skoro Bessemer wystąpił już dawno o patent amerykański...

— Może zapomniałem ci powiedzieć... przerwał mu Cooper. — Otrzymał go, zanim opuściłem Londyn.

— W takim razie Kelly nie ma już szans. Na wszelki wypadek... — George machinalnie zapalił cygaro, które właśnie zgasło

— zarezerwuję dwa miejsca na parowcu. Constance będzie mogła obejrzeć francuskie katedry, podczas gdy ja zajmę się tą sprawą.

Stanley zaczął:

Myślę, że jesteś głupcem, skoro chcesz zaryzykować...

— Co ryzykować? Swój czas? Cenę biletów? Wielki Boże, Stanley, jeśli chcesz prowadzić interesy, ryzyko jest nieuniknione. Czy nigdy tego nie zrozumiesz? Wyobraź sobie tylko, że Hazardowie otrzymaliby amerykańską licencję na metodę Bessemera. Pomyśl, ile byśmy zyskali, wchodząc na rynek przed innymi!

- Zyskali... albo stracili — odparował Stanley. Czy zaprzeczysz, że stosując tę metodę produkuje się stal złej jakości? George stracił panowanie nad sobą i uderzył pięścią w stół.

— Do diabła, cóż to ciebie obchodzi? Całą podróż opłacam z własnych środków!

Stanley wyprostował się z uśmiechem.

— W takim razie nie mam nic przeciw temu.

George zacisnął wargi, odetchnął głęboko, po czym zwrócił się do przyjaciela.

— Chciałbym spotkać się osobiście z Bessemerem. Może wobec mnie nie będzie tak podejrzliwy, jako że zajmuję się zawodowo hutnictwem.

Na twarzy Coopera pojawiał się nikły uśmiech.

— Nie sądzę. Sprawy mają się tak, że Bessemer jest wyśmiewany przez wszystkich angielskich producentów stali.

Może jednak wiedzą o czymś, o czym my nie wiemy?

— zapytał wzdychając ciężko Stanley. Wstał.

George wyjął cygaro z ust i przez obłoki dymu spojrzął na brata.

— Stanley, wiem, że minęły już lata, odkąd po raz ostatni zachowałeś się jak należy, ale przypomnij sobie, jakie miałeś maniery, zanim zacząłeś zadawać się z politykami. Przyjeżdżając tu Cooper wyświadczył nam olbrzymią przysługę. Jesteśmy mu winni przynajmniej to, aby wysłuchać, co nam ma do powiedzenia. Bo chyba chodzi o coś jeszcze, prawda?

— Owszem — przytaknął Cooper. Stanley z wyraźnym niesmakiem usiadł z powrotem.

Cooper sięgnął po teczkę. Ogarnęło go zniechęcenie. W atmosferze sceptycyzmu i wrogości odeszła go ochota zaprezentowania szkicu „Gwiazdy Karoliny”.

Odsunął na bok zastawę i rozwinął poplamiony już i pognieciony rysunek. Powoli, z powagą, zaczął mówić. Rozpoczął od opisu nowoczesnych rozwiązań technicznych. Z entuzjazmem mówił o ładowności parowca i różnych możliwościach jego wykorzystania. Wreszcie przedstawił swój plan budowy statku w Charleston. Zakończył wyjaśnieniem:

— Moja rodzina posiada kapitał niezbędny do przeprowadzenia inwestycji, ale to przedsięwzięcie przekracza nasze możliwości. Gdyby Hazardowie przystąpili do spółki, moglibyśmy rozpocząć prace. Jestem przekonany, że obydwie rodziny osiągną spory zysk. Może nawet bardzo duży.

Szyderczy wzrok Stanleya ponownie padł na rysunek.

— A co mówią banki?

— Nie zwróciłem się jeszcze do żadnego banku. Chciałem dać wam pierwszeństwo. — Zerknął na George'a. — Wiąże się z tym oczywiście pewne ryzyko...

Stanley zachichotał i mruknął coś uszczypliwie. George spojrział na niego z dezaprobatą. Stanley oparł się wygodnie o oparcie krzesła, siedział teraz z rękami skrzyżowanymi na piersi, z na wpół przymkniętymi oczyma.

— Wyjaśnij to dokładnie, Cooper odezwał się George. — Myślę, że nawet bardzo dokładnie. Ale nie potrafię ustosunkować się do twojej propozycji. Nie znam się na budowie statków.

— Informacje, które posiadam na ten temat, znalazłem w książkach — odparł Cooper. — Zamierzam sprowadzić do Charleston najlepszych cieśli okrętowych i inżynierów...

Mówił jeszcze przez dziesięć minut, odniósł jednak wrażenie, że traci tylko czas. Nie zmieniając pozycji Stanley oświadczył:

— Jestem przeciw. Nie zainwestowałbym w to nawet pięciu centów.

Cooper sposepniał. George miętosił przez chwilę w palcach rozek szkicu, potem wyprostował się i zapytał gościa:

— Ile potrzebujesz?

— Żeby zacząć? Około dwóch milionów.

Starszy brat sapnął zaskoczony i zerwał się na równe nogi. George spojrział nań z błyskiem w oczach.

— Na miłość boską, Stanley, nic już nie mów. Żałuję, że cię tu w ogóle zaprosiłem. To będą moje pieniądze. Oddam w zastaw hipoteczny wszystkie moje nieruchomości albo, jeśli nie wystarczą, sprzedam je. Nikt nie tknie nawet palcem twojego cennego majątku.

Przez chwilę Stanley nie wiedział, co powiedzieć.

— Myślisz, że twój majątek osobisty wart jest dwóch milionów? — zapytał wreszcie.

— Nie jestem tego pewien, muszę poradzić się bankierów. Mam jednak mnóstwo pieniędzy, o których nie wiesz. Zarobiłem je, podczas gdy ty byłeś zajęty przymilaniem się do Camerona. Każdemu wedle zasług — zakończył i wzruszył ramionami. Stanley, oniemiały z urazy, opadł na krzesło.

George wyciągnął rękę do Coopera.

— A więc jesteście współpracownikami. W każdym razie rozważymy możliwość zawiązania spółki. Muszę mieć mniej więcej tydzień, aby zorientować się, czy rzeczywiście zdołam zgromadzić taką sumę.

— Jesteś szaleńcem! — wybuchnął Stanley. — Zawsze byłeś lekkomyślny! — Pochylił się w stronę Coopera. — Powiedz uczciwie, ile lat zajmie ci zaprojektowanie i wykonanie tego twojego wspianego statku? Pięć? Dziesięć?

Trzy. W 1860 roku można spuścić go na wodę.

— Świetnie parsknął szyderczo Stanley. — A więc może to być statek flagowy floty twojego nowego Południa. Tego samego, o którym nie przestają mówić wszyscy zdrajcy z twego stanu.

Sięgnął po kapelusz, laskę i płaszcz.

— Jego przyjaciel, pan Cameron, flirtuje z republikanami — wyjaśnił George. — Stanley wypróbował właśnie partyjną retorykę.

W odpowiedzi Stanley posłał mu spojrzenie pełne nienawiści, po czym wskazał laską szkieł statku.

— Nikt rozsądny nie potraktuje tego poważnie. Dla was obu oznacza to ruinę; kiedyś przypomnicie sobie moje słowa.

Wyprostowany dumnie wyszedł z pokoju. George westchnął.

— Nawet nie podziękował ci za kolację. Gdyby nie był moim bratem, skrzyłbym mu kark.

Cooper uśmiechnął się i podniósł do góry zwinięty w rulon szkieł statku.

— Nie przejmuj się. Poradzimy sobie bez niego.

W ciągu zaledwie dwóch tygodni George zastawił nieruchomości na kwotę miliona dziewięćset tysięcy dolarów na budowę „Gwiazdy Karoliny”.

Czek na pięćdziesiąt tysięcy oraz podobna suma, przekazana przez Mainów, wystarczyła na pierwsze wydatki; pomiary gruntu na James Island, przygotowanie i oczyszczenie terenu oraz otwarcie specjalnego subkonta z kwotą równą trzyletnim dochodom człowieka, z powodu którego Cooper udał się w podróż na północ, aby nakłonić go do opuszczenia firmy „Black

Diamond". Człowiek ten nazywał się Levitt Van Roon i był jednym z najlepszych w kraju budowniczych okrętów. Misja Coopera powiodła się i niebawem Van Roon przeprowadził się wraz z rodziną do Charleston, po czym zgodnie z życzeniem swego nowego chlebodawcy wyjechał do Anglii, aby zwiedzić stocznię Mili wali i odbyć rozmowę z Brunelem.

Należało jeszcze zarejestrować spółkę Carolina Marine Company i przygotować umowę partnerską pomiędzy Mamami a Georgem Hazardem. W tym celu Cooper udał się do męża Ashton; Huntoon należał do prawników drogich, ale dobrych. Cooper zaaprobował dwudziestosiedmiostronicowy dokument i wręczył go Orry'emu, który przesłał go do Lehigh Station.

Kilka tygodni później Orry oświadczył bratu:

George porwał tę umowę na strzepy.

— Wielki Boże! Nie przystępuje do spółki?

— Nie, to nie to. Po prostu uważa, że kontrakt nie jest wcale potrzebny, że wystarczy, jeśli uściśnicie sobie dłonie.

— I na tej podstawie powierzy mi niemal dwa miliony dolarów?

Orry skinął głową ubawiony reakcją brata. Cooper rozumiał teraz, dlaczego Orry tak bardzo szanuje i lubi swego przysadzistego przyjaciela z Pensylwanii.

Wiosną 1857 roku Billy zakończył krótki pobyt w Forcie Hamilton, gdzie pomagał najstarszemu rangą oficerowi w naprawie uzbrojonej w dwadzieścia trzy działa reduty, a w wolnych chwilach realizował projekt własnego autorstwa.

Właściwie trudno to było nazwać projektem — chodziło o odnowienie dwóch pięter i sufitów w prochowni Battery Mortox. Me Billy sam wykonał wszelkie wyliczenia i szkice, wynajął i nadzorował sześciu robotników, starszych od siebie przynajmniej o dziesięć lat i raczej kłótliwych. Początkowo nie zwracali uwagi na jego rangę, poczęli go jednak szanować po brutalnej, dwuminutowej walce bokserskiej, którą wszczął i Stoczył z powodzeniem z ich przywódcą.

Billy uwielbiał Nowy Jork za jego bogactwo barw i bezustanny ruch. Był Jankesem, a więc tu znajdował się jego dom. Czuł jednak, że jego serce bije teraz dla Południa i miał nadzieję, że jeden z najbliższych rozkazów przeniesie go w tamte strony. Na przykład na Cockspur Island, wyspę na rzece Savannah, albo jeszcze lepiej do portu Charleston. Niestety, niezgłębiona machina biurokracji wojskowej wysłała go w głąb kraju śladami wybitnego oficera.

Niecałe dwadzieścia lat wcześniej człowiek uważany za najlepszego żołnierza armii i kandydata na następcę Scotta, a mia-

nowicie Robert Lee, został wysłany ze swoim pomocnikiem do St. Louis, gdzie zgodnie z otrzymanymi rozkazami miał rozwiązać problem Missisipi. Rzeka zamulała się wzdłuż zachodniego brzegu i utrudniała żeglugę w okolicach St. Louis.

Lee, służący wówczas w wojskach inżynieryjnych, doszedł do przekonania, że jedynym wyjściem byłyby podłużne zapory. Wzniósł więc kilka przy Bloody Island, długiej, porosłej topolami ławicy piasku, od strony Illinois. Poświęcił na ten cel dwa i pół roku swego życia. W pobliżu rzeki zastosował wiele innych rozwiązań swego pomysłu. W efekcie jego prac doskonale zaprojektowane tamy kierowały nurty rzeki tak, że nagromadzony piach zmywany był dalej, a kanał żeglugowy od strony miasta znacznie się pogłębił.

Swoją pracę Lee zaskarbił sobie wdzięczność mieszkańców St. Louis, a jego bohaterskie czyny w czasie wojny meksykańskiej uczyniły zeń postać wręcz legendarną. Teraz porucznik Hazard, również z pomocnikiem, został odkomenderowany do St. Louis, aby naprawić tamy. Zadanie było znacznie łatwiejsze niż misja, z którą przed laty przyjechał tu Lee, oznaczała jednak wcale nie mniejszą samotność.

Pobył na pograniczu Billy traktował niemal jak wygnanie, napisał o tym w liście do Brett. Pocieszał się tylko jednym; w dalszym ciągu odkładał do banku część swego żołdu. Kapitał małżeński; tak nazywali te pieniądze w licznych i czułych listach. Brett obiecała, że odwiedzi go w St. Louis oczywiście pod warunkiem, że Orry zgodzi się dotrzymać jej towarzystwa.

Mimo programu rozszerzonego w 1855 roku, dzięki któremu utworzono cztery nowe pułki, armia Stanów Zjednoczonych nadal była nieliczna. Nie było więc nic nadzwyczajnego w tym, że młody oficer zostaje przeniesiony tam, gdzie służył niegdyś Marmurowy Bohater, Robert Lee, albo nawet przechodzi pod jego rozkazy, co właśnie przytrafiło się Charlesowi.

Charles ukończył Akademię jako trzeci od końca w klasie z 1857 roku. Zamówił dla siebie mundury z złotymi wyłogami, zaopatrzył je w insygnia kawalerii, po czym, korzystając z urlopu, udał się do domu. Otrzymał przydział do II Pułku Kawalerii w Teksasie. Był to jeden z czterech nowych pułków. Miało w nim służyć tylu Południowców, absolwentów West Point, że nazywano go „prywatną jednostką Jeffa Davisa”. I nie zawsze brzmiało to jak pochwała.

Na wieść o przydziale Charlesa Ashtona zareagowała podobnie jak Billy:

— Mój Boże, toż to kraniec świata! Nie ma tam nic prócz piachu, czarnuchów i czerwonoskórych dzikusów!

— Nonsens, Ashton. Są tam Teksaszczyki, Hiszpanie... i najlepszy w całej armii pułk kawalerii. Obecnie dowodzi nim Robert Lee. Przejął komendę po Albercie Johnstonie. Napisał już do swoich przyjaciół z Akademii, że Teksas jest piękny. Założył sobie ogródek i trzyma w nim oswojonego grzechotnika. Myślę, że uczynię to samo.

— Zawsze uważałam, że jesteś szalony — mruknęła, wzdrygając się z odrazą.

43

Parowiec z Nowego Orleanu dowiózł Charlesa do Indianoli na wybrzeżu Zatoki Teksaskiej. Stąd młody oficer udał się dyliżansem do San Antonio, siedziby kwatery głównej pułku departamentu Teksasu, znajdującego się obecnie również pod dowództwem Roberta Lee.

Teksas stanowił dla Charlesa Ti\ovre doświadczenie-, krajobraz różnił się od wszystkiego, co widział do tej pory. Teren nie był górzysty jak wyżyna nad Hudson ani nadmiernie porośły zielenią i wilgotny jak większość obszarów nizinnych Karoliny Południowej. Płaską i łagodnie pofałdowaną teksaską ziemię paliło słońce i chłostały wiatry. Ostre upały w lecie i przenikliwy ziąb zimą doskwierały mieszkańcom Teksasu. Przedkładającego nade wszystko swobodę Charlesa ciągnęło do owych rozległych przestrzeni. Odnosił wrażenie, że W tej krainie człowiek może żyć nie skrzepowany tradycjami i trywialnymi regułami, które w gęściej zasiedlonych regionach kraju ujmowały zachowanie ludzi w karby surowych zakazów.

Wschód i wrogość jego mieszkańców wobec przybyszów z innych stanów Charles pożegnał z radością. W marcu Są Najwyższy wydał orzeczenie w sprawie Dreda Scotta, niewolnika, który wniósł prośbę o uznanie go wolnym. W zasadzie przestał być niewolnikiem w momencie, kiedy jego właściciel przywiózł go na terytorium, gdzie niewolnictwo było zakazane. Charles nie potrafił pojąć wszystkich zawłości tej sprawy, ale znakomita większość opinii publicznej, reprezentowana przez prezesa sądu Taneya, była zdania, że Scott nie miał prawa występować z taką prośbą, niewolnicy nie są bowiem obywatelami. W myśl konstytucji nie są osobami prawnymi, w związku z czym nie mogą szukać sprawiedliwości w amerykańskich sądach. Decyzja wzbudziła namiętności po obu stronach i sprowokowała serię gwałtownych bójek pomiędzy studentami West Point.

Charles wątpił, czy tu, w Teksasie, zdoła uniknąć podobnych konfliktów, miał jednak nadzieję, że przynajmniej będzie ich mniej. Pogranicze czy nie, Teksas stanowił część niewolniczego Południa.

San Antonio rozciągało się nad rzeką o tej samej nazwie. Miasto stanowiło dziwaczną, ale zachwycającą mieszaninę trzech kultur, co Charles zauważył przede wszystkim w architekturze. Kiedy dyliżans turkotał po wyboistych drogach przedmieścia, oglądał gustowne, jednopiętrowe domy z kwadratowych, białych kamieni wapiennych; na każdym widniała tabliczka z nazwiskiem właściciela. Przeważały nazwiska niemieckie. Potem z przyjemnością przechadzał się po wąskiej Commerce Street wzdłuż rzędu sklepików z niemieckimi i angielskimi szyldami. Koloniści amerykańscy mieszkali w solidnych, murowanych budynkach jedno- lub dwupiętrowych, otoczonych drewnianymi płotkami. Były też oczywiście domy w formie kwadratu, z płaskimi dachami z suszonej na słońcu cegły. Razem wziąwszy, miasto przypadło mu do gustu tak jak cały stan. Ludzie sprawiali wrażenie przyjaznych, zachowywali się, jakby byli przekonani, że życie zawsze będzie obchodzić się z nimi życzliwie, co pozwalało im patrzeć z optymizmem w przyszłość. Charles miał uzbrojonych mężczyzn o srogim wyrazie twarzy, ścigał wzrokiem zachwycające, śniadolice Hiszpanki.

Przed zameldowaniem się u Roberta Lee pieczolowicie oczyścił z kurzu swoje błękitne spodnie i obcisłą granatową kurtkę, wypolerował ornament, miedzianego orła, i wyprostował dwa czarne strusie pióra na przepisowym kapeluszu pomysłu Billa Hardee; był to niekonwencjonalny, szerokoskrzydły kapelusz z szarego filcu, wprowadzony do umundurowania armii w 1855 roku. Lewe skrzydło kapelusza Hardee było wygięte ku górze i podtrzymywane przez pazury metalowego orła.

Po wręczeniu dokumentów porucznikowi Radziwińskiemu, pogodnemu Polakowi, pełniącemu funkcję adiutanta Lee, Charles został przyjęty przez dowódcę pułku. Lee pozwolił mu stanąć na spocznij, potem wskazał miejsce na krzesło. Wrześniowe słońce wypełniało pomalowany na biało pokój. Przez otwarte okna wpadało suche, świeże powietrze.

Lee mówił tonem służbistym, a zarazem serdecznym.

— Cieszę się, że znowu pana widzę, poruczniku. Dobrze pan wygląda. Z tego wynika, że Akademia posłużyła panu.

— Tak jest, sir. Podobało mi się w West Point, chociaż... muszę wyznać, że jeśli chodzi o naukę, nie szło mi zbyt wspaniale.

— Tu, w Teksasie, ważne są inne zdolności, nie mniej istotne

niż szkolna wiedza. Tu trzeba jeździć dobrze konno i znosić niewygody. Dowodzić ludźmi pochodzącymi z różnych stron. — Odwrócił się i spojrzął na wiszącą za nim na ścianie olbrzymią, lakierowaną mapę Teksasu. Wszystkie posterunki wojskowe oznaczone były szpilkami ze wstążeczkami. — Tam, gdzie pan się uda, oddziały składają się głównie z ludzi z Alabamy i Ohio. Oczywiście mamy w regimencie również pewną liczbę imigrantów. No i... — Nie zaspokajając ciekawości Charlesa, który przede wszystkim chciał się dowiedzieć, dokąd zostanie wysłany, Lee obrócił się ku niemu. — W II pułku służy także mój bratanek.

— Tak jest, sir. Wiem o tym.

— Pan i Fitz przyjaźniliście się...

— Byliśmy dobrymi przyjaciółmi, sir. Cieszę się, że spotkamy się znowu.

Lee skinął głową, rozmyślał nad czymś przez chwilę.

— Dla pańskiej informacji; niebawem przybędzie tu generał Twiggs, aby przejąć komendę nad okręgiem. Major George Thomas przejmie regiment i przeniesie kwaterę główną z powrotem do Fortu Mason. Co do mnie, wracam do Wirginii.

Charles usiłował ukryć, jak bardzo jest rozczarowany.

— Jakiś nowy przydział, sir?

Lee ze smutkiem potrząsnął głową.

— Zmarł mój teść. Muszę wziąć krótki urlop i zająć się sprawami rodzinnymi.

— Proszę przyjąć wyrazy szczerego współczucia, sir. Bardzo mi przykro, że pan wyjeżdża.

— Dziękuję, poruczniku. Zamierzam wrócić tak szybko, jak to będzie możliwe. Do tego czasu będzie pan miał w osobie majora Thomasa bardzo zdolnego dowódcę. Ukończył uczelnię w 1840 roku.

Z jego tonu Charles wywnioskował, że Robert Lee jest przychylny Thomasowi. Zorientował się już, że owo uznanie rozciąga się na wszystkich oficerów, będących absolwentami Akademii.

Lee odprężył się, stał się bardziej rozmowny.

— Mamy tu tylko parę zadań do wykonania, ale wszystkie są istotne. Ochrona dyliżansów pocztowych i karawan osadniczych. Służba zwiadowcza. No i oczywiście tłumienie ewentualnych powstań indiańskich. Groźba ze strony Indian nie jest tak duża, jak próbują wmówić naszym łatwowiernym mieszkańcom ze Wschodu autorzy sztuk i powieści, ale nie jest też wyssana z palca. Przypuszczam, że służba wyda się panu interesująca, a zarazem będzie stanowić wyzwanie.

— Jestem o tym przekonany, panie pułkowniku. Już teraz Teksas bardzo mi się podoba. Mam tu poczucie swobody.

— Zobaczymy, czy nie zmieni pan zdania po pierwszym ataku północnego wiatru — odparł z uśmiechem Lee. — Ale doskonale rozumiem, co pan ma na myśli. W ubiegłym roku czytałem książkę niejakiego Thoreau. Jedno zdanie utkwiło mi w pamięci. „Nie ma na świecie istot szczęśliwszych od tych, które rozkoszują się do woli rozległym horyzontem.” Ta myśl dotyczy z pewnością mieszkańców pogranicza. Może nawet tłumaczy wszystkie niepokoje i konflikty w naszym kraju? Och, ale nie powiedziałem jeszcze, dokąd pan się teraz uda, prawda?

Wstał, spojrzął na mapę i wskazał na wstążeczkę przyklejoną szpilką w miejscu oddalonym o jakieś dwieście pięćdziesiąt mil na północ od San Antonio.

— Camp Cooper. W rozwidleniu rzeki Brazos. Dwie mile w górę rzeki od agencji i rezerwatu Komanczów Penateka. Pańskim dowódcą będzie oficer z Waszyngtonu odkomenderowany tu do służby liniowej, również absolwent West Point. Nazywa się Bent, kapitan Bent.

Przed wyruszeniem w drogę Charles wyekwipował się, kupił też dobrego wierzchowca, deresza. Miał udać się na północ w towarzystwie płatnika okręgowego i jego ludzi. W przeddzień wyjazdu, wieczorem, kiedy szedł zjeść gdzieś kolację, natknął się na pułkownika Lee i majora George'a Thomasa. Dowiedziawszy się, że Charles zamierza udać się na posilek, pułkownik oświadczył, że on i Thomas idą w tym właśnie celu do hotelu „Plaża”, czemu więc nie mieliby tam pójść razem? Jeszcze raz wspomniał, że wszyscy trzej są absolwentami Akademii w West Point i to przewyciężyło w końcu wahania Charlesa. Podziękował starszym od siebie oficerom za zaproszenie i pomaszerował z nimi.

Gorące, wilgotne powietrze sprawdziło wydawało się, że w ciągu jednej nocy — chmury much i moskitów. W jadalni hotelowej czarnoskórzy chłopcy stojący przy stołach wymachiwali palmowymi liśćmi, usiłując odegnać owady.

Tak jak w domu — pomyślał Charles i przez chwilę czuł wyrzuty sumienia.

Nadal uważał się za lojalnego Południowca, ale cztery lata spędzone w West Point zmieniły jego poglądy i sposób myślenia; zaczął wierzyć, że gospodarka Południa opiera się na zwiędłym fundamencie, który kiedyś z pewnością runie, o ile nie zniszczą go przedtem siły zewnętrzne.

Lee i Thomas gawędzili o problemie Indian, nowej taktyce działania piechoty, opracowanej przez majora Billa Hardee, która zastąpiła taktykę generała Scotta, o wyścigach konnych wygranych przez oficera z Karoliny Południowej, kapitana Nathana Evansa. Dowodził on Kompanią H i nadal nosił swój przydomek z West Point, „Goleń”.

Rozmowa zesłała na temat pogody.

— Teksas uwydatnia jeszcze bardziej temperamenty naszych chłopców — mówił Lee. — Niech pan zaczeka, aż przyjdzie panu spędzić w tym upale dwadzieścia albo i trzydzieści dni jednym ciągiem na patrolu!

— Starając się wytropić na przestrzeni tysiąca mil kwadratowych dziesięciu Komanczów, którzy coś ukradli — dodał Thomas. Był bardziej krepy niż Lee i powściągliwszy w mowie. Wyglądał na czterdzieści lat. O jego sile woli świadczyło nie tylko opanowanie, lecz również błyski w stalowoniebieskich oczach. Podobnie jak komendant pochodził z Wirginii.

— Skoro Komańcze mają zapewniony byt w rezerwatach, dlaczego kradną? — zapytał Charles.

Lee nie odpowiedział wprost.

— Próbowaliśmy na południu zrobić z Komanczów farme rów, ale wydaje mi się, że nie pozwala im na to ich temperament. Poza tym przez cały ostatni rok pogoda była przeciw nam. Przez cały czas mieliśmy suszę. Zbiory nie udały się, a to oznacza, że Indianie nie mają teraz pieniędzy. A przecież jak wszystkie ludzkie istoty i oni mają swoje pragnienia. Chcą trochę tytoniu, noży, kocy. Niektórzy pozbawieni skrupułów handlarze dostarczą im tych rzeczy. Głównie Choctawowie z terytorium indiańskiego, ale również Comanchero z Nowego Meksyku.

Charles nie potrafił pojąć tego wszystkiego.

— Ale skoro Komańcze nie mają pieniędzy za zbiory, w jaki sposób handlują, czym płacą?

— Końmi.

— Kradzionymi końmi — sprecyzował Thomas. — Poprzednik pułkownika Lee wierzył w to, co nazywał rygorystyczną wrogością w stosunku do Indian. Patrole, pościgi, kary. Ostatnio jednak Waszyngton zdecydował się na bardziej bierną politykę. Mamy rozkaz nie czynić nic, dopóki nie dojdzie do buntu lub Komańcze nie zaatakują jakiegoś białego osadnika, który na swoje nieszczęście trzyma w zagrodzie trochę koni. Dopiero wtedy wkraczamy do akcji, prosząc Boga, aby pozwolił nam przybyć na miejsce wystarczająco wcześnie, żeby nie dopuścić do zamordowania osadnika.

Lee wpatrywał się zadumany w swój stek z dziczyzny.

— Nie można winić za wszystko Komanczów. Po to, aby ożywić osadnictwo, przywłaszczyliśmy sobie ich ziemie. Potem przegnaliśmy zwierzynę, od której zależy ich przeżycie. Jeśli teraz nie mają nic i kradną, jesteśmy za to odpowiedzialni, przynajmniej w jakiejś części.

— Dobrze, że nie słyszy tego gubernator Houston — mruknął Thomas, uśmiechając się niewesoło.

Charles dostrzegał w tym wszystkim element przygody.

Pościg na koniach, z szablami kołyszącymi się u boku. Patrol, pościg, kara, przypomniał sobie słowa pułkownika. Cieszył się, że został odkomenderowany do II pułku, a nie do jakiejś nudnej jednostki w cywilizowanej części kraju.

Trzy razy w roku płatnik okręgowy przewoził wypłatę z Nowego Orleanu. Sześć razy w roku wyruszał w drogę do fortów w Teksasie z gotówką dla żołnierzy trzymaną przezornie w zamykanej na kłódkę skrzyni. Podróżował w ambulansie ciągniętym przez muły, a towarzyszył mu oprócz wozu z prowiantem oddział sześciu jeźdźców dowodzonych przez sierżanta.

Jeźdźcami byli dragoni w mundurach z pomarańczowymi wyłogami. W ich towarzystwie Charles czuł się jak żółtodziób, wyśmiewany po cichu przez doświadczonych weteranów. Mundury dragonów i uprząż były już spłowiałe, podczas gdy jego mundur niemal lśnił.

Dragoni stanowili dawniej właściwą jazdę w armii amerykańskiej; z czasem zastąpiła ich kawaleria, a właściwie lekka kawaleria. W przeciwieństwie do kawalerii europejskich w I i II nowym pułku jazdy nie było ciężko uzbrojonych żołnierzy. Poza tym II pułk miał walczyć konno, a nie jedynie podjeżdżać na pole bitwy i tam zsiadać na ziemię. Ów nowy styl, aprobowany najwidoczniej przez ministra Davisa, niepokoił trochę dragonów, którzy czuli się zagrożeni przez konkurentów i nie ukrywali złości. Przez całą drogę ignorowali Charlesa, okazywali mu jedynie zwyczajową, wymaganą przez regulamin wojskowy kurtuazję.

W Forcie Mason spotkał się z wesołym i beztroskim jak dawniej Fitzem Lee. Czas spędzili wesoło przy alkoholu, wspominając znajomych z West Point, służących obecnie w II pułku: Evansa z Karoliny Południowej, Earla van Dorna z Missisipi, Kirby Smitha z Florydy, Johna Hooda z Kentucky, Billa Hardee „Alabamę”, którego nazwiskiem zaczęto określać kapelusze wojskowe, kiedy jeszcze on sam przebywał w II Pułku Dragonów. Nic dziwnego, że Davisa krytykowano za utworzenie elitarnego pułku, w którego skład wchodził wyłącznie dżentelmeni z Południa.

Krótko przed wyruszeniem konwoju płatnika w dalszą drogę Fitz szepnął przyjacielowi:

— Uważaj na twojego dowódcę oddziału. Nie jest tu zbyt długo, ale zdążył już zdobyć złą reputację.

— Nie zna się na rzeczy?

— To nie to. Ale jest nieszczerzy. Ja bym mu nie dowierzał. Bądź ostrożny!

Charles rozmyślał jeszcze długo nad sensem tej przestrogi,

jadąc w kurzu wzniecany przez wóz aprowizacyjny. Co jakiś czas głąskał i szeptał coś do swego konia, którego na cześć; rodzinnego stanu nazwał „Palma”^{*}.

Gończy wiatr południowo-zachodni sypnął mu piachem w kark. Potem, w ciągu zaledwie dziesięciu minut, zmienił kierunek o prawie 180 stopni, niebo pokryły czarne, kłębiące się chmury, temperatura spadła gwałtownie. Raptem zerwał się wiatr północny, atakując ulewnym deszczem i gradem tak olbrzymim, że jeden z kawałków rozciął Charlesowi policzek aż do krwi.

Nim upłynęła godzina, słońce zaświeciło ponownie. Rozmokła droga wiła się między niskimi pagórkami w stronę bezchmurnego horyzontu. Kiedy karawana opuściła dolinę pełną błyszczących jeszcze od deszczu drzew leszczynowych i wjechała na wzgórze porośnięte ciężkimi dębami, jakiś wystraszony królik wyskoczył na trakt przed dereszem. Gdzieś między drzewami rozległy się trele skowronków.

Twarz Charlesa rozjaśniła się, powrócił na nią zawadiacki uśmiech. Mundur ociekał wodą, ale to mu wcale nie przeszkadzało. Ta gwałtowna, zmienna pogoda odpowiadała jego żywiołowej naturze. Z każdą chwilą kochał Teksas coraz bardziej.

Z urwistego cypla górującego nad Clear Fork oddział płatnika zstąpił w uroczą, zieloną dolinę, która rozciągała się ku zachodowi, rozplywając się gdzieś dalej w rozedrganym od żaru powietrzu. Charles nie był pewien, czy kiedykolwiek widział coś piękniejszego. Poskręcane pnie mimoz i karłowate opuncje podkreślały dziką urodę krajobrazu.

Jednak żywa zieleń doliny była wytworem optycznego i perspektywicznego złudzenia. Wysuszone przez palące słońce liście olbrzymich wiązów, rosnących nad krętą rzeką, wisiały niemal bez ruchu. Było parno. Karawana mijała pola melonów i fasoli, przywodzące na myśl pomarszczony pergamin. Tu i ówdzie dostrzegali pojedynczych Indian; stali w piaszczystych koleinach, odprowadzając żołnierzy smutnym lub obojętnym wzrokiem.

Za dotkniętymi suszą polami Charles ujrzał pierwszą osadę indiańską; mniej więcej dwieście tipi, podobnych do zwierzęcych kryjówek, ozdobionych żółtymi i czerwonymi znakami oraz symbolami. Wioska wywoływała przytłaczające wrażenie nędzy.

Nad osadą unosiły się kłęby dymu. Zapach pieczonego mięsa mieszał się z odorem ludzkich odchodów. Dzieci śmiały się, bawiły, wychudzone psy, biegając tam i z powrotem szczekały.

* Karolina Południowa zwana jest potocznie „stanem palmowym” („The Palmetto State”).

Ogólny zamęt potęgowało kilku młodzianów, którzy, wzbijając kłęby kurzu, pędzili na oklep po osadzie. Starali się jednak nie zbliżyć za bardzo do karawany, co Charles zauważył od razu.

Jeszcze dwie mile i będzie mógł zsiąść z konia. Oblewał go pot, a uda — mimo przepisowej, ochronnej wkładki ze skóry w nogawkach spodni — były otarte niemal do krwi. Kiedy wreszcie ujrzał Camp Cooper, miejsce to wydało mu się rajem, choć składało się zaledwie z czternastu prymitywnych budowli z kamienia, pali, desek lub niepalonej cegły.

Placówka przypominała układem odwrócone L. Na placu apelowym przed masztem sztandarowym pluton piechurów odbywał bez zbytniego entuzjazmu musztrę z bronią. Charles przypomniał sobie, że stacjonują tu dwie kompanie I Pułku Piechoty, uzupełniające szwadron II Pułku Kawalerii.

Oddział płatnika minął niewielką piekarnię z gontowym dachem. W cieniu pod ścianą stało dwóch spoconych, rozebranych do pasa piekarzy. Nie ruszali się, na powitanie unieśli tylko nieco i opuścili z powrotem fajki. Właśnie kiedy woń świeżego pieczywa przeszła w zapach końskiego gnoju, sierżant dragonów podjechał do Charlesa.

Stajnie są tam, sir. To te dwa blokhauzy.

Charles zasalutował i ruszył kłusem. Skierował konia do wnętrza pierwszego budynku, otwartego z obu stron i pustego w środku, jeśli nie liczyć koni. W chwilę później przez drugie wrota zamaszystym krokiem wszedł wysoki mężczyzna.

Miał na sobie wyblakłe, sztruksowe spodnie i flanelową koszulę ozdobioną małymi, drewnianymi kołeczkami. Na lewym biodrze nosił nóż w pochwie, na prawym wisiał futerał z używanym w armii USA koltem, model z 1848 roku. Charles miał podobną broń, sześciostrzałowy rewolwer kalibru 44 z piękną orzechową rękojeścią i mosiężnym cynglem. Zapłacił немало za parę udoskonaleń: zdejmowaną podstawkę na ramię z rzemieniem oraz bębenek z ozdobnym, wygrawerowanym rysunkiem, przedstawiającym dragonów w trakcie potyczki z Indianami. Rewolwer kawalerzysty był cenną i wybitnie osobistą własnością.

Mężczyzna spoglądał na niego badawczo. Miał jakieś czterdzieści lat i pociągłą, sympatyczną twarz, skrytą częściowo pod rudą brodą, która wyblakła od słońca. Uszy na wzór piratów — były przekłute miedzianymi kolczykami.

Na pewno jakiś cywil zatrudniony w rezerwacie — pomyślał Charles. — A może markietan?

Zsiadł z konia i zwrócił się doń obcesowo:

Proszę zaprowadzić mnie do kwatery adiutanta.

Mężczyzna wskazał kierunek ręką. Z niewiadomego powodu jego oczy zabłysły nagle.

— Gdzie mogę znaleźć kapitana Benta?

— W jego kwaterze. Kuruje się z ciężkiego przypadku dyzenterii.

Charles, zmęczony i rozdrażniony, uderzył lejcami o nogawkę spodni.

— Kto w takim razie dowodzi Kompanią K?

— Ja, sir. — Wzrok mężczyzny był teraz wprost miażdżący. — Porucznik Lafayette o'Dell.

— Por...?

— Baczość, sir!

Okrzyk przypominający tysiące podobnie brzmiących w West Point sprawił, że Charles machinalnie stanął na baczość. Czerwony z emocji zasalutował.

o'Dell nie śpieszył się z oddaniem honorów. Spoglądał na Charlesa wzrokiem, który można by określić jako nieprzyjazny.

— Proszę o wybaczenie, panie poruczniku... — zaczął Charles. — Jestem...

— Nowym podporucznikiem — przerwał mu tamten. — Spodziewałem się pana. Absolwent West Point?

— Tak jest, sir. Ukończyłem uczelnię w czerwcu.

— No cóż, kapitan również ukończył Akademię. Mamy więc prawdziwy klub jej absolwentów w naszym regimencie. Przykro mi, nie jestem jednym z jego cholernych członków. Jestem prostym synem farmera z Ohio, który awansował od koni pociągowych do wierzchołców wojskowych. Kapitan nie rwie się za bardzo do służby liniowej, zwłaszcza w tych stronach. A mnie bardzo się tu podoba. Jeśli chce pan zdobyć szacunek żołnierzy, radziłbym pójść raczej w moje ślady.

— Postaram się, sir. — Charles przełknął słowa porucznika, starał się opanować irytację i zakłopotanie.

— Chciałbym powiedzieć panu coś o służbie wojskowej w Teksasie. Powinien pan nauczyć się odpowiednio ubierać. Ten szykowny płaszcz nie nadaje się na długie patrole, niepraktyczna też jest ta szabla. Nieprzyjaciel nie siedzi beczynn timer, czekając na szarżę kawaleryjską. Zanim dobędzie pan szabli, Indianie powalą pana i zdejmą skalp. To też nie podoba się naszemu kapitanowi, ale będzie musiał się z tym pogodzić.

Charles stracił panowanie nad sobą. Oczy zabłyśły mu gorączkowo, kiedy szepnęła ochryple:

— Dziękuję za rady, sir.

Wyraz powagi zniknął raptem z twarzy o'Della. Zachichotał i postąpił krok do przodu.

— Tak jest już lepiej. Przez chwilę bałem się już, że przysłali nam tu podporucznika bez ikry. Pomogę panu rozsiodłać konia. Potem może się pan zameldować i oddać honory wojskowe kapitanowi Bentowi, o ile nie będzie siedział akurat na nocniku.

Niech pan się nie śmieje. To ta woda. Każdy nowicjusz przechodzi przez to.

Uśmiechnął się i wyciągnął swą szorstką dłoń.

— Witam pana na północy Teksasu... albo też na południu piekła, sam już nie wiem.

Charles ucieszył się, widząc, że porucznik nie jest wcale tak zaczepny, jak sądził jeszcze przed chwilą. Podobnie jak inne oddziały Kompania K miała zaledwie trzech oficerów i Charles mógł sobie bez trudu wyobrazić, jakie mogłyby wynikać problemy, gdyby między nimi były jakieś nieporozumienia. Już teraz widział jasno jak na dłoni, że dowódca nie jest za bardzo lubiany.

Zanim Palma został wytarty, nakarmiony i wprowadzony do boksu w stajni, Charles dowiedział się o o'Dellu całej masy rzeczy urodził się i wychował w pobliżu Deyton w Ohio, a mając czternaście lat skłamał, że jest starszy, by dostać się do wojska. Obecnie miał stopień porucznika; trudno było oczekiwać więcej, jeśli nie było się absolwentem West Point.

O'Dell odprowadził Charlesa do brązowego budynku z bali, pomiędzy którymi widniała zaprawa gliniana, po czym wskazał kwatery kapitana; ostatnie drzwi z łuszczącą się farbą. W tym samym momencie do obozu wjechał kolejny oddział; jego czerwone i białe proporczyki powiewały na wietrze. Jedynie trzech jeźdźców miało na sobie przepisowe mundury, reszta wyglądała jak o'Dell. Charles pozwolił sobie zwrócić uwagę porucznika na fakt, że nie uprzedzono go o tak niedbałym sposobie ubierania się w Camp Cooper.

— Najważniejsze — odparł o'Dell — żeby ubranie odpowiadało pogodzie i nie krępowało ruchów. Tu trzeba ruszać się szybko. Niech pan znajdzie coś dla siebie, ukradnie, jeśli to konieczne, i nie pozwoli kapitanowi odwieść się od tego zamiaru.

— Dziękuję, sir, wezmę sobie pańskie rady do serca. Był niemal pewien, że to nie koniec. I rzeczywiście, porucznik miał ich jeszcze kilka.

— Na pana miejscu poszedłbym natychmiast zobaczyć się z kapitanem. Porównałbym to trochę z roztkliwianiem się nad wieprzem, ale im szybciej pan się z tym upora, tym wcześniej będzie mógł zająć się przyjemniejszymi sprawami.

Godzinę później, po wydaniu rozkazów i wprowadzeniu się do własnej, maleńkiej kwatery, Charles zastukał do wskazanych przez o'Della drzwi. Burkliwy głos zaprosił go do środka.

Kwaterna dowódcy oddziału składała się z jednego obszernego pokoju. Połowę przeciwległej do drzwi ściany stanowiło otwarte okno ze zwiniętymi u góry płóciennymi storami.

Jeśli o'Dell mało przypominał wzorowego kawalerzystę, kapitan Bent jeszcze mniej. Był to nalany, kłocowaty mężczyzna, mniej więcej w wieku Orry'ego. Miał małe, rozbiegane oczy

i ciało, które na teksaskim słońcu raczej zaróżowiło się, niż zbrązowiło. Na pierwszy rzut oka kapitan wywarł na Charlesie negatywne wrażenie.

Zamiast munduru Bent nosił pikowany szlafrok; spod rozchylonych klap wystawała zwykła koszula, a pod pachami i na plecach widniały ciemne plamy potu.

— Jestem tu od czterech miesięcy — poskarżył się Bent natychmiast po powitaniu. — I właściwie ta przekłeta choroba powinna już minąć. A jednak ciągle powraca. — Wskazał na kufer zawalony książkami. — Niechże pan siada.

— Dziękuję, sir, wolałbym postać. Cały dzisiejszy dzień spędziłem w siodle.

— Jak pan chce.

Widok tyłu książek onieśmiał Charlesa, podobnie jak dziwny wyraz czarnych oczu Benta. Kapitan opadł z ulgą na jedyne stojące w pokoju krzesło i spojrział na gościa.

— Żałuję, że zastał mnie pan w takim stanie.

— Porucznik uprzedził mnie o pańskiej chorobie, sir. Bardzo mi przykro, że...

— Ach, widział się pan już z o'Dellem? — przerwał mu Bent.

Obaj pochodzimy z Ohio, ale nie mamy ze sobą nic wspólnego. Wspaniały daje przykład, nieprawdaż? Nigdy jeszcze nie widziałem bardziej niechlujnego oficera. Co gorsza, wszyscy żołnierze naśladują go. Major Thomas oświadczył mi, że mogę liczyć się z buntem, gdybym chciał traktować zbyt dosłownie przepisy dotyczące mundurów. Kapitan Van Dorn podzielał tę opinię. Zostałem więc praktycznie zmuszony do tolerowania niewojskowego wyglądu. Niech pan sobie wyobrazi!

Okrzyk Benta przypominał warczenie. Jego oczy były podkrążone, tworzyły ciemne, jakby brudne plamy na tle różowych policzków. Charles odchrząknął:

— W każdym razie, sir, przykro mi, że jest pan chory.

— W tym przeklętym miejscu nawet choroba jest rozrywką.

Usiłując rozładować napięcie, Charles zdobył się na żart:

— Jeżeli dyzenteria jest rozrywką, to i ja chyba zabawię się niedługo, tak mi przynajmniej powiedziano.

Niech pan prosi Boga, aby nie przydarzyło się panu nic gorszego — odparł Bent bez uśmiechu. — Nowicjusze zapadają tu często na owrzodzenie żołądka. Są wśród nich tacy, którzy nie mogą się już z tego wyleczyć. — Dowłókł się do okna i wyjrzał na zewnątrz, ocierając chusteczką spoconą szyję. — Tu, w Camp Cooper, mamy wiele możliwości znakomitych rozrywek. Tak się składa, że temu miejscu nadano nazwę pochodzącą od nazwiska generała, pod którym służyłem, zanim trafiłem do tej przekłetej dziury. — Obrócił się gwałtownie do Charlesa. — Jak się panu podoba Teksas?

— Nawet bardzo, jak dotąd.

— Musi pan być niespełna rozumu. Zaraz, zaraz, jest pan Południowcem, prawda? Cóż, a więc wychodzi na to samo...

Zamrugął gwałtownie. — Hej, niech się pan tak od razu nie unosi, pozwoliłem sobie tylko na drobny żart.

— Tak jest, sir. — Odpowiedź zabrzmiała nienaturalnie, ale Charles nie potrafił zareagować inaczej.

Bent wrócił na krzesło i opadł na nie z kolejnym głębokim westchnieniem.

— Jak pan się zapewne domyśla, nie pragnąłem wcale służyć tu i nie cierpię tego miejsca. Służba liniowa nie jest tym, do czego czuję się powołany. Moją mocną stroną jest teoria walki. — Wskaż na książki. Czy pan się tym interesuje?

Charles doszedł już trochę do siebie.

— W Akademii miałem z tym przedmiotem pewne kłopoty, sir.

— Może byłoby warto postudiować to wspólnie?

Przenikliwy, denerwujący wzrok Benta prześlizgnął się po twarzy Charlesa. Grzeczność wymagała, aby odpowiedział na propozycję, ale odparł tylko:

— Tak jest, sir. Może.

— Bóg mi świadkiem, że na tej placówce konieczna jest jakaś intelektualna zachęta. Służba w Camp Cooper składa się w równej niemal części z podłego jedzenia, okropnej pogody, wypadów od czasu do czasu przeciw prymitywnym Indianom oraz pości gów za dezertarami, których złaźmała samotność lub miraż złota. Jeszcze mniej atrakcyjne są możliwości spędzania wolnego czasu. Żołnierze przeważnie piją albo organizują walki kogutów i robią zakłady. A jeśli temperament skłoni pana do zadania się z indiańskimi kobietami, może pan nabawić się syfilisu.

Obliznął wargi. Charles odniósł dziwne, nieodparte wrażenie, że Bent pragnie w ten pokretny sposób dowiedzieć się, czyjego nowy oficer lubi kobiety. Ostrożnie odparł:

— Wątpię, czy znalazłbym na to wystarczająco dużo czasu, sir.

Doskonale. Wzrok Benta ześlizgnął się na podbródek Charlesa, któremu tego typu inspekcja wydała się nadzwyczaj męcząca. Dżentelmeni zawsze mogą przezwyciężyć nudę inaczej. Jeszcze raz westchnął ciężko. Jestem jednak przekonany, że oczekuje się od nas znoszenia nudy i niewygód bez narzekania. Jesteśmy zawodowymi oficerami i musimy chronić pogranicze. Tę służbę zaakceptowałem jedynie dlatego, że odmowa mogłaby potem zostać wykorzystana przeciwko mnie. Przypuszczam, że tymi samymi racjami kierował się pułkownik Lee.

Cóż za arogancki pyszałek ----- przemknęło Charlesowi przez

głowę. To, że Bent porównuje się z najznajmniejszym oficerem armii, nie wydało mu się wcale śmieszne, raczej przerażające. Kapitan odchrząknął.

— Dziękuję, poruczniku, za złożenie mi wizyty. Myślę, że powinienem teraz odpocząć. Aha, przy okazji... Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że Kompania K została utworzona w okolicach Cincinnati? Większość żołnierzy pochodzi z Ohio. Spróbuje my coś zrobić, aby nie ucierpiał pan za bardzo z powodu tego, że pochodzi z mniej oświeconego regionu.

Charles miał już na końcu języka jakąś nieroztropną uwagę, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Bent świadomie prowokował go, tak jakby chciał się przekonać, do jakiego momentu Charles potrafi pohamować swój temperament, kiedy straci panowanie nad sobą. Jak określił go Fitz Lee? Nieszczery. Tak, to trafne określenie.

— To jeszcze jeden drobny żart, poruczniku Main. Wkrótce przekona się pan, że mam duże poczucie humoru. W tym oddziale istnieje tylko jeden rodzaj lojalności wobec przełożonego, taki sam zresztą jak w całej armii. Może pan postawić na pierwszym miejscu pragnienia i życzenia swoich żołnierzy albo rozkazy swego dowódcy. Nie muszę chyba wyjaśniać, co lepiej przysłuży się pańskiej karierze i przyszłości. Może pan odejść.

Charles zasalutował. Kiedy wyszedł na słońce i zamknął za sobą drzwi, przeszedł go dreszcz. Groźba Benta nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do jego losu: jeśli będzie płaszczyć się przed kapitanem, czeka go spokojna przyszłość, gdyby natomiast związał się z żołnierzami, a tym samym z o'Dellem, poniesie konsekwencje swej decyzji.

Przypomniał sobie korzystne wrażenie, jakie wywarł na nim o'Dell, i zaczął zastanawiać się, czy Bent ostrzegł go powodowany poczuciem siły czy też słabości.

Raczej to drugie — pomyślał. — Kapitan z pewnością obawia się porucznika.

Ale to nie miało dla niego żadnego znaczenia. Charles podjął już decyzję i wiedział, gdzie jego miejsce: w każdym razie nie u boku tej opasłej kreatury, mieszkającej za odrapanymi drzwiami.

Ten kuzyn Orry'ego Maina jest przystojnym młodzieńcem — pokiwał głową Elkanah Bent, kiedy za gościem zamknęły się drzwi. — Można by powiedzieć, że zbyt przystojnym.

Jego wygląd mógł odciągnąć Benta od tego, co zamierzał. Ale może znajdzie się jakiś sposób, aby połączyć przyjemność z zemstą... Nigdy nie wiadomo.

Jęknął nagle i czym prędzej ruszył za zasłonę z lichego

papieru, oddzielającą przeciwległy kąt od reszty pokoju. Wszedł stamtąd dziesięć minut później, myśląc tylko o jednym: jak bardzo nienawidzi Teksasu. Od momentu kiedy przybył do Camp Cooper, schudł co najmniej dwadzieścia funtów. Od tej cholernej jazdy konno nie przestawały boleć *go* plecy i uda, chociaż utrata wagi poprawiła nieco sytuację. A teraz jeszcze te dolegliwości żołądkowe...

Mimo to... dzisiejszy dzień okazał się pomyślny. Rozpoczął realizację swego planu.

Nieoczekiwany rozkaz wyjazdu do Teksasu był dla niego szokiem. Mógł wprawdzie uruchomić swoje kontakty, aby zmienić przydział, ale nie uczynił tego. Zdawał sobie sprawę, że uchylanie się od wykonania rozkazu mogłoby zrobić złe wrażenie na niektórych przełożonych. A na tym etapie jego niestety z wolna rozwijającej się kariery wojskowej nie było to pożądane.

Rozkaz wytrącił go jednak tak dalece z równowagi, że opuścił swoje biurko w Ministerstwie Wojny i udał się na trzydniową hulanekę, podczas której budził się dwukrotnie w łóżku obok dziwki; jedna z nich była kolorowa. Za trzecim razem ujrzał ze zdumieniem chrapiącego w najlepsze flisaka znad Potomaku, właściwie jeszcze chłopca, i przypomniał sobie mętnie, że go opłacił. Już dawno odkrył w sobie owe skłonności, niemal równie intensywne, jak jego ambicja. Preferował towarzystwo kobiet, potrafił jednak rozkoszować się właściwie każdym ciałem, które znalazło się w zasięgu ręki.

Kiedy zmusił się do zaakceptowania pomysłu wyjazdu do Teksasu, postanowił uczynić wszystko, aby pobyt tam przyniósł mu jakieś korzyści. Lista absolwentów West Point świadczyła, że porucznik Main ma zostać przydzielony do kawalerii. Ponieważ przez biuro generała przechodziły sprawy personalne wszystkich żołnierzy, Bent nie miał żadnych trudności ze skierowaniem Charlesa Maina do II Pułku Kawalerii.

Nienawiść Benta do Orry'ego Maina i George'a Hazarda nie minęła. A skoro nie mógł uderzyć wprost w tych, którzy zniszczyli jego karierę, zadowolił się zemstą na ich krewnych, zaczynając od tego młodego oficera, znajdującego się teraz pod jego dowództwem.

Gotów był czekać na dogodny moment.

Tak jak powiedział Bent, trzy czwarte składu Kompanii K pochodziło z Ohio. Resztę stanowili niedawni imigranci: Niemcy, Węgrzy, Irlandczycy — mieszanka typowa dla niemal każdej jednostki armii.

Żołnierze traktowali o'Della inaczej niż Charlesa i kapitana. Posłuszeństwo okazywano wszystkim trzem oficerom, ale porucznik cieszył się również szacunkiem, a nawet sympatią swoich podwładnych. Charles postanowił pozyskać ich respekt. Co do sympatii lub przyjaźni potrzebny był czas.

Mijał właśnie czwarty tydzień jego pobytu w obozie, kiedy zorientował się, że na porannym apelu brakuje jednego żołnierza, imigranta Hallorana. Niebawem znalazł go w stajni pijanego jak bela. Kiedy rozkazał mu udać się do łóżka i wypaść się, szeregowiec Halloran obrzucił go wyzwiskami i dobył noża.

Charles uchylił się przed niezdarnym ciosem, rozbroił Hallorana i wrzucił do koryta z wodą przed stajnią. Halloran zdumiewająco szybko wygrzebał się stamtąd i ponownie rzucił się do ataku. Charles uderzył go cztery razy — zapewne o dwa więcej, niż było to potrzebne — nie zdołał jednak ugasić dzikiego błysku w oczach żołnierza. Wtedy pochwycił go za kołnierz i osobiście zawłókł do wartowni.

Godzinę później odszukał starszego sierżanta oddziału, Zachariasza Breedlove'a, weterana z zadartym nosem, służącego w kawalerii od osiemnastu lat.

— Co z Halloranem? — zapytał go.

— Doktor Gaenslen twierdzi, że ma złamane żebro... sir.

Krótką przerwą przed ostatnim słowem stanowiła charakterystyczną dla zuchwałej postawy Breedlove'a cechę; był starszy i o wiele bardziej doświadczony niż większość oficerów, i nie chciał jakoś o tym zapomnieć.

Charles potarł dłonią podbródek.

— Chyba nie powinienem był walić w niego tak silnie. Ale on stracił panowanie nad sobą...

— No cóż, sir., z całym należnym szacunkiem., ma pan tu do czynienia z żołnierzami, a nie z czarnymi niewolnikami.

— Dziękuję za wyjaśnienie — odparł lodowatym tonem Charles.

Dopiero potem, kiedy ochłonął, pojął znaczenie tego incydentu. Starszy sierżant Breedlove i niewątpliwie większość żołnierzy nie ufała mu, gdyż był Południowcem. Może nawet nigdy nie zdobędzie ich zaufania.

Ta myśl budziła w nim zniechęcenie, nie zamierzał jednak dawać za wygraną.

Każdego ranka za pięć szósta trębacz ogłaszał pobudkę. Charles traktował ją jak urozmaicenie i wstawał bez żalu. Teksaska jesień była piękna i chłodna, a niebo o świcie pogodne i czyste. Nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek przedtem widział coś podobnego. Wydawało mu się też, że nigdy jeszcze nie jadł czegoś tak pysznego, jak standardowe śniadanie, przyrządzane tu codziennie przez kucharza: gorące suchary, befszytk, kompot z jabłek i gruszek oraz nieodzowna w wojsku kawa.

Musztra konna oraz ćwiczenia z bronią sieczną i palną zajmowały większość czasu. Dochodziło do tego czyszczenie koni. Aby uczynić z II pułku jednostkę elitarną, Davis zarządził, by każda kompania miała wierzchowce jednej maści. Dla Kompanii K były przewidziane deresze, dla kompanii van Dorna, złożonej z żołnierzy z Alabamy siwki. Stąd też wzięła się nazwa „Lotne Siwki”. Żołnierze z Kompanii K dostrzegli natychmiast niezwykle umiejętności jeździeckie Charlesa, który doczekał się nawet paru lakonicznych słów uznania od o'Della. Porucznik wypowiedział je przed frontem całej kompanii.

Niewielki, ale istotny krok naprzód pomyślał Charles.

Niekiedy jeden z osadników rozrzuconych na pustkowiu ogłaszał alarm i natychmiast wyruszał mu z odsieczą oddział kawalerzystów, ale indiańscy maruderzy zdarzali się rzadko. Co prawda konie osadników nie przestawały znikać, a służący w armii zwiadowcy z plemienia Delaware stale znajdowali znaki świadczące o obecności łupieżczych Yamparika północnych Komanczów którzy ustawicznie umykali z indiańskiego terytorium.

Głównym wrogiem pozostawała jednak nuda. Charles założył ogródek, który zamierzał obsadzić w przyszłym roku, kupił też parę chudych kur i zbudował im mały kurnik. A wreszcie, choć niechętnie, usiadł do listu, czuł bowiem, że powinien po tak długim czasie napisać do Orry'ego. Zaczął od prób scharakteryzowania krajobrazu w Teksasie, wiedział jednak, że jego zdolności literackie pozostawiają wiele do życzenia, a już pierwsze zdania przyprawiły go o ból głowy. Spiesznie więc zakończył list, przyrzekając, że następnym razem opisze dokładniej Camp Cooper i swego dziwnego dowódcę.

Ponieważ nie mógł żyć jak mnich, sypiał od czasu do czasu z Indiankami. Uważał, że są pełne temperamentu i miłe, udało mu się nawet uniknąć syfilisu. Brał również udział w głównym zajęciu oficerów — dyskusjach. Ulubioną kwestią, o której

rozprawiano godzinami, było płaskie siodło Grimsleya, wprowadzone dziesięć lat wcześniej. Albert Sidney Johnston wyrażał się o nim z uznaniem, ale większość oficerów podzielała pogląd Van Dorna, który upierał się, że kształt tego siodła jest przyczyną zbyt częstych ostatnio przypadków otarcia grzbietów wierzchowców.

Spieranano się również na temat broni. Powtarzalne kolty i karabiny Sharpa uznawane były za najlepsze, ale nie miało to większego znaczenia, gdyż rząd zdawał się hołdować teorii, że wojsko powinno używać wszelkiej broni, nawet starej, którą przechowywano w magazynach federalnych. Z tego względu w ekwipunku Kompanii K przeważały gładkolufy karabiny Halla, model z 1833 roku, mimo iż europejscy i amerykańscy eksperci do spraw uzbrojenia zgodnie stwierdzali wyższość lufy gwintowanej. W oddziale były nawet muszkiety i przestarzałe, kawaleryjskie pistolety jednostrzałowe. Charles uważał się za szczęśliwca, gdyż posiadał dziesięcioletniego kolta.

Rozmowy dotyczyły także wyżywienia, napojów i kobiet, motywów postępowania Indian i charakteru pułkownika Lee, celu i sposobu przeprowadzenia kampanii pułkownika Johnstona przeciw mormonom i ich „państwu Deseret”. Ale największe emocje budziły dyskusje polityczne, na przykład na temat przyjętej w Lecompton, w Kansas, konstytucji popierającej niewolnictwo.

Pozwalała ona ludziom głosującym w Kansas na wybór pomiędzy ograniczoną formą niewolnictwa a jego pełną postacią. Konstytucja uzyskała aprobatę Buchanana. Potępiał ją natomiast senator Douglas i większość Jankesów z Camp Cooper. Charles nie mieszał się do tych sporów, co nie przysparzało mu przyjaciół. Powszechnie uważano, że jest po stronie właścicieli niewolników.

Dyskusje kończyły się najczęściej uwagą wtrącaną przez kapitana Benta, która psuła definitywnie i tak już złą atmosferę i sprawiała, że inni oficerowie wlepiali posępny wzrok w swoje talerze lub filiżanki z kawą. Od czasu do czasu Charles czuł na sobie spojrzenie Benta wpatrującego się w niego z większym niż rutynowe zainteresowaniem. Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć i z tego powodu "zaczął narastać w nim niepokój.

W strugach chłodnego deszczu kolumna żołnierzy wracała z północnej części doliny, gdzie odbywano ćwiczenia. Był drugi dzień grudnia 1857 roku.

Zgodnie z sugestią CTDella Charles rezygnował z przepisowego munduru zawsze, kiedy wyjeżdżał w teren. Dziś miał na sobie kapelusz nasunięty głęboko na czoło, chociaż połowa runda była

i tak silnie zagięta w dół, spodnie ze skóry bizona i irchowy płaszcz. Nosił też naszyjnik z niedźwiedzych pazurów.

Bent, rozpryskując na prawo i lewo błoto, podjechał bliżej. Zazwyczaj jego wzrok zdradzał dezaprobatę dla ubioru Charlesa, tym razem jednak uśmiechał się.

— Przydałoby się rozpaścić ognisko, prawda, Charles? Zwracanie się po imieniu do podwładnego było czymś nie zwykłym i Charlesa ogarnął niepokój.

— Tak jest, sir, nawet bardzo.

— Kiedy już zadba pan o konia i zmieni ubranie, może by wpadł pan do mnie na szklankę ponczu? Chciałbym pokazać panu nowe wydanie *Głównych uwag na temat sztuki wojennej* Jominiego. Poglądy barona są panu, jak sądzę, znane, nieprawdaż?

— Oczywiście, sir. Słyszałem o nich wiele w West Point.

Była to prawda. A niektórzy krytycy profesora Mahana twierdzili nawet, że poświęca na swych zajęciach zbyt wiele uwagi pomysłom tego szwajcarskiego teoretyka wojny.

— A więc czekam na pana. Z pewnością dyskusja będzie wspaniała.

Mrużąc oczy przed deszczem Charles zerknął na mokrą twarz Benta. W oczach kapitana dostrzegł coś, co nakazywało ostrożność. Charles wiedział, że powinien być uprzejmy, nie mógł się jednak zdobyć na przyjęcie zaproszenia.

— To bardzo miła oferta, sir, obawiam się jednak, że złapałem grype. — Istotnie, po kilku godzinach jazdy w zimnej słońcie czuł, że ma gorączkę.

— W takim razie trochę później. W przyszłym tygodniu...

— Sir... Wiedział, że nie powinien tego mówić, nie chciał jednak zachęcać kapitana do jakiegokolwiek gestu przyjaźni wobec niego. — Jeśli to już wszystko, chciałbym teraz pana przeprosić. Poza tym nie interesuję się za bardzo teorią wojny.

Wzrok Benta utracił przymilny blask.

— Doskonale, poruczniku. Wyraził się pan dostatecznie jasno.

Dźgnął konia ostrogami i ruszył galopem na czoło kolumny. Światło błyskawicy rozdarło horyzont. Charles wzdygnął się i w tej samej chwili znalazł się przy nim Lafayette o'Dell.

— Czego chciał?

Charles powtórzył mu w skrócie rozmowę z kapitanem.

— Odmówił mu pan?

— Jasne. I to mu się wcale nie podobało.

O'Dell wsparł się o łęk siodła, z którego zwisała para drogich, zapinanych olster. Charles miał podobne przy swoim siodle, dodatkowo dokupił frędzle ze skóry jaguara. W jednym olstrze

trzymał kolta, w drugim zapasową podkowę, kilka gwoździ, małą szcztakę i zgrzebło.

— Dobrze pan zrobił, mówiąc mu „nie” — mruknął o'Dell. — Myślę, że powinienem opowiedzieć panu o nim to i owo.

— To znaczy co?

— Że, jak to mówią, daje się ponosić namiętnościom. Silnym namiętnościom.

— Czy nie jest to typowe dla wielu z nas?

Nie, nie w tym sensie... tak mi się przynajmniej wydaje. Kapitan postępuje tak, jakby nienawidził Indian, ale to nie dotyczy squaw. Z tego, co słyszałem, sypia z każdą kobietą, która nawinie mu się pod rękę. Jeśli w pobliżu nie ma żadnej squaw, zadowala się chłopcem... albo nawet jednym z naszych szeregowców, zbyt głupim i wystraszoną, aby mu odmówić. W Camp Cooper jest już kilku takich, nie wiedział pan o tym?

— Nie, nie miałem pojęcia. Charles zaklął z furją.

— Kapitan nie lubi, jak mu się odmawia. Podejrzewam, że czekają pana teraz ciężkie chwile.

Raptem odwrócił głowę, na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Nie zauważyli, że Bent zjechał na skraj błotnistej drogi. Siedział tam teraz, obserwując ich, a deszcz ściekał z daszka czapki na długą po kolana pelerynę. W następnej chwili stanął w strzemionach i krzyknął:

— Kłusem... marsz!

Droga była zbyt grząska na taką jazdę, ale Charles zrozumiał, skąd wziął się ten rozkaz. Przeciwwstał się kapitanowi i za to mieli teraz cierpieć wszyscy żołnierze.

Następnego dnia, jadąc drogą z Camp Cooper do rezerwatu Komanczów, gdzie mieściła się agencja i biuro rezerwatu, Charles natknął się na wóz zaprzężony w woły. Jedno z jego dużych kół tkwiło do połowy w błotnistej kałuży. Stary Indianin o szlachetnych rysach twarzy, naznaczonej już przez wiek i trudy życia, usiłował daremnie wyciągnąć koło na twardej gruntu. Bez namysłu Charles zsunął się na ziemię.

— Pomogę ci! Nie wiedząc, na ile Indianin zna angielski, jeśli w ogóle znał jakieś słowa, Charles gestykułował żywo, aby zilustrować to, co mówi. — Ja popchnę wóz, a ty przyłóż wołom kilka razy.

W chwilę potem wóz szarpnął gwałtownie. Kilka melonów stoczyło się na ziemię, ale koło wydostało się z błota. Charles podchodził już do swego konia, kiedy usłyszał nadjeżdżających żołnierzy. Dostrzegł kapitana, sierżanta Breedlove'a i sześciu szeregowców.

— Co, u diabła, **pan** tu robi, poruczniku? — zapytał Bent.

— Pomogłem temu człowiekowi wyciągnąć wóz z błota.
— W głosie Charlesa dała się wyczuć irytacja; przecież widać było, co robił.

Sierżant Breedlove spojrział nań z miną, mającą chyba wyrażać sympatię, Bent natomiast zawołał:

— Czyżby pan nie poznał tego typu? Katumse jest wodzem Indian z tego rezerwatu. Nie mamy w zwyczaju pomagać wrogom.

Nie czekając na odpowiedź ruszył, za nim reszta oddziału. Charles przypomniał sobie przepowiednię o'Della. Reprimenda z ust Benta i wyraz jego oczu zwiastowały ciężkie czasy.

Od tej pory kapitan ganił niemal wszystko, co wiązało się z osobą Charlesa, krytykował go przed frontem całej kompanii i wyznaczał mu służby karne. Charles hamował się z coraz większym trudem, wychodząc z założenia, że szykany ustana, jeśli będzie posłuszny rozkazom kapitana.

Ale sytuacja nie uległa poprawie, a nawet pogorszyła się. W styczniu, wracając z patrolu, Charles natknął się na kapitana czekającego na niego w stajni. Bent podszedł do Palmy, wsunął palec pod ramię i pociągnął.

Ten popręg jest o wiele za ciasny.

Charles był znużony, zziębnięty i nieskory do cierpliwego wysłuchiwania uwag.

— Sir, zapiąłem go jak należy.

Nikły, lecz pełen poczucia wyższości uśmiech.

Cóż to takiego? Niesubordynacja? Nie ścierpię tu braku dyscypliny! Zanim uda się pan do swojej kwatery, rozsiódła pan konia i osiodła go na nowo. Chcę, aby uczynił to pan... no, powiedzmy... dziesięć razy.

— Do diabła, sir, jaki jest cel...

Ugryzł się w język, nie kończąc pytania. Wiedział doskonale, jakie są motywy postępowania kapitana, ale nie mógł tego teraz powiedzieć.

Wybuch podwładnego uradował Benta.

— W dalszym ciągu nieposłuszeństwo? A więc uczyni pan to piętnaście razy. Przysię tu jednego z podoficerów na obserwację, aby powiadomił mnie, kiedy pan skończy. Może sierżanta Breedlove'a. Bent był doskonale zorientowany co do stosunków panujących w kompanii; Breedlove nie ukrywał swej niechęci do podporucznika.

Wkrótce w chłodnej stajni zjawił się starszy sierżant. Charles zapalił właśnie dwie latarnie. Po raz pierwszy dojrzał w oczach Breedlove'a coś na kształt współczucia.

— Bardzo mi przykro, poruczniku.

— Niech pan się zamknie, sierżancie, wtedy wyjdziemy stąd prędzej — odparł Charles.

Breedlove przysunął sobie niewielką beczkę, odwrócił ją do góry dnem i usiadł. Jego twarz przybrała znowu swój zwykły, zimny wyraz. Charles wykonywał pracę gniewnymi ruchami, oddychając coraz ciężiej. W dwie godziny później, kiedy skończył, jego ręce dygotały jak w febrze. Wychodząc ze stajni zachwiał się i upadł.

Sierżant Breedlove nie pośpieszył z pomocą.

— Ten dylizans Butterfielda powinien już być tu od czterech godzin — powiedział Bent, starając się przekrzyczeć wicher.

W kominku, w niewielkim pomieszczeniu, płonęły wonne gałązki mimozy. O'Dell stał tuż przy ogniu, grzejąc zziębnięte dłonie. Nawet tu, w domu, miał na sobie futro — jedno z tych kudłatych okryć, które skłaniały Komanczów do nazywania kawalerzy stów „bawolimi żołnierzami”.

Porucznik nie mógł się teraz obyć bez tego futra, płomienie z kominka niemal nie dawały ciepła. W pokoju panował lodowaty ziąb. Jak zimno było na zewnątrz? Minus dwadzieścia pięć? Podczas takich burz pod koniec zimy temperatura spadała czasem jeszcze bardziej.

Bent wstał. Jego małe oczy, w których połyskiwał odbłask kilku lamp naftowych, spoglądały w zadumie na rozwieszoną na ścianie mapę. Uruchomiona niedawno linia dylizansów łączyła Fort Smith z El Paso i Kalifornią. Część trasy przebiegała wzdłuż szlaku wojskowego, po czym skręcała na południowy zachód od Camp Cooper. Właśnie tam musiał zaginać dylizans.

— Może po prostu przystanęli i czekają, aż ucichnie burza — powiedział O'Dell.

— To byłoby oczywiście logiczne. Ale nie możemy dopuścić, aby takie przypuszczenie uspiło naszą czujność. Nie wolno nam czekać biernie, w spokoju ducha. A jeśli mieli wypadek? Jeśli mają rannych pasażerów? Może potrzebują pomocy? Musimy wysłać do nich oddział zwiadowczy. Rozmawiałem już z komendantem i mam jego aprobatę.

— Sir, tam szaleje wiatr północny! Wicher wieje z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę! Wszystko pokryła już gruba na cal warstwa lodu! Powinniśmy przynajmniej poczekać do rana...

— Czas wymarszu jest uzależniony wyłącznie od mojej decyzji — przerwał Bent. — Oddział wyruszy najpóźniej w ciągu godziny. — Unikając wzroku O'Della dodał: — Niech pojedzie dziesięciu. Z dodatkowymi porcjami żywności i whisky. Dowództwo nad nimi obejmie porucznik Main.

O'Dell był zaskoczony do tego stopnia, że nie mógł zdobyć się

na wysłanie do Charlesa podoficera z tą wieścią. Udał się do niego osobiście. Dziesięć minut zajęło mu przedarcie się przez szalejącą burzę do kwatery Maina. Wyrwany ze snu Charles usiadł na łóżku dygocząc z zimna. Jego twarz wyrażała bezgraniczne zdumienie.

— Jeszcze dziś? Wielki Boże, Lafe, on chyba oszalał!

— Też tak myślę. Ale okoliczności, niestety, sprzyjają mu. Dyliżans ma już spore opóźnienie i nie możemy wykluczyć, że pasażerowie rzeczywiście potrzebują pomocy.

— Bardziej prawdopodobne jest to, że utknęli w śnieżycy. Albo nie żyją. Jestem przekonany, że ten sukinsyn chce mnie po prostu zabić.

— Tylko dlatego, że mu odmówiłeś? — zapytał O'Dell z powątpiewaniem w głosie.

— Wiem, że to brzmi bezsensownie, ale jaka może być inna przyczyna? — Charles odrzucił na bok koce i prześcieradła, pod którym szukał odrobiny ciepła. — Nie wiem, dlaczego tak bardzo zależy mi, żeby triumfował. I nie pozwolę mu zmarnować tylu dobrych żołnierzy! Wrócę tu i przyprowadzę z powrotem cały oddział, nie ma obawy! — Mówił z dużą pewnością siebie, której właściwie nie czuł. Zaczął nakładać na siebie wszystkie swoje koszule i spodnie. Za ścianą wył jak opętany teksaski wiatr północny.

Oddział jedenastu jeźdźców opuścił Camp Cooper o pierwszej w nocy. Gnany wiatrem śnieg okrył wszystko śliską warstwą bieli, na szczęście niezbyt głęboką, można więc było trzymać się drogi. Mimo to posuwali się wolno, przez cztery godziny pokonali zaledwie milę. Sierżant Breedlove przez cały czas obrzucał Benta najrozmaitszymi wyzwiskami, a kiedy wyczerpał już wszystkie, zaczął wymyślać nowe.

Charles owinał twarz aż po uszy długim wełnianym szalem, ale nie dało to wiele. Czuł się tak, jakby był z drewna, z olbrzymim trudem poruszał ustami, aby wymamrotać rozkaz.

Żołnierze kłękali i nie przestawali narzekać, posuwali się jednak naprzód. Jechali za nim gęsiego, świadomi faktu, że to on bierze na siebie impet wichury i ryzyko wkroczenia przed innymi na niebezpieczny grunt.

O świcie wiatr raptem zmienił kierunek na południowo-zachodni, potem złagodniał. Warstwa chmur zaczęła rwać się na strzępy, pomiędzy nimi przebłyskiwało wschodzące słońce. Jechali po gładzi przypominającej szkło. Pół godziny później Breedlove zachrypiał:

— Proszę spojrzeć, sir. Tam na drodze...

Wąty słup dymu wzbijał się ku jaśniejącemu niebu.

— To chyba dyliżans — odparł Charles równie ochryplym głosem. — Może zobrali go na części i palą, aby się rozgrzać. Tak na oko mamy do nich jeszcze milę.

Okazało się, że półtorej. Dotarcie do źródła dymu zajęło im ponad trzy godziny. Dylizans leżał na boku, brakowało już dwóch kół i drzwi. Resztki płonęły jeszcze. Właśnie w chwili, kiedy oddział zbliżył się na tyle, aby to dostrzec, deresz Breedlove'a pośliznął się i okulał na lewą przednią nogę.

Pozostali żołnierze przyglądali się ofiarom wypadku: woźnicy, strażnikowi i trzem pasażerom leżącym bez ruchu. Charles słyszał, jak woźnica opowiada coś o pojeździe, który przewrócił się na lodzie. W pobliżu dostrzegli zamarznięte ciała trzech koni; trzy inne pognały w burzę, na spotkanie śmierci.

Breedlove zakończył oględziny swego deresza. Charles, ociągając się, podał mu rewolwer.

— Niech go pan zastrzeli. Jeśli pan nie może, ja to zrobię.

Sierżant omijał wzrokiem leżącego na ziemi konia.

— A jak wrócę do obozu?

— Tak jak pasażerowie dylizansu. Na grzbiecie innego konia, za plecami jeźdźca. Może pan jechać ze mną.

— Poruczniku, wiem dobrze... wiem, że jest pan przywiązany do Palmy tak jak ja do mojego Randy. Nawet najlepszy koń wykończy się pod podwójnym ciężarem w taką pogodę, zwłaszcza że czeka nas daleka droga. Wykończy się, zanim dotrzemy do obozu. Jeśli mnie pan weźmie na Palmę, straci pan konia. Pojadę z którymś z żołnierzy.

Do diabła, skończmy tę dyskusję. Człowiek jest więcej wart od konia. Jedzie pan ze mną.

Sprzeczekali się jak dzieci. Dwóch żołnierzy podprowadziło na wpół zamarzniętego strażnika dylizansu do jednego z koni. Breedlove zerknął na rewolwer, potem przeniósł wzrok na swego konia i potrząsnął głową.

— Nie potrafię. Jeśli zrobi pan to za mnie, będę do śmierci pańskim dłużnikiem.

Niech pan się obróci.

Breedlove posłuchał go, mrużąc oczy przed roziskrzonym w porannym słońcu śniegiem. Charles uniósł rewolwer; modlił się, aby mechanizm nie zawiódł na mrozie. Przedłużanie tej sceny byłoby dla sierżanta męczarnią. Powoli nacisnął spust. Rozległ się huk zwielokrotniony przez echo, a potem pełne bólesci, przeraźliwe rżenie konia.

Sierżant Breedlove zakrył twarz dłońmi i zapłakał.

Pół mili przed obozem koń Charlesa padł na przednie nogi, niezdolny iść dalej. Charles, czując, jak żal ścisną mu serce, wystrzelił do niego dwukrotnie. Resztę drogi odbyli z Breedlovem pieszko. Ich nogi zaczęły wkrótce krwawić. Kiedy wreszcie dobrnęli do Camp Cooper, Charles dowiedział się od lekarza, że odmroził sobie trzy palce, o mały włos nie utracił ich.

Spał osiemnaście godzin. Niemal natychmiast po przebudzeniu usłyszał pukanie do drzwi; to Breedlove złożył mu wizytę, prosząc z zakłopotaniem o przebaczenie.

— Teraz wiem, panie poruczniku, że oceniałem pana niewłaściwie. Bardzo tego żałuję, na sto jeden procent. Wtedy, kiedy było to potrzebne, wykazał pan mnóstwo ikry. Nie widziałem czegoś podobnego do tej pory u żadnego Południowca w tym regimencie.

— Nawet u pułkownika Lee albo Van Dorna?

— Nie.

— No cóż, zapewniam pana, że Południowcy są tak samo odważni, jak inni ludzie. Na przykład Jankesi dodał z lekkim uśmiechem. — Może po prostu nie przyglądał się pan im jak należy, sierzancie.

Tak, to możliwe — mruknął czerwony na twarzy Breedlove. Zapewne tak było.

Tego wieczoru Charles napisał list do Orry'ego; list, z którym zwlekał już od dłuższego czasu. Ostre odgłosy, wydawane przez pióro sunące gwałtownie po papierze, świadczyły o jego wzburzeniu. Po wstępie i słowach powitania przeszedł do sedna sprawy.

Mogę mówić o szczęściu, że jeszcze żyję i mogę wysłać do Ciebie ten list a dlaczego, zaraz ci pokrótce wyjaśnię. Wiem, że będziesz zaskoczony, jestem też jednak przekonany, że wcale nie przesadzę, jeśli powiem, że mój dowódca kompanii chciałby wyrzucić mi krzywdę z powodu pewnych oznak mojej nie-subordynacji, które istnieją raczej w jego wyobraźni. Orry, los zetknął mnie z jakimś cholernym szalencem, a ponieważ jest w Twoim, wieku i również absolwentem West Point, chciałbym zapytać, czy przypadkiem go nie znasz.

Charles przerwał i zanurzył pióro w atramencie. Migotliwy płomyk lampy kładł niespokojne cienie na jego twarzy. W oczach widać było zakłopotanie i gniew, kiedy dopisywał kolejne słowa:

Nazywa się Elkanah Bent.

45

Plan Benta nie powiódł się i to na całej linii. Charles Main nie tylko przeżył wyprawę ratunkową podczas burzy, co mogło kosztować go życie albo przynajmniej uczynić kaleką; on i jego oddział zostali wymienieni w rozkazie pochwalnym kwatery

głównej Departamentu Teksasu za — jak to sformułowano — „przeprowadzenie humanitarnej misji w niezwykle ryzykownych warunkach”, podani za wzór innym żołnierzom, zaś komendant urządził na ich cześć wystawny bankiet, na którym wznosił toast za odwagę Maina.

Nieoficjalnie komendant poddał w wątpliwość rozsądek i męstwo Benta.

— Kiedy dałem panu wolną rękę w tej sprawie, kapitanie, nie myślałem ani przez chwilę, że wyśle pan żołnierzy, zanim burza przynajmniej nie ucichnie. Co więcej, widzę, że nie pan dowodził tym oddziałem. Wołał pan zostać na miejscu, zrzucając całe ryzyko na porucznika Maina. Nie rozdmucham tej sprawy z jednego tylko powodu: dzięki Mainowi wszystko skończyło się dobrze i nikt nie zginął. Tym razem niebiosa sprzyjały panu, kapitanie.

Słowa krytyki sprawiły ból. Bent natychmiast zaprzestał szycan wobec kuzyna Orry'ego Maina, a nawet starał się wychwalać go — zwłaszcza wtedy, kiedy nie byli sami. Przychodziło mu to jednak z trudem. Owa wyprawa podczas burzy sprawiła, że starszy sierżant Breedlove, podobnie jak większość żołnierzy, stał się zagorzałym stronnikiem Charlesa. Ponieważ popierał go również O'Dell, Bent był teraz zupełnie osamotniony. Winę za to ponosił według niego Charles. Nie był już dla niego członkiem rodziny Mainów; Bent nienawdził teraz najbardziej właśnie Charlesa.

Cała sprawa nauczyła go jednego — nigdy więcej nie wyśle swego podporucznika na niebezpieczną akcję, pozostając samemu w obozie. Pojedzie wraz z nim i tam znajdzie już jakiś sposób, aby pozbyć się Charlesa, wyprawić go na tamten świat w zamęcie walki lub w czasie jakiejś potyczki z wrogiem. Metoda ta już kilkakrotnie zdała egzamin w przeszłości.

Mijające tygodnie nie dały Bentowi żadnej sposobności do zrealizowania zamysłu. Pogranicze Teksasu pozostawało spokojne. Zaczęła go natomiast dręczyć nowa troska: zauważył pewną drobną, ale za to wyraźną zmianę w postawie Charlesa; wprawdzie jak dawniej zachowywał się w stosunku do swego dowódcy grzecznie, nawet z przesadną kurtuazją, unikał jednak wszelkich serdeczności.

Bent zrozumiał, że Charles rozpoznał w nim wroga. Pytanie tylko, czy uczynił coś w związku z tym. Czy na przykład wymienił nazwisko Benta w liście do Orry'ego? Czy to możliwe, że Orry ostrzegł już swego kuzyna, że nakazał mu czujność? Wprawdzie poczta w Teksasie działała opieszale, listy wędrowały bardzo długo, czasem nie dochodziły do adresata całymi tygodniami, a nawet miesiącami, ze względu na złą pogodę w Zatoce Meksykańskiej, podejrzane ruchy wrogo nastawionych

Indian albo niedbałe obchodzenie się z wof kami pocztowymi, ale może Orry zdążył mimo to wyjaśnić swemu kuzynowi, dlaczego Bent nienawidzi go tak bardzo.

Takie niebezpieczeństwo istniało. Ale dla Benta liczyła się teraz tylko zemsta na Mainach i Hazardach, ważniejsza mogła być tylko troska o reputację i własną skórę. Należało jedynie czekać i w sprzyjającym momencie zadać cios. A wtedy młodego podporucznika nie uratują nawet ostrzeżenia Orry'ego Maina.

Ponieważ jednak dni upływały jeden za drugim i nie nadarzała się żadna okazja, przygnębienie Benta rosło. Od czasu do czasu rozchodziły się wieści o łupieżczych wyprawach Indian, ale II pułk nie oddał nawet strzału, gdyż czerwonoskórzy maruderzy pozostawali nieuchwytni. Katumse powtarzał, że jego ludzie traktowani są tak haniebnie, iż jedyną odpowiedzią plemienia może być krwawa i bezlitosna wojna, nie czynił jednak żadnych kroków. Wszystko kończyło się na groźbach.

Na Wschodzie trwała potyczka słowna na temat niewolnictwa. Senator Douglas grzmiał, że konstytucja z Lecompton narusza suwerenność osadników. Senator Hammond z Karoliny Południowej twierdził, że ta opinia nie ma znaczenia; Południowcy nie potrzebują już aprobaty ani wsparcia Północy. „Bawełna jest naszym królem!” wołał Hammond.

W Illinois prawnik i były kongresmafi nazwiskiem Lincoln przygotowywał się do odebrania Douglasowi jego miejsca w Senacie. Podczas konwencji stanowej republikanów w Springfield zaatakował niewolnictwo ale nie właścicieli niewolników

i ostrzegł zebranych słowami z *Ewangelii św. Mateusza*: „Żadne miasto czy dom, rozdwojony sam w sobie, nie ostoi się”.

Bent przechowywał starą gazetę, przynajmniej sprzed miesiąca, z tekstem owego przemówienia i czytał je raz po raz. Słów Lincoln'a nie traktował jak ostrzeżenia, lecz jak stwierdzenie nieuchronnego faktu. Najpierw secesja, potem wojna. Często przymykał oczy i wtedy widział siebie jako zwycięskiego generała na polu bitwy usianym ciałami poległych. Zwłoki stanowiły jedynie coś w rodzaju dekoracji scenicznej. To on był aktorem oglądanym i podziwianym przez wszystkich.

Od pierwszego maja do połowy czerwca Camp Cooper nie otrzymywało normalnych przesyłek pocztowych, jedynie oficjalne meldunki, dostarczane przez kurierów. W końcu jednak wozy aprowizacyjne przywiozły dwa wypchane worki. Jeden z nich, błakający się już od miesiąca, przesłano przez pomyłkę do Fortu Leavenworth, a dopiero potem do Teksasu. Każdy worek zawierał list od Orry'ego. Charles otworzył je niecierpliwie po to tylko, aby zorientować się, że pierwszy został napisany w stycz-

niu, a drugi na początku marca, dwa tygodnie przed wysłaniem przez Benta ekspedycji ratunkowej w ową burzliwą noc. Listy nie zawierały więc odpowiedzi na pytanie dotyczące dowódcy Kompanii K.

Tak gorąco oczekiwana przez Benta szansa zadania ciosu Charlesowi nadeszła wreszcie w sierpniu, w samym środku okresu suszy. Jakiś wystraszony farmer wjechał do obozu na mule. Niebawem komendant wezwał do siebie Benta:

— Chodzi o farmę Lantzmana. Dwie mile za Phantom Hill.

Phantom Hill był opuszczonym fortem, którego okopcone kominy były widoczne na pustkowiu z daleka i dlatego mogły posłużyć za punkty orientacyjne.

— Mieszkam w pobliżu farmy Lantzmana wyjaśnił siwowłose osadnik. Niedaleko widziano Komanczów Penateka i wysłano mnie po pomoc.

— Powiada pan, Komanczów Penateka? — Bent zmarszczył brwi. — To przecież Indianie z rezerwatu.

— Raczej z bandy Sanaki — sprostował komendant. Sanako był wodzem, rywalem Katumse'a. Swego czasu odmówił osiedlenia się w rezerwacie i tym samym ściągnął na siebie gniew Katumse'a.

— Czy Indianie skrzywdzili kogoś? — zapytał Bent.

Farmer potrząsnął głową.

— Lantzman przypuszcza, że chcą się trochę zabawić, dzień albo dwa, zanim zaczną kraść konie.

— Nie mogę pojąć, dlaczego cała rodzina nie wyniosła się stamtąd.

— Najstarszy syn Lantzmana to kaleka. Nie jeździ zbyt dobrze. A stary Lantzman jest uparty jak muł. Wierzy, że potrafi ze swymi chłopcami powstrzymać pół tuzina nieprzyjaciół, dopóki nie przybędzie odsiecz. A zresztą wie, że gdyby cała jego rodzina dała drapaka, czerwonoskórzy ze złości spaliliby dom.

Komendant przekazał sprawę Bentowi, który po wpadce z dylizansem postanowił zaprezentować się z jak najlepszej strony; jako oficer kompetentny i przeczorny. Przez kilka sekund udawał, że zbiera myśli, po czym rzekł:

— Pół tuzina. Jest pan pewny, że Lantzman nie dojrzał ich więcej?

--- Jestem pewny, kapitanie.

Bent nie miał powodu, aby wątpić w prawdomówność farmera. Bandy włóczących się Indian z reguły nie były liczne. Znowu zamyślił się, po chwili oświadczył:

— Wezmę dwudziestu żołnierzy, łącznie z dwoma porucznikami i naszym zwiadowcą, Dossem.

Komendant obrzucił go sceptycznym spojrzeniem.

— Jest pan całkowicie przekonany, że nie przydałby się cały oddział?

Serce podeszło Bentowi do gardła. Znowu zwątpiono w jego zdanie! Postanowił postawić wszystko na jedną kartę.

— Dwudziestu czterech przeciw sześciu to chyba właściwy stosunek, sir. Zwłaszcza jeśli chodzi o tak dobrych żołnierzy jak moi.

Nuta dumy w słowach kapitana sprawiła komendantowi przyjemność. Podekscytowany i w niemalym stopniu wystraszony oczekującą go potyczką z Indianami Bent wyszedł z pokoju szybkim krokiem. Nie palił się do walki, wiedział jednak, że dowodzenie oddziałem w takiej sytuacji będzie uznane przez przełożonych za duży plus. Może nawet pozwoli zapomnieć o incydencie z dyliżansem.

Wysłał ordynansa po o'Della i Maina, przedstawił im położenie rodziny Lantzmanna i polecił obu oficerom zebranie w ciągu godziny dwudziestu żołnierzy z bronią i dwudniową racją żywnościową. Za oddziałem miał podążać wóz aprowizacyjny.

Obaj porucznicy zaszalutowali i pośpieszyli do wyjścia. Już w drzwiach Charles rzucił okiem na kapitana.

Boże pomyślał Bent jak ja nienawidzę jego nadymania się, tej brody, która upodabnia go do kudłatego zwierzęcia, jego stosunku do żołnierzy, dosłownie wszystkiego. Ale jeśli dopisze mi szczęście, Main znajdzie się niebawem w grobie.

Bent wrócił do swego pokoju, otworzył skrzynię i wyjął nowiutki rewolwer wojskowy „Allen i Wheelock”, model 44. Począł głaskać pieszczotliwie niebieskawą, ośmiokątną lufę, widząc oczyma wyobraźni twarz podporucznika. O ile Komańcze nie ulotnią się gdzieś, zanim oddział kawalerzystów dotrze do farmy Lantzmanna, z pewnością nadarzy się jakaś okazja do oddania celnego, ale pozornie zabłąkanego strzału.

Bent z podniecenia dygotał na całym ciele.

Podwójna kolumna gnała drogą pocztową co koń wyskoczy na południowy zachód. Ziemia była wysuszona; od trzech tygodni nie padało. Charles uświadomił sobie, że pierwsza lepsza błyskawica może spowodować groźny pożar albo, jeśli będą mieli pecha, zmusi ich do zboczenia z drogi.

Pesymizm nie leżał w jego naturze, tym razem jednak opadły go złe przeczucia, podsycane jeszcze przez pogodę. Żałował, że nie ma z nimi starszego sierżanta Breedlove'a, który tydzień wcześniej otrzymał urlop. Nowy deresz Charlesa był jeszcze płochliwy i trochę narowisty. Ale główny powód niepokoju jechał na czele kolumny.

Kapitan Bent był jedynym człowiekiem oddziału mającym na sobie przepisowy mundur: kurtkę ozdobioną żółtymi wypustkami, błękitne spodnie i płaskie kepi. Pozostali włożyli odzież lepiej przystosowaną do klimatu i terenu. Niebieska, flanelowa koszula Charlesa była najlżejsza z wszystkich, które posiadał. Spodnie miał białe i, póki co, czyste. U jego pasa wisiały kolt i nóż „bowie”, a w olstrze przy siodle wioził swój dwuletni gwintowany muszkiet. Od słońca jego oczy chronił kapelusz z nisko opuszczonym rondem.

Charles wątpił, czy Bent potrafi dowodzić tego typu ekspedycją. Walki z Indianami były czymś nowym dla armii. Podczas całego kursu profesor Mahan poświęcił temu tematowi zaledwie godzinę. Ale jego brak zaufania wiązał się nie tylko z brakiem doświadczenia Benta. Charles zdawał sobie sprawę, że w duszy jego przełożonego tkwi coś złego, co graniczy z szaleństwem. A z niewiadomych przyczyn, które może znał tylko Bóg, to coś skierowane było przeciw niemu.

Teren był monotony. Płaskie, wysuszone wzgórza. Wychnięte koryta potoków. Mgła zasnuwała słońce, które wisiało na niebie jak niewyraźna tarcza. Wiał duszny, gorący wiatr.

Doss natknął się kilkakrotnie na ślady Indian. Małe grupki, jak się wyraził. Trop pochodził najwyżej sprzed dwóch dni. Charles wzdygnął się na samą myśl o tym, że pustka krajobrazu może okazać się zwodnicza.

Późnym popołudniem zatrzymali się, aby dać wytchnąć koniom, po czym ruszyli dalej. Bent miał nadzieję, że dotrą w pobliże farmy Lantzmana o zachodzie słońca. Charles był już okryty potem, czuł zmęczenie; od wielu godzin siedzieli w siodłach, rozumiał jednak, jak ważny jest pośpiech. Wiedzieli też o tym żołnierze. To nie były ćwiczenia, ale akcja ratunkowa, nie czas na narzekania.

o'Dell jechał chwilę obok Charlesa. Wreszcie przemówił.

— Cholernie nudno, prawda? Gdybym wziął ze sobą książkę, mógłbym sobie poczytać.

— Jaką książkę?

— To dziełko pana Helpera.

Porucznik chciał najwidoczniej w ten żartobliwy sposób sprowokować go do rozmowy. Charles słyszał już o tej książce: *Groźba kryzysu Południa — W jaki sposób stawić mu czoło*, nie widział jednak jeszcze ani jednego jej egzemplarza. Wiedział tylko, że autor, niejaki Hinton Helper, narzeka na system niewolnictwa, rujnujący jego zdaniem całe Południe, gdyż uzależnił je od Północy. Godny uwagi był fakt, że Helper pochodził z Karoliny Północnej.

— Daję słowo, Charles, ten człowiek nienawidzi czarnych niemal tak samo jak niewolnictwa, porusza jednak w książce parę niezwykle interesujących problemów. Na przykład dlaczego wy, chłopcy z Południa, nie chcecie obdarzyć swoich niewolników wolnością.

Odpowiedź jest prosta. Obecnie angielskie i francuskie przedalnie przeżywają niebywały rozkwit. To oznacza, że nasi plantatorzy bawełny mogą wysłać swoje zbiory do Europy i stać się przez noc bogaczami. A nikt przecież dobrowolnie nie zarznie kury znoszącej złote jaja.

— Myślisz, że to dlatego? No, nie wiem...

— A jaka mogłaby być inna przyczyna?

Och, czy ja wiem? Może taka, żeby trzymać Murzynów tam, gdzie ich miejsce. Niewolnictwo potrafi zadbać o to sprawnie i elegancko. Jestem gotów się założyć, że wy tam u siebie boicie się czarnuchów. Mają ciemną skórę i różnią się od was. A ludzie nie lubią odmieńców. Ja też nie. Jestem pewien, że nie tylko pieniądze wiążą was z tym systemem, ale fakt, że istnieją biali i czarni.

A więc, gdyby to zależało od ciebie, uwolniłbyś wszystkich Murzynów?

— Tak, tak bym uczynił.

— I co byś z nimi zrobił?

— No... to, co proponuje większość republikanów.

— Na Południu nazywają ich „czarnymi republikanami”.

— No to co? Co do czarnuchów, deportowałbym ich z kraju. Osiedliłbym ich w Liberii czy Ameryce Środkowej. Bóg wie, że powinni być wolni, ale nie chcemy ich mieć u nas.

Charles odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

— Masz rację, Lafe. Są czarni i biali, to jasne. Również dla ciebie.

O'Dell nie był zachwycony tymi słowami i burknął coś pod nosem, ale Charles zdążył się już przyzwyczaić do nieświadomej hipokryzji Jankesów, którzy zazwyczaj unosili się gniewem, kiedy ktoś demaskował tę wadę.

Ale również o'Dell trafił w jego czuły punkt. Na Południu, jak i w innych częściach kraju, nikt tak naprawdę nie wiedział, w jaki sposób znieść niewolnictwo nie wywołując zarazem kryzysu ekonomicznego i społecznego. Jeśli wierzyć o'Dellowi, problem ten rozważała cała masa ludzi po obu stronach... Kolumna... stój!

Przed nimi, za zagajnikiem, wznosiły się ku wieczornemu, oblanemu purpurą niebu ruiny kominów z cegły. Charles i o'Dell ruszyli do przodu. Bent wezwał do siebie pucołatego zwiadowcę z plemienia Delaware. W chwili później o'Dell i zwiadowca gnali przez wzgórze w stronę ruin Phantom Hill.

Żołnierze zsiadli z koni, wyciągnęli menażki. Rozmawiali cicho. Charles nie miał nic do powiedzenia Bentowi, który nieoczekiwanie trącił konia ostrogami, zatrzymał go jakieś pięćdziesiąt jardów dalej i ciężko zsunął się z siodła. Charles przełknął ciepłą wodę z metalowej menażki, nie spuszczając przy tym wzroku z kapitana.

Samotny dowódca — pomyślał.

Ale ironia nie odegrała dręczącego go strachu przed Bentem, tym bardziej przerażającego, że nadal nie rozumiał, o co mu właściwie chodzi. Wszystko, co przychodziło mu do głowy, wydawało się zbyt trywialne lub mało prawdopodobne.

— Jada!

Okrzyk kaprała wyrwał Charlesa z zadumy. Spojrzał na wzgórze. Doss i Lafe o'Dell zjeżdżali właśnie ostrożnie po stoku, aby nie wzniecać kurzu. Podeszli wprost do Benta. Ich miny zdradzały, że nie przynoszą pocieszających wieści. Charles i pozostali zbliżyli się i usłyszeli głos Dossa:

— Mnóstwo Penateka teraz. Wojownicy Sanaki. Także kilku od wodza Buffalo Humpa. Niedobrze.

Policzki Benta błyszczały od potu.

— Ilu ich jest?

Naliczyłem czterdziestu — odparł o'Dell.

Czterdziestu! — Kapitan niemal zachwiał się z wrażenia. — Niech pan opisz... Przełknął ślinę. Niech pan opisz sytuację...

O'Dell wyciągnął nóż z pochwy, przykucnął i narysował na piachu duże U.

To zakręt rzeki, przy którym siedzi nieprzyjaciel. Czubek noża przesunął się po ziemi pod literą U. Wewnątrz litery porucznik narysował prostokąt i przyległy do niego kwadrat. Wskazał na prostokąt. — To dom Lantzmana. Dotknął nożem drugiej figury. To ich zagroda. — Narysował jeszcze dwa mniejsze kwadraty tuż obok domu, od strony zagrody. — Dwóch chłopców leży za snopkami siana, tu i tu. Mają muszkiety. Przypuszczam, że to synowie farmera. Strzegą około tuzina koni.

— A co jest za domem? — zapytał Charles.

o'Dell zakreślił wewnątrz litery U trzy równoległe linie. Równina. Zboże tak wysuszone, że w tym roku nie ma co liczyć na żniwa. Jest na tyle niskie i przeredzone, że dwóch strzelców może bez trudu powstrzymać każdego, kto by chciał zakraść się od tamtej strony.

Bent odetchnął donośnie.

— Co robią Indianie?

W oczach OTJella, kiedy wstawał z wolna, zapaliły się czerwone punkciki, odbłaski zachodzącego słońca.

— Jedzą kolację. Piją. Chcą, aby ich ofiary podenerwowały się jeszcze trochę.

— Czterdziestu — powtórzył kapitan. Potrząsnął głową. — Zbyt wielu. Może powinniśmy się wycofać.

— Wycofać? krzyknął Charles. o'Dell, pragnąc zademonstrować, co sądzi o tym pomysle, splunął dokładnie między swoje zakurzone buty.

Bent uniósł spiesznie rękę.

-- Tylko do czasu, aż dostaniemy posiłki.

Zmarszczone brwi żołnierzy i narastający pomruk poinformowały kapitana aż nadto wyraźnie, że powiedział coś niewłaściwego. Miny podwładnych, którzy wymieniali teraz szybkie spojrzenia, oznaczały jedno: tchórz.

Za taką reakcję odpowiedzialni są pozostali oficerowie pomysłał. Zachęćli żołnierzy swoją postawą. A przede wszystkim zachęcał ich Main, niech go diabli!

Charles właśnie przemówił:

— Gdybyśmy wezwali posiłki, zajęłoby to przynajmniej jeszcze jeden dzień. Do tego czasu Indianie mogą spalić dom Lantzmana i oskalpować całą rodzinę.

Co pan proponuje? Bent wysunął podbródek.

— Wydostać stąd wszystkich zagrożonych.

— To znaczy: wejść tam.

— Owszem, Doss, czy można się tam dostać?

Lekka bryza poruszała frędzlami skórzanej koszuli Indianina. Wyciągnął rękę.

— Dwie mile. Może trzy. Przez wzgórze. Trochę obejść, a potem przez zboże. Zajmie większą część nocy, ale do tego czasu pijani Komańcze zasną. Kilka będzie pilnować zboża, ale może zasną.

Charles otarł wilgotne dłonie o przybrudzone spodnie. Z od dali, przez szum wiatru, dobiegały go śpiewy i przytłumione uderzenia w bęben.

Nie przypieraj kapitana do muru pouczał sam siebie. Bent mógłby stanąć okoniem, zarządzić odwrót, a tym samym zostawić farmera i jego rodzinę na łasce Komanczów.

Starając się nie zdradzić przepełniających go emocji, powiedział spokojnie:

Zgłaszam się na ochotnika, kapitanie. Poprowadzę kilku żołnierzy i zaatakujemy farmę. Powinniśmy wyruszyć natychmiast, na wypadek gdyby Indianie przystąpili do ataku o świcie.

Bent zadał sobie wiele trudu, aby jego głos zabrzmiał tak spokojnie, jak Charlesa.

Oczywiście, ma pan rację. To, co powiedziałem, nie było moją ostateczną decyzją. Ja tylko rozważałem głośno różne możliwości.

Kątem oka spoglądał na pozostałych. Nie wyglądali na przekonanych. Ale co mogli zrobić? Zmuszając się do zachowania spokoju, dokończył:

— Wyślemy dwóch ludzi po posiłki. Reszta wyruszy na farmę, jak tylko się ściemni.

— Wszyscy? — zapytał Charles.

Przez chwilę oczy Benta zdradzały szalejącą w nim furię.

Przysięgam, że nie dożyje świtu.

— Wszyscy — odparł.

— Świetnie — odezwał się o'Dell, wsuwając wreszcie z powrotem noż do pochwy. Twarze żołnierzy były napięte, wyglądali jednak na zadowolonych. Również Doss. Nad zaczerwienionymi od zachodzącego słońca wzgórzami niosły się krzyki i wycia Indian.

46

Suche zboże szeleściło pod kopytami koni. Kłosa nie stanowiły żadnej osłony; najwyższe źdźbła sięgały zaledwie do zadów wierzchowców. Charles zaproponował, aby iść dalej pieszo i wykorzystać w ten sposób nikłą osłonę, jaką dawało zboże, ale Bent nie wyraził na to zgody.

— Czy muszę panu przypominać, poruczniku, że nowoczesna kawaleria walczy konno?

Charles nie sądził, aby owa konsekwencja była warta ryzyka poniesienia strat w ludziach, nie powiedział jednak tego głośno. Musiała być już czwarta, może później. Księżyc zaszedł, ale gwiazdy były jeszcze widoczne nad głowami jeźdźców, te bardziej oddalone skrywała mgła.

Kawalerzyści tworzyli obszerne, poruszające się powoli półkole; jeźdźcy byli oddaleni od siebie o około cztery stopy. Bent znajdował się w samym centrum, mając za sobą trębacza. Charles jechał pośrodku prawej flanki, o'Dell natomiast zajmował podobną pozycję na lewej flance.

Jechali stępą, z rewolwerem w jednej i karabinem lub muszkietem w drugiej ręce. Tylko Bent wyglądał inaczej. W prawej dłoni ścisnął sześćostrzałowy rewolwer „Allen i Wheelock”, w lewej — szablę. Długie żelastwo nie było wygodne, ale dopełniało regulaminowego rynsztunku.

Podczas długiej jazdy wokół flanki Komanczów Bent łyknął zaledwie trochę wody, ale i tak jego pęcherz był pełen aż do bólu. Niewątpliwie sprawił to strach. Strach przed nieprzyjacielem. Strach przed śmiercią. Strach przed tym, że ponownie splami

swą opinię złą oceną sytuacji. Był przekonany, że wszyscy uczestnicy wyprawy życzą mu porażki, a najbardziej marzy o niej Main.

Powoli, aby nie zwrócić na siebie uwagi, Bent przeniósł wzrok na prawo. W półmroku dostrzegł podporucznika. Gdzieś w pobliżu zahukała sowa. Bent zacisnął palce na kolbie rewolweru, modląc się, aby w odpowiednim momencie kula trafiła w cel.

Charles zmrużył oczy, wpatrując się w półmrok. Jak daleko jeszcze do farmy? Cwierć mili, może więcej. Nie było widać żadnych świateł, ale Lantzman i jego rodzina na pewno czuwali.

Czy zaczną od razu strzelać na oślep, jak tylko ujrzą w zbożu jeźdźców? Bent powinien być przygotowany na taką ewentualność i rozkazać trębaczowi dać sygnał, aby uprzedzić o obecności żołnierzy. Ale czy starczy mu na to rozumu?

Uczucie lęku nie opuszczało Charlesa. Wsunął rewolwer do olstra przy siodle i trzymając karabin w zgięciu lewego ramienia zamachnął się prawą ręką, aby zabić moskita. Klepnął się dwukrotnie po uchu; brzęczenie cichło za każdym razem, ale po to tylko, aby po chwili odezwać się ze zdwojoną siłą. Zaklął i ponownie sięgnął po rewolwer.

Gdzieś na skraju farmy zarżał koń. Zarys dachu zasłaniał widok na skarpe po drugiej stronie potoku, skąd unosiła się wątła smużka dymu. Nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. Jeśli nawet Komańcze planowali rozpocząć atak o świcie, nie zaczęli się jeszcze do niego przygotowywać.

Raptem na polu, jakieś dziesięć jardów przed domem, wyrosła ciemna postać, przypominająca straszdyło. Charles dojrzał długie włosy i lufę unoszącą się w ich kierunku. Jeden z żołnierzy krzyknął coś ostrzegawczo i w tym samym momencie muszkiet plunął ogniem i zagrział donośnie.

Jeden z jeźdźców, między Charlesem a centrum półkola, runął na ziemię. Jak spod ziemi pojawili się kolejni czerwonoskórzy wartownicy, pięciu czy sześciu, i otworzyli ogień. Charles wsparł karabin o biodro i nacisnął spust. Kula przeleciała wysoko nad celem. Wsunął karabin do olstra i podparł kolta lewym ramieniem, kierując konia kolanami.

Wycelowwał w najbliższego Komańcza, nie bacząc na rosnącą panikę wierzgających i kwiczących przeraźliwie koni. Pociągnął za cyngiel i Indianin zniknął z pola widzenia.

Na farmie ktoś zaczął krzyczeć. Z drugiej strony potoku rozległy się wołania, odezwały się muszkiety. Kula wystrzelona z otworu w ścianie domu zrzuciła z siodła kolejnego żołnierza.

Dlaczego, na Boga, kapitan nie kazał trąbić? Przecież Lantzman i jego rodzina wybiją ich do nogi!

Ale Bent próbował właśnie to zrobić. Już po raz trzeci zawołał:

— Trębacz! Sygnał! Kłusem... marsz!

Trębacz zachwiał się w siodle, jak gdyby wypił za dużo. Rozwścieczony Bent wsunął szablę do pochwy, schował rewolwer i poskromił swego stojącego dęba konia. Następnie wyciągnął rękę, aby chwycić trębacza za koszulę, i poczuł na materiale coś lepkiego.

Bez chwili namysłu pchnął żołnierza, który zsunął się bezwładnie z konia z głową odchylną do tyłu. W słabym świetle Bent dostrzegł, że kula z muszkietu przeszła przez prawe oko niešťczęśnika.

Pomiędzy żołnierzami a farmą znajdowało się jeszcze dwóch lub trzech Indian. Kule świstały Bentowi koło uszu, z lewa i z prawa. Zeskoczył na ziemię. Zdezorientowany i przerażony myślał tylko o jednym: dać koniecznie sygnał trąbką.

— Zewrzeć szeregi! Naprzód!

Czyj to głos — zastanowił się, kiedy przykłał obok ciała trębacza i chwycił za trąbkę. --- Main, to był Main! Potem wszyscy powiedzą, że właśnie Main przejął inicjatywę. Niech go piekło pochłonie! Niech go diabli!

Z pokrwawioną trąbką w dłoni dosiadł konia. Spozrzegł Charlesa pędzącego tuż obok z prawej strony na lewą. Bent odrzucił trąbkę, jednym ruchem dobył rewolweru i rozejrzał się szybko dokoła. W pobliżu nie było nikogo, nikt nie patrzył na niego. Linia ataku była rozerwana, każdy z żołnierzy strzelał na własną rękę, broniąc się zażarcie. Bent wycelował w plecy cofającego się Charlesa, zacisnął usta i położył palec na cynglu...

Zabłąkana kula musnęła bok jego deresza. Koń zarżał i stanął dęba akurat, kiedy rewolwer wypalił. Huk zginął w ogólnej wrzawie, a Charles, nietknięty, pędził dalej.

Bent zaklął i zapominając o ostrożności chciał wystrzelić po raz drugi, kiedy usłyszał szelest w zbożu. Odwrócił się i w odległości niespełna ośmiu stóp ujrzał jeźdźca.

— o'Dell! Nie wiedziałem, że pan tu... Przeważony poczuł, że puszcza mu zwieracz.

— Co pan tu, u diabła, robi, sir? Dlaczego strzela pan do jednego z własnych żołnierzy?

To spokojnym tonem wypowiedziane oskarżenie miało nieoczekiwany skutek. Bent momentalnie odzyskał zimną krew; uświadomił sobie rozmiar niebezpieczeństwa, w które wpędziła go nienawiść. Teraz nie mogły mu już pomóc żadne słowa. W odpowiedzi na pytanie O'Della uniósł rewolwer.

O'Dell otworzył usta, nie zdążył już jednak wykrzyknąć nawet słowa. Kula Benta roztrzaskała mu twarz, padł na bok. Lewa noga dosięgła ziemi, ale prawa stopa zaplątała się w strze-

mieniu. Deresz pomknął przed siebie, wlokąc porucznika. Już po chwili jego czaszka rozbiła się o twardą ziemię.

Ogarnięty paniką Bent rozejrzał się gorączkowo dokoła. Najwyraźniej nikt nie zauważył incydentu. Było ciemno, widoczność ograniczały dym wystrzałów i mgła. Bent wsunął rewolwer do olstra i ujął szablę. Unosząc ją nad głową, począł wykrzykiwać:

— Kłusem! Kłusem!

Charles wydał już ten sam rozkaz. Trzech żołnierzy otoczyło ostatniego indiańskiego wartownika, celny strzał powalił go na ziemię. Jeden z kawalerzystów odciął mu szablą głowę.

Charles podjechał do zabudowań farmy na odległość dwudziestu stóp i krzyknął tak głośno, aby usłyszeli go Lantzmanowie:

— Tu II Pułk Kawalerii. Wstrzymać ogień!

Zapadła cisza. Wiatr rozwiewał dym. Bent ruszył do przodu.

Z koni! Z koni!

Żołnierze usłuchali jeden po drugim. Bent, dysząc ciężko, zeskoczył na ziemię. Miał nadzieję, że w ciemnościach nikt nie zauważy mokrej plamy na spodniach.

— Dobra robota, chłopcy! To była prawdziwa walka!

— Straciliśmy trzech — oświadczył Charles siedzący nadal w siodle.

Bent zapragnął chwycić za rewolwer i rozwalić mu głowę. Ale brak rozważy już raz omal nie doprowadził go do zguby. Nie mógł dopuścić, aby to zdarzyło się po raz drugi.

Zaraz, zaraz, poczekajcie — wykrzyknął Charles. A gdzie O'Dell?

Dwukrotnie zawołał porucznika, ale odpowiedziała mu cisza.

Po chwili odezwał się Bent:

To na nic, Main. Załatwił go jeden z tych dzikusów.

Widziałem, jak zleciał z siodła. Koń pociągnął go za sobą.

Bicie jego serca rozbrzmiewało mu głucho w uszach. Jeśli ktoś odkryje kłamstwo, uczyni to od razu... teraz...

Wielki Boże szepnął miękko Charles, zsiadając z konia.

Nikt inny nie odezwał się nawet słowem.

Bent odetchnął z ulgą. Był bezpieczny, wyprostował ramiona.

— Ubolewam nad tą stratą nie mniej niż pan, musimy jednak wykorzystać nasze zwycięstwo i zaplanować kolejny krok. Z tej strony domu potrzebny jest wartownik, poruczniku. Proszę się tym zająć, a ja w tym czasie rozejrzę się w środku.

Z dłonią na rękojeści szabli obrócił się na pięcie. Czuł się jak zwycięski generał, kiedy kroczył w stronę domu, wołając: Lantzman?

Charles wyznaczył czterech żołnierzy do zebrania zwłok, Bent najwidoczniej nie pomyślał nawet o tym.

Patrzył, jak jeden z nich rozpościera tuż pod ścianą domu brezent. Niebo na wschodzie rozjaśniało się stopniowo, mgła przerzedzała się. Z domu dobiegał głos Benta; o wiele bardziej szorstki niż Lantzmanów. Wśród nich rozpoznał głos kobiety. Władczy ton kapitana irytował go. Ten człowiek był może odpowiedni na oficera sztabowego, ale jako dowódca liniowy nie zdał egzaminu. Spartaczył atak na zaczajonych w pobliżu farmy Indian; spodziewając się wartowników powinni byli posuwać się w dwuszęregu, aby nie tworzyć tak wyraźnego celu, albo jeszcze lepiej pieszo, jak sugerował Charles.

Upór kapitana kosztował życie czterech żołnierzy. Piąty, ranny w nogę, był wyeliminowany z akcji. Jeśli dodać do tego dwóch kawalerzystów wysłanych z meldunkiem do Camp Cooper, ich siła efektywna została zredukowana do siedemnastu ludzi. Przeciw co najmniej trzydziestu Komanaczom.

Dwaj wyznaczeni przez niego żołnierze zjawili się teraz, niosąc coś owiniętego w derkę.

— Znaleźliśmy wszystkich oprócz porucznika o'Della, sir. Nigdzie nawet śladu po nim.

Charles machinalnie kiwnął głową i zwrócił wzrok na wzgórze widoczne za nieszczęsnymi polami. Człowiek, który stał się jego przyjacielem, leżał teraz zagubiony na tym pustkowiu, nie mając nikogo, kto by go opłakiwał. Oczy Charlesa wypełniły się łzami, potem nadszedł szok. Nogi ugięły się w kolanach; musiał oprzeć się o ścianę, aby nie upaść. Żołnierze odwrócili się czekając, aż najgorsze minie.

Nieoczekiwanie za domem, od strony potoku, rozległy się krzyki. Charles podbiegł do węgła i rozejrzał się dokoła. W obozie Komanaczów wojownicy na koniach kręcili się w kółko, potrząsając lancami i wydając gniewne okrzyki. Byli to w większości młodzi ludzie. Ich włosy, rozczesane na dwie części, z przedziałkiem pośrodku głowy, zostały splecione w długie warkocze. Twarze były pomalowane na czerwono oprócz powiek: białych lub żółtych. Jeden z wojowników namalował sobie wokół ust olbrzymie czarne zęby.

Ze stoku wzgórze zjeżdżał z turkotem ku rozwrzeszczanym Indianom jakiś wóz. Na jego widok Charles poczuł się tak, jakby otrzymał potężny cios młotem. Był to wóz aprowizacyjny, który miał podążać za żołnierzami; teraz ciągnęło go trzech wojowników. Płótno po lewej stronie wozu było splamione kwią.

Żołnierze zegrali się za plecami Charlesa, szepcząc coś między sobą i wskazując na wóz.

— Czerwonoskóre sukinsyny! — warknął jeden z nich. — Jak myślicie, co zrobili z naszymi chłopcami?

— Wolę nie wiedzieć — mruknął Charles.

Podbiegł do tylnych drzwi domu. Czuł się odpowiedzialny za śmierć o'Della. Co gorsza, kapitan nie chciał przyznać, że zadanie przerasta jego siły, wybuchał gniewem, kiedy ktoś kwestionował słusność jego poleceń. Nie pozostawało nic innego, jak po prostu zaakceptować ten fakt i jakoś sobie radzić.

Dzięki Bogu decyzji nie trzeba było podejmować natychmiast. Należało po prostu uzbroić się w cierpliwość i czekać na posiłki.

Ostatnia godzina zmieniała wyobrażenia Charlesa o istocie wojny. Nie była to radosna defilada na dziedzińcu, w równym szyku, z wypolerowanymi do połysku mosiężnymi guzikami i flagami powiewającymi na wietrze przy wtórze werbli. Wojna oznaczała nieład, chaos, brud i śmierć. Oznaczała też szarpiący nerwy strach.

Nadal miał nogi jak z waty, kiedy wchodził do domu. Wnętrze składało się z podłużnego pomieszczenia o płaskim dachu, przyległej do niego sypialni i pokoju, w którym stał żelazny piec. W powietrzu unosił się zapach dymu i czegoś jeszcze: ujrzał muchy łazące po dwóch ciałach nakrytych aż po szyje kocami. Jedno z nich — starszy, siwowłosy mężczyzna to zapewne zwłoki Lantzmana, drugie — najstarszego syna farmera, Karla. Tego samego, którego chora noga powstrzymała rodzinę przed ucieczką. Obaj zginęli, jak sądził, na zewnątrz.

Pozostało jeszcze czterech członków rodziny. Pani Lantzman była drobna, zanedbaną kobietą z pieprzykami na podbródku. Jej dwaj jasnowłosi synowie, zbliżający się do dwudziestki, poruszali się powoli, niczym lunatycy. Czwarta z ocalałych osób, dziewczyna, zdawała się nie dbać o obłęzenie. Może dlatego, że była najmłodsza.

Liczyła sobie około dwunastu lat, jak oceniał Charles. Jej słodka twarz była jeszcze dziecinna, ale dziewczyna miała już nieźle rozwinięte, prawie kobiece ciało. Stojący w milczeniu Charles widział oczy Benta błędzące po jej pełnych piersiach, skrytych pod obcisłym, powalonym krwią staniku wełnianej sukienki.

Dziewczyna była nieświadoma wrażenia, jakie robiła na kapitanie. Właśnie wyciągała kule ze skórzanej ładownicy, wiszącej na jej ramieniu. O biodro oparła długą strzelbę muszkiet Augustina, używany swego czasu przez jeńców austrackich i sprowadzany potem w dużych ilościach przez kwatermistrza armii, Joe Johnstona.

Bliska leż pani Lantzman zapytała:

— Jak możemy tu zostać, kapitanie? Nie mamy już żywności.

— Poruczniku... — Bent zaczerpnął tchu. Usiłował zapanować nad sobą, ale jego głos trząsł się z emocji — od tej pory nie powie pan już nawet słowa. To rozkaz. Wyjdzie pan na zewnątrz i zaczeka, aż pana wezwę.

Charles żałował, że sprawy posunęły się tak daleko: do próby sił i woli. Obaj powinni byli połączyć wysiłki, aby wyciągnąć innych z opresji.

Ale w jaki sposób przekonać o tym szaleńca — zastanawiał się zrezygnowany.

— Dobrze, wyjdę, sir — odparł. — Ale odmawiam wykonania reszty rozkazu. Jeżeli mamy tu zostać, między nami koniec.

Bent wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym oświadczył cicho:

— Poruczniku Main, albo posłucha pan mego rozkazu, albo stanie przed sądem wojskowym.

— Panie kapitanie, opuszczamy to miejsce.

Ręka Benta mignęła w powietrzu, chwycił Charlesa za kołnierz.

— Niech to diabli! Już ja dopilnuję, aby został pan zdegradowany!

Charles odepchnął go. Zaprzagnął uderzyć kapitana na odlew, powstrzymał się jednak w ostatniej chwili. Niemal szeptem odparł:

— Jeśli wrócimy żywi, niech pan spróbuje. Proszę bardzo.

Obrzucił wzrokiem panią Lantzman, jej obu synów i wreszcie dziewczynę, która stała w bezruchu, trzymając oburącz swój austriacki muszkiet.

— Wyjdziemy stąd, jak tylko się ściemni. Wezmę ze sobą każdego, kto zechce pójść. Jeśli macie zamiar iść ze mną, pochowajcie te ciała. Nie możemy ich zabrać.

Pani Lantzman ukłękła przy zwłokach męża, odgoniła butem muchy i poprawiła koc. Raptem wybuchnęła płaczem. Charles odwrócił wzrok.

Mina Marthy świadczyła, że dziewczyna podjęła już decyzję. Charles zwrócił się do kapitana:

— To samo zaproponuję żołnierzom. Nie chcę nikogo zmuszać, by poszedł ze mną.

— Niech pan mi zejdzie z oczu! — wyszeptał Bent.

Kilka minut później zgięty wpół Charles biegł w stronę pola. W oddali, gdzie przechodziły rowy, rozległ się huk wystrzału. Pocisk przeszył źdźbła nad jego głową. Klęcząc, oderwał parę kłosów i roztarł je w dłoniach.

Suche jak próchno. Wspaniale. Jeśli tylko uda mu się namówić panią Lantzman, aby wypuścić konie — i tak schwytałiby je Komańcze — będą mieli szansę. Niewielką, ale dobre i to.

Na zachodzie, nad wzgórzami, widać było jedynie wąski rąbek słońca. Światła dnia na ziemi i niebie gasły raptownie. Charles już kilka razy powtórzył w pamięci wszystkie szczegóły planu ucieczki.

Pół godziny wcześniej żołnierze zgodnie z jego rozkazem rozpalili ognisko w połowie drogi pomiędzy domem a polem, tak aby widzieli je Indianie. Wewnątrz domu pani Lantzman i jej córka owinęły gałęzie topoli szmatami i namoczyły je w nafcie. Synowie osiodłali konie dla rodziny i czekali teraz za kopkami siana na sygnał, aby puścić się biegiem do zagrody.

Kapral Ostrander stanął u boku Charlesa.

— Sir, wszystko przygotowane.

— W porządku, najwyższy czas. Teraz...

Urwał widząc wzrok Ostrandera, wpatrującego się w coś za jego plecami. Odwrócił się. W drzwiach domu stał Bent.

— Jadę z wami.

Do tej pory był jedynym, który zamierzał tu zostać i czekać. Charles postanowił wyciągnąć rękę do zgody, odparł łagodnie:

— Świetnie, sir.

Na próżno.

— Jadę wyłącznie po to, aby mieć tę satysfakcję i ujrzeć, jak opuszcza pan w niełasce szeregi armii.

Twarz Charlesa stężała.

Jak pan chce, sir. Ale muszę panu z całym szacunkiem przypomnieć, że tymczasowo objąłem dowództwo.

Czy to złudzenie, czy rzeczywiście kapitan zamrugał? Charles poczuł, że skóra ścierpła mu na plecach. A Bent uśmiechał się, naciągając swoje przybrane frędzlami rękawice.

Co do tego, nie pozostawił mi pan żadnych wątpliwości, poruczniku. Przez cały ten czas przyglądałem się, z jakim zapalem podważa pan mój autorytet i podburza żołnierzy przeciw mnie. Proszę bardzo, niech pan się upaja dowództwem! To pański ostatni triumf.

Wpił w Charlesa zimny wzrok. Z przeciwległego brzegu potoku dobiegały okrzyki i bębny oblegających farmę.

Tuż obok stanęła Martha z paroma nie zapalonymi jeszcze pochodniami. Trzymając je nisko nad ziemią, tak aby nie dostrzegli ich wartownicy indiańscy, podała je jedną po drugiej Ostranderowi. On z kolei rozdał je żołnierzom, udającym, że siedzą po prostu przy ognisku. Za rogiem domu zarżał w ciemności koń; reszta oddziału była już w siodłach i przytrzymała wierzchowce tych, którzy mieli zapalić pochodnie.

— Weźcie swoje konie — polecił Charles pani Lantzman i jej córce. Pobiegły czym prędzej, on spojrzał wymownie na kapitana, który — nie do wiary! — jakby uśmiechnął się, po czym poszedł za kobietami.

Charles odwrócił się. Przez dłuższą chwilę bacznie obserwował pole. Zastanawiał się, czy wraz z innymi znajdzie tu śmierć. Nieoczekiwanie, z siłą wezbranych na wiosnę nurtów rzeki, odezwała się w nim przemożna wola przeżycia. Zdawał sobie sprawę, jak znikome są szanse ocalenia, uświadomił sobie, jak mało ma do stracenia. Ale właśnie dlatego mógł — i musiał — działać z zimną krwią. Na jego brudnej, zarosniętej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

Na ten widok uśmiechnęło się również kilku żołnierzy, a Charles uświadomił sobie, że odkrył właśnie jeden z sekretów dobrego oficera, znajdującego się w trudnej sytuacji. Może jednak uda mu się przeżyć i wykorzystać kiedyś tę wiedzę?

Spojrzał na każdego z nich z osobna, aby dać im do zrozumienia, że nadszedł właściwy moment. Potem podniósł wysoko rękę z rewolwerem i wystrzelił.

Życie w obozie Komanczow jakby zamarło. Potem Charles usłyszał poruszenie wśród koni w zagrodzie i okrzyk jednego z chłopców:

— Haa!

Konie pomknęły galopem. Część wskoczyła do potoku, zanim jeszcze padł pierwszy strzał Komanczow. Indianie nie mogli dostrzec celu, najwidoczniej jednak wiedzieli, że coś się święci.

Charles wystrzelił jeszcze dwukrotnie. Na ten sygnał żołnierze zanurzyli pochodnie w żarzącym się popiele. Nasycone naftą szmaty zajęły się ogniem, a żołnierze pobiegli na ustalone przedtem miejsca, na lewo lub prawo, i przytknęli pochodnie do suchego zboża. Pośrodku pola powinna powstać pusta przestrzeń o szerokości pięćdziesięciu stóp. Charles miał nadzieję, że wiatr nie zerwie się zbyt wcześnie i że zdążą wykorzystać tę drogę ucieczki.

Wskoczył na konia. Płomienie wzbijały się już wysoko, zakrywały niemal zboże; pole płonęło szybciej, niż się spodziewał. Podjechał do wylotu wypalanej drogi, szarpnięciem cugli skierował konia na bok i machnął w powietrzu rewolwerem, krzycząc:

— Podwójną kolumną, kłusem... marsz!

Z lewej i prawej strony domu wyskoczyli żołnierze, formując się błyskawicznie w podwójną kolumnę. Charles umieścił najbardziej doświadczonych jeźdźców na czele, a Lantzmanow pośrodku, w miejscu najlepiej chronionym.

Parami, jeźdźcy i konie, ruszyli do przodu. Rozprzestrzeniający się ogień omal nie zagroził dostępu do wypalonego przejścia. Plusk wody zdradził, że Komańcze przepływają się przez potok.

— Szybciej, do diabła! — zawołał do żołnierzy z pochodniami. Dosiedli koni i wjechali na pole. Charles czuł żar ognia. Koń Benta spłoszył się, ale kapitan zmusił go, by ruszył za innymi.

Plomienie buchały z obu stron, wdzierały się na drogę. Jakiś wymalowany Indianin pojawił się za domem. Charles nacisnął cyngiel, a kiedy tamten runął na ziemię, dźgnął konia ostrogami i nisko pochylony nad grzbietem deresza ruszył galopem przez ogień. W przodzie plomienie zwężyły przejście do dziesięciu stóp. Bent znajdował się jakieś dwadzieścia jardów przed nim, oprócz kapitana Charles widział zamazane sylwetki jeźdźców na tle jaskrawej luny.

Nieoczekiwanie ognisty język musnął rękaw Benta, materiał zatlił się. Kapitan krzyknął przeraźliwie i zdusił ogień chaotycznymi uderzeniami dłonią. Koń ponióśł go z płonącego pola w ciemność, gdzie Ostrander miał pilnować szyku kolumny i wieść ją galopem przed siebie. Charles miał nadzieję, że kapral jeszcze żyje.

Wokół kłębił się dym. Ogień hucząc groźnie pożerał zboże. W przodzie droga była niemal odcięta. Charles przyłgnał prawie do grzbietu konia, przez chwilę wydało mu się, że pękną mu żebra. Na krótko przed zaporą z ognia szepnął dereszowi słowa zachęty.

Koń wzbil się do góry bez strachu niczym rasowy skoczek. Blask płomieni osłupił Charlesa, na twarzy poczuł żar. W następnej chwili otoczyły go chłód i ciemność.

Koń wylądował na ziemi pewnie, lecz twardo, omal nie zrzucając jeźdźca na ziemię. Charles ściągnął wodze i raptem wyłoniła się przed nim twarz upiора wymalowane na żółto policzki, białe oczy — który rzucił się na niego.

Indiański wartownik. Komańcz zamachnął się tomahawkiem, chcąc ugodzić go w nogę. Charles spał konia ostrogami i deresz skoczył do przodu. Tomahawk chybił, trafił jednak w bok zwierzę, przecinając mięsień i arterię. Deresz zarżał boleśnie i stanął dęba, a Charles spadł na ziemię.

Jeszcze w powietrzu zdołał wyciągnąć rewolwer i strzelić w pierś Komańcza. Eksplozja odrzuciła Indianina do tyłu, w piekło płomieni. W mgnieniu oka zajął się ogniem.

Charles leżał przygnieciony dyszącym ciężko, rżącym koniem. Wreszcie uwolnił lewą nogę i wpakował dwie ostatnie kule -w głowę zdychającego zwierzęcia.

Trzask płonącego zboża narastał. Charles rozejrzał się dokoła, nie dostrzegł jednak żadnego ze swych żołnierzy. Ogarnęła go panika. Puścił się pędem za oddziałem, a kiedy przypomniał sobie, że kolumnę zamykał kapitan, wrzasnął co sił:

— Bent, Bent, pomóż mi!

Biegł, ślaniając się na nogach. Czy kapitan usłyszał go? A inni? Obrócił się, aby rzucić okiem na pożar. Płomienie rozprzeszrzały się w zawrotnym tempie, tworzyły już wysoką ścianę ognia o szerokości pół mili. Na jego oczach wchłonęły część pola i pełzy teraz ku prerii, ogałając ją z suchej trawy.

Kąciki jego ust drgnęły w uśmiechu, ale daleko mu było do wesołości. Liczył na to, że ogień powstrzyma atakujących z przeciwnego brzegu potoku Indian. Słyszał ich wycie i gniewne okrzyki. Po tej stronie ognia stanowili mniejsze niebezpieczeństwo, łatwiej było ich pokonać. Uporał się z jednym z nich, ale musza być też inni...

— Poruczniku, uwaga!

Głos należał do kawalerzysty, który usłyszał jego wołanie o pomoc i zawrócił. Charles wyteżył wzrok, aby rozpoznać go w ciemnościach, żołnierz raptem krzyknął ostrzegawczo. Jeszcze jeden Komańcz atakował ściśniętą w dłoni lancą.

Charles odwrócił się doń prawym bokiem i odparował cios pustym koltem. Lufa osłabiła pchnięcie na tyle, aby zapobiec ciężkiemu zranieniu. Czubek lancy rozerwał rękaw i ugodził go w ramię.

Indianin biegł tak szybko, że impet pozwolił mu zatrzymać się dopiero w odległości jednej stopy od Charlesa, który natychmiast pchnął go nożem trzymanym w lewym ręku. Wymalowaną twarz wykrzywił bolesny grymas; Komańcz nie zdążył cofnąć się w porę. Charles wbił mu nóż w brzuch aż po rękojęść i szarpnął go z powrotem.

Indianin zatoczył się. Furia wzięła górę nad agonią i ostatkiem sił jeszcze raz zamachnął się lancą. Charles odskoczył. Stał teraz, czekając na śmierć Indianina. Po długiej chwili, która zdawała się trwać bez końca, napastnik skonał wreszcie.

Dopiero teraz nastąpiła reakcja; mdłości, drzenie na całym ciele, mgła przed oczyma. Charles nie potrafił zidentyfikować żołnierza, który usłyszał jego wołanie o pomoc, zawrócił i ostrzegł go przed napastnikiem.

— Bent? — Osłonił oczy dłonią, ale nadal widział żołnierza niewyraźnie.

— Nie, sir. Jestem szeregowiec Tannen. Kapitan Bent pojechał na czoło kolumny.

— Słyszac, że wołam o pomoc!

— Niech pan wsiada, sir — powiedział szeregowiec. — Damy sobie radę, wszyscy sobie poradzimy.

Gnali teraz za zanikającą kolumną. Charles obejmował żołnierza w pasie, jechał z zamkniętymi oczami. Milczał, czując ulgę i szok.

Komańcze ścigali ich w ciemności niemal przez godzinę, nie zbliżyli się jednak na odległość strzału z muszkietu. Niebawem cichnące okrzyki zdradziły żołnierzom, że ich prześladowcy mają już dość beznadziejnej gonitwy i że zwracają w letnią noc zapewne po to, aby schwytać konie Lantzmanów.

Upłynęła jeszcze godzina ostrej jazdy, zanim kolumna przystanąła na odpoczynek. O dziwo, było jedynie paru rannych i to lekko, tak jak Charles. Mimo straszliwych przeżyć i strat Lantzmanowie byli zadowoleni, podobnie jak żołnierze, którzy śmiali się i rozprawiali z ożywieniem. Kilku pogratulowało Charlesowi sukcesu jego śmiałego planu.

Porucznik wysłał zwiadowców, aby rozpoznali teren, a jeden z kawalerzystów poczęstował go łykiem mocnej whisky. Charles nie powiedział nawet słowa na temat niestosowności tego gestu, nie zapytał też o pochodzenie trunku. Chętnie napił się, a potem połał nim sobie ranę na ramieniu. Korzystając z pomocy pani Lantzman obwiązał ramię chustką. Przez cały ten czas Bent trzymał się na uboczu. Niebawem Charles poczuł się znacznie lepiej. Był zmęczony, ale całkowicie przytomny. Przegrupował kolumnę i ruszyli dalej. Po kolejnych dwóch milach dotarli do idealnego miejsca na obozowisko; wąwozu, do którego dostępu można było chronić bez trudu.

Po raz pierwszy odkąd opuścili Camp Cooper, wyciągnięto koce, zapalono też gałęzie mimozy, aby odstraszyć komary i uchronić się przed nocnym chłodem. Charles przysiadł przy jednym z ognisk, gryząc suchary. Odniósł wrażenie, że dawno już nie jadł czegoś równie smacznego.

Jakiś niekształtny cień padł nagle tuż obok na ziemię. Podniósł wzrok i wstrzymał oddech. Twarz Benta była napięta, przypominała nieruchomą maskę. Przejął już dowództwo, czemu Charles nie sprzeciwiał się, nie chciał bowiem dłużej stawiać kapitana w kłopotliwej sytuacji. Nie opowiedział nikomu o niemal histerycznym zachowaniu Benta na farmie, a nawet postarał się stworzyć wrażenie, że kapitan powierzył mu zadanie opracowania planu ucieczki.

— Chciałbym wyrazić panu uznanie za należytą postawę podczas ucieczki, poruczniku. Wykazał się pan nadzwyczajną odwagą.

Dziękuję, sir.

Co było przyczyną tej nieoczekiwanej pochwały?

Charles nie potrafił tego pojąć, dopóki nie dostrzegł pięciu żołnierzy, siedzących przy pobliskim ognisku. Nie rozmawiali, lecz przysłuchiwali się słowom kapitana, on zaś mówił tak głośno, aby im to umożliwić.

Po chwili zerknął na słuchaczy i ruszył w drugą stronę, dając znak Charlesowi, aby mu towarzyszył.

— Na farmie — podjął po chwili temat — daliśmy się może za bardzo porwać emocjom. W obliczu niebezpieczeństwa często traci się zdolność normalnego myślenia.

Ale od dobrego dowódcy powinno się właśnie tego wymagać — pomyślał Charles, zachował jednak milczenie. Prowokowanie Benta nie miało sensu, zwłaszcza teraz, kiedy niezdarne usiłował doprowadzić do rozejmu.

Powoli oddalili się od ognisk, kroczyli w milczeniu. Dopiero teraz Charles poczuł zapach whisky. Fakt, że Bent nosi przy sobie butelkę, nie zdziwił go zbyt.

Kiedy byli już poza zasięgiem głosu, kapitan zatrzymał się i obrócił twarzą do Charlesa.

— Sukces akcji nie oznacza oczywiście wymazania pańskiej winy. Sprzeciwił się pan wyraźnemu rozkazowi.

Charles poczuł, że zalewa go fala wściekłości. Teraz rozumiał już, na czym polegał plan Benta; kapitan chciał, aby żołnierze usłyszeli, jak gratuluje swemu podwładnemu niczym normalny dowódca. A teraz, kiedy miał już to za sobą, mógł przekazać mu w cztery oczy słowa, które nie dawały mu spokoju. Jego głos przybrał ostre brzmienie.

Oskarżenie przeciw panu winno być i będzie z pewnością wniesione.

Raptem Charles pojął to, co Bent uświadomił sobie dużo wcześniej. Świadcami burzliwej wymiany zdań pomiędzy dwoma oficerami na farmie i załamania nerwowego Benta byli jedynie Lantzmanowie. Ale oni nie zostaną wezwani do składania zeznań przed sądem wojskowym, a nawet gdyby tak się stało, oskarżyciel bez trudu zakwestionowałby ich przydatność jako świadków, podkreślając przede wszystkim fakt, że są cywilami, nie znają się więc na sprawach wojskowych, a po drugie, że ból po utracie najbliższych nie pozwala im dokonać obiektywnej oceny wydarzeń.

A więc pułapka zatrzasnęła się. Charles wiedział, że nikt go nie poprze, nikt nie stwierdzi, że chwilowe przejęcie dowództwa było koniecznością. Uświadomił sobie nawet ponurą prawdę, że on sam pomógł zastawić sidła; usiłując oszczędzić swego przełożonego nie powiedział żołnierzom ani słowa o zachowaniu kapitana. Bent mógł więc teraz ubarwić i wyolbrzymić swoje zeznania tak, jak tylko chciał. A zresztą była to sprawa hierarchii. Sąd uwierzy raczej słowom doświadczonego kapitana niż świeżo upieczonego podporucznika.

Bent obrócił się, jego profil zajaśniał w blasku odległego ogniska. Pozwolił sobie na nikły uśmiech.

— Coś mi się wydaje, że pan, nie ja, będzie główną ofiarą tej ekspedycji. Życzę przyjemnego wieczoru, poruczniku.

Nie mogąc zapanować nad sobą ani zasnąć Charles leżał

potem długo z głową na siodle. Ogniska pogasły. Nocny ziąb przenikał do szpiku kości. Obandażowane ramie rwało.

Jakim był głupcem, myśląc przez chwilę, że Bent chce pojednania. Charles stanowił cel bezpodstawnej nienawiści — tak głębokiej i zawziętej, że urągała wszelkiemu rozsądkowi i dopuszczała tylko jedno wytłumaczenie: Bent jest obłąkany. Podejrzewał to już wcześniej, a dramatyczne wydarzenia na farmie Lantzmanów potwierdzały domysły ponad wszelką wątpliwość.

Wzdrygnął się i naciągnął kapelusz na oczy, aby nie widzieć światła gwiazd. Na próżno. Upływały kolejne godziny, on zaś leżał udręczony, słysząc głos kapitana i wpatrując się w jego twarz.

Bent zamierzał odbyć drogę do Camp Cooper w ciągu jednego dnia, ale około trzeciej po południu młodszy z braci Lantzmanów dostał ostrych skurczów żołądka. Jego matka poprosiła kapitana o kilkuminutowy postój, aby chłopiec mógł wypocząć. Z kilku minut zrobiła się godzina, potem dostrzeżono, że od północy nadciąga burza. Bent rozkazał ustawić dla Lantzmanów prowizoryczne schronienie i w sytuacji, kiedy przestało zagrażać im niebezpieczeństwo ze strony Indian, postanowił rozbić obóz na noc, a w dalszą drogę udać się nazajutrz. Żołnierze sarkali na tę decyzję, ale Bent nie zważał na to; długa jazda dawała mu się we znaki, cieszyła go też okazja zademonstrowania odzyskanej niedawno władzy.

Wicher chłostał trawy, przez pół godziny gnał gdzieś w dal piach i połamane gałęzie. Nie było jednak deszczu. Burza przeszła bokiem, co jeszcze bardziej rozdrażniło żołnierzy. Gdyby pojechali dalej, byłiby jeszcze przed capstrykiem w swoich kwaterach.

Obóz rozbito na płaskim terenie w pobliżu wyschniętego koryta potoku. Kilka topoli tworzyło na brzegu szpaler i tam właśnie Bent rozłożył swój koc i rozpalił ogień. Charles jako drugi oficer mógłby właściwie podejść i skorzystać z ciepła ogniska, wołał jednak nie zbliżać się do kapitana.

Zadaszenie dla Lantzmanów znajdowało się na otwartej przestrzeni, mniej więcej dwadzieścia stóp od zagajnika, gdzie skryty w cieniu Bent siedział popijając z butelki. Odprężył się dopiero po dwóch sporych łykach. Z upodobaniem wdychał zapach palonego drewna, wsłuchiwał się w brzęczenie owadów

i ciche rozmowy żołnierzy. Raz po raz sięgał po butelkę, wyobraźnia podsuwała mu barwne wizje Aleksandra Wielkiego, Czynigis Chana i Napoleona.

Znalazł już usprawiedliwienie dla swego zachowania na farmie, obarczając całą winą brak odpowiedniej liczby żołnierzy, pechowe zrządzenie losu, który sprawił, że Indianie zabili tych dwóch wysłanych po posiłki, oraz wrogą wobec niego postawę porucznika.

No cóż, zdołał już pozbyć się jednego ze zdradzieckich oficerów, a niebawem usunie ze swej drogi Charlesa. Wyobrażał już sobie bezsilną wściekłość Orry'ego Maina na wieść, że jego kuzyn został usunięty z armii.

Zachichotał i ponownie podniósł do ust butelkę. Jego uwagę zaprzętnęły głosy dochodzące spod prowizorycznego namiotu Lantzmanów. Skryty pomiędzy drzewami pozostał w bezruchu, nasłuchując.

— Mamo, po co mam tu leżeć, skoro i tak nie mogę zasnąć? Przejdę się trochę, dobrze?

Pani Lantzman, z długim muszkietem pod pachą, wyszła za córką przed namiot.

— W porządku, ale nie odchodź daleko. I weź ze sobą broń.

— Nie będzie mi potrzebna, mam — odparła Martha. — Niebezpieczeństwo już minęło. Tak powiedział zwiadowca, ten Delaware.

Jej starszy brat, siedzący w kucki przy ognisku, które już przygasło, roześmiał się i rozpostarł ramiona.

— Martha chce koniecznie wyjść bez broni i to przy tych wszystkich kręcących się tu żołnierzach!

— Odwołaj to! — zawołała, zaciskając pięści.

— A więc idź, jeśli tak koniecznie chcesz, ale nie mówcie do siebie w ten sposób! — upomniała dzieci pani Lantzman. Na jej twarzy malowała się troska. Wsparta na lufie muszkietu odprowadzała wzrokiem córkę, która kroczyła powoli po szeleszczącej trawie. Po chwili zawołała za nią stłumionym głosem:

— Nie tędy. Obudzisz kapitana.

— Och, prawda, zapomniałam.

Dziewczyna skęciła nieco, by obejść zagajnik. Była wdzięczna matce za ostrzeżenie. Nie lubiła kapitana z tą jego prostacką, nalaną twarzą i małymi oczkami, które ustawicznie zatrzymywały się na jej pełnych piersiach. Wiedziała, co oznaczają takie spojrzenia. Była wystarczająco dorosła, aby odczuwać w takich przypadkach mgliste jeszcze, ale przyjemne podniecenie, i na tyle młoda, by ogarniał ją lęk.

Kroki zawiodły ją do drugiego, niewielkiego ogniska. Tam

siedział ten młody, dziarski porucznik. Był bez koszuli, usiłował nałożyć czysty bandaż na nieładną ranę na ramieniu. Martha przystanąła, aby zawiązać opatrunek, a on podziękował jej w szarmancki, typowy dla Południowców sposób. Poruszona tym do głębi ruszyła dalej.

Charles wsparł się na łokciu i spoglądał za nią niczym troskliwy ojciec, dopóki nie zniknęła w ciemnościach.

Elkanah Bent leżał z ręką wciśniętą między uda, zaskoczony nagłą, silną reakcją. Przecież ta mała od Lantzmanow, którą obserwował ze swego miejsca, to jeszcze dziecko.

Och, ale nie od pasa w górę — poprawił się w myślach i oblizał wargi.

Od dawna już nie spał z kobietą, żadnej dawno nawet nie dotknął. Oczywiście oficer nie odważyłby się napastować tak młodej dziewczyny jak ta... On jednak czuł nieodparte pragnienie, aby z nią porozmawiać. Przy odrobinie szczęścia mogłoby mu się nawet udać ją dotknąć.

Już sam fakt, że pojawił się w nim ten impuls, jest znakiem, że sprawy znowu układają się po jego myśli. Uniósł butelkę, potrząsnął nią i wypił do dna. Nadal niezdecydowany wstał i bezszelestnie ruszył przed siebie, oddalając się od blasku ognisk.

Zgodnie z tym, co przykazała matka, Martha trzymała się w pobliżu obozu, przechadzała się brzegiem potoku. Z zachwytem rozglądała się dokoła, nie mogąc wyjść z podziwu, ile też rzeczy można dostrzec w blasku księżyca. Skrzyżowała ręce na piersiach, odrzuciła głowę do tyłu i westchnęła z zadowoleniem.

Rześki, nocny wiaterek uspokajał ją, szeleścił przyjemnie w trawie. Poczęła nucić cicho „Old Folks at Home”, kiedy nagle coś zatrzeszczało w zagajniku. Przerazona obróciła się na pięcie.

— Jest tu kto?

— Tylko kapitan Bent, panienko.

Wylonił się spośród drzew bez kapelusza i na chwiejnych nieco nogach. Jej serce zabiło jak oszalałe i natychmiast skarciła się w myślach, wyzywając siebie od głuptasów. Nie było przecież powodu do obaw, to oficer armii.

— Wydawało mi się, że słyszę czyjeś kroki — mówił dalej, zbliżając się do niej. — Cieszę się, że to ktoś z naszych.

Jego nienaturalna serdeczność zaostrzyła jej czujność. Poczula zapach whisky i potu. Stojący na tle księżyca kapitan przywodził na myśl jakiegoś groteskowego, dwunożnego słonia. Podeszedł bliżej.

— Piękna noc, prawda?

— Nie wiem... To znaczy, tak. Muszę już wracać... :

— Tak szybko? Nie, proszę. Jeszcze nie.

Jak miły ma głos... i taki łagodny, cichy... Niczym u godnego zaufania wujka. A jednak brzmiała w nim wyraźnie jeszcze jakaś nuta, coś, co wprawiało ją w zakłopotanie i czyniło bezsilną.

Jej letarg uznał za zgodę.

— No proszę, tak jest dużo lepiej. Chciałem tylko wyrazić mój szacunek.

Jest pijany — pomyślała — Właśnie tak: pijany. — Jej biedny ojciec też się upijał, wiedziała więc, jak to wygląda.

— Tak czarująca dziewczyna! Wyjątkowo piękna jak na tak młody wiek. — Jego olbrzymia głowa zakryła księżyc. Postąpił jeszcze jeden krok w jej stronę. — Chciałbym, abyśmy zostali przyjaciółmi.

Wyciągnął rękę, dotknął jej głowy, ujął długie, połyskliwe włosy opadające na ramiona. I raptem ogarnął ją bezwład, całe ciało sparalizował strach.

Począł głaskać jej włosy, pocierać je w dłoni. Jego ruchy były coraz gwałtowniejsze, aż wreszcie pociągnął z całej siły. Pociągnął J^{ego} chrapliwy oddech przypominał odgłos maszyny parowej.

— Niech mnie pan puści! Proszę!

Zesztywniał. Teraz nie sprawiał wrażenia przyjaznego wujka.

— Nie tak głośno! Po co zwracać uwagę innych?...

Aby podkreślić znaczenie tych słów, chwycił ją mocno za rękę. Wydała stłumiony okrzyk.

— Do diabła, przestań! — zawołał ogarnięty paniką Bent. — Przestań, słyszysz? — Krzyknęła jeszcze głośniejsze i on również podniósł głos: — Przestań! Przestań, słyszysz?

Potrząsnął nią, pokrzykując coś, przekonany, że są sami. Raptem w jej rozświetlonych blaskiem księżycy oczach dostrzegł ulgę. Zawirował na pięcie jak człowiek, za którego plecami stoi pluton egzekucyjny, i cofnął się widząc przed sobą Charlesa Maina.

A jeszcze dalej wylaniali się zza drzew pani Lantzman i jej starszy syn. Blask księżycy odbijał się na długiej lufie muszkietu, który kobieta trzymała w dłoniach.

Wyraz twarzy Benta i mina dziewczyny powiedziały Charlesowi wszystko. Pani Lantzman stanęła już u boku córki, w powietrzu zmieszały się bezładne okrzyki.

-- Martha, czy on cię skrzywdził? — To głos brata.

-- Wiedziałam, że taki spacer może się źle skończyć. — To matka.

I głos Benta, ochrypliwy, załamujący się ze zdenerwowania.

— Nic jej nie zrobiłem. Nic!

I wreszcie dziewczyna:

— Tak, właśnie że zrobił! Położył mi ręce na głowie i bawił się moimi włosami. Nie chciał przestać...

— Cisza! — zawołał Charles. — Niech wszyscy umilkną! Zapadła cisza. Charles dostrzegł biegnącego ku nim wartownika, a za nim kilku żołnierzy. Zamachał rękami.

— Wszystko w porządku! Wracajcie do obozu.

Wartownik i żołnierze zawrócili. Charles poczekał, aż znikną z pola widzenia, potem wpił w Benta płomienne spojrzenie. Kapitan był mokry od potu, chwiał się na nogach. Unikał wzroku Charlesa.

— Martho, czy coś się panience stało? — zapytał porucznik.

— N...nie.

— Proszę odprowadzić ją, pani Lantzman. I nie puszczaj aż do świtu.

Kobieta tkwiła nadal na swoim miejscu, zaciskając drobne pięści na kolbie muszkietu. Jej oczy przeszywały kapitana na wskroś.

— Jakich to ludzi wysyłają do służby wojskowej w Teksasie? Drabów o zdziczałej moralności?

Pani Lantzman, to nic nie da przerwał jej Charles. — Pani córce nic się nie stało. Przyznaję, że incydent był bardzo nieprzyjemny, ale ostatnie wydarzenia stargały nam wszystkim nerwy. Jestem przekonany, że kapitan żałuje swego nierozważnego, aczkolwiek przypadkowego czynu...

Przypadkowego? parsknął wzdurliwie brat dziewczyny. — Przecież on jest pijany. Niech pan go powącha!

— Do diabła! Ty impertynencki... wybuchnął Bent, ale Charles chwycił go za wzniesione już do góry ramię i szarpnął z całej siły. Bent jęknął, otworzył pięść i opuścił rękę.

Charles podszedł do Marthy i jej brata i popchnął ich lekko w stronę drzew.

— Proszę nie wychodzić z namiotu i starać się zapomnieć o tym przykrym wydarzeniu. Kapitan Bent z pewnością wyrazi swoje ubolewanie nam wszystkim.

Ubolewanie? W żadnym razie nie... Bent urwał znowu, po czym szepnął: — Dobrze. Proszę uważać się za przeproszonych.

Pani Lantzman miała taką minę, jak gdyby pragnęła unieść łufę muszkietu i wypalić w niego. Charles szepnął łagodnie:

— Idźcie już. Proszę.

Podala muszkiet synowi, objęła córkę ramieniem i poprowadziła w stronę namiotu. Bent zasłonił twarz dłońmi, trzymał je tak przez chwilę, po czym opuścił rękę.

— Dziękuję — szepnął.

Charles nie odpowiedział.

— Nie pojmuję, dlaczego pan mi pomógł, ale... jestem naprawdę zobowiązany.

— Gdyby ta kobieta zastrzeliła pana, nic by to nie dało. A ona żałowałaby tego, kiedy byłoby już po wszystkim. Jeśli ma pana spotkać kara za to, co się tu wydarzyło, niech zostanie wyznaczona przez odpowiednią instancję.

— Kara? Co pan ma na myśli?

Charles milczał. Odwrócił się i ruszył przed siebie przez rozwichrzone wiatrem trawy.

Pięć mil przed Camp Cooper Bent zbliżył się galopem do czoła kolumny, gdzie jechał Charles. Wyruszyli po śniadaniu, od rana towarzyszyła im mżawka. Nastrój Charlesa był tak samo opłakany, jak stan i wygląd żołnierzy.

Bent odchrząknął. Charles mógł przewidzieć, co zamierza powiedzieć jego przełożony.

— Doceniam pańską postawę wobec mnie wczorajszej nocy. Pragnąłem potem wyrazić, co czuję, ale pan był zbyt poruszony, aby mnie wysłuchać. Pomyślałem więc, że powinienem spróbować jeszcze raz.

Charles spojrział na Benta spod ociekającego wodą ronda kapelusza. Z wielkim trudem maskował odrazę.

— Kapitanie, musi pan zrozumieć, że nie uczyniłem tego, aby panu pomóc. Zrobiłem to dla dobra munduru, który pan nosi. Postąpiłem tak ze względu na nasz pułk. Czy potrafi pan to zrozumieć?

— Tak, oczywiście. Ja... ja nie oczekuję od pana sympatii czy nawet uprzejmości. Ale chciałbym zapytać... znaczy... kiedy będziemy już z powrotem w Camp Cooper... jak pan myśli, co powie pani Lantzman?

Nic.

— Co takiego?

Z jaką nadzieją spoglądał teraz Bent! Jego mina przyprawiała o mdłości! Charles obrócił się w drugą stronę i splunął.

— Ona nic nie powie. Rozmawiałem z nią przy śniadaniu. Przyznała mi rację, że wniesienie oskarżenia nic by nie dało. A dla Marthy będzie to może cenna nauuczka. Stanowisko pani Lantzman jest proste. Skoro nie stało się nic złego, po cóż by miała pana rujnować?

Nadeszła pora na podstępną część wystąpienia. Nawet jeśli metoda nie była zbyt rycerska, cel zasługiwał na uznanie. Patrząc Bentowi w oczy, Charles kontynuował:

— Wiem jednak z całą pewnością, że pani Lantzman z wielką radością wróci do Camp Cooper albo nawet wybierze się w po-

dróż do Fortu Mason, jeśli ją o to poproszę. Uczyniłaby to, gdybym potrzebował jej obecności przed sądem wojskowym. Wtedy złoży zeznanie na temat mego charakteru i charakteru innych.

Bent uniósł brwi. Zrozumiał. I uświadomił sobie, że wydostał się z jednej pułapki po to tylko, aby wpaść w drugą, jeszcze bardziej upokarzającą. Na jego twarzy znowu pojawił się wyraz wrogości.

— Postępuje pan jak prawdziwy przestępca.

— Bzdury, kapitanie. Po prostu ratuję własną karierę, dając zarazem panu szansę ratowania swojej. To nic trudnego, musi pan tylko trzymać język za zębami. Ale jeśli uważa pan, że to zły pomysł, przedstawimy całą sprawę majorowi Thomasowi; ma olbrzymie doświadczenie, jeśli chodzi o rozprawy przed sądem wojskowym i chętnie poddam się jego orzeczeniu.

Nie, nie... — Bent pojednawczym gestem uniósł dłonie. — Przyjmuję pańskie warunki. Nie będzie żadnego oskarżenia. Charles nie mógł powstrzymać zimnego uśmiechu.

— Byłem pewien, że taka będzie pańska decyzja.

Dotknął palcem runda kapelusza, szarpnął koniem na lewo i rozpryskując błoto na wszystkie strony, puścił się galopem wzdłuż kolumny. Duża grudka pacnęła Benta w ramię, pokrywając złocisty haft.

49

Lantzmanowie przenocowali w Camp Cooper, a nad ranem eskortowani przez oddział kawalerii udali się w drogę powrotną na farmę. Bent dręczony kolejnym ostrym atakiem dyzenterii zamknął się w swojej kwaterze. Charles nie znał się na medycynie, przypuszczał jednak, że nawrót choroby kapitana spowodowany został napięciem ostatnich dni.

Niebawem z kwatery głównej w Waszyngtonie nadeszły rozkazy pochwalne dla Charlesa i Benta za udzielenie pomocy Lantzmanom, jak również — pośmiertnie — dla Lafayette'a O'Della. Jego ciała nie odnaleziono.

Bent wystąpił o urlop zdrowotny, a po uzyskaniu zgody wyjechał do San Antonio. Napisanie listów do rodzin O'Della i trzech innych poległych w akcji na farmie żołnierzy przypadło więc w udziale Charlesowi. Zadanie przekraczało jego umiejętności, przystępował też do niego z wyraźną niechęcią, wreszcie jednak uporał się z nim w jeden wieczór.

Kiedy skończył ostatni list, mógł wreszcie w spokoju ducha

zastanowić się nad uczuciami, które gromadziły się w nim od pewnego czasu. Nie był już tym samym oficerem, tym samym człowiekiem, który ze swym oddziałem wyruszył niedawno z misją ratunkową.

Och, na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Nadal przepełniała go żądza czynu, śmiał się też niemal tak często, jak dawniej. Ale pod maską pozornej beztroski kryła się głęboka przemiana wewnętrzna, przemiana zrodzona z tego, co widział i co musiał uczynić podczas tej akcji. Kadet z West Point był teraz miłym, ale jakże odległym wspomnieniem. Romantyczny dyletant stał się twardym zawodowcem.

Chłopiec umarł, ale niczym feniks z popiołów pojawił się mężczyzna.

— Słyszałem, że rano przywieźli torbę z pocztą — powiedział Charles czwartego dnia po powrocie.

— Tak jest, sir. A to dla pana. — Podoficer podał mu trzy listy związane sznurkiem, dodając: — Ten worek leżał przez półtora miesiąca w magazynie w San Antonio.

— A to czemu? — rzucił gniewnie Charles, oglądając koperty. Jeden z listów miał niemal pół cala grubości. Na wszystkich widniało pismo Orry'ego.

— Nie mam pojęcia, sir. Przypuszczam, że w wojsku tak już jest.

W każdym razie w wojsku stacjonującym w Teksasie. Skierował się natychmiast do swojej kwatery, jeszcze w drodze rozrywając najgrubszy list. Dostrzegł w górnym rogu datę kwietniową, przeczytał kilka pierwszych zdań.

Twoje pytanie odnośnie oficera dowodzącego skłoniło mnie do udzielenia natychmiastowej i podyktowanej troską odpowiedzi. Jeżeli jest to ten sam Elkanah Bent, którego znam z Akademii i Meksyku, muszę przestrzec Cię przed nim jak najusilniej; ten człowiek może wpędzić Cię w poważne tarapaty.

Charles przystanął raptownie pośrodku piaszczystej drogi. Mimo iż ranek był upalny, przeszedł go zimny dreszcz.

Spróbuję Ci to wyjaśnić — aczkolwiek, jak już zapewne sam miałeś sposobność zauważyć, stykając się z osobą, o której mowa, jego postępowania nie można wyjaśnić w sposób zrozumiały ani logiczny. Taki stan rzeczy istniał również wtedy, kiedy George'a Hazzarda i mnie spotkało to nieszczęście, że natknęliśmy się na niego...

Charles złożył spiesznie list, rozejrzał się bacznie dokoła i udał się do swego pokoju. Tam usiadł i przeczytał zapisane drobnymi literami strony, które zawierały osobliwe dzieje dwóch kadetów z West Point, prześladowanych przez dozgonną nienawiść trzeciego. Po przeczytaniu ostatniej strony siedział przez dłuższy czas z listem na kolanach, wpatrując się w zalaną słońcem przestrzeń za otwartym oknem. Orry miał rację; nie można zrozumieć nienawiści tak głębokiej i na tyle wiecznej, że kierowała się jeszcze przeciw członkom rodzin Mainów czy Hazardów. A jednak taka nienawiść istniała; dowiodły tego niezbitnie ostatnie tygodnie.

Przeczytał list jeszcze dwukrotnie, zwracając szczególną uwagę na opis wydarzeń w Meksyku. Nie przyczyniło się to do złagodzenia szoku, wręcz przeciwnie, był jeszcze bardziej wstrząśnięty.

Czuł wdzięczność dla Orry'ego za ostrzeżenie, a jednocześnie doszedł do przekonania, że w pewnym sensie świadomość niebezpieczeństwa jest gorsza niż niewiedza. Bent skrywał nienawiść przez ponad piętnaście lat, a to już świadczyło aż nadto dobitnie, jak szalony musiał być ten człowiek. Rezultatem przemyśleń było uczucie obce Charlesowi do tej pory i wstydlive, ale trudne do pokonania i ogarniające go coraz natrętniej: uczucie śmiertelnego strachu.

Mijały dni, a kiedy Charles był zmuszony rozmawiać z Bentem lub stawać z nim w szeregu, zawsze czynił to z wewnętrznymi oporami. Przez cały czas uświadamiał sobie prawdę, o której wiedział, że kryje się za chytrymi oczkami kapitana.

Ze swej strony Bent sprawiał wrażenie niemal przyjaznego. Starał się unikać rozmów ze swym porucznikiem, chyba że wymagała tego służba. Charles przyjął tę zmianę w ich wzajemnych stosunkach z ulgą. Może niebezpieczeństwo zmalało w rezultacie grożącego Bentowi zeznania pani Lantzman? W każdym razie w miarę upływu kolejnych tygodni obawy Charlesa poczęły zniknąć, nadal jednak czekał niecierpliwie na dzień, kiedy rozdzielią ich wreszcie nowe rozkazy.

Do tego czasu musiał zachować czujność.

Podczas gdy oddział Benta przebywał na farmie Lantzmanów, jeden z renegatów schronił się w rezerwacie Komanczów. Leeper, agent, pozwolił mu wyjechać. Farmerzy, przekonani, że Leeper zaniedbał swe obowiązki i nie uwięził renegata, kiedy miał ku temu okazję, wystosowali petycję do gubernatora, domagając się zamknięcia agencji.

Był to tylko jeden z tematów, które zaprzętały umysły żołnierzy w Camp Cooper tej jesieni. Zartowano również z eksperymentu w Camp Verde, gdzie sprowadzone przez ministra Davisa egipskie wielbłądy testowano jako zwierzęta juczne. Omawiano też z dumą udaną ekspedycję kapitana Van Dorna przeciw Indianom w Wichita Village.

Żołnierze pochodzący z Ohio wiedli burzliwe dyskusje na temat wydarzeń na wschodzie. Ubiegający się o ponowny wybór do Senatu Stephen Douglas przeprowadzał w różnych miastach Illinois publiczne debaty z przedstawicielem republikanów, Lincolnem. Eksperci przewidywali, że Douglas powróci do Waszyngtonu w styczniu, zwycięstwo okaże się jednak bardzo kosztowne. Podczas spotkania w Freeport Lincoln zmusił swego oponenta do złożenia kłopotliwego zeznania.

Debata dotyczyła tzw. kompromisu w sprawie Missouri z 1820 roku oraz nieco świeższej sprawy Dreda Scotta. W przypadku Scotta Sąd Najwyższy utrzymał w mocy zasadę nienaruszalności praw do własności; zagwarantowaną niegdyś posiadaczom niewolników, orzekł też, że kompromis w sprawie Missouri, zakazujący niewolnictwa na północ od linii demarkacyjnej, jest sprzeczny z konstytucją. Decyzja ta kłóciła się z zasadą suwerenności stanów. W odpowiedzi na podstępne pytania Lincoln, Douglas machnął ręką: bez względu na to, jaka jest decyzja Sądu Najwyższego, istnieje tylko jeden prosty, legalny i praktyczny sposób, niezawodny na każdym terytorium; można wprowadzić zakaz niewolnictwa, jest też w gestii miejscowej legislatury ustanowić prawa chroniące przywileje właścicieli niewolników. Nikt roztropny nie zaryzykuje posiadania cennych Murzynów tam, gdzie w każdej chwili mogłby ich utracić. „Niewolnictwo nie może utrzymać się ani jednego dnia czy godziny — powiedział Mały Olbrzym* — jeśli nie ma oparcia w przepisach policyjnych regulujących postępowanie z niewolnikami.”

Pogląd Douglasa nazwano doktryną Freeport. Komentując to wydarzenie pewien oficer z I Pułku Piechoty, Południowiec, powiedział do Charlesa:

— Ten człowiek sam się pogrzał. Demokraci w naszych stronach nigdy już nie oddadzą na niego swoich głosów.

W październiku senator Seward wygłosił w stanie Nowy Jork przemówienie, które zyskało szeroki rozgłos. Seward powiedział, że Północ i Południe znajdują się w stanie „nieodpartego konfliktu” w sprawie niewolnictwa. To stwierdzenie rozjątrzyło

* Taki przydomek zyskał Douglas ze względu na mały wzrost i potężną budowę ciała.

całe Południe. Nawet zagorzali republikanie przyznawali, że agresywne słowa Sewarda pchają Południe ku secesji.

Ale mimo wszystko niewielu było ludzi, którzy wierzyli, że jedni Amerykanie mogliby podnieść broń przeciw innym Amerykanom. Konflikt pozostawał wojną na słowa.

Bent włączał się do tych dyskusji niezbyt często. Podczas urlopu stracił dziesięć funtów wagi, zachował jednak swoje dziwaczne poglądy. Twierdził, że rozstrzygnięcie zbrojne jest jak najbardziej możliwe, nie ukrywał też faktu, że na takie rozwiązanie czeka z utęsknieniem.

— Wojna pozwoliłaby obrócić teorie w praktykę. Ostatecznie, po co były te wszystkie ćwiczenia i musztry? Jaki jest właściwie cel naszego zawodu? Nie utrzymanie pokoju, lecz doprowadzenie do zwycięstwa, kiedy już raz poleje się krew. Takie jest nasze powołanie. To święte powołanie, panowie.

Niektórzy oficerowie, w tym Charles, zwrócili uwagę na malującą się na twarzy Benta egzaltację. Niektórzy kiwali głowami, ale nie Charles. Cokolwiek by ten człowiek powiedział, nie był już w stanie go zadziwić.

Charles przez całą zimę odzywał się do Benta jedynie wtedy, kiedy zmuszała go do tego służba, dlatego też nie potrafił ukryć zaskoczenia pewnego kwietniowego wieczoru, kiedy słysząc pukanie do drzwi otworzył je i w półmroku rozpoznać sylwetkę kapitana.

Bent uśmiechnął się.

— Dobry wieczór, poruczniku. Czy może pan teraz przyjąć gościa?

— Oczywiście, sir. Proszę do środka.

Cofnął się, obecność kapitana wzburzyła go, doprowadziła niemal do wrzenia. Bent wszedł do pokoju, Charles zamknął drzwi. Poczł zapach whisky.

Widok kapitana był czymś niezwykłym. Bent przywdział swój galowy mundur, z szarfą, szablą i kapeluszem z pióropuszem, który od razu ściągnął z głowy. Włosy miał zaczesane, z przedziałką pośrodku głowy, i namaszczone jakimś wonnym olejkiem. Spojrzał przelotnie na duże, brunatne dagerotypy, leżące na krześle.

— Fotografie z rodzinnego domu?

— Tak, sir. Zostały zrobione na przyjęciu z okazji rocznicy ślubu mojej kuzynki Ashton. Większość tych ludzi to nasi sąsiedzi z pobliskich plantacji.

Chcąc wypróbować gościa, podał mu jedną z fotografii i wskazał na poważnego, brodatego mężczyznę. Ostrożnie powiedział:

— To mój kuzyn, Orry Main. Do Akademii wstąpiłem właś-

ciwie za jego namową. On też uczył się w West Point. Wydaje mi się, że w tym samym czasie, co pan.

Bent zacisnął usta. Przez chwilę wpatrywał się w brodatą twarz, ale jego mina nie wyrażała nic prócz obojętności. Ten człowiek był dobrym aktorem, również ta cecha czyniła go niebezpiecznym.

— Mam bardzo mgliste wspomnienie kadeta imieniem Orry — powiedział wreszcie. — Znałem go raczej słabo. Już wtedy Jankesi i Południowcy nie przebywali ze sobą zbyt często.

Wyciągnął rękę, aby zwrócić fotografię, kiedy nagle przyjrzał się zdjęciu ze zdwojoną uwagą. Puknął palcem w postać ciemnowłosej kobiety, stojącej z boku. Jej duże oczy były jakby pozbawione życia, a jednak wydała mu się urzekająco piękna.

— Jest doprawdy prześliczna. Ma w sobie coś egzotycznego.

Dlaczego, u diabła, kapitan zainteresował się Madeline LaMotte? Dlaczego w ogóle tu przyszedł? — Charles poczuł, że znów narasta w nim napięcie.

To Kreolka. Z Nowego Orleanu.

- Ach, to tłumaczy wszystko.

Bent zainteresował się charakterem związku tej kobiety z rodziną Mainów. Czy była z nimi spokrewniona, czy też chodziło wyłącznie o sąsiadów? Powściągnął jednak swą ciekawość; dalsze pytania mogły zdradzić jego prawdziwe uczucia do Orry'ego. Jeszcze przez parę sekund wpatrywał się w śliczną twarzyczkę kobiety, po czym zwrócił fotografię.

Charles zdjął z krzesła resztę dagerotypów i Bent usiadł. Ani na chwilę nie spuszczał oczu z porucznika.

— Już kilka razy chciałem pana odwiedzić. Pragnąłem wyrazić moją wdzięczność za pańską dyskrecję.

Charles wzruszył ramionami, jak gdyby chciał zapytać: „Czy spodziewał się pan czegoś innego, kapitanie?”

— Ale milczenie jest właściwie postawą negatywną kontynuował Benit. — Mnie zaś zależy na tym, aby nasze stosunki przybrały charakter pozytywny. Cieszyłbym się, mogąc liczyć w przyszłości na pańską przyjaźń.

Na moje milczenie — pomyślał Charles. — A więc tym się trapi. Chce, żebym przyrzekł, iż w dalszym ciągu będę go chronił... Ale czy na pewno chodzi mu tylko o to?

Bent spoglądał na niego jakimś osobliwym, przenikliwym wzrokiem. Obliznął wargi, po czym dodał:

— Oczywiście pan mógłby liczyć na moją.

Te słowa sprawiły, że Charles poczuł się nieswojo; przyczynił się do tego ton Benta, zbyt przyjazny... Na czym polega pułapka kapitana, co kryje się pod maską jego przymilnej serdeczności? Charles nie potrafił sobie odpowiedzieć i ta niewiedza była przyczyną jego zdenerwowania.

— Przeszłość nie istnieje już, kapitanie. Nie zamierzam przechowywać jej w pamięci.

— Wspaniale. Wspaniale! W takim razie możemy naprawdę zostać przyjaciółmi. Znam bardzo wpływowych ludzi w Departamencie Wojny. A właściwie w całym Waszyngtonie. Pomogli mi w mojej karierze, mogliby też pomóc w pańskiej.

Orry opowiedział obszernie w liście o awansach Benta, które otrzymywał mimo złych wyników w West Point. Wpływy. Charles poczuł się dotknięty, że kapitan pomyślał o nim, iż mógłby pójść tą samą drogą.

— Dziękuję, sir, ale naprawdę wołałbym zawdzięczać karierę tylko sobie.

Bent skoczył na równe nogi. Na jego policzkach pojawiły się czerwone plamy.

Pomoc może przydać się każdemu, Charlesie...

Opanował się. Przez chwilę poniosły go nerwy i nie mógł na to nic poradzić. Ten wysoki, młody, wspaniale zbudowany officer budził w nim niechęć, gdyż był jednym z Mainów, a poza tym był Południowcem. Zarazem jednak pociągał go, i to tak bardzo, że po tygodniach wahań Bent napił się whisky po to tylko, aby zdobyć się na odwagę i uczynić tę próbę zbliżenia.

Czyżby Charles poczuł od niego woń alkoholu? Bent miał nadzieję, że nie. Zmusił się do uśmiechu.

Przyznaję, że pan nie wymaga takiej pomocy, jak inni. Przede wszystkim jest pan uosobieniem prawdziwego żołnierza. — Ulegając raptem oszłamiającemu podnieceniu dał się porwać emocjom; dotknął ramienia Charlesa. Jest pan wyjątkowo przystojnym młodzieńcem.

Delikatnie, ale stanowczo Charles odsunął jego rękę. Sir, powinien pan już iść.

— Proszę, niech pan nie mówi do mnie takim tonem. Towarzystwie bronie powinni pomagać sobie i pocieszać się wzajemnie, zwłaszcza w takim samotnym, zapomnianym przez Boga miejscu jak...

Kapitanie, proszę stąd wyjść albo wyrzucę pana przez okno!

Trzęsącymi się z wściekłości rękoma Bent wcisnął kapelusz na głowę i zatrzasnął za sobą drzwi. Jego policzki płonęły.

Jakiś kojot zawył w oddali, kiedy kapitan biegł w ciemnościach, kipiąc żądzą mordy. Na Boga, nadejdzie dzień, kiedy to uczyni!

Charles był przekonany, że nic, co dotyczy Benta, nie zdoła go zaszokować. Jak bardzo się mylił!

To, co się zdarzyło, było czymś więcej niż potwierdzeniem

pogłosek o seksualnych skłonnościach kapitana. Ten incydent oznaczał, że osobliwe zachcianki Benta szły w parze z jego nienawiścią i w zależności od nastroju lub od ilości wypitego alkoholu jedno brało górę nad drugim. Uświadomienie sobie tego faktu pozwoliło Charlesowi uzupełnić ostatecznie obraz obłądu Benta, który tworzył od jakiegoś czasu w swojej wyobraźni.

Pokój wydał mu się raptem zbyt ciasny. Narzucił najlżejszą koszulę, wpełchnął ją w spodnie i poszedł do stajni, aby rzucić okiem na swego konia. Nocne odgłosy obozu: okrzyki wartowników, pohukiwania sowy i szum wiosennego wiatru kołysły nerwy i pomagały dojść do siebie.

Po wyjściu ze stajni zatrzymał się i spojrzał na gwiazdy, wdychając intensywny zapach siana, gnoju i koni. Natychmiast poczuł się lepiej, jakby został oczyszczony. Wiedział, że te zapachy zawsze będą mu się kojarzyć z armią i Teksasem, a więc z tym, co pokochał.

Znowu pomyślał o Bencie i nieoczekiwanie ogarnęła go litość. Jakie to musiało być okropne, tkwić w tym słoniowatym ciele i znosić drobne robaczki, które nieustannie wżerały się w jego umysł i ogłupiały go do reszty! Współczucie spotęgowało się, ale nagle przeszła go myśl:

Lepiej nie lituj się za bardzo nad człowiekiem, który w chwilach kiedy jest trzeźwy, marzy tylko o jednym: aby cię zabić!

Wszystko powróciło do właściwej perspektywy. Charles zdawał sobie sprawę, że musi być czujny do momentu, kiedy rozkazy wojskowe rozłączą go z kapitanem. Taki dzień musi nadejść, na ten dzień warto poczekać! Ponownie odetchnął głęboko, upajając się zapachem teksaskiej nocy. Wracając do stajni pogwizdywał wesoło.

50

Latem i jesienią Orry widział wyraźnie rozprzestrzeniającą się po całym kraju niczym epidemia gorączkę secesji. Huntoon podróżował po Karolinie Południowej i sąsiednich stanach, przemawiał do zebranych w kościołach, na przyjęciach i w gmachach publicznych. Ubiegał się o przyjęcie go do African Labor Supply Association — organizacji, która stawiała sobie za cel przywrócenie handlu niewolnikami. Nadal popierał ideę utworzenia separatystycznego rządu na Południu. Z upodobaniem cytował fragmenty przemówienia Sewarda o „nieodpartym konflikcie” i słowa autora książki, Hintony Helpera, której tytułu oczywiście nigdy nie wymienił.

Orry podziwiał niespożytą energię szwagra, jakkolwiek obaj reprezentowali odmienne poglądy. Cenił również zapal Ashton; wiernie towarzyszyła mężowi w każdej podróży.

Jesienią Orry był świadkiem pewnego interesującego i wielce wymownego zdarzenia. W Columbii senator Wadę Hampton zwrócił się w swym przemówieniu do władz stanowych, prosząc o zachowanie jedności Unii. Sprzeciwił się reaktywowaniu handlu niewolnikami. Jego wywody zyskały szeroki rozgłos i niemal powszechny sprzeciw miejscowej arystokracji. Cała popularność, którą cieszył się do tej pory, rozviała się przez jedną noc, podczas gdy Huntoon zyskiwał wciąż nowych zwolenników.

Cooper poświęcał swój czas sprawom partii demokratów i stoczni na James Island. Jak twierdził, budowa olbrzymiej „Gwiazdy Karoliny” miała rozpocząć się w pierwszych dniach nowego roku. Orry postanowił przekazać tę wieść George'owi osobliście. Stęsknił się za swoim najlepszym przyjacielem i pragnął spotkać się z nim jak najszybciej.

Brett, która dowiedziała się o jego zamiarze, zaczęła prosić brata, aby wziął ją ze sobą. Pragnęła udać się z Pensylwanii do St. Louis, gdzie w towarzystwie brata złożyłaby wizytę Billy'emu. Orry nie pochwalał jej pomysłu z uwagi na długą drogę, która ich czekała, potrafił jednak zrozumieć tęsknotę siostry za młodzieńcem. Po krótkim wahaniu wyraził więc zgodę.

Nie ujechali daleko, kiedy zaczął żałować swej decyzji. W Karolinie Północnej, gdzie przesiadali się po raz pierwszy, poprosił zawiadowcę stacji o rozkład jazdy.

— Nie mamy — odparł urzędnik. Jego nosowa wymowa wydała się Orry'emu charakterystyczna dla mieszkańców górzystych regionów kraju.

— W takim razie proszę mi przynajmniej powiedzieć, kiedy mój pociąg dojedzie do... — Nie było sensu kończyć zdania, zawiadowca odwrócił się do niego plecami i po prostu odszedł.

Orry podszedł do siedzącej na ławce Brett.

— Wydaje się, że oni nie lubią pytań. A może nie lubią ludzi z Karoliny Południowej? — W Karolinie Północnej było wielu przeciwników niewolnictwa. Może zawiadowca poznał po akcencie Orry'ego, skąd pochodzi.

Kolejny etap podróży oznaczał kolejną irytację. Bagażowy — czarnoskóry wyzwolieniec — upuścił jedną z waliz Brett, właśnie tę, na którą wskazała prosząc o szczególną ostrożność. W walizie były delikatne przedmioty, które mieli otrzymać w prezencie mieszkańcy Lehigh Station. Niestety nastąpiło, kiedy багаżowy zdjął walizę z górnej półki w przedziale. Bliska leż Brett rozpakowała szklanego pelikana, którego kupiła dla Constance; figurka pękła na trzy części.

— Bardzo przepraszam — powiedział bagażowy. Orry odniósł wrażenie, że w oczach Murzyna zapalił się na moment złośliwy błysk.

W Petersburgu, w Wirginii, do pociągu wsiadł nowy konduktor. Orry pokazał mu bilety, na których widniała pieczętka z Charleston. Konduktor stał się raptem bardzo oficjalny.

— Przesiadka w Waszyngtonie, potem Baltimore — powiedział z akcentem, który wskazywał, że pochodzi z Nowej Anglii.

— Dziękuję — odparł Orry. — Mamy tu spory bagaż. Czy na stacji w Waszyngtonie znajdę bagażowego?

— Obawiam się, że nie będę mógł panu pomóc. Nie mam nic wspólnego z bagażowymi. Może powinien pan być wziąć ze sobą jednego z czarnoskórych niewolników?

Orry wstał powoli. Był o dobre trzy cale wyższy od konduktora, który natychmiast spuścił z tonu; jego mina raptownie zrzedła.

Pańskie grubiańskie zachowanie jest oburzające — powiedział Orry. Nie sędzę, abym zasłużył na coś takiego, chyba że — pomachał w powietrzu biletami — jest pan zdania, że tak się należy zachowywać wobec przybyszów z Południa.

— Proszę, Orry — szepnęła Brett. Nie róbmy widowiska. Konduktor skorzystał z okazji i oddalił się spiesźnie.

- Przyślę panu bagażowego — zawołał znikając w drzwiach wagonu.

Nie ujrzeli go już do końca podróży. Ani bagażowego.

W słoneczny, jesienny dzień pociąg dudnił po szynach, pędząc w stronę Richmond. Orry wyglądał przez brudne okno. — Dlaczego, u diabła, mamy stale tyle kłopotów? Czyżbym prowokował je swoim zachowaniem?

Brett zamknęła egzemplarz *Opowieści o dwóch miastach*, książki najlepiej sprzedawanej w tym roku, rzuciła na brata spojrzenie pełne melancholii i odparła:

Nie... tylko że mówisz z akcentem typowym dla mieszkańców Karoliny.

— Jesteś pewna, że nie cierpisz na manię prześladowczą? Potrzęsnęła głową.

Już wcześniej zauważyłam, że traktują nas inaczej niż zwykle, inaczej niż odnoszono się do nas w Newport. Wtedy ludzie byli wobec nas przyjaźni. Ale tak już nie jest.

— Ale przecież Wirginia i Karolina Północna to też Południe!

Nie to głębokie Południe. Nie Południe z plantacjami bawełny. W obu tych stanach znajduje się mnóstwo kobiet i mężczyzn, którzy czują się bardziej Jankesami niż Południowcami. I na tym polega różnica.

Powróciła do lektury. Orry siedział wstrząśnięty; coraz bardziej widoczny antagonizm wytrącał go z równowagi. Pośepny nastrój nie opuścił go nawet po przyjeździe do Baltimore.

Z Camden Street musieli dostać się na stację linii Filadelfia—Wilmington- Baltimore. Brett była zachwycona jazdą omnibusem konnym, ale Orry był zbyt głodny, aby interesować się takimi sprawami. Musiał koniecznie coś zjeść.

Przedstawiciele zarządów linii kolejowych zapowiadali wprawdzie, że już wkrótce każdy pociąg będzie miał w swym składzie wagon restrykcyjny, ale jak dotąd zdarzało się to bardzo rzadko. Alternatywa nie była zbyt atrakcyjna. Można było kupić coś do jedzenia od jednego z handlarzy, którzy biegali od wagonu do wagonu, albo też zacisnąć zęby i wejść do jednej z odrażających restauracji dworcowych, zadowolając się byle czym. W Baltimore Orry zdecydował się na to drugie rozwiązanie.

Otworzył przed Brett drzwi restauracji, ona uniosła lekko spódnicę, aby przejść przez próg, i raptem zatrzymała się. Przy kontuarze i stolikach siedzieli sami mężczyźni, dwaj rzucili na nią zuchwałe, niemal obraźliwe spojrzenia. Orry poczuł, że ogarnia go wściekłość. Brett potrząsnęła głową.

Orry, ja właściwie nie jestem głodna. Posiedzę tu na ławce i poczekam, aż zjesz. Nic mi nie będzie.

Odprowadził ją do ławki, po czym wszedł do restauracji. W środku panował gwar. Rozejrzał się po sali, zauważył wolny stolik, skierował się w jego stronę i usiadł.

Zamówił wędzoną wieprzowinę z tłuczoną rzepą i placek kukurydziany. Wyciągnął kieszonkowe wydanie *Biblii*, które ostatnio nosił przy sobie niemal wszędzie; chętnie wracał do *Pieśni Salomona*, gdyż wiele jej wersetów przypominało mu Madeline. Nie rozmawiał z nią od czasu jubileuszowego przyjęcia, wydanego przez Ashton. Ich rozmowa była wtedy krótka, niemal oficjalna, Madeline sprawiała wrażenie oderwanej od rzeczywistości, innej niż dawniej. Kiedy zapytał Justina, czyjego żona nie jest przypadkiem chora, ten uśmiechnął się tylko.

Orry pochylił się nad Biblią.. Kilka minut później kelner z hukiem postawił tacę na stole, rozlewając kawę. Orry zachował zimną krew.

Próbował czytać podczas jedzenia, nie mógł się jednak skupić; rozmowa przy sąsiednim stoliku była zbyt głośna. W końcu odchylił się do tyłu, przysłuchując się jej.

— Ci przekłeci Południowcy potrafią mówić teraz tylko o jednym: o separatystycznym rządzie. — Głos należał do najstarszego z trójki, chudego mężczyzny z siwymi bokobrodami. Jeśli o mnie chodzi, nie miałbym nic przeciwko temu. Niech sobie wsiadają do tej dziurawej łodzi i idą wraz z nią na dno!

— Do diabła, nie! — wykrzyknął drugi, z haczykowatym nosem; typ gburą i komiwojażera zarazem. — Każdy, kto zgadza się na secesję, lub sugeruje coś takiego, powinien zawisnąć na gałęzi. I to tak wysoko, aby wszyscy mogli zobaczyć, jak wygląda zdrajca!

— Racja! — przytaknął niepozorny mężczyzna w średnim wieku.

Orry zdawał sobie sprawę, że wszyscy trzej są nieokrzesanymi prostakami, podjudzającymi się wzajemnie. Wiedział również, że powinien siedzieć cicho, by uniknąć kłopotów. Ale nie kończące się przykrości, które spotkały go tego dnia, nie pozwoliły mu dłużej trzymać się z boku. Odstawił filiżankę z kawą wystarczająco gwałtownie, aby zwrócić na siebie uwagę dyskutujących mężczyzn.

— Ależ, panowie — zawołał, uśmiechając się chłodno. — W waszych ustach zabrzmiało to tak, jak gdyby utworzenie pokojowego rządu Południa stanowiło dla was osobiste zagrożenie. Ja również nie popieram tego pomysłu, ale jestem daleki od nazwania go zdradą. Powiedziałbym raczej, że to głupota, ale głupota, którą można zrozumieć. Południe już od wielu pokoleń doznawało bolesnych upokorzeń.

Jeśli nawet ktoś w pomieszczeniu podzielał jego zdanie, nie odezwał się nawet słowem. Za to mężczyzna z siwymi bokobrodami zapytał:

— Z jakiego jest pan stanu, sir?

— Z Karoliny Południowej.

Pytający wsparł się na swojej lasce, zakończonyj masywną, srebrną gałką, i uśmiechnął się najwyraźniej zadowolony z siebie.

— Powinienem się był domyślić.

Ten z haczykowatym nosem dodał ostrym tonem:

— Niech pan przeczyta sobie konstytucję, wtędy zrozumie pan, że secesja to zdrada. Wy, chłopcy z bawełnianych stanów, grozicie nam tym od lat! A więc zróbcie to, proszę bardzo! Wystąpcie z Unii! Ale jeśli to uczynicie, Buck Buchanan będzie miał pełne prawo zakuć was w kajdany. Albo powiesić na stryczku.

Ktoś siedzący w pobliżu dopowiedział:

— Amen!

Dopiero teraz Orry zwrócił uwagę na nieprzyjemne twarze dwóch mężczyzn stojących przy kontuarze; zwalistych drabów w brudnych kombinezonach — najwidoczniej zwrotniczych, sądząc p© grubych pałkach, które leżały na ich kolanach.

— Niech mnie diabli — zawołał jeden z nich — jeśli Stary Buck zrobiłby coś takiego! Przecież to mięczak!

Ten, który powiedział „amen”, przytaknął.

— A więc niech powiesi ich armia — zaproponował ktoś.

Z zewnątrz dobiegł ich głos zawiadowcy, wzywający pasażerów ekspresu do Filadelfii.

— Nic z tego — oświadczył Haczykowaty Nos. — Armia dowodzi ta hołota z West Point. Większość z nich to Południowcy. Gdyby mieli dokonać wyboru pomiędzy obowiązkiem obrony ojczyzny a ustanowieniem rządu popierającego prawo do posiadania czarnuchów, nie nia wątpliwości, na co by się ci chłopcy zdecydowali.

Orry poczuł, że krew pulsuje mu w skroniach, a ciało oblewa pot. Położył dłoń na *Biblii*.

— Powinien pan zważać na swoje słowa, sir.

— Co takiego? — Haczykowaty Nos skoczył na równe nogi, przewracając krzesło. Za nim jak spod ziemi wyrosli zwrotniczy z pałkami w rękach. Dwaj klienci cisnęli na kontuar pieniądze i czym prędzej wybiegli na zewnątrz.

Nie śpiesząc się Orry wyrstał od stołu. Na widok jego wzrostu i pałających oczu Haczykowaty Nos cofnął się.

— Powiedziałem, żebyście zważali na to, co mówicie o Aka demii Wojskowej. Jestem absolwentem tej uczelni i walczyłem w Meksyku. Ruchem głowy wskazał na swój pusty rękaw.

— Walczyłem za cały kraj. Również za Jankesów.

— Czyżby? — parsknął Haczykowaty Nos. — No cóż, sir, a ja nadal twierdzę, że wy, jasnie panowie z West Point, macie w sobie żyłkę do secesji. I to szeroką na miłę.

Rozległy się wivaty, gwar znowu przybrał na sile. Jeden ze zwrotniczych wyrzwał znad ramienia Haczykowatego Nosa.

— A może niech ten paniczek z Południa spóźni się na swój pociąg. Może niech dostanie w Baltimore nowy płaszcz dla siebie. Płaszcz unurzany w smole i pierzu.

Haczykowaty Nos uśmiechnął się z aprobatą. Orry powiódł wzrokiem po otaczających go twarzach. Żadna nie sprawiała wrażenia przyjaznej. Poczul ucisk w dołku. Zwrotniczy poczęli zbliżać się do niego.

Nagły szcęk odbezpieczanej broni sprawił, że stanęli jak wryci. W kuchennych drzwiach zjawił się jakiś mężczyzna z karabinem gotowym do strzału.

— Każdy, kto rozdaje tu nowe płaszcze, musi odziać i mnie.

— Zwrócił się do Orry'ego. -- Urodziłem się i mieszkam w Baltimore. Bardzo mi przykro, że spotkało pana takie przyjęcie w naszym mieście.

--- Orry?

Głos Brett skłonił go do odwrócenia się w stronę drzwi. Podbiegła do niego, zawiadowca ponownie wzywał pasażerów udających się do Filadelfii, aby wsiedli do pociągu.

— Orry, chodź już. Spóźnimy się na pociąg!

Haczykowy Nos zaśmiał się rubasznie.

— Pozwala pan, aby ta panienska walczyła za pana? A w ogóle, skąd pan przy niej? Myślałem, że wy, chłopcy z bawełnianych stanów, wolicie ciemną skórę.

Orry uderzył z całej siły, zadał prosty, ostry, choć dosyć niezdarny cios w żołądek. Przeciwnik zatoczył się do tyłu, jeden ze zwrotnicznych podtrzymał go, drugi zamachnął się już pałką, ale mężczyzna z karabinem krzyknął coś ostrzegawczo.

Haczykowy Nos stęknął parę razy i zgięty wpół wpadł na swoje przewrócone krzesło. Orry nadal zaciskał mocno pięść, była biała jak bela bawełny. Pałającymi z gniewu oczami uderzał wszystkich obecnych.

— Chodź już, Orry. — Brett pociągnęła go za rękę.

— Ekspres do Filadelfii... za chwałę odjazd! — zagrzmiął od strony peronu stentorowy głos zawiadowcy.

Napięcie prysło, wszyscy rzucili się do drzwi. Orry podziękował skinieniem głowy mężczyźnie z karabinem, odwrócił się i wybiegł za siostrą.

Pociąg z łoskotem mknął w stronę Wilmington. W głosie Orry'ego brzmiały smutek i furia.

Nie miałem pojęcia, że wrogość może przybrać takie rozmiary! Mężczyźni gotowi skakać sobie do gardeł i to w miejscu publicznym! Niebysławie!

Niedawna naiwność przerażała go. Sytuacja w kraju pogorszyła się o wiele bardziej, niż się tego spodziewał. Jeżeli ktoś wyobrażał sobie, że oderwanie się od Unii może nastąpić w sposób pokojowy, był zapewne niespełna r ozumu.

— Cieszę się, że wyszliśmy stamtąd w porę — powiedziała Brett. — Mogli zrobić ci coś złego. I właściwie z jakiego powodu?

W dłoni nadal czuł piekący ból po zadanych ciosie. Opuścił wzrok na pięść.

Chyba masz rację. Ale nie potrafię uciekać przed walką.

Usiłowała znaleźć odpowiednie słowa, aby go pocieszyć. — Ale tu chodziło o pociąg, który mógł nam uciec.

— Jankeska hołota! Niech to diabli! — mruknął gniewnie.

— Orry, kiedy tak mówisz, nie jesteś wcale lepszy od tych osłów z restauracji.

— Wiem. Ale... dziwne: mało mnie to obchodzi. — Odetchnął głęboko. — Mam dosyć zachowywania się w każdej sytuacji jak dżentelmen. Nie chcę chować ogona pod siebie. I nigdy tego nie zrobię.

Powitanie w Belwederze było ciepłe, chociaż Maude nie uczestniczyła w nim; wyjechała na parę dni do Filadelfii. Goście rozdali prezenty, Brett obiecała, że prześle dla Constance jeszcze jednego szklanego pelikana, wyrazili swój podziw dla dzieci, które bardzo urosły. Po zjedzeniu wyśmienitej kaczkę z ulgą udali się do łóżek.

Orry spał przez dziewięć godzin, a jednak kiedy się obudził, nie czuł się wypoczęty.

— Nie mogę si ę doczekać, kiedy wreszcie pokażę ci konwer tor Bessemera — - powiedział przy śniadaniu George. Tryskał wprost energią, był pełen entuzjazmu. Nie wiadomo dlaczego dobry humor przyjaciela pogłębił jeszcze bardziej przygnębienie Orry'ego. Ale przecież to nie George go obraził, uczyniła to po prostu cała Północ. Miał nadzieję, że zły nastrój minie. W prze ciwnym razie mógłby zmącić radość z ponownego spotkania.

George zapalił cygaro, już drugie tego ranka.

— Jak tylko skończysz, pójdziemy tam rzucić okiem. Płacę wprawdzie sporo za licencję, ale przypuszczam, że nadejdzie dzień, kiedy wszystko mi się zwróci.

To nie zabrzmiało zbyt przekonująco — mruknął Orry.

Och, jestem dobrej myśli... do pewnego stopnia. Oszczędność czasu jest naprawdę imponująca, ale nadal są pewne problemy z przebiegiem procesu. Pokażę ci.

Orry nie miał witaściwie ochoty iść przez zadymiony, cuchnący teren fabryki, wchodzić do hali z żelaznym dachem i patrzeć na urządzenie w kształcie jaja, wirujące wokół swej osi, uczynił to jednak, aby sprawić George'owi przyjemność.

Robotnicy uporali się właśnie z kolejną porcją ciekłej surówki i przechylili konwertor, aby przelać ją do wyżłobionego w posadzce rowu. Stał pop łynęła niczym świetlista wstęga.

Z dumą, niczym ojciec patrzący na swoje dziecko, George wyjaśnił:

— Pewien Walińczyk rozwiązał już najgorszy problem z konwertorem. Cooper nie opowiedział ci o tym?

— Owszem, ale nie zrozumiałem wiele. Ton Orry'ego zdradzał, że nie za bardzo interesuje się tą sprawą.

George spojrział nań rozczarowany, a nawet zirytowany, ale już po chwili rozpozgodził się.

Bessemer wytwarzał surówkę, którą oczyszczał z węgla, co oznaczało jednak, że przy przeróbce żelaza w stal nie było już węgla, on zaś nie miał pojęcia, w jaki sposób wprowadzić go trochę z powrotem. Eksperyment Walińczyka polegał na dodaniu węgla drzewnego i tlenku manganu. Następnie próbował osiągnąć coś za pomocą mieszaniny, zwanej przez Niemców „surówką

zwierciadlistą": żelaza, węgla i odrobiny manganu. I o to właśnie chodziło. Podczas gdy Bessemer i ten Walijszyk kłócą się, kto jest komu winien i ile, ja stosuję właśnie tę „surówkę zwierciadlistą” i zarazem płacę Bessemerowi za prawo do korzystania z jego metody, chociaż w Ameryce problem patentów wisi nadal w powietrzu. Ale mimo wszystko nie jestem jeszcze przekonany, czy ten proces jest praktyczny.

— A to dlaczego?

— Bo opiera się na przypuszczeniach. Zawartość węgla można ocenić wyłącznie po kolorze płomienia konwertora, a w ten sposób nie można uzyskać za każdym razem tak samo dobrej stali. Jest pewien człowiek, który opracuje metodę bardziej niezawodną, Anglik urodzony w Niemczech, o nazwisku Karl Siemens. Napisałem już do niego... Orry, ale to wszystko nie interesuje cię ani trochę, prawda?

— Oczywiście że interesuje.

George potrząsnął głową.

— Wyjdźmy na zewnątrz, tam jest chłodniej. Kiedy opuścili halę, spojrzął na przyjaciela z troską.

— Odkąd przyjechałeś, mam wrażenie, że nie jesteś sobą. Co się stało?

— Nie wiem.

W rzeczywistości wiedział doskonale, w czym rzecz, nie chciał jednak powiedzieć tego głośno. Po prostu odczuwał dziwną niechęć do przyjaciela i to tylko dlatego, że był Jankesem.

Tego dnia obiad podano o drugiej. Orry w dalszym ciągu był podminowany i rozdrażniony. Sumiennie poinformował wprawdzie George'a o stanie robót przy finansowanej przez niego „Gwieździe Karoliny”, nadal jednak widział w nim kogoś obcego. Czy naprawdę odzywali się kiedyś do siebie, używając tych śmiesznych przydomków „Tyczka” i „Pniak”? Nie do wiary! Obecne czasy były zbyt ponure na tego typu przewiska. Może nawet zbyt ponure na przyjaźń...

— To wspaniale! Widzę, że zdziałano już, wiele — powiedział George, kiedy Orry zakończył relację. — Cieszę się bardzo. — Zapalił cygaro.

Orry zakasłał i pomachał dłonią, aby odegnać dym. George zmarszczył brwi, przeprosił go, ale nie zgasił cygara; przełożył je tylko do drugiej ręki.

W pokoju zaległa pełna napięcia cisza, którą w końcu przerwał Orry:

— Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak zareagowałeś na wiadomość, że Elkanah Bent jest w Teksasie.

— Kiedy wspomniałeś o tym w liście, poczułem się tak,

jakby ugodził mnie piorun. Wiesz, prawie już o nim zapomniałem.

— Kłopot polega na tym, George, że on nie zapomniał o nas. Skoro Bent nadal mnie nienawidzi i potrafi przenieść tę nienawiść na mego kuzyna, w podobnej sytuacji możesz znaleźć się i ty.

Jego przyjaciel roześmiał się.

— Proszę bardzo, niech przyjedzie do Lehigh Station i próbuje tu swych sztuczek. Już ja obmyślę dla niego powitanie, którego nigdy nie zapomni.

— Myślałem raczej o twoim bracie, Billym. Nadal służy w armii.

George machnął cygarem.

— Och, powiedziałem mu to i owo, jak tylko mi napisałeś. Ale radziłem zarazem, aby nie martwił się zbyt bardzo jakimś szaleńcem, przynajmniej dopóki jego drogi nie skrzyżują się z drogami nikczemnego kapitana Benta. I ty również nie powinieneś się tym przejmować. Boże, aż trudno uwierzyć, że armia nadal toleruje go w swych szeregach — zakończył, kiwając z ubolewaniem głową.

Jego nonszalancka postawa rozgniewała Orry'ego jeszcze bardziej. Na szczęście coś odwróciło jego uwagę; William, ładny chłopiec, niezmiernie podobny do swego ojca, już od kilku minut kręcił się podniecony tam i z powrotem. Wreszcie wyrzucił z siebie:

— Opowiedz, jak Charles walczy z Indianami!

— Tak było w zeszłym roku — odparł Orry trochę zbyt gwałtownie. — Teraz jest nad Rio Grandę, ściga meksykańskiego bandytę imieniem Cortinas. O wszystkim napisałem twojemu ojcu. Zapytaj jego.

William junior odgadł, że Orry jest w bardzo złym humorze, Orry zaś zauważył zażenowanie chłopca. Aby ratować sytuację, zaczął z ożywieniem opowiadać o pościgu kawalerzystów za bandytą. Patricia, rok młodsza od brata, nie była zainteresowana tematem. Wraz z matką i Brett poczęły rozprawiać o modzie, a zwłaszcza o sukni od Charlesa Wortha z Paryża, którą Constance zamówiła na wielki bal dobroczynny. Dochód z balu, pierwszego tego rodzaju w Lehigh Station, był przeznaczony na budowę szkoły.

— Suknia jest zbyt wytworna na taką okazję — śmiała się Constance. — Ale bardzo mi się podoba, a George nalegał, abym ją kupiła. Obawiam się jednak, że inne panie na balu będą wytykać mnie palcami.

— Z zazdrości! — wtrącił George. Wymienili z żoną czułe spojrzenia, a Orry, widząc to, poczuł ogarniającą go zawiść.

— Zwłaszcza ciotka Isabel — powiedziała Patricia.

— A co u Stanleya i jego żony? — zapytał Orry.

Patricia wysunęła w odpowiedzi język i zrobiła brzydką minę. Constance dała jej lekkiego klapsa w rękę i potrząsnęła głową, George zaś odparł:

— Nie widzimy się z nimi zbyt często. Stanley utrzymuje kontakty raczej z Cameronem, a Isabel ma swoich przyjaciół. Dzięki Bogu! Aby krytykować *Pismo Święte* i Lincolna... nasz dom jest wprawdzie podzielony, ale nie do tego stopnia.

Constance uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Jest pewna różnica, kochanie. Ta separacja Stanleya i Isabel od nas nie jest dobrowolna. Wyrzuciłeś ich.

— Tak, ale... — Jakiś odgłos w jadalni zwrócił uwagę wszystkich. — Ach, to Virgilia.

Orry wstał spiesznie z krzesła.

— Dobry wieczór, Virgilio.

— Dobry wieczór, Orry — odparła, podchodząc do wolnego krzesła. Mogłoby się zdawać, że ma przed sobą człowieka zadżumionego.

— Nie wiedziałem, że bawi tu pani z wizytą powiedział Orry, siadając z powrotem. Widok Virgillii wstrząsnął nim. Od czasu, kiedy spotkali się po raz ostatni, postarzała się o dziesięć lat. Jej skóra miała niezdrowy, żółtawy odcień, suknia była niechlujna, włosy nie uczesane. W zapadniętych oczach tlił się jakiś dziki płomień.

— Przyjechałam dziś rano.

Ciekawe, co się dzieje z jej czarnoskórym kochankiem, Gradym, tym uciekinierem — pomyślał Orry. Wieści o ich związku, przekazywane na ucho niczym najbardziej ekscytująca sensacja, dotarły już do Charleston, wywołując skandal. — Czy ona nadal z nim żyje? — Nie śmiał zapytać.

— Jutro wyjeżdżam do Chambersburga — mówiła dalej. Niecierpliwie skinęła na służącą pod ścianą. Dziewczyna podeszła spiesznie, aby nalać jej zupy.

Oczy Virgillii spoczęły na gościu.

Nie daj się sprowokować przemknęło mu przez głowę.

Trudno mu jednak było zastosować się do tego ostrzeżenia. Virgilia zawsze potrafiła doprowadzić go do pasji; tym łatwiej mogła tego dokonać teraz, kiedy nie był w najlepszym nastroju.

Brett obrzuciła ich oboje czujnym wzrokiem, kiedy Virgilia dodała:

— Pomagam pewnemu abolicjonście, nazywa się Brown. John Brown z Osawatomie.

Orry oczywiście słyszał już o tym człowieku. Kto o nim nie słyszał? Na łamach „Harper's Weekly” kilkakrotnie pokazano jego wychudzoną, posępną twarz, okoloną długą białą brodą. Urodzony w Connecticut Brown przez dłuższy czas działał aktywnie jako abolicjonista. Szczególny rozgłos zyskał w Kan-

sas, gdzie z pięcioma synami stoczył kilka krwawych bitew o „wolną ziemię”. W 1856 roku oddział dowodzony przez Browna zamordował pięciu opowiadających się za niewolnictwem osadników. Wydarzenie to nazwano „masakrą w Pottawatomie”.

Niedawno wygłosił na północnym wschodzie kilka przemówień, aby zdobyć fundusze na jedno ze swoich szaleńczych przedsięwzięć — prowizoryczny rząd proklamowany w Kanadzie. Zapewne miało to jakiś związek z nielegalnym przrzucaniem czarnoskórych zbiegów tam, gdzie nic im nie groziło. Nieczysta przeszłość Browna i wyzywający wzrok Virgilia skłoniły Orry'ego do szorstkiej odpowiedzi:

— Trudno mi zrozumieć, jak można pomagać mordercy.

Brett i Constance wymieniły trwożliwe spojrzenia, a Virgilia zacisnęła usta.

— Można się było spodziewać, że powie pan coś w tym stylu. Ci, którzy głoszą prawdę o niewolnictwie albo w ogóle Południu, zazwyczaj spotykają się właśnie z wyzwiskami. To najlepszy sposób, aby zdyskredytować ich zasługi. No, ale pan i ludzie pańskiego pokroju powinni mieć się na baczności, gdyż już niebawem położymy kres waszym okrucieństwom i prowadzonym przez was potajemnie farmom rozplodowym.

— Co to, u diabła, ma znaczyć?

— Nadejdzie dzień, kiedy zjawi się mesjarz i powiedzie waszych niewolników do wielkiej rewolucji. Zmieciemy z powierzchni ziemi każdego białego, który nie przyłączy się do nas.

Zapadła głucha cisza. Zarówno goście, jak i gospodarze siedzieli wstrząśnięci, nawet Brett nie potrafiła ukryć irytacji. Orry zerwał się z miejsca, gwałtownie odsunął krzesło i spojrzał na George'a. Wzbierający w nim od kilku dtri gniew znalazł wreszcie ujście.

— Wybacz, że cię teraz opuszczę.

Constance rzuciła bratowej druzgoczące spojrzenie, po czym przeniosła wzrok na Orry'ego.

— To nie ty powinienes stąd wyjść.

Virgilia uśmiechnęła się.

— Ale oczywiście uczyni to. Południowcy nie potrafią znieść słów prawdy.

Orry zacisnął dłoń na poręczy krzesła.

— Jakiej prawdy? Jeszcze nie zetknąłem się z nią przy tym stole. Mam dość obarczania mnie winą za wszystkie błędy popełnione przez Południe, zarówno te prawdziwe, jak również zrodzone w pani chorym umyśle.

Twarz George'a pokryła się purpurą.

— Orry, to za mocne słowa!

Ale Orry nie zwrócił na niego uwagi.

— Farmy rozplodowe! Skąd pani przyszły do głowy takie

bdzury? Czy czytuje pani o nich w tej żółtej serii? — George zeszywniał na wzmiankę o książkach pornograficznych. Orry krzychał coraz głośniejsze: — Czy właśnie taka literatura interesuje panią? Podnieca? Czy dlatego nie może pani przestać o tym mówić?

Tylko część jego świadomości odebrała fakt, że Constance wypycha dzieci z pokoju. Virgilia uśmiechała się słodko.

— Powinnam była wiedzieć, że najbardziej wypierają się zła ci, którzy je popełniają.

Mgła przesłoniła mu oczy. Nie potrafił i nie chciał tolerować dłużej jej głosu, z którego biło bezgraniczne zadowolenie z siebie. Tracąc panowanie nad sobą, dał upust furii:

— Kobieto, jesteś niespełna rozumu!

— A pan i inni pańskiego pokroju jesteście skończeni!

— Niech się pani zamknie! — krzyknął. — Niech się pani zamknie i wraca do swego kochanka, czarnucha! Tam jest pani miejsce!

Kiedy wyrzucił z siebie te słowa, ogarnęło go zakłopotanie. Poczł się tak, jakby ziemia rozstępowała mu się pod stopami. Jeszcze przed chwilą widział wszystko jak przez mgłę, teraz dostrzegał twarze nadzwyczaj wyraźnie. Gniewne twarze. A najbardziej zagniewaną twarz miał George, który gwałtownym ruchem wyciągnął z ust cygaro i ścisnął je tak mocno, że ciemnozielony, okrywający je liść tytoniu rozsypał się na cząstki.

Z twarzy Virgillii nie schodził fałszywy uśmiech, Brett wpatrywała się postępnie przed siebie. Constance usiłowała ponownie przywrócić spokój:

— Wydaje mi się, Virgilio, że to ty przebrałaś miarę.

— Virgilia skierowała na nią zimny wzrok.

— Naprawdę?

— Czy tak trudno byłoby... przeprosić?

— Trudno nie, ale to niepotrzebne.

Orry zapragnął nagle chwycić swój kieliszek i chlusać jej w twarz winem. Urażona ambicja kazała zapomnieć o zażenowaniu. Ci ludzie prowokowali go, osądzali i potępiali system społeczny jego ojczyzny, mieszając dobro ze złem. Nie mógł na to pozwolić.

Dostrzegł gniewny wzrok George'a i wybuchnął:

— Przynajmniej ty mógłbyś skrytykować jej zachowanie.

George cisnął resztki cygara na stół.

— Nie podobają mi się jej słowa, ale ona chociaż stoi po właściwej stronie.

Było to jak cios zadany ostrym mieczem. Rysa, teraz tak wyraźna, choć tak bardzo się jej obawiali, stanowiła fakt. Wziął się w garść, wyprostował ramiona i oświadczył dobitnie:

— Nie sądzę, sir, abyśmy mieli jeszcze coś do omówienia.

- Teraz to chyba jasne dla wszystkich — odparł George. Orry spojrzał na niego. Trudno było przymknąć oczy na furię malującą się na twarzy George'a... i tę, która szalała w jego duszy. On i George Hazard dotąd nie byli wrogami, stali się nimi teraz.

— Wezmę tylko kapelusz — mruknął do siostry — i wycho-
dzimy.

Zaskoczona obrotem sprawy Brett zaniemówiła. Podeszedł do niej, ujął ją pod rękę i popchnął lekko w stronę holu.

— Byłbym zobowiązany za odesłanie naszego bagażu do hotelu — powiedział nie odwracając się. Po chwili drzwi zatrzasnęły się za nimi.

W jadalni jedyną osobą, która się uśmiechała, była Vigrili a.

Tego popołudnia George nie wrócił do huty. Kręcił się bez celu po domu z cygarem w jednej i szklaneczką whisky w drugiej ręce wściekły na Orry'ego, wściekły na siebie, całkowicie zdezo-orientowany.

Virgilia udała się do swego pokoju, Constance zajrzała do dzieci, a kiedy zeszła do salonu, William wybiegł na zewnątrz. Patricia zamknęła się w pokoju muzycznym. Właśnie tam George znalazł córkę pół godziny później; ćwiczyła na fortepianie menueta.

Podniosła na niego oczy, a widząc jego posępną minę, zapyta-
ła:

— Tato, czy ty i Orry nie jesteście już przyjaciółmi?

To proste pytanie wstrząsnęło nim i sprawiło, że raptem ujrzał wszystko we właściwej perspektywie.

— Oczywiście, że jesteśmy. Orry wróci tu jeszcze przed kolacją. Zajmę się tym.

W bibliotece usiadł za biurkiem, odsunął na bok meteoryt i umoczył pióro w atramencie. List rozpoczął od słów: *Tyczko, czy przyjmiesz moje przeprosiny?*

— Chciał pan rozmawiać z panem Mainem? — Recepcjonista w Station House począł przeglądać księgę meldunkową. Wy najął pokój na jeden dzień dla siostry, a teraz, jak sędzę, znajdzie go pan w barze.

Lokaj z Belwederu udał się do baru, pchnął wahadłowe drzwi i zbliżył się do stolika pod oknem, gdzie siedział wychudzony, brodaty mężczyzna, wpatrując się w pusty kieliszek.

— Pan Main? To od pana Hazarda, sir.

Orry przeczytał pismo, po czym zamyślił się. Czy ma podtrzy-
mać swą decyzję i wyjechać wieczornym pociągiem? Potem

przypomniawszy sobie atmosferę panującą w Belwederze i wszystkie słowa, które padły przy stole. Nie potrafił przyjąć przeprosin George'a ani jego zaproszenia, jakby nic się nie stało. Gdyby nawet miało to zaszkodzić budowie „Gwiazdy Karoliny”, był to już problem Coopera. Lokaj odchrząknął.

— Czy będzie odpowiedź, sir?

— Tylko taka.

Przedarł kartkę na pół i wrzucił strzępy do mosiężnej spluwaczki.

— Niech go diabli! — wykrzyknął George. — Słyszałaś, co zrobił? Wyobrażasz to sobie?

— Oczywiście — odparła Constance. — Opisałaś mi to już dziesięć albo i dwanaście razy.

Próba obrócenia wszystkiego w żart nie pomogła. Zresztą, ona również nie uznała sytuacji na zabawną, chociaż w innych okolicznościach powiedziałaaby, że jej mąż wygląda naprawdę śmiesznie, kiedy tak biega boso po sypialni z wygasłym cygarem w zębach. Płócienne kalesony — jedyna część garderoby, którą miał teraz na sobie — uwydatniały niewielki, ale rysujący się wyraźnie brzusek.

— Bo to nie daje mi spokoju — powiedział. — Wysyłam do niego szczere przeprosiny, a w odpowiedzi ten łajdak obraża mnie.

Przez otwarte okna Belwederu wpadało rześkie, jesienne powietrze. W taką pogodę George zazwyczaj spał tuląc się mocno do żony, ona uwielbiała to. Dziś jednak wątpiła, aby któregoś z nich zdołało zasnąć. Od powrotu lokaja ze Station House, George kłął i szalał po pokoju.

— Ty również byłeś dla niego twardy, mój drogi. — Siedziała na łóżku, opierając się plecami o poręcz, rozpuszczone włosy spływały na rękawy jej muślinowej nocnej koszuli. — Wina leży po obu stronach, a prawda jest taka, że wszystko sprowokowała Virgilia. Nie będę dłużej tolerowała jej zachowania, wprowadza tylko do naszego domu niezgodę.

Przezeszał sobie dłonią włosy.

— Tym się nie przejmuj. Wyjechała już do Chambersburga.

— To był jej pomysłu?

— Nie, ja nalegałem na ten wyjazd.

— Cóż, przynajmniej tyle. — Wsunęła pod plecy poduszkę. Muślinowa koszula naprężyła się na piersiach. Powolnymi, niemal leniwymi ruchami Constance poczęła się czesać. Chcąc nie chcąc, doszła już do przekonania, że niestosowne zachowanie Virgilia to coś, czego nie da się zmienić i nie sposób dłużej

tolerować. Pragnęła powiedzieć mężowi, że wcale nie rozwiązał jeszcze problemu siostry i nie rozwiąże go, dopóki raz na zawsze nie zamknie przed nią drzwi ich domu, ale nie był to odpowiedni moment na podjęcie tego tematu.

— A Orry... czy wyjechał już z Lehigh Station?

— Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Mam chęć napisać do Coopera i zażądać zwrotu mojej pożyczki. Znam lepsze sposoby ulokowania dwóch milionów dolarów. Te łajdaki zamierzają zapewne spuścić na wodę statek flagowy floty secesjonistów!

— Zarzuciłbyś to Cooperowi? — Uśmiechnęła się łagodnie. — Teraz mówisz tak samo niemądrze, jak twoja siostra.

George cisnął cygaro za okno. Zza wzgórz, gdzie biegły tory kolejowe, dobiegł ich gwizd parowozu — pośpyny i przygnębiający.

— Nawet nie zadał sobie trudu, aby mi odpisać — mówił w panującą za oknem ciemność, a jego głos zabrzmiał raczej smutno niż gniewnie.

— Podejdz do mnie, kochany.

Obrócił się do żony, na jego twarzy malowała się niemal dziecięca bezradność. Podeszedł bliżej i usiadł na łóżku, opierając się plecami o jej biodro. Jego nogi wisały w powietrzu.

Widząc jak cierpi, poczęła głaskać go po głowie.

— My wszyscy zachowaliśmy się dziś okropnie. Daj Orry'emu tydzień albo nawet więcej, aby doszedł do siebie. Ty również potrzebujesz trochę czasu, musisz się uspokoić. Wtedy z pewnością pogodzicie się. Byliście przyjaciółmi zbyt długo, aby teraz wszystko zaprzepaścić.

— Wiem o tym, ale on...

Przytknęła mu palce do ust, nie dając dokończyć.

— Dziś po południu pozwoliłeś, aby pomiędzy tobą a twoim najlepszym przyjacielem wywiązała się dyskusja na tematy polityczne. Czy nie widzisz sam, jakie to niemądre? Jakże przerażające? Jak ma przetrwać ten kraj, skoro nawet przyjaciele nie potrafią wznieść się ponad dzielące ich poglądy? Jeżeli mężczyźni tacy jak ty i Orry — przyzwoici, rozsądni nie mogą rozwiązać swoich problemów, jakie widzisz wyjście? Przyszłość leży w rękach fanatyków z Południa i ludzi pokroju Johna Browna.

Łagodny, kojący dotyk jej dłoni zdołał uspokoić go w końcu.

— Masz rację. Ale tylko w pewnym sensie. Nie jestem przekonany, czy słowa „dyskusja” i „dzielące poglądy” oddają to, co dzieje się aktualnie w naszym kraju.

— Nie bardzo cię rozumiem.

— Dyskusje, poglądy... takie słowa mają dla mnie znaczenie... no, trywialne. Sugerują tylko, że ludzie nie zgadzają się ze sobą, co do — wykonał w powietrzu jakiś nieokreślony gest,

jakby szukając odpowiednich słów — co do fryzury albo kroju wyłogów surduta. A tymczasem chodzi o coś głębszego, o coś dużo głębszego, o podstawy naszego kraju, gdyż na tym właśnie polega ów konflikt. Czy człowiek ma prawo trzymać drugiego w niewoli tylko dlatego, że ten drugi ma czarną skórę? Czy można kierować się kaprysem i rozbijać Unię? Co do mnie, mam na te sprawy określony pogląd, nie wiedziałbym jednak, jak odpowiedzieć na kolejne pytanie: skoro okoliczności są takie, a nie inne, jak pozostać wiernym swoim przekonaniom i nie utracić jednocześnie przyjaciela? Spojrzała na niego czule.

— Do tego potrzebna jest cierpliwość — odparła. — Cierpliwość, rozsądek i dobra wola.

Westchnął ciężko.

— Mam nadzieję, że tak jest naprawdę. Sam już nie wiem.

Był jej jednak wdzięczny za radę i pomoc. Chcąc jej to okazać, nachylił się i pocałował żonę. Pocałunek był długi i czuły.

Niebawem jej wargi stały się bardziej natarczywe, wsunął dłoń pomiędzy jej plecy i poduszkę. Obejmując go mocno za szyję, całowała go coraz namiętniej. Jesienny wiatr rozwiewał zasłony, a oni kochali się. Znaleźli w sobie otuchę i chwilowe zapomnienie, nie myśleli o tym, co ich trapiło.

Potem, kiedy zaspokojeni, z błogim uczuciem ciepła leżeli spleceni w uścisku, opadła ich ta sama myśl: cierpliwość, rozsądek i dobra wola to piękne, ale czy wystarczy? A może problemy ich kraju wymknęły się już spod wszelkiej racjonalnej kontroli? Może los narodu znalazł się w rękach fanatyków, takich jak John Brown?

Tak, a również w rękach Vigrili i.

51

Powóz Simona Camerona podskakiwał na bruku Pennsylvania Avenue. Stanley, który wybrał się ze swoim mentorem na przejażdżkę, z przyjemnością odwracał twarz ku ciepłym promieniom słońca.

Dźwięki Orkiestry Marynarki grającej właśnie melodię „Posłuchaj drozda” z wolna cichły w oddali. Kompozytor tego utworu zadedykował go Harriet Lane, siostrzenicy prezydenta Buchanana i gospodyni w jego miejscowej rezydencji. Oboje — prezydent dobiegał już siedemdziesiątki i był zatwardziałym starym kawalerem — niewątpliwie znajdowali się w tej chwili

w parku, witając się z publicznością przybyłą na koncert orkiestry. Prezydent pokazywał się chętnie w Waszyngtonie. Poprzedniego dnia na przykład, tuż po wystawnym obiedzie, złożonym z ostryg i zupy żółwiowej oraz francuskiego wina, Stanley podczas przechadzki natknął się na prezydenta, który odbywał swój codzienny, jednogodzinny spacer.

Ośmielony winem Stanley podszedł do niego i zamienił parę słów. Oczywiście spotkali się już wcześniej w Pensylwanii. Prezydent nie tylko poznał Stanleya, ale swą lekko nasróżoną miną dał do zrozumienia, że związki Stanleya z Cameronem nie są dla niego tajemnicą. Wspominając spotkanie Stanley oświadczył:

— Wiem, Simonie, że prezydent nie jest pańskim przyjacielem, ale w każdym razie pochodzi z naszego stanu. A wczoraj wywarł na mnie spore wrażenie.

— Tak, ale powiedział mi pan również, że jest pod wrażeniem Waszyngtonu.

Ta sarkastyczna uwaga wywołała rumieniec na twarzy Stanleya. Najwidoczniej powiedział coś niestosownego.

— Nie uwierzę, że mogło się panu spodobać coś takiego — kontynuował Cameron, wskazując pogardliwie na Kapitol; nie ukończoną kopułę okalało szpecące rusztowanie. Cameron westchnął i potrząsnął głową. Jak mogę uczynić pana moją prawą ręką, skoro nadal zdarzają się panu tak błędne osądy? Kiedy pan wreszcie zrozumie, że w tym mieście nie ma nic wartościowego oprócz władzy?

Policzki Stanleya ściemniały jeszcze bardziej. Zdawał sobie sprawę, że Cameron nie przyjaźni się z nim ze względu na jego umysł, lecz z powodu innych atutów. Nie lubił jednak, kiedy na temat jego słabych stron rozprawiano tak otwarcie i uszczypliwie. Mimo wszystko nie mógł sobie pozwolić na to, aby jeszcze bardziej zirytować swego mentora. Zanosilo się na duże zmiany, które mogły sprowadzić go i Isabel do tego miasta, a jego samego na stanowisko oznaczające kluczowe miejsce w rządzie.

Cameron nie dawał za wygraną.

— Nie chcę więcej słyszeć, że jest pan pod wrażeniem Starego Bucka. Jesteśmy teraz republikanami. Prezydent to nasz wróg.

Stanley kiwnął głową, uśmiechnął się przymilnie i spróbował zmienić temat.

— A co z przyszłym rokiem? Myśli pan, że demokraci wysuną kandydaturę Steve'a Douglasa?

— Trudno powiedzieć. Partia jest podzielona. Swoją doktryną z Freeport Douglas zraził do siebie całe Południe.

— W takim razie mamy realną szansę wybrać Sewarda.

Tego samego wieczoru Stanley i Cameron mieli wziąć udział

w prywatnym przyjęciu, zorganizowanym na cześć senatora w Kirkwood's Hotel. Obaj przybyli tu z Pensylwanii specjalnie, aby spotkać się z Se war dem i uskarżającym się na podagrę, upartym i podobnie jak senator zżerany przez ambicję zostania prezydentem generałem Scottem. Poprzedniego dnia wieczorem rozmawiali z nim przez godzinę; przyjechał ze swojej kwatery głównej w Nowym Jorku po to tylko, by zobaczyć się z Cameronem, co świadczyło aż nadto wyraźnie o znaczeniu Simona w partii republikańskiej. To wszystko oraz obecność na spotkaniach innych ważnych osobistości wręcz oszołomiło Stanleya. Zapragnął za wszelką cenę wrócić jeszcze kiedyś tu, do Waszyngtonu, ale już jako równie ważna osoba.

Cameron oburzył się na wzmiankę o Sewardzie.

— Po uwadze o „nieodpartym konflikcie” nie może wygrać. Oczywiście nie możemy powiedzieć mu tego na dzisiejszym przyjęciu, ale faktem jest, że partia będzie musiała znaleźć kogoś mniej wojowniczego. Kogoś, kto nie zraża do siebie ludzi.

Stanley zamrugał gwałtownie.

— Kto to taki?

— Jeszcze nie wiem. Ale coś panu powiem. — Uśmiechnął się. — Pierwszy poznam to nazwisko. Z pewnością nie uzyska nominacji, dopóki nie powiem „tak”.

Stanley wiedział, że to nie przechwałki. Niewielu polityków republikańskich mogło oferować to, co on — praktycznie absolutną kontrolę nad całą machiną w ważnym stanie.

Cameron mówił dalej:

— Spodziewam się zdobyć po zakończonej konwencji stanowisko na szczeblu gabinetu. Żaden kandydat, który obieca mniej, nie otrzyma mego poparcia. A kiedy już wprowadzę się do tego nędznego miasta, będą mi towarzyszyć moi przyjaciele. — W jego oczach zamigotały promienie słońca, kiedy spojrzął na Stanleya. — Mam na myśli tych przyjaciół, którzy dowiedli swej lojalności ponad wszelką wątpliwość.

Wyjaśnienie było aż nadto jasne, nie stanowiło też nic nowego. Stanley zapytał:

— Ile potrzeba panu tym razem?

— Dziesięć tysięcy stanowiłoby pewną pomoc. Dwadzieścia byłoby idealnie.

— Załatwione.

Rozpromieniony Cameron opadł na pluszowe poduszki.

— Wiedziałem, że mogę na pana liczyć, Stanley. Jestem pewien, że na człowieka z taką inteligencją będzie czekało odpowiednie stanowisko.

W zapadającym zmierzchu Billy wiosłował w stronę Bloody Island. Brett siedziała na ławeczce zwrócona twarzą do niego, z parasolką opartą o ramię. Starał się nie patrzeć na dziewczynę, co przychodziło mu z coraz większym trudem, tak samo jak panowanie nad odruchową reakcją ciała, wywoływaną jej obecnością.

Raz po raz powtarzał sobie w duchu, że jej brat oczekuje od niego postawy godnej dżentelmena. Nie było to takie proste, zważywszy na te wszystkie miesiące samotności, które tu spędził, oraz zapierającą dech w piersi urodę jej twarzy i kształtnych piersi.

Przed dwoma dniami Brett i Orry przybyli po trwającej niemal tydzień podróży do St. Louis. Niemal od razu Brett opowiedziała o zajściu w Lehigh Station, zapewniając, że wszystkiemu winna była Virgilia. Wiadomość napeniła Billy'ego niesmakiem, nie zaskoczyła go jednak. On i siostra nigdy nie byli sobie bliscy i często myślał z niedowierzaniem o tym, że płynię w nich ta sama krew.

Jak dotąd Orry odgrywał rolę przyzwoitki młodych w sposób raczej niedbały. Ostatnio zostawił ich dwukrotnie sam na sam — za każdym razem na co najmniej godzinę — pozwalając na spacer po tym nieokrzesanym mieście. Dziś, tłumacząc się drobną niedyspozycją żołądkową, której źródłem była ryba zjedzona w południe, nie ruszał się z hotelu. Billy zaprosił więc Brett na przejażdżkę promem po Missisipi, po czym wynajął łódź wiosłową. Chciał pokazać jej wszystko, czym zajmował się całymi miesiącami.

Orry odnosi się wobec mnie uprzejmie i z szacunkiem — rozmyślał. Łódź cięła dziobem płytką wodę, kierując się w stronę podłużnej ławicy. — Czyżby to oznaczało, że zmienił wreszcie zdanie na temat ślubu Brett? — Billy miał nadzieję, że tak.

Dno łodzi zazgrzytało o żwir. Billy wyskoczył i stojąc po kostki w wodzie wyciągnął ręce.

— Skacz. Nie zamoczysz się. — Ale nie wyciągnął łodzi na brzeg tak daleko, jak powinien. Kiedy Brett wstała, łódź drgnęła i przesunęła się nieco do tyłu. — Poczekaj, chwyć za linę! — zawołał.

Za późno. Brett wyskoczyła na brzeg. Usiłował ją pochwycić, ale stracił równowagę. Upadli, płosząc tuziny drobnych, srebrzystych rybek.

— O, Boże! — krzyknęła wystraszona. Siedzieli przez chwilę w płytkiej na pięć cali wodzie, raptem wybuchnęli śmiechem.

Pomógł jej wstać. Stanik sukni przylegał teraz szczególnie do ciała, uwydatniając widoczne przez tkaninę czubki piersi. Otrzeptała z wody parasolkę i zachichotała.

- Ładnie wygląda twój mundur! Ale ze mną nie jest chyba wcale lepiej!

— No cóż — odparł, udając powagę — przynajmniej nie zapomnisz tej wizyty w St. Louis.

— Jak mogłabym zapomnieć, skoro spędzam ten czas z tobą?

Powiedziała to lekko, ale jej głos zdradzał, że myśli tak naprawdę. Przez moment patrzyli sobie w oczy, postąpił krok do przodu, objął Brett oburącz w pasie i przytulił do siebie. Jej słodkie, wilgotne wargi doprowadzały go niemal do szału. Teraz rozchyliły się i dziewczyna przylgnęła doń całym ciałem.

— Jak na panienkę z Południa nie przejmujesz się zbytnio konwenansami — szepnął po chwili. — Całujemy się tak w biały dzień...

— Nawet gdyby miał nas zobaczyć cały stan Illinois, cóż mnie to może obchodzić? Kocham cię, Billy. Nigdy nie pokocham nikogo innego... — Ponad jego ramieniem dostrzegła coś, co natychmiast zniweczyło urok tej romantycznej chwili. — Łódź!

Musiał wejść głębiej do wody, aby sprowadzić ją z powrotem. Tym razem wciągnął łódź dalej na brzeg i okręcił linę wokół masywnego skalnego występu. Otrzepał przemoczoną czapkę o spodnie i podszedł do Brett, był nawet zadowolony, że ów incydent oderwał jego uwagę od dziewczyny. Dzięki temu mógł opanować się trochę.

Kiedy ruszali w stronę drzew, ujął ją za rękę i natychmiast napięcie w pachwinie powróciło. Ten wymuszony celibat kosztował go zbyt wiele wysiłku. Zerknął na Brett, jej oczy zdawały się mówić dokładnie to samo.

Pokazał jej dwa rzędy pali w górnym końcu lesistej łąwy. Przestrzeń między rzędami, szeroka na jakieś czterdzieści stóp, wypełniono piachem i kamieniami, a zewnętrzną część grobli obsadzono krzewami.

Była to ciężka i brudna praca. Billy zajmował się nią przez całe lato: rozmieszczał łodzie, wbijał nowe pale, rozsypywał kamienie, odganiając owady i łagodząc sprzeczki pomiędzy wynajętymi do tych robót cywilami. Przeważnie pracował bez koszuli, kilkakrotnie spalił sobie plecy i nabawił się pęcherzy, teraz jednak jego skóra miała barwę ciemnego orzecha. Prace na rzece były wykonane, pokazywał je więc z dumą.

— Łód uszkodził groblę również od strony południowej i tam też musimy ją naprawić. Skończymy za dwa, może trzy tygodnie.

— A co potem?

— Otrzymam nowy przydział.

— Gdzie?

— Tam gdzie potrzebują oddziałów inżynieryjnych. Jeden

z robotników zapytał mnie, po co spędziłem cztery lata w West Point, skoro ładuję kamienie na łódź. I, na Boga, nie potrafiłem udzielić mu rozsądnej odpowiedzi. Ale to dobra, pożyteczna praca i nawet ją polubiłem. Jeśli będę musiał ładować kamienie w innym miejscu, nie mam nic przeciw temu.

Skinęła głowę. Przechadzali się ramię w ramię pomiędzy szumiącymi drzewami. Niebo przybrało barwę połyskliwego, ciemnego granatu — tak właśnie Billy wyobrażał sobie, że będzie wyglądało w październiku. Nad ich głowami przesuwały się z wolna nieliczne chmury, oblane przez promienie zachodzącego słońca płomienną, pomarańczową poświatą. Kontrast z kolorem nieba był uderzający; romantyczny, tak jak jego myśli.

— Nie obchodzi mnie, gdzie będę — mówił dalej. — Ważne jest tylko, abym przebywał blisko ciebie. — Przystanął, obrócił ją ku sobie i ujął za ręce. — Brett, chciałbym cię poślubić. Jak najszybciej.

— Ja również. Czasem wydaje mi się, że czekamy już od wieków. Czy wiesz, że mam już dwadzieścia jeden lat?

— O tym zapomniałem! W takim razie jesteś właściwie staruszką.

Uśmiechał się żartobliwie, ale ostatnio uświadomił sobie również własny wiek. Mając dwadzieścia cztery lata mężczyzna jest gotów wziąć na siebie obowiązki.

— Teraz mogę już zadbać o ciebie jak należy. Co miesiąc odkładałem połowę moich poborów, a więc... — Odchrząknął. — Co byś powiedziała na to, abym porozmawiał z Orrym, dopóki jesteście tu oboje?

— Och, tak, proszę.

Przytuliła się do niego.

— Chciałbym być pewny, że zwrócę się do niego w odpowiedniej chwili...

Uśmiechnęła się łagodnie.

— Zawsze jesteś taki ostrożny i troskliwy. Nie sądzę, aby kiedyś w przyszłości miał jeszcze nadejść lepszy, bardziej odpowiedni moment. Świat to teraz jeden wielki, wrzący kocioł...

— Ale ja nie jestem przekonany, czy Orry mnie lubi. A co będzie, jeśli z nim porozmawiam, a on nadal gniewa się na George'a?

— Z pewnością już mu przeszło. — Znowu przytuliła się do Billy'ego i szepnęła: — Oszaleję chyba, jeśli będziemy musieli odłożyć to na później.

— Ja też.

— W takim razie porozmawiaj z nim jutro. Albo nawet dziś!

— Dobrze. Uczynię to jak najprędzej, przyrzekam.

Jego głos brzmiał zdecydowanie i miał usunąć resztki wątpliwości. Czuł się jak generał, który wysyła do boju swoje oddziały.

Pocałowali się raz jeszcze. Nad Missisipi płynęły pomarańczowe chmury na niebie tak pięknym, że wydawało się niemożliwe, aby na świecie istniały jakiegokolwiek problemy.

Orry uznał St. Louis za miasto pełne życia i dynamiki, ale o złych manierach i napuszone. Było surowe jak nie pomalowane drewno, z którego zbudowano większość tutejszych domów. Tym bardziej on, wytworny przybysz z Karoliny Południowej, czuł się elegancki, kiedy z Billym przechadzał się wzdłuż brzegu.

Orry nosił wytworną laskę z drzewa orzechowego, którą kupił dopiero co na pamiątkę tej podróży. Wywijał nią kunsztownie po każdym kroku to przed, to znów za sobą. Minęli gromadę hałaśliwych, czarnoskórych sztauerów, ładujących na statek jakieś skrzynie. Kanałem przepływał olbrzymi parowiec, kierował się w stronę Des Moines; za jego kołem rufowym ciągnął się pas spienionej wody. Pasażerowie stali przy relingu i machali rękami. Orry odprowadził statek zachwyconym wzrokiem, zdążył się już zakochać w tych kolosach, które wydawały mu się eleganckimi, pływającymi pałacami.

Billy odchrząknął. Jego jasnoniebieskie spodnie wciąż nosiły ślady niezamierzonej kąpieli w rzece. Orry domyślał się, co teraz nastąpi, i żałował, że nie może uniknąć rozmowy.

— Orry, doceniam to, że byłeś skłonny mnie wysłuchać. Wysoki mężczyzna ponownie zakreślił laską i usiłował zażar tować:

— To nic nowego. Przez te wszystkie lata nieraz rozmawialiśmy ze sobą.

— Tak, sir, ale dzisiejsza rozmowa ma dla mnie olbrzymie znaczenie. Dotyczy Brett.

Orry spowaźniał, skinął głową.

— Tak przypuszczałem.

Wóz wypełniony belami bawełny zaturkotał obok nich. Kopyta mułów uderzały o bruk. Obaj mężczyźni szli w milczeniu ramię w ramię przez dziesięć sekund. Billy czasem wydawał się Orry'emu zbyt ostrożny, co stanowiło ironiczny kontrast z jego starszym bratem. Żałował, że ta rozmowa odbywa się właśnie teraz, chociaż jego gniew na George'a nie miał z tym wrażeniem nic wspólnego; właściwie czuł się współodpowiedzialny za wszystko, co wydarzyło się w Lehigh Station. W odpowiednim momencie zamierzał wysłać do George'a list, chciał, aby wszystko było jak dawniej.

Z kawiarni po lewej stronie ulicy doleciała go woń wybornej kawy, z pobliskiego saloonu donośne głosy i zapach trocin. Kątem oka dostrzegł zatroskaną twarz Billy'ego. Chcąc ułatwić mu sytuację, przemówił pierwszy:

- Chciałbyś uzyskać zgodę na poślubienie Brett.
Billy dosłownie eksplodował, z ulgą wykrzyknął:
— Tak! Teraz jestem już w stanie zadbać o nią. Nie zapewnię jej wprawdzie zbytku, ale też uchronię przed niedostatkiem, obiecuję. Wydaje mi się, że w wojsku czekają mnie wspaniałe perspektywy. Wkrótce wyjadę z St. Louis i...
- Czy wiesz już, dokąd cię teraz wyślą?
— Prosiłem o przeniesienie do jednego z fortów federalnych na Południu. Fort Pułaskiego w Savannah. Warownia Monroe'a. Idealnym miejscem byłoby Charleston. Słyszałem o planach renowacji umocnień obronnych portu.
— Cóż, Brett byłaby z pewnością szczęśliwa, gdybyś znalazł się bliżej Mont Royal.
— Sir, nie chcemy już dłużej czekać. Chcemy się pobrać.
Oświadczenie było bardziej niż tylko trochę obcesowe. Orry przystanął na środku zatłoczonego nadbrzeża i spojrzął na młodzieńca, marszcząc brwi.
— Potrafię to zrozumieć, Billy, ale obawiam się, że nie mogę wyrazić zgody.
W oczach Billy'ego pojawiła się uraza.
— Czemu? Czy sądzisz, że jestem dla niej zbyt ubogi?
— Uważam, że byłbyś dla niej wspaniałym mężem. Moja odmowa nie ma nic wspólnego z twoim charakterem.
— O cóż więc chodzi? Zmieniłeś zdanie co do wojska? Doszedłeś do przekonania, że to zła kariera?
— Nie. I jestem pewien, że zajdziesz wysoko. Przynajmniej tak byłoby w normalnych czasach. Niestety, czasy nie są normalne. Kraj wstrząsany jest poważnymi problemami, przyszłość, która nas czeka, jest niepewna, jeśli nie ponura. Odetchnął głęboko i wreszcie wyrzucił z siebie to, co naprawdę miał na myśli. A zwłaszcza przyszłość dwojga młodych, pochodzących z dwóch różnych regionów.
— Chcesz powiedzieć, że skoro ja jestem z Pensylwanii, a Brett z Południa, nie stworzymy zgodnego związku? Spokojnie, ale stanowczo dodał: — Nie sądz nas wedle tego, co zdarzyło się między tobą a Georgem.
Orry zdołał zachować zimną krew i zapytał normalnym tonem:
— Brett opowiedziała ci już?
— Owszem.
— Cóż, nie będę twierdził, że moja decyzja nie łączy się w ogóle z tamtą sprzeczką, ale w każdym razie nie tak dalece, jak może myślisz. Twój brat i ja nie zerwaliśmy stosunków na zawsze. Jest nadal moim najlepszym przyjacielem. A przynajmniej mam taką nadzieję. Ale jeden fakt nie ulega kwestii: George i ja posprzeczailiśmy się na temat spraw, których nie

sposób dziś ignorować. Te same sprawy mogą położyć się ciężkim brzemieniem na tobie i mojej siostrze. Przypuśćmy, że ta zwariowana gadanina o secesji doprowadzi w końcu do konkretnych aktów wrogości. Jakie byłyby skutki tego dla armii? A przede wszystkim dla oficera, który z jednej strony chciałby pozostać lojalny wobec rządu, a z drugiej wobec swojej żony z Południa?

— Odnoszę wrażenie, że robisz, co tylko możesz, aby znaleźć przeszkody. — *Głos Biltyego zabrzmiał ostro.*

Podobnym tonem odparł Orry:

— Tłumaczę ci właśnie, dlaczego moja odpowiedź brzmi: nie.

— Czy twoja odmowa ma charakter przejściowy czy też stały?

— Przejściowy. Uwierz mi, byłbym szczęśliwy, gdyby Brett poślubiła Hararda. Ale to niemożliwe, dopóki przyszłość nie rozjaśni się choć trochę.

Billy zatopił w nim wzrok.

— A co by było, gdybyśmy postanowili pobrać się bez twego błogosławieństwa?

Twarz Orry'ego stężała.

— Nie sądzę, aby Brett mogła postąpić w ten sposób. Oczywiście masz prawo ją o to zapytać.

— Tak, sif. — Billy skinął głową. — I chyba tak właśnie uczynię. Czy mogę teraz przeprosić? Muszę jeszcze omówić parę spraw z moim kancelistą.

Orry spoglądał ze smutkiem za młodzieńcem, który oddalał się wyprostowany, sztywnym krokiem.

Tego wieczoru w hotelowym apartamencie Brett powiedziała:

— Byłam rozczarowana odpowiedzią, której udzieliłeś Billy'emu.

— A kiedy się z nim widziałeś?

— Niedawno, kiedy zeszałam na dół. Jest przekonany, że go nie lubisz.

Uderzył pięścią w poręcz fotela.

— To nieprawda. Najwidoczniej nie* zdołałem wytłumaczyć mu tego wystarczająco jasno. Po prostu chciałbym sobie wszystko przemyśleć. Jak zapewne wiesz, ludzie w tym kraju opowiadają się teras, po czyjej są stronie. Twoje i jego pochodzenie z pewnością postawi was naprzeciw siebie. Nie chciałbym, ahyś wplątała się w małżeństwo, które mogłoby zostać wystawione na tak ciężką próbę.

— A mnie się wydaje, że to byłby mój ślub. — Tupnęła nogą. — Że to ja powinnam podjąć decyzję.

— Nie mów jak Ashton — odparował gniewnie. Podszedł do okna, po chwili odwrócił się. — Jeśli zamierzasz sprzeciwić się mojej decyzji, powiedz to wprost.

— Oświadczyłam już Billy'emu, że nie mogłabym tego zrobić. Przynajmniej, dopóki istnieje jakaś szansa, że zmienisz zdanie.

Groźba nie była ostra, ale wyraźna. Jej zdecydowanie napętniło go raptem melancholią; może dlatego że tak łatwo zapominał, iż jest już dorosła, przynajmniej na tyle, by kierować własnym losem, i że trzeba było takiego incydentu jak ten, aby uświadomić mu, że jego opieka nad siostrą nie jest już potrzebna ani pożądana. Że czas biegnie szybko, niosąc nieuchronne zmiany.

Za oknem ujrzał kolejny parowiec, płynący po Missisipi na południe. Z kominów były w górę iskry, które odznaczały się ostro na tle ciemnego nieba, ale niemal natychmiast gasły. Tak jak ambicje mężczyzny. Jak jego marzenia.

Nie chciał odbierać innym szczęścia tylko dlatego, że sam go nie zaznał; sumienie nie dałoby mu spokoju. Taka postawa byłaby egoistyczna, godna potępienia. Rozmyślania zachwiały nieco jego postanowieniem, zbudziły pragnienie zawarcia pokoju. Z nią i z Billym.

Podszedł do Brett i ujął ją za rękę.

— Lubię Billy'ego. Wiem, że byłby dla ciebie dobrym mężem. Ale małżeństwo to zobowiązanie na całe życie. Powinnaś więc być całkowicie pewna swych uczuć.

Ach, jakże dumna byłaby teraz z ciebie Madeline — odezwał się raptem w zakamarkach jego duszy jakiś uszczypliwy głos.

— Ależ Orry, ja jestem ich pewna! Znam Billy'ego od lat! I przez te wszystkie lata czekałam na niego!

— Czy byłoby to tak bolesne, poczekać jeszcze trochę?

W salonie robiło się coraz ciemniej. Nie widzieli się już dobrze. Brett westchnęła lekko, jakby znudzona.

— Och, może nie.

Odnosił sukces. Ale nie było to zwycięstwo. Zaledwie odroczenie.

Ta noc była jeszcze cięższa dla Billy'ego niż dla Brett. Sen nie chciał jakoś nadejść, dręczyły go przygnębiające myśli o odmowie, o animozjach regionalnych i możliwości wybuchu wojny, a nawet wspomnienia niezbyt zrozumiałych ostrzeżeń George'a. Ostrzeżenia te dotyczyły jakiegoś pomyłonego oficera armii, który nienawidził wszystkich Hazardów, Bóg jeden wiedział czemu. Brat sugerował nawet, że ów oficer może stanowić konkretne niebezpieczeństwo dla niego.

Wszystko to furda; i tak nie miał czasu ani zamiaru myśleć o czymś takim poważnie. Co najwyżej mógł przypomnieć sobie ostrzeżenie w szczególnych chwilach, a zwłaszcza w tak pośpynych, jak obecna. Nie, nie w takich,, kiedy martwił się i marzył o Brett.

Trzy dni później, w czwartek, Billy odprowadził gości do pociągu jadącego na wschód.

Po ostatniej rozmowie, przypominającej raczej sprzeczkę, Orry miał niewiele do powiedzenia młodemu oficerowi. Teraz, stojąc obok wagonu, zrozumiał, że ma ostatnią sposobność wyjścia poza chłodne, zdawkowe uprzejmości i sprawienia Billy'emu przyjemności.

Ujął młodzieńca za rękę i uścisnął ją mocno, aby przełamać lody, nieoczekiwanie uśmiechnął się.

— Wydaje mi się, że ty i Brett znieślibyście razem niejedną burzę. Daj mi jeszcze miesiąc, abym przemyślał sobie wszystko, co?

— Chcesz powiedzieć, że możemy...

Orry przerwał mu gestem.

— Zadnych obietnic, Billy. Ja nie zamknąłem za sobą drzwi; bardzo mi przykro, jeśli tak to rozumiałeś. Podobnie jak ty, również ja jestem zawsze bardzo ostrożny. Zapytaj brata, jeśli mi nie wierzysz.

— Dziękuję, sir. — Rozpromieniony Billy uścisnął dłoń Orry'ego. Potem Brett ucałowała brata.

Orry zostawił młodych na chwilę samych; szeptali coś do siebie, stykając się niemal głowami. Miał mieszane uczucia. Wprawdzie uspokoił sumienie, ale w chwili kiedy wsiadał do pociągu, nie myślał zbyt optymistycznie o przyszłości.

52

Obudziły go krzyki, krzyki kobiety, głośne i przenikliwe. Orry przetarł oczy. Pociąg stał. Ludzie biegali w przejściu między siedzeniami tam i z powrotem, jakiś wysoki mężczyzna uderzył głową w nisko wiszącą lampę naftową, która zakolysała się gwałtownie, rzucając na ściany powykrzywiane cienie.

Rozbudzona Brett siedziała na swoim miejscu. Orry wstał, usiłując odkryć przyczynę zamieszania. Kobieta na zewnątrz nie przestawała krzyczeć. Jakiś uprzejmy męski głos próbował

ją uspokoić. Z przejścia pomiędzy wagonami konduktor krzychał:

— Oni chcą, żeby wszyscy wysiedli. Nie wiem, co się dzieje, ale na pewno nikomu nie stanie się nic złego. Proszę się pośpieszyć. I uważać na stopnie.

Przeciskał się przez tłum, który napierał na niego. Przynaglił Orry'ego, Brett oraz kilku innych:

— Proszę się pośpieszyć! Wszyscy muszą wysiąść z wagonów!

Orry, który nie doszedł jeszcze całkowicie do siebie, zastanawiał się, czy ten rozgardiasz jest konieczny. Z pewnością chodzi tylko o jakiś mało znaczący wypadek. Z kieszonki kamizelki wyciągnął spokojnie srebrny zegarek i otworzył kopertę. Brett podeszła do okna i podniosła story.

Zegarek wskazywał dwunastą trzydzieści. A więc zaczął się już poniedziałek. Poniedziałek, 17 października. Poprzedniego dnia, skoro świt, opuścili Wheeling tym właśnie ekspresem linii „B and O” jadącym do Baltimore, gdzie Orry miał zakupić dla Coopera części do wyposażenia stoczni wartości kilku tysięcy dolarów. W kufirze miał długą listę potrzebnych artykułów.

Brett zbliżyła twarz do szyby i osłoniła dłonią oczy. Raptem przerażona odskoczyła do tyłu.

— Widziałam, jak ktoś przechodził obok wagonu. Miał strzelbę.

— Niemożliwe.

Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Nieco dalej dostrzegł blask jakichś lamp. Odetchnął z ulgą: a więc oznaki cywilizacji. Raptem poczuł na ramieniu czyjaś ręka.

Obrócił się na pięcie, gotów do zadania ciosu, ale był to tylko konduktor.

— Sir, bardzo proszę o opuszczenie wagonu. — Mężczyzna najwyraźniej był przerażony, mówił błagalnym tonem: Jestem przedstawicielem tej linii kolejowej. Nazywam się Phelps i jestem odpowiedzialny za pasażerów. Bardzo proszę o stosowanie się do moich poleceń, dopóki nie otrzymamy zezwolenia na dalszą jazdę.

— Zezwolenia? Od kogo? Orry doszedł już do siebie, jego głos stał się ostry.

— Od tych uzbrojonych ludzi na zewnątrz. Opanowali stację. Mówią też, że zajęli arsenał federalny i zakłady zbrojeniowe Halla. Wydali mi się gotowi na wszystko.

Dobiegł ich huk wystrzału. Brett wydała cichy okrzyk przerażenia i rozejrzała się po wagonie.

— Wszyscy już wysiedli. Lepiej zróbmy to, o co prosi ten dzentelmen.

Orry poczuł, że zaschło mu w gardle. Ogarnęło go napięcie, instynktownie natężył uwagę, tak jak to robił w Meksyku.

Przeszedł za Phelpssem na przód wagonu i tom dopiero przyszło mu do głowy, aby zapytać:

— Gdzie jesteśmy?

— W Harper's Ferry. Ostatnia stacja w Wirginii przed rzeką na granicy z Maryland.

To wszystko było niedorzeczne. Zupełnie jak w tanim melodramacie, tyle że z niewiadomych przyczyn przeniesione w sam środek nocy. A jednak strach istniał naprawdę. Brett ścisnęła go za rękę, kiedy podążał za Phelpssem na zimne, wilgotne powietrze.

Zszedł po żelaznych stopniach i teraz dojrzał nieco więcej. Z dachu nad peronem zwisały lampy, których światło wydobywało z mroku postaci pięciu uzbrojonych mężczyzn: czterech białych i jednego czarnego. Z prawej strony ujrzał jeszcze kilku z rewolwerami i strzelbami. Spędzali pasażerów jak stado bydła do niewielkiego, szarego domu przy torach.

Po lewej stronie, tuż obok pustego wozu, leżał na wznak jakiś człowiek.

Zapewne bagażowy — pomyślał Orry.

Ubranie mężczyzny pokrywały plamy krwi. Orry pomógł siostrze zejść na ziemię, potem stanął przed nią.

Phelps zwrócił się do uzbrojonych mężczyzn:

— Żądam, aby panowie wyjaśnili, kiedy pociąg będzie mógł wyruszyć w dalszą drogę.

Słowa konduktora były ostrzejsze, niż ton jego głosu, który załamywał się lekko. Czarnoskóry wziął strzelbę pod pachę, zbliżył się do Phelpsa i uderzył go w twarz.

— Nie masz czego żądać, mój panie!

Konduktor potarł policzek.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, jaka kara grozi za wstrzymanie poczty Stanów Zjednoczonych? Jeśli zatelegrafujemy do Baltimore i powiadomimy o tym skandalu...

Jeden z białych przerwał mu:

— Wszystkie połączenia na wschód i zachód zostały przerwane. Niech pan pogasi lampy w wagonach, a potem dołączy do reszty. Ma pan do wyboru stację albo hotel niedaleko stąd. — Hotel mieścił się najwidoczniej w małym domku nie opodal.

— Co tu się, u diabła, dzieje? — zapytał Orry. Mężczyzna ze strzelbą spojrzął na niego ostro.

— Południowiec, co? Niech pan lepiej trzyma język za zębami, bo wypuszczę na pana naszych czarnych chłopców. Na pewno nie mieliby nic przeciw temu, aby natrzeć panu uszu!

Orry objął siostrę ramieniem i poprowadził w stronę hotelu. Nad drzwiami wisiał szyld z napisem „Wager House”.

Brett miała napiętą twarz, jej oczy zdawały się większe niż zazwyczaj.

— Co oni robią, Orry? Czy to napad rabunkowy?

— Zapewne tak. — Inne wyjaśnienie nie przyszło mu do głowy.

Przed hotelem stał na straży młody człowiek ze strzelbą. Wewnątrz szlochała kobieta, zdenerwowany, męski, ostry głos napominał ją, aby rozluźniła gorset i przestała płakać. Na progu Brett potknęła się. Wartownik, obawiając się widocznie ataku, popchnął ją. Zatoczyła się na okienną niszę, a Orry zaklął i skoczył ku młodzieńcowi, który cofnął się i uniósł strzelbę.

— Jeszcze krok, a nie ujrzy pan już nigdy Baltimore.

— Orry zatrzymał się, nie rozluźnił jednak pięści.

— Odłóż broń, o1iver. Nie chcemy sprzeczki z tymi ludźmi.

Głęboki, dźwięczny głos należał do wysokiego mężczyzny w średnim wieku, który wyłonił się z ciemności od strony peronu. Miał na sobie farmerską koszulę i stare, sztruksowe spodnie, wpuszczone w zabłocone buty. Siwa broda była przyszczyżona na długość około jednego cala. Surowa twarz wydawała się Orry'emu znajoma, ale nie potrafił przypomnieć sobie, skąd.

Młodzieniec nadal trzymał strzelbę gotową do strzału.

— o1iver! — powtórzył brodaty mężczyzna.

— Już dobrze, ojcze. — Opuścił broń. Kolba uderzyła lekko o peron.

Orry skierował wzrok na brodacza.

— Czy to pan dowodzi tymi zbójami?

Z wyszukaną uprzejmością mężczyzna odparł:

— Radziłbym zważać na język, sir. Ma pan przed sobą głównodowodzącego z ramienia Tymczasowego Rządu Stanów Zjednoczonych. Nazywam się Brown.

Oczywiście, Brown z Osawatomie! Teraz Orry przypomniał sobie. Widział tę twarz wielokrotnie w tygodnikach ilustrowanych, ale nie z tak krótką brodą. Czyżby Brown przyszczyżył ją, mając nadzieję, że w ten sposób utrudni swoim przeciwnikom identyfikację?

Niebieskie oczy Browna były zimne jak lód.

— Mój syn nie chciał wyrządzić krzywdy tej młodej damie, po prostu był przekonany, że działa w obronie własnej. W przedsięwzięciu na taką skalę nieraz zawodzą nerwy, to jasne.

— Przedsięwzięcie? — parsknął Orry. — To cholernie zabawne określenie jak na rozbój.

— Obraża mnie pan, sir. Nie jesteśmy rabusiami. Przybyłem tu z Kansas, aby przynieść wolność wszystkim czarnym w tym stanie.

Mówił spokojnie, ale Orry domyślił się po jego płomiennym spojrzeniu, że ma przed sobą szaleńca. Przypomniał sobie Vigrilię. Czy to był ten jej rewolucyjny mesjasz?

— Zamierza pan wzniecić bunt? — zapytał.

— Tak. Zawładnąłem już arsenałem Stanów Zjednoczonych. Przez tę stację nie przepuszczę już żadnego pociągu. Proszę wejść do środka i zachowywać spokój, dopóki nie zadecyduje, co dalej. Jeśli natrafię na opór, spalę miasto i przeleję mnóstwo krwi. Czy wyraziłem się jasno?

Z ponurą miną Orry kiwnął głową, podał siostrze ramię i wprowadził ją do małego przedsionka, gdzie usiadła na sofie.

Jakiś mały chłopiec rozplakał się, jego matka wzięła go na kolana. Obok siedziała kobieta, raz po raz pociągała nosem, a mąż głaskał ją po rękach, starając się ją uspokoić. Orry naliczył osiemnastu pasażerów z pociągu. Część siedziała, część stała w ciasnym pomieszczeniu.

Naprzeciw drzwi wejściowych znajdowały się drugie, wychodzące na ulicę. Były uchylone, dostrzegł jeszcze jednego napastnika; z dużym koltem w dłoni przechadzał się tam i z powrotem. Orry zauważył, że ma na sobie farmerskie buty i znoszone, o kilka cali za krótkie spodnie.

Orry usiadł obok Brett. Potarł dłonią kolano. Wszystko wskazywało na to, że John Brown zgromadził pod swymi rozkazami niewolników lub też dawnych niewolników. Orry poczuł, że odżywają w nim obawy, dręczące go, gdy był dzieckiem.

Po chwili Phelps wsadził do środka głowę i powiedział:

— Próbuję ułożyć się z kapitanem Brownem i uzyskać uwolnienie pociągu i poczty. Proszę zachować cierpliwość i spokój. — Zamknął za sobą drzwi i zniknął.

Za kontuarem głośno tykał zegar z miedzianym wahadłem. Dziecko nie przestawało płakać. Orry ziewnął. Raptem przypomniały mu się oczy Johna Browna i po raz pierwszy uwierzył w słowa senatora Sewarda o nieodpartym konflikcie.

Wzdrygnął się, kiedy Brett szepnęła:

— Orry, ten człowiek patrzy na nas cały czas.

— Jaki człowiek?

— Wartownik przed drzwiami.

— Syn Browna?

— Nie, ten drugi. Czarny. O, znowu.

Orry podniósł wzrok. Tak jakby mało było jednego nieszczęścia, oto szykowało się drugie!

Za drzwiami mignęła ciemna twarz; ładna, ale naznaczona przez troski i głód. Orry widywał tę twarz w sąsiedztwie, nad Ashley, i z pewnością rozpoznałby ją wszędzie.

— Grady! — szepnął. Spiesznie zbliżył się do drzwi, wyszedł na zewnątrz i zamknął je za sobą.

Grady cofnął się nieco. Na pobliskich wzgórzach majaczyły niewyraźnie światła domostw, ale miasteczko było słabo widoczne.

— Grady, nie pamiętasz mnie?
— Pewnie, że pamiętam, panie Main. — Odwiódł kurek kolta.
— Niech pan lepiej stoi w miejscu. Kapitan Brown kazał strzelać, jeśli ktoś będzie sprawiać kłopoty. — Powiedział to tonem, jakby miał nadzieję, że do tego dojdzie.

— Ilu was jest? — Oddech Orry'ego zmieniał się na chłodzie w obłóczki pary.

— Osiemnastu — odparł szybko Grady. — Trzynastu białych, reszta to czarni.

— Jak, na Boga, zdołaliście uknuć taki plan?

— To kapitan Brown. Myślał nad tym od dawna. Jakiś czas mieszkaliśmy za rzeką, w wynajętym domu na farmie. Tam gromadziliśmy żywność i broń, którą ślali nam z Chambersburga.

Kolejny szok! Virgilia powiedziała wtedy, że jedzie do Chambersburga!

— Czy twoja... — Słowo „żona” nie chciało mu jakoś przejść przez gardło. — Czy siostra pana George'a Hazarda jest tu z tobą?

— Tak, na farmie, razem z innymi kobietami.

— Wielki Boże! — szepnął Orry.

— Niech pan wejdzie do środka, panie Main. Niech pan siada i nie prowokuje nas, a kapitan może niedługo pozwoli, żeby pociąg ruszył dalej. Teraz, kiedy mamy strzelby i amunicję z arsenału, będziemy mogli uczcić nasz triumf. Jeśli ktoś stanie przeciw nam, poleje się krew.

— Nie możecie wygrać, Grady. To wasza krew się poleje!

Duma Grady'ego znalazła ujście w ataku gniewu. Wyciągnął na całą długość prawą rękę; drżała silnie, trudno jednak było powiedzieć, czy z podniecenia, czy też ze strachu.

Wylot lufy kolta dygotał o cal od nosa Orry'ego, który stał bez ruchu, sparaliżowany strachem. Upłynęło pięć sekund... jeszcze pięć...

Drzwi hotelu otworzyły się raptownie.

— Orry?

Grady opuścił broń, na jego twarzy widoczny był wstręt do samego siebie.

— Niech pan tam wejdzie! Pchnął Orry'ego w stronę Brett, a potem zatrzasnął za nim drzwi jednym silnym kopniakiem.

W przedsionku panowała cisza. Pasażerowie drzemali albo wpatrywali się przed siebie. Mijały godziny, emocje opadły. Od dłuższego czasu nikt nie płakał ani nawet nie rozmawiał.

Brett spała z głową wspartą o ramię brata, a Orry patrzył na miedziane wahadło, poruszające się rytmicznie tam i z powrotem. Nagle wydało mu się, że wahadło zwolniło. Przetarł oczy. Znużenie i napięcie zaczynały dawać o sobie znać.

Do hotelu wszedł konduktor Phelps, wyglądał na wycieńczonego.

— Proszę wsiadać do pociągu. Zgodzili się, żebyśmy pojechali dalej. — Wyszeptał nowinę, jak gdyby obawiał się, że jeśli powie to głośniejsze, Brown zmieni zdanie.

Wszyscy odetchnęli z ulgą i ruszyli do wyjścia. Orry zbudził Brett i wyprowadził ją na zewnątrz. Minęli czterech uzbrojonych strażników i weszli po schodkach do ciemnego wagonu. Nim upłynęło kilka minut, pociąg szarpnął i przejechał powoli przez kryty most nad Shenandoah.

Phelps przeszedł na sam przód, aż na zderzak parowozu, sprawdzając, czy nie ma jakiegoś uszkodzenia. Wagony wynurzały się jeden za drugim z cienia rzucanego przez most. Orry siedział z czołem przylepionym do szyby, popatrując na wierzchołki wzgórz oblane blaskiem słońca. Phelps poczekał, aż zrówna się z nim ostatni wagon, po czym wskoczył na schodki.

Pomiędzy siedzeniami jakiś mężczyzna tańczył wokół swej szlochającej żony. Phelps przeszedł dalej. Jedna z pasażerek podbiegła do niego, ściskając w dłoni skrawek papieru.

— Wyrzucę to przez okno. Musimy ostrzec innych, poinformować o tym, co się stało.

— Ale przecież w Baltimore będziemy już za...

Kobieta nie zwracała nań najmniejszej uwagi. Kiedy zniknęła w końcu wagonu, Phelps ściągnął czapkę i podrapał się po głowie.

Orry poczuł przemożne zmęczenie. Po raz pierwszy doszedł do przekonania, że Jankesów pokroju Johna Browna można pokonać jedynie zbrojną siłą. Gdyby nawet przyznać, że należy wreszcie skończyć z niewolnictwem — a w swoich najskrytszych myślach przyznawał to ostatnio coraz częściej — nawet wtedy należało odrzucić drogę gwałtownej rewolucji. Takie rozwiązanie trzeba zastąpić innym.

O tym wszystkim rozmyślał patrząc na przelatujące za oknem kartki papieru — wieści wyrzucane z wagonu przez ocalałych tej nocy pasażerów.

Wieści o zdarzeniu w Harper's Ferry przeznaczone dla całego świata.

Trzy dni później Orry kupił w hotelu w Baltimore gazetę. W holu, restauracjach i na ulicach ludzie rozprawiali jedynie o napadzie; tylko dwóch buntowników nie odniosło żadnej rany. Ludzie Browna zabili czterech mężczyzn z miasta. Jednym z nich był czarnoskóry tragarz, którego Orry widział na peronie. Przez jakiś czas napastnicy przetrzymywali jako zakładnika bratanka prezydenta Waszyngtona.

W końcu buntownicy zostali pokonani przez specjalnie wysłany w tym celu ze stolicy oddział piechoty morskiej. Dowódcą oddziału był Lee, towarzyszył mu dawny przyjaciel Charlesa, Stuart. Brown został ranny, gdy bronił się w parowozowni, gdzie został ujęty. Obecnie przebywał w więzieniu w Charles Town, w Wirginii.

Orry wziął gazetę na górę, do pokoju.

— Zamięścili tu listę ludzi Browna, którzy zginęli — powie dział do Brett. — Jeden z nich to Murzyn, Grady Garrison.

— Garrison? — powtórzyła.

Wzruszył ramionami.

— Zapewne przejął to nazwisko po tamtym wichrzycielu z Bostonu.

Twarz Brett była niemal tak smutna, jak jego.

— Czy wspomnieli coś o Virgiliu?

— Nie, ani słowa. Przypuszcza się, że konspiratorzy, którzy nie brali bezpośredniego udziału w napadzie, uciekli, gdy tylko rozpoczęła się strzelanina. Farma nie jest tak bardzo oddalona od Harper's Ferry, żeby nie było słycać strzałów.

— Muszę powiedzieć, że chociaż nie cierpię Virgilia, mam nadzieję, że zdołała zbiec.

— Ja też. Ze względu na George'a.

Stało się teraz jasne, że napad budzący taką groźbę wówczas, gdy Orry znajdował się w samym centrum wydarzeń był wybuchem emocji, skazanym z góry na niepowodzenie, gdyż zorganizowała go garstka szaleńców, a wykonali wykołajeńcy. Ale mimo to wywołał szok, napad odbił się echem w całym kraju, a wieść o nim wyszła nawet poza jego granice.

Jeśli Północ i Południe nie zdecydowały się jeszcze na definitywny rozłam, uczynią to z pewnością teraz pomyślał Orry.

Następne dni potwierdziły te przypuszczenia. Nawet spływający krwią stan Kansas nie zdołał podzielić narodu do tego stopnia. Pod koniec października Brown stanął przed sądem oskarżony o podżeganie do buntu niewolników i zdradę stanu Wirginia.

Wpływowi Jankesi wychwalali go i wypowiadali się w jego obronie. Emerson nazwał go nowym świętym. Typowa dla Południa była natomiast reakcja Huntoona. Nazwał Browna fanatycznym zabójcą, którego działalność „potwierdza najgorsze obawy naszej ojczyzny”. Ten pogląd podzielał również, aczkolwiek niechętnie, Orry. Zorganizowany przez Browna napad nie skłonił go wprawdzie do przejścia na stronę ekstremistów, sprawił jednak, że Orry poczuł się im nieco bliższy niż dawniej.

Obawa przed kolejnymi buntami rozprzestrzeniła się jak

zaraza. Nad Ashley plantatorzy i ich żony nie mówili niemal o niczym innym. Bracia LaMotte utworzyli podobną do milicji stanowej organizację składającą się z ludzi ich pokroju, zwaną „Gwardią znad Ashley”. Jej honorowym kapitanem obrany został Huntoon.

George napisał do Orry'ego list, przeprasząc go za swoje zachowanie w Lehigh Station. Nie wspominał nawet słowem o Virgilli ani o jej obecności na farmie w Maryland, wyraził natomiast ubolewanie, że niektórzy Południowcy winą za napad Browna obarczali tak zwanych czarnych republikanów. Jego zdaniem Brown postąpił niewłaściwie, ale opinia ta nie dotyczy motywów jego działania. Pragnienie obdarzenia wszystkich niewolników wolnością było, jak napisał George, zamiarem chwalebny.

— Chwalebny! — Orry zmiął kartkę i cisnął ją w kąt pokoju.

Nocą 1 grudnia 1859 roku na całej Północy, od Maine aż po Wisconsin, rozkołysały się dzwony kościelne: oplakiwano Johna Browna. Następnego dnia kapitan Brown stanął na szafocie i spojrzał spokojnie na czyste, zimowe niebo, podczas gdy kat zakładał mu pętlę na szyję.

Tego wieczoru Cooper spożywał obiad w Mont Royal i w trakcie rozmowy wyraził żal z powodu przebiegu wydarzeń.

— Nie powinni go byli wieszać. Dopóki żył, uważano go za biednego szaleńca. Teraz zrobiono z niego świętego męczennika.

Kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia Orry otrzymał kolejny list od George'a, potwierdzający tę opinię. List kończył się słowami:

Ludzie nie przestają rozprawiać o napadzie. Czy wiesz, że również Grady wziął w nim udział i zginął w Harper 's Ferry ? Dowiedziałem się, że na farmie przebywała przez jakiś czas Virgilia, nie wiem jednak, czy to prawda. Moja siostra zniknęła; od czasu naszej sprzeczki — za którą jeszcze raz chciałbym cię jak najserdeczniej przeprosić — nie widziałem jej ani nie miałem o niej żadnych wieści. Drogi przyjacielu, czy nie przerwiesz swego milczenia, czy nie napiszesz mi, że wybaczyłeś?

Orry, jakkolwiek niechętnie, uczynił to. Pół godziny później podarł swój list.

Wydarzenia w Harper's Ferry zaprzętały obsesyjnie wszystkie jego myśli, one też sprawiły, że w końcu grudnia podjął decyzję dotyczącą Brett.

Clarissa zachwyciła się choinką przystrojoną świeczkami i dlatego Orry polecił znieść na dół jej stolik do rysowania i ustawić go w kącie niedaleko drzewka. Teraz siedziała przy nim, to wpatrując się przez pięć, dziesięć minut w płomyk świecy, to znowu mruczając coś do siebie pogodnie i dorysowując kolejne gałęzie najnowszej wersji drzewa genealogicznego.

Jej włosy były śnieżnobiałe, a uśmiech tak niewinny, jak małego dziecka. Orry zazdrościł jej czasem, że potrafi uciec od rzeczywistości. Ostatnio niemal nic mu się nie podobało. Nie cierpiał zwłaszcza ciężającej na nim odpowiedzialności.

Brett weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Pokojówka powiedziała, że chciałeś ze mną porozmawiać.

Kiwnął głową, stał przed kominkiem na szeroko rozstawionych nogach. Brett zmarszczyła brwi. Wyczuła napięcie i usiłowała rozładować je żartem.

Wiesz, do twarzy ci z tą siwiejącą brodą. Za rok albo dwa będziesz mógł wystąpić jako święty Mikołaj.

Nie uśmiechnął się nawet.

— Teraz gram inną rolę: twojego opiekuna. Pomyślałem sobie, że powinniśmy porozmawiać o tobie i Billym.

— Jego list był najwspanialszym prezentem, jaki mogłam sobie wymarzyć. Billy poinformował ją w liście, że nadarza się świetna okazja: prawdopodobnie zostanie przydzielony do oddziału wojsk inżynieryjnych, który ma niebawem rozpocząć restaurację Fortu Moultrie na wyspie Sullivana, w pobliżu wejścia do portu Charleston.

Spojrzała na brata przenikliwie.

— Mam nadzieję, że uczynisz te święta jeszcze wspanialszy mi niż są i dasz mi prezent, na którym zależy mi najbardziej.

Nie mogę ci pozwolić, abyś za niego wyszła. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Powiedział to tak otwarcie, że omal nie wybuchnęła płaczem.

Opanowała się jednak natychmiast, takie zachowanie nie było godne damy. Siedząca w kącie Clarissa nuciła: „Cichą noc”. Bądź tak dobry i wymień mi powody tej decyzji. Ironiczny ton siostry wytrącił go z równowagi.

Są te same, co przedtem. Weszliśmy na drogę konfliktu z Jankesami. Są jeszcze wprawdzie ludzie rozsądni, którzy mówią o potrzebie kompromisu, ale kończy się na słowach. I jeśli jest ktoś odpowiedzialny za to, że Południe spychane jest coraz silniej na drogę secesji i utworzenia niezależnego rządu...

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że i ty tego pragniesz?

— Nie. Twierdzę tylko, że to nadchodzi. Pozwól mi dokończyć. Jeśli ktoś zachęcił Południe do oderwania się od Unii, to z pewnością John Brown. Moje zdanie podzielają również ludzie z drugiej strony. W ubiegłą sobotę ukazał się w „Mercury” artykuł profesora Longfellowa, który wypowiedział się na temat problemu karania strykiem, czemu jest oczywiście przeciwny. Czy wiesz, co powiedział ten wielki poeta i humanista? „To tak, jakby ktoś siał wiatr, aby zebrać burzę, i tak się też niebawem stanie.” — Orry uniósł palec gestem kaznodziei. — Niebawem. To jego słowo.

— Orry, dlaczego nie możesz tego zrozumieć? Billy i ja wiemy bardzo dobrze, jak wygląda dziś sytuacja w naszym kraju. Ale to nie ma znaczenia. My się kochamy. Potrafimy znieść nawet najgorsze.

— Tak ci się wydaje. Ja natomiast jestem przekonany, że presja, której byłoby poddane wasze małżeństwo, mogłaby was zniszczyć.

W rzeczywistości był nie tylko pod wrażeniem napadu na pociąg i jego skutków, ale również nieszczęśliwego małżeństwa Madeline i straszliwej ceny, jaką jego ukochana musiała płacić. Wierzył święcie, że jego siostra może być równie nieszczęśliwa, jakkolwiek z zupełnie innych powodów. Postanowił zakończyć dyskusję.

— Bardzo mi przykro, Brett, ale nie mogę pozwolić, abyś wyszła teraz za Billy’ego. Przekaż mu, proszę, moje wyrazy ubolewania.

— Tego nie uczynię — odparła cicho.

Spojrzał na nią zdumiony.

— Mogłabyś mi wytłumaczyć, co znaczą te słowa? To bardzo proste. Jeśli nie pobłogosławisz naszego małżeństwa, poślubię Billy’ego i tak.

Jego głos przybrał szorstkie brzmienie.

— A więc aprobata ze strony rodziny nie ma już dla ciebie znaczenia?

— Oczywiście, że ma. Wolałabym, abyś wyraził zgodę, bardzo bym tego chciała. Ale jeśli spokój w rodzinie ma oznaczać, że nie mogę mieć Billy’ego, to mam taki spokój w nosie.

— Uważaj na to, co mówisz! Nie możesz wygłaszać podobnych oświadczeń... gadać o tym, na co masz ochotę, a na co nie. Jesteś jeszcze panienką. I to w dodatku niemądrą!

Podniesiony głos Orry’ego sprawił, że Clarissa zmarszczyła lekko brwi i przeniosła na niego wzrok. Przez chwilę spoglądała na tego brodatego mężczyznę i młodą kobietę, stojących naprzeciw siebie, jednak potrząsnęła głową, nie mogąc ich rozpoznać.

Głos Brett drżał, kiedy szepnęła:

— Lepiej być niemądrym niż takim, jakim ty jesteś od pewnego czasu.

— Co masz na myśli?

— To, że nie nadajesz się do tego, aby mówić innym, jak się mają zachować. Nigdy się nie uśmiechasz. Wszystko cię denerwuje. Bardzo mi przykro, że musisz żyć sam. Bardzo mi przykro, że czyni cię to tak nieszczęśliwym. Ale ja nie mam ochoty żyć tak jak ty.

Przez krótki moment Orry miał ochotę uderzyć ją. Potem jednak opanował się i wskazał na schody.

— Idź do swego pokoju!

Zmierzyła go jeszcze raz jadowitym wzrokiem, gwałtownym ruchem zgarnęła suknię, unosząc ją nieco, po czym wybiegła z pokoju.

Godzinę później Orry stanął przed lustrem w swojej sypialni, chwiejąc się na nogach. Pusta butelka po whisky wypadła mu z ręki na dywan i potoczyła się dalej.

Spojrzał w lustro, aby odszukać w swoim odbiciu coś, co zaprzeczyłoby słowom siostry, nie dojrzał jednak nic. Pchnął zwierciadło z całej siły, ale zamiast na dywan spadło na lśniąca podłogę i roztrzaskało się z hukiem na kilka części. W rozchełstanej kamizelce i koszuli z nie zapiętym kołnierzem i prawym rękawem zataczając się ruszył ku drzwiom.

Belkotał półgłosem:

— Heń, dawno... dawno temu... daleko stąd, w krainie... w krainie, gdzie morze...

Nie wiedział, co dalej. Pamięć zamroczona alkoholem zawiodła go. Chwycił delikatne krzesło i cisnął nim o ścianę, rozbijając w drzazgi. W holu dojrzał małe lusterko z mosiężną ramą; jednym ruchem zmiotł je na podłogę i podeptał. Dowłókł się do schodów.

Z dołu spoglądały na niego wystraszone czarne twarze. Kurczowo trzymał się poręczy i w jakiś sposób udało mu się dostać na parter, nie skręcając sobie karku. Z lewej strony błysnęło jeszcze jedno lustro, prawdziwe cacko, które Ashton nabyła niegdyś w Charleston. Nigdy przedtem nie uświadamiał sobie, że w domu jest tyle lusterek. Luster, które pokazywały mu, czym jest naprawdę: bankrutem jako mężczyzna, bankrutem we wszystkim, za co wziął się kiedykolwiek.

Zerwał lustro ze ściany, wyniósł je na zewnątrz w mroźną noc i roztrzaskał o najbliższe drzewo. Okruchy szkła posypały się niczym srebrny deszcz. Wrócił czym prędzej do domu, znalazł drugą, pełną butelkę i z trudem wgramolił się na piętro, wykrzykując coś gniewnie.

Clarissa, siedząca przy swoim stoliku, wsłuchiwała się ze

zdumieniem w te odgłosy, w końcu westchnęła i powróciła do swej pracy.

— Do Charleston? W środku nocy? — Nazajutrz, z samego rana, Orry stał w holu, mrużąc oczy przed jaskrawym blaskiem słońca. — I dokąd się udała, do hotelu?

— Nie, sir. — Lokaj był najwyraźniej zdenerwowany. Do pana Coopera. Miała ze sobą cztery kufry. Mówiła, że zamierza zatrzymać się tam na jakiś czas.

— Chryste! — mruknął.

Jego żołądek buntował się, w głowie huczało jak w kuźni. Brett uciekła z domu, gdy on leżał nieprzytomny w swoim zdemolowanym pokoju. Nigdy jeszcze nie zachował się tak, jak owej nocy, nigdy w całym swym życiu. Wstyd dręczył go bardziej niż niedyspozycja fizyczna, zraniona też została jego duma. Jego własna siostra odniosła nad nim zwycięstwo. Gdyby zatrzymała się w Mills House albo w innym hotelu, mógłby zaciągnąć ją z powrotem do domu, Brett okazała się jednak na tyle sprytna, aby zdecydować się na dom przy Tradd Street Wiedziała tak dobrze jak on, że Cooper udzieli jej schronienia na tak długo, jak będzie sobie tego życzyła.

Czubkiem buta kopnął połyskliwe odpryski lustra.

— Sprzątnijcie to!

Przygnębiony i obolały powlókł się powoli na górę.

\

W Nowy Rok 1860 Orry napisał do siostry list. Zawierał on takie słowa, jak: nieposłuszeństwo, obowiązek i autorytet. Był w pewnym sensie groźny, a jego sens sprowadzał się do wezwania Brett do natychmiastowego powrotu do Mont Royal.

List do Charleston wysłał przez niewolnika. Ale nawet w chwili, gdy wypisywał dla niego przepustkę, czuł się pokonany. I nie mylił się — nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Kilka dni później odwiedził go Cooper. Orry z wyrzutem powiedział:

— Podsycaz jeszcze bardziej rodzinny spór, pozwalając jej przebywać u siebie.

— Nie bądź osłem — odparował Cooper. — Lepiej, że jest z Judith i ze mną, niż gdyby miała zamieszkać w jakimś pospolitym hotelu czy pensjonacie. Brett ma całkowitą rację i to właśnie przyszedłem ci powiedzieć. Co do reszty zaś, niczego nie podsyca, chyba że jej i tak już znacznie spóźnione pragnienie usamodzielnienia się. W końcu to jej życie, a nie jest przecież jakąś Murzynką, żebyś miał jej wybierać męża z myślą o zdrowym potomku, którego ma spłodzić .

- Ty sukinsynu!
Cooper sięgnął po kapelusz.
- Doszły mnie już słuchy, że zachowywałaś się jak pijany prostak. Muszę teraz stwierdzić z przykrością, że to prawda. Zegnaj.
- Cooper, poczekaj. Wybacz mi! Straciłem panowanie nad... Ale jego brat opuścił już pokój.

Z każdym miesiącem sytuacja zaostrzała się. Późną wiosną demokraci odbyli w Charleston swą narodową konwencję wyborczą. Od samego początku kandydatura Douglasa popieranego przez Coopera — nie miała dużych szans powodzenia.

W kuliuarach Institute Hall przy Meeting Street, w salach, jak również na ulicy Cooper i inni demokraci dyskutowali na temat wyboru takiego kandydata partii, który uzyskałby uznanie również w innych regionach. Obawiano się bowiem o przyszłość Południa, która w przeciwnym razie nie rysowała się zachęcająco. Cooper przekonywał, że czarni republikanie byłiby jeszcze gorszym lekiem niż Douglas, ale słuchało go niewiele. Zwolennicy Douglasa znaleźli się w malejącej gwałtownie mniejszości.

Doszło do konfrontacji poglądów. Zwolennicy Douglasa odmówili poparcia tak zwanego „czarnego kodeksu”, chroniącego niewolnictwo. Delegaci sześciu stanów południowych, rozwścieczeni taką postawą, opuścili salę obrad, aby odbyć konwencję kadłubową. Wśród przedstawicieli Karoliny Południowej znajdował się Huntoon; wyszedł z dumnie podniesioną głową. W rozgorączkowanym tłumie na galerii Cooper dostrzegł Ashton. Była aż czerwona z emocji i nie szczydziła braw.

Wszystko na próżno. Po pięćdziesiątej siódmej turze tajnego głosowania konwencja zakończyła obrady, nie nominując żadnego kandydata. Partia rozpadła się ostatecznie.

Na początku lata część delegatów, Narodowi Demokraci, zebrałi się w Baltimore i wysunęli kandydaturę Douglasa na urząd prezydenta. Dysydenci, nazywający się Konstytucyjnymi Demokratami, spotkali się w Richmond. Wyrazili aprobatę dla nieograniczonego niewolnictwa na nowych terytoriach i nominowali swego kandydata. Johna Breckinridge'a z Kentucky. Trzeci odłam partii usiłował pozyskać zwolenników niezachwianego poparcia konstytucji, ale wysiłki te okazały się tak skuteczne, jak zdźbło trawy opierające się wichrom.

W Chicago, w wielkiej sali z drewna, tak zwanym Wigwamie, Seward został pokonany przez Lincolna, który uzyskał nominację. Konwencja przyjęła jedno oświadczenie wyborców, które okazało się wybuchowe: stwierdzono mianowicie, że Kongres nie jest upoważniony do zakazywania lub popierania niewolnictwa przez zezwalanie na ekspansję tego systemu na nowe terytoria. Niewolnictwo mogło istnieć tam, gdzie było dozwolone do tej pory, republikanie opowiadali się jednak zdecydowanie przeciw jego rozszerzaniu.

— Ich program to paskudztwo — oświadczył podczas rozmowy z Cooperem Huntoon. — Jest to po prostu powód, aby Południe rozpoczęło walkę, o ile wybory wygra ta mała.

— Skoro walka jest tym, czego pan pragnie, nie rozumiem, dlaczego nie popiera pan Lincoln.

— Naprawdę nie wiem, Cooper, co pan ma na myśli — odparł Huntoon, przybierając niewinny wyraz twarzy.

Ale w jego osłoniętych okularami oczach zamigotały wesołe isierki.

Szeregi młodzieńców w filcowych kapeluszach maszerowały przez Lehigh Station.

George przyglądał się im, stojąc przed apteką. Cygaro, które ścisnął w zębach, zgasło na deszczu, to samo groziło pochodniom niesionym przez maszerujących. Noc była brzydka, zbyt mokra i chłodna jak na sierpień.

Okolo dwudziestu młodych ludzi w nieprzemakalnych pelerynach mijało go. Na ramionach nieśli kije, styliska od siekier lub imitacje strzelb. Kiedy czoło kolumny zniknęło w ciemnościach, pojawiła się nieliczna orkiestra; na bębnach i trąbkach grano „Dixie's Land”, pieśń uznaną przez grupy maszerujących republikanów za hymn. Skomponował ją ktoś z Ohio; George usłyszał „Dixie's Land” po raz pierwszy rok wcześniej w wykonaniu Bryanfs Minstrels.

Kołyszące się pochodnie rzuciły ponure światło i długie, złowieszcze cienie. Bębny budziły wspomnienia z Meksyku. Wśród mijających go członków orkiestry George dojrzał twarz syna. Mimo iż William ustawicznie nadymał policzki — grał na kornecie — udało mu się uśmiechnąć.

Uśmiechali się zresztą wszyscy. Ale w takim razie dlaczego kojarzyli mu się z żołnierzami wyruszającymi na wojnę? Dlaczego beztrioskie parady tych, których cieszył sukces republikanów, napełniały go myślami o strzelaniu, krwi i nieokreślonym lękiem?

W połowie sierpnia na Tradd Street przyjechała z wizytą Ashton.

— Na miłość boską, Brett, sądziłam, że twój narzeczony przebywa teraz w Charleston!

— Ja również tak myślałam — odparła Brett. — Ale to trwa miesiącami. Zanim przygotują rozkazy...

— Armia zawsze poruszała się jak słoń — zauważył Cooper.

Ostatnio wyglądał dosyć mizernie, pod oczami rysowały się ciemne obwódki. Był przemęczony. Budowa „Gwiazdy Południa” nie przebiegała tak, jak tego pragnął, nie dodał mu też otuchy nieszczęsny wypadek, któremu uległ rok wcześniej olbrzymi frachtowiec Brunela „Trincomalee”. We wrześniu wpłynął na Tamizę po to tylko, aby niebawem rozerwała go straszliwa eksplozja. Okręt nie poszedł na dno, ale Brunei nie dowiedział się już o tym; wiadomość o katastrofie była ostatnią, która doszła go przed śmiercią, 15 września.

Ashton nie interesowała się oczywiście takimi sprawami. Wydymając dolną wargę, głaskała dłoń siostry.

— Tak mi przykro z twojego powodu! Czy jest już ustalony termin przyjazdu Billy'ego?

— Tak, dzięki Bogu — wtrąciła Judith. Przedwczoraj przyszła wiadomość.

— Och, a więc kiedy? — Oczy Ashton zabłyśły.

— Billy musi zameldować się u kapitana Fostera w pierwszym tygodniu września. Foster jest inżynierem i właśnie przybył do miasta. Przesłano go, aby nadzorował umacnianie Fortu Moultrie.

— Wielki Boże, to wspaniałe wieści! Dobrze, że Billy będzie tak blisko, w Charleston.

Cooper zerknął ze zdumieniem na siostrę.

Oczywiście, dobrze, że Billy znajdzie się w pobliżu, ale dlaczego jego obecność miałaby sprawić przyjemność jeszcze komuś poza Brett? Ashton miała widocznie na względzie sytuację siostry.

A jednak ta sprawa zaintrygowała go, tym bardziej kiedy przypomniawszy sobie dziwny błysk w oczach Ashton. Nie miał pojęcia, co on oznaczał, ale przecież Ashton rozumiał jeszcze mniej niż Orry'ego, przynajmniej w ostatnim czasie.

Ze swego miejsca na balkonie w Institute Hall Cooper przysłuchiwał się słowom Huntoona, który przemawiał do licznie zgromadzonej publiczności. Mąż Ashton dostarczał właśnie ostatnich argumentów, mających poprzeć kandydaturę Breckinridge'a na urząd prezydenta. Właściwie jego półgodzinna oracja była w większości poświęcona potępieniu Lincolna.

— To prosty człowiek motłochu! — Huntoon uderzał pięścią w pulpit. Tłum wył z zachwytu. — Analfabeta i awanturnik wynajęty do podsycania nienawiści wobec Południa i głoszenia, że biali i czarni są sobie równi!

Jęki oburzenia dochodzące ze wszystkich zakątków sali, krzyki: „nie, nie!”. Nie mogąc znieść tego dłużej, Cooper wstał, ignorując gniewne spojrzenia sąsiadów. Kiedy wychodził z sali, Huntoon wymienił ponownie nazwisko Lincolna, na co zebrani zareagowali gwizdami, a ktoś wrzasnął:

— Zabić pawiana!

Okrzyk wzbudził niesłychany entuzjazm. Ci ludzie łaknęli walki. Nie chcieli nawet zastanowić się nad słowami Lincolna, że będzie respektować program swojej partii i nie zamierza ingerować w sprawy niewolnictwa tam, gdzie ono już istnieje. Wsłuchiwali się jedynie we własne głosy, bajdurzące coś o zdradzie i potrzebie stawienia oporu. Cooper poczuł, że ogarnia go zniechęcenie, większe niż kiedykolwiek przedtem.

Billy przeżył szok, kiedy przybył do Fortu Moultrie, a właściwie przeżył ich od razu kilka.

Pamiętał Charleston jako miejsce miłe i gościnne, gdzie życie biegnie spokojnie i przyjemnie. Teraz panowała tu atmosfera nieufności i niemal hysterii. Ludzie rozprawiali z podnieceniem o secesji, wyrażali się z nienawiścią o Lincolnie i Małym Olbrzymie, a na mundur Billy'ego spoglądali z wyraźną niechęcią.

Po raz drugi Billy przeżył wstrząs, kiedy zorientował się, jakiego rodzaju prace czekają go w forcie na Wyspie Sullivana. Należało usunąć piach z parapetów, gdyż w przeciwnym razie napastnicy mogliby bez trudu wspiąć się na wydmy i zdobyć wały obronne. Niektóre z pięćdziesięciu pięciu dział fortu trzeba było ustawić w inny sposób, tak aby zapewnić lepszą osłonę Castle Pinckney i Fortu Sumter w porcie. Były to przygotowania do wojny.

Każdy, czy to cywil, czy wojskowy, wiedział, że garnizon federalny nie zdołałby oprzeć się zorganizowanemu atakowi armii nieprzyjacielskiej, a nawet napaści rozjuszonego tłumu. Wyspa Sullivana była długim, piaszczystym paskiem lądu na wodzie. Wokół starego fortu, trzeciego już obiektu noszącego nazwę Fort Moultrie, stały letnie rezydencje. Wnętrze można było bez trudu ostrzelać z pobliskich dachów.

Co gorsza, garnizon w Fortcie Moultrie był mały: sześćdziesięciu czterech żołnierzy i jedenastu oficerów. Rdzeń siły zbrojnej stanowiły dwie kompanie I Pułku Artylerii — w tym ośmiu muzykantów — pod dowództwem pułkownika Johna Gardnera. Był on właściwie reliktem wojny z 1812 roku i nadawał się tylko

do przeniesienia go w stan spoczynku. Gardner, szorstki Janke z Massachusetts, nie ukrywał swojej niechęci wobec Południowców, co nie stwarzało odpowiedniej atmosfery, zważywszy, że jako komendant twierdzy musiał obcować na co dzień z ludźmi z najbliższej okolicy, a nawet zatrudniać ich.

Kapitan Abner Doubleday był twardym, zdolnym oficerem, który ukończył West Point tego samego lata, kiedy zjawił się tam George. Doubleday był szczególnie nie lubiany w Charleston, nie tań bowiem faktu, że jest abolicjonistą.

W Moultrie stacjonowało czterech oficerów wojsk inżynierskich: kapitan John Foster oraz porucznicy: Meade, Snyder i Hazard. Codziennie pomagali im robotnicy cywilni, których Foster wynajmował w mieście, oraz rzemieślnicy sprowadzeni w tym celu z Północy.

Już podczas pierwszego tygodnia pobytu w forcie Billy został dwukrotnie wysłany przez kapitana Fostera w sprawach służbowych do Charleston, gdzie zetknął się z przejawami wrogości, okazywanej mu na każdym kroku jako przedstawicielowi rządu federalnego. Swoje wrażenia przekazał Doubledayowi, kiedy stali wieczorem w pobliżu ośmiocalowej haubicy, wycelowanej na Atlantyk. Doubleday nadzorował właśnie ładowanie haubicy podwójnymi kartaczami.

A czego się pan spodziewał? parsknął kapitan w odpowiedzi na żale Billy'ego. — Mieszkańcy Karoliny Południowej szykują się do wojny. Jeśli mi pan nie wierzy, proszę zaczekać na wynik wyborów, wtedy wszystko stanie się jasne.

Rozejrzał się niespokojnie dokoła. Cała artyleria fortu była rozmieszczona na wolnej przestrzeni, bez osłon. Wystarczyłaby setka nieprzyjaciół na dachach okolicznych domów, aby uniemożliwić obsłudze armat otwarcie ognia.

Właśnie dlatego strzelamy codziennie z tej pięknej damy dodał Doubleday. — Żeby mieszkańcy Charleston nie sądzili, że jesteśmy bezbronni, chociaż tak naprawdę nie zdołalibyśmy stawić skutecznego oporu.

Wykrzyknął kolejną komendę. Haubica zagrzmiała, strasząc letników, którzy przechadzali się nad brzegiem, i zraszając wodę śmiercionośnymi odłamkami żelaza.

Pewnej ciepłej soboty, pod koniec października, kapitan Foster po raz pierwszy udzielił Billy'emu zezwolenia na zjedzenie obiadu poza terenem placówki. Billy był mu za to niezmiernie wdzięczny. Kilkakrotnie miał okazję spotkać się z Brett, wiedział też o jej sprzeczce z bratem. Za każdym jednak razem, gdy poruszał temat małżeństwa, zaczynała mówić o czymś innym. Czyżby zmieniła zamiar? Postanowił odkryć prawdę.

Wieczorem tego dnia udali się na kolację do eleganckiego Moultrie House. Hotel mieścił się w Moultrieville, miasteczku na skraju wyspy, tuż obok portu. Po posiłku wyszli na spacer po plaży. Światło przenikające przez nisko zawieszzone chmury pokrywało ocean czystym, białym połyskiem. Zaledwie dwie stopy nad wodą przeleciało dziesięć pelikanów, jeden za drugim. Spokojna, niemal gładka toń obmywała brzeg, szemrząc cicho.

— Brett, dlaczego nie bierzemy ślubu?

— Dlatego, że jesteś tak bardzo zajęty usuwaniem piachu spod umocnień fortu i nie masz nawet jednej wolnej chwili.

— Nie żartuj sobie. Powiedziałaś Orry'emu, że nie zależy ci na jego zgodzie...

— To niezupełnie tak. Powiedziałam, że jego zgoda nie jest konieczna. Ale wolałabym ją uzyskać. Byłam wściekła na Orry'ego tego wieczoru, kiedy opuściłam Mont Royal. Powiedziałam mu różne rzeczy, których teraz żałuję.

Przesunęła pieszczotliwie dłonią po rękawie munduru.

— Oczywiście kocham cię i wyjdę za ciebie bez względu na wszystko. Ale nie chciałabym mieć całej rodziny przeciw sobie. Zależy mi na niej tak, jak tobie na twojej. Nie rozumiesz tego?

— Tak, oczywiście. Ale czekamy już tak długo...

Nie dokończył. W oddali dostrzegł kapitana Doubledaya spacerującego po parapecie fortu z kobietą. Nawet podczas rozmowy z żoną miał surową minę.

— Nie chciałbym utracić tej szansy — dodał po chwili. — Atmosfera w Charleston jest coraz bardziej napięta. Nie wiadomo, co jeszcze może się zdarzyć.

— Billy, mówisz tak, jakbyś gniewał się na mnie.

— Po prostu jestem zły z powodu zwłoki. Rozumiem, że nie chcesz zrażać do siebie brata, ale czy on kiedykolwiek zechce wczuć się w nasze położenie? Podejrzewam, że nigdy. — Nie odpowiedziała, zacisnęła tylko mocniej usta. — Kocham cię, Brett, ale nie mogę czekać wiecznie.

— Ani ja, mój kochany. Cooper obiecał mi, że jeszcze raz porozmawia z Orrym. Daj im obu trochę czasu.

Przeniósł wzrok na wodę, ostrzeliwaną przedwczoraj z haubicy.

— Wygląda, na to, że właśnie czasu mamy coraz mniej. Chodźmy już. Wrócimy do hotelu i sprawdzimy, czy mój wioślarz nie pił się na umór.

Powiedział to tak gniewnie, że kiedy szli w ciemnościach szybkim krokiem w stronę Moultrieville, Brett nie odezwała się nawet jednym słowem.

W dniu wyborów pułkownik Gardner wysłał Billy'ego do Charleston. Ze względu na nastroje panujące w mieście pułkownik postanowił przekazać wiadomość Humphreysowi, oficerowi dowodzącemu w arsenale federalnym. Humphreys miał przygotować się do przetransportowania na pokładzie galaru sporego ładunku broni i amunicji do Fortu Moultrie już nazajutrz; składowane w Charleston mogły z łatwością wpaść w ręce wzburzonego tłumu.

Billy sam wiosłował do Battery; podróż była więc ciężka i czasochłonna, ale Gardner pozwolił mu zjeść kolację na Tradd Street, Billy nie chciał więc, aby jechał z nim jeszcze jeden żołnierz, który musiałby czekać na niego przed domem. Na Battery dostrzegł robotników ustawiających słup wolności. Przed wieloma domami powiewały ciemnoniebieskie flagi z symbolem stanu: palmą. Billy zacumował łódź, a kiedy wszedł po schodkach na nabrzeże, natknął się na kilku siedzących tam próżniaków. Jeden z nich, awanturnik ze skórzaną przepaską na oku, wskazał kciukiem na łódź.

— Co pan zamyśla przewieźć tym do fortu, sir?

Billy wszedł już na górę. Jego dłoń spoczęła na kolcie tkwiącym w kaburze.

— Siebie samego. Ma pan coś przeciw temu, sir?

— Zostaw go, Cam — odezwał się drugi zawadiaka. Upłynie jeszcze kilka godzin, zanim wybiorą tego miłośnika czarnuchów, Abe'a. A wtedy, jak sądę, bez trudu znajdziemy tego kogucika.

Billy czuł, jak mocno bije mu serce, nerwy miał napięte do granic wytrzymałości, szedł jednak nieustraszenie wprost na intruzów. W ostatniej chwili rozstąpili się, przepuszczając go. Przyśpieszył kroku. Gest, gdy sięgał po rewolwer, był czystym blefem — nie wolno mu było użyć go nawet w obronie własnej. Taki incydent mógłby stać się przyczyną ataku na fort.

Wręczył rozkaz pułkownika Gardnera zdenerwowanemu dowódcy arsenału.

— Wszystko będzie przygotowane — obiecał Humphreys. — Obawiam się jednak, że nie zdołamy wydostać się z fortu. Ci zapaleńcy nie pozwolą nam na to.

Idąc do Coopera Billy minął Mills House. Szedł po drugiej stronie ulicy, bez trudu jednak rozpoznał Huntoona i Ashton, wychodzących z hotelu. Huntoon dotknął na jego widok skrzydła swego fantastycznego kapelusza, Ashton ograniczyła się do niezna-cznego, choć wyniosłego kiwnięcia głową.

Na Tradd Street panowała przygnębiająca atmosfera. Cooper nie wrócił jeszcze do domu, Judith próbowała zabawić gościa grą

na pianinie, zachęcała nawet dzieci, aby zaśpiewały coś do wtóru, ale nie trwało to długo; zabrakło jakoś entuzjazmu. W końcu zjawił się Cooper, przepraszając za spóźnienie. Był na James Island, gdzie miał nowe problemy z „Gwiazdą Karoliny”.

Na kolację Judith przygotowała wykwintny pasztet z ostryg z chrupiącym pieczywem, ale Billy nie był głodny. Brett sprawiała wrażenie roztartagnionej i zdenerwowanej, rozmowa nie kleiła się. Judith podawała właśnie lody truskawkowe w srebrnych pucharkach, kiedy w mieście odezwały się dzwony.

Cooper zmarszczył brwi.

— To u świętego Michała. Telegraf musiał już przekazać pierwsze wyniki wyborów z Północy.

— Czy to prawda, że jutro mamy nieoficjalne święto? — zapytała Judith.

— Owszem. Kiedy wracałem do domu, spotkałem Boba Rhetta. Był uosobieniem triumfu. Powiedział, że dzisiejszy dzień oznacza początek rewolucji amerykańskiej 1860 roku. — Cooper skrzywił się.

Z zewnątrz dobiegły ich dźwięki orkiestry.

Chciałbym zobaczyć, co się tam dzieje — powiedział Billy. — Obawiam się, że jeszcze tydzień lub dwa i niebieski mundur wojskowy nie będzie tu mile widziany. Może nawet będzie to niebezpieczne. Czy czułabyś się nieswojo, spacerując teraz ze mną po ulicach, Brett?

Potrząsnęła głową. Niebawem przechadzali się po Meeting kierując się w stronę Battery. Cooper i Judith zostali w domu.

Ulica była wyjątkowo ruchliwa jak na wczesny wieczór, panował radosny zgiełk. Billy dostrzegł jednak parę gniewnych spojrzeń, które sprowokował zapewne jego mundur. Zdziwiona Brett wstrzymała raptem oddech.

— Oni grają „Marsylianke”!

— Powariowali! — skomentował krótko. Głuchy huk i ostry błysk od strony Battery sprawiły, że stanął jak wryty. Ogień artylerii?

Niemal natychmiast odprężył się. To był tylko salut, a nie ostrzał. Wielki Boże, stał się już tak płochliwy, jak żaba straszona na brzegu.

Kiedy przechodzili przez Water Street, Brett wskazała nieznacznie ręką

Znasz tamtych ludzi? Od jakiegoś czasu chodzą za nami.

— Nie odparł Billy. — Nie wydaje mi się. Chociaż... poczekaj. Poznają jednego z nich. To wałkoń, który zaczepił mnie po południu, kiedy wyszedłem na brzeg.

Człowiek, o którym mówili, przysadzisty typ z opaską na oku, skinął na kompanów, aby podążyli za nim, po czym zawołał głośno:

— Pogadajmy z tą młodą damą. Chciałbym wiedzieć, czemu włóczy się z tym cholernym Jankesem.

— Powinniśmy jej wytłumaczyć, że to niepatriotyczne — dodał drugi.

— Przekonać ją o tym — wtrącił trzeci, podnosząc kamień.

Billy naliczył ich siedmiu. Czterech czy pięciu trzymało już w rękach kamienie.

— Stań za mną — szepnął do Brett.

— Przecież znajdujemy się w miejscu publicznym... Z pewnością nic nam tu nie grozi...

Napastnicy weszli na trotuar. Ludzie przepychali się w stronę Battery, nie zwracając uwagi na Billy'ego ani na Brett. Jednooki zdjął brudną czapkę, przygarbił się i zgiął w przesadnie uniżonym ukłonie.

— Bardzo przepraszam, panienko, ale patriotycznie nastawieni obywatele Charleston domagają się, z całym należnym pani szacunkiem, aby przestała panienka brukać samą siebie, pokazując się na oczach wszystkich z tym śmieciem z fortu.

Kolejny salut armatni odbił się echem po całej okolicy. Nad domami wzdłuż ulicy pojawiła się czerwona poświata.

— Możecie iść do diabła — odparła Brett. Będę pokazywać się, z kim będę miała ochotę.

— Ach, tak? Jeszcze zobaczymy.

Jednooki z opaską przysunął się bliżej. Billy dobył kolta i wycelował w napastnika. Znowu był to tylko błąf; mijało go tyłu ludzi w powozach i pieszo, że nie odważyłby się wystrzelić. Przechodząca kobieta spostrzegła broń i pisnęła przerażona. Inni piesi rozpieczęli się na boki.

Jednooki uczynił ruch, jakby chciał wyrwać Billy'emu broń z ręki, ten jednak odskoczył do tyłu. Jeszcze jeden napastnik podniósł kamień i cisnął nim, trafiając Brett w ramię. Krzyknęła z bólu. Billy zaklął, rzucił się na niego i z całej siły uderzył go łufą w twarz. Mężczyzna jęknął i wycofał się, krwawiąc.

Billy rozejrzał się zatroskany. Napastnicy tworzyli teraz półkole, zacieśniając je coraz bardziej. Nie chciał ryzykować burdy ulicznej, w której Brett mogłaby zostać poważnie ranna. Z bólem serca wykrzyknął słowo sprzeczne z całym jego wychowaniem i charakterem: Uciekaj!

Brett zawahała się. Chwycił ją za ramię i siłą pociągnął za sobą w stronę Tradd Street. Niczym wilki goniące ofiarę Jednooki i jego kompani puścili się za nimi pędem. W powietrzu świsnęły kamienie. Jeden z nich trafił Billy'ego w kark i rozciął skórę.

U zbiegu Meeting i Tradd Jednooki i jego banda zrezygnowali z pościgu; Billy wprowadzał już Brett do domu Coopera. Dysząc

ciężko zamknęli za sobą furtkę i oparli się plecami o ścianę. W oddali rozległ się podwójny huk, do dział na Battery dołączyło drugie.

— Jeszcze nigdy w życiu nie uciekałem. Przed nikim i niczym
— Billy z trudem łapał oddech.

— Nic innego... — podobnie jak on oddychała z trudem
— ...nie mogliśmy zrobić. Nie mogę pojąć, czemu ludzie z Karo-
liny Południowej zachowują się w ten sposób.

Ujął ją za rękę i razem podeszli do schodów. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak głęboka jest nienawiść i jak daleko zdołała się już rozprzestrzenić po kraju. Nic dziwnego, że stary Gardner nie lubi tej placówki, a Doubleday każe strzelać na postrach z haubicy. Charleston wymknęło się już spod kontroli.

Nazajutrz, kiedy zwycięstwo Lincolna w wyborach stało się pewne, uroczystości przybrały na sile. Kiedy zjawił się galar z Fortu Moultrie, podekscytowany tłum nie dopuścił do załadunku broni i amunicji, dokładnie jak przepowiedział oficer z arsenału.

Wieczorem uroczysty nastrój ogarnął już całe miasto: grały orkiestry, w każdym niemal oknie płonęły lampy i świece, liczne grupy spacerowiczów, mniej lub bardziej trzeźwych, przeciągały z gwarem pod domem Huntoona na East Battery.

James i Ashton szykowali się do wyjścia, aby obejrzeć na Battery widowisko z fajerwerkami. Huntoon znalazł gdzieś starą, niebieską kokardę z jedwabiu, symbol oporu z czasów Calhouna, i przypiął ją do swego najlepszego kapelusza. Ashton stała przed lustrem i poprawiała czapkę z białymi i czarnymi piórami. Nazywano je „secesyjkami” i były ostatnim krzykiem mody.

— Czy naprawdę planuje się zwołanie konwencji specjalnej?
— zapytała męża.

— Oczywiście. Władze stanowe wyznaczyły termin na siedem-
nastego grudnia, aby można było definitywnie ustalić przyszłe
stosunki stanu z Północą. Kochanie, to już niedługo. — Objął ją w
pasie i zakręcił się z nią jak w tańcu. — Uzyskamy niepodległość.
Senator Chestnut złożył dziś w Waszyngtonie rezygnację.
Podobnie jak senator Hammond.

Ich spontaniczną radość przerwało pojawienie się kamerdy-
nera.

- Jakiś dzentelmen do pana, panie Huntoon.
- Do diabła, Rex, nie mam teraz czasu dla nikogo.
- Mówił, że to ważne.
- Jak się nazywa?
- Pan Cameron Plummer.

— Ach! — Huntoon natychmiast spuścił z tonu. — Zaprowadź go do bocznych drzwi.

Niewolnik wyszedł, Huntoon i jego żona wymienili pełne powagi spojrzenia. Potem i on opuścił pokój.

W półmroku przy bocznym wejściu gość szepnął do niego:

— Zrobiłem, co tylko mogłem, panie Huntoon. Zrobiłem dokładnie to, co pan kazał. Czekałem, aż pojawią się na ulicy, potem ruszyłem za nimi. Ale zanim zajęliśmy się nimi na dobre, dali drapaką. Pobiegli do domu przy Tradd Street. Mimo to muszę zapłacić moim chłopcom. Zrobiliśmy wszystko, co było możliwe.

— Wiem, wiem... nie tak głośno!

Huntoon nie był zbyt zaskoczony fiaskiem przedsięwzięcia. Cały plan obmyśliła Ashton, on sprzeciwiał się jej, ale żona szlochala i piekliła się tak długo, aż ustąpił. Na tę decyzję nie miały wpływ miała jej groźba, że przeniesie się do osobnej sypialni na cały miesiąc.

Potem jednak żałował, że ugiął się przed jej wolą. Mężczyzna o ambicjach tak dalekosiężnych nie może sobie pozwolić na ryzyko. Ashton w przyszłości niech folguje swojej żądzy zemsty, jeśli tego pragnie, ale on nie pozwoli się w to wciągnąć. Taką właśnie decyzję podjął w duchu, zanim zaczął kłaść monety na wyciągniętą dłoń człowieka z opaską na oku.

55

Orry odsunął talerz na bok. Cuffey natychmiast przysunął się bliżej.

— Coś nie w porządku, panie Orry?

— Powiedz w kuchni, że wołowina jest niedobra.

Cuffey podniósł talerz, powąchał i skrzywił się.

Powiem, a jakże. Podać panu coś innego?

Potrząsnął głową.

— Czy twoja porcja też ma taki zapach, Cooper?

— Tak. Nie chciałem mówić, pomyślałem sobie, że po prostu ją zostawię.

Cuffey wziął obydwie talerze i pośpieszył do kuchni. Orry siedział niedbale na krześle. Jesienny deszcz bębnił o zamknięte okiennice.

— Znowu coś nie w porządku z wędzarnią — mruknął Orry i westchnął. — To wszystko sprawka wilgoci. Powiadam ci, nie miałem nawet pojęcia, jak bardzo jestem uzależniony od Brett, dopóki nie wyjechała.

Cooper wiedział, co brat ma na myśli. Oznaki były póki co nieznaczące, ale nie pozostawiały wątpliwości. Okienne wyblakły już od deszczów; należało jak najszybciej pomalować je i zabezpieczyć przed wilgocią. W sypialni gościnnej droga, ozdobna tapeta odpadała od ścian. W kątach pokoiów gromadził się kurz. Kiedy po raz ostatni bawił tu z wizytą, dowiedział się, że Anna Cuffeya wydała na świat dziewczynki-bliźniaczki, z których jedna zmarła niebawem z powodu pewnych komplikacji. Nikt nie posłał po Aunt Belle Nin.

Cooper usiłował poprawić nastrój.

— Cóż, będziesz musiał ożenić się z którąś z tych twoich znajomych, a w prezencie ślubnym wręczysz szczotkę i pędzel.

— Żadna z nich nie nadaje się do tego, żeby przestąpić próg mego domu.

Szorotka odpowiedź zaskoczyła Coopera, potwierdziła jednak zarazem słowa Brett; Orry przestał się uśmiechać, jego umysł błąka się gdzieś w ciemnych zaułkach, które zna tylko on. Cooper był teraz przekonany, że to prawda. Postanowił przejść teraz do sprawy, z którą przyjechał.

Wiesz, chciałbym jednak, abyś zainteresował się jakąś kobietą. Nie sądzę, aby Brett miała tu wrócić.

— Ze względu na Billy'ego?

— Właśnie.

— Czy to znaczy, że już się pobrali?

Cooper potrząsnął głową.

— Nadal zwlekają z tym krokiem, chociaż Billy bardzo to przeżywa. Brett czeka mając nadzieję, że zmienisz zdanie.

Orry parsknął wzgardliwie i sięgnął po kryształową karafkę z whisky.

Na tym stole jest już czymś stałym — pomyślał Cooper.

— A więc czeka niepotrzebnie. - Orry nalał whisky do kieliszka na długiej nóżce, z którego przed chwilą upił spory łyk białego bordeaux. — Nie zamierzam zmieniać zdania w najbliższej przyszłości.

Cooper nachylił się ku niemu. A nie

sądzisz, że powinieneś?

— Czy Brett wysłała cię tu z Charleston, abyś mi to powiedział?

Ależ nie! Orry, do diabła! — Uderzył pięścią w stół. — Niezależnie od postępowania LaMotte'ów i paru innych sąsiadów nie żyjemy w średniowieczu. Kobiety mają prawo żyć wedle własnego uznania. Proszę, pozwól Brett, aby sama ułożyła sobie życie bez względu na ryzyko, które widzisz lub sobie tylko wyobrażasz. Ona stara się utrzymać spokój w rodzinie, a to jest już więcej, niż ja bym uczynił na jej miejscu.

— Moja odpowiedź nadal brzmi: nie.

Jednak w głębi duszy wahał się. Ostatnio często myślał o sytuacji Brett. Wiedział, że Cooper ma rację, że powinien udzielić zgody na ślub. Nie potrafił się jednak przełamać. Wieści dochodzące z Waszyngtonu, z Charleston, w ogóle zewsząd, były zbyt niepokojące.

Cooper złożył serwetkę i przez chwilę trzymał ją dwoma palcami.

— Doskonale. Cuffey, bądź tak dobry i powiedz stangretowi, aby natychmiast podjechał powozem pod drzwi, dobrze?

— Myślałem, że zostaniesz na noc — powiedział Orry.

— A po co? Przyszłość jawi mi się tak samo ciemno jak tobie, ale na tym kończy się nasz wspólny osąd. Życie jest trudne i tak było zawsze. Brett zasługuje, aby rozkoszować się życiem, dopóki jest to możliwe. Jeśli chodzi o ciebie, stanąłeś jej na drodze i zamierzasz tam pozostać. Ubolewam z tego powodu, wydaje mi się jednak, że nic nie mogę poradzić. Zajrzę jeszcze do matki, a potem wracam do domu. Wybacz mi.

Sztynnym krokiem, bez uśmiechu, wyszedł z jadalni.

Orry siedział nadal na swoim miejscu, wsłuchując się w deszcz. A więc teraz jeszcze Cooper zwrócił się przeciw niemu! Jeszcze przed chwilą wahał się, czy nie zgodzić się jednak na małżeństwo Brett z Billym, ale odprawa, którą dopiero co otrzymał, podsycała jego gniew i wzmocniła zdecydowanie.

Dostrzegł nagle, że w kieliszku nie ma już whisky. Kiedy ją wypił? Nie mógł sobie przypomnieć. Wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na szyjce karafki.

— Spójrz, jaka mgła — mruknęła Judith. Mam nadzieję, że Cooper nie zniknął gdzieś na pół nocy. Jestem pewna, że się rozchoruje.

Brett podniosła wzrok znad robótki na drutach, których działanie demonstrowała właśnie ośmioletniej Marie-Louise.

A dlaczego właściwie wrócił do stoczni? Czy ktoś tam pracuje o tej porze?

— Nie. Poszedł, bo się zamartwia. Budowa statku opóźnia się. Główny architekt złożył wymówienie i wyjechał do Brooklynu, gdyż nie mógł dojść do porozumienia z miejscowymi robotnikami. Teraz jeszcze banki zaczęły wahać się z udzieleniem dalszych kredytów, nie jest bowiem pewne, czy nie ustaną związki handlowe z Północą. Och, jakie to wszystko straszliwie skomplikowane!

Mogłaby jeszcze dodać, że na domiar złego Cooper wziął na siebie ciężar problemów Brett, nie uczyniła tego jednak, gdyż takie słowa wzbudziłyby tylko poczucie winy, a Brett i bez tego czuła się nieszczęśliwa.

Judith nie bez powodu martwiła się o męża. W ubiegłym tygodniu wrócił z Mont Royal o czwartej trzydzięci nad ranem. Od tego czasu przesiadywał codziennie w stoczni na James Island, wracał tam jeszcze po kolacji. Wynajął wioślarza, który miał być gotów na każde wezwanie, aby przewieźć go na miejsce, i który już teraz zaczął uskarżać się na nadmiar pracy.

Ale wioślarz był przynajmniej zdrowy, a Cooper chudł w oczach. Stracił już jedenaście funtów. Było to dużo jak na jego szczupłą budowę ciała. Ostatnio twarz Coopera przybrała barwę wosku. Podczas gdy Brett śmiała się i szeptała coś do Ma-rie-Louise, Judith obserwowała kłęby mgły przeciągające z wolna za oknem. Co Cooper mógł robić w stoczni w taką noc jak ta?

Wiedziała co. Mógł zadrzeć się swymi problemami na śmierć.

Olbrzymia stępka „Gwiazdy Karoliny” sterczała we mgle niczym kręgosłup jakiegoś prehistorycznego zwierzęcia, które dawno już wymarło i zamieniło się w proch. Cooper obrócił się w drugą stronę. Ten statek był rozwiewającym się marzeniem. Ale to marzenie przynosiło namacalne straty. Co miał teraz robić?

Wyciągnął z kieszeni chustkę, wytarł cieknący nos. Czuł, że bierze go choroba, ale nie dbał o to.

W oddali, w głównym kanale, odezwała się syrena parowca; kilkakrotnie, z krótkimi przerwami. James Island otulały gęste tumany mgły. Cooper zdawał sobie sprawę, że zabłądziłby, gdyby drogi nie wskazywały mu dwie lampy wiszące pod okapem przypominającego szopę biura. Światło było rozproszone, przywodziło na myśl rozsunięty szeroko wachlarz.

Może bym dopiął swego, gdyby Van Roon nie odszedł — przeknęło Cooperowi przez głowę, kiedy stąpał po głębokim błocie, które wlało mu się do butów i zmoczyło nogi. Van Roon, architekt, był podstawą projektu. Niestety wdał się w bijatykę z pewnym prostakiem, zatrudnionym do noszenia wiader z nitami.

Van Roon, chociaż tak wykształcony i powściągliwy, zadawał ciosy i kłął jak zwykły doker. A o co poszło? Chodziło o problem, do kogo będzie należała własność federalna w Charleston — arsenał i forty — jeśli stan ogłosi niepodległość. Pół tuzina robotników wzięło się za Van Roona i poturbowało go solidnie, zanim wmieszal się Cooper i położył kres burdzie.

Teraz nie było już nadziei.

Cooper stanął nad wodą i spojrzał w stronę kanału dla statków, wyobrażając sobie, że mimo mgły widzi stojący tam pięciokątny Fort Sumter. Twierdzę zaczęto budować zimą na

przełomie 1828 i 1829 roku i nigdy jej nie ukończono. Do dziś nie obsadzono fortu wojskiem. Ale niewielka odległość od kanału i portu czyniły z niego ważny punkt strategiczny, może nawet ważniejszy niż inne forty w Charleston. A co by się stało, gdyby stary Gardner ufortyfikował to miejsce? Z pewnością rozpełtałoby się piekło!

Stanem, który Cooper kochał tak bardzo, rządzą teraz głupcy. Głupcy i oportuniści pokroju męża Ashton. Powtarzali w kołko wyświechtane slogany, wykrzykiwali napuszone hasła, zapominając przy tym lub ignorując w ogóle istnienie fabryk na Północy, olbrzymich zakładów przemysłowych, jak na przykład huta Hazarda. Na całym Południu była tylko jedna stalownia tego formatu: Tredegar w Richmond. Gdyby doszło do wojny, jak mogłoby ją prowadzić Południe? Za pomocą dyplomatycznych oświadczeń i bel bawełny?

Co przyniosą najbliższe miesiące? Wpatrując się w gęstą mgłę, Cooper czuł, że zna już odpowiedź.

— Przyniosą apokalipsę — powiedział półgłosem, a potem kichnął tak gwałtownie, że kapelusz wpadł do wody. Porwany przez nurt odpłynął natychmiast. Cooper zrobił parę kroków, aby odzyskać zgubę, ale kapelusz oddalał się coraz szybciej. Kiedy woda sięgała już do bioder, dał za wygraną.

Cudownie — pomyślał i zaśmiał się w duchu. Bóg Wszchemogący sprowadza cię z powrotem na ziemię, pozbawiając kapelusza.

A może to rodzaj ostrzeżenia? Ostrzeżenia, że w tej nadciągającej apokalipsie ratunek polega przede wszystkim na trosce o drobne rzeczy? Drobne i praktyczne: żywność, dach nad głową, kapelusz.

Wyszedł na brzeg i pośpieszył do biura uskrzydłony nagłym pomysłem — skoro w tych trudnych czasach nie ma co marzyć o sprowadzeniu do Charleston jakiegoś kompetentnego architekta, on sam przejmie jego obowiązki.

Zerwał wiszące na ścianach rysunki techniczne i cisnął je na duży stół, po czym podszedł do lampy i zwiększył płomyk tak, jak tylko to było możliwe.

Zagłębił się w planach; przeglądał je gorączkowo, rozrzucając po stole, wypisywał jakieś wyliczenia i wątpliwości, w końcu jednak musiał pogodzić się z przykrą prawdą: wiedział to i owo na temat projektu, ale za mało. Pomysł zajęcia się pracą architekta był jedynym środkiem ratowania „Gwiazdy Karoliny”. Jedynym i zarazem skazanym na fiasko.

O świcie ziewający szeroko wiosłarz znalazł Coopera przy stole; siedział z głową na rozrzuconych w nieładzie papierach, nieprzytomny i rozpalony od gorączki.

— Podejź tu z tą taczka! Proszę odsunąć się na bok!

Pierwszy rozkaz Billy'ego skierowany był do robotników cywilnych, drugi do spacerowiczów, przechadzających się po wydmach w pobliżu Fortu Moultrie. Właściciele pobliskich domów lub wczasowicze, którzy przychodzili pogapić się, przeszkadzali im jak zwykle. Billy najczęściej tracił cierpliwość.

Dzisiejszy dzień nie różnił się od innych. Billy polecił właśnie jakiejś rodzinie pozbierać resztki po pikniku z wydmy, którą jego żołnierze zmniejszali, tak aby nie mogli się na niej rozmieścić strzelcy wyborowi. Pogoda poprawiła się, znowu było gorąco — rzecz wyjątkowa jak na listopad. Pot zalewał mu oczy, musiał obwiązać sobie głowę czerwoną chustą, aby coś widzieć.

Właśnie dostrzegł kapitana Fostera, który nadchodził od strony fortu, gestykulując żywo. Billy zostawił robotników i szybkim krokiem ruszył na spotkanie przełożonego. Foster zauważył natychmiast, że Billy znowu pracował boso. Nie podobało mu się to, ale tego ranka nie powiedział na ten temat nawet słowa; jego myśli zaprzętało coś innego.

— Odwołano Gardnera. Będziemy mieli nowego komendanta.

— A kogo?

— Majora Roberta Andersona.

— Mój brat znał niejakiego Roberta Andersona, kiedy walczył w Meksyku. Artylerzysta. Ukończył West Point kilka lat przed Lee.

— To ten sam. Pochodzi z Kentucky. Jeszcze niedawno był właścicielem niewolników. Przypuszczam, że wybrano właśnie jego, aby ugłaskać miejscową ludność.

Decyzję można było zrozumieć. Podjęta przez Gardnera próba przetransportowania broni i amunicji z arsenału wywołała w całym stanie falę oburzenia.

Ale żeby wyznaczać na dowódcę fortów w Charleston byłego posiadacza niewolników? Billy nie uważał, aby był to dobry omen.

Zmienił zdanie, kiedy major przybył na miejsce.

Robert Anderson miał pięćdziesiąt pięć lat, był wysoki, siwy i niesłychanie uprzejmy. Swoje wypowiedzi okraszał apelami do Boga i wielokrotnie podkreślał swoją lojalność wobec flagi i munduru. Walczył dzielnie w Meksyku i został ranny w Molino del Rey, czym wzbudził jeszcze większy respekt wśród żołnierzy. Billy'emu wydał się człowiekiem surowym, ale jak najbardziej sumiennym i godnym zaufania.

Kilka dni po przybyciu do Charleston Anderson zarządził podróż łodzią do Sumter. Billy i Foster siedzieli przy wiosłach,

Doubleday na dziobie. Anderson nie chciał wziąć ze sobą rekrutów, obawiał się bowiem, że mogliby zacząć plotkować i spekulować na temat celu inspekcji.

Łódź opłynęła pięciokątny fort, po czym Anderson dał znak, aby przestali wiosłować, i powoził wzrokiem po murze z lewej strony. Gruby na pięć stóp wznosił się na wysokość pięćdziesięciu stóp ponad niski poziom wody i był skierowany frontem na północny zachód. W forcie zaprojektowano dwie kondygnacje strzelnic, ukończona została jednak tylko niższa. Powyżej majaczyły jedynie prostokątne otwory o bokach od sześciu do ośmiu stóp.

— Teraz proszę do esplanady — odezwał się Anderson po zakończonej inspekcji.

Kamienista esplanada usytuowana była u podnóża szyi tylnej ściany fortyfikacji o długości ponad trzystu stóp i około dwudziestu pięciu stóp głębokości, zwróconej na południowy zachód. Wiosłarze przycumowali łódź w pobliżu przystani i weszli na esplanadę, którą zanim się odezwał, Anderson obejrzał dokładnie, przemierzając ją od końca do końca.

Przeczytałem kilka oryginalnych notatek konstruktorów tego fortu, moi panowie. To doprawdy solidna budowla. Dziesięć tysięcy ton granitu plus sześćdziesiąt do siedemdziesięciu tysięcy ton kamieni i muszli, oto jej fundament. Gdyby fort został dobrze zaopatrzony w żywność i amunicję, mógłby opierać się atakom w nieskończoność. Nawet z załogą tak nieliczną, jak nasza.

— Za pozwoleniem, sir — zaproponował kapitan Doubleday. — Jeżeli ufortyfikujemy Sumter, zostanie to niewątpliwie poczynane za przejaw wrogości.

Kapitan chce go po prostu wypróbować, bo pochodzi z Kentucky — pomyślał Billy.

W głosie Andersona po raz pierwszy pojawiła się ostra nuta: Rzeczywiście, to prawda, kapitanie. Nie zamierzam fortyfikować tego terenu natychmiast. Ale nie wolno mieć złudzeń co do jednej rzeczy: forty należą do prawowitego rządu w Waszyngtonie i do nikogo innego. Z Bożą pomocą uczynię wszystko, co należy, stosownie do otrzymanych rozkazów, aby je utrzymać. Teraz ujrzałem już wystarczająco dużo. Wracamy?

— Wygląda na twardszego niż stary Gardner — szepnął Billy do Foster, kiedy podchodzili do łodzi. W odpowiedzi Foster kiwnął potakująco głową.

Nazajutrz po południu obładowana paczkami Brett szła po Meeting Street, kiedy ktoś wykrzyknął jej imię. Odwróciła się i ze zdumieniem dostrzegła Forbesa LaMotte'a.

— Dzień dobry, panno Brett. — Przyłożył dłoń do kapelusza.

— Czy pozwoli mi pani towarzyszyć sobie? Mógłbym pomóc nieść te pakunki.

— Nie, Forbes, śpieszę się.

Była to niezręczna wymówka, nie chciała jednak go zachęcać. Policzki miał rumiane jak dojrzałe jabłka, co chwila mrużył oczy. Na pewno zabijał czas w saloonie w Mills House. Słyszała, że jest tam częstym gościem.

Po takiej odprawie Forbes odsunął się na bok, a w następnej chwili widział już tylko jej plecy.

— Dziwka — mruknął, kierując się z powrotem do drzwi hotelowych.

Zdawał sobie sprawę, że właściwie nie myśli o niej aż tak źle. Wprawdzie nienawidził Brett, gdyż wołała tego żołnierza z Pensylwanii, nadal jednak był w niej zakochany. Była taką kobietą, którą chce się mieć za żonę, podczas gdy Ashton... cóż, Ashton była dobra wyłącznie dla przyjemności.

Widywali się co tydzień, raz rzadziej, raz częściej, zawsze kiedy mogli zorganizować bezpieczne spotkanie. Przypomniawszy sobie ostatnią schadzkę. Potem był cały pokrwawiony i musiał wyrzucić swoją wykwintną, nową, ale postrzępioną koszulę

— tak mocno podrapała mu plecy paznokciami.

Te ślady stanowiły dla niego symbol zwycięstwa, nie mógł się jednak nimi pochwalić, a najchętniej zamieniłby je wszystkie — i te ukradkowe spotkania na dodatek — na jedno słowo zachęty ze strony siostry Ashton.

Pod koniec listopada uwagę Orry'ego zwróciła wzmianka w „Mercury” o pewnym zdarzeniu; kadet Henry Farley z Karoliny Południowej złożył rezygnację i opuścił Akademię Wojskową w dniu dziewiętnastego bieżącego miesiąca. Jego postępek przedstawiono jako protest przeciw elekcji Lincolna i demonstrację chęci służenia rodzinnemu stanowi.

Orry czytał te wieści ze wzrastającym przygnębieniem. Był niemal pewien, że niebawem posypią się kolejne rezygnacje. Może nawet przeniosą się z Akademii w szeregi regularnej armii.

Tego samego dnia otrzymał list od Judith. Pisała, że Cooper nareszcie wyleczył się z grypy, na którą chorował ciężko przez ponad tydzień. List pocieszył go trochę, nie zdołał jednak odegnać smutku, którym napełnił Orry'ego artykuł o wydarzeniu w West Point.

Zdmuchnął płomyk w lampie i przez jakiś czas siedział w ciemności. Mrok jakby odpowiadał temu całemu rozbiciu, które było wokół niego, gdziekolwiek spojrzeł. Czy w tym kraju dostrzeże jeszcze gdzieś choćby małe światelko?

Upływały godziny, a on siedział bez ruchu, wyobrażając sobie, że słyszy upiorny odgłos werbli wzywających na wojnę.

— Nasi chłopcy opuszczają Akademię jeden za drugim—wykrzyknął Justin LaMotte. — Wspaniale! — Cisnął gazetę na wiklinowy stół i upił łyk mietowego ponczu ze srebrnej czary, stojącej nie opodal. Podał filiżankę Francisowi, po czym nalał jeszcze jedną sobie.

Bracia powrócili niedawno z inspekcji oddziału Gwardii znad Ashley. W swoich kremowych spodniach i ciemnożółtych płaszczach z niebieskimi wyłogami wyglądali jak para kolorowych ptaków. Zaden nie miał jeszcze szabli, ale obaj zamówili je u nowojorskiego zbrój mistrza; w Karolinie Południowej doskonałe szable z Solingen były praktycznie niedostępne.

Jak myślisz, czy prędko wybuchnie wojna? zapytał Francis, przysuwając sobie krzesło. W mdłym grudniowym świetle weranda wydawała się wyjątkowo przytulna.

Justin rozpromienił się.

— Sądzę, że w ciągu Toku. A kiedy już do tego dojdzie, wystawię własny pułk i...

Nie dokończył. Na widok kobiecej postaci, która bezszelestnie wyszła na werandę, zmarszczył brwi.

— Dobry wieczór, moja droga. Czy masz ochotę na odrobinę ponczu?

Suknia Madeline była tak czarna, jak jej włosy, biel skóry natomiast przywodziła na myśl trupa. Oczy miała nienaturalnie rozszerzone.

— Nie. — Uśmiechnęła się sztywno. — Dziękuję. — Minęła ich i weszła do domu.

Francis cmoknął z uznaniem.

— Atrakcyjna kobieta. Wygląda nieco mizernie, ale przez ostatni rok bardzo złagodniała. Nie mogę się nadziwić zmianie jej usposobienia. Zdumiewające!

— Nieprawdaż? — Justin westchnął. — Po prostu opatrność czuwała nad nami. Jeszcze trochę ponczu?

Madeline nie pamiętała już czasu, kiedy jej świat miał ostre kontury. Teraz dawała unosić się przez podobne do siebie dni, skryte jakby za mglistą zasłoną, nie obchodzili jej ludzie ani wydarzenia. Czasem przypominała sobie Orry'ego i wtedy ogarniała ją niejasna tęsknota, ale dawno już pogodziła się z myślą, że nie spotka go nigdy więcej.

Niekiedy, nieoczekiwanie rozkoszowała się krótkimi okresami pozorowanej normalności. Umysł pracował sprawniej, zmysły

stawały się bardziej bystre, odzyskiwała wolę. W takich chwilach zrywała się na samą siebie, gdyż nie dyskutowała już z mężem na tematy polityczne ani nie kwestionowała jego wypowiedzi, bez względu na to, jak bardzo były obraźliwe i niegodziwe. Dała za wygraną. Za każdym razem kiedy uświadamiała sobie tę prawdę, wzbierał w niej żal, nie miała jednak w sobie wystarczająco dużo energii, aby walczyć z rozpaczą czy choćby zastanowić się nad jej źródłem. A zresztą, po co walczyć? Jaki to ma sens? Jaki sens ma nadzieja? Światem rządzi okrutni szaleńcy. Dwaj z nich siedzieli właśnie teraz w jej domu, popijając miętowy poncz i śmiejąc się nie wiadomo z czego.

Wróciła z werandy do domu i raptem doznała przeblysku świadomości. Kręciła się po swoim posępnym pokoju tam i z powrotem, recytując fragmenty wierszy, które odżywały w jej pamięci, i przypominając sobie łagodne, ciemne oczy Orry'ego, brzmienie jego głosu, kiedy czytał te strofy.

Musi znowu spotkać się z nim! W tym samym momencie, kiedy podjęła tę decyzję, po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnęła się.

Odkryła talerze stojące na tacy przyniesionej jak zwykle do jej pokoju. Jak wybornie smakuje ten gęsty sos na warzywach! Musi zamawiać go teraz codziennie! Zjadła wszystko z rozkoszą, a potem zaczęła nucić jakąś melodię, wyobrażając już sobie spotkanie w kaplicy...

Właśnie, w jakiej kaplicy?

Nie mogła sobie przypomnieć. Stopniowo górę zaczęło brać znużenie. Zanurzając się z powrotem w świat mglistej obojętności, doszła po omacku do łóżka. Oczy napełniły się łzami, ale dlaczego? Nie miała pojęcia. Opadła na łóżko i wyszeptwała imię Orry'ego. W sukni spała aż do rana.

O świcie zauważyła, że ktoś wyniósł tacę, a w pokoju stoi bukiet barwnych ciepłarnianych kwiatów. Ucieszyła się jak dziecko na widok nowej zabawki. I ani razu nie wspomniała już Orry'ego.

56

— Gość? — zdziwił się Orry, idąc za służącym do schodów. — Nie spodziewam się... wielki Boże, czy to naprawdę ty, George?

— Tak mi się zdaje — odparł przemoknięty podróżny i uśmiechnął się szeroko. — Oczyść mi włosy z kurzu i twarz z brudu, a przekonasz się, że to ja.

Orry zbiegł po schodach.

— Cuffey, wnieś zaraz te torby do pokoju gościnnego. George, jadłeś już obiad? Za pół godziny siadamy do stołu. Dlaczego nie zawiadomiłeś nas o swym przyjeździe?

— Bo sam dowiedziałem się o tym dopiero kilka dni temu. Wtedy właśnie podjąłem decyzję. A zresztą — nerwowym ruchem wyłowił z kieszeni cygaro — bałem się, że może nie odpiszesz, kiedy dowiesz się, że mam przyjechać. Nie odpowiedziałeś na żaden z moich ostatnich listów.

Orry zaczerwienił się.

— Byłem niezwykle zajęty. Zbieranie bawełny... no i to całe zamieszanie w Karolinie, jak wiesz...

— O tym wiem aż za dobrze. Kiedy w Charleston wysiadłem z pociągu, odniosłem wrażenie, że znajduję się w obcym kraju.

— Jeszcze trochę i twoje słowa mogą okazać się prawdą. — Orry uśmiechnął się niewesoło. Powiedz, czy ta gorączka rozprzestrzenia się też na Północy?

— Moim zdaniem wszędzie.

Orry potrząsnął głową, chociaż słowa przyjaciela nie zaskoczyły go; zwołana przez gubernatora Pickensa konwencja obradowała w kościele baptystów w Columbii. Powszechnie oczekiwano, że delegaci opowiedzą się za secesją.

George odchrząknął, aby przerwać milczenie.

— Czy nie poczęstowałbyś mnie kieliszkiem? Potem może» my porozmawiać.

Orry rozpogodził się trochę.

Oczywiście. Chodźmy.

Przeszli do biblioteki. Orry był niezmiernie uradowany spotkaniem z przyjacielem, ale istniejące między nimi jeszcze tak niedawno napięcia tworzyły pewnego rodzaju tamę emocjonalną, która nie pozwalała mu uzewnętrznić swych uczuć. Wyciągnął najlepszą whisky, jaką miał. Kiedy napełniał kieliszki, George poinformował go, że złożył wizytę Cooperowi i rozmawiał z nim przez parę godzin.

— Ale właściwie nie chodziło mi o spotkanie z nim — zakończył, rozsiadając się wygodnie na krześle. Zdjął but i przez chwilę pocierał sobie stopę.

Orry stał tyłem do zamkniętego okna z kieliszkiem w dłoni. Błade promienie zimowego słońca padały na jego ramiona i tył głowy.

W takim razie, o co? zapytał.

Czy nie mógłby wyjść mi choć trochę naprzeciw — pomyślał George w nagłym porywie frustracji. Przewyciężył ją, wspominając posępny nastrój, który w końcu skłonił go do odbycia tej długiej podróży. Podniósł wzrok na wysokiego, ponurego mężczyznę stojącego przy oknie i odparł:

— Przyjechałem z dwóch powodów. Po pierwsze, chciałbym uratować naszą przyjaźń.

W pomieszczeniu zaległa cisza. Orry był zbyt zaskoczony, aby znaleźć jakieś słowa. George nachylił się do przodu; cała jego postawa — wysunięte zaczepnie ramiona i podbródek — podkreślała wagę tego, co mówi.

— Nasza przyjaźń znaczy dla mnie wiele, Orry. Oprócz Constance i moich dzieci najbardziej zależy mi właśnie na tym. Nie, poczekaj... wysłuchaj tego, co powiem. Przeprosiłem cię w liście, ale przez cały czas zdawałem sobie sprawę, że nie jest to właściwa droga. Przypuszczam, że czujesz to samo. Przyjechałem więc, aby omówić wszystko twarzą w twarz. Nie pozwólmy, aby tutejsi fanatycy czy radykałowie pokroju mojej siostry zniszczyli to, co czujemy do siebie.

— Miałeś jakieś wieści o Virgilio?

George potrząsnął głową.

— Nadal się ukrywa. Ale uwierz mi, nic mnie już nie obchodzi. Nie powinienem był jej bronić tamtego cholernego dnia. Poniosły mnie nerwy.

Chcąc rozładować atmosferę, Orry mruknął:

— Powiedziałbym, że nerwy zawiodły po obu stronach.

— Nie przyjechałem tu, żeby ustalać, kto zawinił, ale po prostu prosić cię o wybaczenie. Jest oczywiste, że Karolina Południowa zamierza wystąpić z Unii, chociaż obawiam się, że ten plan opiera się na błędnym rozumowaniu. Co do niewolnictwa możliwe były rozmaite kompromisy, ale jeśli widzę właściwie stanowisko Waszyngtonu, żaden z nich się nie urzeczywistni, o ile dojdzie do secesji. W każdym razie twój stan może pociągnąć za sobą parę innych, a wtedy konsekwencje będą naprawdę straszliwe. Ten kraj przypomina mi teraz olbrzymi statek, który osiadł na mieliźnie, nie jest w stanie popłynąć dalej o własnych siłach i stopniowo obraca się w ruinę. Hazardowie i Mainowie byli sobie bliscy od lat. Nie chcę, aby nasza przyjaźń również obróciła się w ruinę.

Orry jeszcze raz spojrzął na gościa. Emocjonalna zapora przestała istnieć. Z prawdziwą ulgą powiedział:

— Ani ja. Cieszę się, że przyjechałeś, George. Dzięki temu i ja mam okazję prosić o wybaczenie. Zakopmy topór wojenny.

George zbliżył się do niego.

— Tak głęboko, jak tylko można w dzisiejszych czasach.

Niczym bracia padli sobie w objęcia.

Niebawem siedzieli obok siebie, gawędząc swobodnie jak za dawnych czasów, ale George wkrótce ponownie się zasepił. — Naprawdę obawiam się konfrontacji, o ile Karolina Połu-

dniowa ogłosi secesję. I nie chodzi rai wyłącznie o konfrontację polityczną.

Orry kiwnął głową.

— Drażliwa stała się sprawa, do kogo należą forty federalne.

— Uświadomiłem to sobie w Charleston. Ktoś musi znaleźć wyjście z tego bałaganu, zanim szaleńcy z obu stron wciągną nas do wojny.

— A ty widzisz jakieś wyjście?

— Lincoln i jeszcze paru innych zaproponowali już rozwiązanie. Skończyć z niewolnictwem, ale wynagrodzić Południowcom straty. Wynagrodzić, nawet gdyby miało to oznaczać konieczność opróżnienia skarbcza, wydanie ostatniej uncji złota. Zgoda, nie jest to rozwiązanie idealne, może nawet niezupełnie czyste pod względem moralnym, ale przynajmniej pozwoliłoby uniknąć zbrojnego konfliktu.

Mina Orry'ego wyrażała zwątpienie.

— Nie słyszałeś jeszcze męża Ashton. To typowy przedstawiciel przywódców tego stanu. On wcale nie chce zapobiec konfliktowi zbrojnemu.

— Gdyby ten sukinsyn uczestniczył kiedykolwiek chociaż w jednej bitwie, z pewnością nie byłby tak żądny awantury.

— Zgoda. Ale on nigdy nie był na wojnie. — Orry westchnął. — Czasem myślę, że może masz rację co do niewolnictwa. Jego usta ułożyły się w dziwny grymas. — Czy zdajesz sobie sprawę, co znaczy takie wyznanie dla kogoś z Karoliny Południowej? Zresztą, mniejsza o moje stanowisko. Znam bardzo dobrze rodziny, które uprawiają ziemię nad Ashley. W całym skarbcu federalnym nie ma tylu pieniędzy, żeby przekonać ich o sensie zniesienia niewolnictwa, i mam tu na myśli nie tylko naszych sąsiadów, ale również plantatorów ryżu nad innymi rzekami i tych z głębi stanu, którzy zbierają bawełnę. Nikt na świecie, może tylko święty, nie zrezygnowałby dobrowolnie z systemu, który rodzi mu bogactwo! Nie ma mowy! Moi sąsiedzi woleliby już raczej, aby Bóg ugodził ich śmiertelnie piorunem!

— I tak też zapewne uczyni — mruknął George przez siny, przejrzysty obłoczek dymu z cygara. — Fanatycy z obu stron pragną krwi. Musi być jednak jakieś wyjście!

Znowu zapadło milczenie. Zaden nie wiedział, jak rozwiązać ten problem.

Już od miesięcy Orry nie czuł się tak spokojny i szczęśliwy. Zniknęło raptem całe napięcie, które wskutek wydarzeń zewnętrznych, jak również przeżyć wewnętrznych narastało w nim od dawna. Dlatego też był w ugodowym nastroju, kiedy George przedstawił drugi cel swojej wizyty.

— Chciałbym, abyśmy porozmawiali o moim bracie i twojej siostrze. Pragną wziąć ślub. Czemu nie chcesz wyrazić zgody?

— Moim zdaniem Brett i tak robi ostatnio to, na co ma ochotę.

— Do diabła, Orry, nie bądź wobec mnie tak zacięty. — Orry poczerwieniał i odwrócił wzrok. A George napierał tym bardziej: — Przecież nie postąpiła wbrew tobie i nie wyszła za Billy'ego bez twojej zgody. A ja nie mogę pojąć, czemu się tak zawzięcie sprzeciwiasz.

— Nie możesz pojąć? Już nieraz dyskutowaliśmy na ten temat. Zapowiadają się poważne kłopoty, może nawet wojna.

— Tym bardziej zależy im na tym, aby zaznać szczęścia, dopóki to możliwe.

— Ale wiesz przecież, jakie są przekonania Billy'ego. Jak bardzo jest lojalny wobec armii i rządu w Waszyngtonie. I słusznie. Gdy tymczasem Brett...

— Do diabła! — wykrzyknął George. — Pozwalasz więc, aby nienawiść garstki fanatyków i oportunistów politycznych rujnowała im życie! To niesprawiedliwe. Co więcej, niepotrzebne. Billy i Brett są młodzi. To dodaje siły, czyni ich bardziej odpornymi. Oczywiście będzie na nich wywierany nacisk. Ale wiem jedno, Orry. Wspólnie mój brat i twoja siostra przetrwają przyszłe burze o wiele lepiej niż my wszyscy. Kochają się i tak się składa, że pochodzą z dwóch rodzin, które są ze sobą głęboko związane.

Jego słowa odbiły się echem od ścian wyłożonych książkami. George podszedł do komody, gdzie znajdowała się whisky. Raptem opuścił go cały animusz, nadzieje rozwiały się. Orry zmarszczył brwi.

Po raz trzeci w pokoju zaległa głucha cisza. I wreszcie: A więc zgoda.

George wyjął z ust cygaro. Przez chwilę myślał z obawą, że się przesłyszał.

— Czyżbyś...

— Zgoda powtórzył Orry. — Zawsze byłem zdania, że jesteś zbyt uparty. Ale poważnie miałeś rację. Myślę, że Brett i Billy zasłużyli sobie na szansę. A więc dajmy im ją.

George wydał okrzyk radości i podskoczył wysoko. Podbiegł do drzwi i gwałtownie otworzył je na oścież.

Zawołaj służącego i wyślij go natychmiast do Charleston. Niech ta biedna dziewczyna nie martwi się już dłużej.

Orry wyszedł z pokoju. Wypisując przepustkę dla Cuffeya, uśmiechnął się do siebie. Czuł się wspaniale, jak młodzieniec, przepełniała go prosta radość, o której zdążył już zapomnieć przez te wszystkie lata.

Kiedy wrócił do biblioteki, George przyjął go miną na poły ironiczną, na poły poważną, i pogratulował rozsądku. Przez

chwile wsłuchiwali się w tętent kopyt konia Cuffeya, po czym zaczęli opowiadać sobie o wszystkim, co wydarzyło się w ostatnim czasie. George mówił o Constance i dzieciach, Orry natomiast o zaskakującym zachowaniu Madeline, o jej chorobie. George poruszył temat „Gwiazdy Karoliny”.

— Jak już wiesz, rozmawiałem z Cooperem. Przyznaję, że jest mi trudno pogodzić się z myślą o utracie dwóch milionów dolarów.

— Cooper mógłby spłacić każdy cent, gdyby zrezygnował ze swych planów. Myślę jednak, że nie chce tego uczynić, gdyż byłoby to jednoznaczne z przyznaniem się do porażki.

— Mimo iż sam mówi, że budowy statku nie będzie można ukończyć? Cóż... — George wzruszył ramionami myślę, że potrafię to docenić. A w każdym razie potrafiłbym, gdybym nie ulokował w tym interesie tak dużej sumy. Cóż za cuchnące bagno zrobiliśmy z naszego świata!

— Tak zawsze narzekają starzy ludzie — mruknął Orry.

— Chcesz przez to powiedzieć, że jesteśmy starzy?

— Nie wiem jak ty. Ale ja jestem starcem.

— Chyba ja również. To straszna myśl. George mocniej przygryzł cygaro. — Tyczko, spijmy się dziś.

Orry rozpromienił się, słysząc swój dawny przydomek. Jeśli nawet sprawy nie mogły wyglądać jak w beztrudnych latach na Akademii, przynajmniej oni mogli udawać, że nic się nie zmieniło. Dlaczego dwaj starsi panowie nie mieliby znaleźć przyjemności w ciemności?

— Pniaku, pozwolisz? — zapytał, sięgając po whisky. Jeśli chodzi o picie, stałem się już ekspertem.

Roześmieli się z minami, jak gdyby był to tylko żart.

57

Tego samego popołudnia, kiedy George przybył do Mont Royal, delegaci na konwencję secesyjną jechali pociągiem z Columbią do Charleston. Zmianę miejsca obrad spowodowała obawa przed epidemią ospy w stolicy stanu. Z tego też powodu Huntoon wrócił do domu wcześniej, niż spodziewała się Ashton. Ale i ona, jak większość mieszkańców miasta, płonęła z podniecenia na samą myśl o tym, że już niebawem w Institute Hall zaczną toczyć się ważne debaty. Przepelniała ją radość tym większa, że w wydarzeniach uczestniczył jej mąż. Z pewnością w powstają-

cym na nowo kraju dojdzie do wysokich stanowisk, a ona osiągnie szczyty wraz z nim.

Właśnie spiesznie kończyła toaletę, aby udać się na pierwszą sesję obrad w holu przy Meeting Street, kiedy raptem, nie zaanonsowana, do sypialni wbiegła Brett.

— Och, Ashton... mam wspaniałe nowiny. Cuffey jechał przez całą noc, aby dotrzeć dziś do mnie. Orry'ego odwiedził George Hazard...

— A ten czego chce? Czyżby miał zamiar pośmiać się z naszych patriotycznych narad?

— Nie bądź taka kąśliwa! Przyjechał, aby porozmawiać z Orrym o mnie i Billym. I zgadnij, co z tego wynikło?

W sercu Ashton zbudziła się mała iskierka gniewu, przyćmiejąc niedawną radość.

— Nie mam pojęcia — odparła, patrząc w lustro i poprawiając fryzurę.

— Orry zmienił zdanie. Billy i ja możemy się pobrać, kiedy tylko zapagniemy.

Ashton obawiała się, że to właśnie usłyszy od siostry. Musiała zmobilizować całą siłę woli, aby nie zawyc z wściekłości. Brett paplała dalej:

— Od razu wysłałam Cuffeya do fortu, aby przekazał Billy'emu tę wspaniałą nowinę. Nie mogę uwierzyć! A więc jednak wszystko zakończyło się pomyślnie!

— Jakże się cieszę!

Mówiąc to Ashton zmusiła się do uśmiechu. Jeszcze nigdy nie przyszedł jej z takim trudem, jednak zdołała przywołać swoją słodką minę. Objęła siostrę i cmoknęła ją w policzek. Brett była zbyt przejęta, aby dojrzeć w jej oczach furję, zresztą Ashton odegrała swą rolę znakomicie.

— Musimy porozmawiać o weselu — rzuciła, biegnąc do drzwi. — Tak bardzo bym chciała pomóc ci w przygotowaniach. Ale musimy poczekać dzień czy dwa, aż konwencja zakończy obrady. Powiadam ci, nigdy jeszcze Charleston nie było tak rozgorączkowane...

I wybiegła na ulicę ogarnięta zazdrością i nienawiścią, utwierdzona już na dobre w przekonaniu, że musi za wszelką cenę wyrównać rachunki z siostrą i Billym.

W Institute Hall panowała cisza, w powietrzu czuło się napięcie. Widzowie na przepelnionych balkonach nachylali się, aby nie uronić ani jednego słowa z raportu, który miała przedstawić komisja powołana do sporządzenia tekstu deklaracji o secesji.

Od chwili przyjazdu delegatów upłynęły dwa dni. W tym

czasie przedłożono wiele wniosków, które potem zmieniano i dyskutowano. Niezwykle uroczyście powitano specjalne grupy obserwatorów, przysłanych przez władze Missisipi i Alabamy. Ale tego dnia, 20 grudnia po południu, delegaci doszli do momentu najbardziej rewolucyjnego. Pan Inglis, przewodniczący komisji, zabrał głos, aby odczytać projekt deklaracji.

Cooper siedział w pierwszym rzędzie na galerii, wsparty łokciami o biegnącą przed nim poręcz. Panował nieopisany ścisk, ludzie napierali nań ze wszystkich stron. Jego wzrok wędrował po widzach siedzących na parterze, przeniósł się z byłego gubernatora Gista na senatora Chestnuta i Huntoona, który siedział z wypiekami na twarzy, uśmiechnięty niczym anielski morderca.

Połowę widzów na galerii stanowiły kobiety, większość z nich miała na głowach secesyjki. Nieco dalej po prawej stronie Cooper dostrzegł Ashton; z otwartymi ustami, spocona i czerwona na twarzy z emocji, śledziła obrady. Sprawiała wrażenie, jak gdyby pochłaniała wzrokiem nie mówcę czytającego polityczną proklamację, a kogoś o wiele bardziej doczesnego, mogącego zainteresować kobietę. Jej mina wydała się Cooperowi nie tylko zaskakująca, ale również niesmaczna.

— My, obywatele stanu Karolina Południowa, zgromadzeni na konwencji...

Słowa mówcy dochodziły do jego uszu, chociaż naprawdę nie chciał ich słyszeć. Cała ta procedura mogła istotnie przyprawić o ból głowy. Czy od jutra będą już dwa różne systemy pocztowe w tym kraju? A od następnego tygodnia dwa odmienne systemy bankowe? Wyglądało jednak na to, że ludzie nie łamią sobie głów nad takimi problemami. Kiedy zadał te pytania kilku czołowym finansistom stanu, odpowiedzią były zdumione spojrzenia, które niemal natychmiast zmieniły się, wyrażały już tylko wrogość. Biedny, stary Main, zdawały się mówić. Jak zwykle, szalony.

— ...ogłasza się więc niniejszym i zarządza, że uchwała przyjęta przez nas na konwencji w dniu dwudziestego trzeciego maja roku pańskiego 1788, na której mocy zatwierdzona została Konstytucja Stanów Zjednoczonych...

Powoli i ze smutkiem Cooper wodził wzrokiem po ludziach siedzących poniżej. Mężczyźni, którzy zaangażowali się w tę sprawę, byli niemal bez wyjątku znanymi osobistościami, ludźmi inteligentnymi i zasłużonymi dla kraju. Potrafił zrozumieć ich wściekłość, gromadzącą się już na przestrzeni całego pokolenia, nie mógł jednak zaaprobować środków, które obrali, aby dać upust gniewowi.

— ...jak również uchyla się niniejszym wszelkie ustawy i części ustaw, zatwierdzające poprawki do wspomnianej konstytucji.

Napierający ze wszystkich stron tłum wiwatował co sił. Cooper rozpoznał pracownika Federalnego Urzędu Celnego oraz żonę pastora. Trudno było powiedzieć, kto z nich krzyczy głośniej. Cooper złożył dłonie na poręczy, co natychmiast wywołało krzywe spojrzenia sąsiadów.

— ...oraz że unia istniejąca obecnie pomiędzy Karoliną Południową i innymi stanami pod nazwą Stany Zjednoczone Ameryki zostaje niniejszym rozwiązana.

Istne piekło. Ludzie na galerii wstali jak na sygnał. Cooper pozostał na swoim miejscu. Człowiek z Urzędu Celnego chwycił go za ramię.

— Podnieś się pan, do diabła!

Cooper nakrył jego dłoń swoją i odsunął ją łagodnie. Urzędnik zaklął, ale Cooper spojrzał nań przeciągle, po czym przeniósł wzrok na ludzi siedzących na parterze. Klepali się po plecach, ściskali sobie ręce i gratulowali jeden drugiemu. Wiedział, że nigdy nie pojmie tego zbiorowego zaślepienia. W jaki sposób, na Boga, pojedynczy stan albo nawet całe Południe miałyby istnieć w oderwaniu od reszty kraju? Jak to możliwe, aby na tym samym kontynencie i nad jednym narodem panowały dwa rządy?

Po długotrwałych owacjach na cześć dzieła pana Inglisa i jego komisji delegacji i widzowie zasiedli z powrotem. Bez żadnej dyskusji uchwała zapadła stosunkiem głosów 169 do 0. Jeszcze tego samego wieczoru miała zostać podpisana i opieczętowana.

Po tej informacji w Institute Hall ponownie rozpetano się piekło. Cooper westchnął, wstał i począł przeciskać się do przejścia. Widział po drodze tylko niewiele zatroskanych twarzy. Jedna z nich należała do J. L. Petigru, szanowanego i znanego w Charleston prawnika z partii wigów. Ich oczy spotkały się na moment niczym oczy uczestników pogrzebu.

Cooper wybiegł czym prędzej z holu; uświadomił sobie, że jeszcze chwila, a wzbierający w nim gniew weźmie nad nim górę.

Kolacja przy Tradd Street przebiegała w posępnym nastroju. Rankiem Orry przyjechał z Georgem z Mont Royal, aby uczestniczyć w konwencji w Institute Hall. Jednak nie udało im się wejść do środka. Orry sprawiał wrażenie równie przygnębionego z powodu secesji, co Cooper. George zrezygnował z powtórzenia swej przepowiedni, że rząd federalny zareaguje na to jak najbardziej kategorycznie.

Brett trapiła się ewentualnymi skutkami, które uchwała o secesji mogła mieć dla jej przyszłości. Garnizon Fortu Moultrie został postawiony w stan ostrego pogotowia, na wypadek gdyby nieuniknione demonstracje przerodziły się w akty gwałtu. Wie-

działa, że dziś nie spotka się z Billym, w ogóle nie była pewna, kiedy zobaczą się znówu.

Z ulicy przez cały czas dobiegały okrzyki i dźwięki orkiestry. Po kolacji zgiełek przybrał na sile. Niebawem w całym mieście zaczęto bić w dzwony. Panujący w domu nastrój melancholii stał się trudny do zniesienia i Cooper sięgnął wreszcie po kapelusz.

— No cóż, panowie, a więc podpisali. Jesteśmy świadkami historycznego momentu... może wyjdziemy na ulicę i popatrzymy, jak Charleston świętuje własną katastrofę?

— My też pójdziemy — oświadczyła Judith, przynosząc szale dla siebie i Brett. Sprzeciw nie miałby najmniejszego sensu.

Kiedy cała piątka opuściła dom i skierowała się w stronę Meeting, zagrzmiały działa.

Uroczystości z okazji zwycięstwa Lincolna były jedynie próbą przed dzisiejszym świętem. Wąskie uliczki wypełniły się ludźmi. Poruszanie się po drewnianych trotuarach było właściwie niemożliwe. Zaledwie o trzy stopy od George'a i Mainów eksplodowały bengalskie ognie. Judith zapiszczała przerażona, przycisnęła dłonie do piersi, a potem zmusiła się do uśmiechu.

Przeszli do końca Meeting jedną stroną ulicy, następnie zawrócili drugą. Światła i transparenty zdobiły wiele okien, widniały na nich między innymi flaga z palmą, portret Johna Calhouna i fasada oślawionej już Institute Hall. Beczki z płonąca żywicą oblewały ulicę jaskrawą, czerwoną poświatą. Za wieżą kościoła św. Michała wystrzeliła w niebo ognista linia, która rozkwitła po chwili chmurą bladych gwiazd. Zewsząd dobiegały eksplozje, a niebo rozblęskło od ognia.

Działa na Battery grzmiały nadal, orkiestry nie przestawały grać, tłum cofał się, napierając na muzyków, aby nie zakłócać defilady przeciągających właśnie żołnierzy z Gwardii znad Ashley. Była to tylko jedna z wielu kompanii, które zgłosiły się na ochotnika, aby przemaszzerować ulicami Charleston.

Potężny Niemiec przeszedł obok nich, wymachując transparentem. „Hurra! Unia została rozwiązana!!!”

— Wspaniale, ja? krzyknął, owiewając Coopera zapachem taniej wódki. To i tak trwało za długo. Za długo!

Siny z wściekłości Cooper wyrwał mu transparent z ręki, przełamał drzewce na pół i podarł papier na strzępy. Judith była biała jak upiór.

Przechodnie obrzucili Coopera wyzwiskami. Dwaj zaczęli zbliżać się z minami nie wróżącymi nic dobrego. Orry stanął u boku brata, to samo uczynił George.

- W tym mieście jestem gościem, ale z pewnością popamiętacie mnie, panowie, jeśli nie zostawicie nas w spokoju.

Orry roześmiał się. Na chwilę zapomniał o upływie czasu, wydało mu się raptem, że znowu ma przy sobie młodego kadeta Hazarda z West Point. Napastnicy, podobnie jak Niemiec, poszli dalej.

W powietrzu unosił się zapach prochu, perfum, tytoniu i potu. Niebo było upstrzone różnobarwnymi rozbłyskami ogni. Grzmot działał zagłuszał wszystkie inne odgłosy i tylko czasem słyszeli bębny i ochryple dźwięki trąbek.

— Chyba nigdy jeszcze nie widziałem cię tak rozwścieczone go — powiedział Orry do brata.

Cooper przystanął raptownie i spojrzął na tych, których tak bardzo kochał. Jeśli ktoś na świecie potrafił pojąć świdrujący ból, który czuł, to z pewnością oni.

— Dlatego że ta cholerna proklamacja o secesji postawiła mnie w sytuacji, której nienawidzę. Uświadomiłem sobie nagle, że nie wiem w ogóle, jak mam zareagować, wobec kogo mam być lojalny. Nie chcę czuć się jak zdrajca kraju, który kochałem przez całe życie. Tym bardziej nie chcę czuć się jak zdrajca tego narodu. Unia rozwiązana! Na miłość boską!

— Cooper, jak ty się wyrażasz! — szepnęła jego żona, ale on nie słyszał jej.

— Jeden z Mainów przelał krew, aby ta Unia mogła powstać! Jeśli wy nie czujecie się jeszcze, jakby rozdarto was na dwoje, poczekajcie! Ci cholerni szaleńcy nie wiedzą nawet, co uczynili! Co uczynili sobie, swoim synom, nam wszystkim! Nie mają jeszcze o tym pojęcia!

Poszarzały na twarzy obrócił się na pięcie i ruszył przed siebie; cień na tle rozświetlonego ogniami nieba. Reszta podążyła za nim. Brett usiłowała pocieszyć Judith, którą zazwyczaj nie było łatwo zaszokować; teraz jednak milczała, jakby nie potrafiła wykrztusić z siebie nawet słowa. Również Orry szedł poruszony, przejęty tymi samymi obawami, które dręczyły Coopera.

Huk dział przyprawiał George'a o ból głowy; wydawało mu się, że słyszy nie entuzjastyczne wiwaty i radosne krzyki, ale wyłącznie te ogłuszające wybuchy. Powrócił pamięcią do Meksyku. Jak łatwo jest przymknąć oczy, nie patrzeć na rozświetlone blaskiem ogni budynki i wyobrazić sobie, że Charleston jest miastem już pogrążonym w odmętach wojny.

Orry'ego mijaly jakieś twarze, twarze wykrzywione, zmienione przez pasję i tańczące światła. Wytrzeszczone oczy i rozwarte w okrzykach usta stawały się z każdą chwilą coraz mniej ludzkie. Prymitywne emocje przemieniły zwykłe oblicza w jakieś karykaturalne chimery.

Brett przywarła do Orry'ego i ogarnięta strachem przed

napierającym tłumem chwyciła go kurczowo za rękę. Cooper i Judith szli tuż za nimi, pochód zamykał rozglądający się bacznie na boki George. Na szczęście nikt nie zwracał na nich uwagi.

Orry dostrzegł trzech miejscowych młodzianów, bijących kijami starego Murzyna. Kiedy upadł, wylali nań piwo z dużych kufli, wyniesionych z pobliskiego hotelu. Ujrzał też szanowanego powszechnie członka kościoła metodystów; z jego kieszeni wystawała butelka whisky, on sam zaś trzymał się ostatkiem sił czarnego, żelaznego słupa, wymiotując na ulicę. Nieco dalej w mrocznym wejściu do domu stała żona jubilera z Meeting Street, pozwalając obściskiwać się nieznanemu. Wyglądało na to, że świat stanął na głowie.

Brak umiaru widoczny też był w hasłach wykrzykiwanych ze wszystkich stron i wypisanych na plakatach i jedwabnych transparentach, które rzekomo sporządzono spontanicznie przez jedną noc. Przed sobą Orry ujrzał właśnie trzech mężczyzn, biegnących z szeroko rozpostartym transparentem. Musiał ustąpić im z drogi i upomnieć pozostałych, aby zrobili to samo. Na transparencie widniało hasło: „Nie pozwolimy deptać praw Południa”.

Hałaśliwa grupa pobiegła dalej, a Orry ruszył przed siebie. Niemal natychmiast zauważył Huntoona, który podążał za tamtymi.

— Orry! Dobry wieczór! — Mąż Ashton przyłożył dłoń do kapelusza ostentacyjnie ozdobionego błękitną kokardą; jedną z wielu, które dziś rzucały się w oczy. Krawat Huntoona był rozwiązany, a spod kamizelki wystawał rąbek koszuli, widok niezwykle jak na człowieka dbającego zazwyczaj o swój wygląd.

Ale przecież dziś noc była niezwykle, o czym świadczył szeroki uśmiech Huntoona, nie spotykany nigdy na jego twarzy.

— Czy ta uroczystość odpowiada państwu?

Pytanie adresowane było do całej piątki, a w głosie Huntoona usłyszeły nutę złośliwości.

Chodzi mu głównie o Coopera — domyślił się Orry.

— Nie bardzo — odparł. — Nie lubię patrzeć, jak porządni skądinąd obywatele Karoliny Południowej robią z siebie durni.

Huntoon nie dał za wygraną.

— Jestem zdania, że trochę zabawy nigdy nie zaszkodzi, a drobne ekscesy zawsze można wybaczyć. Proklamowaliśmy całemu światu naszą wolność. — Jego wzrok spoczął na Brett. — Oczywiście uzyskanie niepodległości rodzi pytanie, do kogo należą obiekty federalne w Charleston. Urząd Celny, arsenał i forty. Organizujemy właśnie grupę naszych wysłanników, którzy porozumieją się w tej sprawie z Buchananiem. Konieczne jest przekazanie tych obiektów pod nadzór suwerennego stanu Karolina Południowa.

George stanął u boku Brett

— A jeśli prezydent będzie miał inny pogląd na tę sprawę?

Huntoon uśmiechnął się.

— W takim przypadku, sir, rozwiążemy problem innymi środkami.

Ponownie musnął dłonią rondo kapelusza i ruszył, wtapiając się w tłum, który przeciągał ulicą, skandując: Prawa Południa! Prawa Południa! Prawa Południa!

Brett odprowadzała Huntoona wzrokiem, dopóki nie zniknął z pola widzenia. Odruchowo zacisnęła dłoń na ramieniu Orry'ego.

— Wspomniał o fortach ze względu na Billy'ego, prawda?

Cooper usłyszał pytanie.

— Niewątpliwie tak. Jeśli pan Huntoon ma w sobie coś, co nazywamy zwykłą ludzką życzliwością, to w każdym razie w wyjątkowo niewielkiej ilości.

Dojrzeli go znowu po przeciwnej stronie Meeting Street, jak przeczeka się przez tłum na schody wiodące do Mills House. Potem stojąc już wyżej, odwrócił się, aby z tego miejsca ogarnąć wzrokiem gwarną, niespokojną ulicę. W szklach jego okularów odbiły się płomienie wydobywające się z jakiejś podpalonej beczki.

To oczy uśmiechniętego demona — przemknęło Orry'emu przez głowę. — Jeden z wielu upiornych widoków.

Przyszedł mu na myśl major Anderson z Fortu Moultrie. Poznał go jeszcze w Meksyku jako doskonałego oficera, sumiennego i kompetentnego. Co on teraz czuje! Wobec kogo okaże się lojalny w najbliższym czasie? Wobec posiadaczy niewolników ze swego rodzinnego Kentucky czy też wobec armii?

Nadciągający czas będzie decydującym sprawdzianem dla tak wielu Amerykanów, tak wielu absolwentów West Point. Będą musieli opowiedzieć się po którejś stronie. Orry nie mógł oprzeć się wrażeniu, że światem zawładnęła jakaś zła siła.

— No cóż, Cooper, tak jak powiedziałeś, jest to historyczny moment — mruknął. — Wracajmy do domu.

Tak też uczynili, milczący i przygnębieni.

Otoczona i popychana przez spoconych, rozwrzeszczanych birbantów Ashton nieoczekiwanie poczuła ogarniające ją podniecenie. To było tak, jak gdyby tłum wytwarzał energię, która przedostawała się do ziemi, a potem wspinała się po jej nogach aż do łędźwi. To tajemne pobudzanie zmysłów wywoływało lekki zawrót głowy.

Jak zwykle ekscytował ją nie tyle poryw patriotyzmu, co raczej sens, który w nim dostrzegała, a nawet perspektywa uzyskania życiowej szansy. Wyzwiska, wykrzykiwane groźby

i hasła brzmiały w jej uszach jak krzyki porodowe nowego narodu. James twierdził, że inne stany bawełniane pójdą za przykładem Karoliny Południowej i że wkrótce zostanie utworzony nowy rząd. On pełniłby w nim znaczącą rolę. W ciągu kilku tygodni nadzieja, która żyła w niej od dawna, mogła stać się rzeczywistością. Władza znalazłaby się w zasięgu jej ręki.

Kolejna eksplozja bengalskich ogni oblała jej twarz purpurą. Gwiazdziste rozpryski trysnęły w niebo, oświetlając na krótko Sullivan's Island i fortyfikacje. Zmrużyła oczy.

A potem wyimaginowany obraz Billy'ego Hazarda przekształcił się nieoczekiwanie w znajomą postać kogoś, kto stał zaledwie parę jardów od niej.

— Forbes! — Przytrzymując ręką secesyjkę, przecisnęła się ku niemu. Forbes!

— Pani Huntoon odparł z ową przesadną kurtuazją, którą okazywał zawsze, kiedy spotykali się w miejscu publicznym. Ukłonił się grzecznie. Poczula od niego zapach wina, zmieszany z wonią mężczyzny. Ogarnęła ją jeszcze większa fala podniecenia, ale nie był to odpowiedni moment, aby pofolgować własnej żądzy.

— Forbes, musimy porozmawiać, to bardzo pilne — szepnęła. — Jutro... tak szybko, jak to możliwe. Orry dał wolną drogę Billy'emu, pozwolił, aby ożenił się z Brett. Nie zniosę tego. Nie mogę do tego dopuścić!

Jeszcze przed chwilą Forbes LaMotte sprawiał wrażenie człowieka, który wypił trochę za dużo i jest w dobrym humorze. Teraz skrzywił się, jakby ktoś ciął go na odlew szabłą. Ognie bengalskie pękały z hukiem, ogłuszający zgiełk potęgowały dzwony i nie milknące działa. Musiał nachylić się do Ashton, aby usłyszeć, co mówi.

— Karolina Południowa zaczęła działać. Myślę, że czas najwyższy, abyśmy i my zrobili coś konkretnego.

Uśmiechnął się, znowu jakby odprężony i senny.

— To prawda, masz rację — mruknął. — Jestem do twojej dyspozycji.

58

Rankiem 25 stycznia 1861 roku kapitan Elkanah Bent przybył do Nowego Orleanu. Odbywał właśnie podróż do jedyne prawdziwego domu, jaki znał: do Waszyngtonu. Przydział załatwił sobie w najbardziej odpowiedniej chwili. Sytuacja w kraju była krytyczna i pogarszała się z dnia na dzień. Był pewien, że

Departament Wojny przygotowuje się do nadeciągającego konfliktu, szykuje awanse i reorganizację. A przynajmniej uczyni to, gdy tylko ten mięczak Buchanan wyniesie się z Białego Domu.

Tego dnia Bent miał na sobie nowe, wykwiłtne ubranie cywilne. Nabył je w Teksasie natychmiast po podjęciu decyzji o zatrzymaniu się na dwadzieścia cztery godziny w Nowym Orleanie. Doszedł do przekonania, że paradowanie w mundurze wojskowym w mieście sympatyzującym otwarcie z Południem nie byłoby zbyt roztropne. Wieści głosiły, że niebawem secesję ogłosi Luizjana, idąc w ślady pięciu innych stanów bawełnianych, które wystąpiły już z Unii. Ludzie na Północy nie szczędzili słów krytyki pod adresem tych stanów, wypowiadali się o nich agresywnie i buńczucznie. To wszystko pachniało wojną i wprawiało Benta w radosny nastrój.

Przechadzając się po Bienville, poczuł zapach mocnej kawy, dolatujący z pobliskiej kawiarni. Dobra kawa była jedną z tych uciech, z których słynęło miasto i których postanowił zakosztować podczas krótkiego w nim pobytu.

Był zadowolony, że zdołał wydostać się z Teksasu właśnie teraz. Tam również secesja zdawała się nieunikniona, zważywszy na sympatie, które władze Teksasu wyraźnie okazywały Południowi. Stary Davey Twiggs, przedstawiciel tych władz, jak również Bob Lee, który rok temu powrócił z Wirginii, aby objąć dowództwo nad II Pułkiem Kawalerii, byli w jego oczach dwoma potencjalnymi zdrajcami.

Miał też inne powody, które sprawiały, że czuł się szczęśliwy po opuszczeniu Teksasu. Musiał przyznać w duchu, że jego wysiłki, aby pozbyć się Charlesa Maina, spełzyły na niczym, co gorsza z trudem uniknął sądu wojskowego. Gdyby wojna rzeczywiście wybuchła, a wszystko wskazywało, że tak się stanie, mogła niebawem nadarzyć się nowa okazja, aby wyrównać stare rachunki z Mainami i Hazardami. Jeszcze trochę, a będzie mógł się przekonać, jak wyglądają sprawy w Waszyngtonie. Ta perspektywa pozwalała mu zapomnieć o dotychczasowych niepowodzeniach.

Na jedno pytanie Bent jak dotąd nie potrafił znaleźć odpowiedzi: czy Charles zna prawdziwy powód jego wrogości wobec niego? Był prawie przekonany, że tak; Charles i ten przekłety Orry Main z pewnością korespondowali ze sobą, a w listach musieli poruszyć ten temat. W listach, które Ujawniły charakter stosunków Benta z Orrym i Georgem Hazardem. Ale nawet gdyby taka korespondencja nie miała miejsca — co było raczej nieprawdopodobne — prawda i tak niewątpliwie by wyszła na jaw natychmiast po powrocie Charlesa do domu.

Kiedy tylko Mainowie dowiedzą się o uporczywej żądzy zemsty Benta, przestanie to być tajemnicą również dla Hazar-

dów. Nadal jednak Bent miał pewną przewagę: obydwie rodziny dojdą do przekonania, że wir wojny zakończy jego nienawiść albo przynajmniej ją osłabi. I to mylne przypuszczenie okaże się ich zgubą.

Jeśli Bent miał wierzyć artykułom w prasie na temat sytuacji w kraju, obustronna wrogość stała się teraz nieunikniona. Charleston stanął punktem zapalnym. Nazajutrz po świętach Bożego Narodzenia nieliczny garnizon Andersona poczynił tajne przygotowania i, kiedy zapadła noc, przeprawił się łodzią do Fortu Sumter, zagważdżając działa pozostawione w Moultrie. W efekcie flaga z palmą powiewała teraz nad wszystkimi posiadłościami federalnymi w Charleston i wokół miasta, oprócz fortu pośrodku portu zajmowanego przez Andersona.

Garnizon Andersona mógł nadal zaopatrywać się w Charleston w świeże mięso i warzywa. Do miasta napływały jednak stale oddziały milicji stanowej, przysposabiając do walki działa w Moultrie, Castle Pinckney i Fortcie Johnson.

W ciągu kilku ostatnich tygodni Buchanan oczyścił swój gabinet z wpływów Południa i wprowadził twardą linię polityki. Nie zgodził się na spotkanie z wysłannikami Karoliny Południowej, którzy przybyli do Waszyngtonu, aby przedyskutować przejście Fortu Sumter, odłożył też ich memorandum do akt, nawet go nie czytając.

9 stycznia siły przeciwnika zaogniły sytuację. Buchanan wysłał do Charleston wycarterowany parowiec, „Gwiazdę Zachodu”. Statek wiozł żywność, amunicję i dwustu pięćdziesięciu żołnierzy. Kiedy przepływał obok piaszczystej ławy, kadeci z Cytadeli, którzy obsadzili działa portowe, otworzyli ogień.

Baterie Andersona milczały, zrezygnował on z obrony zbliżającego się statku. Ugodzona w kadłub „Gwiazda Zachodu” natychmiast zawróciła i wypłynęła na pełne morze. Tym samym sprawa wyglądała na zakończoną, ale nie dla Waszyngtonu, gdzie nadal trwały tarcia pomiędzy rządem a kolejną delegacją z Karoliny Południowej.

Zaledwie kilka dni wcześniej Davis i paru innych senatorów z Południa opuściło Kapitol po wygłoszeniu przemówień pożegnalnych, których pozorny sentymentalizm miał osłabić prawdę o zdradzie. Tego ranka Benta doszły wieści, że Davis i inni mają niebawem zebrać się w Montgomery w stanie Alabama, aby uformować nowy rząd.

W jaki sposób ten nowy rząd mógłby uniknąć zbrojnego konfliktu z Waszyngtonem? Stary Buck nie będzie już długo prezydentem, a jego następcą, ten dziwak Lincoln, mimo iż mięczak w sprawach niewolnictwa zachowywał nieprzejednane stanowisko w kwestii utrzymania Unii. Wojna była nieunikniona. Rysowała się wspaniała przyszłość.

W takim właśnie radosnym nastroju Bent począł wstępować po eleganckich, czarnych, żelaznych schodach, aby po chwili zapukać do drzwi przybytku zarekomendowanego mu przez dżentelmena, którego poznał w podróży. Wszedł do środka i wymienił zmyślone nazwisko.

Dwie godziny później potężny Murzyn o ponurym spojrzeniu wprowadził w pół ubranego Benta do pokoju właścicielki, posadził go niemal siłą na pluszowym fotelu, po czym stanął w progu, oczekując na wynik dyskusji.

— Sto dolarów to cena skandaliczna! — oświadczył Bent, wsuwając koszulę w spodnie i zapinając mankiety. Tu jego mundur mógł wywrzeć wrażenie.

Siedząca za imponującym biurkiem madame Conti wyglądała na całkowicie spokojną i opanowaną. Jedwabna suknia w kolorze indygo z wyhaftowanymi pawiami okrywała masywne ciało. Kobieta miała około sześćdziesięciu lat, jej zdumiewająco siwe włosy były ułożone niezwykle kunsztownie i starannie. Tuż obok jej upięścienionej dłoni stało małe, mosiężne naczynie, w którym płonęło wonne kadzidło.

— Mimo to, monsieur Benton, sto dolarów to kwota, którą musi pan zapłacić. Tak młoda dziewczyna jak Otille wymaga specjalnej ceny. — Spojrzała na kawałek papieru. — Jak widzę, miał pan parę... hmm... specjalnych życzeń. Mogę je wymienić, o ile zawiodła pana pamięć. Czy dziewczyna nie powiedziała panu, że przy tego typu usługach cena wzrasta?

— Nie, z całą pewnością nie.

Madame Conti wzruszyła ramionami.

— Cóż, to niedopatrzanie. Ale nie ma wpływu na cenę.

A ja nie zgadzam się, do diabła. I z całą pewnością nie zapłacę.

Madame Conti nie zareagowała na ów wybuch gniewem, lecz wyrozumiałym uśmiechem. Przenosząc wzrok na Murzyna, zapytała:

— Co z nim mamy zrobić, Pomp?

— Traktować w dalszym ciągu jak dżentelmena — zagrział Murzyn. — Może jednak zmieni zdanie?

Na górnej wardze Benta zabłyśły kropelki potu, nuta groźby w głosie Pompa nie uszła jego uwagi. Nie stracił jednak pewności siebie, a przynajmniej robił wszystko, aby sprawiać takie wrażenie. Madame Conti uśmiechała się niewzruszenie.

— Poczęstuj naszego gościa szampanem. Mam nadzieję, że to pomoże.

— Z pewnością nie — powtórzył z uporem Bent, ona jednak roześmiała się tylko i poprosiła o kieliszek dla siebie.

Bent powstrzymał się od dalszych uwag, usiłując obmyślić następny krok. Wszystko wskazywało na to, że ucieczka z burde-

lu nie ma żadnych szans powodzenia, wolał zresztą nawet nie próbować. Postanowił odczekać trochę. Wziął od Pompa kieliszek wysmienitego francuskiego szampana, wypił duszkiem i podstawił kieliszek po drugą porcję. Madame Conti przeniosła wzrok na Murzyna i kiwnęła głową z aprobatą.

Szampan miał działanie kojące. Bent uspokoił się i rozejrzał po eleganckim biurze. Na ścianach wyłożonych czerwonym pluszem wisiało kilkanaście dużych obrazów, oświetlonych lampami gazowymi. Jedno z płócien przedstawiało wesołą grupkę traperów na tratwie pędzącej po rzece.

— Ten obraz to moja chluba — oświadczyła madame Conti.

— Namalował go pewien artysta z Zachodu, Bingham.

Niepotrzebnie szczyci się tym tak bardzo pomyślał Bent, popijając szampana. Jego wzrok spoczął na portrecie młodej kobiety, wiszącym za lewym ramieniem madame Conti. Rysy twarzy pięknej, ciemnowłosej istoty wydały mu się znajome, nie mógł sobie jednak przypomnieć, skąd ją zna.

Madame Conti dostrzegła jego ożywienie.

Och, podoba się panu? Pracowała tu wiele lat temu. Była jeszcze ładniejsza niż moja mała Otille. I oczywiście bardziej kosztowna.

Dziwka — pomyślał. — Chyba nie pozwoli zapomnieć o rachunku!

I raptem przypomniał sobie, gdzie widział tę egzotyczną twarz z obrazu — widniała na dagerotypie rodziny Charlesa Maina!

Nie, nie, jedną chwilę. Ta uśmiechnięta zalotnie kobieta nie była tą samą kreolską ślicznotką, której zdjęcie oglądał w Teksasie. Podobieństwo było uderzające, ale jednak istniały drobne różnice. Może to siostry?

Któż to taki, madame?

Przybrane klejnotami bransoletki zadzwięczały, kiedy siwowa kobieta uniosła rękę, aby napić się szampana.

Myszę, że nie muszę czynić z tego tajemicy. To była biedna dziewczyna, która zaszła wysoko i zaszłaby jeszcze wyżej, gdyby nie to, że zmarła. Zrezygnowała z pracy u mnie, aby zostać szanowaną i akceptowaną powszechnie żoną pewnego zamożnego fabrykanta z Nowego Orleanu.

Zachwycający jest ten smagły odcień jej ciała. Widać, że malarz był pod wrażeniem.

— Jedyńie pod wrażeniem tego, co ujrzał na własne oczy.

Chece pani powiedzieć, że jej skóra miała istotnie taką karnację?

— Tak, monsieur Benton.

— Jestem zafascynowany. To piękny, romantyczny obraz...

— Nachylił się lekko do przodu. Jako wytrawny intrygant potrafił być subtelny, kiedy wymagała tego sytuacja. — Jak

zakończyła się ta historia? O ile oczywiście zachce mi pani o tym opowiedzieć...

Przesunęła krzesło, wpatrując się teraz z rozrzewnieniem w twarz na portrecie.

— Moja droga wychowanka obdarzyła swego kochającego męża córeczką, ale niestety zmarła. Zanim również drogi ojciec tej dziewczynki pożegnał się ze światem doczesnym, odesłał ją bardzo daleko, aby mogła zrobić dobrą partię. Dziewczyna miała tak białą skórę jak pan czy ja, ale w tym mieście byli ludzie, którzy wiedzieli o pochodzeniu jej matki.

A więc to o takie pokrewieństwo chodziło: matka i córka. Bent wpatrywał się w obraz jak urzeczony.

— Wiedzieli, że dziecko nie jest Francuzką czy Hiszpanką, lecz w jednej ósmej Murzynką. Jakiś czas temu młode, atrakcyjne kobiety mieszanej krwi mogły liczyć na spore powodzenie. Ale teraz już nie. Przyczynił się do tego zamęt wokół sprawy niewolnictwa. Dzisiaj... — wzruszyła wymownie ramionami i uśmiechnęła się melancholijnie — ...być w jednej ósmej Murzynką, nawet jeśli ma się białą skórę, to dokładnie to samo, co być pełnokrwistą Murzynką... Co się stało, monsieur Benton?

Ręka Benta drgnęła, trochę szampana pocięło na wytworny dywan.

— To tylko moja nieostrożność. Najmocniej przepraszam.

Wyciągnął chusteczkę i schylił się, aby wytrzeć plamę, co w znacznym stopniu utrudniał mu wydatny brzuch.

Córka murzyńskiej dziwki związana z tą arogancką hołotą, Mainami? Z pewnością nie przyszło im to w ogóle do głowy; żadna kobieta z domieszką krwi czarnych nie mogłaby się znaleźć na grupowym zdjęciu rodziny plantatora z Południa! Jakaż to cenna informacja! Nie wiedział jeszcze, jak i kiedy ją wykorzysta, nie wątpił jednak ani przez chwilę, że to uczyni.

— Madame, miała pani zupełną rację. Ten szampan rzeczywiście uspokaja. — Jego spocona twarz promieniowała teraz radością. — Usługi tej młodej damy były nadzwyczaj satysfakcjonujące, niesłusznie więc sarkałem na cenę. Oczywiście zapłacę żadaną sumę. Dam jej nawet, o ile pani pozwoli, sowity napiwek.

Madame Conti spojrzała na potężnego Murzyna, który od kilku minut czyścił sobie paznokcie długim nożem. Na ten dyskretny sygnał schował nóż.

— Ależ oczywiście — odparła, kiwnąwszy wdzięcznie głową.

Z teksaskiego nieba padał zimny deszcz. Charles siedział osowiały, patrząc na ostatni kufer, podnoszony właśnie i wstawiany obok innych do wojskowego ambulansu. Kufry należały do pułkownika Lee.

Pięć dni temu, 8 lutego, Charles i dwaj inni żołnierze opuścili Camp Cooper, aby przekazać dowódcy pułku pilne wieści. Walcząc z niepogodą przebyli sto sześćdziesiąt pięć mil, a na miejscu dowiedzieli się, że Lee został odwołany i wezwany przez generała Scotta do Waszyngtonu. Nie ulegało wątpliwości, że Scott zażąda od niego deklaracji intencji i lojalności.

Wyjazd pułkownika Lee był jeszcze jednym dowodem, że w kraju rozprzestrzenia się chaos. Mimo iż ważne stany pogranicza, jak Tennessee czy rodzinny stan Lee, Wirginia, nie przyłączyły się jeszcze do zwolenników secesji. Teksas wystąpił z Unii na początku miesiąca wbrew radom gubernatora Houstona.

W tym samym czasie gdy Charles odbywał podróż do dowództwa pułku, w Alabamie ukonstytuował się nowy rząd konfederacki. Tymczasowym prezydentem został Jefferson Davis, uchwalono też tymczasową konstytucję.

Prezydent-elekt, Lincoln, jechał tymczasem pociągiem z Illinois na wschód. Kilkakrotnie musiał przerwać podróż, aby wygłosić przemówienia do swoich wyborców. W Waszyngtonie senator Crittenden wniósł kilka desperackich propozycji kompromisu w sprawie niewolnictwa, ale wszystkie jego wysiłki zakończyły się niepowodzeniem. Senat, w którym nie było już przedstawicieli stanów bawełnianych, uchwalił bez przeszkód przyłączenie Kansas do Unii jako wolnego stanu.

Dowództwo nad garnizonem w Fortcie Sumter, otoczonym przez baterie i artylerzystów z Karoliny Południowej, którzy nie mogli doczekać się zbrojnego starcia, sprawował nadal major Anderson. Charles zastanawiał się często, czy Billy przebywa jeszcze w fortcie. Anderson wysłał już wielu żołnierzy do Waszyngtonu z meldunkami lub prośbami o instrukcję. Może wśród nich znalazł się również Billy? Charles modlił się z całego serca, aby jego przyjaciel zdołał wydostać się bez szwanku z obłożonego fortu.

Posterunki graniczne w Teksasie wrzały, rozeszły się bowiem pogłoski o zamiarze przejęcia ich przez wojsko lub jednostki Texas Rangers. Generał Twiggs, jakkolwiek znany ze swych sympatii wobec Południa, zwracał się czterokrotnie do Waszyngtonu z prośbą o rozkazy. Za każdym razem otrzymywał jednak niejasne i mało znaczące odpowiedzi.

Sytuację w armii odzwierciedlało znakomicie wydarzenie opisane w gazecie z San Antonio. W styczniu dyrektorem Akademii Wojskowej został jeden z jej najznakomitszych absolwentów, Pierre Beauregard. Funkcję tę pełnił przez niespełna tydzień; został odwołany, gdyż secesja Luizjany rzuciła nań cień podejrzenia. Żołnierze, którzy wspólnie przelewali krew w Meksyku, dzielili się chlebem i razem znosili trudy wieloletniej służby wojskowej, traktowali się teraz jak potencjalni wrogowie,

zdolni do każdej niemal zdrady. Wszystko to przygnębiało Charlesa, który nadal nie potrafił podjąć decyzji o własnej przyszłości.

Teraz czekał w deszczu na Lee w otoczeniu dziewięciu innych oficerów. Wreszcie pojawił się pułkownik, oficerowie występowali jeden po drugim, aby pożegnać się i życzyć mu powodzenia. Ostatni w szeregu i zarazem najmłodszy wśród oficerów był Charles.

— To był dla mnie zaszczyt, służyć pod pana rozkazami, sir — powiedział.

— Dziękuję, poruczniku.

— Życzę panu bezpiecznej podróży.

— Cóż, przyznam, że nie bardzo podobają mi się okoliczności, które zmuszają mnie do jej odbycia. Ale niezależnie od tego chciałbym panu coś powiedzieć. Jest pan dobrym oficerem. I takim też z pewnością pan pozostanie niezależnie od zmian, które mogą nastąpić.

— Dziękuję, sir.

Lee odwrócił się i ruszył przed siebie. Charles był tak silnie wzburzony, że zignorował protokół. Panie pułkowniku? Lee, który doszedł już do ambulansu, przystanął. Tak?

— Jaką stronę pan obierze, sir? Północ czy Południe?

Lee potrząsnął głową.

Nigdy nie potrafiłbym obrócić broni przeciw Stanom Zjednoczonym. Ale co będzie, jeśli wyłoni się potrzeba, abym stanął z muszkietem w dłoni w obronie mojej ojczystej Wirginii? Mogę przysiąc; miałem nadzieję, że uda mi się uniknąć podobnego dylematu. Myślałem, że prezydent Buchanan utrzyma pokój pomiędzy zwaśnionymi stronami, apelując do patriotycznych uczuć wszystkich obywateli, on jednak zawiódł. Myślałem, że wpływ chrześcijaństwa rozwiąże problem niewolnictwa, ale nie uczynił tego. Ja sam posiadałem niewolników i z tego powodu dręczyło mnie sumienie. Ten system przeminie, i tak powinno się stać. Co do secesji... moim zdaniem to nic innego, jak rewolucja. Ale sens tej chwili jest taki, że ludzie ciesząc się poważaniem stworzyli na fundamencie secesji i niewolnictwa nowy rząd. I dlatego nie jestem pewien przyszłości, nie wiem też, jaka będzie moja reakcja. — Mokra od deszczu twarz pułkownika wydawała się zmizerowana. Jestem pewien tylko jednego. Niezależnie jak odpowiedzieliby na pańskie pytanie inni, mężczyźni czy kobiety, wynik tego, na co pozwoliliśmy ekstremistom, może być moim zdaniem tylko jeden: złamie nas wszystkich. Do widzenia, poruczniku.

Zajął miejsce obok woźnicy. Pojazd ruszył rozpryskując na boki błoto. Szybko zniknął w oddali.

Charles cofnął się do palisady. Po namyśle doszedł do przekonania, że Lee miał rację. Zanim to całe straszliwe zamieszanie przeminie, i Północ, i Południe ucierpią srodcze. Będzie to bolesna nauuczka.

Dwa dni później w San Antonio stary Davey Twiggs poddał się, przekazując całą własność federalną w Teksasie stanowym siłom zbrojnym. Żołnierzy, którzy pragnęli pozostać lojalni wobec Unii, wezwano do bezwłocznego opuszczenia terenu. Uzyskano obietnicę, że dla celów bezpieczeństwa odprowadzi ich eskorta, chociaż nikt nie wiedział dokładnie, jak daleko.

Charles powrócił właśnie z Fortu Mason i zjawił się w Camp Cooper na godzinę przed wyjazdem kontyngentu Unii. Oddziałem dowodził kapitan Carpenter z I Pułku Piechoty. Część żołnierzy dosiadła koni, resztę stanowili piechurzy.

Charles, brudny i wycieńczony po wielu godzinach spędzonych w siodle, obserwował jadącą dwójkami Kompanię K z Ohio. Jednym z wyjeżdżających był kapral Tannen, który uczestniczył w wydarzeniach na farmie Lantzmana jako szeregowy. Swój awans zawdzięczał Charlesowi. Teraz rzucił okiem na tych, którzy postanowili pozostać, przechylił się w siodle i splunął.

Ten, kto tu zostaje, nie jest godzien munduru powiedział wystarczająco głośno, aby usłyszeli go wszyscy obecni.

Cóż to znowu, kapralu? zawołał Charles.

Tannen zmierzył go wzrokiem.

Powiedziałem, że skoro pan zostaje, jest pan po prostu tchórzliwym zdrajcą.

— Coś mi się zdaje, że okradziono mnie z rangi odparł Charles, zdejmując naszyjnik z niedźwiedziej pazurów, a potem brudną, przemoczoną koszulę. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, chwycił rewolwer i podał go kawalerzyście z Alabamy, który stał obok.

To, żeby nikt nam nie przeszkodził.

Tamten uśmiechnął się, kiwnął głową i ścisnął mocniej broń. Charles zbliżył się do Tannena.

Kiedyś pomógł mi pan i jestem za to wdzięczny. Ale ta uwaga wyrównuje nasze rachunki.

Siedzący na grzbiecie konia Tannen spojrział nań z góry.

— To dobrze. A teraz spieprzaj!

Charles wyciągnął rękę, a kiedy Tannen usiłował uderzyć go w twarz lejcami, pochwycił je i owinał wokół dłoni kaprała. Koń począł brykać.

Tannen dobył szabli, ale Charles wytrącił mu ją z ręki, po czym ściągnął kaprała z siodła i zaczął okładać go pięściami tak długo, aż nos Tannena przybrał wygląd rozgniecionych jagód.

Charles z trudem łapiąc oddech, zwrócił się do wyjeżdżających żołnierzy:

— Podnieście go, jeśli chcecie go wziąć ze sobą. A następnego, który nazwie mnie zdrajcą, zabiję.

Zdjął nogę z pleców Tannena i stał z opuszczonymi rękami, dopóki żołnierze nie rzucili Tannena na grzbiet konia. Niebawem oddział Unii odjechał.

Nim upłynęła godzina, Charles napisał rezygnację. Potem spakował swoje rzeczy. Ponieważ nie było żadnego wyższego oficera, który przyjąłby wniosek i przesłał go do Waszyngtonu, Charles wbił gwóźdź w drzwi swej kwatery i nadział nań kartkę. Kilka minut później zdążył w stronę zatoki.

Lee rozważał rozmaite subtelności filozoficzne, ale o jego przyszłości zdecydowano w sposób o wiele prostszy. Ech, to nic! Nigdy nie należał do wielkich myślicieli, był raczej zawadiaką i kawalerzystą. Południe może potrzebować ludzi jego pokroju, tak jak potrzebują filozofów.

Niechętnie opuszczał Teksas, naprawdę zdążył go pokochać. Był przekonany, że niewolnictwo jest systemem głupim i skazanym na zagładę. Ale jego natura kazała mu wracać do domu. Bezlitośnie przynaglił konia; popędzał go, dopóki nie dotarł na wybrzeże.

KSIĘGA CZWARTA

Marsz ku ciemności

„Powiadam wam, że szaleje pożar. Dziś wrzucono płonąca pochodnię do świątyni wolności konstytucyjnej i, na Boga, nigdy już nie będzie pokoju.”

Adwokat James Petigru z Charleston podczas uroczystości z okazji secesji,
20 grudnia 1860 roku

59

Z każdym dniem Sumter coraz bardziej przypominał więzienie.

Billy zajmował wilgotny pokój o ścianach z nie otynkowanej cegły, który znajdował się w szyi fortecy, w części oficerskiej. Pokój był przez większość dnia ciemny, co przygnębiało Billy'ego jeszcze bardziej. Garnizon zużył już niemal wszystkie świece i zapalki, które pani Doubleday kupiła w styczniu, w przededniu wyjazdu jej i innych kobiet z fortu na Północ. Billy zachował kawałek świecy; zapalał ją codziennie na kilka chwil, aby postawić kolejny znak w swoim prymitywnym kalendarzu: pionowe kreski na murze. Był luty, Billy postawił dotąd dwadzieścia jeden kresek.

Brett nie widział od dawna. Nie należał do tych, którzy co parę dni wyjeżdżali do miasta po peklowaną wieprzowinę i warzywa. Ten system aprowizacyjny istniał nadal dzięki tolerancyjnej postawie gubernatora Pickensa i naleganiom niektórych wpływowych obywateli Charleston.

W mieście była też pewna liczba dżentelmenów równie wpływowych, ale o odmiennych poglądach. Im z kolei fakt zaopatrywania się garnizonu w żywność i pocztę na terenie miasta nie podobał się, co zresztą powtarzali publicznie przy każdej okazji. W jednym z listów Brett poinformowała Billy'ego, że zwłaszcza Rhett z redakcji „Mercury” upierał się, by zmusić garnizon do kapitulacji głodem. Billy podejrzewał, że z takim samym zamiarem nosi się gubernator, chce jednak

osiągnąć cel innymi środkami. Pickens nie pozwolił na przykład czterdziestu trzem murarzom i kamieniarzom na opuszczenie Fortu Sumter, licząc zapewne, że w ten sposób zapasy żywności skończą się szybciej, co z kolei przyspieszy moment, kiedy Anderson poprosi o ustalenie warunków kapitulacji. Wielu oficerów twierdziło otwarcie, że gubernator mydli im oczy i działa bezprawnie. Doubleday uważał, że robotników można było przewieźć na ład pod osłoną nocy, jeśli Anderson naprawdę chciał się ich pozbyć, ale oczywiście nie powiedział tego w obecności Andersona, komendant zaś, świadom olbrzymiego ryzyka, które wiązało się z wszczęciem konfliktu z władzami lokalnymi, wystrzegając się wszelkich pochopnych kroków.

Brett informowała również, że oddział aprowizacyjny przychodzi na rynek w Charleston i opuszcza go z muszkietami gotowymi do strzału. Towarzyszy im podniecony tłum, który raz po raz wykrzykuje nazwisko Doubledaya; jako tak zwany czarny republikanin on właśnie był najbardziej znienawidzony w mieście. Gdyby jego noga powstała w Charleston, zostałaby jak przypuszczała Brett natychmiast pochwycony przez tłum i zlinczowany.

W tej sytuacji Doubleday, podobnie jak Billy, był więźniem w forcie.

Billy nie narzekał na brak zajęć. Kiedy robotnicy, których pracę nadzorował, zamurowali już beużyteczne okna na pierwszym piętrze, Foster zatrudnił ich przy głównej bramie. Po wewnętrznej stronie wzniesiono grubą ścianę z cegieł, pozostawiając w samym środku wąskie przejście, zamykane na rygiel, po czym z rozkazu Andersona przestawiono dwudziestocetnifuntową haubicę tak, aby można z niej było otworzyć ogień na to przejście.

Wszystkich w forcie jakby ogarnęło odrętwienie. Dzień pracy był długi, zwykle zmęczenie potęgowało napięcie. Okres okazał się szczególnie ciężki dla kapitanów Seymoura i Doubledaya; na zmianę pełnili służbę jako oficerowie dyżurni, co drugą noc każdy z nich spędzał bezsennie.

Powaga sytuacji czyniła żołnierzy bardziej otwartymi, nie trzymali się już sztywno protokołu. Uwidocznilo się to pewnego popołudnia, kiedy Doubleday i Billy obserwowali niewielki szkuner, który przybił do brzegu przy Morris Island. Statek przywiózł ładunek stalowych szyn, którymi miano umocnić stanowiska artylerii na Cummings Point, niecałe tysiąc dwieście jardów od fortu.

— Coś podobnego! wykrzyknął Doubleday. — Jeszcze dajemy im czas na rozmieszczanie dział i sprowadzanie amunicji!

Była to prawda. Od starannie ufortyfikowanego za pomocą bel bawełny i worków z piachem Moultrie aż do Cummings Point cały teren naszpikowany był teraz działami, które stanowiły poważne zagrożenie dla fortu. Oddziały artylerii stanowej nieprzerwanie odbywały ćwiczenia i nawet teraz Billy dostrzegł żołnierzy krzątających się wokół tuzina dział, nad nimi powiewały obce flagi z palmami czy pelikanami.

Podobnie jak większość członków garnizonu Billy odniósł wrażenie, że major Anderson jest człowiekiem przyzwoitym i sumiennym, ale zarazem dosyć starym i pobożnym. Poczul, że powinien zareagować jakoś na nie wypowiedzianą krytykę.

— Gdyby major chciał temu przeszkodzić, natychmiast wciągnąłby cały kraj w krwawą wojnę. Na jego miejscu nie chciałbym ponosić takiej odpowiedzialności, sir.

— Ani ja — warknął Doubleday. — Może mi pan wierzyć: doceniam wagę dylematu, ale nie zmienia to w niczym faktu, że dalsze niezdecydowanie powiększa jedynie groźbę, która wisi nad nami.

— Sądzi pan, że pomoże tu coś konferencja pokojowa? zapytał Billy. Władze Wirginii wystąpiły z inicjatywą zwołania ogólnokrajowej konferencji, a eks-prezydent Tyler zaproponował jako miejsce spotkania Willard's Hotel w Waszyngtonie, jednakże kilka znaczących stanów, w tym Michigan i Kalifornia, odmówiły wysłania swoich delegatów.

Doubleday na pytanie Billy'ego odpowiedział otwarcie: Nie. Moim zdaniem nie można już uratować Unii i jednocześnie znieść niewolnictwa. Uderzył pięścią w parapet.

Chciałbym, aby major zapomniał na godzinę o swoich rozkazach i pozwolił nam na zniszczenie tamtych baterii. Jeśli tego nie uczynimy, już niebawem otoczy nas pierścień ognia.

Pierścień ognia. Trafne określenie — pomyślał Billy, spoglądając na sztauerów rozładowujących szkuner. Ze wszystkich stron, z wyjątkiem otwartego morza, wycelowane były w Fort Sumter działa Karoliny Południowej. — Czy nie jest nieuniknione, że ktoś, przypadkowo albo na wyraźny rozkaz, wystrzeli któregoś dnia z jednego z nich, wywołując w ten sposób wojnę?

Następny list od Brett potwierdził grożące niebezpieczeństwo. Całe Charleston ogarniała gorączka wojny. Doubleday i inni żołnierze przypuszczali, że właśnie dlatego prezydent Davis nalegał tak usilnie na przejęcie przez nowy rząd baterii w Charleston. Wysłał oficjalnych emisariuszy do Waszyngtonu z żądaniem oddania spornej własności.

Kilka dni później, wieczorem, Billy usłyszał od samego Andersona jeszcze jedną zdumiewającą wiadomość.

- Davis wysłała swego własnego oficera jako dowódcę baterii.
— Major westchnął ciężko i dodał: — Beauregarda.

Stali obok jednej z dziesięciocalowych kolubryn. Połowa z czterdziestu ośmiu dział broniących Fortu Sumter znajdowała się pod gołym niebem, pozostałe w kazamatach. Mniej więcej w odległości pięćdziesięciu jardów od fortu przepływała „Nina” — jeden z dwóch stanowych parowców patrolowych, odbywający rutynową inspekcję portu. Widoczni na rufie snajperzy rozpoznali Andersona i pozdrowili go szyderczym salutem. Wysoki komendant o głęboko osadzonych oczach nie drgnął nawet.

— Kapitan Beauregard z Luizjany? — zapytał Billy.

— Teraz już generał brygady Beauregard. Oficer Skonfederowanych Stanów Ameryki. Kiedy w roku trzydziestym szóstym i trzydziestym siódmym uczyłem w Akademii sztuki artyleryjskiej, Beauregard należał do moich najlepszych uczniów. Był tak dobry, że kiedy ukończył uczelnię, wyznaczyłem go na mego asystenta. — Wzrok majora przesunął się po baterii w pobliżu Cummings Point. — Obawiam się, że niebawem te działa zostaną rozmieszczone bardziej fachowo. — Obrócił się raptem twarzą do swego podwładnego. Światło zachodzącego słońca, które oblewało dachy i wieże miasta, czyniło jego twarz jeszcze bardziej wynędzniałą. — Ale właściwie, poruczniku, chciałem pana zapytać o pańską młodą damę. Czy ona nadal jest w Charleston?

— Tak jest, sir. Otrzymuję od niej listy niemal codziennie.

— Czy w dalszym ciągu zamierzacie się pobrać?

— Oczywiście, sir. Ale w tych okolicznościach wydaje się to raczej niemożliwe.

— Niech pan tak nie mówi. Jak pan wie, kapitan Foster nie lubi, kiedy wy, dżentelmeni z wojsk inżynieryjnych, służycie w oddziałach liniowych. — Wszyscy oficerowie inżynieryjni zgłosili się na ochotnika do jednostek liniowych, ale Foster nie zgodził się na to. — Tak więc, kiedy skończy pan swoje zadanie, pomyślę o pańskiej sytuacji.

Nadzieje Billy'ego odżyły, ale zarazem poczęła dręczyć go inna wątpliwość.

— To bardzo szlachetnie z pana strony, sir, jednak nie chciałbym wyjeżdżać, gdyby miało tu dojść do wrogich aktów.

— Nie będzie żadnych wrogich aktów — szepnął Anderson. — W każdym razie nie z naszej inicjatywy. Czy wyobraża pan sobie, jak katastrofalne skutki miałyby atak zbrojny jednych Amerykanów na drugich? Uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby nie dopuścić do konfliktu. I mogę przyznać się bez wstydu, że każdego wieczoru padam na kolana błagając Boga, aby pozwolił mi dotrzymać tej obietnicy.

Kontrast z kipiącą zadzierzystością Doubledaya był aż nadto

widoczny. Billy spoglądał na gasnące za dachami słońce i myślał już tylko o jednym: o nadziei, którą rozbudziły w nim słowa Andersona. Z drugiej jednak strony nie chciał ulegać jej, gdyż obawiał się ewentualnego rozczarowania.

Powoli rozejrzał się po porcie, zatrzymując wzrok na działach rozmieszczonych wokoło. Rozróżniał je wszystkie: duże kolubryny, móżdziejce, działa dwudziestoczworo-, trzydziestodwu-, a nawet czterdziestodwufuntowe.

Pierścień ognia, który ktoś mógł wzniecić nieumyślnie lub na wyraźny rozkaz. Kiedy słońce zaszło, ogarnął go znowu przytłaczający pesymizm.

Tego samego wieczoru Orry zszedł z pokładu szkunera na przystań w Mont Royal, a w dwadzieścia minut później przywitał się z Charlesem w bibliotece.

— Jak mają się rzeczy w Charleston? — zapytał Charles, nalewając dwa kieliszki whisky.

— Niedobrze. Interesy zamierają. Kupcy zaczynają narzekać.

— Ludzie wyjeżdżają z miasta?

— Wprost przeciwnie. W Charleston nigdy jeszcze nie było takiej masy turystów. Ale wydają tylko tyle pieniędzy, ile naprawdę muszą. Zresztą, to samo można powiedzieć o mieszkańcach miasta.

— No cóż, wcale mnie to nie dziwi. Kto roztrwaniałby pieniądze, kiedy wojna domowa wisi na włosku, a za dwa tygodnie bochenek chleba może kosztować dwadzieścia dolarów?

Z uśmiechem przypominającym raczej grymas Charles opadł na fotel, opierając nogę o poręcz. Przez dzień lub dwa czuł się szczęśliwy, że wrócił do domu, ale dobry nastrój opuścił go bardzo szybko. Sprawę Benta przedyskutowali z Orrym od A do Z i chociaż poznał zaledwie parę nowych faktów, uświadomił sobie, że nie potrafi zrozumieć ogromu nienawiści tego człowieka. Z pewnością to uczucie wypali się samo, kiedy wybuchnie wojna. W każdym razie Charles był przekonany, że ich drogi nie skrzyżują się nigdy więcej.

Ale Bent nie był jedyną przyczyną jego złego nastroju. Tęsknił za Zachodem i — ku swemu zaskoczeniu — nie czuł się już w Karolinie Południowej jak u siebie w domu. Nie śmiał przyznać, że przychodzi mu do głowy tylko jedno antidotum: walka.

— Wieści są coraz gorsze — zauważył Orry odstawiając kieliszek. — Nowy rząd nie cieszy się uznaniem. Formując go, Davis zapomniął najwidoczniej o Karolinie Południowej.

Charles przyjął to do wiadomości, postanowił ialetló.teli&t tozmowy.

— Co słyhać na Tradd Street? — zapytał.

— Cooper radzi sobie dobrze, przynajmniej na tyle, na ile jest to możliwe zważywszy, iż statek trzeba spisać na straty, a część posiadłości została wykorzystana jako jeszcze jedno stanowisko artylerii. Przypuszczam, że miał do wyboru wyrazić na to zgodę albo liczyć się z możliwością podpalenia stoczni przez dziki tłum. Judith i Brett troszczą się o niego z całego serca, ale Cooper jest naprawdę przybity. Sprawdziły się jego najgorsze przeczucia.

— Widziałeś się z Ashton?

— Nie. Słyszałem, że James jest teraz w komitywie z gubernatorem Pickensem. I chociaż w Montgomery wyraźnie lekceważą polityków z Karoliny Południowej, chodzą słuchy, że James stara się o jakieś dobre stanowisko. Aha... i jeszcze coś; dowiedziałem się z wiarygodnych źródeł, że przygotowania do wojny doprowadziły gospodarke naszego stanu do ruiny.

— A co z obligacjami na siedemset tysięcy dolarów, które chcieli rozpisać?

— Brak chętnych.

— Cóż, może wszystko jakoś wróci do normy. Może problem fortu zostanie rozwiązany drogą pokojową.

— Prezydent Davis oświadczył, że zajmie Sumter w wyniku negocjacji albo siłą. Inauguracja prezydentury Lincolna odbędzie się za dwa tygodnie. Może wtedy będziemy już wiedzieli, w jaki sposób załatwiono tę sprawę.

W pogrążającej się w mroku bibliotece dwaj byli żołnierze wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę, żaden nie wątpił, że nadciąga burza oczekiwana z taką niecierpliwością przez ludzi rządzących tym stanem.

Mniej więcej czterdzieści osiem godzin później Huntoon stał przy relingu statku patrolowego „Nina”; w jednej ręce trzymał talerz z sałatką z kurczaka, w drugiej kieliszek tokaju.

Okolo trzydziestu mężczyzn wyszło na pokład, aby przed zachodem słońca obejrzeć fort będący przedmiotem sporu. Na rufie pod pasiastą markizą rozstawiono zimne dania, przygotowane przez specjalnie wybrane na tę okazję damy; jedną z bardziej znaczących kobiet wśród nich była Ashton. Podawaniem potraw zajmowało się pół tuzina niewolników wypożyczonych od kilku plantatorów.

Z północnego wschodu wiał porywisty wiatr, zapowiadający mroźną lutową noc. Huntoon mlaskając jadł z apetytem. „Nina” zawróciła w głównym kanale żeglugowym i wzięła kurs na miasto, koło łopatkowe statku spieniło spokojną dotąd wodę.

— Wie pan, gubernatorze — odezwał się Huntoon do stojącego tuż obok niego mężczyzny — brak zdecydowanej akcji odbierany jest przez wielu obywateli jako rzecz nadzwyczaj irytująca.

— Niestety mam związane ręce — odparł Pickens. — Wkrótce zjawi się tu generał Beauregard, a prezydent Davis oświadczył kategorycznie, że w okresie przejściowym on będzie dowodził, nie ja.

— Hmm. — Huntoon upił trochę wina. A ja myślałem, że Karolina Południowa ogłosiła secesję, aby zachować suwerenność. Czyżbyśmy podlegali już kolejnemu rządowi centralnemu?

Pickens zerknął za siebie przez ramię, aby upewnić się, czy nikt nie podsłuchuje.

— Na pana miejscu- nie mówiłbym tak głośno... ani tak krytycznie. Chyba, że nie zależy już panu na ciekawym stanowisku w Montgomery.

— Oczywiście, że zależy. Jestem zdania, że potrzeba tam właśnie ludzi odważnych i z zasadami. Musimy napędzać bieg wydarzeń.

— James, jest pan zbyt porywczy — zaczął gubernator, ale Huntoon przerwał mu natychmiast:

— Nonsens, sir. Jeśli będziemy się ociągać, zaczną działać inni. Wczoraj byłem świadkiem poważnej dyskusji na temat kolejnej secesji. Pewni wpływowi plantatorzy rozważają możliwość zerwania z rządem Davisa i zwrócenia się do Wielkiej Brytanii z wnioskiem o uczynienie z Karoliny Południowej protektoratu.

To niedorzeczność! — wykrzyknął Pickens, ale w jego głosie dała się słyszeć nuta zdenerwowania. I nie bez powodu. Niedawno jego kolega i przyjaciel z okresu przygotowań do secesji, Bob Rhett, dowiedział się o planach Stephena Douglasa, który pragnął ocalić jedność Unii. Gubernator nie był zainteresowany projektem utworzenia kolonii brytyjskiej, ale jeszcze mniej odpowiadał mu pomysł pojednania narodowego.

— Jeszcze przez pewien czas musimy działać powściągliwie. Wysłannicy Davisa poniosą w Waszyngtonie fiasko. Do tego czasu Beauregard obejmie swoje stanowisko i będziemy mieli wojnę.

— Żywię gorącą nadzieję, że tak się stanie — mruknął Huntoon.

Zwrócił raptem uwagę na oficera obserwującego ich z ławy działowej fortu; rozpoznał Billy'ego Hazarda. Gestem pozdrowienia uniósł kieliszek z winem.

Jankes niedbale odwzajemnił gest, co Huntoon uznał za obrazę.

Będziemy mieli naszą wojnę, ty zaś znajdziesz się wśród jej pierwszych ofiar — myślał mściwie, podczas gdy parowiec patrolowy płynął z terkotem w stronę miasta.

60

Dłoń zacisnęła się boleśnie na ramieniu Brett. Brzmienie głosu i akcent wskazywały na kogoś z głębi kraju.

— Poczekaj, panienko, pytałem tylko, którędy do...

— Proszę zapytać kogoś innego. — Zaczęła się wrywać i kopnęła mężczyznę czubkiem buta w nogę.

Zaklął i sychnął wyzwiskami, owiewając ją odorem taniej whisky. Zebrała wszystkie siły, uwolniła się i puściła pędem wzdłuż Meeting Street. Napastnik, przysadzisty młodzian w niechlujnym ubraniu i szerokoskrzydłym, filcowym kapeluszu, pobiegł za nią.

Gnana strachem pędziła co tchu w lutowy wieczór, a kiedy ujrzała przed sobą Tradd Street, skrzyła w prawo. Jej prześladowca wykrzyknął coś jeszcze o tutejszych dziwkach, dał jednak za wygraną.

Dopiero po dłuższej chwili odważyła się obejrzeć. Napastnik przechodził właśnie na drugą stronę Meeting, wtapiając się w tłum. Wzdrygnęła się.

Charleston roilo się od przybyszów z całego Południa. Przyjeżdżali, aby zwiedzić miasto, popatrzeć na ćwiczebne pociski, rozrywające się na ciemnym niebie i kreślące na nim jakieś czerwone wzory, wysłuchać ulicznych mówców, wyrzekających na „niezdarną małpę z Illinois”*, pozachwycać się świetnie wyszkolonymi kadetami z Cytadeli i wyrazić niezadowolone z powodu krzykliwych barw i kroju mundurów noszonych przez członków milicji stanowej.

Większość turystów wstrzymywała się nadal od wydawania pieniędzy. Najczęściej była to zwykła hołota, tak jak młodzian, przed którym właśnie uciekła. Zaczepił ją, kiedy wracała do domu z rynku, gdzie dała żołnierzom z Fortu Sumter trochę sera, chleba, świec i zapalek.

Również tam zetknęła się z niebezpieczeństwem. Jeszcze teraz miała w pamięci wykrzywione złością twarze i wykrzykiwane pod jej adresem epitety, kiedy wręczała kapralowi ser. „Zdrajczyń” brzmiało najłagodniejsze z wyzwisk.

* Tu: chodzi o Lincolna.

— Pan Rhett i jego kompani zawsze narzekają na hołotę z Północy — powiedziała do Judith, kiedy dotarła bezpiecznie do domu. — Moim zdaniem tu, w Charleston, motłoch nie jest wcale lepszy.

— Tak, emocje rosną chyba z każdym dniem — przytaknęła Judith. Wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń syna. — Judah, nie baw się sosem!

Ale chłopiec nadal poruszał widelcem w misce. Marie-Louise siedząca przy drugim końcu stołu wierciła się niespokojnie na krześle.

— Mamo, czy tata znowu wyjdzie dziś wieczorem?

— Tak, ostatnio jest bardzo zajęty.

Oczy Judith i Brett spotkały się na moment; obie rozumiały sens tego kłamstwa. To nie sprawy zawodowe zmuszały Coopera do przebywania na James Island po zapadnięciu zmroku. Budowa „Gwiazdy Karoliny” utknęła parę tygodni temu w martwym punkcie, on jednak dzień kierował swe kroki do stoczni i zostawał tam do północy albo jeszcze dłużej. Wycieńczony i zmizerowany przywoził na myśl jakiegoś upiornego włóczęgę, który kręci się na miejscu katastrofy kolejowej i gmera wśród żelastwa, szukając wyjaśnienia — tak jakby to wyjaśnienie mogło naprawić zło. Brett martwiła się o brata niemal tak bardzo, jak o Billy'ego.

— Och, musisz przejrzeć numer „New York Herald”, który Cooper przyniósł przedwczoraj do domu — zawołała Judith. — Wystawiono nową sztukę. To o Forcie Sumter. W gazecie wymieniają nazwisko aktora, który gra rolę porucznika Williama Hazarda.

— Chcesz powiedzieć, że ta sztuka jest o prawdziwych ludziach?

— Tak. Anderson, Doubleday... są tam wszyscy.

— Czy to prawdziwy teatr czy tylko chęć zarobienia pieniędzy na modnym temacie?

— Myślę, że raczej to drugie — odparła Judith.

Brett westchnęła. Jak dziwne stało się to miasto i cały naród w ciągu zaledwie kilku tygodni. Krok po kroku Amerykanie wpadali w tryby niezrozumiałego szaleństwa, niemal wszystko było możliwe. Co gorsza, to szaleństwo stanowiło zagrożenie dla człowieka, którego kochała. Zewsząd dobiegały ją opinie, że w tym samym momencie, kiedy odbędzie się inauguracja Lincolna, wybuchnie wojna; Beauregard wyda rozkaz otwarcia ognia z dział, a osiemdziesięciu obrońców w Forcie Sumter padnie od kul armatnich, pchnięcia bagnetem czy też pocisków z muszkietów wroga.

Nocami prześladowały ją straszliwe majaki, sny, w których uczestniczyła w pogrzebie Billy'ego. Niebawem przestała sypiać,

bojąc się koszmarów. Odkąd opuściła Mont Royal, straciła dwadzieścia funtów na wadze, a sińce pod oczami ciemniały coraz bardziej.

W salonie wzięła nożyczki, aby wyciąć z gazety artykuł o przedstawieniu teatralnym. Dwa donośne grzmoty, które nastąpiły bezpośrednio jeden po drugim, sprawiły, że drgnęła wystraszona.

Moździerz — uświadomiła sobie natychmiast. — Bateria na Mount Pleasant. — Doszło do tego, że potrafiła zidentyfikować miejsce każdego wystrzału. Wielu mieszkańców Charleston posiadało tę umiejętność.

Kiedy echa kanonady przebrzmiały, Brett krzyknęła cicho; dopiero teraz zorientowała się, że na odgłos wystrzałów opuściła nożyczki, które zraniły ją w lewą dłoń. Nawet tego nie poczuła. Patrzyła na błyszczącą, czerwoną kroplę, która ściekała na przegub. Pojawiła się druga.

Widok krwi, odgłos wystrzałów z moździerzy i wspomnienie pijaka, który napastował ją na ulicy, wyzwiska, które padły pod jej adresem na rynku, złamały ją psychicznie.

— Billy... — szepnęła. — Billy!

Przycisnęła zakrwawioną dłoń do ust. Ze wszystkich sił usiłowała opanować dręczącą ją strach.

— Czy to znaczy, że ten ich cholerny prezydent wślizgnął się cichcem do Waszyngtonu?

— Tak, sir. Miał na sobie stare, zniszczone ubranie, zupełnie tak jak jego najmita, Pinkerton. Przyjechali sypialnym w środku nocy, niczym zwykli podróżni. A raczej: niczym przestępcy!

— A czemu Lincoln jechał normalnym pociągiem?

— Boi się zamachu, tak mówią. Gdybym znalazł się obok niego, sam bym... Och, dobry wieczór, panie Main.

— Dobry wieczór, panowie.

Z pełną niesmaku miną Cooper kiwnął głową, nie przyłożył jednak dłoni do kapelusza. Ci dwaj byli kapralami jakiejś stanowej jednostki artylerii, podległej dowódcy oddziałów na James Island, majorowi Evansowi.

Cooper podsłuchiwał ich złośliwą rozmowę, nadszedł od tyłu szopy, którą władze stanowe poleciły wznieść na skraju jego stoczni. Poinformowano go przy tym pisemnie, że rozkaz zostanie wykonany tak czy inaczej, nawet bez jego zgody. W szopie stał specjalny piec. Podczas bombardowania miano podgrzewać w nim pociski zapalające, aby wznieść pożar w Forcie Sumter.

Co za durnie — pomyślał Cooper, przechodząc obok nich i szopy.

Nocne, wilgotne powietrze podrażniło mu gardło. Zakasłał.

W Forcie Sumter płonęło niebieskie światło sygnalizacyjne. Spoglądał na nie, by nie patrzeć na stępkę swego nieukończonego statku, który tkwił nadal na swoim miejscu w gęstniejącej mgłę; jakby urągał wszystkim jego marzeniom dotyczącym Południa. No cóż, taki sam los spotkał Brunela; i on, bezsilny, patrzył na fiasko swoich planów.

Nieco dalej, przy baterii mózdzierzy, dostrzegł światła. Nie zamierzał iść w tamtym kierunku. Przykucnął na brzegu, nabrał całą garść piachu i zapatrzony we mgłę wysypał go powoli przez palce.

Ostatnio stanął przed koniecznością podjęcia decyzji. Minister do Spraw Marynarki Wojennej, Mallory, zadeszował do niego z Montgomery, informując, że wysła dwóch członków Komitetu Floty. Mieli zjawić się o świcie. Cooper wiedział, o co im chodzi.

O jego magazyny. Jego stocznię. Jego statki.

Uważał, że nowy rząd obrał błędny kierunek, że popełnia fatalny błąd.

Ale w takim razie dlaczego zdręcza się myślami, dlaczego zastanawia się, co powiedzieć wysłannikom Mallory'ego? Przecież już wie, jak będzie brzmiała odpowiedź.

Rozmyślał o tym wszystkim, gdyż lojalność wobec stanu nie dawała mu spokoju, atakowała uporczywie jego sumienie niczym fale oceanu powracające na brzeg. Był już zmęczony, nie potrafił jednak uczynić nic, aby przeciwdziałać.

Wstał i zawrócił w stronę szopy. W brzuchu zaburczało donośnie i Cooper przypomniał sobie, że nie jadł od rana, kiedy to przełknął spiesznie kromkę czarnego chleba, spożywanego z apetytem przez Judith. Jedzenie nie interesowało go teraz, podobnie jak wszystkie inne sprawy liczyła się tylko jego decyzja. Jak miał postąpić?

Nie, to nie było właściwe pytanie. Każdy, kto uważał, że jest przy zdrowych zmysłach, powinien był opuścić Południe, gdy jeszcze było to możliwe. A więc pytanie należało sformułować inaczej. Jak postąpi?

Musiał zdecydować do jutra.

Rex, o czym szeptaliście? Ashton przechodziła właśnie obok spiżarni i ujrzała młodego niewolnika, który z niezwykłym ożywieniem rozprawiał o czymś ze starszym lokajem, Homerem. Chłopiec cofnął się przed swoją panią.

O niczym nie szeptalem, pani Huntoon... — Przeklęty czarnuchu, przecież słyszałam! Wyraźnie słyszałam słowo: Linkum!

Rex przełknął nerwowo ślinę.

— Linkum? Nie, proszę pani, przysięgam, że nigdy...

Przerwał w połowie zdania, czując na ramieniu dłoń Homera. Homer, niewolnik po czterdziestce, przygarbiony przez lata ciężkiej pracy, spoglądał na chłopca oczyma pełnymi rezygnacji.

— Kłamstwo nic nie da, tylko pogorszy wszystko. Lepiej przelknąć ten gorzki lek.

Odwrócił się do Ashton, demonstrując gotowość wyjawienia prawdy, ale Rex nie dawał za wygraną.

— Nie, Homer, ja nie...

Jęknął, kiedy Homer ścisnął go mocniej za ramię. Ashton oddychała teraz głośno i niemal chrapliwie.

— Ściągajcie spodnie, jeden i drugi!

Jej różga z orzechowego drzewa leżała na swoim miejscu w kuchni. Kucharka i jej dwie pomocnice spojrzały po sobie z trwogą, kiedy ich pani wpadła, chwyciła różgę i czym prędzej wybiegła z powrotem.

Ashton czuła się w obowiązku dusić w zarodku wszelkie przejawy fascynacji Lincolnem, zanim jego popularność przybierze groźne rozmiary. W Charleston, a właściwie już w całym stanie, niewolnicy jakby budzili się z odrętwienia, szepcząc to jedno słowo: Linkum. Ci, którzy umieli czytać, zdawali sobie sprawę, że rządzi on teraz na Północy. Reszta nie wiedziała o nim właściwie nic poza faktem, że jest republikaninem, czarnym republikaninem. A ich właściciele nienawidzili czarnych republikanów tak gorąco, że wniosek nasuwał się tylko jeden: „Linkum” musiał być przyjacielem Murzynów.

W spiżarni Homer i Rex opuścili spodnie i stanęli twarzami do ściany. Ashton poleciła im również zsunąć postrzępione kalessony. Zawahali się, po chwili uczynili jednak, jak kazała. Na widok lśniących, umięśnionych pośladków chłopca Ashton zadrżała.

— Pięć razy na głowę — powiedziała. — A jeśli usłyszę jeszcze raz, że któryś z was wymienia nazwisko tego łajdaka, dostaniecie po dziesięć... albo nawet więcej. Kto pierwszy poniesie karę?

— Ja, proszę pani — powiedział spokojnie Homer.

Piersi Ashton poczęły pęcznieć pod suknią. Dyszała ciężko. Dostrzegła, że Rex zerknął na nią bojaźliwie przez ramię i podniosła różgę.

— Nie, chyba nie ty — mruknęła.

Uderzenie było głośne niczym wystrzał, a Rex, który nie oparł się o ścianę wystarczająco mocno, uderzył o nią nosem. Zawył z bólu i ponownie zerknął za siebie; było to spojrzenie pełne wściekłości i furii, niemal mordercze.

— Patrz na ścianę, czarnuchu — upomniała go Ashton. Z całych sił zadała kolejny cios.

Homer zacisnął prawą dłoń, zwiesił głowę i zamknął oczy.

Kiedy było już po wszystkim, Ashton poczuła się tak, jak gdyby po chwilach spędzonych w samym sercu gwałtownej burzy znalazła się raptem w rejonie ciszy. Wróciła do swego pokoju i ułożyła się na szezlongu, zapadając niebawem w upojną drzemkę. Jej ciało ogarnął letarg.

Wyobraźnia ponownie podsunęła jej scenę chłosty. Najpierw widziała wszystko dokładnie tak, jak było. Rozkoszowała się wieloma towarzyszącymi karze odczuciami. Potem obraz nieco się zmienił: nie biczowała już czarnoskórego chłopca i czarnego mężczyzny, lecz skamlącego i wijącego się z bólu Billy'ego Hazarda.

I ona, i Forbes LaMotte czekali teraz bezczynnie, gdyż Billy tkwił w forcie, nie miał zezwolenia na wizytę w mieście. Ale może wszystko się odmieni, kiedy przybędzie spodziewany lada chwila generał Beauregard. Wcześniejsze próby zorganizowania napadu na Billy'ego i zranienia go nie były zbyt mądre; teraz to sobie uświadomiła. Oczywiście wołałaby zlikwidować go sama, ale jego śmierć w forcie byłaby również satysfakcjonująca i ją, i Forbesa.

Niemal machinalnie przesunęła dłonie niżej, w dół brzucha. Na górnej wardze i na czole wykwitły drobne krople potu. Zamknęła oczy, obserwując kolejną scenę malowaną przez wyobraźnię: ogień i tryskające na wszystkie strony kamienie, a pośród tego wszystkiego Billy. Artyleria Karoliny Południowej rozrywa Sumter na strzępy. Obraz Billy'ego ginął z wolna, a Ashton głaaskała się coraz gwałtowniej, dysząc ciężko.

Nie daj mi czekać — modliła się w duchu. O, Boże, nie daj mi czekać zbyt długo!

Jęknęła głucho, a jej ciało drgnęło silnie, przesuając szezlong o dwa cale w bok.

Przybysz z Georgii zatoczył się, a Forbes LaMotte przezornie cofnął się, aby nie upadł na niego. Mężczyzna runął twarzą w piach alejki. Z ołowianych chmur na marcowym niebie wydobył się przeciągły odgłos grzmotu.

Forbes zgiął prawą rękę, jakby chciał sprawdzić, czy jest cała, po czym poprawił sobie krawat. Tuż za nim stał smukły, błydy mężczyzna w wykwintnym ubraniu. Większą część walki pozostawił Forbesowi.

Przybysz z Georgii wsparł się na łokciach, usiłując wstać. Miał wybite trzy zęby, krew i ślina zalewały mu wargi i brodę. Forbes spokojnym ruchem położył mu nogę na głowie i przycisnął. Twarz mężczyzny znowu zniknęła w piachu.

Forbes sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął płaską, srebrzystą butelkę, po czym potrząsnął nią. Do połowy

pełna. Odkorkował, odchylił głowę do tyłu i opróżnił butelkę. Następnie wsunął ją do obszernej kieszeni z boku płaszcza i przeniósł wzrok na mężczyznę stojącego nieco dalej — jeszcze jednego przybysza z Georgii, dobrze ubranego, który opierał się o ścianę szopy, nie kryjąc nawet, jak bardzo jest wystraszony. Przez cały czas, kiedy Forbes bił i kopał jego kompana, przypatrywał się im biernie.

— I co teraz, sir? — wybełkotał Forbes. — Czy mamy kontynuować dyskusję, która zmusiła mnie do podjęcia tak drastycznych środków? Zastanówmy się nad tym. Kiedy pan Smith i ja natknęliśmy się na Battery na pana i pańskiego przyjaciela, był pan łaskaw krytykować na cały głos tych z nas, którzy mieszkają w Charleston. Powiedział pan, że uzurpujemy sobie prawo do przemawiania w imieniu całego Południa.

Młody mężczyzna o bladej twarzy, Preston Smith, postąpił krok do przodu.

— Uzurpujemy sobie w sposób arogancki. Tak dokładnie brzmiały jego słowa.

Forbes zamrugał.

— Pamiętam.

Preston Smith spojrzał złowieszczo na wystraszonego człowieka z Georgii. Lubił bijatyki, zwłaszcza gdy jego rola ograniczała się do patrzenia. Miał nadzieję, że zabawa nie skończyła się jeszcze.

— Powiedział też, że zachowujemy się tak, jak gdyby fakt, że ktoś urodził się w Karolinie Południowej, był szczególnie zaszczytny.

— Szczególnie zaszczytny — powtórzył Forbes i skinął nie dbale głową. — Właśnie to stwierdzenie rozłościło mnie najbardziej. Czubkiem buta trącił leżącego nieruchomo mężczyznę. — Wydaje mi się, że udowodniliśmy, że jest w tym trochę prawdy. Wy dwaj, panowie, trafiliście dziś na lepszych od siebie.

Preston zachichotał.

— Nie jestem przekonany, czy on w to wierzy, przyjacielu.

Forbes westchnął z przesadnym ubolewaniem.

Ha, rzeczywiście, chyba to prawda. Mam wrażenie, że powinniśmy i jemu udzielić nauczki.

Przekroczył nieprzytomnego nadal przeciwnika i ruszył w stronę drugiego, który najchętniej wtopiłby się w ścianę szopy, gdyby było to możliwe. Mężczyzna rozejrzał się na prawo i lewo, a kiedy Forbes zbliżył się do niego, wziął nogi za pas.

Na ten widok Preston wybuchnął śmiechem.

— Uciekaj, uciekaj, durniu! Na twoim miejscu nie zatrzymywałbym się aż w Savannah!

Uciekinier spojrzał jeszcze raz w popłochu za siebie, po czym zniknął. Forbes zaśmiewał się do łez.

Preston wyjął z kieszeni chustkę i pieczołowicie otrzepał sobie kolana i rękawy.

— Niech to diabli, jak ja nienawidzę tych wszystkich turystów! — oświadczył, kiedy Forbes podniósł swój kapelusz. — Wydaje im się, że mogą do nas przyjeżdżać i wygadywać, co im tylko ślina na język przyniesie!

— Naszym obowiązkiem jest przekonywać ich, że są w błędzie. Ale muszę przyznać, że to wzmaga pragnienie. Napijesz się?

— Ależ, Forbes! Jest dopiero druga po południu!

— Co to, u diabła, ma za znaczenie?

Preston powstrzymał się od odpowiedzi. Jak miał powiedzieć przyjacielowi, że za dużo pije? Ostatnio Forbes nie zajmował się niczym innym, jak tylko świętowaniem niepodległości Karoliny Południowej w miejscowych barach. A picie nie wpływało korzystnie na jego nastrój. Kiedy nie mógł znaleźć obiektu, na którym mógłby się wyładować — jak uczynił dopiero co potrafił rzucić się na własnego przyjaciela. Preston dostrzegł w jego oczach coś, co mogło oznaczać, że sytuacja staje się groźna, i czym prędzej pośpieszył z wyjaśnieniem.

Zadne, oczywiście, chciałem tylko powiedzieć, że chętnie bym z tobą poszedł, ale nie mogę... o drugiej miałem być u Doli Fancher. Chodź, odprowadzę cię do powozu, a potem ruszę swoją drogą.

Nie potrzebuję żadnego powozu — warknął Forbes. — Potrzebny mi jeszcze jeden kieliszek.

Szli w milczeniu pod ciemniejącym, zaciągającym się chmurami niebem. Kiedy Preston potknął się i wpadł na przyjaciela, Forbes odepchnął go gwałtownie.

Nogi zaniosły ich na Gibbes Street, a potem do Battery, gdzie natknęli się na grupę starszych mężczyzn, którzy odbywali musztrę z jeszcze starszymi muszkietami.

Oddział Straży Obywatelskiej działał w Charleston od paru tygodni. Były to nieoficjalne siły policyjne, przeznaczone do zastraszania niewolników i utrzymywania ich w posłuszeństwie na wypadek, gdyby wszyscy młodzi i silni mężczyźni zostali powołani do wojska. Preston pozdrowił jednego ze strażników, siwobrodego krewniaka, wuja Naba Smitha.

Forbes poczuł na czole krople deszczu, który szybko przerodził się w ulewę i okrył gęstą zasłoną sylwetkę Fortu Sumter.

Stangret Forbesa czekał w powozie przy tamie. Preston pomógł przyjacielowi wejść do środka, ale mimo to Forbes dwukrotnie spadł ze stopni. Kiedy opadł na siedzenie pokryte wiśniowym płuszem, skinął na Prestona.

— Wsiadaj, podrzucę cię do Doli Fancher.

— Nie, dzięki, to tylko kawałek. Będę tam, zanim twój stangret zawróci tę landarę.

Uśmiech Forbesa zamienił się w nieruchomy grymas.

— Do diabła, Preston, powiedziałam, że masz wejść i...
.. i — Spotkamy się za dzień albo dwa — przerwał mu Preston, nie chcąc przeciągać dyskusji.

W takim nastroju jak dziś Forbes podczas sprzeczki w saloonie zламаł kręgosłup pewnemu marynarzowi. Preston sprowokował wprawdzie awanturę, czyniąc kilka szyderczych uwag, ale potem i jego ogarnęło przerażenie na widok furii przyjaciela. Mając to wydarzenie w pamięci, oddalił się czym prędzej.

Forbes rozparł się wygodnie na poduszkach. Przez dłuższą chwilę głowił się nad przypomnieniem sobie daty. Ach tak, trzeci marca. Jutro w Waszyngtonie odbędzie się inauguracja prezydentury tej przekłetej małpy.

— Dokąd pan sobie życzy jechać, panie LaMotte? — zawołał stangret.

— Nie wiem jeszcze. Jedź przez Meeting, potem zobaczę.

Był zmęczony i znudzony. Właśnie dlatego pił tak dużo i wszczynał burdy z przybyszami. Przypadkowe schadzki z Ashton przestały już sprawiać mu satysfakcję. Oddziały miejscowej artylerii, którym zależało na uświetnieniu swych list prestiżowym nazwiskiem LaMotte, prosiły go, aby zaakceptował patent oficerski właśnie u nich, on jednak nie był zainteresowany ofertą. Nienawidził dyscypliny.

Mimo sporej ilości alkoholu, który wypił, był jeszcze na tyle przytomny, aby zdawać sobie sprawę ze szczególnego rozdrażnienia, od pewnego czasu biorącego nad nim górę. Wiedział też, że nie jest to tajemnicą również dla jego znajomych. Nawet Preston, który nigdy, gdy zwiertzył dla siebie szansę, nie stronił od walki, wolał schodzić mu z drogi. Trzymając się rączki w trzęsącym niemiłosiernie powozie, Forbes zastanawiał się, skąd u niego bierze się wściekłość i czemu kolejne bijatyki nie przynoszą mu ulgi.

Z uporem wpatrywał się w strugi deszczu i raptem znalazł odpowiedź: jedyna kobieta, której pragnął tak gorąco jak żadnej innej, wzgardziła nim. Nigdy nie przestał nienawidzić Brett Main za to, że wybrała innego. Paradoks polegał jednak na tym, że nie przestał jej również pragnąć.

Wyprostował się gwałtownie na siedzeniu, puszczając uchwyt rączki. Czy ta kobieta, która idzie szybko ulicą, istnieje naprawdę, czy tylko stanowi wytwór jego fantazji?

Nie, nie był przecież aż tak pijany. Zastukał w dach powozu i zawołał, przekrzykując szum deszczu:

— James, zjedź na bok. — Potem Wychylił się przez okienko i zamachał ręką. — Brett? Brett, proszę tutaj!

Natychmiast, kiedy usłyszała głos, rozpoznała go. Odwróciła się i ujrzała gramolącego się niezdarnie z powozu Forbesa. Zamaszystym gestem zdjął przed nią kapelusz.

— Pozwól, że zawiozę cię tam, dokąd idziesz. Dama nie powinna chodzić po ulicy w taką ulewę.

Miał rację. Ale kiedy Brett wyszła z domu do krawcowej, która mieszkała tuż obok, była przekonana, że dotrze tam przed burzą. Teraz lało jak z cebra, ona zaś przemokła do nitki.

Z pewnością nie będzie w tym nic złego, jeśli przyjmie jego pomoc; w końcu jest dzentelmenem. Nie zastanawiając się dłużej, złożyła swój ociekający wodą parasol i weszła do powozu.

Z westchnieniem ulgi opadła na pluszowe poduszki. Forbes zamknął drzwiczki, usiadł naprzeciw niej i podał stangretowi adres szwaczki. Powóz ruszył.

Forbes położył kapelusz na kolana. Jego uśmiech był ponury, niemal gniewny. Zauważyła to i raptem przeszedł ją zimny dreszcz, a kiedy dostrzegła jego szklisty wzrok, zaczęła żałować swej decyzji.

— Nie widziałem cię już całą wieczność, Brett. Wyglądasz wspaniale, jak zwykle.

— Ty też wyglądasz świetnie, Forbes — wykrztusiła z trudem.

Machinalnie miętosił rąbek kamizelki.

— Obawiam się, że trochę przytyłem. Myślę, że to przez bary, w których spędzam zbyt wiele czasu. Ale nie mam nic innego do roboty. Nie mam też o kim myśleć, oprócz ciebie.

— Proszę cię, Forbes... — Roześmiała się z przymusem, nerwowo. — Przecież rozmawialiśmy już kiedyś na ten temat.

Wyjrzała przez okienko po swojej stronie. "Dojechali dopiero do następnego domu, powóz posuwał się powoli. To dobrze. Będzie mogła wyskoczyć, jeśli stanie się natarczywy.

Przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu, jego chytry uśmiešek potęgował jej napięcie. Nagle odrzucił kapelusz na bok i siadł obok niej. Resory powozu zaskrzypiały. Jego karygodne zachowanie zmieniło jej strach w determinację.

— Przyjęłam twoją ofertę jako wyraz kurtuazji. Nie pozwól, abym się rozczarowała.

— Nie mogę kierować się zasadami kurtuazji. Za bardzo mi na tobie zależy. — Chwycił ją za rękę. — Brett...

— Przestań! — Jej głos był stanowczy.

— Obawiam się, że to niemożliwe, moja droga. Pieszczotliwym ruchem począł przesuwać kciukiem po wewnętrznej stronie przegubu jej ręki, tuż nad kresą muślinowej rękawiczki. — Nawet na pięć minut, jak się okazuje, nie mogę przestać o tobie myśleć. Powinnaś zdecydować się na mężczyznę, który tak bardzo cię pragnie.

Sięgnęła wolną ręką do klamki.

Muszę już wysiąść.

Objął ją silnie ramieniem i przycisnął do wiśniowych poduszek.

— Diabła tam wysiądziesz! — warknął i brutalnie przywarł ustami do jej warg.

Z jego rozchylonych ust buchnął odór alkoholu. Prawą dłoń przesunął na stanik i przypierając ją ramieniem do oparcia niezdarne miętosił jej pierś, owiewając twarz dziewczyny gorącym oddechem.

— Chryste, Brett, jak ja cię kocham. Zawsze...

— Puść!

— Nie, do diabła! — Poprawił się przygważdżając ją teraz do siedzenia kolanem. Pieścił Brett coraz brutalniej, mimo warstwy materiału bolał ją sutek. Przerazenie nie odebrało jej przytomności umysłu, poczęła wysuwać lewą dłoń z rękawiczki.

— Brett, nie zadawaj się z tym niewydarzonym Jankesem. Potrzebny ci mężczyzna, który pod każdym względem jest wystarczająco duży, aby dać ci to, co kobieta...

Jęknął i odskoczył do tyłu; Brett przejechała po jego twarzy paznokciami, zostawiając trzy krwawe ślady.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim zareagował. Najpierw dotknął twarzy dłonią, odsunął ją i dostrzegł szkarłatne plamy na plisowanym mankiecie koszuli. Ten widok doprowadził go do szału. Zaklął i zamierzył się na nią pięściami. W tym samym momencie zdołała otworzyć drzwiczki, zanim jednak wyskoczyła, pochwycił ją za rękę. Krzyknęła myśląc, że Forbes uderzy ją, szybko nachyliła się, podniosła z podłogi powozu parasolkę i walnęła go nią w głowę. Raz, drugi, potem trzeci... - Panie Forbes, czy coś się stało?

Stangret skierował powóz do trotuaru i zatrzymał go. Po drugiej stronie Meeting Street przechodnie przystanęli zaintrygowani niezwykle widowiskiem: elegancko ubrana biała kobieta szamocze się w powozie z dżentelmenem. Brett była zbyt przerażona, aby przejmować się zbiegowiskiem. Zadała jeszcze jeden cios, po czym wyrwała się z uścisku i wyskoczyła na ulicę. W pośpiechu potknęła się na stopniu i upadła w błoto.

Hej, trzeba uważać! krzyknął woźnica wiozący beczki z piwem, skręcając w ostatniej chwili na bok. Ciężkie koła ominęły ją tylko o kilka cali, opryskując błotem twarz i ubranie.

Z trudem dźwignęła się na nogi, gubiąc gdzieś kapelusz. Deszcz padał w dalszym ciągu. W drzwiach powozu tkwił Forbes, wyglądał jak obłąkany, kiedy przeszywał ją wzrokiem, krzycząc: Ty przekłeta dziwko...!

Nie słyszała nic więcej. Odwróciła się i pobiegła przed siebie.

Forbes trząsł się cały, z trudem dochodził do siebie. Stojący na trotuarze mężczyźni i kobiety gapili się, ktoś wymienił jego nazwisko. Forbes zatrzasnął drzwiczki i opadł na poduszki.

Starannie wytarł twarz chusteczką. Widok krwi wzbudził w nim kolejny atak furii. Uderzył pięścią w sufit powozu.

— Ruszaj!

Ucieczka z miejsca, gdzie został ponizony, pomogła jednak tyle co nic. Wyciągnął z zanadrza butelkę, przypomniał sobie, że jest pusta, i wyrzucił ją przez okno. Nienawidził teraz Brett bardziej niż kiedykolwiek. Zapragnął nagle udusić ją, a potem przeprowadzić się łodzią do Sumter i zastrzelić tego jankeskiego sukinsyna, który zawrócił jej w głowie.

Monotonny szum deszczu i miarowy turkot kół sprawiły, że po pewnym czasie ochłonął nieco. Przyszła mu na myśl Ashton. Jak tonący deski kurczowo uczeplił się jej imienia i wizerunku.

Ashton jest po jego stronie. Ashton pomoże mu oddać wet za wet.

Tego samego wieczoru setki mil dalej Stanley Hazard i Simon Cameron udali się na przyjęcie zorganizowane na cześć prezydenta-elekta.

Trzech detektywów przysłanych przez Pinkertona stało na straży przed drzwiami prywatnego salonu u Willarda. W środku goście i członkowie gabinetu prowadzili rozmowy przyciszonymi głosami. Lincoln zszedł kilka minut wcześniej. Stanley zamienił z nim kilka słów, ale prezydent nie wywarł na nim większego wrażenia.

Zostawił Lincoln, który opowiadał właśnie jakiś dowcip, i udał się na poszukiwanie swego opiekuna. Cameron był pogrążony w poważnej rozmowie z Chasem, sztywnym, zarozumiałym sekretarzem skarbu. Z wszystkich członków gabinetu właśnie Chase wypowiadał się najbardziej otwarcie i zdecydowanie o konieczności wyzwolenia Murzynów. Idealizm tego człowieka wydał się Stanleyowi wręcz obraźliwy.

Wreszcie Cameron przeprosił swego rozmówcę i przystanął obok Stanleya, aby napić się z nim szampana.

Wygląda naprawdę imponująco, jak ktoś znaczący pomyślał Stanley.

Dozedeł do przekonania, że nie bez powodu. Zgodnie z planem Cameron zdobył wystarczającą liczbę głosów wyborców, aby ubiegać się o urząd sekretarza wojny w nowej administracji.

Cameron upił trochę szampana, po czym wskazał na swoją wypchaną kieszeń.

— Przyjaciół przekazał mi streszczenie przemówienia inauguracyjnego.

- Jakie są najważniejsze punkty?

— Mniej więcej to, czego można się było spodziewać, zważywszy na jego poprzednie wystąpienia. — Cameron mówił przyciszonym głosem, jego oczy bezustannie wędrowały dokoła, nie chciał, aby podслуchał ich ktoś przypadkowy. — Nie zgadza się na rozwiązanie Unii. Twierdzi, że jest to sprzeczne z konstytucją i, co za tym idzie, niemożliwe. Zamierza utrzymać Sumter, ale jeśli ma wybuchnąć wojna, będzie ją musiała zacząć Konfederacja. Reasumując — znowu powiódł dokoła baczny wzrokiem — jest to pospolite przemówienie pospolitego, by nie rzec: niekompetentnego, człowieka. — Ostatnie słowa Cameron wymruczał w kieliszek.

Niekompetentny nie jest odpowiednim określeniem — pomyślał Stanley. Już jutro generał Scott rozmieści strzelców przed domami i na dachach Pennsylvania Avenue, aby nie dopuścić do ewentualnego powstania. Sromotny początek czegoś, co ma niby stać się niekompetentnym rządem. Oczywiście z kilkoma wyjątkami.

Cameron postawił pusty kieliszek na usługnie podsuniętą przez lokaja tacę, wziął następny i ruszył dalej, kontynuując rozmowę.

— A co pan sądzi o naszym nowym prezydencie?

Stanley spojrział przez tłum na brzydki, kanciasty profil Lincolna.

— To błazen z prerii. Człowiek, który zachowuje się tak prostacko, opowiada tak grubiańskie dowcipy, szturchając przy tym innych pod żebra, że nie może być wiele wart.

— Właśnie, właśnie. Moim zdaniem to jest najslabszy człowiek, jaki trafił kiedykolwiek do Białego Domu. Ale tym lepiej dla nas. Bo w takim razie władzę przejmujemy my. — Raptem ożywił się i wznosił kieliszek, aby zwrócić na siebie uwagę.

— Seward, stary przyjacielu! Właśnie z kimś takim jak ty chciałem teraz porozmawiać!

Wmieszal się w tłum, a po chwili stał ramieniem w ramię z nowym sekretarzem stanu, szepcząc coś do niego. Stanley popijał szampana, rozkoszując się świadomością, że jest w takim miejscu. Rozpierała go radość, czuł się szczęśliwy.

Będzie miał stanowisko w departamencie Camerona. Isabel oniemieje z zachwytu, kiedy zamieszka w Waszyngtonie. On natomiast delektował się myślą o zdobyciu władzy i szansie powiększenia majątku. Cameron powtarzał zawsze, że ci, którzy pociągają za sznurki, korzystają ze swoich pozycji. Stanley miał cichą nadzieję, że buntownicy nie dadzą za wygraną i sprowokują w Charleston wojnę. Jeśli uczynią to naprawdę, szanse zrobienia sporego majątku znacznie się powiększą.

Nazajutrz wczesnym popołudniem Billy przechadzał się nerwowo przed biurem majora Andersona z czapką pod pachą. Musiał czekać, aż komendant skończy pisać list z przeprosinami za szkody wyrządzone w składzie bawełny w Forcie Moultrie przez żołnierzy odbywających ćwiczenia w strzelaniu. Częste ćwiczenia artylerzystów zarówno z Sumter, a także z Karoliny Południowej sprawiały, że tego typu wypadki były na porządku dziennym, sprawcy zaś slali za każdym razem stronie przeciwnej wyjaśnienie z przeprosinami. Większość pism miała charakter formalny, ale ponieważ istniała możliwość, że wojnę wywoła właśnie przypadek, Billy uważał, że nadmiar przeprosin jest lepszy od ich niedosytu.

Zjawił się Hart, ordynans Andersona, z listem.

— Chciałby się teraz z panem zobaczyć, sir — powiedział i oddalił się spiesznie mrocznym korytarzem, budząc echo swym mocnym krokiem.

Billy wszedł do biura komendanta —jeszcze jednego ciemnego pomieszczenia z obdrapanymi ścianami, oświetlonego zaledwie kikutem świeczki. Anderson odpowiedział na dziarskie pozdrowienie młodszego oficera znużonym, niedbałym gestem, po czym wskazał mu stołek.

— Proszę spocząć, poruczniku. W ciągu kilku najbliższych dni nie będzie pan miał okazji, aby usiąść spokojnie.

Jego palce drżały, kiedy dotknął grubej torby z nieprzemakalnego materiału.

— Mam do przekazania generałowi Scottowi parę nowych informacji. Chciałbym, aby pan mu je dostarczył.

— Do Waszyngtonu, sir?

— Tak. Chcę, aby generał wiedział, że moim zdaniem zaatakowanie portu i wzmocnienie naszego garnizonu wymaga dodatkowych posiłków, przynajmniej dwudziestu tysięcy żołnierzy. W torbie jest również parę innych poufnych meldunków. Proszę spakować swoje rzeczy i być gotowym za trzy godziny.

Billy poczuł w głowie zamęt. O tym, żeby wydostać się z tego ponurego, przygńębającego miejsca, marzył potajemnie każdy członek garnizonu, choć niewielu przyznawało się do tego. Ciekawe, czy przed wyjazdem z Charleston uda mu się spędzić trochę czasu z Brett?

— Mogę być gotów wcześniej, sir.

Anderson potrząsnął głową.

— To zbyt późno. Hart uda się wkrótce łodzią po kapitana Calhouna i wręczy mu mój list z przeprosinami. Złóży również

wizytę Pickensowi w Charleston Hotel, aby uzyskać dla pana przepustkę. Ale mimo to pańska wyprawa oznacza mijsię niezwykle delikatną. Słyszałem, że ilekroć od naszej przystani odbija jakaś łódź, chmary ludzi śpieszą na Battery; mają nadzieję, że to Doubleday i chcą dostać go w swoje ręce. — Parsknął krótkim, niewesołym śmiechem, po czym dodał: — W każdym razie Hart nie powróci tak prędko. Wyruszy pan o zmierzchu albo nawet trochę później.

— Tak jest, sir.

- I, poruczniku, proszę spakować wszystkie swoje rzeczy. W przeciwieństwie do innych kurierów, których wysłałem do Waszyngtonu, pan nie wróci.

— Jak to, sir?

Billy, pobladły nagle, wpatrywał się w dowódcę. To była druzgocąca nowina; miał pozostawić Brett samą w mieście, które w każdej chwili może znaleźć się w sercu wojny. Ale dlaczego major wiedząc o tym — patrzy na niego z dziwnym półśmiechem na zmizerowanej twarzy? Czyżby tracił już panowanie nad sobą?

Major rozwiął szybko jego wątpliwości.

— Do jutrzejszego wieczora otrzymuje pan ode mnie przepustkę. Potem ma się pan znaleźć w pociągu jadącym na północ. Hart przygotował już odpowiednie rozkazy. Do tego czasu może pan złożyć wizytę owej młodej damie. Jeśli jest pan w stanie przygotować dla niej natychmiast wiadomość, powiedzmy w ciągu dziesięciu minut, Hart doręczy ją, a wtedy może pan nawet zdążyć się ożenić.

Billy zaniemówił. Szczęście uśmiechnęło się doń tak nagle, że nie mógł w nie uwierzyć. Anderson zauważył jego reakcję.

— Proszę nie dziwić się aż tak bardzo, poruczniku. Ktoś musi przecież pojechać. Dlaczego więc nie pan? Wysłałem już porucznika Meade'a do Wirginii, aby mógł się zobaczyć z chorą matką. Okoliczności dotyczące pana są bardziej radosne. Zdaję sobie sprawę, że wkraczam w kompetencje pańskiego bezpośredniego przełożonego, dowódcy oddziałów inżynieryjnych, spodziewam się jednak, że wybaczy mi, kiedy wyjaśnię mu wszystko. Znowu sposepniał. — Nawet z glejtem wystawionym przez gubernatora może pan mieć kłopoty z poruszaniem się po mieście. Dlatego właśnie chcę pana tu zatrzymać aż do zmierzchu.

Billy uznał, że nadeszła pora, aby przestać wątpić w swe szczęście i wykorzystał okazję.

Sir, gdyby łódź mogła mnie wysadzić obok pomostu przystani C.S.C., w pobliżu Urzędu Celnego, Cooper Main czekały tam w krytym powozie i zawiózł mnie na Tradd Street. Jeszcze przed świtem Brett i ja wymknęlibyśmy się z Charleston.

— Nie chce pan wziąć ślubu w domu Mainów?

Myślę, że bezpieczniej byłoby pojechać do Mont Royal Niedaleko plantacji znajduje się mała stacyjka kolejowa na, ¹ żądanie.

— Cóż, decyzja należy do pana, proszę jednak nie zapominać, czym grozi poruszanie się po mieście. Powinien pan przez cały czas mieć pod ręką rewolwer gotowy do strzału.

Billy zasalutował, obrócił się na pięcie i pozostawił komendanta wpatrującego się melancholijnie w nikły płomyk świecy.

Na przystani Anderson potrząsnął dłonią Billy'ego.

— Jest pan wspaniałym oficerem, poruczniku Hazard. Jeszcze parę lat praktyki i będzie pan jednym z najlepszych. Proszę przekazać narzeczonej moje najszczerze pozdrowienia.

;

;) Nie zapomnę, sir. Nie wiem, jak mam panu dziękować...

Owszem, wie pan. Wystarczy, że odda pan Scottowi tę torbę. Chciałbym, aby był świadom niebezpieczeństwa, które groziłoby mu, gdyby zapragnął zaatakować tę piaszczystą ławę siłami zaledwie kilkuset żołnierzy w barkasach. Głos załamał mu się z emocji. Powtarzam, co mówiłem wcześniej. Jeśli ten kraj ma spłynąć krwią, odpowiedzialność spadnie na Waszyngton, nie na nas.

Odwrócił się i po chwili rozplynał w ciemnościach.

— Proszę na pokład, sir rozległ się głos z niewielkiego szkunera.

W słabym świetle zamajaczyła twarz marynarza.

Zszedł po trapie do łodzi, wiotkie żagle łopotąły leniwie na nocnym wietrze. Nie wiadomo dlaczego, ten dźwięk wydał mu się złowieszczy.

— Dzięki Bogu byłem w domu, kiedy zjawił się ordynans Andersona powiedział Cooper, kiedy Billy zeskoczył na pirs C.S.C. — Judith czeka już w powozie.

A gdzie Brett?

— W domu. Chciała przyjechać tu z nami, ale Judith zdołała ją namówić, aby została i spakowała swoje rzeczy. Nie dałeś jej zbyt wiele czasu na zebranie wyprawy, musimy być w drodze przed wschodem słońca. Wysłałem już gońca do Mont Royal. Na pierwszą po południu Orry ma sprowadzić księdza.

— Kiedy odjeżdża pociąg?

— Jakies trzy godziny później. O czwartej trzydzieści.

Rozmawiali idąc spiesźnie po pirsie w stronę czekającego powozu. Równie szybko biło serce Billy'ego. Mimo napięcia był uradowany, po raz pierwszy od wielu miesięcy czuł się naprawdę szczęśliwy.

— Dziękuję, Gerd — powiedział Cooper do przysadzistego mężczyzny, który oddał mu lejce. — Ja poprowadzę, Billy. Siedź tak, aby nikt nie dostrzegł cię w oknie. Przy Urzędzie Celnym włóczy się zawsze trochę ludzi, a te mosiężne guziki na mundu rze świecą jak latarnie.

Starał się mówić beztróskim tonem, ale uwagi Billy'ego nie uszła nuta niepokoju w jego głosie. Cooper pośliznął się, chcąc wejść po szprychach przednich kół, skrzywił się, po czym usiadł na koźle, mówiąc:

— Czasem to naprawdę diabelnie niewygodne, kiedy nie ma się niewolników; wszystko trzeba robić samemu. Nic dziwnego, że ten system przetrwał tak długo!

Billy zmusił się do uśmiechu i otworzył lewe drzwiczki. Po prawej stronie siedziała Judith. Przywitał się z nią i przezornie dotknął ręką skórzanego rzemienia torby przewieszanej przez ramię. Wszystko w porządku.

Cooper cmoknął na konia i powóz ruszył z miejsca. W świetle latarni zawieszanej pod dachem magazynu Billy dostrzegł na policzku Judith łzy.

— Co się stało? — zawołał.

— Nic, nic. — Śmiała się i płakała zarazem. — Jestem głupia, że tak się zachowuję, ale to silniejsze ode mnie. W tych ciężkich czasach tak trudno o chwilę radości, a teraz właśnie mamy powód, aby się cieszyć. — Pociągnęła nosem. — Proszę, wybac mi.

— Nie mam czego. Czuję to samo, co ty.

— Uważajcie! — zawołał z góry Cooper. — Dziś są tu większe tłumy niż zazwyczaj.

Billy przesunął nieco szablę, aby mieć większą swobodę ruchu. Potem wyciągnął do połowy rewolwer z pochwy. Przed nimi, po prawej stronie, spora gromada ludzi śmiała się i rozmawiała donośnie. Ktoś krzyknął nagle:

— Hej, tam! Zatrzymać się!

Billy poczuł bolesny skurcz w żołądku, kiedy powóz zwolnił. Cooper zaklął brzydko.

Głosy zbliżyły się jeszcze bardziej. Billy przesunął się na środek siedzenia — najciemniejsze miejsce w powozie. Przez okno widział fronton Urzędu Celnego, będącego dawniej własnością federalną.

Powóz zatrzymał się, Judith wstrzymała oddech.

— Proszę podać swoje nazwisko. Po co pan tędy jedzie? — rozległ się czyjś ostry głos.

— Nazywam się Main, jestem obywatelem Charleston, a po co jadę, to moja sprawa. Będę wdzięczny za puszczenie konia i odsunięcie się na bok.

— Jest chyba w porządku, Sam — odezwał się inny głos.

Pierwszy mężczyzna mruknął coś. Billy usłyszał kroki.

Judith chwyciła go za rękę.

— Zsuń się niżej! Idą tu! Zaraz zjrzą do środka!

W tej samej chwili Cooper strzelił z bata, ale powóz dalej stał w miejscu.

— Puść konia! — zawołał.

W oknie pojawiła się czyjaś twarz, mężczyzna wskoczył na schodek. Latarnie przed Urzędem Celnym oświetlały wnętrze powozu. Mężczyzna przesunął twarz do okna, wybałuszając oczy.

— W środku jest żołnierz!

Ktoś inny zapytał natychmiast:

— Czy to Doubleday? — i napastnicy, popychając się wzajemnie, poczęli zaglądać do powozu. Billy dobył rewolweru.

Jakiś głos rozkazał Cooperowi zejść z kozła. Odpowiedzią było uderzenie biczem, wymierzone niby na oślepa, ale mężczyzna zawył z bólu. Cooper wrzasnął jak furman i szarpnął za lejce.

Powóz drgnął i ruszył z miejsca. Tymczasem człowiek stojący na stopniu zdołał otworzyć drzwiczki i usiłował obejść je, aby dostać się do środka. Jego prawa dłoń zacisnęła się na ramie uchylonego okna. Billy przechylił się nad Judith i z całej siły uderzył w tę dłoń lufą rewolweru. Palce mężczyzny drgnęły, ale nie rozluźniły uścisku. Billy oparł but o drzwi i pchnął mocno; otworzyły się gwałtownie, a napastnik zniknął.

Za oknem migały zaciśnięte pięści i wykrzywione gniewem twarze. Cooper wjechał w ciemność za Urzędem Celnym i nie zwalniając skręcił w prawo. Billy walczył z drzwiami, usiłując je zamknąć. Omal nie wypadł, zanim dopiął swego. Dopiero wtedy odetchnął z ulgą i położył rewolwer na kolanach. Dyszał ciężko.

— Byłeś naprawdę szybki — powiedziała z uznaniem Judith.

— Musiałem. Nie chciałem spóźnić się na własny ślub.

Ale jego uśmiech był wymuszony. Serce waliło mu jak młotem i długo nie mógł zapomnieć żadnych krwi twarzy za oknem powozu. Teraz przekonał się, jak głęboki jest rozłam w narodzie.

Wszystkie ponure myśli zniknęły, kiedy ujrzał Brett. Sami w salonie — gdyż Cooper zamknął za sobą dyskretnie drzwi

— młodzi tulili się do siebie i całowali przez kilka minut.

Niemal zdążył już zapomnieć, jak wonne są jej włosy, jak słodko smakują jej usta, jak jędrne są jej piersi, które czuł na sobie. Wreszcie, trzymając się za ręce, śmiejąc się i łapiąc oddech, opadli na sofę.

— Szkoda, że nie możemy pobrać się jeszcze dziś wieczorem

— powiedziała. — Jestem pewna, że przez całą noc nie zmrzęde oka, nie mogę się już doczekać rana.

Z wahaniem wyjaśnił:

— Nie będę mógł wrócić do Charleston. Jesteś pewna, że chcesz wyjechać ze mną na Północ?

Dopiero teraz uświadomiła sobie niezwykłą wagę tego pytania. Poczowała niezdecydowanie, potem obawę. Jak trudno jej będzie żyć wśród Jankesów, z dala od rodziny. Ale przecież kocha Billy'ego. I tylko to miało dla niej znaczenie.

— Pojadę z tobą wszędzie, gdzie tylko zechcesz — szepnęła, tuląc twarz do jego policzka. — Wszędzie.

Wieczorem, tuż po dziesiątej, Cooper złożył krótką wizytę w domu na East Battery. Słuchając ostatnich wieści, Ashton z ogromnym trudem zdołała zachować zimną krew. Po wyjściu Coopera pobiegła czym prędzej do gabinetu męża, aby opowiedzieć mu o wszystkim.

Cisnął na biurko list, który właśnie czytał.

— Naprawdę nie mam ochoty iść na ślub jakiegoś cholernego Jankesa!

— James, ona jest moją siostrą. I dlatego pójdziemy.

Zanim zdążył zaoponować, zgarnęła oburącz suknie, unosząc je nieco, i wybiegła. Przystanęła dopiero w holu, gdzie przycisnęła dłonie do policzków, usiłując uporządkować myśli. Jutro o tej samej porze — o ile nikt im nie przeszkodzi — Billy i Brett wymkną się z jej rąk na dobre. Istniała tylko jedna szansa.

Nie zmarnuje jej.

Uśmiechnęła się blade. Przy sekretarzyku, w którym trzymała rachunki i zestawienia wydatków, napisała krótki list do Forbesa, prosząc, aby pojechał z samego rana w górę rzeki. Dodała jeszcze, że może zabrać ze sobą kogoś do pomocy, ale musiałyby to być ktoś zaufany. W Resolute miał oczekiwać dalszych poleceń.

Zamknęła starannie i zapieczętowała list, wypisała przepustkę i pośpieszyła do kuchni.

— Rex, zawieź to panu Forbesowi LaMotte. Poszukaj go u Gibbesa. Gdyby go tam nie było, pójdiesz to baru w Mills House. Barman jest zazwyczaj dobrze zorientowany, gdzie moż na znaleźć pana LaMotte'a. Nie dawaj za wygraną i nie wracaj, dopóki list nie znajdzie się w jego rękach.

Rex, wystraszony jeszcze niedawną chłostą, przytakiwał, dopóki nie przestała mówić. Ale kiedy zbiegał po schodach do tylnego wyjścia, w jego oczach płonął gniew. Pałał żądzą, aby zapłacić swojej pani za wszystko.

Przepełniony powóz Coopera dotarł do Mont Royal późnym rankiem. Marcowe słońce świeciło łagodnie, bezchmurne niebo

w kolorze nieskazitelnego, miękkiego błękitu, o którym Brett mawiała, że zdarza się jedynie nad Karoliną Południową, było czyste. Czy ujrzy je jeszcze kiedyś?

Dzieci wygramoliły się na zewnątrz w tej samej chwili, kiedy powóz stanął. Kuzyn Charles pieszczotliwym gestem zwichrzył Judahowi włosy, potem ujął Marie-Louise w pasie, podniósł do góry i zakreślił w powietrzu. Przywarła do niego mocno, piszcząc radośnie.

Judith wyszła z powozu za Brett, potem wysiadł Billy. W nowym garniturze z czarnego, wytwornego sukna, który nabył o północy od niemieckiego krawca, zbudzonego przez Coopera, czuł się niezręcznie. Zaskoczony spojrzął na Charlesa, który przywdział swój galowy mundur z wypolerowanymi do połysku guzikami i szablą u boku.

Przyjaciele padli sobie w objęcia.

— Na Boga, czemuś się tak wystroił? — zapytał Billy.

Charles uśmiechnął się.

— To na twoją cześć. Pomyślałem sobie, że jeśli jeden oficer prosi drugiego, aby został jego drużbą, ów drużba musi mieć prezencję. A tak naprawdę stęskniłem się już za mundurem. I za wojskiem.

Z domu wyszedł Orry, czarny, długi płaszcz podkreślał jego posępną, szczupłą postać. Zbliżył się do gwarne go towarzystwa i oświadczył:

— Wielebny Saxton przyjdzie o dwunastej trzydzieści. Po prosiłem, żeby przybył wcześniej, bo lubi sobie wypić i pomyślałem sobie, że powinien dostać kieliszek, żeby wytrzymał do końca ceremonii.

Wszyscy roześmieli się. Cooper zestawił riasz ziemie małą, skórzaną walizeczkę, w której Billy trzymał swój rewolwer, mundur i teczkę służbową, po czym otarł rękawem pot z czoła.

— Jak się czuje mama? — zapytała Orry'ego Brett.

— Jak zwykle. Wyjaśniałem jej trzy razy, że dziś jest twój ślub. Kiwała głową, że rozumie, ale wiem, że tak nie jest.

Judah począł skakać w miejscu, wyciągnął rękę.

Ktoś jedzie! Rzeczywiście, wzbijając tuman kurzu, alejką wysadzaną wysokimi drzewami nadjeżdżał powóz.

— To Ashton -- powiedziała Brett bez entuzjazmu, co Billy zauważył natychmiast.

Powóz zatrzymał się dzwoniąc uprzężą i wzniecając kolejne kłęby piachu. Siedzący na koźle Homer obserwował białych z kamienną miną. Rex zeskoczył na ziemię i otworzył drzwiczki przed Ashton i jej mężem.

Huntoon złożył młodemu zdawkowe gratulacje, Ashton nato-

miast podbiegła najpierw do Brett, a potem do Billy'ego, obejmując oboje i obdarzając niezwykle słodkim uśmiechem.

— Och, jestem taka szczęśliwa, kiedy myślę o tobie i Brett! Mogę mówić to zupełnie otwarcie, bo przecież sama już jestem zamężna.

Jej oczy błyszczały niczym lśniące klejnoty. Billy nie był pewien, co naprawdę dzieje się w jej duszy, przypomniał sobie pieszczoty, do których doszło niegdyś pomiędzy nimi, i poczerwieniał, kiedy poczuł na twarzy jej policzek. Złożyła usta jak do pocałunku i cmoknęła go głośno. Cooper dostrzegł minę Homera; wpatrywał się w swoją panią posepnie.

Ciekawe dlaczego — pomyślał.

Charles potarł zapalką o jedną z białych kolumn. Pozostał na niej ślad, co Orry skwitował pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Billy wskazał na długie, zielone cygaro, które Charles ścisnął mocno w zębach.

— Od kiedy naśladujesz mego brata?

— Odkąd wróciłem do domu. Muszę przecież wypełnić czymś czas. Wolałbym walkę, ale chyba nie mogę mieć wszystkiego.

Nie był to dobry żart, niezbyt stosowny i nie na miejscu, zważywszy na znaczenie tego dnia i tragiczne wydarzenia w Charleston, toteż po uwadze Charlesa zapadła głucha cisza. Charles zaczerwienił się i zaciągnął dymem długiego na dziesięć cali hawańskiego cygara.

— Chodźcie już wreszcie — zaszczębiotała Ashton. Prawą rękę wsunęła pod ramię Billy'ego, drugą ujęła Brett. — Czy nie jesteście przypadkiem głodni? Bo ja tak. Na pewno znajdziemy coś w tym domu. — Orry kiwnął głową. — Och, cóż to za ekscytujący dzień! Czeka was oboje coś, czego z pewnością nie zapomnicie.

Wepchnęła ich do środka.

Charles postął jeszcze przez chwilę na zewnątrz, zażenowany z powodu swej gafy i zaintrygowany rumieńcami na twarzy Ashton. Wyglądało na to, że naprawdę ucieszyła się ze ślubu siostry. Czemu więc dręczyły go niedobre myśli?

Czemu nie mógł oprzeć się wrażeniu, że Ashton udaje?

62

Upalny dzień wypełnił Madeline obezwładniającym ciepłem. Właśnie wróciła z kuchni, gdzie doglądała przygotowań do kolacji, na którą podawano dziś aromatyczną szynkę. Kucharki

twierdziły, że pogoda jest ładna, ale raczej chłodna. Jeśli to prawda, dlaczego oblewał ją pot?

Justin ganił ją za ciągłe skargi na upał. W ciągu kilku ostatnich lat źle znosiła gorąco, ale teraz coraz częściej było jej duszno jak nigdy przedtem. Czasami zastanawiała się, czy nie zawiniły jakieś zmiany wewnętrzne w jej organizmie, czuła się jednak zbyt rozleniwiona, zbyt śpiąca, aby łamać sobie głowę nad takimi sprawami dłużej niż przez chwilę.

Przechadzając się bez celu po tarasie w Resolute, usiłowała przypomnieć sobie, gdzie podziewa się jej mąż.

Ach tak, wziął swój stary muszkiet i pojechał na pole, aby postrzelać do celu.

Justin traktował niezwykle poważnie służbę w Gwardii znad Ashley. Z prawdziwą uciechą w głosie zapowiadał, że już za parę tygodni na dobre zacznie się strzelanina.

— ...godzina?

— Dochodzi pierwsza. W ciągu godziny powinna nam przesłać kolejną wiadomość.

W odległości trzech stóp od otwartego okna gabinetu Madeline przystała na dźwięk głosów. Upłynęło kilka sekund, zanim rozpoznała rozmówców: byli to Forbes, bratanek Justina, oraz jego antypatyczny, suchy jak szczapa przyjaciel, Preston Smith. Obaj zjawili się nieoczekiwanie przed południem. Forbes nie kwapił się z wyjaśnieniami, dlaczego nie pojechał od razu dziesięć mil dalej, na plantację ojca. Madeline w ogóle rzadko uzyskiwała tu jakiekolwiek informacje. Traktowano ją jak rzecz, przedmiot domowy. Zazwyczaj była zbyt zmęczona i zubożona, aby reagować.

Teraz jednak w owych podnieconych głosach zabrzmiało coś nagłego, co przebiło się przez otępienie, w które ostatnio zdawała się pogrążyć coraz bardziej. Forbes powiedział: „powinna przesłać”. Dlaczego jakaś kobieta miała przysyłać wiadomość do Resolute? Może chodziło o sekretną schadzke?

Odrzuciła tę myśl natychmiast, słysząc kolejne pytanie:

— Pistolety gotowe?

— Tak.

— Nabrałeś prochu w butelkę?

— Jasne. Ale a prochem musimy zachować ostrożność. Nie chciałbym wspanać go za dużo do pistoletu!

— Do diabła, masz rację!

Obaj roześmieli się, ale był to śmiech nie tyle radosny, co raczej złowieszczy. Madeline ogarnął raptem strach, w jej umyśle rozległ się jakby tykający cicho zegar.

Zamrugła rozpaczliwie. Temu, co usłyszała, musiała poświęcić uwagę. Całą swą uwagę. Przeniosła ciężar ciała na lewą nogę. Deski tarasu zaskrzypiały.

— Forbes, słyszałeś?
— Co?
— Nie wiem. Jakiś odgłos z zewnątrz.
— Nie, nic nie słyszałem.
— Bo nie uważałeś.
— W porządku, sprawdź, jeśli się boisz. — W głosie Forbesa zabrzmiała ironia.

Półprzyciemna ze strachu Madeline przycisnęła do białej ściany spoczone dłonie. Słońce przedostające się przez girlandy kwiatów rysowało rozedrgany wzór z cieni na jej bladej, zmizerowanej twarzy.

— Och, już dobrze — mruknął wyraźnie zawstydzony Preston. — Może po prostu był to któryś z czarnuchów.

Madeline omal nie zemdląła z ulgi. Odsunęła się od ściany. Zgarnęła suknie i tak cicho, jak tylko mogła, przebiegła na drugi koniec tarasu, byle dalej od otwartego okna. Podejrzenie przyciszone głosy, rozmowa o spodziewanej wiadomości i pistoletach zdołały wyrwać ją z letargu. Musi zachować przytomność umysłu, aby dowiedzieć się więcej. Zadanie nie było łatwe. Apatia poczęła ją znowu ogarniać. Walczyła z nią, wślizgując się do domu bocznym wejściem. Nie wolno jej dać za wygraną. Coś niedobrego wisiało w powietrzu w Resolute. Coś dziwnego i — o ile dobrze wytłumaczyła sobie ton tych głosów — złowrogo.

Charles podał kopertę Billy'emu.

— To bilety kolejowe do... do Waszyngtonu. Chciałem już powiedzieć: do stolicy. Ale teraz to tylko twoja stolica. Ciężko odzwyczaić się od starych nawyków!

Billy wetknął kopertę do kieszeni. Charles wyciągnął rękę z małym zamszowym pudełkiem.

— To też będzie ci potrzebne.

Billy ujął pudełko i raptem poczerwieniał.

— Obrączki! Na Boga, zupełnie o nich zapomniałem!

— Orry właśnie obawiał się, że w tym całym rozgardiaszu zapomnisz o tym. — Charles począł przycinać kolejne gigantyczne cygaro. — Szkoda, że nie mam ich więcej, aby wysłać trochę George'owi. Ale i tak nie jestem pewien, czy jest na nie wystarczająco dorosły.

Billy roześmiał się. Orry otworzył drzwi i zajrzał do pokoju.

— Jeśli pan młody i drużba są gotowi, możemy zaczynać. Wielbny Saxton opróżnił już trzy kieliszki sherry. Jeszcze jeden kieliszek i nie będzie w stanie odczytać modlitwy.

— Och, wyglądasz naprawdę ślicznie. — Ashton klasnęła w dłoń.

Brett kręciła się nerwowo przed lustrem. Skubnęła kilkakrotnie bufiaste rękawy nowej sukni z ciemnopomarańczowego jedwabiu.

— Jestem taka szczęśliwa, że mogę być tu teraz razem z tobą — mówiła dalej Ashton. — Cieszę się, że poprosiłaś mnie o to.

Brett podbiegła do starszej siostry i ujęła ją za ręce, czując, że znowu odżywa w niej dawne uczucie.

— Przecież jesteś moją siostrą. Nie mogłabym poprosić nikogo innego. I to ja powinnam być ci wdzięczna. Wiem, co czułaś kiedyś do Billy'ego.

— Och, to było tylko takie głupie zaślepienie! — Ashton wyrwała się z objęć Brett i odwróciła się do niej plecami. Nieco podniesionym głosem dodała: — Mam mężczyznę, którego pragnęłam. James jest wspaniałym, troskliwym mężem. Jest...

Na schodach rozległ się niecierpliwy okrzyk Orry'ego. Brett podbiegła do łóżka i chwyciła bukiet suszonych kwiatów.

— Chodźmy już lepiej.

— O której pociąg rusza ze stacji?

— O czwartej trzydzieści, o ile dobrze pamiętam. Dlaczego pytasz?

— Chciałabym, aby Homer zawiózł was naszym powozem.

— Ashton, to doprawdy zby...

— Cśś — przerwała jej Ashton, która doszła już do siebie.

— Będzie tak, jak mówię. Nasz powóz jest zresztą wygodniejszy od tej starej landary Coopera. No i Cooper nie wziął stangreta. Aż wstyd patrzeć, kiedy członek rodziny Mainów wykonuje pracę czarnucha... — Zасыpując siostrę lawiną słów, wyprowadziła ją z pokoju. — Zejdz na dół, ja też będę tam migiem. Chcę tylko odnaleźć Homera, tak żeby wszystko było przygotowane jak należy.

Jednak, gdy zbiegła tylnymi schodami odszukała nie Homera, lecz Rexa. Poleciała chłopcu jak najszybciej udać się pieszo do Resolute i dostarczyć wiadomość Forbesowi LaMotte'owi, nikomu innemu. Wydając polecenie wbiła paznokcie w ciemną, chudą rękę Rexa i zwolniła ucisk dopiero wtedy, kiedy dojrzała w jego oczach ból. Od czasu chłosty ten młody niewolnik zadzierał nosa, z całą pewnością marzyła mu się zemsta. Ale Ashton wiedziała, że nie będzie butny, dopóki nie uwolni się od lęku.

Dała mu przepustkę i wypchnęła na dwór przez spiżarnię. Potem starannie poprawiła fryzurę. Przywołała na twarz słodki uśmiech i wyszła przed dom, aby wziąć udział w tym ostatnim szczęśliwym momencie życia Billy'ego Hazarda.

Uczynił zaledwie parę kroków, kiedy nagle ze schodów dobiegł go jakiś cichy dźwięk. Jego głos przybrał nieoczekiwanie szorstkie brzmienie, kiedy zapytał:

— Co, u diabła, robisz na tych schodach, Madeline?

Nie ulegało wątpliwości, co robiła. Podśluchiwała.

Stojąc w wydłużonym cieniu, rzucanym przez popołudniowe słońce, zaciskała kurczowo dłonie na poręczy. Potem zeszła o dwa stopnie niżej. Zauważył, że porusza się zwawiej niż zazwyczaj, i raptem ogarnął go niepokój. Czyżby jego nieuwaga sprawiła, że Madeline otrzymała zbyt małą dawkę laudanum?

Przytrzymując się białymi dłońmi masywnej balustrady, poczęła schodzić po schodach. Czarny jedwab stanika falował gwałtownie, zdradzając, ile ją to kosztuje wysiłku. W podkrążonych oczach malowała się odraza.

Sytuacja nie pozwalała na pobłażliwość. Justin wyszedł na sam środek holu, stanął w rozkroku i wsunął kciuki za pas.

— Podśluchiwałaś naszych gości, co? — Pytanie zawierało wyraźną groźbę.

— Nie miałam tego zamiaru. Ja... — Jej głos stopniowo nabierał mocy. — Szłam właśnie do szwalni. O czym rozmawialiście, Justinie? Kogo oni mają zabić?

— Nikogo.

— Mówiliście o Hazardzie, słyszałam.

— Tak ci się tylko zdawało. Wracaj do siebie.

— Nie.

Zeszła kolejne dwa stopnie niżej, potem zamknęła oczy i nabrała powietrza. Na bladym czole perlily się krople potu. Zorientował się, że Madeline walczy z działaniem narkotyku.

— Nie — powtórzyła. — Najpierw musisz mi wszystko wyjaśnić. Z pewnością źle cię rozumiałam. To przecież niemożliwe, abyś nasyłał własnego bratanka jak mordercę!

Ogarnęła go panika, stracił panowanie nad sobą.

— Ty głupia dziwko! — krzyknął. — Wracaj do swego pokoju! Jazda!

Znowu potrząsnęła głową, zbierając resztki sił, aby ciężkim, powolnym krokiem zejść na dół.

— Wyjeżdżam — oznajmiła.

Dwa kolejne stopnie zabrały jej co najmniej dziesięć sekund. Uświadomił sobie, że niepotrzebnie uległ panice. Była zbyt osłabiona, aby uczynić cokolwiek. Odprężył się trochę i nawet pozwolił sobie na lekki, pełen rozbawienia uśmiech.

— Och, doprawdy? A dokąd to?

— To... — otarła czoło chusteczką, którą ścisnęła w dłoni ... to już moja sprawa.

Kiedy Justin wymienił nazwisko „Hazard”, zrozumiała, jak rozpaczliwie poważna jest sytuacja. Teraz, gdy zeszła na dół,

dobiegł ją tętent koni odjeżdżających spod domu. Strach spotęgował jej siły, pomógł przezwyciężyć przerażający letarg. Zatoczyła się w stronę drzwi. Justin uczynił jeden długi krok i zastąpił jej drogę.

— Przepuść mnie, proszę.

— Zabraniam ci wychodzić z domu.

Jego głos nabrali dziwnej ostrości, co odebrała jako ostateczny dowód na to, że spisek został istotnie ukartowany, że nie uległa złudzeniu. Ktoś w Mont Royal miał zostać zamordowany. Nie wiedziała, z jakiego powodu, wiedziała jednak, że musi temu zapobiec, jeśli to tylko możliwe.

Zacząła obchodzić męża, ale on zacisnął pięść, przesunął się i uderzył ją w skroń. Krzyknęła i upadła na podłogę. Przez jakiś czas leżała bez ruchu, wpatrując się w niego w oszołomieniu. Po chwili, która wydała jej się wiecznością, podparła się rękami, wstała dysząc ciężko i z uporem ruszyła przez hol.

Justin zadał jej kolejny cios. Tym razem uderzyła tyłem głowy o krawędź kufra, przeszył ją ostry ból. Krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem niż poprzednio. Potem uklękła, rozpaczliwie usiłując wstać.

W tylnej części holu otworzyły się drzwi. Dwie czarne twarze zwróciły się w kierunku Justina, pochylonego nad żoną.

— Jeśli nie przestaniesz zachowywać się jak krnąbrne zwierzę, będę traktował cię właśnie w ten sposób. — Kopnął ją z całej siły pod lewą pierś.

Madeline zatoczyła się w tył, na kufer, który uderzył o ścianę. Szabla zabrzączała cicho. Zegar przewrócił się, spadł na podłogę i roztrzaskał się na drobne części. Madeline leżała oddychając z trudem, oczy nabiegły jej łzami. Wszystko dokoła siebie widziała jak przez mgłę.

Justin odwrócił się i zamaszystym krokiem ruszył przez hol.

— Do diabła, czego się tak gapiacie? Zamknijcie te drzwi albo obedre was ze skóry.

Przerażeni niewolnicy zniknęli. Madeline powoli odzyskiwała świadomość. Zacisnęła dłoń na rogu skrzyni i — mobilizując wszystkie siły — podciągnęła się do góry. Justin obrócił się, ujrzał, że Madeline stoi na nogach. Zaklął. Za plecami słyszała staccato wybijane przez jego buty, kiedy szedł ku niej, miotając obelżywe wyzwiska. Nadludzka siłą woli ściągnęła szablę ze ściany, okręciła się na pięcie i cięła.

Ostrze szabli rozcięło mu twarz od lewej brwi aż do podbródka. Pod rozstępującą się skórą błysnęło różowe mięso, potem chlusnęła krew, ściekając na jedwabną koszulę.

Przycisnął dłoń do rany.

— Ty pieprzona dziwko! — wrzasnął. Wyciągając przed siebie drugą rękę, ruszył ku niej.

Odrzuciła szablę i instynktownie uskokczyła. Impet cisnął go na ścianę. Uderzył o nią czołem i z wolna osunął się na kolana. Z głową wspartą o piersi jęczał cicho.

Zwabieni hałasem zjawili się dwaj niewolnicy. Madeline rozpoznała jednego z nich.

— Ezekiel, chodź ze mną. Potrzebny mi powóz. — Skinęła na drugiego. — Zaopiekuj się panem LaMotte.

Nim upłynęły dwie minuty, co sił smagała konia batem, a powóz mknął w stronę drogi biegnącej wzdłuż rzeki.

— Młody. Powiedział: młodego pana Hazarda.

Lewe tylne koło powozu zapadło się w głęboki dół, omal nie spadła z siedzenia. Z trudem zapanowała nad powozem, skręcając koło Sześciu Dębów. Rześkie powietrze wyostrzyło jej zmysły i pomogło dojść do siebie. Właśnie uzmysłowiła sobie, że Justin wspomniał o młodym panu Hazardzie. Można to zrozumieć wyłącznie w jeden sposób — ofiarą morderstwa miał paść brat George'a. Widocznie opuścił już fort w Charleston. Ale gdzie podziewał się w tej chwili?

Tonące w blasku słońca drzewa przemykały w zawrotnym tempie, wiatr chłostał jej twarz. Jakaż była głupia, pozostając tak długo u boku Justina! Jej pragnienie, aby stawić mu opór, słabło z każdym miesiącem, ustępując miejsca dziwnemu, zagadkowemu wyczerpaniu, a jeszcze wcześniej przed opuszczeniem Resolute powstrzymywała ją fałszywe poczucie honoru.

Ale człowiek, któremu została sprzedana za żonę, ani też nikt inny z jego rodziny, nie posiadali nawet krzty tego honoru. O tym jednak, jak bardzo są zdegenerowani, zorientowała się dopiero dziś.

Kiedy przystanąła na schodach i spojrzała w dół, dostrzegła Forbesa, któremu jakiś młody niewolnik szeptał do ucha wiadomość. Chłopiec nie mieszkał w Resolute, został więc widocznie przysłany przez kogoś innego. Przybył z wiadomością, na którą Forbes niecierpliwie czekał.

Potem w jej polu widzenia zjawili się Justin i Preston Smith. Początkowo sądziła, że chodzi o splatanie komuś figła, ale brutalna rozmowa i surowe miny trzech mężczyzn zdradziły rzeczywisty zamiar spiskowców: morderstwo.

Teraz miała nadzieję, że zastanie młodego Hazarda w Mont Royal, a jeśli nie — modliła się, aby odnaleźć go i ostrzec jak najprędzej, póki nie jest za późno. Orry będzie wiedział, co zrobić. O Boże, dlaczego nie odeszła już dawno temu od Justina i nie wyszła za Orry'ego!

Chłodny pęd wiatru nieprzerwanie orzeźwiał ją i dodawał otuchy. Szpilki i grzebień, którymi spięła włosy, dawno wypad-

ły, długie, czarne włosy powiewały swobodnie. Skóra wąża ciągnącego powóz w szalonym tempie okryła się pianą.

Przepelniało ją ogromne, radosne uczucie ulgi. Nigdy już nie wróci do Resolute. Nigdy nie wróci do Justina...

I do diabła z konsekwencjami!

63

Tuż przed trzecią cała rodzina zebrała się, aby pomachać nowożeńcom na pożegnanie. Billy wolał wyjechać wcześniej, aby spokojnie dotrzeć na czas na małą leśną stacyjkę.

Pogoda jak wymarzona na podróż poślubną — pomyślał Charles, zapalając kolejne cygaro. Łagodne marcowe słońce świeciło w koronach omszałych dębów, w powietrzu unosił się zapach wilgotnej ziemi. Nadchodziła wiosna. — Niech to diabli, jeśli nie nadeszła pora, aby pojechać do Charleston i znaleźć sobie jakąś dziewczynę!

Pomógł Homerowi umieścić i umocować na dachu powozu Huntoona kufry i torby, podczas gdy Brett i Billy żegnali się z rodziną, a na samym końcu ze stojącą na uboczu Ashton.

— Och, życzę wam obojgu spokojnej drogi i wiele szczęścia. No i długiego życia — dodała. W jej ciemnych oczach zamigotało słońce, kiedy objęła siostrę.

— Dziękuję, Ashton — mruknął Billy i niezgrabnym gestem uściśnął jej rękę.

Tak — pomyślał Charles — „niezgrabne” to właściwe określenie na dzisiejsze zachowanie Billy’ego wobec Ashton. No cóż, nic dziwnego, przecież Billy durzył się w niej przez dłuższy czas.

Charles uważał, że jego przyjaciel wybrał w końcu dobrze i związał się z lepszą z siostr. Ashton była wprawdzie energiczna i inteligentna, ale tkwiło w niej jakieś zło.

— Bizonie... — Billy podszedł do Charlesa i wyciągnął rękę. — Uwważaj na siebie... zwłaszcza jeśli w Sumter zrobi się za gorąco.

— Jasne. — Uścisk dłoni był mocny i długi. — Bądź ze mną w kontakcie. Ale teraz będziesz pewnie zajęty. Świeżo upieczony małżonek ma co innego na głowie.

— Też tak myślę.

Roześmieli się. Brett uściśkała właśnie po raz ostatni matkę. Otarła łzy i z przekorą w głosie powiedziała:

— Jesteście doprawdy okropni!

Charles wyszczerzył zęby.

— Masz rację, ale w końcu trzeba też trochę pozartować. Przecież pan młody nie miał nawet wieczoru kawalerskiego.

— Niech się cieszy, że w czasach takich jak te odbędzie prawdziwą podróż poślubną — odezwał się Orry we właściwy sobie, szorstki sposób.

Clarissa nie przestawała uśmiechać się i mrugać oczyma niczym oszalone, ale mimo to zdecydowane być dla wszystkich miłe dziecko. Część służby wyległa przed dom, aby wziąć udział w pożegnaniu, kiedy więc Billy podał rękę żonie, pomagając jej wsiąść do powozu, na podjeździe stał już spory tłum, wiwatując na cześć pary młodej i wykrzykując życzenia.

Billy wychylił się i pomachał dłonią, to samo uczyniła Brett. Promienie słońca zapalały się w jej lśniących od łez oczach. Homer potrząsał cuglami, a kiedy dwójka koni pociągnęła powóz, wszyscy obecni znowu poczuli wymachiwać rękami i wołać coś na pożegnanie, Charles wyciągnął dla żartu szablę z pochwy i zasalutował nowożeńcom.

Trzymając klingę tuż przed nosem i patrząc przed siebie, dostrzegł nagle Ashton; stała przykładając sobie jedną ręką chusteczkę do oczu, drugą machając młodej parze. Właśnie wsuwał szablę, kiedy kątem oka dostrzegł wyraz jej twarzy — uśmiech pełen satysfakcji, który pojawił się na parę sekund i zniknął, nie zauważony przez nikogo innego.

Charles poczuł, że ogarnia go lęk. Cośnął się za kolumnę, aby skryć się przed wzrokiem Ashton. Niezależnie od tego, co powiedziała nowożeńcom przed chwilą, nie sądził, by życzyła im naprawdę dobrze. O co tu chodzi!?!

Z pewnością zanoszą się na coś złego. Może zdoła się czegoś dowiedzieć, jeśli będzie miał oczy otwarte i ograniczy trochę picie.

Poprosił Cuffeya o kieliszek szampana, potem rozpiął kołnierz munduru i rozsiadł się w chłodnym cieniu na bujaku. Kołysał się leniwie, rozkoszując się świadomością, że jest sam. Popijając szampana małymi łyżkami opróżnił kieliszek, zanim jego cierpliwość została nagrodzona. Zza rogu domu wyłonił się czarnoskóry wyrostek, brudny i zaspany.

— Czy był tu Homer, sir?

— Nie, odjechał powozem. Niedługo wróci.

Upłynęła chwila, zanim Charles rozpoznał niewolnika. Rex, tak się nazywał, był jednym z lokajów Ashton. Gdzie on się włóczył? Wyblakła, niebieska koszula z flaneli była ciemna od potu, jakby biegł przez całą drogę.

Rex unikał jego wzroku. Przykucnął nieco dalej obok kolumny, a Charles przypomniał sobie teraz, że po ceremonii zamienił z Homerem parę słów, nie widział natomiast Rexa. Dziwne.

Uniósł głowę, kiedy rozległ się turkot, a w alei pojawił się

tuman kurzu. Hałas narastał; Charles rozróżniał już tętent pędzącego konia i łoskot kół. Skoczył na równe nogi na widok osoby kierującej powozem — wymizerowanej, wystraszonej kobiety.

— Madeline! — krzyknął, odrzucając cygaro i biegnąc jej naprzeciw. Po chwili chwycił mocno cugle ślaniającego się ze zmęczenia konia, po czym pomógł Madeline zejść na ziemię. Kiedy chciał ją puścić, przywarła doń całym ciałem.

— Madeline, wygląda pani tak, jakby ujrzała diabła. Co się stało?

Podniosła wzrok na młodego, wysokiego oficera, usiłując pozbierać myśli. Raptem dostrzegła skulonego pod kolumną Rexa. A więc wszystko łączyło się jednak w logiczną całość.

— Jeszcze niedawno widziałam go w Resolute. Jestem tego pewna.

Ale Rex pędził już co sił w nogach i po chwili zniknął im z oczu.

Powóz kołysał miękko i ten jednostajny ruch uspokajał, a zarazem potęgował nastrój euforii. Po leżących na przeciwległym siedzeniu poduszkach przemykały cienie rosnących przy drodze sosen i dębów. Billy obejmował żonę ramieniem.

— Szczęśliwa? — zapytał.

Westchnęła.

— Nawet nie wiesz, jak mi dobrze. A przestałam już wierzyć, że doczekamy tego momentu.

— Prawdę mówiąc, i ja nie wierzyłem, że Orry wyrazi zgodę.

— To twój brat wpłynął na niego, przecież wiesz.

Billy zachichotał.

— Powiadają, że kiedy przejdzie się przez West Point, Akademia kształtuje potem resztę życia aż do śmierci, i to w sposób, który trudno sobie wyobrazić, kiedy jest się kadetem. Zaczynam w to wierzyć.

Brett zamyśliła się.

— Jak sądzisz, na jak długo dostałeś przydział do Waszyngtonu?

— Trudno powiedzieć. To mogą być dni, tygodnie albo nawet...

— Jacys jeźdźcy, poruczniku Hazard.

Głos Homera sprawił, że Billy wyjrzał przez otwarte okno. Niewolnik nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego, ale sam fakt, że zaalarmował pasażerów, oznaczał, że dostrzegł w owych jeźdźcach coś niezwykłego. Billy słyszał ich już z lewej strony, tuż za powozem. Kopyta koni uderzały o leśne poszycie. Zbliżali się więc od strony drzew. Dziwne.

— Kto to? — zapytała Brett.

Billy wychylił się przez okno. Tumany kurzu krzyżowały się z promieniami słońca. Dwie niewyraźne sylwetki, podobne do centaurów, zwiększały się z każdą chwilą, szczególnie jednak zaczął dostrzegać dopiero, kiedy konie przeszły w galop. Z тумanów kurzu wyłonili się jeźdźcy. Dłoń Billy'ego zacisnęła się na ramie okna.

— To twój dawny przyjaciel. Ten od LaMotte'ów.

Ale nawet wtedy Brett poczuła się raczej zdziwiona niż przerażona. Forbes wysorował się do przodu. Jego kompan, chudy, dobrze ubrany rówieśnik, jechał tuż za nim. Brett wychyliła się przez drugie okno.

— Hej, to przecież Preston Smith. Co, na Boga, ci dwaj porabiają na tej zapomnianej przez wszystkich drodze?

Billy podejrzewał, że obaj jeźdźcy nie przybyli tu dla zabawy ani w poszukiwaniu towarzystwa; na przestrzeni wielu mil powóz nie minął żadnym osad ludzkich. Jeźdźcy rozdzielili się, jechali teraz po obu stronach powozu.

— Zatrzymaj się, Homer! — krzyknął Forbes. Uśmiechał się szeroko, ale wesoła mina wydała się Billy'emu fałszywa. Tamten władczy gestem uniósł dłoń do góry. — Powiedziałem: stój!

Stangret ściągnął lejce i przycisnął nogą hamulec. Powóz zakołysał się i stanął. Wokoło, niczym gęsta zasłona, wzbily się tumany kurzu, unosiły się leniwie w powietrzu. Konary drzew przesunęły się po ułożonym na dachu bagażu. W tym miejscu droga zwężała się do dwóch wąskich, równoległych kolein z bujnymi kępami chwastów rosnących pomiędzy nimi.

Preston Smith zakasłał, po czym odsunął od ust chusteczkę. Forbes cofnął się za powóz i przejechał na stronę Billy'ego, przełożył nogę przez łęk siodła i wsparł się łokciem o kolano. Brett nachyliła się do okna.

— Nie spodziewałam się, że ujrzę cię na tym odludziu, Forbes.

Włosy Forbesa okrywał kurz, przez to wydawały się jaśniejsze niż zazwyczaj. Sprawiał wrażenie zrelaksowanego i usposobionego przyjaźnie. Ale Billy nie dowierzał swemu wrażeniu; w oczach Forbesa migotały jakieś dziwne błyski. Billy pomyślał nagle o swoim wojskowym rewolwerze; znajdował się teraz w torbie na górze. Niech to diabli!

— Musiałem przecież złożyć wyrazy uszanowania — wyjaśnił Forbes. — Sądzę, że znasz mego przyjaciela, Prestona Smitha.

Brett chłodno skinęła głową.

— Tak, spotkaliśmy się już kiedyś.

— Nie — kontynuował Forbes. — Nie mogłem pozwolić odjechać młodej parze, nie składając im powinszowań. — Uśmie-

chał się coraz szerzej. —Wiem, że wybaczysz mi, jeśli powiem, że nie wygrał najlepszy.

Poniżej okna, tak że Forbes nie mógł tego zobaczyć, Brett zacisnęła dłoń na kolanie męża. Serce Billy'ego забиło mocniej.

Wypowiedział na głos myśl, która im obojgu przyszła nagle do głów:

— Skąd pan wie, LaMotte, że się pobraliśmy?

Smith pogłaskał swego boczącego się nieco konia.

— Och, jakoś tak obilo nam się o uszy. Nie sędzę, sir, abym miał już zaszczyt... To pan jest porucznikiem Hazardem?

Jego ton dowodził aż nadto wyraźnie, że nie uważa spotkania z Billym za zaszczyt. Billy zwrócił nań wzrok.

— Zgadza się.

— Preston Smith. Do usług.

Uśmiechał się przy tym ironicznie. I raptem Billy odrzucił wszelkie wątpliwości; spotkanie nie było dziełem przypadku, teraz był tego pewien. Znalazł się w pułapce.

Homer odchrząknął.

— Lepiej ruszajmy dalej, panie poruczniku, bo spóźnimy się na pociąg.

Forbes spojrział na stangreta.

— Jedziecie na stację, prawda?

Homer wpatrywał się niewzruszenie przed siebie.

— Tak, sir. I myślę, że musimy się pośpieszyć.

— Nigdzie nie pojedziesz, czarnuchu, dopóki ci nie pozwolę.

Billy zatrzęsł się z gniewu.

— Jazda, Homer.

Kątem oka dostrzegł, jak Smith przechyliła się w tył, sięga do torby przytroczonej do siodła i wyciąga z niej duży, skalkowy pistolet do pojedynków z mosięzną lufą. Uczynił to szybko i zwinnie, po czym wycelował w Homera.

— Dotknij tylko lejców, a ta droga spłynie murzyńską krwią.

— Nie szukamy wcale zwady — odezwał się znowu Forbes, a jego uśmiech był szerszy niż zazwyczaj — ale ujechaliśmy kawał drogi, aby złożyć wyrazy szacunku. I, na Boga, zrobimy to. A teraz, panie jankeski żołnierzyku, przestanie się pan kryć pod suknią żony i wysiądzie z powozu, tak abym mógł pogratulować panu należycie.

Dłoń Brett zacisnęła się ponownie.

— Nie, Billy, nie wychodź.

Ale w Billym zawrzała krew. Odsunął rękę żony, jednym kopnięciem otworzył drzwi i zeskoczył na ziemię. Forbes westchnął.

— Nie, sir, naprawdę nie mógłbym powiedzieć, że wygrał najlepszy. Ale jednak wygląda na to, że na razie pańskie na wierzchu, o ile rozumie pan sens moich słów.

Billy poczerwieniał, a Smith roześmiał się, co zabrzmiało jak rżśnie konia. Nad wierzchołkami sosen poszybowwała duża, śnieżnobiała czapla. Billy uczynił krok w stronę Forbesa.

— Niech pan zważy na słowa, jeśli mówi pan w obecności mej żony.

Forbes i jego kompan wymienili szybkie, pełne satysfakcji spojżenia.

— No, no, panie Hazard, to mi zabrzmiało całkiem jak groźba. A groźbę uważam za obrazę osobistą. A może źle pana zrozumiałem?

— Billy, jedźmy już — zawołała Brett. — Nie traćmy czasu na tych pomyślonych idiotów!

Forbes obdarzył ją uśmiechem.

— Wiesz, kochanie, nadal czuję do ciebie pociąg, chociaż twój ostry języczek upodabnia cię czasem do pierwszorzędnej dziwki. Założę się, że tak też postępujesz.

— LaMotte, ty sukinsynu, złaż z konia!

Forbes odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się wesoło, trącąc zarazem konia kolanami tak, aby znaleźć się poza zasięgiem ręki Billy'ego. Potem zsunął się na ziemię, oburącz przyglądził włosy i ruszył przed siebie.

— Nie sądzę, sir, abym zrozumiał pańską uwagę na opak. Pan mnie obraził.

Smith skinął z powagą głową.

— Istotnie, tak było.

Forbes wpatrywał się w Billy'ego, niższego od niego niemal o głowę.

— Żądam więc satysfakcji, sir.

Skonsternowany Homer przyglądał się całej scenie. Brett wyskoczyła z powozu.

— Odejdź od niego, Billy. Czy nie widzisz, że on przyjechał tu specjalnie, aby cię sprowokować? Nie wiem, skąd się dowiedział, że wyjeżdżamy, ale nie daj się wciągnąć w tę grę!

Billy obserwował bacznie przeciwnika. Nie patrząc na żonę, nieznacznie potrząsnął głową.

— Nie mieszaj się do tego, Brett. Co do ciebie, LaMotte...

— Powiedziałem — przerwał mu Forbes — że żądam satysfakcji. — Jego dłoń śmignęła w powietrzu i z głośnym trzaskiem wylądowała na twarzy Billy'ego. — Tu i teraz — dodał, uśmiechając się znowu z wdziękiem.

— Niech cię diabli! — krzyknęła Brett. — Wiedziałam, że gryzie cię zawiść, ale nie miałam pojęcia, że doprowadzi cię do obłądu! Od jak dawna planowałeś to posunięcie?

— Od dłuższego czasu, nie zaprzeczam. Ale dla mnie to najuczciwsza i najbardziej honorowa droga, aby wyrównać rachunki z panem Hazardem. Preston ma w torbie u siodła

zapasowy pistolet. Będzie moim sekundantem. Twoim... — przeniósł wzrok z Billy'ego na powóz. — Myślę, że ty będziesz musiał nim być, Homer. Przypuszczam, że dla Jankesa jest niemal zaszczytem, mieć czarnucha za sekundanta. Głos Brett załamywał się z emocji:

— Nie wolno ci się na to zgodzić, Billy.

— Przestań, proszę — przerwał jej. Położył ręce na jej ramionach, potem poprowadził żonę na drugą stronę powozu. Tam nachylił się ku niej i szepnął: — Muszę z nim walczyć. Czy nie rozumiesz, że ścigał nas, aby mnie zabić? Jeśli spróbujemy uciec, obmyśli jakiś pretekst, aby zastrzelić mnie na miejscu. Tak natomiast... — Przełknął ślinę. Na jego twarzy pojawiły się krople potu; jedna stoczyła się i skapnęła na klapę, niczym plama krwi. — ... będę miał przynajmniej jakąś szansę.

Zacząła potrząsać głową, najpierw nieznacznie, potem coraz gwałtowniej. W jej oczach zabłyśły łzy. Billy ścisnął ją za rękę i porwocił do napastników. Usłyszała jego głos:

— W porządku, LaMotte. Zmierzymy się na tamtym polu, obok trzęsawiska.

— Do usług, sir — odparł Forbes i skłonił się wytwornie.

Billy zdjął marynarkę, krawat i kamizelkę, przerzucił je przez kolce juki, rosnącej pod obwisłymi liśćmi dzikiej palmy. Homer ruszył ku niemu, ale Billy machnął ręką.

— Zostań przy pani Brett. Dam sobie radę sam.

— Oczywiście, dlaczego nie? To przecież proste — przytaknął Smith, wiodąc pojedynekowiczów na słońce, na sam środek łąki porośniętej kołyszącą się miękką na wietrze bermudzką trawą.

Kiedy zatrzymali się, wyciągnął ku nim ręce. W każdej dłoni trzymał pistolet do pojedynków.

Identyczne modele — zauważył Billy. — Jeszcze jeden dowód, że spotkanie nie jest przypadkowe. Mężczyźni nie udają się na popołudniową przejażdżkę z parą tego typu pistoletów w torbie przy siodle.

— Panowie, naładuję je w waszej obecności prochem i kulą. Potem staną panowie plecami do siebie i na moją komendę uczynią dziesięć kroków. Po dziesiątym kroku każdy z panów może odwrócić się i wypalić. Czy są jakieś pytania?

— Nie — odparł Forbes, podwijając rękawy koszuli.

— Pośpieszmy się — powiedział Billy.

Smith ponownie skłonił się szyderczo, ukląkł w trawie, otworzył torbę i wyciągnął z niej dwie butelki z prochem — jedna z nich była trzy razy większa od drugiej. Z większej wsypał do lufy pistoletu proch napędowy, wepchnął kulę i skrawek materiału, po czym wypełnił ją drobnoziarnistym prochem z mniejszej butelki.

Podał broń Forbesowi, który obejrzał ją niedbale i skinął głową; zdawało się, że bardziej pasjonuje go obserwowanie przyjaciela, który ścisnął nogami drugi pistolet, lufą do góry.

Również Billy obserwował Smitha, kiedy ponownie sięgał po większą butelkę. Forbes odchrząknął głośno i Billy obrócił się ku niemu.

— Chyba nie ma pan nic przeciw temu, że wysiusiam się przed pojedynkiem? — Billy potrząsnął głową. — Może więc byłby pan łaskaw potrzymać to, póki nie wrócę.

Wyciągnął dłoń z pistoletem. Billy'emu nie pozostało nic innego, jak wziąć broń, i w konsekwencji nie dostrzegł, że Smith przesunął trochę na bok butelkę trzymaną nad lufą. Większość prochu napędowego wysypała się w grubą trawę.

Wszystko było dokładnie zaplanowane i wykonane błyskawicznie. Forbes odwrócił uwagę Billy'ego we właściwym momencie; manewr z prochem pozostał nie zauważony. Widać było jedynie Smitha, który klęczał na ziemi, pistolet częściowo zasłaniały jego nogi i falująca trawa.

Smith wsunął już drugą kulę, podsypał trochę prochu z mniejszej butelki i podał broń Billy'emu; zawierała za mało prochu napędowego, aby nadać kuli należyłą prędkość w lufie. Nie była to już śmiercionośna broń. W miejscu gdzie Smith klęczał, Billy zauważył wprawdzie kilka ziarenek prochu i pomyślał nawet, że może powinien zażądać zamiany pistoletów, szybko jednak odrzucił podejrzenia. Nawet najbardziej zazdrosny wielbiciel nie upadłby przecież tak nisko, aby usiłować dopiąć swego za pomocą nieuczciwie przygotowanej broni.

Forbes wrócił już na miejsce. Billy oddał przeciwnikowi pistolet, Smith wręczył mu drugi.

— Dziękuję — powiedział Billy, biorąc go do ręki. Smith odchrząknął.

— Panowie, czy możemy zaczynać?

64

— Czy jest tu Billy Hazard? — zapytała Madeline.

Od chwili kiedy przyjechała do Mont Royal, upłynęło mniej więcej pięć minut. Charles wprowadził ją do biblioteki, po czym posłał po Orry'ego, który stał teraz oparty plecami o drzwi z wyrazem bezmiernego zdumienia na twarzy.

— Wyjechał już — odparł Charles. — Wraz z Brett. Mają wsiąść na stacji do pociągu jadącego na północ. Dwie godziny temu pobrali się.

— Pobrali się — powtórzyła oszołomiona. - A więc to z pewnością dlatego.

— Dlatego co? — zapytał Orry.

Zadał to pytanie tonem ostrzejszym, niż zamierzał, ale winne temu były emocje: radość z jej nieoczekiwanego przybycia oraz smutek, który narastał w nim, ilekroć spoglądał na jej wymęczoną, mizerną twarz. Straciła dużo na wadze, ale zdawał sobie sprawę, że przytrafiło się jej coś jeszcze gorszego, jakkolwiek nie wiedział co.

— Forbes — szepnęła. — Forbes i jego przyjaciel Preston Smith. Opuścili Resolute tuż przede mną. Podśledzałam, jak rozmawiali z Justinem o... o zabiciu Billy'ego. Ktoś stąd musiał ich powiadomić, kiedy on i Brett wyjeżdżają.

Charles przygryzł wygasłe cygaro.

— A nie mógł to być ten chłopiec, którego widziała pani przed domem?

— Nie wiem. — Jej oczy zrobiły się szkliste, jakby martwe.

— Tak, to chyba on.

— O kim mówicie? — zainteresował się Orry.

Wyraz twarzy Charlesa był zimny, groźny.

— Niewolnik Ashton. Rex. Poszukam go.

Podszedł do drzwi. Orry zbliżył się do Madeline.

— Jesteś pewna, że rozmawiali o tym, aby zrobić Billy'emu coś złego?

Charles zatrzymał się w progu, by usłyszeć odpowiedź.

— Słyszałam, jak mówili: „zabijając”. — Zaszlochała nagle. Chciała zapanować nad sobą, ale bezskutecznie. — Zabijając.

Orry patrzył spode łba.

— Na Boga, porozmawiam z Justinem...

— Na to jest już za późno — zawołała Madeline. Zresztą Justin przestał się liczyć. Odeszłam od niego.

Wpatrywał się w nią zaskoczony.

— Odeszłam — powtórzyła. — Nigdy już nie wrócę do...

— Zanim zdołała skończyć zdanie, poczęła osuwać się bezwładnie na podłogę, a potem padła na Orry'ego, który zatoczył się pod jej ciężarem. Utrzymał jednak równowagę i podtrzymał ją.

— Przyślij tu kogoś do pomocy — zawołał do Charlesa.

Charles kiwnął głową i z gniewnym wyrazem twarzy wybiegł z pokoju.

— Ashton, gdzie twój lokaj?

Jego kuzynka podniosła wzrok znad srebrnego serwisu do herbaty. Właśnie zamierzała nalać ją sobie i Clarissie.

— Masz na myśli Rexa?

— Właśnie. Gdzie on jest?

Jego lodowaty wzrok sprawił, że przestała się uśmiechać.

— Myślę, że gdzieś przed domem. Co cię tak zirytowało?

Rozpaczliwie grała swą rolę; kiedy wraz z matką zasiadały do stolika, usłyszała nadjeżdżający powóz. Wyjrzała przez okno i ujrzała Madeline wchodzącą przy pomocy Charlesa do środka: brudną i brzydką jak noc. Ze strachu, że coś pokrzyżowało jej plany, pozostała w salonie, bojąc się wystawić bodaj nos za próg.

Charles zignorował jej pytanie. Wybiegając z salonu walił nogami tak mocno, że niemal zatrzęsała się podłoga.

Z przyjaznym, pełnym ciekawości uśmiechem, Clarissa zapytała:

— Nie poznałam tego młodego człowieka. Czy to nasz gość?

— To twój bratanek, mamo!

Ton jej głosu był tak ostry, że w oczach Clarissy zakręciły się łzy. Ashton pogłaskała ją po policzku szybkimi, gwałtownymi ruchami.

— Przepraszam, że się uniosłam, ale nagle tak strasznie rozboleła mnie głowa...

— Może powinnaś napić się herbaty.

— Tak. Tak, może.

Jej ręka dygotała silnie, kiedy próbowała nalać płynu do filiżanki. Herbata pociekła na stolik i Ashton omal nie upuściła dzbanka.

— Och, do diabła! — syknęła.

Clarissa, słysząc przekleństwo, jęknęła, Ashton odstawiła gwałtownie dzbanek na tacę, zerwała się z miejsca i poczęła krążyć po pokoju. Charles wywęszył coś. Na pewno coś wywęszył. Jeśli jednak będzie zbyt ciekawa, mogłaby się zdradzić. Ale z drugiej strony... czy to nie za duże ryzyko, aby pozostawiać go sam na sam z Rexem? Ten czarnuch aż się pali, żeby zemścić się na niej!

Przez co najmniej minutę kręciła się po pokoju targana sprzecznymi uczuciami. W końcu, bez jednego słowa wyjaśnienia, wybiegła na zewnątrz. Clarissa złożyła serwetkę i zaczęła wycierać ze stolika rozlaną herbatę. Jaka ta dziewczyna nerwowa! Clarissa starała się usilnie przypomnieć sobie jej imię, ale na próżno wyteżała pamięć.

Na werandzie przed kuchnią Charles nachylał się nad Rexem, opierając się dłonią o szarą ścianę z drewna cyprysowego tuż obok ucha chłopca. Kiedy znalazł go, Rex gryzł kawałek peklowanej wieprzowiny; nie zdążył nawet pomyśleć o ucieczce, gdyż Charles natychmiast przykucnął i przycisnął go niemal do ściany.

— Rex, nie znoszę, jak ktoś kłamie. Rozumiesz?

Ciemne, zrozpaczone oczy omiotły trawnik za plecami Charlesa. Chłopiec wiedział, że znalazł się w pułapce. Cienkim głosem odparł:

— Tak, panie
— Biegłeś przez całą drogę do Resolute i z powrotem, czy tak?
Rex przygryzł dolną wargę. Charles nachmurzył się.

— Rex?

Cicha odpowiedź:

— Tak.

— Z kim tam rozmawiałeś?

Znowu chwila wahania.

— Z panem LaMotte.

— Justinem LaMotte? Rex

podrapał się po głowie.

— Nie, z panem Forbesem. Powiedziano mi... Urwał.

Charles szturchnął go w bok.

— To znaczy kto? Chcę, żebyś wymienił imię osoby, która
kazała ci pobiec do Resolute.

I tak domyślał się już wszystkiego. Teraz, kiedy doszedł do
siebie po pierwszym zaskoczeniu i wrażeniu niesmaku, spisek był
zbyt przejrzysty, aby żywić jeszcze jakiego wątpliwości. Cofnął rękę
i łagodnie dotknął ramienia chłopca.

— Obiecuję, że jeśli mi powiesz, nie stanie ci się nic złego.

Rex walczył przez chwilę z sobą, obserwując zarazem twarz
Charlesa, i w końcu zdecydował się odpowiedzieć. Wykrzywił usta
w dziwnym uśmiechu, ale Charles stracił już cierpliwość.

— Do diabła, chłopcze, nie mamy czasu. Chcę usłyszeć od
ciebie...

— Rex? Ach, tu jesteś. Szukałam cię wszędzie.

Charles wstał i odwrócił się; szybkim krokiem zbliżała się ku
nim Ashton.

Zadyszana stanęła na werandzie.

— Chodź już, nicponiu, musisz mi pomóc.

— Najpierw musi odpowiedzieć na moje pytanie — zapropono-
wał Charles.

— Ależ, Charles... — Z wdziękiem wydeła usta, on jednak był
przekonany, że za tym grymasem kryje się lęk. — Muszę się
przygotować, aby wrócić do domu.

— I tak nie możesz wrócić, dopóki Homer nie przyjedzie
powozem. — Ironicznym tonem dodał: — A jeśli mamy wierzyć
Madeline, to może potrwać długo.

— Madeline LaMotte? Chcesz powiedzieć, że ona tu jest?

— Przecież widziałaś, jak pomagałem jej wejść do domu.
Zauważyłem cię, kiedy stałaś przy oknie i próbowałaś schować się
za zasłoną.

Jej policzki pokryły się purpurą. Skonsternowana, co było dla
niej czymś nowym, zająknęła się. Charles wykorzystał ów
moment, aby obrócić się znowu do chłopca.

— Czekam, Rex. Kto wysłał cię do Resolute z wieścią, że Billy i jego żona pojechali na stację?

Ashton czuła już niemal zatrząskujące się sidła. Dalsze udawanie nie miało sensu, ale raptem odezwał się w niej instynkt samozachowawczy. Odpychając Charlesa, wzniosła zaciśniętą groźnie pięść.

— Rex, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, trzymaj język za zębami... och!

Chłopiec wpatrywał się w jej pięść dygoczącą tuż przed jego nosem; Charles powstrzymał uderzenie, chwytając Ashton za rękę. Oczy chłopca zogniły i Ashton poczuła nagle, że ogarniają pustka. Wiedziała, o czym myśli teraz Rex: o chłości.

— Ona mnie wysłała.

Wyrzucił to z siebie jak coś bolesnego, ale zarazem jak wyzwanie pod jej adresem. Charles westchnął ciężko i puścił rękę kuzynki. Potarła obolałe miejsce.

— O czym on mówi, na Boga? Nie mam najmniejszego pojęcia...

— Przestań — przerwał jej Charles. — Madeline opowiedziała Orry'emu i mnie o wszystkim, co podsłuchiwała w Resolute. Kłamstwo nic już nie da. Ani wygrażanie temu chłopcu. — Zaciśniętą dłoń na ramieniu chłopca. — Lepiej znikaj stąd.

Rex pobiegł przed siebie.

Charles wpatrywał się w twarz Ashton, na której dokonywała się zaskakująca przemiana: posiniała z wściekłości, utraciła raptem ów nienaturalny uśmieшек. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Cichym, drżącym z furii głosem powiedział:

— Na Boga, a więc to prawda. Chcesz, aby twój własny szwagier został zraniony albo nawet zabity.

Potwierdziły to jej milczenie i przekorny błysk w oczach. Nie tracąc czasu zaciśniętą dłoń na rękojeści szabli i co sił w nogach pobiegł do stajni.

Ashton zeszła za nim z werandy, ale niemal natychmiast przystanąła.

— To na nic! — krzyknęła za jego znikającą w oddali postacią. — I tak przybędziesz za późno. Za późno!

— Jeden — zawołał donośnie Smith. Pojedynkowicze ruszyli w przeciwnych kierunkach, ze wzrokiem utkwionym przed siebie i pistoletami u boków.

— Dwa.

Wiatr wichrzył trawę i marszczył połyskującą na rrfoczarach wodę. Pot spływał po karku Billy'ego, wsiąkając w kołnierz jego wytwornej, ślubnej koszuli.

Nie chcąc rozpraszać uwagi niepotrzebnymi rozmyślaniami,

skoncentrował wzrok na gałęzi dębu znajdującego się na wprost przed nim. Badał kształt pistoletu w dłoni, uświadamiając sobie, że już za chwilę będzie musiał wycelować i strzelić.

— Trzy.

Brett zaciskała dłonie tak mocno, że czuła ból. Stała obok powozu, zastanawiając się, jak to się stało, że znaleźli się w takiej sytuacji. Kto powiedział Forbesowi, gdzie oni będą? To niemal niemożliwe, aby zjawił się właśnie w tym miejscu przez przypadek.

— Cztery.

Homer stał jakieś sześć stóp od niej, z prawej strony. Kiedy pojedyńkowicze zaczęli kroczyć przed siebie, ujrzał raptem porozumiewawcze spojrzenia, które wymienili młody LaMotte i jego sekundant. Homer schylił się po szary kamień wielkości pięści i począł przekładać go nerwowo z jednej ręki do drugiej.

Coś tu nie jest tak — myślał z rosnącym niepokojem.

— Pięć.

Z lewej strony Brett znajdował się Preston Smith. Stał przy koniach, na których przyjechali wraz z Forbesem, chciał bowiem być blisko torby przytroczonej do siodła na wypadek, gdyby sprawy potoczyły się inaczej, niż zostało zaplanowane. Opuścił wzrok na but i uśmiechnął się w duchu na widok wybrzuszenia; była to specjalna kieszonka naszyta po wewnętrznej stronie. Potem zerknął na Homera, który najwidoczniej pocił się ze strachu, machinalnie bawiąc się kamieniem. On nie stanowił żadnego zagrożenia. Przeszyło go uczucie satysfakcji tak intensywne, że omal nie zapomniał podać kolejnego kroku.

— Sześć.

Przed oczyma Billy'ego pojawiła się mgła. Strach ścisnął go za gardło, zapragnął nagle spojrzeć po raz ostatni na Brett, w głowie kłębiły się chaotyczne myśli.

Czemu ma na nią patrzeć? Przecież wkrótce ujrzy ją znowu. A może nie? Jak to się stało, że wiedzieli, gdzie jesteście?

Jakiś dźwięk wdarł się w jego świadomość: cichy i miarowy stukot. Nie przypuszczał dotąd, że jego serce może bić tak głośno.

— Siedem.

Homer wiedział, co oznaczało owo chytre, porozumiewawcze spojrzenie kompanów. Wiedział, na co się zanosi. Ci dwaj uknuli spisek, aby zamordować młodego Hazarda. Nie wiedział jeszcze, dlaczego i jak to ma się odbyć, ale był przekonany, że się nie myli. Myśl o tym, co ma nastąpić, przyprawiała go niemal o mdłości; odwrócił się do powozu i wsparł o przednie koło, nie wypuszczając kamienia z ręki.

— Osiem.

Również Brett początkowo niewłaściwie zinterpretowała ów dźwięk. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to tętent konia

pędzącego drogą z Mont Royal. A ponad ten odgłos wzbijał się krzyk mężczyzny.

Usłyszał go również Smith. Jeden z koni, które trzymał, spłoszył się i zarżał przeraźliwie, zagłuszając wołanie:

- ...uważaj, Billy...
- Brett szeroko otworzyła oczy.
- To Charles.
- Dziewięć — zawołał Smith.

Forbes odwrócił się, jego pewność siebie zniknęła w jednej chwili. Nie musiał nawet patrzeć na wystraszonego kompana, aby uświadomić sobie, że zbliżający się jeździec oznacza fiasko ich planu. Billy nie reagował już na liczby wykrzykiwane przez Smitha; stał, wpatrując się z zainteresowaniem w drogę. Gniew i desperacja ogarnęły Forbesa. Tył głowy Billy'ego stanowił teraz doskonały cel.

Smith zapomniał nawet powiedzieć „dziesięć”. Ale to nic! Forbes uniósł rękę na wysokość ramienia i wycelował.

Homer wiedział doskonale, że za zaatakowanie białego człowieka czeka go kara, nie mógł jednak stać biernie i patrzeć na morderstwo. Zamachnął się.

Smith nie odgadł dokładnie zamiarów niewolnika, w jego geście dostrzegł jednak zagrożenie. Wrzasnął coś i rzucił się przed siebie, mijając Brett. Biegając, sięgnął ręką do prawego buta.

Kamień poszybował w stronę Forbesa, kiedy ten naciśkał spust. Brett zorientowała się, że kamień chybi celu o jard albo nawet więcej, spełnił jednak swoje zadanie, gdyż na jego widok Forbes odruchowo odchylił głowę na lewo. Dłoń uzbrojona w pistolet również zmieniła położenie. Huk, obłoczek dymu...

Kamień opadł na falującą od wiatru trawę. Zaskoczony Forbes otworzył usta. Billy odwrócił się, patrząc na przeciwnika.

Kiedy Smith mijał Brett, pchnął ją na powóz. Teraz wyprostowała się i spojrzała na pole — Billy stał cały i zdrowy. Jeździec był już blisko.

- Charles! — krzyknęła. Okrzyk zagłuszył gardłowy jęk.

Odwróciła się i przycisnęła dłoń do ust. Na twarzy Smitha zobaczyła jakiś dziwny grymas, jego prawa ręka cofała się właśnie; wyciągnął z brzucha Homera ostrze noża „bowie” — noża, który dobył z buta.

— Och! — Homer wpatrywał się w swoją rozciętą, pokrwa wioną na przodzie koszulę. — Och! — powtórzył i w słowie tym zawarł zdumienie i ból. Zaczął osuwać się na bok. Smith popchnął go wolną ręką i Homer padł w trawę martwy, zanim zdążył dotknąć ręką ziemi.

Z pewnym opóźnieniem Billy uświadomił sobie, że koło ucha świsnęła mu kula. Gdyby nie kamień rzucony przez Homera, strzał byłby celny.

Charles osadził okrytego pianą konia. Nadal był w mundurze. Szabla uderzyła go w nogę, kiedy zeskakiwał na ziemię. Billy przeniósł wzrok na Forbesa — Forbesa, który wystrzelił, zanim padło słowo „dziesięć”. Forbesa, który chciał strzelić mu w plecy. Trzęsąc się z wściekłości, Billy uniósł pistolet i wycelował. Kiedy pociągnął za spust, u wylotu lufy pojawił się błysk, ale huk był słaby.

Forbes nie zmienił pozycji ani na cal. Billy nie wierzył własnym oczom — mierzył przecież w sam środek klatki piersiowej. Jak to się stało, że chybił, mając przed sobą tak duży i nieruchomy cel?

Dostrzegł na skrawku gołej ziemi, zaledwie dziesięć kroków dalej, coś ciemnego. Kiedy podszedł bliżej, zorientował się, że to kawałek metalu o barwie ołowiu. Kula. Kula z jego pistoletu, która leżała tak blisko...

Przypomniał sobie Smitha, który klęczał, ładując broń, przypomniał sobie rozsypany w trawie proch. Dobrze to sobie obmyślili, zrobili wszystko, aby jego kula nie dotarła do celu. Zaklął brzydko i cisnął pistolet w trawę.

— Forbes!

Forbes zakręcił się na pięcie, słysząc okrzyk Smitha, który chwycił swój myśliwski nóż za czubek ostrza i rzucił w jego stronę. Forbes poczekał, aż nóż padnie na ziemię u jego stóp, po czym podniósł go jednym szybkim ruchem, przełożył do lewej ręki, a zza prawego buta wyciągnął drugi o podobnym kształcie, ale nie zakrwawiony i o dwa cale dłuższy.

Słońce odbijało się od jego dłoni srebrzystymi błyskami, kiedy podchodził do Billy'ego.

— Przykro mi, że chybiłeś! — zawołał, a z jego gardła wydobyło się coś jakby śmiech szaleńca. — Ale tobie będzie jeszcze bardziej przykro!

— Nie chybiłem. Kula w ogóle nie doleciała do ciebie. Leży tutaj, w trawie. W mojej broni było za mało prochu!

— Sprytny, cholerny Jankes, co?

Wiatr rozwiewał włosy Forbesa, przyklejał je do mokrego od potu czoła. Billy, nie uzbrojony, cofnął się o krok, potem jeszcze jeden. Forbes zbliżał się do niego, sunąc bokiem niczym krab.

— Nie powinienesz być zadawać się z Brett. Nie powinienesz być w ogóle zjawić się w Karolinie Południowej. Myślę, że odeślą cię do domu w worku, ale jestem pewien, że twoja rodzina nie zechce otworzyć go i spojrzeć na ciebie. — Prawą ręką, uzbrojoną w nóż, zataczał drobne kręgi, a po chwili zaczął poruszać w ten

sam sposób lewą. — Na pewno nie zechcą, zwłaszcza po tym, jak pokiereszują ci twarz!

Billy znowu cofnął się o krok. Postanowił zbliżyć się do naj- ; bliższego drzewa i oderwać gałąź, zanim jeden z tych noży ,...

— Billy!

Okrzyk zwrócił jego uwagę na powóz. Smith zniknął z pola widzenia. Charles dotarł już do Brett; jego koszula była rozpięta, a jasnoniebieskie spodnie brudne. Na twarzy malowała się furia, kiedy rzucił szablę na pole.

Billy skoczył na prawo, tak aby szabla wylądowała między nim a Forbesem. W tej samej chwili za powozem pojawił się Smith; omijając ciało Homera biegł w stronę swego konia. Szabla upadła w trawę o wiele bliżej Billy'ego niż Forbesa. Billy puścił się ku niej pędem.

Smith stał teraz przy koniu i wyciągał z torby przy siodle derringera o czterech lufach. Charles zaklął na ten widok i rzucił się w jego stronę, ale Smith biegł już na pole, opróżniając wszystkie lufy wycelowanej w Billy'ego broni. Po ostatnim wystrzale Billy poczuł uderzenie. Jęknął z bólu i zatoczył się.

Charles dotarł już do Smitha, chwycił go z tyłu, obrócił, wytrącił pustą broń z dłoni i palnął go najpierw prawą pięścią, potem lewą. Ciosy były chaotyczne, ale mocne. Smith krzyknął z bólu, z nosa trysnęła czerwona fontanna.

Billy upadł na ziemię. Lewy rękaw koszuli, tuż nad łokciem, pociemniał od krwi. Leżał na brzuchu, po sekundzie podparł się oburącz i w tej samej chwili lewą rękę przeszył ból. Opadł z powrotem.

Srebrne iskierki zatańczyły przed nim w odległości kilku stóp. Wyciągnął rękę i zacisnął palce na rękojeści szabli. Niemal wypuścił broń, kiedy dźwigał się z trudem na nogi. Jakiś długi cień padł na trawę i Billy uchylił się w ostatniej chwili; zaledwie o dwa cale od niego śmignęła prawa dłoń Forbesa, uzbrojona w nóż.

Ból przytępił energię i świadomość. Jedyne, co mógł teraz robić, to cofać się, uchylać przed ciosami i próbować wziąć się w garść. Spocona i wykrzywiona szyderczo twarz Forbesa, z oczami palającymi żądzą mordy, pojawiała się przed nim z niezwykłym uporem.

Billy bronił się instynktownie. Wszystkie te eleganckie, zmyślne zwody, które ćwiczył w West Point, rozplynęły się nagle we mgłę, z której jego zmysły odbierały jedynie strach i piekący ból. Forbes zamachnął się kilkakrotnie lewą ręką, ale Billy osłonił się szablą i próbował odepchnąć napastnika. Zabrakło mu sił.

Forbes zachichotał gardłowo.

— Mam cię, Jankesie — warknął.

Znowu zamierzył się, tym razem atakując dwoma nożami jednocześnie, zaskoczył Billy'ego szybkimi ruchami. Billy ciął szablą powietrze, usłyszał śmiech Forbesa i ujrzał, jak zbliża się ponownie, pewny swego.

Raz jeszcze Billy cofnął się, usiłując przygotować się do ataku, był jednak zbyt osłabiony z powodu utraty krwi, cieknącej gorącym strumykiem pod koszulą.

Brett krzyczała coś, on jednak bał się odwrócić. Potknął się o grube, sterzące nad ziemią korzenie i raptem uderzył plecami w ogromny pień drzewa. Oczy Forbesa rozszerzyły się z uciechy. Celując w twarz przeciwnika, zamierzył się prawym nożem.

Billy błyskawicznie uchylił się przed ciosem i w tej samej chwili nóż wbił się w drzewo. Nie tracąc czasu na wyrwanie go, Forbes zadał cios drugim. Billy uchylił się ponownie, ale tym razem ostrze rozcięło mu koszulę, przesunęło się po żebrach i zagłębiło w drzewo na dwa cale.

Forbes stał teraz tuż przed nim. Uświadomił sobie, że oba jego ciosy chybiły. Z desperacką miną szarpał noże, usiłując wyciągnąć je z pnia. I to właśnie była ostatnia szansa Billy'ego. Z całej siły uderzył kolanem w brzuch. Forbes jęknął, cofnął się chwiejnym krokiem, a Billy, wykorzystując niewielkie pole manewru, zamierzył się szablą i ciął z rozmachem, niemal przesywając przeciwnika na wylot.

Forbes runął twarzą na ziemię. Impet wepchnął szablę jeszcze głębiej, jej czubek przeciął koszulę na plecach i błysnął w słońcu.

Billy odwrócił się, drżąc na całym ciele. Ból nie był nawet w połowie tak dotkliwy, jak wymioty, które opróżniały teraz jego wnętrzności, kiedy stał wsparty o pień drzewa.

Brett krzyknęła cicho i rzuciła się ku niemu. Charles zawołał:

— Przyrowadź go tu, żebym mógł opatryć mu ranę po czym znowu skierował swą uwagę na Smitha. Chwycił kompana Forbesa za kołnierz i pchnął z całej siły na powóz. Smith przycisnął obie dłonie do krocza, po jego twarzy popłynęły łzy. Charles potrząsnął nim gwałtownie.

— Przestań się mazać i posłuchaj! Kiedyś załatwiłem twojego krewniaka, Whitneya, i teraz mogę zrobić to samo z tobą. Prawdę mówiąc, mam na to ogromną ochotę. Ale może starczy już krwi. A więc wynoś się stąd, zanim zmienię zdanie.

Szlochający Smith powłókł się do konia.

— Wrócisz pieszo — krzyknął Charles. — Zwierzęta zostaną tutaj.

Nie oglądając się, Smith wyszedł na drogę. Nagły impuls

kazał Charlesowi podnieść kamień i cisnąć nim w utykającego mężczyznę. Smith wrzasnął, nakrył kark dłonią i rzucił się do ucieczki.

Uśmiech Charlesa zgasł, kiedy jego wzrok spoczął na martwym niewolniku Ashton, a potem przeniósł się tam, gdzie leżały zwłoki Forbesa, widoczne w wysokiej trawie jedynie dzięki sterczącej, błyszczącej w słońcu szabli. Nad nimi gromadziły się już muchy.

Billy, wspierając się prawym ramieniem o Brett, z lewą ręką pokrwawioną i zwisającą bezwładnie u boku dotarł do powozu.

— Ukartowali ten pojedynek — powiedział zadyszany, po czym w kilku słowach przedstawił podstęp z pistoletem i sposób, w jaki go odkrył.

— Łajdaki — warknął Charles. Rozdarł rękaw i obejrzał ranę. — Wygląda na to, że kula przeszła przez ciało. Więcej tu krwi niż szkody. Brett, odedrzyj kawałek halki. Opatrzę mu ranę.

Obróciła się doń tyłem i uniosła spódnicę. Charles odrzucił głowę do tyłu, by spojrzeć na słońce.

— Musimy się pośpieszyć, o ile mamy zdążyć na pociąg. Dacie radę?

— Do diabła, pewnie że tak — mruknął Billy. — Chciałbym wydostać się z tego straszego miejsca.

— Trudno mieć ci to za złe — odparł Charles.

— Nigdy nie przypuszczałam, że Forbes jest tak zły i szalony — powiedziała przez ramię Brett, odrywając materiał. — Jak to się stało, że zjawił się tu akurat teraz?

— Madeline LaMote podслуchała w Resolute Forbesa i Prestona, kiedy rozmawiali o was. Po ich wyjeździe udało jej się dotrzeć do Mont Royal i ostrzegła nas. Osiodłałem konia i pojechałem drogą, "którą, jak wiedziałem, udaliście się na stację.

— Ale... skąd Forbes wiedział, że wyjeżdżamy właśnie teraz? I że wybieramy się na stację?

Charles wziął od Brett koronkę i zaczął obwiązywać Bil-ly'emu ramię. Ranny zacisnął zęby. Jego twarz odzyskała już naturalny kolor.

— Nie jestem pewien — odparł wymijająco Charles. Całą uwagę skoncentrował na tym, co robi, aby nie patrzeć kuzynce w oczy. — Zawiozę potem ciało Homera na plantację i popytam tu i tam. A wy wchodźcie już do powozu. I trzymajcie się siebie tak mocno, jak tylko możecie, bo resztę tej drogi przejadę w szaleńczym tempie.

Charles dotrzymał słowa; aż do chorągiewki skrytej na stacyjce nie zwalniał ani na chwilę. Kiedy powóz zakołysał się

gwałtownie i stanął, od południa usłyszeli gwizd parowozu. Charles przeskoczył przez szyny, wpadł do budki, otworzył wieczko skrzynki i wciągnął chorągiewkę na słup. Kiedy skończył, w polu widzenia pojawił się ogromny, sięgający niemal szyn zderzak.

Billy usiłował przekrzyknąć syk pary i dźwięk dzwonka.

— Nie wiem, jak to powiedzieć...

— Nie przejmuj się. To tylko obowiązek. Jeden oficer z West Point pomógł drugiemu. To wszystko.

— Przecież zrezygnowałeś z wojska.

— Ale to jeszcze nie znaczy, że West Point zrezygnowało ze mnie. — Zaskoczony, a nawet zakłopotany Charles poczuł, że zbiera mu się na płacz.

To z pewnością szok po tych wszystkich wydarzeniach — pomyślał.

Usiłując ukryć swe uczucia, pobiegł do powozu, aby przenieść bagaż i ułożyć go na peronie. Pociąg wjeżdżał już na stację, zwolnił, przed nimi przesunęły się wagony towarowe i pocztowy, potem twarze za brudnymi oknami; twarze, których obojętność zniknęła od razu na widok tej zakurzonej trójki — żołnierza, młodej kobiety i mężczyzny z płaszczem zarzuconym na ramiona i śladami krwi na obandażowanej ręce.

Brett objęła Charlesa za szyję.

— Och, kuzynie... jak mam ci dziękować? Opowiedz wszystkim, co tu się wydarzyło.

— Dobrze. A ty wejdź już do środka — dodał, zerkając na niecierpliwącego się konduktora.

Billy wchodził za nią. Stojąc już na drugim schodku wagonu, spojrzął na przyjaciela. Uścisnęli sobie ręce.

— Nie mam zielonego pojęcia, kiedy zobaczymy się znowu, Bizonie.

Z bólem Charles uświadomił sobie, że to prawda.

— Ani ja.

— Uważaj na siebie.

— Ty też. Szczęśliwej podróży. Dla ciebie i twojej żony.

— Dziękuję. Spotkamy się znowu.

— Wiem.

Charlesa trapiły wątpliwości. Przez te wszystkie niepokoje w kraju ich spotkanie mogło nastąpić tylko na polu bitwy.

— I — co najgorsze — po przeciwnych stronach.

Do diabła, nie myśl w ten sposób, bo wszystko popsujesz. Dzień był już i tak wystarczająco paskudny. — Udało mu się przywołać na twarz swój zwykły, beztroski uśmiech, uniósł dłoń i stał tak, machając, kiedy pociąg ze stukotem ruszał z wolna.

Kilku pasażerów stało na platformie ostatniego wagonu, kiedy mijali go, usłyszał jakąś plugawą uwagę pod swoim

adresem. Coś poszybowało w jego kierunku- Uświadomił sobie, że ktoś splunął na jego mundur.

— Niech to diabli! — murknął.

Ale niebawem ochłonął z gniewu, na twarz powrócił uśmiech i spod daszku stacyjki Charles zawołał szyderczo za tym, kto opluł jego federalny mundur.

— Zrobiłeś to jak prawdziwy Południowiec!

Przecierając oczy, ruszył na drugą stronę torowiska, w stronę powozu. Pociąg zniknął już w naturalnym tunelu z gęstych konarów sosen. Charles, przechodząc przez szyny, czuł jeszcze wibrację.

Najchętniej spiłby się teraz do nieprzytomności. Musiał jednak wrócić na pole, gdzie została przelana krew, a potem do Mont Royal, aby załatwić pewne sprawy.

65

Wiem, jak wschodzi księżyc.

*Wiem, jak błyszczą gwiazdy.
Złóćcie ciało to...*

Słowa starej pieśni religijnej przenikały przez okna ciemnej biblioteki. Niewolnicy śpiewali dla Homera, którego zwłoki Charles przywiózł w powozie. Ciało Forbesa zostawił na pastwę ścierwojadów. Współczucie miało swoje granice.

— Tak to właśnie było, o ile zdołałem poskładać wszystko w całość — powiedział Charles. — Po prostu chcieli zamordować Billy'ego.

Wsunął cygaro do ust i wyciągnął swe długie nogi. Orry stał w kącie oparty o ścianę, jego cień padał na stary mundur.

— Jeśli połączymy twoją relację z opowieścią Madeline, wszystko staje się jasne. Wielki Boże, Charles, nawet nie przyszło mi do głowy, że mogą go nienawidzić do tego stopnia.

— To samo mówiła Brett, kiedy odjeżdżali. Przypuszczam też, że dużą rolę odgrywała w tym wszystkim zazdrość. Jak się czuje Madeline?

— Kiedy rozmawiałem z nią godzinę temu, czuła się dobrze. Mam nadzieję, że usnęła.

— Na pewno LaMotte szuka jej teraz.

Orry skinął głową.

— Muszę pomyśleć dziś również o tym, ale wszystko po ko-

lei. — Jego głos zabrzmiał surowo. — Czy widziałeś gdzieś Ashton?

— Tak, właśnie kiedy wracałem. Chciała zająć się zwłokami Homera. Ale ja powiedziałem „nie” i wtedy zniknęła.

Orry przeszedł do oświetlonego holu. Na jego widok Cuffey poderwał się ze stolka, na którym drzemał.

— Odszukaj panią Huntoon i jej męża — polecił Orry. — Powiedz, że oczekuję ich w bibliotece. To pilne.

Cuffey oddalił się szybkim krokiem. Charles obrócił się, by zobaczyć minę kuzyna. W blasku płonących w holu świec zauważył jego pośpyzny wzrok.

— Pomóż mi zapalić kilka lamp, Charles. Pragnę ujrzeć ich niezbędne oblicza, kiedy będą im mówić to, co mam do powiedzenia.

Wchodząc do biblioteki Ashton mieniła się na twarzy. Natychmiast przeszła do ataku.

— Wypraszam sobie, abyś wydawał mi polecenia jak zwykłej służącej. Jeśli myślisz, że zaakceptuję oszczercze oskarżenia czarnuchów i intrygantów — w tym momencie Charles roześmiał się — odpowiadając na nie, bardzo się mylisz.

Wrogość Orry'ego uzewnętrzniła się w spokojnym, ale zimnym jak lód głosie.

— Nikt nie zamierza cię o nic oskarżać. Nie ma takiej potrzeby. Fakty mówią same za siebie.

Huntoon stał do tej pory za plecami żony. Teraz przesunął się. Światło lamp odbijało się w szklach jego okularów.

— Posłuchaj...

— Zaoszczędź sobie tej mowy na kolejny wiec w Montgomery — przerwał mu Orry. — Mam do powiedzenia parę słów i wolałbym wyrzucić je z siebie tak prędko, jak to tylko możliwe. Pierwsza sprawa dotyczy waszego niewolnika, Homera. Czy miał... czy ma jakąś rodzinę?

Odpowiedzi udzieliła Ashton.

— James kupił Homera od pewnego dżentelmena z Savannah. Zdaje się, że miał tam żonę i dzieci.

— Od których oderwaliście go bez najmniejszych skrupułów. Jezu miłosierny! Nic dziwnego, że Jankesi tak bardzo nas nienawidzą!

Znowu przystąpiła do ataku, w jej głosie pojawiła się nuta groźby i arogancji.

— Orry, co się z tobą dzieje? Powiedziałam już, że nie życzę sobie, abyś traktował mnie w ten sposób!

Zonie zawtórował Huntoon.

— Ona mówi w imieniu nas obojga. Opuszczamy ten dom.

Orry skinął głową.

- Znakomicie.
- I zabieramy do Charleston ciało Homera.
- Nie. Zostanie tu ze swoimi ziomkami. Spróbujemy odnaleźć jego rodzinę.
- Huntoon zdjął okulary, wypiął pierś i wystąpił przed żonę.
- A jednak będę nalegał. Czarnuch nie żyje, ale mimo to jest nadal moją własnością.
- Orry spojrział nań i spokojnie odparł.
- Zostanie tu. Nie jesteście godni tknąć go choćby palcem.
- Huntoon pochylił się i rzucił na szwagra. Usiłował zadać cios pięścią, ale Orry cofnął się o krok, wyciągnął rękę i odtrącił ramię napastnika takim gestem, jakim odgania się natrętnego owada.
- Huntoon zatoczył się, sapnął i padł na bok, w ostatniej chwili podpierając się rękami i kolanem. Okulary, które przez cały czas trzymał w lewej ręce, uderzyły o podłogę. Rozległ się trzask, a kiedy Huntoon dźwignął się na nogi, z owalnej drucianej oprawki posypały się odłamki szkła. Jego twarz była blada jak kreda.
- Orry, ignorując go, zwrócił się do Ashton:
- Dzisiejszego dnia odwróciłaś się od reszty rodziny. Od Brett, Charlesa... od nas wszystkich. Kiedy już opuścisz tę plantację wraz z Jamesem, nie wracaj tu nigdy.
- Z przyjemnością! — pisnęła.
- Huntoon zaprotestował.
- Ashton, on nie ma prawa...
- Och, zamknij się i chodź już! — Szarpnęła go za ramię i szeleszcząc suknią pośpieszyła do wyjścia. Próbowwała zapanować nad sobą, ale kiedy odwróciła się w progu, Orry z trudem rozpoznał w niej siostrę, tak głęboka była nienawiść bijąca z jej oczu.
- Zapamiętaj sobie jedno — syknęła. — James uzyska niebawem ważne stanowisko w nowym rządzie. A ten rząd będzie miał oko na ludzi, którzy wygłaszają tak nielojalne opinie, jak twoja o nienawidzących nas Jankesach. Rząd ukarze wszystkich zdrajców.
- Wyszła, a za nią niczym posłuszny piesek podreptał Huntoon. Ostatni odłamek szkła wypadł z oprawki jego okularów i spadł z brzękiem na podłogę.
- Mój Boże! — szepnął Orry ze smutkiem i niesmakiem.
- Nie rozumiem, co się z nią stało.
- Charles potarł zapalką o podeszwę buta i przypalił cygaro.
- A ja tak. To samo, co z wieloma ludźmi, z którymi spotkałem się po powrocie z Teksasu. Wystarczyło, że przez moment posmakowali władzy i od razu resztki ich zdrowego rozsądku ulatują za okno.

Orry usiadł za biurkiem, potrząsając z niedowierzaniem głową. Charles oświadczył, że chce przejść się nad rzekę, na przystań.

Orry wyciągnął ze szuflady arkusz papieru.

— Zanim wyjdiesz, poproś Cuffeya, żeby tu przyszedł, dobrze? Powinienem wysłać wiadomość do Resolute.

— Dobrze. Chciałbym rozstawić kilku naszych ludzi na straży. Kiedy Francis LaMotte dowie się, co Billy zrobił jego synowi, możemy mieć gości. Masz coś przeciwko temu, aby część naszych czarnych nosiła przez kilka dni muszkiety?

— Nie.

— A więc zajmę się tym.

Wyszedł szybkim krokiem, zostawiając za sobą smugę dymu.

Orry wpatrywał się w białą kartkę papieru. Jeszcze rok temu uznalby za niemożliwe zerwanie na zawsze z własną siostrą. To, co wydarzyło się dzisiejszego dnia, było wyraźnym dowodem, jak daleko jego rodzina zaszła po owej mrocznej drodze.

Jeśli miał być szczery z samym sobą, musiał przyznać, że nigdy nie przepadał za Ashton. Zdawał sobie sprawę, że jest w niej jakaś bezwzględna siła, która bardziej pasowałaby do mężczyzny, i dlatego postanowił nie lekceważyć jej gróźb. Bóg jeden wiedział, jakie jeszcze podle intrygi ona i jej mąż mogli uknuć w Montgomery.

Rozmyślenia wywołały w nim falę gniewu skierowanego przeciw Huntoonom, LaMotte'om i wszystkim innym pozbawionym skrupułów awanturnikom, którzy zepchnęli Południe w otchłań chaosu i kryzysu. Część tego gniewu przelał szybkimi, zamaszystymi ruchami pióra na papier.

Nim upłynęło pięć minut, list był gotowy. Orry wysłał Cuffeya w drogę na grzbiecie muła, wręczył mu pismo i przepustkę. Niewolnik wyruszył natychmiast mimo lekkiego deszczu, który rozpadał się niedawno. Dopiero kiedy zniknął w oddali, Orry wrócił z mokrej ciemności do domu.

Raptem wstrzymał oddech. W blasku lamp dostrzegł Madeline; stała na szczycie schodów, patrząc na niego.

Justin przytrzymał się oburącz poręczy fotela, wsuwając lewą nogę w but. Niewolnik, klęczący u jego stóp, pomagał mu z widocznym zdenerwowaniem. Przez cały wieczór jego pan pił tylko i krzyczał. Czekając na brata, trzymał domowników w ciągłym strachu.

Głowa Justina zawinięta była w długi bandaż; sięgał powyżej uszu i kończył się na szyi — krył szwy nałożone przez doktora

— Francis? — Justin dotknął jego ramienia. — Pojadę z tobą do Mont Royal. — Już na samą myśl o tym ogarniało go zniechęcenie.

Francis nie uronił nawet jednej łzy. Przygarbił się i potrząsnął głową.

— Pojadę teraz do domu. Muszę powiadomić jego matkę. Dosiadł konia i powoli odjechał w deszcz. Niewolnicy podą żali za nim gęsiego.

— Może nie powinnaś jeszcze wstawać? — zapytał Orry, stojąc u podnóża schodów.

— Czuję się dobrze — odparła Madeline. — Już dawno nie czułam się tak wspaniale.

Wierzył jej, mimo że była jeszcze niezwykle blada. Za to oczy odzyskały dawny blask, nie były już tak błędne jak podczas paru ostatnich przypadkowych spotkań. Zaczęła schodzić na dół, poprawiając z zakłopotaniem rozpuszczone włosy. Z pewnością wyglądam okropnie.

— Wyglądasz wspaniale.

— Moja suknia jest cała postrzępiona...

— Madeline, to nie ma żadnego znaczenia. Liczy się tylko to, że jesteś tu.

Pragnął objąć ją mocno ramieniem, przytulić do siebie, pocałować, chciał tego z całej duszy. Odżyły wspomnienia schadzek w kaplicy Zbawienia, jego prób zapanowania nad uczuciami lub ich ukrycia. I oto teraz znalazł się ponownie w samym sercu wewnętrznych zmaganiań.

— Chciałabym wyjść na spacer — powiedziała.

— Pada deszcz.

— Tak, usłyszałam to od razu, kiedy się obudziłam. Ale powietrze jest tak świeże i pachnące... A ja od miesiący byłam zmęczona... stale zmęczona.

I dziwnie odległa, niedostępna — pomyślał Orry. Raptem przyszło mu coś do głowy. — Czy brałaś jakiś lek?

— Co takiego?

— Lek. Są takie, po których człowiek czuje się wycieńczony i tylko chwilami dochodzi do siebie. Lonzo Sapp jest lekarzem Justina, prawda?

Tak.

— Czy przepisał ci coś?

— Jakąś miksturę selerową, ale to było już... och, wiele miesięcy temu. Tak dawno, że prawie o tym zapomniałam. Ale pamiętam, że zażywałam ją przez parę tygodni.

— I nie brałaś już potem nic innego?

* — Nie, nic.

— No cóż, bardzo się cieszę, że czujesz się już lepiej, niezależnie od przyczyny. To był ciężki dzień i ciężkie chwile, ale najgorsze już minęło.

Kiedy wcześniej rozmawiał z nią na górze, opowiedział pokrótce o wszystkim, co przeżyli Billy i Charles. Była wprawdzie oburzona postępowaniem Forbesa, ale niezbyt zaskoczona. Orry zamierzał poinformować ją jeszcze o ukaraniu Ashton i jej męża, ale wiadomość o liście, który wysłał do Justina, postanowił zachować dla siebie przynajmniej do czasu, kiedy okaże się, że cel został osiągnięty.

Lek. To słowo zrodziło w umyśle Madeline zupełnie nowe i zaskakujące skojarzenia. Usiłowała przypomnieć sobie wszystkie chwile, kiedy odnosiła wrażenie, że posiłek ma jakiś osobliwy smak. A zdarzało się to nieraz. Nigdy jednak nie okazała się na tyle sprytna, aby podejrzewać, że za tym wszystkim kryje się jej mąż. Czy to możliwe, że do posiłków dodawano jakiś specyfik, który miał uczynić z niej potulną żonę? Sama myśl o tym, że Justin mógłby posunąć się do takiej niegodziwości, była zaskakująca, ale nie absurda. Wiedziała, że nigdy nie zdołałaby tego udowodnić, a jednak tylko w ten sposób można było wytłumaczyć miesiące apatii i letargu.

— Madeline? — Jego łagodny, troskliwy głos wyrwał ją z zamyślenia. Obróciła się.

— Miałaś taką wystraszoną minę. O czym myślałaś? Myślałam o Justinie. Jak sądzisz, czy zareaguje na wiadomość, że odeszłam od niego?

— Myślę, że nie.

Przeszła przez hol.

— Nigdy do niego nie wrócę.

Ruszył za nią, otworzył drzwi.

Bardzo mnie to cieszy. — Puścił kłamkę i spojrzał jej prosto w oczy. W jego głosie brzmiała tęsknota, kiedy dodał: --- Ale byłbym jeszcze szczęśliwszy, gdybyś została na zawsze ze mną.

Z rękami założonymi na piersiach stała wpatrzona w deszcz.

— Kocham cię za to, co powiedziałaś, mój najdroższy. Ale czy jesteś zupełnie pewien, że zaryzykowałbyś wywołanie skandalu?

Roześmiał się za jej plecami.

Cóż znaczy odrobina skandalu wobec faktu, że cały świat traci rozum? — Zaciśnął dłoń na jej ramieniu. — Dla ciebie zaryzykowałbym nawet pójście do piekła, Madeline. Czyżbyś tego nie wiedziała?

Nakryła jego dłoń swoją.

— Nie mówię teraz o grzechu cudzołóstwa.

— W takim razie o czym?

Obróciła się do niego i zaczerpnęła tchu.

— O tym, o czym nie wie nikt prócz kilku zaledwie osób w Nowym Orleanie, dziś już bardzo starych.

Spojrzała na jego bladą, wymęczoną twarz. W obliczu tego wszystkiego, co się wydarzyło, nie mogła dłużej milczeć.

— Moja prababka przybyła do Nowego Orleanu z Afryki na statku niewolniczym. W jednej ósmej jestem Murzynką. Wiesz bardzo dobrze, co to oznacza w tej części kraju. — Pokazała mu wierzch swojej białej dłoni. — W oczach większości ludzi mam skórę czarną jak węgiel.

Ta wiadomość sprawiła, że zaniemówił na chwilę. Jednak po wstrząsających wydarzeniach ostatnich godzin szok nie trwał długo.

Przesunął dłonią po jej policzku i zapytał łagodnie:

— Czy to już wszystko?

— Niezupełnie. Ze względu na swoje pochodzenie moja matka mogła obcować z białymi mężczyznami wyłącznie w jeden sposób. Tylko tak mogła zająć wyżej. Była prostytutką. Mój ojciec poznał ją w pewnym domu w Nowym Orleanie, pokochał ją jednak wystarczająco mocno, aby wydostać ją stamtąd i poślubić, mimo iż wiedział o niej wszystko.

— Ja kocham cię tak samo, Madeline.

— Nie chcę, abys myślał, że musiałeś...

— Tak samo — powtórzył, nachylając się do jej ust.

Jej pierwszy pocałunek był nieśmiały. Po tylu miesiącach rozłąki byli dla siebie niemal obcy; stanowili parę zmęczonych nieznanymi. Ale już po chwili powróciło uczucie, uczucie tłumione tak długo.

Odchyliła się splatając dłonie na jego karku. Krople deszczu wypadały nieprzerwanie z ciemności, ściekały na jej czoło, błyszczały na jego brodzie.

— Oczywiście... — w oczach Madeline pojawiła się nadzieja — ...jest jakaś szansa, nawet niemała, że moja tajemnica nigdy nie wyjdzie na jaw. Ci, którzy ją znają, są naprawdę bardzo starzy i mieszkają daleko stąd.

Pocałował ją ponownie.

— Nie dbam o to. Rozumiesz? Nie dbam.

Wydała cichy okrzyk i przywarła do Orry'ego.

— Och, mój Boże, kocham cię od tak dawna!

Czuł jej ciało, tulące się do jego; jej piersi i biodra. Jej włosy targane przez wiatr muskały mu policzek.

— Ja też cię kocham.

— Zabierz mnie na górę.

— Madeline, czy jesteś pewna...?

Uciszyła go pocałunkiem.

— Oboje czekamy już za długo, Orry. — Pocałowała go namiętnie. — O wiele za długo.
— Tak — przyznał, idąc z nią ku schodom. — Tak, to prawda.

W mrocznym pokoju rozebrała się bez jakiegokolwiek uczucia wstydu i swymi łagodnymi, wyrozumiałymi dłońmi pomogła mu uczynić to samo.

Orry obawiał się, że widok jego kikuta wzbudzi w niej wstręt, był zadowolony z ciemności. Ale Madeline całowała i dotykała go wszędzie, nawet tam gdzie wojna pozostawiła trwałe ślady. Akceptowała jego kalectwo bez żadnych oporów, podobnie jak on przyjął jej tajemnicę. Tuliła się doń całym nagim ciałem, a długo tłumione uczucia wybuchnęły raptownie niczym warka woda po otwarciu słuzy. Oboje ogarnęło uczucie wolności i ulgi, uczucie bezgraniczne i przemożne. Zatapiali się w sobie, oddawali kolejnej fali pożądania, która zalewała ich swym ogromem.

Leżeli potem pogrążeni w błogiej senności, przytuleni do siebie, jej ramiona obejmowały go mocno, a cichy szepot mieszał się z kojącym odgłosem deszczu i głosem Charlesa, który wykrzykiwał coś na podjeździe; najwidoczniej sprawdzał rozstawione stráže.

Cóż, niech zatroszczy się o bezpieczeństwo Mont Royal przez godzinę lub dwie. Za nic na świecie Orry nie przerwałby tej chwili. Nigdy jeszcze nie czuł się tak szczęśliwy.

W ciągu pierwszych dni spędzonych w Mont Royal Madeline trapiły przykre dolegliwości; uskarżała się na swędzenie skóry i pragnienie, którego nic nie mogło ugasić. W dzień występowały na zmianę to zimne dreszcze, to znów poty. Nocami mówiła coś przez sen, męczyły ją majaki. Sprowadzony przez Orry'ego lekarz nie potrafił stwierdzić nic innego, jak tylko kobiece dolegliwości, diagnozę tę postawił jednak bez przekonania. Przepisał trzy mikstury, ale Madeline nie zgodziła się zażywać żadnej z nich.

Czasem wpadała w nieuzasadnioną wściekłość, ale po niespełna dwóch tygodniach ataki poczęły słabnąć, występowały też rzadziej. W tym samym czasie ustały również niepokojące ją dolegliwości.

Następowała zdecydowana poprawa. Twarz odzyskała dawną świeżość, skóra przybrała zdrowy odcień, ciało było jak niegdyś pełne życia. Mydło i wytrwałe szczotkowanie włosów przywróciły im blask, figura wypełniła się, co sprawiło, że

Madeline nie wyglądała już na tak zmizerowaną, jak przez ostatni rok.

Charles przez dwa tygodnie rozstawiał wokół Mont Royal uzbrojonych niewolników, aby czuwali nad bezpieczeństwem. Jednak wszystko wskazywało na to, że ani ze strony LaMot-te'ów, ani kogoś innego nie zagraża im żadne niebezpieczeństwo, jakkolwiek nie ulegało wątpliwości, że wydarzenia tamtego pamiętnego dnia przestały być tajemnicą. Cuffey pojechał na pole, gdzie odbył się pojedynek, i stwierdził, że zwłoki Forbesa zniknęły.

Pewnego popołudnia Charles spotkał na biegnącej wzdłuż rzeki drodze Francisa. Momentalnie osadził konia. Słyszał, jak mocno bije mu serce. Starszy mężczyzna odezwał się bez ogródek głosem pełnym wyrzutu:

Pański przyjaciel zamordował mi syna.

— Zabił — sprostował Charles. — Zabił Forbesa, gdyż ten sprowokował go. Pojedynek nie był zresztą przeprowadzony uczciwie. Preston Smith uczynił z pistoletu mego przyjaciela bezużyteczne żelastwo. Przykro mi, że Forbes nie żyje, ale jestem gotów złożyć w każdej chwili odpowiednie zeznanie i zaświadczyć, jak było. Mogę uczynić to przed sędzią albo z pistoletem w dłoni, o ile wyzwie mnie pan na pojedynek. Wybór należy do pana.

-Francis obrzucił go przeciągłym, pełnym gorczy spojrzeniem, po czym odjechał.

I tak zakończyła się ta sprawa.

Stopniowo Charles zaczął przywiązywać coraz mniej wagi do pilnowania plantacji przed ewentualnymi napastnikami. Orry znalazł w bogatej bibliotece ojca książkę medyczną i dowiedział się z niej, że dolegliwości Madeline są typowe dla ludzi, których nagle pozbawiono regularnej dawki laudanum. Ale w takim razie, dlaczego lekarz udawał, że nie wie, co jest przyczyną jej złego samopoczucia? Widocznie znał męża Madeline i nie chciał mieszać się w jego niezbyt przyjemne sprawy prywatne. Wolał uchodzić za niekompetentnego lekarza, niż narazić się LaMot-te'om.

Madeline i Orry podejrzewali, że Justin od miesiąca karmił ją miksturą zawierającą opium, aby przytępić jej umysł. Oczywiście było to możliwe jedynie za wiedzą służby. Teorię tę potwierdzał fakt, iż czuła się teraz o wiele lepiej, wróciła dawna energia. Wiedzieli jednak, że pewności nie będą mieli nigdy.

Wieczorami, po kolacji spożywanej w towarzystwie Charlesa, Orry i Madeline zostawali sami. Chętnie toczyli wtedy dyskusje na temat wieści z Charleston. Tylko niewiele pochodziło z wiarygodnych źródeł. Jednego dnia „Mercury” donosił, że garnizon

Andersona zostanie wycofany z fortu, nazajutrz zaś traktowano tę wiadomość jak plotkę. I tak miały się sprawy aż do połowy marca. Beauregard tymczasem niezmiernie rozmieszczał baterie, aby kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, skutecznie ostrzelać Sumter.

Inne pogłoski mówiły o statkach z północy płynących z posiłkami dla obleżonych. Ale jedynymi przedstawicielami rządu Jankesów, którzy pokazali się w tych stronach, było trzech mężczyzn przysłanych w celu rozeznania sytuacji Andersona. Jednym z nich był pułkownik Lamon, znany jako przyjaciel Lincolna.

Najwidoczniej nowy prezydent chciał wyrobić sobie własne zdanie na temat sytuacji fortu. Gubernator Pickens nie przestawał zapewniać, że wszelkie próby zaopatrzenia lub wzmocnienia Fortu Sumter zostaną udaremnione. Również prezydent Davis odgrażał się przy każdej okazji, że zdobędzie Sumter siłą, o ile nie osiągnie tego drogą negocjacji.

Wszelkie te wypowiedzi pogłębiały przygnębienie Orry'ego, który teraz czuł już wyraźnie, że całe Południe zepchnięto na mroczny szlak, który wiedzie w styksowe ciemności. Jego sny były pełne odgłosów werbli, krzyków i odgłosów strzelaniny. Głupcy, którzy głosząc potrzebę ratowania honoru ich ziemi przepowiadali chlubną wojnę, z pewnością nie zetknęli się nigdy z odorem ciał gnijących na polu bitwy.

Sytuacja w kraju kazała mu pomyśleć o pieniądzach, które George zainwestował w budowę „Gwiazdy Karoliny”. Z każdym dniem coraz bardziej ciążyło mu brzemie winy. Pierwsze dni kwietnia przyniosły nowe wieści, w tym nienową już o posiłkach, które drogą morską wysłano z Nowego Jorku. Huntoon i inni podżegacze bezustannie nawoływali do akcji zbrojnej przeciw Fortowi Sumter. To wszystko skłoniło wreszcie Orry'ego do podjęcia decyzji.

Charles usiłował wyperswadować mu pomysł, twierdząc, że ewentualny wybuch wojny uwolni go od wszelkiej odpowiedzialności, Orry natomiast uważał, że to nieprawda, gdyż George nie zaryzykowałby ani centa w niepewny interes, gdyby w grę nie wchodziła przyjaźń.

Pociągiem udał się do Atlanty, gdzie pozostał przez trzy doby. Udając się w drogę powrotną, miał przy sobie niewielką torbę. W Charleston zjawił się wieczorem 11 kwietnia i, przeciskając się przez tłumy ludzi na ulicach, natychmiast skierował swe kroki na Tradd Street. Jego widok zaskoczył Coopera.

Byłem w Atlancie wyjaśnił Orry. Oddałem Mont Royal w zastaw hipoteczny.

— Co takiego? Cooper niemal zaniemówił ze zdumienia.

— Jesteśmy winni George'owi część albo nawet całą sumę,

którą zainwestował. Musimy oddać mu ją teraz, zanim wybuchnie wojna. Udało mi się zdobyć sześćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. — Tracił butem torbę. — W gotówce.

— Za całą plantację? Przecież to tylko częśćka jej wartości.

— Dobrze, że zdobyłem choć tyle. A teraz chciałbym, abyś ty z kolei dał mi dla niego jakąś sumę. Jak najwięcej i jak najszybciej.

— A jak myślisz, skąd mam wziąć teraz pieniądze?

— Masz pewne aktywa. Stocznia i tereny na James Island nadal mają sporą wartość.

— Orry, nasze banki nie udzielają już pożyczek.

— Spróbuj.

Cooper spojrział na wymizerowaną twarz brata i zrozumiał, że dalsza dyskusja nie ma sensu.

— W porządku. — Westchnął. — Pójdę tam z samego rana. Ale teraz przygotuję ci pokój. Musisz odpocząć.

Orry'ego zbudziły grzmoty. Było ciemno, ale przez okiennice, które zamknął wieczorem, aby uchronić się przed wiosennym wiatrem, wpadało czerwone światło. Czym prędzej rozwarł okiennice na oścież. Wysoko ponad dachami przeleciał łukiem pocisk i spadł gdzieś na ziemię.

Zbiegł na dół. Cooper, Judith i dzieci stali przy oknach.

— Która godzina?

— Czwarta, czwarta trzydzieści, coś koło tego — odparła rozszpana Judith.

— To mi wygląda na baterie portowe.

Kolejny huk i jeszcze jedna czerwona poświata nad dachami i wieżyczkami. Podłoga zatrzęsa się. Cooper skinął głową i opiekuńczym gestem objął dzieci. Orry nigdy jeszcze nie widział go w tak ponurym nastroju.

— A więc stało się. Mamy wojnę — szepnął Cooper. Po chwili dodał: — Nie sądzę, aby banki zajmowały się dziś operacjami finansowymi.

66

Major Anderson odpowiadał na przeważający ogień z dział Beauregarda do popołudnia 12 kwietnia, w piątek. Ale sytuacja garnizonu była beznadziejna i w forcie wiedział o tym zarówno on, jak również wszyscy żołnierze.

Jakimś cudem podczas trzynastogodzinnego bombardowania

nie zginął nikt, jednakże Anderson zdawał sobie sprawę, że to już tylko kwestia czasu. Zastanawiał się, czy zdoła przynajmniej wynegocjować pewne warunki kapitulacji, a zwłaszcza prawo do oddania honorowego salutu przed powiewającą nad fortem gwiaździstą flagą Unii, zanim każe ją opuścić po raz ostatni.

W Mont Royal Orry zapakował do niewielkiej torby podróźnej brzytwę, pasek do ostrzenia, mydło, parę koszul i bieliznę, po czym wrzucił ją wraz z torbą zawierającą pieniądze do powozu. Torba była zamknięta na mały prosty zamek, do którego klucz nosił w kieszonce na zegarek. Można ją było z łatwością otworzyć nawet bez klucza, ale Orry uznał, że wzbudzi mniejsze zainteresowanie trzymając dwie zwykłe torby — jedną w rękę, drugą pod pachą niż gdyby dźwigał torbę i wypchaną po brzegi sakiewkę z tak ogromną sumą.

Madeline pocałowała go na pożegnanie, usiłując ukryć łzy. Bała się. Wiedziała, na jakie ryzyko naraża się Orry, wyruszając na podróż na północ właśnie teraz, nie powiedziała jednak ani słowa.

Inaczej zachował się Charles, niechętnie zgodził się zawieźć go powozem na stację.

— Nie powinienesz jechać, Orry. Nie jesteś mu nic winien.

— Jestem mu winien własne życie. Jedziemy. — Zatrzasnęła za sobą drzwiczki.

Clarissa stanęła obok Madeline, której nie poznała, i poczęła machać ręką za oddalającym się powozem. Madeline zastanawiała się, czy ujrzy jeszcze kiedyś Orry'ego.

W niedzielę pociąg towarowy wykoleił się w Karolinie Północnej i zablokował linię wiodącą na północ, co spowodowało sześciogodzinne opóźnienie pociągu, którym jechał Orry. Pasażerowie w wagonie I klasy rozmawiali właściwie tylko o jednym: o oblężeniu Fortu Sumter. Ich wymowa i opinie, które wygłaszali, świadczyły wyraźnie, że to Południowcy. Kilkaset mil dalej na północ sytuacja mogła wyglądać zupełnie inaczej. Orry przyrzekł sobie w duchu, że będzie uważał, co i do kogo mówi.

O zmierzchu tory zostały oczyszczone i pociąg wyruszył w dalszą drogę. Niebawem zatrzymali się na stacji w małej podgórskiej miejscowości. Do wagonu wbiegł konduktor, wymachując z żywieniem rękami i krzycząc głośno:

— Sumter padł! Anderson wyniósł się z fortu! Dopiero co nadano wiadomość przez telegraf.

W wagonie rozległy się okrzyki radości. Sprzedawca, oferujący w przejściu pomiędzy ławkami gazety z poprzedniego dnia, obrzucił Orry'ego podejrziwym spojrzeniem, widząc, że ten nie przyłączył się do owacji, Orry jednak odparował spojrzenie

gazeciarski poszedł dalej. Wyglądało na to, że nie można już uciec przed podejrzliwością i wrogością panoszącymi się w tym kraju. Jutro w Petersburgu Orry wysiadł z pociągu, aby zjeść śniadanie w restauracji dworcowej. Zabrał ze sobą torbę z pieniędzmi. Umieścił ją starannie pod stołem, tuż przy nodze. Pomieszczenie, w którym roją się od much, przypominało mu podobny jasek w Baltimore, gdzie znalazł się przed dwoma laty. Ale tym razem nie spotkał się z żadnym wrogiem; ludzie byli zbyt zajęci wczorajszymi wydarzeniami w Karolinie Południowej. Kilkakrotnie dobiegło go słowo „zwycięstwo”. Większość czytelników zgodnie wyrażała przekonanie, że teraz, kiedy już padł pierwszy cios, wystąpienie Wirginii z Unii stało się nieuniknione.

Potrząsając głową, Orry spiesznie dokończył porcję tatarską i kukurydzę. Potem kupił sobie gazetę. Kiedy pociąg opuścił Petersburg, przysiadł się do niego elegancko ubrany mężczyzna – wydatnym brzuszkim. Orry nie zwrócił na niego uwagi. Z zainteresowaniem czytał najświeższe doniesienia z pierwszej strony gazety. Dzień wcześniej, w niedzielę, Anderson oficjalnie ogłosił kapitulację fortu w Charleston. Jak na ironię właśnie podczas przygotowań do tej ceremonii padła pierwsza ofiara tych wydarzeń.

Jak podawała prasa, w trakcie bombardowania wystrzelono ponad pięć tysięcy pocisków armatnich. Nie zanotowano żadnych strat w ludziach, ale pociski wzniciły w porcie szereg pożarów. W niektórych miejscach paliło się jeszcze poprzedniego dnia. Iskrzyły spowodowały eksplozję skrzyni z pociskami artyleryjskimi, co z kolei kosztowało życie jednego z kanonierów Andersona. Pięciu innych zostało rannych.

Pierwsza krew – pomyślał Orry. Był przekonany, że już niebawem poleje się jej więcej, dużo więcej.

Komendant federalny uzyskał zgodę na oddanie salutu przed flagą Unii, zanim zostanie ściągnięta, po czym cała załoga fortu przeszła do czekających na nią barkasów, te zaś przetransportowały żołnierzy do przysyłanych z odsieczą statków. Okazało się więc, że pomoc Waszyngtonu dla fortu nie była wcale czystym wymysłem; statki przybyły jeszcze w trakcie bombardowania. Wkrótce wycarterowany liniowiec „Baltic” i towarzyszące mu statki wojenne, dymiąc z kominów, popłynęły na północ. Orry wątpił, aby Lincoln kazał czekać długo na reakcję rządu federalnego.

Skończył lekturę gazety i natychmiast wdał się w pogawędkę z bruchatym sąsiadem, który przedstawił się jako mister Cobb z Petersburga, komiwojażer.

– Ajigielskie igły i najlepsze nici – wyjaśnił Cobb z miłym wirginijskim akcentem. – Zaopatruję w nie tylko najlepsze

firmy. Bóg jeden wie, co stanie się z moimi interesami w tym całym zamieszaniu... Przypuszczam, że i pan jest Południowcem?

Orry kiwnął głową.

— Z Karoliny Południowej.

— Dokąd pan zmierza?

— Do Pensylwanii.

— W takim razie pozwolę sobie udzielić panu pewnej rady. W ubiegłym tygodniu byłem w Filadelfii i przeżyłem tam ciężkie chwile; powiedziałbym nawet, że wyjątkowo ciężkie. Południowców bardzo łatwo rozpoznać po wymowie. Był nawet moment, kiedy miałem wrażenie, że moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Tym razem jadę tylko do Waszyngtonu, ale wolałem przedsięwziąć środki ostrożności.

Grubym palcem wskazał klapę surduta, gdzie Orry dostrzegł rozetę z trzech kokardek: czerwonej, białej i niebieskiej.

— Radziłbym panu uczynić to samo, sir. W każdym sklepiku z pasmanterią dostanie pan wszystko, co potrzeba, aby sporządzić sobie rozetę Unii.

— Bardzo dziękuję za radę — odparł Orry, chociaż w duchu odrzucił sugestię sąsiada. Nie popierał całym sercem sprawy Południa, nie chciał też jednak nosić barw strony przeciwnej.

Jedynie, co dojrzał w Waszyngtonie, to terminal dworca kolejowego. Oficerowie w cywilnych ubraniach i całe rodziny zapełniali szczerlnie perony i poczekalnie — ci pierwsi przybywali, większość tych drugich natomiast wyjeżdżała. Orry przypuszczał, że są to Południowcy udający się do domów po rezygnacji z dalszej służby w wojsku lub w rządzie.

Tego poniedziałkowego wieczoru obserwował w zadymionym blasku lamp dworcowych, jak jego kraj czyni kolejny chwiejny krok ku rozprzestrzeniającej się wojnie. Jakiś spocony mężczyzna w samej koszuli wypisywał kredą na czarnej tablicy najnowsze wieści. Według jednej z nich prezydent Lincoln ogłosił wybuch powstania i zwrócił się do narodu z apelem o dostarczenie siedemdziesięciu pięciu tysięcy ochotników do trzymiesięcznej służby w wojsku.

Niewielki tłum stojący przed tablicą zareagował entuzjastycznie. Orry odwrócił się, by wrócić do pociągu, ale uniemożliwił mu ten zamiar napierający tłum, który wykrzykiwał słowa uznania pod adresem prezydenta i obsypywał przekleństwami całe Południe. Nie mógł się nawet poruszyć.

— Przepraszam.

Nikt nawet nie drgnął. Trzej mężczyźni stojący tuż obok

spojrzeli nań bacznie i srogo. Żałował, że nie ma przy sobie pistoletu.

— Co pan powiedział? — zapytał ktoś.

Orry wiedział, że nie powinien mówić dużo, w podnieceniu zapomniał jednak o ostrożności.

— Powiedziałem, że chciałbym przejść, jeśli nikt nie ma nic przeciw temu.

— Hej, mamy tu Południowca! — Wykrzyknął inny mężczyzna.

Tłum zgęstniał natychmiast, naparł na Orry'ego ze wszystkich stron. Otaczały go teraz spocone, zarośnięte twarze i wrogie spojrzenia. Za plecami rozległ się jakiś złowieszczy szept. Orry poczuł, że zaschło mu w ustach.

Ktoś popchnął go. Mimo ścisku zdołał przesunąć torbę z pieniędzmi pod prawe ramię. Czyjeś ręce poczęły szarpać za torbę, głosy przekrzykiwały się.

— Co masz w tej torbie, buntowniku?

— Założę się, że coś wartościowego.

— Zobaczymy.

— Właśnie, zobaczymy. Zobaczymy! — krzyknęli chórem.

Ogarnęła go panika, w uszach poczał narastać szum. Czuł, że ktoś ciągnie za torbę, instynktownie sięgnął ręką pod płaszcz. Ten, który chwycił za torbę, zauważył ów ruch.

— Jeśli prośba nie poskutkowała, panowie, będę zmuszony użyć innych środków, aby przejść — zagroził Orry.

Napastnik puścił torbę.

— Uważajcie, ludzie. On jest uzbrojony!

Stojący najbliższej najwidoczniej stracili cały entuzjazm. Sytuacja przestała ich bawić. Orry trzymał dłoń pod klapą płaszcza patrząc, jak jeden po drugim rozstępują się na boki, otwierając wąski korytarz. Z trudem utrzymywał torbę pod pachą, ale jakoś sobie poradził. Szedł teraz szybko, czując pod dłonią szaleńczy łomot serca.

Wreszcie wydostał się z tłumu. Biegając słyszał wyzwiska pod swoim adresem. Zignorował je.

W pociągu usiłował zasnąć, był jednak zbyt wstrząśnięty. Przez cały czas siedział więc bez ruchu, z torbą wciśniętą między nogi. Następnego ranka w Filadelfii odszukał duży sklep z pasmanterią, wszedł do środka i zaopatrzył się w nożyczki, igłę, nici i trzy kawałki wstążki — każdą w innym kolorze. Dzięki własnej cierpliwości i pomocy uprzejmej kobiety, stojącej za ladą w restauracji, uszył sobie rozetę.

Kobieta wyglądała na szczęśliwą, a nawet dumną, że może mu pomóc.

— Z Wirginii? — zapytała, sądząc, że rozpoznała akcent.

— Podobno jest tam wielu przeciwników niewolnictwa.

Zmusił się do uśmiechu. Jeśli miała jeszcze jakieś wątpliwości co do jego osoby, odegnała je w momencie, kiedy przypięła mu rozetę do wyłogów płaszcza.

Do Lehigh Station dotarł wieczorem 16 kwietnia, we wtorek. Miasto rozrosło się; po drugiej stronie rzeki powstała nowa dzielnica, South Station, na którą składało się kilka tuzinów ruder i nędznych domów. Na dworcu jakiś mężczyzna ze szcztką przyklejał do ściany afisz. W żółtym blasku latarni Orry dostrzegł, że to odezwa mobilizacyjna, w której Lincoln apelował o tworzenie oddziałów ochotniczych.

Wyszedł w mrok, ale i tak zwrócił na siebie uwagę kilku próżniaków, stojących przed Station House. Jak mogli nie dostrzec wysokiego, chudego człowieka w zakurzonym ubraniu, z dwiema torbami i bez jednej ręki? Orry miał nadzieję, że rozeta jest dobrze widoczna.

Przechodząc obok hotelu usłyszał głos:

— Jakiś dziwaczny typ. Czy ktoś z was widział go już kiedyś?

Zaprzeczyli, a któryś dodał:

— Z wyglądu przypomina trochę starego Abrahama, nie?

— Może to jego brat. — Ten, który odezwał się pierwszy, zbiegł z hotelowej werandy i dogonił Orry'ego. Może pod wież? Tylko dziesięć centów, pod dowolny adres w mieście.

Orry uniósł brwi, jakby zdumiony, po czym ruchem głowy wskazał na oświetlony, stojący na wzgórzu Belweder.

— Do domu Hazardów? — Mężczyzna podrapał się po brodzie; ten, kto odwiedzał jedyne w okolicy milionera, musiał być również zamożny. — A więc piątaka więcej.

Orry kiwnął głową na znak zgody. Otwarty powozik jechał pod górę stromą drogą. Raptem czarne niebo nad Belwederem rozdarła cienka, ognistobiała linia. Świetlisty promień padł niemal pionowo na ziemię. Uplynęła chwila, zanim Orry zorientował się, że to spadająca gwiazda.

Niebawem ciepły zapach wiosny ustąpił miejsca wyziewom z huty. Trzy piece stalowni Hazarda rzucały na pobliskie wzgórza czerwony poblask. W górę były słupy dymu, a wiatr roznosił dokoła rytmiczny stukot maszyn parowych. Nie wiedzieć czemu, brzmiał on jakoś złowieszczo.

Woźnica stanął przed wejściem do domu. Orry'ego nagle ogarnął lęk. Nie pomyślał nawet o wysłaniu telegramu, by uprzedzić o swojej wizycie. A jeśli George gdzieś wyjechał?

Drzwi otworzył zadyszany wyrostek. Był wyższy od ojca i nie tak korpulentny, ale podobieństwo rzucało się w oczy.

— Williamie, nie poznajesz mnie? — Orry ściągnął z głowy kapelusz i uśmiechnął się. Dzięki niemu twarz ozdobiona rozwi-

chrzoną brodą stała się mniej groźna. I rzeczywiście, William rozpromienił się od razu. Obrócił się na pięcie.

— Tata? Tato, przyjdź tu, zobacz, kto nas odwiedził! — Odsunął się na bok. — Proszę wejść, panie Main.

— Dziękuję, Williamie. — Orry wszedł do środka, chłopiec wziął od niego torby. — Jesteś już wysoki jak sosna. Ile masz lat?

— Trzynaście. — Z pewnym opóźnieniem dodał: — Prawie.

Orry potrząsnął głową i wszedł do jaskrawo oświetlonego holu. Usłyszał, jak na piętrze otwierają się, a potem zamykają jakieś drzwi, nie zdążył jednak nawet podnieść oczu, gdy z pokoju stołowego wybiegł George z rękawami podwiniętymi do łokci i nieodłącznym cygarem w dłoni.

— Tyczka? Boże Wszechmogący, nie do wiary!

Rzucił się ku niemu. Z kuchni wyszła nie mniej zdumiona niż mąż Constance. George niemal podskakiwał z radości, cieszył się jak małe dziecko.

— Co, u diabła, porabiasz w Pensylwanii! I co to takiego?

Orry opuścił wzrok na rozetę.

— Musiałem to przypiąć, aby przedostać się przez linie nieprzyjaciela.

Gospodarze uśmiechnęli się, słysząc ten żart, ale wspomnienia ostatnich wydarzeń odżyły niebawem ze zdwojoną siłą; zwłaszcza kiedy Constance objęła go i powiedziała:

— To wspaniale, że znowu się widzimy. Wieści o Sumter są okropne, prawda?

— Okropne — przyznał. •— George, przyjechałem tu w interesach.

Na twarzy George'a ponownie odmalowało się zdumienie.

— Nie sądziłem, że teraz można jeszcze gdzieś robić interesy. Ciągłe zastanawiam się, w jaki sposób secesja wpłynie na nasze zwykłe, codzienne sprawy: transakcje bankowe, przesyłki pocztowe... ach, ale nie będziemy przecież tu stali. Czy jesteś głodny? Właśnie skończyliśmy kolację: wspaniale upieczone kaczki. Zostało jeszcze wystarczająco dużo.

— Kawałek nie zaszkodziłby chyba.

W takim razie idziemy. Mój Boże, nie mogę uwierzyć, że jesteś tu z nami. Zupełnie jak za dawnych czasów!

Constance objęła ramieniem wyższego od siebie syna. Uśmiechem odprowadzała obu mężczyzn, idących w stronę pokoju stołowego. Orry pragnął, aby wszystko było jak za dawnych czasów, ale to, z czym zetknął się w podróży, mówiło mu aż nadto dobitnie, że jego pragnienie pozostanie marzeniem. Nigdy już nie będzie takiego dnia jak wtedy, w 1842 roku, kiedy obaj stali przy rełingu parowca płynącego po Hudson, snując plany na przyszłość.

Teraz byli już starymi mężczyznami. Siwymi mężczyznami.

We włosach George'a widział srebrzyste pasemka. I mimo wszystko pozwolili, aby ich świat zepchnięto w otchłań wojny. Ta świadomość mąciła radość ze spotkania. Ze zmarszczonymi brwiami szedł za Georgem i jego cygarem.

Podczas gdy Orry spożywał posiłek, wymieniali ostatnie wieści. Billy dotarł bezpiecznie do Waszyngtonu ze swą żoną.

— Iz niewielką raną — dodał George. — Billy nie wdawał się w żadne szczegóły, domyślam się jednak, że doszło do zwady z jednym z dawnych wielbicieli Brett?

— Tak. — Orry nie powiedział nic więcej.

— Obiecano mu kilkudniowy urlop. Spodziewam się tu ich obojga w każdej chwili.

— Chętnie bym się z nimi zobaczył, ale nie mogę czekać. W domu wszystko stoi na głowie.

— Tak jak wszędzie westchnęła Constance.

George pośepnie skinął głową.

— Powiadają, że jutro albo pojutrze z Unii wystąpi Wirginia. A za jej przykładem pójdą stany, które na razie nie podjęły jeszcze decyzji. Zwłaszcza te z pogranicza. Emocje wzięły górę nad rozsądkiem... ręką, w której trzymał cygareto, wskazał na rozetę — ...co zapewne zauważyłeś już sam.

Orry dopił kawę; nie czuł się już tak bardzo zmęczony, ale też nie zdołał otrząsnąć się z apatii. Cieszył się ze spotkania z przyjacielem, nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że upłynie teraz sporo czasu, zanim zobaczy się ponownie.

Ciszę, która zapadła, przerwała z wahaniem Constance:

— Virgilia wróciła do domu.

Orry omal nie upuścił filiżanki.

— A gdzie była do tej pory?

O to --- warknął George — wolimy nie pytać.

— Czy jest tu dziś?

George kiwnął głową, a Orry przypomniał sobie dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi na górze, kiedy wszedł do domu. Czy Virgilia widziała go?

Zresztą to nie miało znaczenia. W mieście zachowywał się ostrożnie, ale naprawdę nie zamierzał czynić ze swojej wizyty wielkiej tajemnicy.

— To biedne stworzenie zostało bez środków do życia...

— zaczęła Constance.

Sama jest sobie winna — przerwał jej gwałtownie George.

— Nie chcę w ogóle o tym mówić. Odwróciła wzrok, on zaś zwrócił się do Orry'ego. — A teraz słucham, jaki ważny interes sprowadził cię w te strony? Tylko nie mów mi, że Cooper chce zwodować „Gwiazdę Karoliny”!

— Chciałbym przyjechać tu z taką nowiną. Ale póki co, wcale się na to nie zanoszę i wątpię, żeby ów moment miał kiedykolwiek nadejść. I dlatego właśnie postanowiłem cię odwiedzić. Z torbą, która leży teraz w holu. W środku jest sześćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Żałuję, że tylko tyle, ale nie udało mi się zdobyć więcej.

— Zdobyć? W jaki sposób?

— To nieistotne. Nie mogłem dopuścić, aby twój kapitał został zablokowany na Południu, a z czasem nawet skonfiskowany. Nie po to udzieliłem nam pożyczki.

George zmarszczył brwi, spojrzął na żonę, potem przeniósł wzrok na przyjaciela.

— Może powinniśmy porozmawiać o tym w bibliotece?

— Chodźmy, Billy. — Constance wstała i pogłaskała syna po głowie.

— Billy — Orry uśmiechnął się. — Tak go nazywasz?

Skinęła głową.

— Kiedy brat George'a jest w domu, mówię do niego „Wielki Billy”, a do syna „Mały Billy”. Czasem można się pomylić, ale nam się podoba.

William skrzywił się.

— Nie wszystkim.

— Ma rację — odparła Constance, drażniąc się z synem. — Stanley na przykład twierdzi, że tak nie wypada.

— Właśnie dlatego nam się to podoba — podsumował rozmowę George i wstał. Orry roześmiał się spontanicznie i wesoło. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że dawne czasy powróciły.

— Twierdzisz więc, że rana Billy'ego goi się dobrze? — zapytał Orry, kiedy George zamknął drzwi i zapalił lampę.

— Tak mi powiedziano. On i Brett są szczęśliwi, mimo że cały kraj wrze. — Rozejrzył się za kieliszkami i karafką. — Myślę, że przydałoby się nam trochę whisky.

Nalał dwa kieliszki do pełna, nie pytając nawet Orry'ego, czy ma ochotę.

Ten sam Pniak, co dawniej — pomyślał Orry. — Potrafi znaleźć się w każdej sytuacji.

— Tak, rzeczywiście wszędzie wrze — przytaknął, biorąc kieliszek. Trzema łykami wypił połowę jego zawartości, czując, jak po żołądku rozchodzi się fala ciepła. Uspokoił się trochę. Wyłowił z kieszeni klucz i otworzył przyniesioną z hotelu torbę. Pokazał przyjacielowi banknoty. — Jak ci już powiedziałem, to jest właśnie powód mojej wizyty.

George wyjął paczkę banknotów; przez dłuższą chwilę nie mógł wykrztusić nawet słowa. Potem powiedział łagodnie:

— To bardzo szlachetny gest, Orry.

— Pieniądze należą do ciebie. Myślę, że zasłużyłeś sobie na nie bardziej, niż rząd w Montgomery, który, nawiasem mówiąc, tworzą ludzie rzetelni, ale raczej konserwatywni.

— Zdołałem się już zorientować. Jeff Davis, Alec Stephens z Georgii...

— Kandydaci z Karoliny Południowej, w tym nasz wspólny znajomy, młody zawadiaka — George uśmiechnął się słysząc, jak Orry nazywa Huntoona — zostali dosłownie zignorowani. Nie są tym zachwyceni.

— A dlaczego nie zaproponowano im żadnych stanowisk?

— Dokładnie nie wiem. Przypuszczam, że konserwatyści uznali ich za zbyt radykalnych. Może obawiali się, że ucierpi autorytet nowego rządu. W każdym razie nie sądzę, aby spodobał ci się fakt, że ludzie o innych poglądach niż twoje skonfiskowaliby pieniądze, które należą do ciebie.

George spojrział nań pytającym wzrokiem.

— A czy pokrywają się one z twoimi poglądami?

— Niech mnie diabli, jeśli potrafię ci odpowiedzieć. Przestałem już cokolwiek rozumieć.

Opadł na krzesło. George zamknął torbę, po czym usiadł obok biurka, na którym od lat leżał odłamek meteorytu. Machinalnie wziął go do ręki.

— No cóż, podtrzymuję w każdym razie to, co już powiedziałem — mruknął. — Postąpiłeś wyjątkowo szlachetnie.

Zakłopotany Orry zasalutował kieliszkiem. Z jego twarzy zniknął melancholijny uśmiech. Wskazał na chropowatą bryłkę.

— Czy to ten sam meteoryt, który znalazłeś wtedy na wzgórzu za Akademią?

— Zgadza się.

— Tak myślałem. Pamiętam, co wtedy powiedziałeś. Coś o żelazie, którego moc może zniszczyć całe rodziny, majątek, rządy... cały ustalony porządek rzeczy. Mam wrażenie, że już wkrótce okaże się, że to słuszna opinia. Wspomniałeś o honorze, o szlachetnym postępowaniu. Niewielu ludzi posiada te cechy, a jeszcze mniej... — mówił teraz ciszej, niemal ironicznie. — ... Jednego czy dwóch na sto lat znajdziesz w narodach, partiach czy grupach politycznych, które głoszą, że prowadzą krucjatę w świętej sprawie. Ale jeśli niebawem wybuchnie wojna, fabryki takie jak twoja będą odpowiedzialne za zanik resztek honoru. Cooper wie o tym od dawna. Usiłował przekonać nas, wyjaśnić wszystko, ale my nie chcieliśmy słuchać. Jeśli ma wybuchnąć wojna, a wszystko wskazuje, że się wkrótce rozpocznie, będzie to nowy rodzaj wojny, wojna totalna, którą przepowiadał Mahan. Wojna, która zmiecie z powierzchni ziemi nie tylko oddziały liniowe, ale również wszystko inne.

Potrząsnął głową. Wyczerpanie i łapczywie wypita whisky wywołały w jego głowie dziwny zamęt; stan, w którym myśli napływały jedna za drugą, z łatwością odnajdywał słowa, które oddawały ich sens.

— A na czym może wesprzeć się Południe, kiedy znajdzie się w wirze walki? Na wizjach przyszłości, które już teraz nie wytrzymują próby czasu. Na naszych przemówieniach. Na hasłach. I na żołnierzach.

— Oficerowie z Południa stanowią elitę armii, nie zapominaj o tym.

— Tak jest — skinął głową Orry. — A kto będzie wypełniał ich rozkazy? Chmara twardych farmerów, którzy potrafią walczyć jak diabli, mimo iż nigdy nie słyszeli o Mahanie czy Jominim, i — co zabrzmi jak żart — nigdy nie posiadali ani jednego niewolnika. A przeciw komu przyjdzie im walczyć? Przeciw takim jak ty. Przeciw milionom urzędników i mechaników. Przeciw waszym piekielnym fabrykom. — Szeptem dodał: — Nowy rodzaj wojny... — Umilkł na chwilę, potem odezwał się znowu: -- Bez względu na to, jak wszystko się skończy... bez względu na to, która strona podyktuje warunki, a która będzie musiała je przyjąć... przegrani będziemy wszyscy. Ustąpiliśmy miejsca innym, oddaliśmy tron szaleńcom.

Odchylił głowę i jednym haustem wypił resztę whisky. Po chwili przymknął oczy i wzdrygnął się. Powoli, pieczołowicie, George umieścił meteoryt z powrotem na biurku i wlepił weń wzrok.

Orry raptem otworzył oczy; zdawało mu się, że w oddali słyszy jakiś zgiełk. George poruszył się na krześle.

Tak, władzę przejęli szaleńcy. Ale czy mogliśmy temu zaradzić?

— Nie jestem pewien. Cooper ostrzegał nas zawsze słowami Burke'a. — Zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie, jak brzmiał dokładnie ten cytat. — Kiedy zgromadzą się ludzie źli, muszą zjednoczyć się również dobrzy, w przeciwnym razie zginą, jeden po drugim... — Wstał i sięgnął po whisky. — Nie wiem, do diabła, czy mogliśmy temu zaradzić, ale wiem, że zadawaliśmy sobie to pytanie zbyt rzadko i zbyt niepewnie.

Nalał i wypił dwie trzecie zawartości kieliszka. George zastanawiał się przez chwilę nad jego słowami. Potem i on potrząsnął głową.

Odpowiedź jest prosta. Może nawet zbyt prosta. Tylko problem jest niezwykle powikłany. Czasem wydaje mi się, że człowiek to istota bardzo mizerna. W jaki sposób miałby zmieniać cokolwiek, skoro ma przeciw sobie siły tak potężne? Siły, których nie pojmuje ani nawet nie jest w stanie rozpoznać?

W odpowiedzi Orry'ego była ta sama deprymująca prawda,

którą zawierały jego słowa wypowiedziane kilka minut wcześniej.
— Nie jestem pewien. Ale jeśli owe potężne siły i wydarzenia nie są całkowicie przypadkowe, muszą je tworzyć i kształtować ludzie. Sytuacje kształtują nie tylko czynności pozytywne, ale również ich brak. Myślę, że mieliśmy szansę. I jestem zdania, że ją zaprzepaściliśmy.

Nie wiadomo czemu, przy ostatnich słowach jego głos załamał się, a w oczach pojawiły się łzy. Łzy bólu, zawodu, frustracji i rozpacz — och, trudno stwierdzić, czego jeszcze. Przez chwilę przyjaciele wpatrywali się w siebie. Obaj mieli świadomość winy. Ich obawy potęgowały się teraz, kiedy skandujący hasła tłum na Północy i Południu maszerował ulicami i zbliżał się nieuchronnie do przepowiadanej przez Mahana nowej apokalipsy...

Tłum. Ta myśl i dobiegające z zewnątrz odgłosy wyrwały Orry'ego z posępnej zadumy. Odwrócił się do okna. Tak, wyraźnie słyszał głosy. Nie były zbyt liczne, ale brzmiały groźnie.

George zmarszczył brwi.

To mi wygląda na bandę miejskich awanturników. Jak myślisz, o co im chodzi?

Wyciągnął rękę, aby przesunąć pluszowe zasłony, zakręcił się jednak na pięcie, słysząc trzaśnięcie drzwi. Virgilia!

W tej samej chwili, kiedy Orry ją dostrzegł, zrozumiał, dlaczego tłum przybył pod dom.

67

Tumult na zewnątrz, narastał. Zaszokowany George wskazał na okno, a jego głos dygotał z furii.

— Czy to twoja sprawka, Virgilio?

Jej uśmiech był aż nadto wyraźną odpowiedzią.

W jaki sposób, do diabła, dostali się tu? zapytał. Przez okno wpadł kamień. Grube kotary powstrzymały odłamki szkła, które zabrzęczały na podłodze. Orry'emu wydało się, że ktoś krzyknął „zdrajca”.

Wysłałam jednego z lokajów do hotelu. — Virgilia wpiła wzrok w gościa. Zaraz gdy ujrzałam go, jak wchodzi do domu.

— Na miłość boską... dlaczego?

Orry mógłby odpowiedzieć na pytanie. Z trudem ukrywał wstęt, który poczuł na widok Virgilii. Starsza od niego zaledwie o kilka lat wyglądała tak, jakby różnica wynosiła co najmniej

dwadzieścia lat. Suknia z zadrukowanego materiału, wyblakła od prania, była za ciasna; Virgilia utyla jakieś piętnaście funtów. Jej figura była tylko jedną z wielu oznak postępującego zaniedbania. Miała ziemistą cerę, podkrążone oczy, na ramiona opadały strąki przetłuszczonych włosów, a kiedy odwróciła się do brata, aby mu odpowiedzieć, Orry ujrzał, że jej szyja jest brudna.

— Bo to zdrajca — szepnęła. — Południowiec i zdrajca. Zamordował Grady'ego.

— Przecież on nie ma nic wspólnego ze śmiercią Grady'ego. Po prostu...

— Zamordował go — powtórzyła, przesywając Orry'ego pałającym wzrokiem. W jej oczach płonąła nienawiść tak intensywna, że można było niemal wyczuć jej fizyczną siłę. — Zamordowałeś go, ty i ludzie twojego pokroju!

— To oddział federalny zastrzelił Grady'ego! — krzyknął George, ale do Virgillii nie docierały żadne argumenty. I raptem Orry uświadomił sobie, co takiego wniosła, wchodząc do pokoju: było to coś więcej, niż przykra woń nieświeżych ubrań i nie mytego ciała. Był to odór śmierci.

— Posłałam po tych ludzi — zwróciła się teraz do niego — i mam nadzieję, że cię zabiją.

Nieoczekiwanie, niczym koń wyrwijący się na wolność, podbiegła do kotary zasłaniającej rozbite okno.

— On tu jest! — pisnęła. George dogonił ją, chwycił za rękę i pociągnął do tyłu.

Zatoczyła się i upadła, opierając się ciężko na rękach. Poczęła szlochać; były to żalosne jęki bólu. Rozpuszczone włosy zwisały w nieładzie z nisko pochylonej głowy, osłaniając litościwie jej naznaczoną przez obłęd twarz.

George zerknął na kotary, których nie zdążyła rozsunać.

— O jedenastej przejeżdża tędy pociąg towarowy na wschód — powiedział cicho. — Myślę, że dla twego bezpieczeństwa byłoby wskazane...

— Słusznie — przerwał mu Orry. — Pójdę już. Nie będę dłużej narażał twojej rodziny. Wymknę się przez tylne drzwi.

— Diabła tam, wymkniesz się! Z pewnością postawili już tam kogoś na straży. Zдай się na mnie.

Ruszył w stronę holu. Virgilia z trudem dźwignęła się na nogi. George obrócił się i zmierzył ją wzrokiem.

— Virgilio...

Nie był w stanie powiedzieć nic więcej, ale nie było to potrzebne. Wyraz jego oczu i purpurowa twarz mówiły same za siebie. Virgilia cofnęła się i dopiero wtedy George wyszedł do holu.

Stała tam już Constance, dzieci i pół tuzina służby. Bojaźliwie

wpatrywali się w drzwi. W owalnym okienku nad nimi odbijał się blask pochodni. Orry spostrzegł, że klamka poruszyła się nieznacznie, na szczęście jednak ktoś okazał się wystarczająco przewidujący, aby zamknąć drzwi na zasuwę.

— Co to za ludzie? — zapytała męża Constance. — Co oni tu robią?

— Chcą Orry'ego. To sprawka Virgillii. Weź dzieci na górę.

— Virgillii? Ach, mój Boże, George...

— Zabierz je stąd na górę! I niech wszyscy wyjdą z holu.

— Przeniósł wzrok na Orry'ego. — Zaczekaj tu chwilę. — Pod czas gdy służba rozchodziła się, a Constance wypychała dzieci na górę, George zniknął w pakamerze pod schodami.

Po chwili wyszedł w płaszczu. Na klapie Orry zauważył rozetkę, mniejszą i ładniejszą niż jego własna. Przez ramię George przewiesił sobie wojskowy pas z kaburą, w której tkwił kolt, model powtarzalny z 1847 roku.

Rzucił pas na krzesło i zaczął sprawdzać broń.

— Trzymam ją naładowaną i pod ręką, ponieważ zdarzają się nieoczekiwane wizyty: robotnicy, których zwolniłem z pracy, albo jacyś inni...

Zakręcił bębniem, po czym spojrział na frontowe drzwi. Przez owalne okienko nad nimi wleciał kolejny kamień. Odlamki szkła posypały się na wszystkie strony.

— Przekłęta banda! — warknął George. — Chodź ze mną!

Na krótkich, mocnych nogach podszedł wprost do drzwi, które otworzył bez wahania. Nieco wystraszony Orry stał tuż za nim, przepeniała go osobliwa radość. Czas jakby cofnął się o wiele lat, a oni znowu walczyli ramię w ramię, do boju wiódł — jak zwykle — George.

George otworzył drzwi gestem, który Orry uznał za ostentacyjną brawurę. Nie wywarło to jednak żadnego wrażenia na tłumie stojącym na schodach do Belwederu, miotającym wyzwiska i przekleństwa. Orry naliczył około piętnastu mężczyzn uzbrojonych w kamienie i kije.

— To ten cholerny Południowiec — krzyknął któryś, kiedy Orry wyszedł za Georgem przed drzwi. — To ten zdrajca!

Inny potrząsnął w powietrzu płonąca pochodnią.

Chcemy, abyś nam go wydał!

George wyprostował się. Wyglądał niezwykle walecznie i groźnie, kiedy podniósł i wyciągnął rękę z koltem. Celując w tego, który odezwał się ostatni, odciągnął kciukiem spust.

— A więc weź go. Ale mogę zagwarantować, że ty i jeszcze kilku innych nie przeżyjecie tej próby.

Orry stanął u boku przyjaciela. Od tłumy okupującego schody dzieliło go zaledwie parę stóp. Wydało mu się, że rozpoznał teraz dwóch z tych, którzy tkwili przed hotelem.

— Ruszajcie na niego! — krzyknął któryś z dalszych szeregowców.

George skierował nań lufę kolta.

— Rusz się sam! To stara zasada wojskowa: ten, kto wydaje rozkaz, wie dzie do ataku.

— Do diabła, Hazard — zawołał ktoś. To Południowiec, jakiś typ z Karoliny. Chcemy tylko pokazać mu, co sądzimy o zdrajcach, którzy występują z Unii.

— Ten człowiek nie jest zdrajcą. Razem kończyliśmy West Point, a potem przeszliśmy drogę do Mexico City pod rozkazami generała Scotta. Mój przyjaciel walczył o ten kraj tak dzielnie jak ja, a jego pusty rękaw świadczy najlepiej, jaką za to uzyskał nagrodę. Znam większość z was. Nie chcę splamić rąk krwią kogokolwiek, ale jeśli zamierzacie skrzywdzić tak uczciwego człowieka jak ten, będziecie mieli ze mną do czynienia.

Wrzawa przycichła. Orry dojrzał rozbiegane oczy kilku napastników. Widocznie zastanawiali się, czy nie można ruszyć na nich obu z boku i w ten sposób odnieść zwycięstwa. Paru mężczyzn, stojących w tyle, odłączyło się od tłumu, ale George natychmiast wziął ich na muszkę.

— Pierwszy, który się ruszy, dostanie kulkę.

Znieruchomieli. Upłynęło pięć sekund, dziesięć. Piętnaście...

Na pewno poradzimy sobie z nimi — zawołał ktoś. Ale nikt mu nie zawtórował. Serce Orry'ego waliło jak młotem. Jeszcze wszystko było możliwe...

— Niech to diabli! — rozległ się czyjś okrzyk. Nie warto za niego umierać!

— Nareszcie jakiś objaw zdrowego rozsądku - powiedział George nieco patetycznym tonem. — Jeśli reszta jest tego samego zdania, możecie odejść. Musicie tylko uważać, aby nie zmylić drogi: najpierw trzeba oddalić się od tego ganku, potem zejść ze wzgórza i wreszcie zniknąć z mojego terenu. — Umilkł na chwilę, po czym ponaglił ich tonem, który pamiętał jeszcze ze swoich najlepszych momentów w West Point: — Jazda!

Rozkaz poparty jednoznacznie widokiem kolta zrobił swoje: napastnicy poczęli się oddalać pojedynczo i parami, rzucając tylko kilka przekleństw pod adresem triumfatorów.

Upłynęła chwila, potem jeszcze jedna. Orry i George stali przed drzwiami, patrząc bacznie za oddalającym się tłumem. Ale tamci nie zamierzali wracać i George opuścił wreszcie lufę rewolweru, opierając się plecami o kolumnę.

Mało brakowało — powiedział łagodnie. — Ale to jeszcze nie wszystko. Weź swój bagaż, a ja wyślę kogoś po powóz. Im wcześniej znajdziesz się w pociągu, tym lepiej.

Orry nie zaprzeczył.

Jeden z lokajów pełnił funkcję stangreta, drugi jechał okra-kiem na koniu ciągnącym powóz. Obaj, podobnie jak George, trzymali w rękach strzelby. George polecił już odszukać służącego, który zawiózł do hotelu wiadomość od Virgilii i zwołał tłum. Zamierzał zwolnić go natychmiast.

I on, i Orry byli jeszcze wstrząśnięci niedawnym wydarzeniem. George siedział zadumany. Milczał, kiedy powóz turkocąc na wybojach zjeżdżał ze wzgórza. Pierwszy odezwał się Orry.

— O czym myślisz?

— Co za zwariowane czasy! Mogliśmy uniknąć tego wszystkiego, reagując inaczej. Ale nie, my oczywiście odpowiadamy najgorszymi instynktami. Zastanawiam się, czy w ogóle stać nas na coś innego.

Znowu zapadło milczenie. Wreszcie Orry postanowił rozładować atmosferę, informując przyjaciela o tym, o czym nie miał okazji opowiedzieć dotychczas ze Madeline jest teraz z nim i że tak już pozostanie. Kiedy tylko przyszłość przejaśni się choć trochę, zasięgną rady prawnika i przeprowadzą jej rozwód z Justinem.

--- To świetnie, wspaniale — mruknął George. Powóz mijal właśnie kilka domów. Jego wzrok nieustannie badał ocienione werandy, oświetlone okna i drogę. Raptem nachylił się. Przed nimi, odcinając się wyraźnie od tła, w blasku lamp hotelu i dworca majaczyły sylwetki czterech mężczyzn. Czekali na powóz.

Hej, wy dwaj, uważajcie! — krzyknął do swoich ludzi George.

Dysząc ciężko Virgilia biegła ścieżką, która wiodła na wzgórze za Belwederem. Nie śmiała uciekać w stronę miasta, tam udał się George.

Ciernie szarpały jej suknię i kaleczyły dłonie, którymi ścisnęła rączkę dużej, wypchanej torby. Była silną kobietą, ale i tak z trudem dźwigała ciężki bagaż, który raz po raz obijał się o jej nogę brzęcząc głośno.

Ten ostatni powrót do domu był zupełnie niepotrzebny, teraz wiedziała o tym. Nigdy więcej nie zawita do Lehigh Station.

Zresztą, po co? Nienawidziła całej swojej rodziny. Małego, napuszonego George'a, zarozumiałego Stanleya, ich żon i drogo-cennych dzieci o jakże białej skórze. Oni wszyscy w ogóle nie mieli pojęcia o wojnie, która toczy się na świecie. Udawali wprawdzie, że podzielają jej poglądy, ale nie wiedzieli nic o trudach i okrucieństwach życia. Byli po prostu rozpieszczonymi hipokrytami, wszyscy.

Jej głośny, chrapliwy oddech brzmiał jak szloch. Nagle potknęła się i upadła. Ale nawet wtedy nie wypuściła z rąk torby.

Podniosła się i pośpieszyła dalej. Nikt jej nie gonił, jednak wspinała się po stromym zboczu, jak gdyby miała za plecami sforę prześladowców. Kiedy George spojrział na nią, zbyt wzburzony, by wykrztusić choćby jedno słowo, zrozumiała, że musi uciekać.

Bolały ją ramiona i ręce, ból stawał się coraz dotkliwszy. Przed wyjściem z domu upchnęła w torbie zbyt wiele rzeczy: kandelabry, srebra, różne części odzieży z szafy Constance i kilka najbardziej cennych klejnotów — wszystko, co mogła z łatwością sprzedać, aby zdobyć środki do życia.

Nie uważała tego za kradzież; była przekonana, że to się jej należy. George i Stanley zawsze ją poniżali, dlatego że jest kobietą. Ich wzgarda pogłębiła się jeszcze bardziej, kiedy związała się z Murzynem. Ale nadejdzie dzień, przyrzekała sobie w duchu, biegnąc pod górę, że zapłaci im. Zapłaci wszystkim.

Powóz toczył się drogą ku czekającym nań ludziom. Stali nieruchomo na środku ulicy. George dotknął ramienia woźnicy.

— Nie zatrzymuj się, jedź prosto na nich. Daj mi broń.

Woźnica podał mu kolta. Przez najbliższe pół minuty słychać było jedynie stukot kopyt konia i ciche skrzypienie tylnej osi. George wstrzymał oddech i unióś lufy obu rewolwerów, tak żeby czekający dojrzeni je bez trudu.

Kiedy konia dzielił już od czwórki milczących mężczyzn jedynie jard, rozstąpili się na boki.

W słabym świetle Orry rozpoznał dwóch napastników, którzy stali w tłumie oblegającym wcześniej Belweder. Jeden splunął na ziemię, nie odrywając od niego wzroku. Ale Orry nie czuł już nawet gniewu; był zbyt wyczerpany, aby zdobyć się na jakąkolwiek reakcję. Powóz potoczył się dalej.

— Udało się! — zawołał George z pełnym napięcia uśmiechem.

Niemal godzinę przesiedzieli w budynku dworcowym, czekając na pociąg. Obaj służący stali na zewnątrz na straży. Ale awanturnicy nie pokazali się więcej.

George sprawiał teraz wrażenie równie wyczerpanego, jak jego przyjaciel. Rozmowa nie kleiła się. Orry wspomniął coś o Elkanahu Bencie, ale George natychmiast skwitował temat zmęczonym gestem dłoni. Teraz, kiedy wojna stała się faktem, powiedział, należało obawiać się gorszych rzeczy niż jeden pomyłony oficer, a ponieważ ostrzegł już Billy'ego, tym bardziej zamierzał wymazać Benta z pamięci. Sprawa była dla niego załatwiona raz na zawsze.

Zapadło milczenie. Podobnie jak George również Orry łamał sobie głowę nad tym, jak doszło do tak głębokiego kryzysu

w kraju. W którym momencie popełnili błąd? Czego nie uwzględnili, co zaniedbali? Padały różne propozycje rozwiązań, ale nigdy nie traktowano ich poważnie. Na przykład plan Emersona i innych dotyczący „zrekompensowanej emancypacji” lub projekt ponownego osiedlenia wyzwolonych niewolników w Liberii, aby na uprzemysłowioną Północ nie napłynęła fala taniej siły roboczej. Czy istniał choćby cień nadziei, że te pomysły zostaną zrealizowane? Czy to uszczęśliwiłoby Garrisona i Virgilię? A Calhouna i męża Asthon? Nie wiedział. I nigdy się nie dowie.

W oddali na szynach pojawił się blask świateł lokomotywy. Zawiadowca uniósł chorągiewkę, sygnalizując pociąg towarowy. George stanął z Orrym w miejscu, gdzie miał zatrzymać się brek.

— To specjalny pasażer — wyjaśnił George dwóm zdumionym hamulcowym. Wcisnął im do rąk pieniądze i już chciał pożegnać się z przyjacielem, kiedy jego wzrok padł na niezdarnie usytą rozetkę Orry’ego. — Jeszcze chwilę.

Odpiął rozetkę i odrzucił ją na ziemię. Potem odpiął z kłapy własną i przymocował ją do piersi Orry’ego.

— Możesz teraz dla odmiany ponosić prawdziwą. Niech mnie diabli, jeśli miałbym dopuścić, żeby powiesili cię w Maryland.

Padli sobie w objęcia, a w chwilę potem Orry wskoczył do wagonu.

68

Do Filadelfii Orry dotarł następnego ranka, a o czwartej po południu wyjechał pociągiem do Waszyngtonu. Padał ulewny deszcz, on zaś siedział z czołem wspartym o mokre okno jak człowiek pogrążony w transie. Tylko jedna myśl, jedna twarz podtrzymywała go na duchu: Madeline.

Zapadł już zmrok, kiedy pociąg szarpnął i stanął. Lampy wydobywały z ciemności obskurny peron i stojący na drugim torze pociąg zwrócony lokomotywą na północ. Pasażerowie tłoczyli się na peronie, wykorzystując okazję, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Wychodzili również podróżni z wagonu Orry’ego, on jednak nie miał ochoty opuszczać pociągu,

— Gdzie jesteście? — zapytał konduktora.

— Relay House.

— Dlaczego oba pociągi stoją?

— Żeby zabrać pasażerów z lokalnego, jadącego ze wschodniego wybrzeża. Część tych ludzi uda się na północ, inni na południe.

— To wspaniale — mruknął Orry. Konduktor spojrział na niego, jakby miał przed sobą człowieka niespełna rozumu.

W deszczu dostrzegł raptem znajome twarze. Skoczył na równe nogi i w trzech susach dobiegł do końca przejścia między siedzeniami. I nagle, tak samo gwałtownie, przystanął.

Nachylił się i zerknął przez najbliższe okno na siostrę i jej męża.

Czy skompromituje ich albo — co gorsza — narazi na niebezpieczeństwo, jeśli do nich przemówi? Billy miał na sobie mundur.

Zaklął w duchu. A więc doszło do tego, że zaczyna już myśleć jak tłum przed Belwederem: Skoro pochodzisz z Południa, jesteś zdracą. Czym prędzej przeszedł na przód wagonu, do drzwi.

Strugi deszczu chłostały mu twarz, kiedy przeciskał się przez cizbę na peronie.

— Brett? Billy?

Spojrzeli na niego i wtedy dojrzał na ich twarzach zdumienie i coś jakby zakłopotanie. Ci, którzy stali w pobliżu, zerknęli na niego podejrzliwie, ale na widok rozety odwrócili wzrok.

— Na Boga, co ty tu robisz? — zawołała Brett.

— Jadę do domu. Złożyłem wizytę w Lehigh Station. George powiedział, że spodziewa się was w każdej chwili.

— Jestem na przepustce — wyjaśnił Billy. — Co do reszty, nie wiem jeszcze, co będzie.

— Jak ramię?

— W porządku. To nic poważnego. — Objął Brett w pasie i przyciągnął do siebie. — Te dwie, trzy godziny po ślubie były jak najgorszy sen. Do dziś nie potrafię pojąć, dlaczego to wszystko się wydarzyło.

— Ani ja — wtrąciła Brett. Orry spoglądał na nich w milczeniu, zastanawiając się, czy jednak nie powinien powiedzieć im o udziale Ashton w tym strasznym incydencie.

Brett zauważyła rozetę.

Skąd to masz? Bo chyba nie uległeś jakiejś cudownej przemianie, prawda?

— Niezupełnie. Dał mija George. Można by rzec po to, abym mógł przedrzeć się przez linie nieprzyjaciela.

Na stację wjechał z łoskotem lokalny pociąg ze wschodniego wybrzeża. Pasażerowie wysypali się na peron i z bagażami pośpieszyli do swoich pociągów.

— Jak się czuje George? — zapytała Brett.

Świetnie, jak zwykle.

Dotknęła go delikatnie.

— A ty?

— Lepiej niż mogłem się tego spodziewać. Nie wiesz jeszcze, jak sądzę, że Madeline LaMotte odeszła od swego męża. Przebywa teraz w Mont Royal. Byliśmy od lat... przyjaciółmi.

Nie okazała zaskoczenia. Uśmiechnęła się.

— Przypuszczałam, że tak właśnie mają się sprawy. Och, Orry, chciałam zapytać cię o tak wiele... ale w tej chwili niemal wszystko wyleciało mi z głowy.

Konduktor z pociągu na północ zawołał niecierpliwie:

— Proszę wszystkich o zajmowanie miejsc. Mamy już półgo dzinnie opóźnienie.

Brett zarzuciła bratu ramiona na szyję.

— Kiedy zobaczymy cię znowu?

— Wydaje mi się, że nie tak prędko. Nawet panowie Lincoln czy Davis nie wiedzą jeszcze, jak sędzę, co wydarzy się w najbliższym czasie. Ale cokolwiek się stanie... nawet gdyby miała rozpocząć się walka... chcę, aby wieży łączące Hazardów z Mainami pozostały nienaruszone. Tylko niewiele rzeczy na świecie liczy się tak bardzo, jak przyjaźń czy miłość, są one jednak niestety niezwykle kruche. Musimy więc zrobić wszystko, aby przetrwały do lepszych czasów.

— Przyrzekam ci, że zadbam o to odparła i raptem wybuchnęła płaczem.

A to najsilniejsza więź. — Billy uniósł do góry jej lewą dłoń, aby zademonstrować ślubną obrączkę. Orry skinął głową.

— Zrozumiałem to w końcu i dlatego zmieniłem zdanie na temat waszego ślubu.

— Cieszę się uśmiechnął się Billy.

— Wsaaaadać! — zawołał konduktor.

Jego kolega z pociągu Orry'ego powtórzył okrzyk. Również konduktor z pociągu jadącego na północ wskoczył na stopień wagonu i pomachał do maszynisty. Zgiełk, w którym mieszały się syk pary, odgłos dzwonek i okrzyki, narastał z każdą chwilą.

Billy uściśnął dłoń szwagra, po czym Orry wskoczył do wagonu. Para trysnęła gęstym obłokiem, zasnuwając opustoszały raptem peron. Lokomotywa ciągnąca skład na północ ruszyła z miejsca i po chwili oba pociągi toczyły się w przeciwnych kierunkach w bezkresny mrok, pozostawiając za sobą niewielką oazę światła.

W Waszyngtonie Orry przesiadł się ponownie, tym razem do ekspresu. Tuż przed odjazdem do wagonu wsiadło czterech młodych mężczyzn w cywilu. Zmagali się z niesamowitą ilością paczek i toreb. Po ich postawie i sposobie, w jaki się poruszali, Orry domyślił się, że to żołnierze. Żołnierze z Południa wracający do domów.

Usiedli na trzeciej ławce za nim, mógł więc przysłuchiwać się ich rozmowie. Czy Lincoln i Davis wyślą swoje armie na pole bitwy? Czy to prawda, że pociągi przestaną niebawem kursować?

Czy w Montgomery zaczną teraz drukować nowe banknoty? Nurtowało ich wiele pytań, nie znali jednak odpowiedzi na żadne z nich.

Ulewa przekształciła się w mżawkę. Lokomotywa sapała ciężko i monotonnie, przecinając okrąg Columbia i mijając liczne tu trzęsawiska i pustkowia. Na zarośniętym chwastami polu Orry dojrzał odbywający musztrę oddział żołnierzy. W pobliżu paliły się latarnie, ale ciemne sylwetki były widoczne głównie dzięki jakiemuś odległemu światłu, które majaczyło w mroku jak jasna, upiorna poświata. Na lufach muszkietów zauważył bagnety, na moment któryś zabłysnął jak gwiazda.

Oddział maszerował na deszczu tam i z powrotem. Właściwie nie mogło to dziwić; Waszyngton był teraz miastem zagrożonym. Tuż za rzeką zaczynała się już Wirginia — ojczyzna nieprzyjaciela.

Gdzie podziewał się Lee? Gdzie byli teraz dawni koledzy Orry'ego z Meksyku? Mały McClellan, któremu zazdrościł, ale którego nigdy nie darzył sympatią; Jackson, który nauczał potem kadetów w Wirginijskim Instytucie Wojskowym; jowialny George Pickett, świetny żołnierz, lecz rzadko zachowujący powagę. Jak bardzo chciałby ujrzeć znowu przynajmniej kilku z nich!

Ale nie na czerwonym od krwi polu bitwy, nie dzięki decyzjom wrogich sobie teraz generałów. Ludzie, którzy w West Point byli dla siebie jak bracia, opracowywali już może plany bitewne, aby wyniszczyć się wzajemnie. To niewiarygodne, ale prawdziwe.

Symbol tego wszystkiego stanowił maszerujący bezmyślnie oddział żołnierzy, grupa posepnych postaci, nad którymi połyskiwały stalowe ostrza. Kroczyli w deszczu, przez który z trudem przedzierało się mdłe światło latarni. Machina wojenna ruszyła.

Boże, zmiłuj się nad nami wszystkimi — pomyślał.

Owego wieczoru deszcz mżył również na Tradd Street. Cooper pisał list, o którym myślał już od jakiegoś czasu. Kiedy skończył, odszukał żonę. Judith schodziła właśnie z góry; ułożyła już dzieci do snu. Podekscytowani gorączką wojny, która ogarnęła cały stan, Judah i Marie-Louise chodzili teraz spać później niż zazwyczaj.

Bez owijania w bawełnę Cooper poinformował o swojej decyzji. Zaskoczona Judith milczała przez dłuższą chwilę. Potem zapytała:

— Mówisz poważnie?

— Podpisałem już list do dżentelmenów, którzy złożyli mi wizytę. Jutro wyślę go do Montgomery. Po pierwszym maja

wszystkie aktywa Carolina Shipping Company, łącznie z naszymi statkami, przejdą na usługi Ministerstwa Marynarki Wojennej.

Jak mogłeś podjąć taką decyzję, właśnie ty, z twoimi przekonaniem? — Potrząsnęła głową i opadła na krzesło.

— Neutralność to postawa tchórze. Albo popieramy wojnę, albo opowiadamy się za Północą. Moim zdaniem secesja nie jest krokiem właściwym, a system, który ją zrodził, jest jeszcze gorszy. Jestem przekonany, że zostaniemy ukarani. Zmiażdżeni. A jednak... — spojrzał na nią zaszępiły i zrobił nieokreślony gest dłonią. — ...poczuwam się do pewnej lojalności, Judith. — Zauważył jej sceptyczny wzrok i zaczerpnął tchu. — Jest jeszcze jedna sprawa, o której dyskutowałem z członkami komitetu i o której nie powiedziałem ci dotąd ani słowa. Prosił mnie, abym wyjechał do Londynu jako specjalny wysłannik ministerstwa.

— Do Londynu? Po co?

— Ponieważ wiemy, że Konfederacja nie zdoła przetrwać bez żywności i innych towarów od zagranicznych dostawców. Pan Lincoln wie o tym również. Blokada oto broń, której Jankesi użyją z pewnością przeciw nam. Jeśli tak będzie, musimy odpowiedzieć kontruderzeniem. Statek taki jak „Gwiazda Karoliny”...

— O czym ty mówisz? — zawołała rozgniewana, a zarazem zatroskana Judith. — Ten statek nigdy nie zostanie zwodowany!

— Powiedziałem: taki jak on. Przeznaczony do transportu ciężkiego uzbrojenia. Przystosowany do czasów wojny. Statek wojenno-handlowy. Statek, który będzie mógł opłynąć całą ziemię i zadać straty flocie Jankesów. — Zerknął na żonę. Ze względu na moje doświadczenie nabyte w Charleston, ministerstwo chciałoby, abym zbadał możliwości zbudowania podobnego statku w Brytanii.

— To oznacza, że musielibyśmy zabrać ze sobą dzieci.

— I przygotować się do pozostania tam przez rok, może nawet dłużej.

— Och, Cooper, nie możemy tak postąpić? W ten sposób stanęlibyśmy po niewłaściwej stronie!

— I może już przegranej — dodał. Przed jego oczami pojawiła się nagle płomienna wizja stalowni Hazarda. A mimo to czuję, że z przyczyn, których nie potrafię wyjaśnić dokładnie ani przekonująco, muszę to uczynić. Nie, nie tak. Będę szczery: chcę to uczynić.

Jej oczy szukały czegoś przez chwilę w jego twarzy.

— W porządku. Wprawdzie ten pomysł wcale mi się nie podoba, nie pojmuję też twego rozumowania i nie wiem, czy jest w nim w ogóle jakaś logika, wiem jednak, że nigdy cię nie opuszczę. Proponuję, abys zarezerwował miejsca na parowcu.

— Już to zrobiłem. Wypływamy z Savannah w Jgtggplfór piątek.

Wziął ją w ramiona i przytulił, kiedy zapłakała.

Następnego ranka dopilnował, aby na terenie stoczni na James Island wzniesiono wysoki, stalowy maszt. Kiedy umocowano bloczek i linę, patrzył z uwagą na dwóch robotników, którzy rozwinęli olbrzymią flagę. Składała się z trzech szerokich, biegnących poziomo pasów; górny i dolny był czerwony, środkowy — biały. Lewą część górnego pasa wypełniał krąg z siedmiu białych gwiazd na ciemnoniebieskim polu.

Zaskoczony przyglądał się nowej fladze, rozmyślając nad jej podobieństwem do flagi kraju, który stany secesjonistyczne dopiero co opuściły.

Nawet teraz, kiedy trąbimy na wszystkie strony o naszej niepodległości, nie potrafimy przeciąć wszystkich łączących nas więzi — przemknęło mu przez głowę. Gwiazdzisto-pasiasta flaga sunęła do góry, pochwyił ją pierwszy poryw wiatru i załopotała na tle nieba.

69

Nazajutrz, wczesnym rankiem, piaszczystą drogą w południowej Alabamie jechał kryty powóz, kierujący się w stronę Montgomery. Dach pokrywały niezliczone kufrы i torby, a powoził Rex. Wewnątrz przy składanym stoliku z błyszczącego drewna dębowego pracował Huntoon. W końcu udało mu się zdobyć stanowisko w rządzie, chociaż nie tak eksponowane, jak sobie tego życzył. Na razie jednak zadowolił się i tym. Zarówno jego stanowisko, jak i wpływy będą już niebawem znacznie większe, był o tym przekonany. I tak miał więcej szczęścia niż wiele czołowych osobistości z Karoliny Południowej. Na przykład kandydatury Boba Rhetta na stanowisko prezydenta Konfederacji nie zaakceptowano, uznano go bowiem za zbyt radykalnego.

Huntoon był skłonny zaryzykować to i owo, aby wspiąć się wyżej. Końcowy etap męczącej podróży z Columbus w Georgii do Montgomery poświęcił na pisanie memoriału do Kongresu Konfederacji. Pismo zawierało przede wszystkim atak na konserwatywną tymczasową konstytucję Południa, która jego zdaniem za bardzo przypominała starą. Jedynym nowym elementem była prawna ochrona systemu niewolnictwa, ale o dziwo - konstytucja zakazywała prowadzenia handlu niewolnikami z Afryką. To zastrzeżenie należało bezwarunkowo zmienić.

Memoriał Huntoona wzywał również do zmiany nazwy Kon-

federacji na Stany Zjednoczone Ameryki, co miało pokazać całemu światu, gdzie znajduje się jedyny na tym kontynencie prawdziwy rząd konstytucyjny. Głosił również, że to właśnie Jankesi sprzeniewierzyli się zasadom przodków.

Huntoon utknął jednak przy konkluzji. Ponownie przebiegł wzrokiem ostatnie zdanie: *Musimy udowodnić, że arystokracja potrafi rządzić lepiej niż pospólstwo*. Zamyślił się, nie wiedział, co napisać dalej. Może widok żony rozpraszał jego uwagę i hamował potok słów.

Ashton opierając się o ścianę wyglądała przez okno. Patrzyła na urokliwe pola bawełny, pomiędzy którymi wiała się droga.

Mimo kurzu i całego zamętu, nieuniknionego w podróży, wygląda niezwykle ponętnie — pomyślał Huntoon.

Poczuł, że jego ciało reaguje na bliskość żony i przypomniał sobie, że upłynął już co najmniej miesiąc, odkąd Ashton pozwoliła mu po raz ostatni nacieszyć się jej ciałem. Wyglądała na to, że te sprawy przestały mieć dla niej znaczenie.

Odechrząknął.

— Kochanie, nie bardzo wiem, co jeszcze dopisać. Może byś podsunęła mi jakąś myśl, abym mógł to zgrabnie zakończyć.

Podsunał jej ostatnią zapisaną drobnym maczkiem kartkę, ale Ashton, wydymając wargi, odsunęła ją na bok.

— Nie interesuje mnie twoje śmieszne bla-bla-bla, Jamie.

Jego erekcja ustąpiła natychmiast, a wyraz twarzy męża zdradził, że zraniła go zbyt mocno. Przysunęła się bliżej, pozwalając, aby poczuł na ramieniu jej mocno ściśniętą materią pierś.

— Montgomery będzie dla nas wspaniałym przeżyciem. Tym, co się liczy najbardziej, nie są słowa czy filozofia, ale władza, którą możemy... którą możesz zdobyć i wykorzystać. Czekaliśmy długo na tę okazję, nie możemy więc teraz tracić czasu na zbędne eksperymenty.

Ogarnęło ją podniecenie; tak było zawsze, kiedy myślała o władzy. Jeśli James nie awansuje tak wysoko albo tak prędko, jak sobie wymarzyła, w Montgomery znajdują się z pewnością inni mężczyźni, którzy zasługują na jej względy.

W Montgomery albo w Richmond sprostowała w duchu; rozeszły się już pogłoski, że niebawem stolica zostanie przeniesiona z bawełnianej strefy do Wirginii.

Rozmowa i długi okres wstrzemięźliwości z powodu przedwczesnej śmierci Forbesa sprawiły, że Ashton płonęła z pożądania. Wprawdzie nie przepadała za mężem, ale teraz mógł się przydać i sprawić jej ulgę.

— Jamie, Jamie... odłóż wreszcie ten idiotyczny papier. Czy nie widzisz, jak bardzo brakowało mi twego towarzystwa?

— Naprawdę? Nie, nie zwróciłem uwagi.

Ale jego ironia rozwiała się już po chwili. Wystarczył lekki dotyk jej dłoni, aby i jego ogarnęło gwałtowne podniecenie, a nagłość i siła własnej żądz zaskoczyły Ashton.

Pchnął ją na przeciwległe siedzenie; jedną ręką począł ugniatać piersi, a drugą przesunął spieszenie pod suknię w górę, na uda.

Co za okropny grubianin — pomyślała. — Ale przynajmniej spełni swoje zadanie.

Zamknęła oczy i puściła wodze fantazji: widziała teraz galowy bal, ktoś przedstawiają prezydentowi, a on jest oczarowany jej inteligencją i urodą.

Powóz toczył się dalej, a Rex, drapiąc się po głowie, przechylił się na bok. Był naprawdę zaintrygowany głośnymi piskami i krzykami, które dochodziły z wnętrza. Niestety jednak ką, pod którym patrzył z wysokiego kozła, nie był odpowiedni. Nie zdołał dojrzeć nic ciekawego.

Tego samego dnia, wieczorem, Elkanah Bent stał w barze w Willard's Hotel, gdzie popijał whisky i sumował jakieś liczby na skrawku papieru.

Końcowy wynik zadowolił go. Po opłaceniu krawca, który uszył mu nowy mundur, zostawało mu jeszcze wystarczająco dużo pieniędzy, aby wynająć sobie niewielkie mieszkanie. Ostatnio w Waszyngtonie zwiększyła się liczba wolnych domów i mieszkań; całe gromady zdradzieckich oficerów i urzędników umykały do siebie, na południe.

Wiedział, że nie wypada mu już nazywać swoim mieszkaniem pokoju hotelowego. Wpływowi przyjaciele zatroszczyli się o stopień pułkownika dla niego; awans, który w burzliwych dniach gorączkowych przygotowań do wojny nie był dla oficera zawodowego niczym niezwykłym. Bent miał tylko jedną nadzieję; że wojna potrwa nieco dłużej niż parę miesięcy. Niektórzy przepowiadali niestety jej rychły koniec. Generał Scott wspominał przy każdej okazji o „fatalnej niemożliwości Południowców do współdziałania”. Twierdził również, że wpłynie to negatywnie na armię.

No cóż, będzie jeszcze sporo czasu, aby łamać sobie nad tym głowę. Dziś wieczorem chciał się zabawić. Najpierw dobre jedzenie, a potem godzina w miłym towarzystwie. Przyjemności wymagają wprawdzie uzyskania kredytu, znał jednak pewien obskurny, nielegalny burdel, gdzie go dostanie.

Perspektywa zbliżającej się wojny wprawiała go w podniosły nastrój. Poleje się krew. Tysiące, setki tysięcy ludzi zginie, a on wykorzysta tę szansę i wreszcie użyje wszystkich swych zdolności i zdobędzie dobrą reputację i sławę — a więc to, co w jego mniemaniu należało mu się nie od dziś.

Przy tym wszystkim będzie mógł wyrównać parę zaległych rachunków.

Nigdy nie zdołał przeboleć fiaska swoich planów w Teksasie. A teraz ten cholerny Charles Main uciekł na Południe, podobnie jak wielu innych niecnym żołnierzom, którzy zasługiwali jedynie na postawienie ich przed plutonem egzekucyjnym. Ale wojna posiada zadziwiająco umiejętność krzyżowania losów. Kto wie, może jeszcze nadarzy się sposobność zadania Mainom druzgocącego ciosu. Nie wolno mu też zapomnieć, że ta rodzina związana jest z kobietą, która usiłuje podawać się za białą, a w rzeczywistości jest nie tylko czarnuchem, lecz również córką dziwki z Nowego Orleanu.

Co zaś do Billy'ego Hazarda, z pewnością nie zgubi jego śladu. Ten młody oficer nadal służy w wojsku. Bent zdobył już tę informację w biurze adiutanta generała. Dostanie ich wszystkich, jedną rodzinę i drugą. Wierzył w to z prostego powodu: ani Mainowie, ani Hazardowie nie spodziewają się nawet, że w ogólnym chaosie mogłoby przetrwać coś takiego, jak zadawniona żądza zemsty. I właśnie ich głupota stanowiła jego kartę atutową.

Dopił kieliszek i zamówił drugi. Przeglądając się w lustrze za kontuarem podziwiał swój nowy mundur, ale po chwili zwrócił uwagę na dwóch stojących tuż obok mężczyzn, którzy wiedli głośną rozmowę. Jeden twierdził, że powinien zostać opracowany i natychmiast opublikowany plan rekonstrukcji, aby zachęcić tę zblakaną owieczkę, Południe, do powrotu.

Bent z trzaskiem odstawił kieliszek na kontuar.

— Jeśli tak pan sądzi, sir, to znaczy, że pana miejsce jest po tamtej stronie Potomacu.

Nieznajomy włączył się do dyskusji.

— Nie zgadzam się, sir. Jezus Chrystus, nasz Pan, rzekł, że litość...

— Żadnej litości — przerwał mu Bent. Nawet trochę. Nigdy.

Kilku słuchaczy poparło go z zapalem. Rozmówca widząc, jak niepopularne są jego poglądy, nie odezwał się już nawet słowem.

Bent wdzięczny się nadal do swego odbicia w lustrze. Cóż to za wspaniały dzień! Nie ma większego szczęścia dla mężczyzny, niż żyć w czasie wojny.

Wojna. To najwdzięczniejsze, najbardziej rozkoszne słowo. Benta rozpieęła tak ogromna radość, że zostawił barmanowi całe ćwierć dolara.

Pewnym krokiem wyszedł z hotelu, upajając się swymi ulubionymi myślami. Bent i Bonaparte... Oba nazwiska zaczynają się tą samą literą. Nie jest to zwykły zbieg okoliczności. Na Boga, nie! Ma to istotne znaczenie historyczne. Jeszcze trochę czasu i fakt ten doceni cały świat.

Kilka dni później u podnóża Blue Ridge w pobliżu Harper's Ferry Virgilia odwiedziła grób Grady'ego. Było łagodne, ciepłe, kwietniowe popołudnie. Virgilia przyjechała z dworca wynajętym powozem, który zostawiła na poboczu piaszczystej, brudnej drogi. Dalej wznosiło się niskie wzgórze, porośnięte klonami. Uwiązała konia do gałęzi, weszła kawałek pod górę. W połowie stoku przyklekła przed niewielkim wzniesieniem, otoczonym drzewami. Och, Grady, Grady!

Padła w świeżą trawę, pokrywającą pagórek. Własnymi rękami wykopała ten grób, złożyła doń ciało i usypała mogiłę. Korzystając z zamieszania, które wybuchło przed pojmaniem Browna, dostała się po kryjomu do Harper's Ferry, odnalazła zwłoki Grady'ego i ukryła je. Niedługo potem jedna z konspiratorów, Murzynka, pomogła jej przenieść je w to miejsce, gdzie nikt nie mógł wykopać go i zbezczęścić.

Nie było już Browna, a wraz z nim zginęło na szubienicy jego marzenie o chlubnej rewolucji. Odszedł też Grady. Ale cena, którą zapłacili — krew — dała narodowi wspaniały prezent: wojnę. Walki nie rozpoczęły się jeszcze, wszystko wskazywało jednak, że wybuchną niebawem. Upajała się tą myślą, tuląc się do mogiły, jak gdyby było to żywe ciało Grady'ego.

Wyobrażenia podsuwała jej obraz nie kończących się rzędów zwłok Południowców bez głów, kikuty rąk tryskające krwią, ziejące rany po wyrwanych genitaliach. Jęczała i drżała na całym ciele, myśląc o triumfalnych, bliskich już narodzinach jej rewolucji. To będzie zadanie akurat dla niej, krwawe zadanie, przed którym inni, zbyt wrażliwi lub tchórzliwi, cofną się przezornie.

Ona natomiast je wykona. Nie pozostanie obojętna na zew jej własnej nienawiści wobec tych, którzy robią z innych niewolników, tych, którzy robią niewolników z pięknych, czarnoskórych mężczyzn. Wyrzekła się swojej rodziny, wyrzekła się na zawsze tych nieznośnych, przemądrzałych kottunów. Odcięła się od ludzi, aby żyć w samotności, wyłącznie dla swoich wspomnień i jednego, jedyne go towarzysza: śmierci będącej jej przyjacielem i sprawiedliwym narzędziem Boga.

W Mont Royal cienie wydawały się dłuższe, a wiosenne noce ciemniejsze niż zazwyczaj. Orry nie wykazywał zainteresowania sadzeniem czy uprawą ryżu, nie wierzył też w ogłoszony niedawno plan Jeffa Davisa, który przewidywał, iż bawełna skłoni Europę do uznania Konfederacji. Jego zdaniem Davis to cholerny głupiec. Rynek europejski był już zapchany bawełną. Kto przejmie się tym, że Południe przestało dostarczać swych zbiorów?

Jakiś dziwny, wewnętrzny impuls pchał Orry'ego w owych dniach ku zmianom. Błąkał się po pokojach swego domu — tych utartych szlakach — nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Jedynie obecność Madeline i łatwość, z jaką weszła w jego życie, podtrzymywały go na duchu.

Wydawało się jednak, że został skazany na egzystencję pełną niepokoju i wątpliwości. Pewnej nocy, gdy nie mógł zasnąć, udał się do biblioteki, aby poszperać po półkach. Natknął się na książkę, do której nie zaglądał od lat. Były to *Zapiski na temat stanu Wirginia* — jedyna książka napisana przez Thomasa Jeffersona.

Podciągnął trochę nocną koszulę i usiadł. Po chwili jego uwagę przyciągnął wiersz podkreślony piórem. Obok, na marginesie, widniały napisane odręcznie słowa: Amen i omen.

Podkreślony wiersz zawierał zdanie:

W samej rzeczy, drzę o mój kraj, kiedy uświadamiam sobie, że Bóg jest sprawiedliwy i że owa sprawiedliwość nie będzie drzemała wiecznie.

Jefferson, Południowiec i właściciel niewolników, pisał o niewolnictwie. Tym, co poruszyło Orry'ego najbardziej, była notatka na marginesie. Wystarczająco często przeglądał stare księgi rachunkowe plantacji, aby rozpoznać charakter pisma: należał do jego ojca.

Owe trzy krótkie słowa sugerowały, że Tillet, w czasie wystąpień publicznych zagorzały orędownik niewolnictwa, skrywał w głębi duszy pewne zastrzeżenia. Wątpliwości, do których nie przyznał się do końca życia.

Stary grzesznik — pomyślał Orry w porywie sympatii. — No, ale jak uczciwy człowiek mógłby nie mieć wątpliwości zwłaszcza teraz, kiedy konsekwencje owego systemu okazały się tak okrutne?

Odkrycie skrupułów, które dręczyły Tilleta, jeszcze bardziej wzmogło jego wahania, i tak już niemałe, a rozciągające się zarówno na dzieje Mainów, jak również tych wszystkich, którzy żyli z systemu niewolnictwa i dlatego opowiadali się za jego utrzymaniem. Długo jeszcze Orry żałował, że przypadkiem wziął z półki akurat tę książkę.

Pewnego mglistego poranka, tuż po wschodzie słońca, Orry i Charles wybrali się na przejażdżkę po plantacji. Blade chmurki mgły otulały ich, kiedy galopowali po polach — dwie zjawy na widmowych koniach na tle szarości rozjaśnianej pomarańczowymi pasami. Spod kłębow mgły połyskiwały niczym lśniący metal mokre pola.

Po prawej stronie ujrzeli grupę niewolników, idących mozolnie gęsiego. Dozorca uniósł rękę, aby pozdrowić swego pana, ale nawet z tej odległości Orry dostrzegł w postawie Murzyna jakieś szyderstwo, a na jego twarzy niechęć.

Upiorna kolumna mężczyzn zniknęła niebawem w tumanie mgły, ale tego ranka pracowało na polach wiele grup niewolników. Orry uświadomił sobie, że musiał przejechać obok, nie widząc żadnej, tak jak przejeżdża się obok rowu na polu czy zabudowań kuchennych. Po prostu istnieli, stanowili jeszcze jedną rzecz, należącą do niego.

Przypomniał sobie książkę Jeffersona. Rzecz należąca do niego. Tak to właśnie było, prawda? Właśnie z tego powodu Północ, cały świat, a może nawet Bóg zamierzali teraz osądzić Południe...

— Wadę Hampton tworzy legion konny — odezwał się nagle Charles. — Za dwa tygodnie zgłoszę się do służby.

— Nie wiedziałem o tym.

— Dopiero wczoraj otrzymałem wiadomość. Jestem już zmęczony wyczekiwaniem; denerwuje mnie bezczynność. Chcę robić to, czego mnie nauczono. — Spiął konia do skoku przez rów, jego włosy, które dopraszały się nożyc, zatańczyły mu na karku. — To będzie z pewnością wspaniała wojna.

Jego słowa uświadomiły Orry'emu ogrom dzielącej ich przepaści. Jej przyczyną była nie tylko różnica wieku. Nawet po przeżyciach w Teksasie Charles nie przestał uwielbiać walki.

Orry nie chciał, aby jego milczenie zostało poczytane za aprobatę.

— Wspaniała?—zawołał w odpowiedzi. — Nie sądzę. Nie tym razem.

Ale Charles dźgnął konia, przynaglając go do biegu, i zaśmiał się tak donośnie, z taką radością, że nie dosłyszał surowego głosu za plecami. Z rozwianą czupryną pędził ku zasnutemu przez mgłę słońcu — idealny wizerunek rycerza.

Nazajutrz Orry otrzymał list od władz stanowych, ukrył go jednak do wieczora, kiedy mógł porozmawiać o nim z Madeline w ciepłym łóżku.

— Proszą mnie, abym przyjął patent oficerski. Prawdopodobnie chodzi o dowodzenie brygadą. Widać brak ręki nie jest żadną przeszkodą przy tej randze, a w liście napisali, że moje doświadczenia z przebytej służby wojskowej mają nieocenioną wartość. Nieocenioną, wyobrazasz sobie?

Roześmiał się, ale jakoś niewesoło. Potem zapytał:

— Czy wiesz, Madeline, co powiedział przed laty John Calhoun? Że absolwenci West Point powiodą olbrzymie armie. Ale z pewnością nie przypuszczał, że powiodą je przeciw sobie.

Odpowiedziała po chwili.

— Co sądzisz o tej propozycji? Położył się i pogłaskał ją po głowie.

— Jest kusząca, ale nie chciałbym zostawiać cię tu samej.

— Nie boję się Justina.

— To nie Justin mnie martwi. Czy zauważyłaś, jak zachowują się niektórzy ludzie na plantacji? Stali się leniwi, w ich oczach dostrzegłem złe błyski. Dziś po południu złapałem Cuffeya, kiedy szeptał o czymś z innym służącym. I usłyszałem słowo: Linkum.

Zapewniła go, że jeśli zdecyduje się zostawić ją w Mont Royal, nic złego się nie stanie. Podziękował jej, zdawał sobie jednak sprawę, że jego decyzja opierać się musi na czymś istotniejszym. Jego ziemia, ziemia Mainów, znalazła się w niebezpieczeństwie. Czy zdobędzie się na to, aby jej bronić czy też nie?

— Rano pokażę ci ten list — powiedział. Sądzę, że powinienem przesłać im pozytywną odpowiedź.

— Byłam niemal pewna, że tak postąpisz, kiedy usłyszysz zew.

Zew. W pamięci odżyły nagle jakieś odgłosy, znowu odezwały się dawne, zapomniane już niemal bębny; napominały go, domagały się odpowiedzi.

— Co byś powiedziała, gdybym przyjął ofertę?

Pocałowała go w usta.

— Byłoby mi przykro. — Pocałowała go po raz drugi. — Ale byłabym z ciebie dumna. — I jeszcze raz, ale teraz pocałunek był dłuższy i bardziej namiętny. — I czekałabym, aż wrócisz do mnie, kiedy tylko będzie to możliwe.

Objęła go czule. Nigdy nie przypuszczał, że może czuć się tak szczęśliwy. Madeline szeptała mu do ucha:

— Kocham cię zbyt mocno, abym mogła cię stracić, mój drogi. Kiedy wyjedziesz, zacznę modlić się tak żarliwie, że Bóg nie będzie mógł postąpić inaczej, jak tylko przysłać cię tu z powrotem. Całego i zdrowego.

Przyjaciel Stanleya, Boss Cameron, zapewnił mu stanowisko w stolicy. Waszyngton przekształcał się w istny raj dla spekulantów, łapowników i politycznych kombinatorów. Ale stary, niezmordowanie pnący się do góry Stanley zwiertzył nową okazję, a Isabel cieszyła się już na podniecającą przygodę, jaką miały stać się nowe kontakty towarzyskie. Znaleźli już dla siebie dom, umieścili też synów w prestiżowej szkole. Czternastoletnie bliźnięta okazały się niezdyscyplinowanymi urwisami. Ich nieobecność w Lehigh Station wszyscy skwitowali westchnieniem ulgi.

Z domu na Rhode Island gwałtowna burza zerwała sporą

część dachu. Po przeczytaniu telegramu z tą wieścią George postanowił pojechać tam nazajutrz pociągiem, aby obejrzeć szkody. Constance oznajmiła, że uda się razem z nim. Ten wyjazd był jej potrzebny; zirytowana na cały świat miała za mało cierpliwości dla Williama i Patricii. Brett i Billy obiecali zająć się dziećmi. Billy spodziewał się przed powrotem do wojska pozostać jeszcze kilka dni w Belwederze.

Tej nocy, po długiej naradzie, którą odbył w biurze swojej fabryki, George nie mógł zasnąć. O wpół do dwunastej znalazł się w bibliotece; tuż przed nim, na błyszczącym blacie, stała pełna szklaneczka whisky, obok leżała chropowata, brunatna bryłka, której strzegł od tylu lat jak największego skarbu.

Długo wpatrywał się w meteoryt. Raptem poczuł się mniej dumny ze swego fachu niż dawniej. Nie był przekonany o wartości tego, czym się zajmował. Teraz widział wyraźnie, jak niszcząca była siła żelaza przez wszystkie minione wieki i ile zła spowoduje ono znowu już wkrótce. Wreszcie, około trzeciej nad ranem, wypił whisky, zgasił lampę i wrócił do sypialni, gdzie przytulił się do ciepłego ciała żony, śpiącej od dawna. On jednak nadal nie mógł zasnąć.

Pod szarym niebem Newport sprawiało wrażenie wymarłego miasta, opuszczonego przez wszystkich. George i Constance czuli się trochę nieswojo i samotnie w wielkim domu, choć zarazem rozkoszowali się nieoczekiwaną intymnością.

Po południu pierwszego pełnego dnia, spędzonego w Fairlawn, George spotkał się z przedsiębiorcą budowlanym, który miał naprawić dach, po czym udał się z Constance na spacer po pustej plaży. Białe, grzywiaste fale wybiegały na brzeg, niebo — bezkresne i posępne — kojarzyło się raczej z zimą niż wiosną. Constance trzymała go za rękę, jakby spragniona bliskiego kontaktu.

— Nie powiedziałaś mi jeszcze, jaki był cel wieczornej narady, George.

— To żadna tajemnica. Wezwałem wszystkich majstrów, aby zakomunikować im, że przechodzimy na całodobowy system pracy. Otrzymaliśmy już zamówienia z Ministerstwa Wojny, a nie wątpię, że Stanley postara się, aby było ich coraz więcej. Możemy osiągnąć teraz zyski tak wysokie, jak nigdy przedtem.

— Za cenę sporej liczby poległych.

Zmarszczył brwi.

— Tak, obawiam się, że to prawda. Przystanął i spojrzał jej prosto w oczy. Musiał coś wyjaśnić.

— Stanley powiedział, że Waszyngton pragnie zebrać tylu absolwentów Akademii, ilu zdoła.

— Do służby w wojsku?
— Albo na stanowiska rządowe.

Spojrzała na męża z powagą.

— Chcesz odbyć tę służbę?

— „Chcę” to nie jest odpowiednie słowo. W pewnym sensie sam nie wiem czemu... — odetchnął głęboko; to, co miał teraz powiedzieć, znacznie różniło się od wszystkich miłych wyznań, które czynił jej do tej pory, cieszył się jednak, że wyrzuci to z siebie — ...czuję, że muszę ją odbyć.

Rozpląkała się, ale natychmiast powstrzymała łzy. Podniosła głowę.

— To twoja decyzja, kochanie. — Znowu ujęła go pod ramię.

— Wracajmy do domu, dobrze? Naszła mnie raptem nieodparta chęć pokochania się z tobą.

Uśmiechała się, w jej oczach nadal jednak błyszczały łzy. Spojrzała wymownie na uschnięty krzew, rosnący na skraju plaży za wysokimi skałami.

— Co byś powiedziała, żebyśmy zrobili to tam? — Z szelmowską miną pocałował ją w czubek nosa. — Chyba że jesteś konserwatystką, pani Hazard.

— George... — umilkła i spojrzała nań z przekorą. — Czy coś takiego zdarzało ci się, zanim się pobraliśmy? Na przykład w West Point? Odniosłam wrażenie, jakby nie było to dla ciebie niczym niezwykłym.

— Pozostawię twoje pytanie bez komentarza. Zastanowiła się przez chwilę.

— A jeśli ktoś nas zobaczy?

— Kto? W promieniu kilku mil nie ma żywej duszy.

— Jest dosyć chłodno.

— Zrobię wszystko, żeby cię rozgrzać.

— Naprawdę myślisz, że możemy?

— To oczywiste. Czas wojny niszczy skutecznie wszelkie konwenanse. Ludzie wiedzą, że nie powinni przepuszczać okazji; następna może się już nigdy nie pojawić.

W jego żarcie dostrzegła coś mrocznego, jego oczy również były poważne. Ścisnęła go mocno za rękę. Odwrócili się plecami do martwego nieba i pobiegli w stronę skał.

70

W Belwederze Billy i Brett jedli razem kolację. Billy zaproponował spacer po posiłku; wiosenny wieczór był naprawdę piękny. Oboje wiedzieli jednak, że istnieje jeszcze jeden powód: gęst-

niejąca atmosfera napięcia. Późnym popołudniem Billy otrzymał telegram zawierający rozkaz powrotu do Waszyngtonu następnego ranka. Już sama myśl o rychłym wyjeździe męża przynębiała Brett i odbierała jej apetyt.

Pod koniec posiłku zdarzyło się coś, co wywołało zamieszanie. Za oknami nagły błysk światła rozjaśnił mroczne niebo. Kiedy Billy, Brett i dwie służące wyjrzały na zewnątrz, dom zadrżał pod wpływem jakiegoś odległego wstrząsu. Jedna z dziewcząt jęknęła ze strachu. Do pokoju wpadł zadyszany stajenny, krzycząc na cały głos, że spadająca gwiazda zabłysła jak słońce w południe, a potem zniknęła w dolinie.

Uderzenie meteorytu o ziemię mogło spowodować wstrząs, który niedawno poczuli. Wystraszony służący opowiadał, że ostatnio widuje się mnóstwo gwiazd, spadających w dolinę, drząc na całym ciełe szeptał coś o Bożym gniewie.

Brett wysłuchała tych uwag ze stoickim spokojem, ale tajemniczy błysk i wstrząs zaniepokoiły ją, zwłaszcza kiedy wyszli na wzgórze, skąd roztaczał się widok na trzy wysokie piece huty Hazarda. Wieczór był wspaniały, ciepły i bezchmurny. Na niebie wisiało tysiące gwiazd, rozlewając jaskrawy blask po horyzont, z wyjątkiem miejsc zasnutych fosforyzującą poświatą.

Ze szczytu wzgórze, na które wchodzili, dochodził jakiś osobliwy, gryzący zapach. Jego źródłem, jak się wydawało, był cienki, niemal niewidoczny słup dymu.

— Co się pali? — zapytała Brett, kiedy zadyszani dobrnęli na górę. Stali teraz w gąszczu krzewów wawrzynu otoczeni białym, połyskującym w ciemnościach kwieciem.

Billy pociągnął nosem.

— Nie wiem, ale to chyba niedaleko. Gdzieś w dole. Poczekaj, zaraz zobaczę.

Zszedł niżej, przedzierając się przez krzewy. Zapach dymu przybierał na sile i Billy wyczuł krater, zanim jeszcze go ujrzał; żar uderzył go w twarz. Wreszcie, w niewyraźnym świetle gwiazd, zauważył na zboczu wzgórze jakieś dwanaście stóp dalej dziwny dół. Nie dostrzegł meteorytu, wiedział jednak, że tam jest.

— Nie ma powodu do obaw — powiedział do Brett. — Spadająca gwiazda albo jej część spadła na wzgórze.

Poszukała schronienia w jego ramionach, usiłując ukryć lęk i poczucie osamotnienia. Oczywiście George i Constance czynili wszystko, aby miała wrażenie, że jest u siebie w domu, lubiła towarzystwo ich dzieci, a opieka nad nimi pozwalała jej zabić czas. Jednak nie zdołała jeszcze przyzwycząić się do życia w Pensylwanii, do doliny i jej mieszkańców, do ich zwyczajów. W psalmach była mowa o tym, że Bóg ochrania obcych, nie wiedziała jednak, czy tak jest naprawdę.

Nie mogła dłużej skrywać tego, co ja. <|ręczyło. .

— Billy, boję się.

— Wojny?

— Tak. I tego, że wyjedziesz. Boję się, że nie będę wiedziała, gdzie jesteś i czy nie stało ci się nic złego. Boję się tutejszych ludzi i sposobu, w jaki patrzą na mnie, bo jestem z Południa. Boję się wszystkiego. Tak bardzo się wstydzę, mówiąc ci o tym, ale nic nie mogę poradzić: po prostu boję się!

Jej głos był słaby, pozbawiony siły, której Billy zawsze oczekiwał od niej. Nie przestawała mówić, a on uświadomił sobie raptem, że boi się tak jak ona. Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie zawiódą go rozkazy przełożonych.

Wiedział za to, jakie zadania czekają go w niedalekiej przyszłości. Oddziały inżynieryjne ścinały drzewa, przygotowywały drogi i budowały mosty pontonowe, aby umożliwić armii przeprawy. Oddziały inżynieryjne szły pierwsze, przed jednostkami¹ regularnymi, i zazwyczaj pierwsze dostawały się w zasięg broni nieprzyjaciela.

— Wszystko jest tak niepewne — szeptała. — Jest tak wiele nienawiści i tak dużo radości na wieść, że niebawem zaczniesz zabijanie jednych ludzi przez drugich. Są chwile, kiedy trudno mi uwierzyć, że przeżyjemy.

— Jeśli będziemy kochać się wystarczająco mocno, zdołamy przeżyć wszystko. Tak samo nasze rodziny. I nasz kraj.

— Czy naprawdę w to wierzysz?

— Tak, wierzę. Pewnego razu, kiedy byłem bardzo przygnębiony, George pomógł mi w ten sposób. — Oderwał gałązkę wawrzynu i wetknął jej do ręki. — Wawrzyn rozkwita tam, gdzie giną inne rośliny. Matka mawiała zawsze, że nasza rodzina jest jak wawrzyn, a ja mam nadzieję, że twoja jest taka sama: wystarczająco silna. Dlatego że łączy nas uczucie, przetrwamy wszystko.

Przez chwilę spoglądała na gałązkę z małym, białym kwiatkiem, po czym wsunęła ją do kieszeni.

— Dziękuję ci.

Nachylił się, aby ją pocałować i wtedy poczuł smak jej łez.

— Kiedy tylko dowiem się, gdzie stacjonuje mój oddział, prześlę ci wiadomość, przyrzekam. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Pocałowała go raz jeszcze, a jej głos zabrzmiał teraz większą siłą.

— Och, tak bardzo cię kocham, Billy Hazardzie!

— Ja też cię kocham, Brett. I właśnie dlatego przejdziemy przez to wszystko.

Pocałowała go ponownie, długo, a potem obróciła się i wsparła o niego plecami. Siedzieli wpatrzeni w gwiazdy, a wiosenny

wiatr uderzał o szczyt wzgórza. Krzewy wawrzynu falowały i szumiały wokół nich. Billy'ego dręczyła jedna myśl — słowa, które wypowiedział, odzwierciedlały jego nadzieje, nie przekonanie. Wiedział doskonale, jak krucha jest ta nadzieja.

Równie słaba okazała się ciemność. Nie patrzyli na ogrom huty, a mimo to już wkrótce dojrzeli wokół siebie blask, potęgującą się czerwoną poświatę, która zdawała się wypełniać całą dolinę. Światła miasta blakły przy niej, niektóre rozplynęły się zupełnie.

Billy nie chciał odwracać wzroku, nie miał ochoty patrzeć na fabrykę, ale było to nieuniknione. Krwawa luna trzech pieców gasiła blask gwiazd. Słyszał okrzyki robotników kręcących się przez całą noc w kłębach dymu przy blasku ognia, ogłuszający łoskot maszyn parowych, pracujących na pełnych obrotach.

Zamknął na chwilę oczy, ale to nie pomogło. Nad głową i ramionami Brett przemykały szkarłatne błyski. Wiatr zmienił kierunek i niósł teraz woń dymu i wyliewy fabryki. Wydawało się, że całą dolinę i resztę świata wypełnia hałas olbrzymich, wprawionych w ruch maszyn, które wyrzucały z siebie pierwsze tony stali na broń dla Unii, na wojnę. Wiatr mieszał dym z fabryki Hazarda z dymem unoszącym się z miejsca, gdzie niedawno spadł meteor, wypalając krzewy wawrzynu. Wydawało się, że na tym skrawku zbrocza nigdy nic nie rosło.

„Niewolnictwo sprowadza na kraj osąd niebios. Ponieważ narody nie mogą zostać nagrodzone ani ukarane w innym świecie, musi się to dokonać jeszcze na tym.”

George Mason z Wirginii, 1787 rok

POSŁOWIE

„*Północ i Południe*” to pierwsza część trylogii o losach Amerykanów uwikłanych w burzliwe wydarzenia, które miały miejsce przed, podczas i po wojnie secesyjnej.

Część ludzi jest zdania, że najbardziej istotnym elementem w historii Ameryki jest okres zdobywania Dzikiego Zachodu. Zapewne jest to epoka bardziej niż inna owiana romantyczną legendą. Jednak dla wielu głównym przeżyciem w nadal odkrywanych dziejach naszej republiki jest bratobójcza Wojna Pomędzy Stanami.

Jak napisał Richard Pindell z Uniwersytetu Nowojorskiego w artykule na temat *Przeminęło z wiatrem*, była to przede wszystkim „całkowicie nasza wojna”. W poszukiwaniu jej przyczyn należy cofnąć się do czasów poprzedzających Jeffersona, do pierwszych białych spekulantów, którzy stąpali po naszym lądzie; efekty ich działalności trwały z uporem huraganu, który nie chce ugasić swej furii, aż po lata pięćdziesiąte, sześćdziesiąte, siedemdziesiąte, a nawet osiemdziesiąte dziewiętnastego wieku.

Podstawowe problemy niewolnictwa i secesji zrodziły chwałę, cierpienia i mity. Robert Penn Warren powiedział kiedyś, że wojna dała Północy cenne świadectwo prawości, a Południu — wspaniałe alibi. Ofiarowała również czarnoskórym Amerykanom jeśli nie faktyczną wolność, to przynajmniej jej legalne podstawy. Natomiast rodzinom amerykańskim po obu stronach linii Mason-Dixon wystawiła straszliwy rachunek: około sześćdziesiąt tysięcy zabitych.

Historycy twierdzą, że wraz z wojną nasz naród osiągnął dojrzałość. Wystarczyły dwa dziesięciolecia, abyśmy nauczyli się o sobie i w ogóle o społeczeństwie amerykańskim więcej, niż przez wszystkie lata od momentu pojawienia się na tej ziemi pierwszych osadników. Może nawet więcej, niż chcielibyśmy się dowiedzieć.

A jednak fascynacja owym okresem nie mija. Największe bitwy tej wojny staczone są nadal raz po raz w książkach i artykułach, klasach szkolnych i grupach dyskusyjnych. Zastanawiamy się nad płynącym ku nam z tej lekcji ostrzeżeniem lub też ignorujemy je, często jednak obserwujemy, jak główne problemy tamtego konfliktu nadal są przyczyną rozlewu krwi na naszych ulicach. I właśnie owa siła, te tragiczne nieraz konsekwencje dawnych wydarzeń, skłoniły mnie do zainteresowania się tym tematem, podobnie jak uczyniło wcześniej wielu innych pisarzy i badaczy.

Przygotowując się do napisania książki natknąłem się na parę ciekawych reakcji. Po ogłoszeniu mego zamierzenia poszedłem kiedyś na przyjęcie, gdzie pewna kobieta zapytała mnie, muszę przyznać tonem raczej rozdrażnionym: „Jak pan może, jako Jankeś, przyjeżdżać na Południe i pisać o nas?”

To ostatnie słowo sprawiło mi przykrość. Chciałem już odparować, że uważam się za Amerykanina, a nie za fanatycznego bojownika określonego regionu czy sprawy, zdobyłem się jednak na odpowiedź moim zdaniem lepszą: „Tak samo, jak każdy profesjonalny literat, piszący o epoce, której nie mógł poznać osobiście. To znaczy zaczynam studiować ten okres i dany teren, starając się dotrzeć swoją wyobraźnią do serc i umysłów bohaterów książki.” Tak więc w tym miejscu należałoby może umieścić parę słów komentarza na temat historycznej zawartości mojej powieści.

Głównym celem *Północy i Południa* ma być dostarczenie rozrywki. Pragnąłem jednak również, aby owa opowieść była dokładnym odzwierciedleniem tamtej epoki; nie chodziło mi przy tym o przedstawienie wszystkich wydarzeń, które doprowadziły do wybuchu wojny w porcie Charleston, lecz o rzetelną prezentację ogólnych postaw i napięć po obu stronach.

Na przykład takie głosy, jak Coopera Maina zdarzały się tu i ówdzie na Południu, a kiedy kawalerzysta O'Dell mówi o potrzebie przesiedlenia wywoleńców do Liberii, powtarza tylko twierdzenie wielu ludzi z Północy, łącznie z Lincolnem. Mnóstwo gorących orędowników abolicji nie wierzyło, aby czarnoskórzy zasłużyli sobie czy też w ogóle potrafili korzystać w pełni z demokracji amerykańskiej; i wprawdzie pogląd ten może wydać się dziś godny ubolewania, ale zniekształcenie lub w ogóle pominięcie go w powieści historycznej stanowiłoby niedźwiedzią przysługę wobec historii i tych wszystkich, którzy walczyli o zmianę tego przekonania.

Wprawdzie dołożyłem wszelkich starań, aby książka rzetelnie prezentowała historię, nie ustrzegłem się jednak przed paroma zmianami; ani razu jednak nie uczyniłem tego bez powodu.

Kompania K II Pułku Kawalerii dzielnie służyła w Teksasie pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Oficerowie i żołnierze mojej Kompanii K są — z konieczności — postaciami fikcyjnymi, tak samo jak zdarzenie na farmie Lantzmana, nie można jednak wykluczyć, że podobny incydent istotnie miał wówczas miejsce. Szczegóły dotyczące życia i działalności tego słynnego pułku są zgodne z prawdą historyczną.

Pytanie, które stawiano mi często — nieraz nawet dosyć ostrym tonem — gdy pisałem mą książkę, brzmiało: „A pan, czyją stronę pan bierze?”

Nie odpowiadałem, gdyż zawsze uważałem, że jest to pytanie niewłaściwe. Dla mnie liczy się tylko jedna „strona” — strona tych, którzy cierpieli. Tych, którzy stracili życie podczas walk, i tych, którzy ginęli wolniej, ale nie mniej okrutnie, w niewoli.

W tym miejscu uderza nas jeszcze jeden osobliwy aspekt tego tematu: jego fascynujący i zarazem tragiczny paradoks. Ów rozłam nie powinien był się wydarzyć i jednocześnie musiał zaistnieć. Ale to jest już moja własna interpretacja; jak powiedział niegdyś pewien historyk: „Każdy człowiek tworzy swoją wersję wojny secesyjnej”. To stwierdze-

nie pomaga wyjaśnić przyczyny fascynacji owym konfliktem—fascynacji nie tylko Amerykanów, ale również milionów ludzi na całym świecie.

Nadszedł czas, abym spłacił swoje długi. W przygotowaniach do napisania tej książki pomogło mi wielu ludzi, spośród których należy wymienić dwóch redaktorów: Carol Hill, która służyła mi radą przy układaniu planu, oraz Juliana Mullera, który zajął się rękopisem. Praca obojga była wprost nieoceniona.

Jeśli chodzi o pomoc w badaniu historii, muszę przede wszystkim wymienić Bibliotekę Akademii Wojskowej Stanów Zjednoczonych w West Point, a zwłaszcza bibliotekarkę działu map i rękopisów, panią Marie Capps.

Czołowym ekspertem do połowy dziewiętnastego wieku jest w Akademii moim zdaniem profesor James Morrison z wydziału historii w York College w Pensylwanii. Profesor Morrison jest również byłym oficerem armii i wykładowcą w West Point. Udzielił mi odpowiedzi na masę pytań, które z pewnością uznał za naiwne. Stracił wiele swego cennego czasu na zapoznanie mnie z kopią *Rękopisu Tidballa* — pamiętnika kadeta Johna C. Tidballa, ucznia klasy z 1848 roku, który opisał życie w Akademii.

Rękopis Tidballa zasługuje na opublikowanie i uwagę czytelników. Gdyby zawodowi historycy potrafili zawrzeć w swych dziełach tyle ciepła i humoru, co ów dziewiętnastowieczny żołnierz, ludzie uczyliby się historii z o wiele większym zainteresowaniem. Pod koniec lektury zapisków Tidballa uświadomiłem sobie, że chciałbym poznać tego człowieka. Wiem, że polubiłbym go.

Biblioteka w hrabstwie Beaufort w Karolinie Południowej, jak również jej filia na Hilton Head Island to kolejne miejsca, gdzie uzyskałem nieocenioną pomoc w odkrywaniu materiałów źródłowych. Winien jestem szczególną wdzięczność panu Marfowi Shopmyerowi, który wiernie towarzyszył mi w nie kończących się poszukiwaniach książek, dokumentów, periodyków i gazet codziennych, traktujących o czasach, które miały być tematem mojej powieści. Wielkie uznanie należy się również personelowi Biblioteki Państwowej w Columbii; widziałem niewiele bibliotek, które mogłyby się z nią równać.

Chciałbym podziękować Rosę Ann Ferrick, która nie tylko udowodniła wyższość maszynopisania nad pisaniem ręcznym, ale również swym byстрыm okiem i rzetelną oceną redaktora niejednokrotnie mi pomogła.

Teraz, kiedy wyraziłem już wdzięczność za otrzymaną pomoc, muszę podkreślić, że żadna z osób czy instytucji, które wymieniałem powyżej, nie może być odpowiedzialna za moją książkę. Cała fabuła i ewentualne błędy w przedstawieniu faktów lub opinii są dziełem wyłącznie moim i tylko ja mogę zostać pociągnięty do odpowiedzialności.

Bruce Catton napisał kiedyś o wojnie secesyjnej i tekst ten nie ma sobie równych. Po przeczytaniu go nie potrafię zapomnieć użytej przez Cattona przenośni: „niestrawny kęs niewolnictwa”. Tylko trzy słowa,

a ile znaczą! Wykorzystałem to powiedzenie w mojej książce i nie wypieram się tego faktu.

Dobra wola i poczucie humoru mego adwokata, Franka Curtisa, były źródłem mojej siły i radości. Szczególną wdzięczność jestem winien również Mike'owi i Judi, których przyjaźń bardzo sobie cenię i których życzliwość pomogła mi przetrwać owe mroczne dni, towarzyszące nieodłącznie wszelkim dłuższym okresom pracy twórczej. Sądzę, że nie mają nawet pojęcia, jak bardzo podtrzymywali mnie na duchu—i właśnie dlatego dziękuję im teraz z całego serca.

I wreszcie dziękuję bardzo Billowi Jovanovichowi za jego nie słabnące zainteresowanie moim projektem, jak również mojej żonie, Racheli, za nieustające wsparcie i uczucie.

*Hilton Head Island,
24 sierpnia 1981*

John Jakes

